



**UUK**

ANTOINE DE SAINT-EXUPÉRY

# TWIERDZA



## I

Nazbyt często bowiem widziałem, jak litość obiera mylną drogę. Ale my, rządząc ludźmi, nauczyliśmy się zgłębiać ich serca, aby życzliwością otaczać tylko zasługujących na nasze względy. Odmawiam natomiast litości ranom wystawianym na widok publiczny, które dręczą serca kobiece; tak jak umierającym, a także zmarłym. I wiem, dlaczego odmawiam.

W pewnym okresie młodości litowałem się nad owrzodzonymi ciałami żebraków. Opłacałem dla nich uzdrowiaczy i kupowałem balsamy. Karawany przywoziły dla mnie z pewnej wyspy maści sporządzone z domieszką złota, które zbliżniają skórę na chorym ciele. Aż do dnia, kiedy przyłapawszy ich na tym, jak drapiąc się wdychają odór wydzieliny, podobni do człowieka, co wdycha zapach ziemi, aby wyrwać z niej purpurowy kwiat, pojąłem, że cuchnące rany są dla nich szczególnym bogactwem. Pokazywali jedni drugim zgniliznę ciała z dumą, pyszniąc się otrzymaną jałmużną, bo ten, co dostawał najwięcej, równy był we własnym mniemaniu wielkiemu kapłanowi, okazującemu wiernym najpiękniejszego idola. Jeśli godzili się na porady mojego lekarza, to w nadziei, że ciało tak zżarte złośliwym wrzodem obudzi zdumienie.

Tak więc kikutami torowali sobie drogę w świecie, a poddając swoje członki ablucjom, które zaspokajały ich dumę, wszelkie starania przyjmowali jako należny sobie hołd; skoro jednak choroba została opanowana, odkrywali, że są niczym, czuli się zbędni, i od tego momentu starali się przede wszystkim o nawrót choroby, aby karmić ją dalej własnym ciałem. Kiedy zaś znów mogli okryć się szatą nieszczęścia, w chwale i w pysze ujmowali w rękę żebraczą miseczkę i ruszali szlakiem karawan, w imię swoich nieczystych bóstw naprzykrzać się podróżnym.

Był także okres, kiedy litowałem się nad zmarłymi. Sądziłem, że człowiek, którego jak ofiarę pozostawiałem na pustyni, pogrąża się w rozpaczliwą samotność, póki nie pojąłem, że dla umierających samotność nie istnieje. Póki nie stałem bezsilny przed ich zgodą na śmierć. Widywałem natomiast, jak egoista lub skąpiec, dotąd pomstujący na wszelkie marnotrawstwo, w ostatniej godzinie prosi, aby zeszedł dokoła niego wszyscy domownicy, a potem ze wzgardliwą sprawiedliwością dzieli swoje dobra niby pomiędzy dzieci zabawki i cacka. Widziałem, jak ciężko ranny, dotąd lękliwy, który wielkim głosem wołał pomocy w wątpli-

wym niebezpieczeństwie, do końca odrzucał wszelką pomoc, jeśli mogłaby ona narazić towarzyszy na zgubę. Sławimy takie wyrzeczenie. A przecież i tu widzę jedynie przejaw wzgardy. Znam takich, co sami wypaleni pragnieniem, dzielili się zapasem wody albo skórką chleba — w najcięższym głodzie, gdyż człowiek nie odczuwa już wtedy potrzeby i pełen królewskiej obojętności innemu rzuca kość do ogryzania.

Widziałem kobiety oplakujące martwych wojowników. A przecież to my sami je oszukujemy! Ci, co przeżyli, wracają w chwale i zamęcie, krzykliwie głosząc swoje czyny i jako porękę własnego ryzyka przynosząc śmierć innym, śmierć okrutną wedle ich opowiadania, bo mogła być ich własną śmiercią. I ja także, w młodości, lubiłem nad czołem aureolę błysków szabli i ciosów, co ugodziły innych. Wracałem niosąc martwych towarzyszy i ich straszliwą rozpacz. Ale ten, którego śmierć wybrała, wymiotując krwią albo przytrzymując wnętrzności, sam odkrywa prawdę — odkrywa, że śmierć nie ma w sobie grozy. Własne ciało wydaje mu się narzędziem bezużytecznym, które przestało służyć i które odrzuca. Ciało poszarpane, ukazujące swoje zużycie. A jeśli to ciało odczuwa pragnienie, umierający widzi, że pragnienie jest przypadłością, od której dobrze będzie się uwolnić. I zbędne stają się wszelkie dobra, służące ozdobie, wyżywieniu i świetności ciała, już na wpół obcego, które jest tylko mieniem, jak uwiązany do palika osioł.

Wtedy zaczyna się agonia, która jest falowaniem świadomości, przyborem pamięci i wspomnień, a potem ich wygasaniem. Biegnące po sobie fale, niby przyptyw i odpływ morza, niegdyś niosące bogactwo obrazów, przynoszą teraz wszystkie muszle wspomnień, wszystkie szumy słyszanych niegdyś głosów. Pojawiają się znowu i znowu opływają zewsząd serce, jak woda opływa algi, i odżywają wszystkie dawne tkliwe uczucia. Ale nadchodzi moment zrównania dnia z nocą, a wraz z nim odpływ ostateczny, serce pustoszeje, a wielka fala i wszystko, co niosła, wracają do Boga.

Prawda, widziałem ludzi, którzy uciekali przed śmiercią zdjęci trwogą na myśl ojej spotkaniu. Ale w umierającym nie dojrzałem nigdy lęku i myli się, kto by sądził inaczej!

Dlaczego zatem miałbym ich żałować? Dlaczego miałbym oplakiwać ich koniec? Zbyt blisko poznałem doskonałość umarłych. Cóż łżejszego niż śmierć owej branki, którą chciano rozweselić mnie szesnastoletniego, a która — gdy mi ją przyprowadzono, już zajęta była umieraniem; miała oddech urywany i krótki jak zdyszana gazela i tłumiła kaszel połą szaty, już pokonana, ale jeszcze tego nieświadoma, bo uśmiechała się chętnie. Ale ten uśmiech był jak powiew na rzece, ślad snu, bruzda, która zostawia jakiś znak, z dnia na dzień coraz czystsza, coraz bardziej bezcenna i trudniejsza do zatrzymania, aż — kiedy znak uleciał — stała się tylko przezczystą linią i niczym więcej.

Pamiętam także śmierć mojego ojca. Ojca, który odnalazł swoją pełnię i stał się kamieniem. Powiadają, że włosy mordercy pobieleły, kiedy ujrzał, jak z przebitego sztyletem śmiertelnego ciała uchodzi życie, ale ono nie pustką się napełnia, a majestatem. Ukryty w królewskiej komnacie zbój znalazł się twarzą w twarz nie z ofiarą — ale z ogromnym granitowym sarkofagiem, schwytny w pułapkę ciższy, której sam był sprawcą; znaleziono go o świcie, zdruzgotanego samą tylko nieruchomością śmierci.

Tak oto mój ojciec, którego królobójca jednym ciosem przeniósł w wieczności, ostatnim wstrzymanym oddechem zawiesił oddech innych na przeciąg trzech dni. Do tego stopnia, że języki rozwiązały się, a ramiona wyprostowały dopiero wtedy, gdyśmy go złożyli w ziemi. Ale ten, co nie panował, ale odciskał swoją pieczęć, zdawał się ważyć tyle, że kiedy spuszczałyśmy go na trzeszczących sznurach w głąb cmentarnego dołu, mieliśmy wrażenie, że nie trupa grzebiemy, ale chowamy skarb. Wisząc na sznurach ciążył tak, jakby był pierwszą płytą budowanej świątyni. Nie zakopaliśmy go, ale złożyliśmy w ziemi, zasklepiając nad nim mur, i stał się wreszcie tym, czym był naprawdę — fundamentem.

To on nauczył mnie śmierci i zmusił mnie, jeszcze w młodości, patrzeć jej prosto w twarz, bo sam nigdy nie spuszczał oczu. Mój ojciec był z rodu orłów.

Było to tego roku przekłętego, który nazwano „Uczta Słońca”, bo słońce tego roku poszerzyło przestrzeń pustyni. Jaśniało na piasku widocznym pomiędzy kośćmi, suchym cierniem, przejrzystymi skórami martwych jaszczurek i wielbłądzą trawą, którą zmieniło w ostrą sierść. Dzięki niemu wznoszą się łodygi kwiatów, a przecież teraz to ono pożarło wszystkie stworzenia i tronowało na ich bezładnie leżących zwłokach jak dziecko wśród zniszczonych przez siebie zabawek.

Wchłonęło nawet podziemne zasoby wody i wypilo nieliczne studnie. Wchłonęło nawet pozłocistość piasków, które stały się teraz tak puste i białe, żeśmy ochrztili tę krainę imieniem Zwierciadła. Bo zwierciadło nie zawiera w sobie nic, a obrazy, które je napełniają, nie mają ni wagi, ni trwania. Bo i zwierciadło czasem pali oczy niby jezioro soli.

Jeśli czasem zabłąkani wielbłądnicy wpadną w taką pułapkę — która nigdy nie zwraca schwytniej ofiary — nie rozpoznają jej zrazu, bo nic jej nie odróżnia od innych miejsc, i wloką się po owym pustkowiu jak cień w słońcu, jak widmo własnej obecności. Zdaje się im, że idą, ale uwięźli w kleistym blasku; zdaje im się, że żyją, ale wieczność już ich wchłonęła. Kierując się ku nie istniejącej studni, radują się świeżością zmiernych, a przecież to tylko zbędne odroczenie wyroku. Może, naiwni, skarżą się, że noc mija zbyt wolno, a przecież noce będą nad nimi niebawem mijać tak szybko jak trzepotanie powieki. I kiedy schryplym głosem rzucają na siebie przekleństwa, narzekając na jakieś błahe niesprawiedliwości, nie wiedzą, że sprawiedliwość już im została wymierzona.

Wydaje ci się, że ta karawana dokądś śpieszy? Wróć zatem, kiedy dwadzieścia wieków minie, i popatrz!

\* \* \*

Rozpłynięte w czasie, zamienione w piasek widma, wysrane przez zwierciadło: tak ich zobaczyłem, kiedy ojciec, chcąc mnie nauczyć, czym jest śmierć, posadził mnie za sobą na siodle i zawiózł w pustynię.

— Tutaj — powiedział — była studnia.

W głębi jednego z tych pionowych skalnych kominów, tak głębokich, że odbija się w nich tylko jedna gwiazda, zakrzepło nawet błoto i uwięzła w nim gwiazda zgasła. Ale brak jednej gwiazdy potrafi powalić całą karawanę tak niezawodnie jak nagły atak wroga.

Wokół tego wąskiego otworu, jak dokoła zerwanej pepowiny, ludzie i zwierzęta skupili się nadaremnie, aby z brzucha ziemi dobyć wody — krwi dla ich ciał. Ale najlepsi robotnicy, spuszczeni aż na dno tej otchłani, na próżno drapali twardą skorupę. Podobna do owada przebitego za życia szpilką, który w przedśmiertnym drzeniu sypie dokoła siebie jedwabisty złoty pył skrzydeł, tak karawana przygwożdżona do ziemi jedną pustą studnią, zaczynała już bieleć w bezruchu połamanych zaprzęgów, rozwiązanych troków, diamentów rozsypanych wśród gruzu i tonących w piasku ciężkich sztab złota.

\* \* \*

Kiedy patrzyłem na nich, ojciec tak przemówił:

— Wiesz, jak wygląda weselna uczta, kiedy odejdą biesiadnicy i kochankowie. O świcie bije w oczy pozostawiony nieład. Stłuczone dzbany, przewracane stoły, wygasły żar — na wszystkim odcisnięty i zakrzepły znak minionego tumultu. Ale odczytując te ślady — ciągnął ojciec — nie dowiesz się niczego o miłości.

— Człowiek nieuczony — mówił dalej — nie dojdzie istoty prawdy, jeśli będzie trzymał i obracał w dłoni księgę Proroka, jeśli zaprzatnie go zarys liter i złoto ozdób. Bo istotą nie jest przedmiot próżny treści, ale mądrość Boża. Tak jak istotą świecy nie jest воск, choć on zostawia ślady, ale jej światło.

A kiedy drżałem, widząc na szerokiej pustynnej równinie, podobnej do dawnych ofiarnych stołów, te ślady boskiego posiłku, ojciec dorzucił:

— Tego, co naprawdę ważne, nie dojrzysz w popiele. Odwróć oczy od tych trupów. To tylko wozy, które utknęły w drodze ku wieczności, a którym zabrakło woźniców.

— Kto więc mnie nauczy? — krzyknąłem.

A ojciec odparł:

— To, co istotne w karawanie, odkryjesz, gdy czas ją strawi. Odrzuć próżny dźwięk słów i patrz: jeśli przepaść stanie na jej drodze, karawana wyminie przepaść, jeśli skała stanie, obejdzie skałę, jeśli piasek będzie zbyt miękki, poszuka piachu twardego, ale iść będzie wciąż w tym samym kierunku. Jeśli pod ciężarem

objuczonych zwierząt zatrzeszczy sól słonego rozlewiska, widzisz, jakie zamieszanie, jak wyciągają bydłeta z błota, jak szukają na wszystkie strony pewnego gruntu, ale za chwilę wszystko się uspokaja i karawana ciągnie w tym samym co przedtem kierunku. Jeśli padnie zwierzę juczne, zarządza się postój, zbiera potłuczone skrzynie, ładuje na inne zwierzę, a przywiązując zaciąga mocno węzły, aż sznur trzeszczy; po czym karawana rusza w dalszą drogę. Czasem umiera ten, który był przewodnikiem. Wszyscy go otaczają. Zakopują w piasku. Rozprawiają. Potem innego wypychają na miejsce przywódcy i z powrotem ruszają w kierunku wyznaczonym wciąż tą samą gwiazdą. Tak nieodmiennie kroczy karawana, a kierunek drogi jest od niej silniejszy, albowiem przypomina ona kamień toczący się po niewidocznym stoku.

\* \* \*

Sędziowie miejscy skazali młodą kobietę, która popełniła jakieś przestępstwo, na to, aby słońce zdjęło z niej miękką powłokę ciała, i kazali ją po prostu przywiązać do słupa pośród pustyni.

— Pokażę ci — powiedział mi ojciec — ku czemu zmierzają ludzie.

I znowu wziął mnie ze sobą.

Zanim dojechaliśmy na to miejsce, przetoczył się nad skazaną cały dzień i słońce wypilo jej ciepłą krew, ślinę i pot jej pach. Z oczu wypilo wilgoć światła. Zapadła już noc i krótkie wytchnienie, jakie daje nocny chłód, kiedyśmy dotarli, ojciec i ja, do skraju tego wzbronionego ludziom płaskowyżu, gdzie ona, biała i naga, wyłaniała się z piedestału skał; bardziej krucha od łodygi żywiącej się wilgocią, ale odciętej już od zasobów ciężkiej wody, które w głębi ziemi zalegają gęstą ciszą, łamała ręce jak kłos, który trzeszczy w ogniu, i wołała o litość do Boga.

— Słuchaj jej — powiedział ojciec. — Odkrywa to, co istotne... Ale ja byłem lęklwym dzieckiem:

— Może ona cierpi — mówiłem — i może też się boi...

— Ona już przeszła — odparł ojciec — granicę cierpienia i strachu, które są chorobami stajennymi i na które zapada ludzkie stado. Ona odkrywa prawdę.

\* \* \*

I usłyszałem jej skargę. Objęta bezkresną nocą przyzywała ku sobie wieczorną lampę swego domu i izbę, w której się gromadzono, i drzwi, które się już za nią na dobre zamknęły. Wydana całemu wszechświatowi, który nie ukazywał swojej twarzy, wzywała dziecka pieszczzonego przed snem, istoty, w której streszcza się

świat. Oddana na tym bezludnym płaskowyżu niewiadomemu, które już nadchodziło, śpiewała kroki małżonka dźwięczące wieczorem na progu, rozpoznawane i niosące pokój. Sama w tym ogromie i nie mająca się czego uchwycić, błagała, aby zwrócono jej te wały obronne, które pozwalają żyć: motek wełny do przędzenia, miskę — tę jedną, jedyną do zmycia, dziecko, które trzeba uśpić — to właśnie, żadne inne. Wołała ku wieczności swego domostwa, nad którym unosiła się ta sama co nad całą wioską wieczorna modlitwa.

Kiedy głowa skazanej opadła na ramię, ojciec posadził mnie z powrotem na końskim zadzie. I ruszyliśmy w wiatr.

— Będziesz słyszał dziś wieczór — mówił ojciec — jak w namiotach ludzie szemrają i wyrzucają mi okrucieństwo. Ale wszelką próbę buntu wepchnę im z powrotem w gardła: ja wykuwam człowieka.

A przecież odgadywałem w nim dobroć!

— Chcę, żeby kochali żywe źródlane wody — ciągnął. -I jednolitą powierzchnię zielonego jęczmienia pokrywającą splekaną latem ziemię. Chcę, żeby wysławiali powroty pór roku. Chcę, żeby jak dojrzewające owoce żywili się powolnością i ciszą. Chcę, żeby długo opłakiwali tych, co odeszli, i długo czcili zmarłych, bo dziedzictwo z wolna przekazuje się z pokolenia na pokolenie i nie chcę, żeby trwonili po drodze należny im miód. Chcę, żeby byli jak gałązka oliwna. Taka, co czeka. A wtedy poczują w sobie to potężne kołysanie ręki Bożej, które nadchodzi jak podmuch uderzający w drzewo. Ono ich będzie prowadzić, a potem powiedzie od świtu aż do nocy, od lata do zimy, od zbóż kielkujących po zboża sprzątane do stodół, od młodości ku starości, a potem od starości ku nowym dzieciom.

Bo podobnie jak o drzewie, nic nie wiesz o człowieku, jeśli go podzielisz na momenty trwania i pokawałkujesz wedle tego, co go odróżnia. Drzewo to wcale nie nasienie, a potem łodyga, potem pień gibki, wreszcie suche drewno. Nie trzeba go dzielić, by poznać. Drzewo to ta potęga, co wolno zaślubia niebo. Podobnie i ty, mały człowieku. Bóg sprawia, że rodzisz się, rośniesz, że wypełniają cię kolejno pragnienia, żale, radości i cierpienia, wściekłość i przebaczenie — a potem bierze cię do siebie z powrotem. Nie jesteś jednakże ani uczniem, ani małżonkiem, ani dzieckiem, ani starcem. Jesteś tym, który szuka swojej pełni. A jeżeli będziesz umiał zobaczyć, że jesteś gałązką kołysaną wiatrem, ale mocno wszczepioną w drzewo oliwne, poruszany powiewem zakosztujesz wieczności. I wszystko dokoła ciebie stanie się wieczne. Wieczne będzie śpiewające źródło, co poilo twoich przodków, wieczny blask oczu, kiedy się będziesz uśmiechał do ukochanej, i wieczny chłód, i rzeźwość nocy. Czas nie jest wtedy klepsydrą przesypującą piasek, ale żniwiarzem, co wiąże snopy.



## II

Tak więc ze szczytu najwyższej wieży twierdzy ujrzałem, że nie trzeba żałować ani cierpienia, ani śmierci, która jest powrotem na łono Boga, ani nawet żałoby. Bo ten, co odszedł, jeśli czcimy jego pamięć, jest potężniejszy i bardziej obecny od żywych. I zrozumiałem lęk ludzi i użaliłem się nad nimi.

I postanowiłem ich uzdrowić.

Ulitowałem się tylko nad tym, który budzi się wśród ogromnej patriarchalnej nocy, przekonany, że jest bezpieczny pod Bożymi gwiazdami, i nagle czuje, że czeka go podróż.

Zabroniłem, aby go o cokolwiek pytano, bo wiem, że żadna odpowiedź nie przyniesie ulgi. Ten, co pyta bowiem, szuka przede wszystkim otchłani.

\* \* \*

Potępiam niepokój, który złodzieja popycha do przestępstwa, gdyż nauczyłem się czytać w tych ludziach i wiem, że nie ocalę ich, ocalając ich od nędzy. Albowiem mylą się, jeśli sądzą, że pożądamy złota, które należy do innych. Złoto lśni jak gwiazda. To miłość, która nie zna samej siebie, zwraca się ku światłu, które na zawsze pozostanie nieosiągalne. A oni wykradają niepotrzebne skarby, biegnąc od jednego lustrzanego odbicia do drugiego jak szaleniec, który chcąc schwycić przeglądający się księżyc, czerpałby czarną wodę ze studni. Więc rzucają w nagły ogień rozpasania ten nędzny proch, który wykradli. I znów, błdzi jak przed miłym spotkaniem, rozpoczynają swe nocne wigilie, znieruchomieli w obawie, by nie spłoszyć tego, co czeka i co być może kiedyś ich nasyci.

Jeśli wypuszczę na wolność takiego człowieka, dalej pozostanie wierny temu, co czci, a moja straż, łamiąc gałęzie, przyłapie go znów jutro w cudzym ogrodzie, z bijącym sercem, przekonanego, że tej nocy los okaże mu się łaskawy.

Wiem, ile w nich żaru, i rzeczywiście kocham ich bardziej niż cnotliwych, co siedzą w swoich straganach. Ale ja jestem budowniczym miast. Postanowiłem położyć podwaliny mojej twierdzy. Powstrzymałem idącą karawanę. Bo była tylko jak ziarna na łożu wiatru. Wiatr unosi, jak woń, nasiona cedru. Ja opieram się wiatrom i rzucam nasiona w ziemię, aby cedry rozrastały się na chwałę Boga.

Miłość musi znaleźć przedmiot miłości. Ocalę tylko tego, kto kocha rzecz prawdziwie istniejącą, tego, kogo można nasycić.

Dlatego także kobietę zamykam w małżeństwie i każę kamienować cudzołożną żonę. Doprawdy, rozumiem jej pragnienie i to, jak wielka jest ta obecność, której ona przyzywa. Potrafię czytać w niej, kiedy urzeczywistnia się cud wieczoru, a ona na tarasie, wsparta na łokciu, ze wszystkich stron zamknięta wezbranym morzem horyzontu, wydana jest, niby dłoniom kata, męce narastającej czułości.

Czuję, jak drży, wyrzucona niby pstrąg na piasku, czekająca, niby na przybór morza, na błękitny płaszcz rycerza. Swoje wołanie rzuca całej ogromnej nocy. Ktokolwiek się z niej wyłoni, ten ją wysłucha. Ale na próżno będzie przechodzić od jednego płaszcza do drugiego, bo nie ma człowieka, który by ją zaspokoił. Podobnie przybrzeżna ławica, pragnąc ochłody, woła nadmiaru morza, a morze bez końca wysyła swoje fale; jedna po drugiej przybiega i traci u brzegu siłę. Po cóż więc uprawomocniać zmianę małżonka: kto przede wszystkim kocha miłość nadchodzącą, nie pozna, czym jest spotkanie.

Tylko tę ocalę, która potrafi stawać się i budować swój ład wokół wewnętrznego podwórca, podobnie jak cedr rozwija się wokół swojego ziarna i we własnych granicach znajduje siłę wzrostu. Ocalam tę, która nie kocha przede wszystkim wiosny, ale kształt tego jednego kwiatu, w którym jest zawarta wiosna. Tę, która nie kocha przede wszystkim miłości, ale jedną jedyną twarz, którą przybrała miłość.

Dlatego też kobietę, którą wieczór rozprasza, chcę oczyścić i scalić z powrotem. Ustawiam dokoła niej, niby granice, ruszt z płonącym węglem, czajnik i tacę ze złocistej miedzi, ażeby poprzez te przedmioty odkrywała po trochu znajomą, wciąż poznawaną twarz i uśmiech, który tu tylko się pojawia. To będzie dla niej powolne objawianie się Boga. Wtedy dziecko zawoła, aby je nakarmić, wełna czesana upomni się o jej palce, żarzące węgle będą się domagać jej oddechu. Od tam będzie już schwyтана i gotowa służyć. Albowiem jestem tym, co kształtuje urnę, aby woń w niej pozostała na trwałe. Jestem pradawnym nawykiem, co nadaje pełnię owocom. Zmuszam kobietę, aby uformowała się i prawdziwie istniała po to, bym później w jej imieniu przekazał Bogu nie ciche westchnienia rzucane z wiatrem, ale jej własny płomień i jej czułość, jej niepowtarzalny ból. . .

Długo medytowałem nad tym, czym jest pokój. Dają go tylko dzieci narodzone i żniwa dokonane, i dom, w którym nareszcie zagościł ład. Daje go wieczność, w którą wracają rzeczy, gdy osiągną swoją pełnię. Pokój pełnych stodół i śpiących owiec, i złożonej bielizny, pokój tego, co — jeśli dobrze wykonane — staje się darem dla Boga.

Albowiem wydawało mi się, że człowiek jest taki właśnie jak twierdza. Kruszy mury, żeby zapewnić sobie wolność, ale wtedy staje się fortecą zburzoną i wydaną gwiazdom. Wtedy rodzi się lęk nieistnienia. Niech przyjmie jako swoją prawdę tę woń, jaką dają palone odrostki winorośli i czekająca postrzyżyn owca. Prawda

draży się w głębokości jak studnia. Kiedy spojrzenie się rozprasza, traci z oczu Boga. Więcej niż niewierna żona wsłuchująca się w obietnice nocy wie o Bogu ten mędrzec skupiony, który zna tylko wagę wełny.

Twierdzo, zbuduję cię w sercu człowieka.

\* \* \*

Bo jest czas wybierania pośród nasion, ale i czas, kiedy wybrawszy raz na zawsze, człowiek cieszy się wzrastaniem zbóż. Jest czas stwarzania, ale i czas istoty stworzonej. Jest czas na piorun szkarłatny, rozwierający upusty nieba, ale i czas, gdy wody wylane gromadzą się w cysternach. Jest czas podbojów, ale nadchodzi czas umacniania cesarstw: ja jestem sługą Boga i znam smak wieczności.

Nienawidzę tego, co się zmienia. Zduszę tego, który powstaje w nocy i wiatrom rzuca swoje prorocтва niby drzewo, zapłodnione grotem nieba, co trzaska, łamie się i od którego płonie cały las. Lękam się, kiedy Bóg porzuca swą nieruchomości. On — niewzruszony, niechże zasiądzie z powrotem w wieczności! Bo jest czas wielkich narodzin, ale i czas, czas błogosławiony, na to, co wyznacza obyczaj!

Trzeba nieść pokój, uprawiać go i wygładzać. Ja jestem ten, co zasklepia szczeliny spękanej ziemi i ukrywa przed ludźmi ślady wulkanów. Jestem trawą, co porasta na miejscu przepaści. Jestem piwnicą, która wyzłaca złożone w niej owoce. Jestem promem, który od Boga otrzymał w zastaw całe pokolenie i przewozi je z jednego brzegu na drugi. Bóg na koniec przejmie je znowu z moich rąk, takie, jakie mi przekazał, może dojrzalsze, mądrzejsze, piękniej zdobiące srebrne dzbany na wodę, ale nie odmienione. Zamknąłem mój lud w mej miłości.

Dlatego wspomagam tego, kto w siódmym pokoleniu podejmuje dawny trud ojców — wygięcie żeber łodzi albo wypukłość tarczy — aby samemu z kolei wieść ten kształt w doskonałość. Wspomagam tego, kto od przodka — śpiewaka przejął w dziedzictwo bezimienną pieśń i powtarzając ją z kolei, i myśląc się w powtarzaniu, wzbogaca ją o własny smak, barwę i piętno. Kocham kobietę ciężarną i tę, co karmi piersią, kocham stado, co się odnawia i trwa, kocham powracające pory roku. Bo jestem nade wszystko tym, co zamieszkuje. O cytadelo, moja siedzibo, ocalę cię przed zakusami lotnych piasków i przydam jako ozdobę trębaczy wokół twych murów, by ostrzegali przed nadejściem barbarzyńców!

### III

Albowiem odkryłem wielką prawdę. A mianowicie, że ludzie zamieszkują i że sens rzeczy zmienia się dla nich w zależności od tego, jaki sens ma dom. I że droga, pole jęczmienia i wypukłość wzgórza są czymś innym dla człowieka w zależności od tego, czy tworzą, czy też nie — jedną ojcowiznę. Bo oto rozproszona materia składa się nagle w całość, w coś, co jest bliskie sercu. A także nie w tym samym świecie mieszka ten, kto mieszka albo nie mieszka w królestwie Bożym. Jakże się mylą niewierni, ci, co się z nas śmieją i którym zdaje się, że dążą do bogactw namacalnych, których przecież nie ma. Bo jeśli pożądamy na własność stada, to już kieruje nimi pycha. A już i radości pychy nie są namacalne.

Podobnie ci, którzy dzielą moje ziemie, sądzą, że je poznają. Są tam — powiadają — owce i kozy, pola jęczmienia, domostwa i góry — i co więcej? I ubodzy są, bo nie posiadają nic więcej. I czują chłód. I odkryłem, że podobni są do człowieka, który kraje trupa. Pokazuję wszem wobec — powiada — czym jest życie: to tylko mieszanina kości, krwi, mięśni i wnętrzności. A tymczasem życie było owym światłem oczu, nieodczytywalnym już w popiele. A tymczasem moja ojcowizna to zupełnie co innego niż owce, pola, domostwa i góry; ale to, co nad nimi panuje i co je wiąże ze sobą. Ojczyzna mojej miłości. I szczęśliwi ci, którzy to wiedzą, gdyż zamieszkują w moim domu.

A obrzędy są w czasie tym, czym w przestrzeni domostwo. Bo dobrze, jeśli nie mamy wrażenia, że płynący czas pożera nas i rozmiata jak garść piasku, ale że nadaje nam pełnię. Dobrze, jeśli czas ma swą wewnętrzną strukturę. Tak i ludzie wtedy przechodzą od święta do święta i od jednej rocznicy do drugiej, jak dzieckiem przechodziłem z sali obrad do sali przeznaczonej na odpoczynek w głębi pałacu mojego ojca, gdzie każdy krok miał swój wewnętrzny sens.

Narzuciłem więc prawo, które jest niby mury i kształt mojego domostwa. Nierozumny przyszedł i powiedział mi: „Wyzwól nas od narzuconego nam przymusu, a staniemy się więksi”. Ale ja wiedziałem, że wtedy utracą najpierw świadomość własnego oblicza, a nie kochając go już — świadomość samych siebie i — wbrew nim — postanowiłem, że ubogacę ich własną ich miłością. Ponieważ oni, chcąc się przechadzać swobodnie, proponowali mi zburzenie murów ojcowskiego pałacu, gdzie każdy krok miał swój sens.

Była to rozległa siedziba ze skrzydłem zastrzeżonym dla kobiet i z ogrodem, zakrytym dla oczu, gdzie śpiewała fontanna. Nakazuję też, aby każdy dom miał takie serce bijące, tak aby można było zbliżać się lub oddalać od jakiegoś punktu, aby można było wychodzić i wracać. W przeciwnym razie człowiek jest nigdzie. A nie na tym polega wolność, aby nie być wcale. Były tam także stodoły i stajnie. Zdarzało się, że stodoły były puste, a stajnie — nie zajęte. Ale mój ojciec nie zezwalał, aby używać ich niezgodnie z przeznaczeniem. Stodoła, powiadał, jest przede wszystkim stodołą i nie zamieszkujesz wcale domu, jeśli nie wiesz, gdzie się sam znajdujesz. To nieważne, dodawał, czy użytkowanie jest mniej lub bardziej owocne. Człowiek nie jest tucznym bydłem i miłość jest dla niego ważniejsza niż pożytek. Nie może kochać domu, który nie ma swego oblicza i gdzie kroki nie znajdują swojego kierunku i sensu.

Była sala przeznaczona wyłącznie do przyjmowania znakomitych poselstw, którą otwierano tylko w te dni, kiedy wzbijał się kurz spod kopyt rycerzy, a na horyzoncie pojawiały się ogromne proporce, w których wiatr falował jak na powierzchni morza. Stała pusta, kiedy przyjeżdżali książęta o pomniejszym znaczeniu. Była sala, gdzie wydawano wyroki sądowe, a także inna, do której wnoszono umarłych. I była także pusta izba, której przeznaczenia nie znał nikt — a może nie miała go w ogóle, może była tylko nauką tajemnicy i tego, że nigdy nie przenikniemy wszystkiego bez reszty.

A niewolnicy, którzy obładowani przebiegali korytarzami, przynosili zwoje tkanin do ozdoby ścian, kołyszące się na ich ramionach. Wspinali się po schodach, otwierali jakieś drzwi, znów schodzili po stopniach w dół i im byli bliżej serca domu — owej fontanny — tym bardziej milkli; u granic zaś królestwa kobiet, których nieuważne przestąpienie mogłoby kosztować ich życie, stawali się wręcz niespokojni. A kobiety, w zależności od tego, jakie miejsce zajmowały w domu, były spokojne, zuchwałe albo dyskretne.

Słyszę, jak mówi głupi: „Ile miejsca roztrwonionego, ile nie wyzyskanych bogactw, ile wygody utraconej przez niedbalstwo! Trzeba zburzyć te zbędne mury, zrównać poziom, usunąć owe schodki utrudniające poruszanie się. Człowiek stanie się wówczas wolny”. A ja odpowiadam na to: „Wówczas ludzie staną się bydłem przeganianym po miejscach publicznych, a lękając się nudów, wymyślą głupie gry, też rządzące się regułami, ale będą to reguły pozbawione wielkości. Tymczasem taki pałac sprzyja powstawaniu poezji. Ale jakie poematy pisać o płaskiej głupocie rzuconych kości do gry? Długo może jeszcze ludzie będą żyć w cieniu owych murów, a poezja będzie mówić o tęsknocie za nimi, a potem nawet cień się rozwieje i ludzie przestaną rozumieć poezję”.

I w czym odtąd będą szukać radości?

Tak jest z człowiekiem zagubionym w tygodniu, który nie składa się z określonych dni, w roku pozbawionym świąt i własnego oblicza. Tak z człowiekiem pozbawionym poczucia hierarchii, który zazdrości sąsiadowi, jeśli ten przewyższa

go czymkolwiek, i stara się go sprowadzić do własnych wymiarów. Jakiej radości dostarczy im potem ta płaska kałuża, nad którą razem będą żyli?

Ja odtwarzam pola napięć i energii. Buduję tamy w górach, aby zatrzymać wody. Przeciwstawiam się im, jakby niesprawiedliwy w stosunku do naturalnych pochyłości. Ustanawiam z powrotem hierarchie tam, gdzie ludzie połączyli się jak wody, gdy pomieszane stają się płaskim rozlewiskiem. Przerzucam łuki mostów. Z dzisiejszej niesprawiedliwości tworzę jutrzejszą sprawiedliwość. Ustanawiam na powrót kierunki tam, gdzie każdy tkwi na jednym miejscu i szczęściem nazywa ten bezwład. Gardzę stojącymi wodami ich sprawiedliwości i wyzwalam tego, co ustanowił piękną niesprawiedliwość. Tak nadaję godność mojemu królestwu.

Gdyż znam rozumowanie ludzi. Podziwiali człowieka, którego ukształtował mój ojciec. „Któż by się śmiał natrzasać — mówili — z tak doskonałych osiągnięć?” Po czym, w imię człowieka, którego przymus ukształtował, odrzucili ów przymus. Póki trwał jeszcze w sercach ludzkich, póty jeszcze działał. Potem powoli o nim zapomniano. A ten, którego chciano w ten sposób ocalić, zmarł.

Dlatego nienawidzę ironii, która nie ludzką jest rzeczą, ale właściwa jest łobuzom. Bo to łobuz powiada: „Gdzie indziej ludzie mają inne obyczaje. Czemuż by naszych nie zmienić?” Albo też: „Któż to wam każe zboże sprzątać do stodoły, a bydło trzymać w oborze?” Ale on sam pada ofiarą słów, bo nie rozumie tego, czego słowa nie są w stanie wyrazić. Nie rozumie, że ludzie zamieszkują własny dom.

A ci, co padają jego ofiarą, też nie potrafią już rozpoznać, czym jest dom, i zaczynają go rozbierać. W ten sposób ludzie trwonią swoje najcenniejsze dobro: sens, jaki mają rzeczy. A w dni świąteczne pyszną się tym, że nie ulegają obyczajom, że zdradzają tradycje i że święcą chwałę nieprzyjaciela. To prawda, że dopuszczając się tego świętokradztwa czują jeszcze jakiś wewnętrzny niepokój. Póki jest to jeszcze świętokradztwo. Póki opierają się czemuś, co jeszcze nad nimi ciąży. Żyją dzięki temu, że ich wróg jeszcze oddycha. Jeszcze na tyle zawadza im ów cień prawa, że czują swój opór wobec prawa. Ale niebawem znika nawet ów cień. Wtedy nie czują już nic, bo zapomnieli nawet smaku zwycięstwa. Ziewają. Zamienili pałac na plac publiczny, ale kiedy przejadła się im przyjemność deptania go z samochwalczą butą, przestają wiedzieć, co robią na tym targowisku. I oto zaczynają snuć niejasne marzenia o tym, aby zbudować dom o tysiącu drzwi, o gobelinach ciężących ramionom, o sieniach, gdzie rozbrzmiewa powolny krok. Zaczynają marzyć o tajemnej komnacie, dzięki której tajemnicze stałoby się całe domostwo. I nie wiedząc o tym, zapomniawszy, oplakują pałac mojego ojca, gdzie każdy krok miał swój sens i znaczenie.

I dlatego, pojawiając się to wszystko, przeciwstawiam swoją niezłomną wolę owemu kruszeniu się rzeczy i nie słucham tych, którzy mi mówią o naturalnej pochyłości. Bo aż nadto dobrze wiem, że naturalne pochyłości zasilają płaskie rozlewiska wodą z topniejących lodowców, ścierają ostre wierzchołki gór i powstrzymują

rzeczny nurt, kiedy rzuca się w morze i staje się tysiącem sprzecznych prądów. Bo aż nadto dobrze wiem, że naturalne pochyłości rodzą podział władzy i zrównanie ludzi. Ale ja rządę i wybieram. Wiedząc, że i cedr odnosi zwycięstwo nad cza-  
sem, który powinien by go zamienić w proch, i wbrew tej sile, co ciągnie w dół,  
rok po roku, wznosi dumną świątynię listowia. Tak i ja wbrew interesom rozlewisk  
wznoszę strome lodowce. To nic, jeśli żaby skrzeczą, że to niesprawiedliwość.  
Z powrotem dają broń w ręce człowieka, aby się stał sobą.

I dlatego też nie dbam o głupiego gadułę, który palmie wyrzuca, że nie jest  
cedrem, cedrowi, że nie jest palmą, i mieszając zawartość ksiąg zdąża do cha-  
osu. Dobrze wiem, że gaduła ma rację wedle swej absurdalnej wiedzy, gdyż cedr  
i palma, gdyby nie żyły, złączyłyby się w jedno i rozsypały w proch. Ale życie  
przeciwstawia się nieładowi i naturalnym pochyłościom. I z prochu podnosi ku  
górze cedr.

Z prawdy moich nakazów narodzi się człowiek. Więc nie szukam bynajmniej  
znaczenia w samych obyczajach, prawach i języku mojego cesarstwa. Wiem aż  
nadto dobrze, że gromadząc razem kamienie tworzy się ciszę. Ciszę, której z ka-  
mieni nie dawało się odczytać. Wiem aż nadto dobrze, że miłość ożywia się po-  
przez ciężary i skrępowania. Że nie wie nic ten, kto poćwiartował trupa i zważył  
jego kości i wnętrzności. Bo kości i wnętrzności same w sobie na nic się zdadzą,  
podobnie jak atrament i papier, które się składają na książkę. Liczy się tylko mą-  
drość, którą książka przynosi, ale ona w swej istocie jest czymś całkiem innym.

Odmawiam na ten temat dyskusji, bo nie ma tu nic, co mogłoby być dowie-  
dzione. Ocalę od zgnilizny język mojego ludu. Przypominam sobie tego niedo-  
wiarka, który odwiedził mojego ojca:

— Nakazujesz, aby twoi ludzie modlili się na różańcach o trzynastu paciorkach.  
Jakie znaczenie ma trzynaście paciorków — pytał — czy jeśli zmienisz ich  
liczbę, nie ten sam będzie zbawienny pożytek?

Po czym wysuwał subtelne argumenty za różańcem o dwunastu paciorkach.  
Ja, będąc dzieckiem wrażliwym na zręczność argumentacji, obserwowałem oj-  
ca, zastanawiając się, czy jego odpowiedź będzie równie błyskotliwa; albowiem  
błyskotliwe były przytaczane przez przybysza argumenty.

— Powiedz mi — upierał się tamten — czy różaniec o trzynastu paciorkach  
ma większą wagę...

— Różaniec o trzynastu ziarnkach — odparł ojciec — waży tyle, ile wszystkie  
głowy, które w jego imię już kazałem ściąć...

Wtedy Bóg oświecił niedowiarka i ten nawrócił się.

## IV

Siedzibo ludzka, kto cię zbuduje na sile rozumu? Kto cię zdoła postawić zgodnie z logiką? Istniejesz i nie istniejesz zarazem. Jesteś uczyniona z przeróżnych materiałów, ale żeby cię odkryć, trzeba cię stworzyć wyobraźnią. Podobnie jak ten, kto zburzył własny dom, sądząc, że go zna, ma przed sobą tylko kupę kamieni, cegieł i dachówek, ale nie znajduje ani cienia, ani ciszy, ani schronienia, którym one służyły, i nie wie, na co mógłby się zdać ten stos cegieł, kamieni i dachówek, bo brakuje im inwencji, która by nad nimi panowała, duszy i serca architekta. Bo kamieniowi brakuje duszy i serca ludzkiego.

Ale skoro nie ma tu rozumu, tylko cegła, kamień i dachówka, skoro dusza i serce wymykają się prawom logiki i prawom liczb, pojawiają się ja i moja wolna wola. Ja — architekt. Ja — posiadający duszę i serce. Ja jeden posiadam moc, aby kamień przemienić w ciszę. Przychodzę miesić tę glinę, którą jest materia, zgodnie z obrazem stwarzania pochodzącym od samego Boga i dalekim od wszelkiej logiki. Buduję moją kulturę, wiedziony tylko smakiem, jaki w niej czuję, podobnie jak inni budują wiersze, zmieniając jedno słowo na inne, i nikt im nie każe usprawiedliwiać się, dlaczego taki tok dali wierszowi i takie słowo zmienili, bo wiedzie ich ten smak, który wiersz będzie miał i który znają zawczasu.

Albowiem jestem przywódcą. Układam prawa i stanowię święta, i nakazuję ofiary, i z owiec, kóz i ludzkich domostw składam kulturę, podobną do pałacu mego ojca, gdzie każdy krok ma sens i kierunek.

Bo cóż by beze mnie zrobili z tej kupy kamieni, przekładanych z lewa na prawo — chyba inną kupę kamieni, jeszcze bardziej beładną. Ja rządę i wybieram. I rządę sam. I ludzie mogą modlić się w ciszy i w cieniu, który zawdzięczają ułożonym przeze mnie kamieniom. Ułożonym wedle obrazu mojego serca.

Jestem przywódcą. Jestem władcą. Jestem odpowiedzialny. A ich wzywam, aby mi pomagali. Gdyż rozumiem, że przywódca to nie ten, co ocala innych, ale ten, który ich wzywa, aby jego ocalili. Bo to dzięki mnie, dzięki obrazowi, jaki w sobie noszę, powstaje jedność, którą wyprowadziłem, sam jeden, z moich owiec i kóz, z domostw i gór; i oto oni zakochani w nich, tak jak byliby zakochani w młodej bogini, otwierającej w słońcu swoje ramiona, a której w pierwszej chwili by nie poznali. Oto kochają dom, który moja wyobraźnia stworzyła



zgodnie z moim pragnieniem. A poprzez dom kochają i mnie, architekta. Tak jak ten, kto kocha posąg, nie kocha gliny ani cegły, ni brązu tylko zamysł rzeźbiarza. Ludziom z mojego plemienia daję przywiązanie do domu, ażeby umieli go rozpoznać wśród innych. A rozpoznają go dopiero pod warunkiem, że go żywili własną krwią. I przystroili własnym poświęceniem. Dom będzie od nich wymagał nawet krwi i ciała, bo będzie ich własnym sensem. Nie będą wówczas mogli nie rozpoznać tej boskiej struktury, która będzie niby znajoma twarz. I wtedy obudzi się w nich miłość do niego. I pełne żaru będą ich wieczory. I ojcowie będą się starali ukazać go swoim synom, skoro tylko otworzą się dziecięce oczy i uszy, aby nie zatonał w różnorodności wszelkich rzeczy.

Potrafiłem zbudować domostwo tak ogromne, aby nawet gwiazdom nadać sens, toteż jeśli ludzie wyjdą nocą na próg i podniosą głowy, będą chwalić Boga, że tak dobrze prowadzi te niebieskie statki. A jeśli zbuduję dom trwały, aby mógł zawrzeć w sobie trwanie życia, ludzie iść będą od święta do święta jak z jednej sieni w drugą, wiedząc, dokąd idą, i w różnorodności życia odkrywając twarz Boga.

Zbudowałem cię więc, twierdzo, jak buduje się statek. Dałem maszty i wszelki osprzęt potrzebny i puściłem na fale czasu, to jest na wiatr sprzyjający.

Ludzki statku, bez którego nie dopłynęlibyśmy do wieczności!

Ale znam także niebezpieczeństwa wiszące nad moim statkiem. Z zewnątrz naciera wciąż na niego ciemne morze. I znam inne oblicza tego, co możliwe. Bo to zawsze możliwe: zburzyć świątynię, a kamienie zabrać na budowę innej świątyni. A ta inna nie jest ani prawdziwsza, ani bardziej fałszywa, ani sprawiedliwsza, ani bardziej niesprawiedliwa. I nikt nie będzie nawet wiedział, do jakiej katastrofy doszło, bo w kupę zwalonych kamieni nie jest wpisana wartość ciszy.

Dlatego pragnę, aby robotnicy mocno wiązali główne wiązania statku. Aby trwały z pokolenia na pokolenie: bo nie uczynię świątyni piękną, jeśli wciąż będę ją budował od nowa.

## V

Dlatego pragnę, by ludzie mocno wiązali główne wiązania statku. To ludzka konstrukcja. A dookoła statku przecież natura ślepa, nie ujęta w reguły i potężna. A kto zapomina o potędze morza, temu grozi, że wypoczywać zechce za długo.

Wydaje mu się, że domostwo, które zostało dane, jest czymś niepodważalnym. Skoro to, co oczywiste, zostało już wykazane. Mieszkając na statku, nie widzi się już groźnego morza. A jeśli się je nawet dostrzega, to tylko jako tego statku ozdobę. Taka jest właściwość umysłu. Morze wydaje się po to stworzone, aby niosło statek.

Ale to złuda. Rzeźbiarz ukazał patrzącym jedno kamienne oblicze. Ale drugi może mógłby ukazać inne. Widziałeś także konstelacje: to jest Łabędź. Ale ktoś inny mógłby ci pokazać, że to leżąca kobieta. Za późno. Nie odejdziemy już od tego łabędzia. Zmyślony łabędź pochwycił nas.

Aż uwierzywszy nierozumnemu, że jesteście w błędzie, nie będziemy już bronić naszej wiary. Ja jednak wiem, czym zagraża człowiek nierozumny. A także ten, co ma zręczność żonglera i z łatwością modeluje swymi palcami różne twarze. Ci, którzy patrzą na tę zabawę, gubią sens, jaki ma ich ojcowizna. Dlatego ja rozkazuję chwycić go i rozerwać koźmi. Nie dlatego, oczywiście, że moi sędziowie dowiedli, iż jest w błędzie. Bo nie jest w błędzie. Ale nie ma także racji, i dlatego nie pozwalam mu uważać się za mądrzejszego i sprawiedliwszego od moich sędziów. I jest w błędzie, jeśli sądzi, że ma rację. Bo on także proponuje jako bezwzględnie prawdziwe te świetne, bogate, zrodzone w jego rękach kształty, którym brakuje jednak wagi, czasu i z dawien dawna idącej ciągłości, jaką mają religie. Proponowana przez niego struktura jeszcze nie zaistniała. Moja już istnieje. Oto dlaczego potępiam żonglera i ocalam przez to mój lud przed zgnilizną.

Bo ten, co nieostrożny, nie pamięta już, że mieszka na statku, z góry jest niejako skazany na zniszczenie i niebawem zobaczy, jak podnosi się morze, którego fale zaleją jego głupie igraszki.

Taki obraz mojego cesarstwa pokazano mi kiedyś, kiedy byliśmy na pełnym morzu, ja i niektórzy z mojego ludu, a była to pielgrzymka.

\* \* \*

Byliśmy więc zamknięci na pokładzie pełnomorskiego statku. Czasem milcząc spacerowałem wśród moich ludzi. Stali się mieszkańcami statku: jedni przykucnąwszy otaczali naczynia z jadłem, inni karmili dzieci albo pogrążeni w modlitwie przesuwali paciorki różańca. Statek stał się ich domostwem.

Ale pewnej nocy żywioty podniosły bunt. Przyszedłem odwiedzić ich i ogarnąć ciszą mojej miłości i zobaczyłem, że nic się wśród nich nie zmieniło. Cyzelowali pierścienie, przędli wełnę albo rozmawiali cicho, tkając nieznużenie więź ludzkiej wspólnoty, tę sieć sprawiającą, że jeśli jeden z nich umrze, wszystkim coś zostaje wyrwane. A ja w ciszy mojej miłości słuchałem, jak mówią, ale nie przykładając większej uwagi do tego, o czym mówią; były to opowieści o chorobach czy jakieś historie czajników; jednakże nie w temacie zawierał się sens opowieści, ale w sposobie mówienia. Oto jeden, uśmiechając się z powagą, czyni z siebie samego dar innym. . . A drugi nudzi się, nie wiedząc, czy to z lęku, czy z braku Boga. I tak patrzyłem na nich w ciszy mojej miłości.

A tymczasem ciężkie ramię morza, o którym nic nie wiedzieli, unosiło ich ruchem powolnym a straszliwym. Zdarzało się, że na szczycie wznoszącej się fali wszystko chwiało się jakby objęte niebytem. Cały statek drżał wtedy, jakby już pękały jego wiązania, jakby już rozsypywał się w kawałki, a oni, w tych momentach nierzeczywistych, przestawali się modlić, rozmawiać, karmić dzieci i zdobić srebrne naczynia. Ale za każdym razem jakiś trzask twardy niby grom przeszywał drewniany kadłub na wskroś. Statek zdawał się zapadać w siebie ciężko, jakby za chwilę miały się rozpęknąć jego burty, a ten wstrząs powalał ludzi na ziemię i wyrzucał z ich ust wymioty.

I cisnęli się jedni do drugich, niby w trzeszczącej szopie, pod mdlącym kołysaniem oliwnych lamp.

Lękając się, że niepokój ogarnie ich bez reszty, kazałem ogłosić:

— Niech ci, co pracują w srebrze, wykonają dla mnie dzbanek na wodę. Ci, co przyrządzają posiłek, niech się przyłożą do roboty. Niech zdrowi zatroszczą się o chorych. Niech ci, co się modlą, głębiej się pogrążą w modlitwie. . .

A temu, co błądy, oparty o jakąś belkę, nasłuchiwał przez szpary uszczelnione pakułami niespokojnej pieśni morza, powiedziałem:

— Idź pod pokład i policz martwe barany. Bo bywa, że tłocząc się w strachu duszą się nawzajem. . .

A on mi odparł:

— Bóg położył na morzu swoją ciężką dłoń. Jesteśmy zgubieni. Słyszę, jak trzeszczą wiązania okrętu. . . Nie widzimy ich, bo są to liny stalowe i okucia. Podobnie trzeszczą fundamenty globu ziemskiego, któremu zawierzyliśmy nasze domy i sady oliwne, i miękkie wełniste owce, wieczorem skubiące powoli świeżą trawę. Dobrze jest zajmować się we własnym domu oliwkami, owocami,

codziennym posiłkiem i miłością. Ale niedobrze, jeśli niepokój płynie z tego, co nas otacza. Kiedy to, co zostało zrobione, staje się robotą do wykonania. Tak i tu odzywa się to, co powinno milczeć. Co stanie się z nami, jeśli góry zaczynają pomrukiwać? Słyszałem już kiedyś taki pomruk i nie potrafię go zapamiętać...

— Jaki to pomruk? — spytałem.

— Mieszkałem kiedyś, panie, w wiosce zbudowanej na spokojnym grzbiecie wzgórza, wrosniętej w ziemię i w niebo, wiosce przeznaczonej do trwania i która rzeczywiście trwała. Na cembrowinach studni, na kamiennych progach, na kolistym obmurowaniu źródeł leżał ten cudowny blask, który rodzi się z wiekowego użycia. Ale pewnej nocy coś się zbudziło w podziemnych fundamentach tej krainy. Zrozumieliśmy, że ziemia pod naszymi stopami ożyła nagle i zaczęła się poruszać. To, co było wykonane, stawało się z powrotem robotą do wykonania. Przelekleliśmy się. Przelekleliśmy się nie tyle o nas samych, co o przedmiot naszych starań. O to, w co zamieniało się nasze życie z biegiem lat. Ja byłem złotnikiem i zląkłem się o moją dużą karafkę na wodę, nad którą pracowałem od dwóch lat. W którą przemieniły się dwa lata mojego czuwania. Kto inny drżał o swoje dywany ze szlachetnej wełny, które tkał z radością i co dzień rozwijał na słońcu. Był dumny, że zamienił odrobinę swego ciała — swych zrogowaciałych palców — na to głębokie falowanie wełnianej powierzchni. Jeszcze inny zląkł się o posadzone przez siebie oliwki. I wiem, że żaden z nas nie lękał się śmierci, ale wszyscyśmy drżeli o te małe głupie przedmioty. Odkryliśmy, że życie tylko wtedy ma sens, kiedy się je przemienia po trochu w coś, co jest poza nami. Śmierć ogrodnika w niczym nie zagraża drzewu. Ale jeśli drzewo będzie zagrożone, ogrodnik umiera dwukrotnie. Był pomiędzy nami stary bajarz, który znał najpiękniejsze opowieści naszej pustyni. I sam je jeszcze upiększał. A znał je tylko on jeden, bo nie miał syna. I kiedy ziemia zaczęła się obsuwać, drżał o te biedne opowieści, których nikt już więcej nie wyśpiewa. A tymczasem ziemia wciąż zdawała się jak żywa albo jak ugniatana niewidzialną dłonią i zaczynała spływać w dół wielką rudawą falą błota. Jak myślisz: czy można przemienić siebie w coś, co by upiększało to sunące błoto, które przewala się powoli i wszystko pochłania? Co można zbudować na tym, co samo się porusza?

Pod tym naporem domy chwiały się powoli, a skręcone niedostrzegalną siłą belki trzaskały nagle jak baryłki czarnego prochu. Albo ściany zaczynały drżeć, aż rozsypywały się nagle. A ci spośród nas, którzy zostali przy życiu, utracili sens istnienia. Tylko bajarz śpiewał dalej postradawszy zmysły.

A ty gdzie nas wiesz? Ten statek pójdzie na dno razem z dziełem naszych rąk. Tu, na pokładzie, czuję, jak czas upływa nadaremno. Nie powinien upływać w sposób tak wyczuwalny, ale twardeń, dojrzewać i zbierać latami. Powinien gromadzić po trochu dzieła ludzkich rąk. A teraz czy może utrwalić się w nim coś, co byłoby z nas i co by przetrwało?

## VI

I przyznałem rację mojemu ludowi, myśląc o tej przemianie, niemożliwej już, kiedy nic stałego nie trwa poprzez pokolenia, i o czasie, który upływa wówczas nadaremnie, jak w klepsydrze.

I myślałem także: to domostwo nie jest jeszcze dość obszerne, a dzieło, w które ten lud się przemienia, nie jest jeszcze dość trwałe. I myślałem o faraonach, którzy kazali sobie budować wielkie niezniszczalne mauzolea o ostrych krawędziach, płynące przez ocean czasu, a on je ściera powoli i zamienia w pył. Myślałem o rozległych, nie tkniętych szlakiem karawan piaskach, z których czasem wyłania się dawna świątynia, zanurzona już w nich do połowy, jakby niewidzialna błękitna burza strzaskała jej maszty, a ona płynie jeszcze, chociaż skazana na zagładę. Myślałem też: nie dość trwałe jest jeszcze ta świątynia, ładowna złoceniami i klejnotami, które kosztowały długie ludzkie żywoty, jak miód składany przez tyle pokoleń: filigranowe wyroby ze złota, złociste insygnia władzy kapłańskiej, w które przemieniało się życie starych rzemieślników, i te obrusy haftowane, nad którymi staruszki po kres życia traciły oczy, aż poczerniały, kaszlące, zduszone już dłonią śmierci, odchodziły zostawiając za sobą ów królewski tren. Kwietną łąkę. A ci, co je oglądają dziś, powiadają: „Ach, jakież to piękny haft! Jaki piękny. . .” I zrozumiałem, że staruszki wplotły siebie w ten jedwab i przemieniły go. Nie wiedząc, że są czarodziejkami. . .

Trzeba więc zbudować wielkie skrzynie, żeby pomieścić w nich to, co zostało z owych haftów. I jakiś pojazd, który by je przewiózł. Bo ja szanuję przede wszystkim to, co trwa, bardziej niż ludzi. I ocalam w ten sposób ich przemienione życie. Wznoszę wielkie tabernakulum, w które oni składają wszystko, czym są.

Jeszcze odnajduję czasem te statki sunące wolno przez pustynię. Jeszcze nie ustają w swojej podróży. I pojąłem, co najważniejsze: a mianowicie, że trzeba najpierw zbudować statek i okulbaczyć karawanę, i zbudować świątynię trwającą dłużej od człowieka. Odtąd ludzie będą się radośnie przemieniać w to, co cenniejsze od nich samych. Wtedy rodzą się malarze, rzeźbiarze, rytownicy i złotnicy. Ale nie oczekuj niczego od człowieka, jeśli pracuje tylko na swoje życie, a nie dla wieczności. Bo wtedy niepotrzebnie bym ich uczył architektury i jej zasad. Jeśli budują domy po to, żeby w nich żyć, po cóż by mieli przemieniać swoje życie

w domy? Skoro ten dom ma służyć ich życiu i niczemu więcej? A oni mówią, że ich dom jest użyteczny i nie traktują go jako wartości samej w sobie, widząc tylko jego użyteczność. I dom im służy, a oni zajmują się tym, żeby się wzbogacić. Ale umierają w nędzy, bo nie zostawiają po sobie ani haftowanego obrusa, ani złocistej szaty kapłańskiej ukrytej w kamiennym statku. Byli powołani do tego, żeby swoje życie w coś przemienić, a chcieli być tylko obsłużeni. Więc kiedy odchodzą, nie zostaje po nich nic.

\* \* \*

I tak chodząc pomiędzy ludźmi mojego plemienia, zamieszkującymi deltę rzeki, wieczorem, kiedy wszystko wydaje się przemienione, patrzyłem na nich, jak w starej wystrzępionej odzieży zaprzestawszy swojej pszczelej pracowitości siedzieli na progach nędznych lepianek; bardziej zajmująca od nich samych była doskonałość tego plastra miodu, przy którym przez cały dzień się trudzili. Rozmyślałem zwłaszcza na widok jednego, który był ślepy, a do tego utracił jedną nogę. Tak stary, że stał już u progu śmierci, i zdawało się, że skrzypi przy każdym poruszeniu jak stary wiatrak; odpowiadał na moje słowa powoli, bo był posunięty w latach i tracił już jasność mowy; ale stawał się coraz bardziej świetlisty i jasny, i coraz lepiej rozumiał, w co przemienia się jego życie. Drżącymi dłońmi pracował nadal nad ażurowymi cackami, które były jak coraz subtelniejszy eliksir. On zaś, odchodząc w tak cudowny sposób od swego starego wyschłego ciała, stawał się coraz szczęśliwszy, coraz bardziej niedotykalny. Coraz bardziej niezłomny. I umierał, nie wiedząc o tym, z rękoma pełnymi gwiazd. . .

Tak więc ci ludzie całe życie pracowali dla jakiegoś beзуżytecznego ubogacania przedmiotów, przemieniając się bez reszty w niezniszczalny haft. . . Przeznaczając tylko część swojej pracy na to, co użyteczne, a całą resztę — na cyzelowanie, na zbędną świetność metalu, na doskonałość rysunku, miękkość wygięcia, które nie służy niczemu poza tym, że w nim zawiera się przemienione życie i dając w wyniku coś trwalszego od ciała.

Wieczorem więc przechadzam się powoli pomiędzy moim plemieniem i obejmuję je ciszą swojej miłości. Niespokojny jestem tylko o tego, co płonie bezpłodnym blaskiem, o poetę pełnego ukochania wierszy, ale nie piszącego własnych, o kobietę zakochaną w miłości, ale która nie umiając dokonać wyboru nie może stać się sobą, o tych wszystkich, w których jest lęk; i wiem, że uleczyłbym ich z tego lęku, gdybym im udzielił daru, który wymaga ofiary dokonania wyboru i zapomnienia o całym świecie. Bo jeden określony kwiat jest przede wszystkim odmową wobec wszystkich innych kwiatów. A przecież tylko pod tym warunkiem staje się piękny. Podobnie jest z przedmiotem, w który przemienia się życie. I głupi, kto tej staruszce będzie wyrzucać, że haftuje, pod pretekstem, że mogłaby

utkać co innego — bo taki człowiek wyżej stawia nicość nad tworzenie. Toteż chodząc czuję, jak ponad dymy ludzkiego obozowiska wznosi się modlitwa, jak wszystko tu dojrzewa i tworzy się w ciszy, powoli, niemal nieświadomie. Gdyż owoc, haft czy kwiat, aby stać się sobą, muszą być najpierw zanurzone w czasie.

W ciągu tych długich spacerów pojąłem w pełni, że wartość kultury w moim królestwie nie opiera się wcale na wartości pożywienia, ale na wymaganiach i zapale do pracy. Nie opiera się na posiadaniu, ale na dawaniu. Cywilizowany jest przede wszystkim ten rzemieślnik, o którym mówię, a który stwarza się na nowo w wykonywanym przedmiocie, i w zamian za to staje się sam wieczny i nie lęka się śmierci. Cywilizowany także ten, co walczy i siebie przemienia w królestwo. Ubogi zaś ten, kto okrywa się świętą szatą kupioną u handlarzy i jeśli nawet pasie oczy doskonałością barw, sam nic nie stworzył. Znam takie plemiona zdegenerowane, które nie piszą już wierszy, tylko je czytają, nie uprawiają ziemi, ale odwołują się przede wszystkim do pracy niewolników. W piaskach południa, wśród płodnej nędzy rodzą się wiecznie inne plemiona — żywe — które wyruszą na podbój tamtych martwych bogactw. Nie lubię tych, co mają serca osiadłych. Ci, co w nic się nie przemieniają, nie stają się sobą. Życie nie da im dojrzałości. A czas przepływa dla nich jak piasek przez palce i niesie zgubę. I cóż mogę w ich imieniu dać Bogu?

Poznałem ich nędzę w tych chwilach, kiedy naczynie pęka, nim zostało dopełnione. Bo śmierć starca, który cały przemienił się i stał się ziemią, jest tylko cudem: to tak jakby składano w ziemię niepotrzebne już narzędzie. Wśród moich ludzi widziałem także dzieci zagrożone śmiercią, dyszące bez słowa, z półprzykniętymi oczami, w których pod osłoną ogromnych rzęs kryła się resztką żaru. Bo zdarza się, że Bóg, podobny do żniwiarza, ścina kwiaty wmieszane w jęczmień. A przyniósłszy snop bogaty w ziarno znajduje w nim także ten nadmiar daremny.

\* \* \*

Ludzie mówili, że umiera dziecko Ibrahima. Poszedłem więc, nie rozpoznany przez nikogo, powoli do domu Ibrahima, wiedząc, że ten, kto zamyka się w milczącej miłości, poprzez złudzenia ludzkiej mowy, zaczyna rozumieć. A oni tak byli zajęci wsłuchiwaniami się w to, jak dziecko umiera, że nie zwrócili na mnie uwagi.

W domu mówiono cicho i stąpano ledwo suwając papuciami, jakby był tu ktoś bardzo wylękniony, kogo by mógł spłoszyć każdy głośniejszy dźwięk. Ludzie nie śmieli poruszać się, otwierać czy zamykać drzwi, jakby chroniąc drżący płomyk zapalony w lampce oliwnej. Kiedy zobaczyłem dziecko, wiedziałem od razu, że odchodzi, bo oddech miało krótki, piąstki zaciśnięte, jakby czepiało się kurczowo

galopującej w nim gorączki, i oczy uparcie zamknięte, które nie chciały patrzeć. I dojrzałem ludzi dokoła, jak próbowali je oswoić, tak jak oswaja się małe dzikich zwierząt. Drżącą ręką podsuwano mu czarękę z mlekiem. Może zapagnie mleka i powstrzyma je ten miły zapach i zacznie pić. Wtedy da się nawiązać z nim kontakt jak z gazelą, która skubie trawę z ręki. Ale ono było wciąż poważne i niewzruszone. Nie mleka potrzebowało. Wtedy staruszki cicho, cichutko, tak jak wabi się synogarlice, zaczęły mu nucić jego ulubioną piosenkę — tę o dziewięciu gwiazdach, co się kapały w źródle — ale ono widocznie było już za daleko i nie słyszało. Uciekało i nie zamierzało zawrócić z drogi. Takie było niepoczcziwe: umierało. Zaczęto wtedy żebrać u niego o jeden bodaj gest, o spojrzenie, które podróźny, nawet śpiesząc się, rzuca przyjaciółom... o jakiś znak wdzięczności. Obracano je na łóżku, ocierano mu twarz z potu, zmuszano, aby piło — a to wszystko być może po to, aby je zbudzić ze śmierci.

Odszedłem od nich, a oni wciąż byli zajęci zastawianiem pułapek, czyhaniem na nie, żeby wróciło do życia. Ach, jak łatwo dali się podejść temu dziewięcioletniemu dziecku! I podsuwali mu zabawki, żeby je spętać szczęściem. Ale ono, nieubłagane, odsuwało je małą rączką, kiedy kładziono je za blisko, jak ktoś, kto rozchyła gąszcz, żeby mu nie przeszkadzały w pędzie.

Cofnąłem się zatem na próg. Był to taki przelotny moment, jeden błysk, jedno, wśród tylu innych, spojrzenie na miasto. Jakieś dziecko zawołane tu przez pomyłkę uśmiechnęło się, odpowiedziało na wołanie. I za chwilę znów odwróciło się do ściany. Obecność dziecka, kruchsza niż obecność ptaka... a ja patrzyłem, jak milkną, żeby oswoić tamto dziecko, które umiera.

\* \* \*

Szedłem wzdłuż uliczki. Słyszałem przez drzwi, jak ktoś łaje służące. Porządkowano, szykowano bagaże w innym domu, gdzie ktoś wyruszał nocą w podróż. Nie interesowało mnie, czy łajania były słuszne, czy nie. Słuchałem tylko namiętnego głosu. A dalej, pod studnią, płakała mała dziewczynka zakrywając sobie ramieniem twarz. Położyłem jej łagodnie dłoń na włosach i podniosłem ku sobie twarzyczkę, ale nie spytałem o powód smutku, bo wiedziałem, że ona go znać nie może. Bo smutek rodzi się zawsze z czasu, który upływa, a nie zostawia owocu. Jest smutkiem uciekających dni albo zgubionej bransolety: czasu zabłąkanego, albo smutkiem po śmierci brata, to jest czasem, który jest już nieprzydatny. A ona, kiedy będzie starsza, będzie się smucić odejściem kochanka, które — choć o tym wiedzieć sama nie będzie — oznacza zagubioną drogę do rzeczywistości, do czajnika z wodą i zamkniętego domu, i dzieci, którym trzeba dać jeść. A czas zacznie nagle przepływać przez nią, beużyteczny, jak piach w klepsydrze.

Wtem ukazała się na progu kobieta promieniejąca uśmiechem i spojrzała mi w twarz, pełna radości, może dlatego, że dziecko usnęło albo że zupa jest smacz-



na i wonna, albo po prostu, że ktoś wrócił do domu. Cały czas stał się nagle jej własnością. A ja idąc dalej, minąłem znajomego szewca bez nogi, który ozdabiał papucie cienką złotą nitką, i zrozumiałem, że choć głosu mu już braknie, on śpiewa.

— Czymże się tak radujesz, człowieku?

Ale nie czekałem na odpowiedź, wiedząc, że odpowie nie to, co trzeba, że zacznie mi opowiadać o zarobionych pieniądzech, o czekającym go posiłku albo o odpoczynku. Bo nie wie, że jego szczęście płynie z tego, że swoje życie przemienia w złociste papucie.

## VII

Odkryłem także i inną prawdę. Oto że próżne jest złudzenie ludzi osiadłych, którym zdaje się, że mogą spokojnie zamieszkiwać swoje domostwa — a przecież wszelkie domostwo jest zagrożone. I tak świątynia, którą zbudowałeś na górze, wydana północnemu wiatrowi, zniszczyła się z biegiem czasu jak stary drewniany dziób statku i zaczyna się zapadać. Inną oblegają zewsząd piaski i powoli wezmą ją w posiadanie. Kiedyś ponad jej fundamentami zobaczysz pustynię płaską jak morze. Podobnie dzieje się z każdą budowlą, a przede wszystkim z moim niewidzialnym pałacem, na który składają się owce i kozy, domostwa i góry; jest to przede wszystkim dzieło mojej miłości, ale jeśli umrze król, którego oblicze w nim się zawiera, gmach rozsypie się znowu w góry, owce, domostwa i kozy. I zagubiony odtąd w różnorodności rzeczy będzie tylko stosem bezładnie rzuconego budulca, możliwością dla trudu nowych artystów. I ludzie z pustyni przyjdą odtworzyć nowe oblicze gmachu. Przyjdą niosąc we własnych sercach to oblicze i zgodnie z nowym znaczeniem ułożą dawne litery księgi.

\* \* \*

I ja zrobiłem to samo.

Nie potrafię wyśpiewać całej waszej chwały, wspaniałe noce moich wojennych wypraw. Zbudowawszy na dziewiczym piasku obóz w kształcie trójkąta szedłem na wzgórze czekając, aż zapadnie noc, i obejmując wzrokiem tę czarną plamę niewiele większą od wioskowego placu, gdzie pomieściłem moich żołnierzy, juczne zwierzęta i broń, rozmyślałem przede wszystkim o jej kruchości. Istotnie, cóż nędzniejszego od tej garstki półnagich ludzi pod niebieskim płótnem; grozi im nocny przymrozek, w którym zakrzepły już gwiazdy, grozi pragnienie, bo trzeba oszczędzać wodę w bukłakach, przeznaczoną aż na dziewięć dni. grozi wiatr niosący piasek, który zrywając się okazuje siłę buntu, a wreszcie grożą ciosy, pod którymi ciało ludzkie okazuje się kruche jak owoc. I człowiek wtedy do niczego jest już nieprzydatny. Cóż nędzniejszego niż te zawiniątka niebieskiego płótna, tyle że twardsze, bo broń jest wewnątrz, nagie i wydane wroziej równinie.

Ale cóż z tego, że tak kruche? Ja je związałem i nie pozwoliłem rozproszyć się i zginąć. Już tym samym, że nakazałem na noc trójkątną formę obozowiska, wyodrębniłem je pośród pustyni. Mój obóz był zaciśnięty jak pięść. Widziałem też cedr wznoszący się pośród skalnych usypisk, chroniący przed zagładą rozłożyste konary, bo cedr nie zna snu i walczy nocą i dniem w głębi swego ciała, znajdując pokarm we wrogim świetle fermentów grożących zniszczeniem. Cedr w każdej chwili buduje swoje istnienie. Ja w każdej chwili budowałem moje domostwo, aby było trwałe. I z tego zbiorowiska, które zwykły powiew gotów był rozproszyć, kładłem podwaliny surowe i nie zdobyte jak wieża obronna i odporne jak dziób statku. A z obawy, aby obozowisko nie usnęło przysypane niepamięcią, otoczyłem je strażami, które nasłuchiwały szmerów z pustyni. I podobnie, jak cedr wchłania w siebie gruz usypisk, aby go przemienić w drewno cedrowe, tak mój obóz żywił się nadchodzącymi z zewnątrz zagrożeniami. Niech będzie błogosławiona nocna wymiana pomiędzy ludźmi; owi milczący posłańcy, których nikt nie widział, którzy pojawiają się dokoła ognisk i przykucnąwszy opowiadają, jak jedne plemiona kierują się na północ, inne, z południa, wyruszają w poszukiwaniu skradzionych wielbłądów, inne jeszcze rzuca na drogi pogłoska o zabójstwie, a ci, co milczą pod płótnami namiotów, snują plany i dumają nad nadchodzącą nocą. Błogosławieni ci, co pojawiają się wokół naszych ognisk tak niespodziewanie i mówią swoim milczeniem! A ich słowa są tak złowieszcze, że ogniska w jednej chwili giną przysypane piaskiem, a ludzie rzucają się do strzelb i leżąc na brzuchach otaczają obozowisko wieńcem prochu.

Gdyż noc, ledwie zapadnie, już niesie ze sobą cuda!

I tak każdego wieczora patrzyłem na swój oddział tkwiący na wielkiej równinie niczym statek, ale znieruchomiały; i widziałem, że w nowy dzień wejdzie nietknięty i jak koguty o świcie pełny radosnego gwaru. W tym momencie, kiedy kulbaczy się juczne zwierzęta, słysząc jasne głosy dzwoniące o chłód poranku jak miedź. A ludzie są wtedy jak pijani likworem rodzącego się dnia, nabierają w płuca nowego powietrza i czują ostry smak rozległych horyzontów.

Prowadziłem ich ku oazie, którą mieliśmy zdobyć. Ten, kto nie rozumie ludzi, w samej oazie szukałby wyjaśnienia religii oazy. Ale ci, którzy mieszkają w oazie, nic nie wiedzą o swojej siedzibie. Odnaleźć je trzeba wśród bezdomnych nomadów, utrudzonych marszem przez piaski. Ja ich uczyłem tej miłości.

Mówiłem im:

— Znajdziecie tam wonną trawę, szmer źródeł i kobiety o długich barwnych welonach, które będą uciekać zalęknione jak stado zręcznych saren, które będą jednak słodkie w uściskach, bo są stworzone na branki. . .

Mówiłem im dalej:

— Sądzą, że was nienawidzą, będą was odpychać i bronić się; zębami i paznokciami. Ale żeby je poskromić, wystarczy dłoń owinąć w błękitnawe sploty ich włosów!

Wystarczy — mówiłem — z łagodnością okazywać siłę, a przestaną się wyrywać. Jeszcze będą zamykać oczy, żeby was nie widzieć, ale wasze milczenie padnie na nie ciężarem jak cień orła. A wreszcie otworzą oczy, żeby wam spojrzeć w twarz, a pod waszym spojrzeniem te oczy napełnią się łzami.

Wy będziecie ich bezmiarem, jakże by więc was mogli zapomnieć?

A na koniec, i żeby ich upoić wizją tego rajy, mówiłem:

— Zobaczycie tam gaje palmowe i różnobarwne ptaki... Oaza podda się wam, bo macie w sercu cześć dla niej, a tymczasem ci, których z niej wygnacie, nie są już jej godni. Nawet ich kobiety piorące bieliznę w strumieniu, który śpiewa na krągłych i białych kamykach, traktują to jak smutną, przez wszystkich wykonywaną pracę, gdy w rzeczywistości jest to święcenie święta. Ale wy, stwardniali wśród piasków i spaleni słońcem, o skórze słonej od palącej skorupy słonych bagien, poślubicie je i trzymając się pod boki będziecie patrzeć, jak piorą bieliznę u błękitnej wody, i nasycać się będziecie swoim zwycięstwem.

Dzisiaj trwacie wśród piasków niby cedr, dzięki nieprzyjaciołom, co was otaczają, i twardniejecie w bojach z nimi, ale zdobywszy oazę, będziecie trwać w oazie, gdyż ona nie jest dla was schronieniem, w którym człowiek zamyka się i zapomina o wszystkim, ale ustawicznym zwycięstwem nad pustynią.

Zwyciężyliście tych ludzi, bo oni, zadowoleni z posiadanych bogactw, zasklepili się w swoim egoizmie. W wieńcu piaskowych wydm, które napierały na nich zewsząd, widzieli tylko ozdobę oazy i kpili ze śmiałków, którzy chcieliby ich stąd usunąć, aż w końcu od granic tej ziemi bogatej w źródła odwołano senne strażę.

Oni zastygli w złudzeniu szczęścia, jakim napełniały ich posiadane dobra. A przecież szczęście to tylko namiętne czyny i ta satysfakcja, którą daje tworzenie. Ci, co nie przemieniają swego życia w nic poza sobą i od innych otrzymują pożywienie, choćby najdelikatniejsze i najwyborniejsze, ci o wytwornych umysłach, którzy słuchają obcych poematów nie pisząc własnych, korzystają z oazy, ale nie dają jej życia i korzystają z tworzonych przez innych pieśni, ci ludzie sami się przywiązują do koryt stajennych i nie różniąc się już od bydła, gotowi są przyjąć los niewolników.

Powiedziałem też:

— Kiedy, zdobędziecie oazę, nic istotnego nie zmieni się w waszym życiu. To tylko inny sposób obozowania na pustyni. Bo moje królestwo jest zewsząd zagrożone. Jego tworzywo to nie zwykłe zbiorowisko kóz, owiec, domów i gór, lecz jeśli zerwie się ta więź, która je łączy w jedno, nie zostanie nic, tylko części oddzielne, wydane na łup.

## VIII

Wydawało mi się, że ludzie mają mylne zdanie na temat szacunku. Gdyż ja zajmowałem się wyłącznie prawami Boga poprzez człowieka. Oczywiście, nawet żebraka, nie przeceniając jego znaczenia, traktowałem zawsze jak ambasadora Boga.

Ale nie uznawałem praw żebraka i jego wrzodów, i jego szpetoty, czczonych w sobie tylko jak idole.

Nie spotkałem czegoś równie odrażającego jak pewna dzielnica miasta zbudowana na stoku wzgórza, która jak ściek spływała aż ku morzu. Z wychodzących na uliczki korytarzy wylewało się w bezkształtnych kłębach tchnienie zarazy. A zamieszkujące tu męty wyłaniały się z tej gąbczastej głębi tylko po to, żeby wzajemnie się przeklinać, ale głosem zdławionym i pozbawionym prawdziwej złości, podobnie jak lekkie bańki pękają od czasu do czasu na powierzchni bagna.

Widziałem trędowatego, jak śmiał się grubym śmiechem i ocierał oko brudną szmatą. Był przede wszystkim wulgarny i nikczemnie drwił sam z siebie.

Mój ojciec postanowił podpalić tę dzielnicę. Wtedy to stado, przywiązane do swoich zgniłych poideł, zaczęło się; burzyć i powoływać się na swoje prawa. Prawa do trądu i zgnilizny.

— To naturalne — powiedział ojciec — bo według nich sprawiedliwość jest utrzymywaniem tego, co było.

A oni krzyczeli o swoich prawach do życia w brudzie.

— Jeśli pozwolisz, by robactwo się rozmnożyło — ciągnął ojciec — rodzą się prawa robactwa. Oczywiście. I rodzą się piewcy, którzy będą je wysławiać. Będą śpiewać o tym, jak potężny patos jest w zagrożeniu robactwa jego wyniszczeniem.

— Sprawiedliwość... — powiedział ojciec — trzeba wybierać: sprawiedliwość dla archanioła czy dla człowieka? Sprawiedliwość dla rany czy dla zdrowego ciała? Dlaczego miałbym słuchać tego, kto przemawia do mnie w imieniu trawiącej go zarazy?

— Natomiast będę go leczył ze względu na Boga. Bo i on jest mieszkaniem Boga. Ale nie wedle jego pragnień, które wyrażają tylko jego chorobę.

— Kiedy go obmyję, oczyszczę i nauczę, wówczas jego pragnienie odmieni się, a on sam zaprze się tego, czym był przedtem. I dlaczego miałbym być so-

jusznikiem tego, czego on sam z czasem się wyprze? Dlaczego miałbym spełniać pragnienie trędowatego o niskim umyśle i wzbraniać mu, żeby się odrodził i wypiękniał?

Dlaczego miałbym przyznawać rację temu, co jest, przeciw temu, co będzie? Temu, co wegetuje, przeciw temu, co rośnie w moc?

\* \* \*

— Sprawiedliwość — ciągnął dalej ojciec — wedle mnie jest poszanowaniem człowieka, który otrzymał skarb, w imię tego skarbu. Tak samo szanuję samego siebie. Bo on, jak i ja sam, jest odbiciem tego samego światła. We mnie jest ono równie mało widoczne jak w nim. Sprawiedliwe jest traktować go jako narzędzie i jako drogę. A miłosierne — pomagać mu, aby zrodził sam siebie.

A pośród tych ścieków spływających w morze, pośród tej zgnilizny, ogarnia mnie smutek. Obraz Boga jest tu tak zniekształcony... Oczekuję od nich jakiegoś znaku, że są ludźmi, i nie otrzymuję go.

— A przecież widziałem i takich — odparłem ojcu — co dzielą się chlebem, pomagają jeszcze bardziej choremu dźwigać jakieś worki albo litują się nad słabującym dzieckiem.

— Wszystko jest u nich wspólne — odparł ojciec — i z tego zmieszania czynią miłosierdzie. To, co nazywają miłosierdziem. Dzielą się między sobą. Ale pakt, do którego są zdolne także szakale zebrane wokół ścierwa, wielbią jako wzniosłe uczucie. Chcieliby nas przekonać, że to jest wielki dar! Ale wartość daru zależy od tego, komu się go daje. Tu daje się temu, kto najniższy. Jak alkohol pijącemu pijakowi. Tu dar jest chorobą. Ja natomiast daję zdrowie, odcinam chore członki ciała... i odpowiada mi nienawiść.

— Zdarza się także — dodał ojciec — że pełni miłosierdzia opowiadają się za zgnilizną... Ale jeśli ja opowiadam się za zdrowiem?

— Kiedy ktoś ci ocali życie — mówił dalej — nie dziękuj nigdy. Nie wyolbrzymiaj wdzięczności. Gdyż jeśli ten, co cię ocalił, oczekuje twojej wdzięczności, musi mieć niską duszę; cóż on bowiem myśli? Że tobie służył? Jeśli jesteś coś wart, to on broniąc cię służył przeciw Bogu. A ty zbyt mocno wyrażając wdzięczność, okazujesz zarazem brak skromności i brak dumy. Bo ważne jest nie to, że tamten ocalił twój błahy osobisty los, ale dzieło, z którym ty współpracujesz i które się opiera na tobie. A ponieważ on jest poddany temu samemu dziełu, nie masz mu co dziękować. On podziękowanie znajdzie we własnym trudzie, którym cię ocalił. Na tym polega jego współdziałanie z owym wielkim dziełem.

Brakuje ci także dumy, jeśli ulegasz najniższym uczuciom. Jeśli pochlebiasz jego miłości, czyniąc z siebie niewolnika. Bo gdyby był szlachetny, odrzuciłby twoją wdzięczność.

— Nie obchodzi mnie nic więcej — powiedział ojciec — poza tym cudownym współdziałaniem jednych poprzez drugich. Posługuję się tobą tak, jak się posługuję kamieniem. Ale czy kto wyraża wdzięczność kamieniowi za to, że stał się fundamentem świątyni?

Oni nie współdziałają w niczym, zajęci tylko sobą. Ten wylewający się do morza ściek nie żywi pieśni ani nie rodzi marmurowych posągów, ani żołnierzy przyszłych podbojów. Im chodzi tylko o to, żeby jak najlepsze pakty zawrzeć dla podziału zapasów. Ale nie daj się oszukać. Te zapasy niosą większe niebezpieczeństwo niż głód.

Oni wszystko podzielili na dwie pory: porę podboju i porę cieszenia się zdobyczą. Czy widziałeś, żeby drzewo roślo, a wyrósłszy pyszniło się, że jest drzewem? Drzewo zwyczajnie rośnie. Powiadam tobie: ci, co dokonawszy podboju prowadzą teraz życie osiadłe, są już martwi. . .

W moim królestwie miłosierdziem jest współdziałanie.

\* \* \*

Nakazuję więc, żeby chirurg w męce przebywał pustynię, jeśli komuś tam, daleko, może przywrócić sprawność ciała, które jest narzędziem. Nawet jeśli chodzi o zwykłego kamieniarza, ale któremu dla tłuczenia kamieni potrzebna jest sprawność mięśni. I nawet jeśli chirurg jest mistrzem w swoim zawodzie. Bo nie chodzi o to, aby czcić przeciętność, ale żeby naprawić narzędzie. Oni obaj zaś są w służbie jednego mistrza. Podobnie jest z tymi, którzy chronią i pomagają kobietom brzemiennym. Niegdyś było to ze względu na oczekiwanego syna i one jemu służyły swoimi wymiotami i bólami. I kobieta nie dziękowała, chyba że w imieniu syna. Ale dziś domagają się pomocy ze względu na własne wymioty i bóle. Gdyby tylko o nie chodziło, oddałbym je, bo wymioty są czymś szpetnym. Ale naprawdę ważne jest tylko jedno: to, co się nimi posługuje; i dlatego nie mają za co dziękować. Bo i ten, co im pomaga, i one same, służą tylko sprawie narodzin i podziękowania nie mają tu sensu.

\* \* \*

Podobnie generałowi, gdy ten go przyszedł odwiedzić, ojciec mój rzekł:

— Ciebie samego mam za nic! Jesteś wielki tylko ze względu na królestwo, któremu służysz. Każę ci oddawać cześć, ażeby poprzez ciebie ludzie oddawali cześć królestwu.

Ale widziałem także dobroć ojca.

— Nie wolno — powiedział — upadlać kogoś, kto odgrywał znaczną rolę i spotykał się z ludzką czcią. Nie wolno wyzuwać z panowania kogoś, kto panował, ani

zamieniać w żebraka kogoś, kto żebrakom dawał jałmużnę, bo czyniąc tak niszczysz jakby szkielet i kształt twojego statku. Dlatego stosuję karę wedle miary winnego. Tych, którym nadałem szlachectwo, skazuję na śmierć, jeśli przewinili, ale nie zamieniam ich w niewolników. Pewnego dnia spotkałem księżniczkę, która była teraz praczką. Towarzyszki wyśmiewały się z niej: „Gdzież twoje królestwo, praczko? Mogłaś kazać nam głowy pościnać, a teraz my możemy bezkarnie obrzucać cię brudnymi przekleństwami. . . To jest sprawiedliwość!” Bo sprawiedliwość według nich to zrównanie.

Praczka milczała. Upokorzona we własnym imieniu, ale przede wszystkim w imieniu czegoś większego niż ona sama. Zmartwiła i blada pochylała się nad praniem. A towarzyszki bezkarnie potraçały ją i szturchały. Nie było w niej nic, co by prowokowało do takiej złości, bo była ładna, spokojna w ruchach i cicha. Zrozumiałem, że towarzyszki nie z tej kobiety drwiły, ale z jej upadku. Bo człowiek gotów rozszarpać tego, komu zazdrościł, jeśli mu wpadnie w pazury. Wezwałem ją przed swoje oblicze:

— Nie wiem o tobie nic poza tym, żeś kiedyś panowała. Poczynając od dziś będziesz miała prawo życia i śmierci nad twoimi towarzyszkami z pralni. Oddaję ci twoje panowanie. Idź.

A kiedy odzyskała dawne swe miejsce, wywyższona ponad zwykły tłum, nie raczyła nawet pamiętać o doznanych obrazach. A kobiety z pralni, nie mogąc już żywić niskich uczuć widokiem jej poniżenia, żywiły odtąd podziw dla jej szlachetności i szanowały ją. Urządziły wielką uroczystość na cześć jej powrotu do panowania, a kiedy przechodziła, skłaniały się, czując się szlachetniejsze przez to, że niegdyś ją dotykały.

\* \* \*

— Dlatego — mówił ojciec — nie będę wydawał książąt na wyzwiska tłuszczy ani na brutalność więziennych strażników. Każę ich ścinać w wielkim amfiteatrze, przy dźwiękach złotych trąb.

\* \* \*

— Jeśli kto poniża drugiego — powiedział mój ojciec — sam ma niską duszę.

\* \* \*

Mówił mi także:

— Nigdy władca nie będzie poddany sądom swoich poddanych.



## IX

Mówił mi także ojciec:

— Każ im budować razem wieżę, a uczynisz z nich braci. Ale jeśli chcesz, żeby się znienawidzili, rzuć im ziarna.

I tak mówił:

— Niech mi przede wszystkim przynoszą owoc swojej pracy. Niech rzeka ziarna przez nich zebranego popłynie do moich szop. Niech we mnie pobudują swoje spichrze. Chcę, żeby to na moją chwałę młócili zboże, aż tryskać będzie dokoła złota plewa. Bo wtedy praca, która była czynnością dla zdobycia pożywienia, staje się pieśnią. Bo wtedy mniej się trzeba uważać nad tymi, co zgięci wpół dźwigają ciężkie worki do młyna. Albo odnoszą je z powrotem, ubieleni mąką. Ciężar worka nadaje im większy wymiar wymiar modlitwy. A jak radośnie się śmieją niosąc snop niby kandelabr, najeżony kłosami, sypiący złotem. Albowiem cywilizacja zbudowana jest na tym, czego od ludzi wymaga, a nie na tym, czego im dostarcza. Tak jest i ze zbożem: ludzie wracają ze żniw utrudzeni i żywią się nim. Ale nie to jest istotne dla człowieka. Nie ze zboża się bierze to, co jest pożywieniem serc. Ale z tego, co zbożu dają z siebie.

Bo jeszcze raz powiadam: godne pogardy są ludy, które deklamują wiersze przez innych ułożone lub sprowadzają płatnych architektów, aby budowali im miasta. Nazywam je ludami osiadłymi. I nie widzę nad ich głowami tej aureoli złotego pyłu, jaki sypie się z młóconego zboża. Bo słuszne jest, abym równocześnie dostawał i dawał, przede wszystkim po to, żebym dalej mógł dawać. Błogosławię wymianie darów, bo ona pozwala iść dalej i dawać więcej. I choć ciała pozwala trwać to, co jest nam zwracane, serce żywi się samym daniem.

Widziałem, jak tancerki komponują swoje tańce. To jasne, że taniec w jakimś momencie jest stworzony i zatańczony, i że nikt nie może wziąć owocu tej pracy i uczynić z niego zapasu. Taniec mija jak pożar. A jednak uważam za cywilizowany lud, co układa swoje tańce, chociaż nie przynoszą one zbiorów, które można by złożyć w spichrzach. A za prymitywny uważam lud, który ustawia na półkach choćby najwytworniejsze przedmioty zrodzone z cudzej pracy, podczas gdy on jest zdolny tylko upajać się ich doskonałością.

— Człowiek — mówił mi ojciec — jest przede wszystkim twórcą. A braćmi są tylko ci, co wspólnie pracują. I żyć będą tylko ci, którzy nie znajdują pokoju w nagromadzonych zapasach.

Pewnego dnia ktoś wyraził wątpliwość:

— Co nazywasz tworzeniem? Bo jeśli chodzi o znaczące wynalazki, tylko niewielu jest do tego zdolnych. Mówisz więc o nielicznych. A inni?

Na co ojciec odparł:

— Tworzyć, to czasem również pomylić krok w tańcu, albo błędnie ciąć dłu-tem w kamieniu. Przydatność gestu niewielkie ma znaczenie. Ślepcze, co przy-tykasz nos do oglądanego dzieła: wysiłek twórcy wydaje ci się jałowy; ale od-stęp parę kroków do tyłu. Spójrz z większej odległości choćby na ruch uliczny w pewnej dzielnicy miasta. Widzisz tylko jedno: wielkie ożywienie i złoty pył pracy. Nie dostrzegasz tych gestów, które nic nie dały. Gdyż ludzie, pochyleni każdy nad swoją robotą, każdy jak potrafi, budują pałace i cysterny, i wiszące ogrody. Dzieła rodzą się niezawodnie z czarodziejstwa ich palców. I powiadam ci, że rodzą się zarówno z ruchów niezręcznych, jak i ze skutecznych: bo nie można dzielić człowieka i jeśli będziesz chciał mieć tylko wielkich rzeźbiarzy, nie będziesz miał wielkich rzeźbiarzy. Kto byłby tak szalony, żeby wybierać za-wód dający równie mało szans na zdobycie środków do życia? Wielki rzeźbiarz rodzi się z tej gleby, którą tworzą posłedni rzeźbiarze. Oni są dla niego jak schody, oni go wynoszą w górę. A zapał tańca wymaga, aby tańczyli wszyscy — nawet ci, co tańczą kiepsko — w przeciwnym razie nie ma zapału, tylko skamieniałość i sztuczność, i spektakl pozbawiony większego znaczenia.

Nie potępiaj błędów tak, jak to robi historyk, który osądza minioną epokę. Kto będzie robił wyrzuty cedrowi, że jest dopiero nasieniem albo łądźką, po-chylonym pędem? Poczekaj. Spośród pomyłek i błędów wyrośnie cedrowy las, z którego w wietrzne dni jak dym kadzidła będą ulatywać ptaki.

Na koniec zaś ojciec mówił mi jeszcze tak:

— Powiedziałem ci przecież: Jeden się myli, drugiemu się udaje — niech cię te różnice nie trapią. Naprawdę żyzne jest bowiem wielkie współdziałanie: jed-no stające się dzięki drugiemu. Ruch nieudany służy temu, który jest bezbłędny. A udany — pokazuje cel, do którego oba wspólnie dążyły. Ten, kto znajduje Boga, znajduje go dla wszystkich. Bo moje królestwo podobne jest do świątyni, do której wszystkich wezwałem. Zaprosiłem, aby ją budowali. Jest to więc ich świą-tynia. A jej narodziny dobywają z ludzi ich najgłębszy sens. Obmyślają, jak ją przyozdobić złotem. A ten, co myślał nad tym, ale bez skutku, też jest wynalazcą. Bo przede wszystkim z zapału rodzi się nowa świetność świątyni.

Kiedy indziej mówił mi tak:

— Nie obmyślaj królestwa, w którym wszystko by było doskonałe. Wytrawny gust to cnota strażnika muzeum. Jeśli będziesz lekceważył zły gust, nie docze-kasz się ani malarstwa, ani tańca, ani pałacu, ani ogrodów. Będziesz jak ten, co

się brzydzi i boi brudnej pracy na ziemi. Uwolnisz się od lęku, ale za cenę doskonałości i pustki. Obmyślaj takie królestwo, w którym wszystko byłoby po prostu przeniknięte zapalem.

## X

Moje oddziały były zmęczone, jakby dźwigały wielki ciężar. I przyszedli do mnie kapitanowie:

— Kiedy wrócimy do domu? Czar kobiet w zdobytych oazach nie dorównuje czarowi naszych kobiet.

Jeden z nich mówił tak:

— Śni mi się, panie, ta, która jest uczyniona ze wspólnie przeżytego czasu i z naszych kłótni. Chciałbym wrócić i w spokoju uprawiać ziemię. Taka jest prawda i nic więcej nie umiem powiedzieć. Pozwól mi wzrastać w ciszy mojej wioski. Muszę przemyśleć moje życie.

Zrozumiałem wtedy, że potrzebują ciszy. Bo tylko w ciszy prawda każdego człowieka daje załazek i wypuszcza korzenie. Bo najważniejszy jest czas, podobnie jak u dziecka karmionego piersią. I sama miłość matczyna z tego karmienia głównie się bierze. Bo kto zobaczy w określonym momencie, że dziecko rośnie? Nikt. Ci, co przychodzą do domu, mówią: „Jak urosło!” Ale ni matka, ni ojciec nie widzieli, jak rośnie. Staje się razem ze stającym się czasem. A w każdej chwili było tym, czym miało być.

Otóż ludzie z mojego oddziału potrzebowali czasu, choćby po to, żeby zrozumieć, czym jest drzewo. Żeby siadać codziennie na progu domu naprzeciw tego samego drzewa, o tych samych gałęziach, a wtedy drzewo powoli odsłania siebie.

I poeta, który na pustyni opowiadał przy ogniu, opowiadał po prostu o swoim drzewie. A słuchali go moi ludzie, z których wielu nie widziało w życiu nic poza wielbłądzą trawą, karłowatymi palmami i cierniem. „Nie wiecie — opowiadał — co to jest drzewo. Widziałem takie, które wyrosło przypadkiem w opuszczonym domu, zwalonej ruderze pozbawionej okien, i które wybiegło w górę w poszukiwaniu światła. Jak człowiek musi oddychać powietrzem, jak ryba oddycha w wodzie, tak drzewo musi oddychać światłem. Korzeniami wrosnięte w ziemię, konarami wrastające w gwiazdy, jest drogą, którą dokonuje się wymiana pomiędzy nami a niebem. To drzewo urodziło się ślepe i w ciemnościach przeżyło swoje muskularne ciało, omackiem, od muru do muru, i chwiało się, a w jego skrętach wyrażał się cały jego dramat. Potem, poprzez lukarnę, przebiło sobie wylot

w kierunku słońca i trysnęło prosto w górę jak kolumna, a ja, znając jego historię, widziałem, jak chwieje się teraz zwycięsko.

Jaki cudowny był to kontrast z wygiętym wysiłkiem węzlastego ciała. Rosło teraz w spokoju, rozkładając szeroko jak stół swoją koronę, gdzie słońce było posiłkiem — samo niebo karmiło go mlekiem, bogowie żywili go hojnie.

I widziałem, jak codziennie budziło się o świcie, od wierzchołka aż po podstawę pnia. Bo było pełne ptaków. Więc od świtu zaczynało żyć i śpiewać, a potem, kiedy słońce już wzeszło, rozpuszczało swoje stadko po niebie jak stary poczciwy pasterz: moje drzewo-dom, drzewo-zamek, puste potem aż do wieczora. . .”

Tak opowiadał poeta, a myśmy myśleli, że trzeba długo patrzeć na drzewo, żeby tak narodziło się w człowieku. I każdy z nas zazdrościł mu, że ma w sercu taką masę listowia i ptaków.

— Kiedy — pytali mnie — kiedy się wreszcie skończy wojna? My także chcielibyśmy coś zrozumieć. Już pora na nas, żebyśmy zaczęli się stawać. . .

A jeśli któryś z nich złowił lisa pustynnego, jeszcze młodego, którego można było karmić z ręki, chował go; albo gazy, jeśli udało się je utrzymać przy życiu. Lis z każdym dniem stawał się dla człowieka cenniejszy: tak jakby wzbogacał go własną jedwabistą sierścią i przemyślnością, a przede wszystkim potrzebą pokarmu, która tak bezwzględnie wymagała opieki ze strony wojownika. I żył on jakimś szczególnym złudzeniem, że coś z niego samego przechodzi w to zwierzątko, jak gdyby ono żywiło się, rosło i przybierało kształt jego miłości.

A potem, pewnego dnia, wołany instynktem miłości lis zniknął wśród piasków pustyni i serce człowieka nagle stawało się puste. Widziałem, jak jeden z takich ludzi umarł, bo zbyt opieszale bronił się, kiedy wpadł we wrogą zasadzkę. Kiedy dowiedzieliśmy się o jego śmierci, przypomniało mi się zagadkowe zdanie, które wypowiedział po ucieczce obłąkowanego lisa, kiedy towarzysze, widząc jego smutek, radzili mu, żeby schwycił innego. „Za dużo potrzeba cierpliwości — odparł im — nie po to, żeby schwycić lisa, ale żeby go pokochać.”

Dlatego też znużyli się lisami i gazelami: zrozumieli bezpłodność tych związków, bo lis kochany, który im uciekł, nie wzbogacał pustyni ich miłością.

— Mam synów — powiadał inny. — Rosną, a ja ich niczego nie mogę nauczyć. A zatem nic im z siebie nie daję. A gdzież pójdę po śmierci?

A ja, obejmując ich w milczeniu miłością, widziałem, jak moje oddziały zaczynają ginąć w piasku i wsiąkać weń, podobnie jak rzeki zrodzone po burzach, których nie chroni gliniaste podglebie i które mrą bezpłodnie, nie zamieniwszy się w rosnące nad wodą drzewa, ani w trawę, ani w pokarm dla ludzi.

Moje wojsko chciało przemienić się w oazę w imię interesów królestwa, dla upiększenia mojego pałacu i żeby ludzie mówiąc o nich wspominali: „Jakiejż wartości dodają mu jeszcze te palmy, świeżo posadzone gaje palmowe, wioski, w których rzeźbi się kość słoniową. . .”

Ale walczyliśmy już bez przejęcia i każdy myślał o powrocie.

I wizerunek królestwa gasł w nich jak twarz, w którą już nie potrafimy patrzeć i która gaśnie w różnorodności świata.

— Jakże ma znaczenie — powtarzali — że będziemy bogatsi o tę nieznaną oazę. Czegóż nam ona przysporzy? W czym wzbogaci, kiedy wróciwszy do kraju zamkniemy się w naszych wioskach? Tylko temu przyda się ona, kto tu zamieszka i będzie zbierał daktylę z tych palm i prał bieliznę w żywej wodzie tutejszych rzek...

## XI

Nie mieli racji — ale cóż mogłem na to poradzić? Kiedy wygasa wiara, Bóg umiera i staje się czymś zbędnym. Kiedy wyczerpuje się ludzki zapał, samo królestwo się rozpada, bo jest uczynione z ich zapału. To nie znaczy, aby samo w sobie było oszustwem. I jeśli nazywam ojcowizną rzędy oliwek i szopę dającą ludziom schronienie, to dlatego, że człowiek patrzący na nie czuje miłość i zbiera je w swoim sercu w jedną całość; jeśli zaś będzie widział tylko oliwki, takie same jak tysiące innych, a wśród nich jakąś zagubioną szopę, której zadaniem jest tylko chronić go przed deszczem — kto obroni ojcowiznę przed tym, by nie została sprzedana lub poszła na marne? Skoro sprzedaż nie zmieni nic w losie drzew oliwnych i szopy?

Popatrzcie na pana tej ziemi, jak idzie sam jej drogami, w rosie przed świtem, sam i nie mający przy sobie nic z jej bogactwa. Czy ma z niej jakie korzyści? Ta ziemia mu w danym momencie nie służy: jakby jej nie posiadał wcale; jeśli padało, idzie po błocie jak każdy z robotników i laską rozchyła mokre ciernie jak najzwyczajniejszy włóczęga. A idąc dnem parowu, drogą wymytą deszczami, nawet wzrokiem nie może objąć swojej posiadłości — po prostu wie, że jest jej panem.

Kiedy go jednak spotkasz, a on spojrzy na ciebie, zobaczysz, że to właśnie on, nikt inny. Spokojny i pewny siebie, zdaje się wsparty o swoją odpowiedzialność, z której w danym momencie nie ma żadnego pożytku. Nie użytkuje niczego, ale niczego mu nie brakuje. Jest mocno wsparty o ten fundament, jaki tworzą pastwiska, pola jęczmienia i oliwne gaje. Pola odpoczywają. Stodoły jeszcze śpią. Nad młócającymi zboże nie ulatuje jeszcze światło. Ale on ich wszystkich zawarł w swoim sercu. To nie byle kto idzie tędy, to pan tych miejsc przechadza się z wolna wśród swoich pól lucerny...

Ślepy ten, kto człowieka dostrzega tylko w jego czynach, kto sądzi, że tylko czyn go ukazuje albo określone przeżycie, albo wykorzystanie pewnych przywilejów. Liczy się nie to, czym człowiek w danym momencie dysponuje, bo ten, o którym mówię, idąc wśród pól, może wziąć w rękę zaledwie garść kłosów, żeby je zetrzeć w palcach, albo zerwany owoc. Inny, towarzyszący mi w wojennej wyprawie, przepelniony jest pamięcią o ukochanej, której nie może zobaczyć ani dotknąć, ani wziąć w ramiona, i która nawet o nim nie myśli, bo o tej poran-

nej porze, kiedy on oddycha bezmiarem powietrzem i czuje gniotący go ciężar, ona, na swoim dalekim posłaniu, jeszcze jest nieobecna. Jest nieobecna i jakby nieżywa. Uśpiona. A przecież ten człowiek pełen jest jej bytowania, pełen bezużytecznej czułości, śpiącej w zapomnieniu jak ziarno przechowywane w spichrzu; pełen jest tych woni, których nie czuje, szmeru fontanny — serca domostwa — którego nie słyszy, a także ciężaru królestwa, który go odróżnia od innych.

Albo spotkany przyjaciel, noszący w sobie chore dziecko. Chore i oddalone od niego. Nie trzyma jego rozgorączkowanej rączki, nie słyszy jego skargi. To dziecko w danym momencie nie zmienia nic w jego życiu. A przecież wydaje się jakby przytłoczony niesionym w sercu ciężarem.

Tak jest z człowiekiem, który czuje się związany z królestwem, choć nie mógłby ani go ogarnąć spojrzeniem, ani korzystać z jego skarbów, ani mieć żadnej korzyści; ale podobnie jak właściciel ziemi, jak ojciec chorego dziecka albo człowiek, którego bogactwem jest ukochana, nie tylko oddalona, ale śpiąca — tak on wzrasta w swoim sercu za sprawą królestwa. Dla człowieka ważny jest jedynie sens, jaki mają rzeczy.

\* \* \*

Znam, owszem, kowala z mojej wioski, który przychodzi do mnie i powiada: — To, co mnie nie dotyczy, to mnie i nie obchodzi. Kiedy mam herbatę i cukier, ośła, któremu mam co dać jeść, i kobietę obok siebie, jeśli moje dzieci rosną i postępują w cnocie, to jestem szczęśliwy i nic mi więcej nie potrzeba. Po co się męczyć?

Ale czy byłby szczęśliwy, gdyby żył samotny? Gdyby zamieszkał z rodziną w namiocie zagubionym wśród pustyni? Każę mu się zastanowić:

— Przecież wieczorem szukasz przyjaciół pod innymi namiotami, może oni ci coś opowiedzą i przyniosą nowiny z pustyni. . .

Bo pamiętajcie, że widziałem was! Widziałem was nocą dokoła ognisk, jak piekliście barana czy kozę, i słyszałem wasze głosy. Zbliżałem się do was powoli i w ciszy miłości, którą was obejmuję. Mówiliście, to prawda, o waszych synach, o tym, co rośnie, i o tym, co choruje, mówiliście też o domach, ale nie było to najważniejsze. Ożywialiście się dopiero wtedy, kiedy siadał wśród was podróżny, wracający z dalekiej wyprawy, który ukazywał waszym oczom widziane tam daleko cuda, białe słonie jakiegoś księcia i ślub, który się odbył o tysiąc kilometrów stąd, ślub dziewczyny, której imienia nawet nie znaliście. Albo opowiadał o zamieszkach we wrogich oddziałach. Albo o komecie, czyjejś obrazie, miłości lub odwadze w obliczu śmierci, albo o nienawiści, albo o życzliwości. Byliście wtedy otwarci na przestrzeń i powiązani z mnóstwem rzeczy, a wasz namiot, kochany lub znienawidzony, zagrożony lub otoczony opieką, stawał się czymś ważnym.



A wy — pochwyceni w jakąś czarodziejską sieć, przemieniającą was w coś nieporównanie szerszego. . .

Bo potrzebna jest wam przestrzeń i tylko język potrafi tę potrzebę zaspokoić.

Pamiętam, co się stało, kiedy mój ojciec umieścił trzy tysiące berberyjskich uciekinierów w obozowisku na północ od miasta. Nie chciał, aby ci przybysze przemieszali się z naszymi ludźmi. Ponieważ był dobry, więc ich żywił i zaopatrywał w odzienie, cukier i herbatę. Ale w zamian za te wspaniałomyślne dary nie wymagał od nich żadnej pracy. Nie musieli się zatem troszczyć o to, jak będą żyć, i każdy mógł sobie powiedzieć: „To, co mnie nie dotyczy osobiście, niewiele mnie obchodzi. Jeżeli mam dość herbaty i cukru, i osła, któremu mam co dać jeść, i kobietę obok siebie, i dzieci, które rosną i postępują w cnotach — to jestem zupełnie szczęśliwy i niczego więcej nie chcę. . .”

Ale któż by uznał, że są szczęśliwi? Chodziliśmy czasem odwiedzić ich, gdyż ojciec chciał, aby mnie to czegoś nauczyło:

— Popatrz — mówił — stają się jak bydło i zaczyna się rozkład. . . Nie w ich ciałach, ale w sercach.

Albowiem nic już nie miało dla nich znaczenia. Jeśli nie grasz w kości o cały majątek, to w każdym razie kości powinny w wyobraźni oznaczać dla ciebie ziemię i stada, upragnione sztaby złota albo diamenty. Znajdujące się gdzieś daleko. Ale nadchodzi pora, kiedy kości już nic nie wyobrażają. I wtedy gra przestaje być możliwa.

Otóż ci ludzie pozostający pod królewską opieką nie mieli już sobie nic do powiedzenia. Sprzykrzyły się im już opowieści o rodzinach, wszystkie do siebie podobne. Już nie opisywali sobie namiotów, bo wszystkie były takie same. Nie lękali się już i nie spodzielali niczego, nie obmyślali też niczego. Język był im jeszcze potrzebny do najprostszych celów. „Pożycz mi piecyk” — mógł powiedzieć któryś z nich, a inny spytał: „Gdzie jest mój syn?” Czego by jeszcze pragnęli ci ludzie leżący na posłaniu, przed korytem z jadłem? W imię czego jeszcze by walczyli? O chleb? Dostawali go. O wolność? Ależ w granicach ich świata byli najzupełniej wolni. Nawet zatopieni niejako tą nadmierną wolnością, podobnie jak niektórzy bogacze — puści od wewnątrz. Po to, żeby zatryumfować nad nieprzyjacielem? Ależ oni nie mieli nieprzyjaciół.

A ojciec powiadał:

— Mógłbyś przyjść z batem i chodzić sam po obozowisku, smagając ich po twarzy: nie obudziłoby się w nich nic więcej niż odruch psiej zgrai, która warczy cofając się i chciałaby ukąsić. Ale żaden się nie odważy, żaden cię nie ugryzie. Stajesz przed nimi ze skrzyżowanymi ramionami. I gardzisz nimi. . .

— To są manekiny — ciągnął. — Ale ludzi tu już nie ma. Mogą zamordować kogoś podle, za twoimi plecami, bo takie męty bywają niebezpieczne. Ale nie wytrzymają twojego spojrzenia.

Jednakże wybuchły wśród nich — niby choroba — niesnaski. Niesnaski nieokreślone, które nie dzieląc ich na dwa obozy, podburzały każdego przeciw wszystkim; bo zdawało im się, że każdy, kto zjada przypadającą sobie część, ograbia ich z czegoś. Pilnowali jedni drugich jak psy kręcące się dokoła miski i w imię jakiejś szczególnej sprawiedliwości popełniali przestępstwa, ponieważ ta ich sprawiedliwość była przede wszystkim wymaganiem równości. A ktokolwiek odróżniał się czymkolwiek bądź, podlegał mściwości tłumu.

— Masy ludzkie — mówił mi ojciec — nienawidzą obrazu człowieka. Masa jest bowiem niespójna, dąży równocześnie w wielu sprzecznych kierunkach i nie dopuszcza do wysiłku twórczego. Z pewnością to źle, kiedy jeden człowiek gnębi stado. Ale nie tu doszukuj się największego zniewolenia: dochodzi do niego, kiedy stado gnębi człowieka.

Tak oto, w imię jakichś ciemnych praw, sztylety przebijały ludzkie trzewia i każda noc przynosiła żniwo trupów. I podobnie jak wyrzuca się odpadki, o świcie wywlekano je na granicę obozu, a służba miejska wywoziła je na taczkach niczym odpadki z rzeźni. A ja przypominałem sobie słowa ojca: „Jeśli chcesz, żeby stali się sobie braćmi, zmusz ich, aby budowali razem wieżę. Ale jeśli chcesz, żeby się znienawidzili, sypnij im ziarna. . .”

Stwierdziliśmy także z czasem, że ci ludzie zagubili sens słów, którymi się przestali porozumiewać. Ojciec przechadzał się pośród nich, a oni patrzyli na nas nie poznając, o otepiałych, jakby pustych twarzach. Z ust wydobywało się tylko jakieś nieokreślone warczenie, domagające się pokarmu. Żyli życiem roślinnym, bez żalu i bez pragnień. A niebawem przestali się nawet myć i nie walczyli z robactwem. A ono się mnożyło. Potem zaczęły się pojawiać wrzody i wyrzuty na ciałach. A wreszcie całe obozowisko zaczęło zatrzuwać powietrze cuchnącym wyziewem. Ojciec lękał się zarazy. A także rozmyślał o ludzkim losie.

— Muszę zbudzić archanioła, który śpi przyduszony tym gnojowiskiem. Ponieważ nie ich szanuję, ale poprzez nich — Boga. . .

## XII

— Oto bowiem — powiadał ojciec — wielka tajemnica ludzi. Zaprzepaszczają to, co istotne, i nie wiedzą, co zaprzepaścili. Podobnie nie wiedzą tego plemiona osiadłe, które w oazach żyją wokół swoich zapasów. To, co utracili, nie wyraża się, oczywiście, w dobrach materialnych, które nie ulegają zepsuciu. I ludzie z wiosek i z gór, ale którzy nie budują już ojcowizny. . .

Jeśli królestwo utraci dla nich swój sens, nie pojmują tego, że wysychają wewnętrznie i stają się puści, a rzeczy tracą w ich oczach znaczenie. Przedmioty na pozór się nie zmieniają, ale czym jest diament albo perła, jeśli nikt ich nie chce: szlifowanym szkiełkiem.

I dziecko, które kołyszysz, utraci coś z siebie, jeśli nie jest zarazem twoim darem dla królestwa. Ale nie od razu się o tym dowiesz, bo jego uśmiech będzie taki sam.

Podobnie ludzie nie widzą swojego zubożenia, gdyż przedmioty, które im służą, nie zmieniają się na pozór. Ale do czego służy diament? I czym jest ozdoba stroju, jeśli nie ma związku z jakimś świętem? I czym jest dziecko, jeśli nie ma żadnego związku z królestwem, jeśli nie marzysz o tym, żeby zostało zdobywcą, władcą wydającym rozkazy albo budowniczym? Jeśli nie jest niczym więcej jak okruszyną ciała?

A oni nic nie wiedzą o istnieniu niewidzialnej piersi, która nocą i dniem żywi ich swoim mlekiem; gdyż królestwo dostarcza pokarmu sercom podobnie jak ukochana, która śpi gdzieś daleko od ciebie, i choć leży bez ruchu, jak martwa, karmi cię swoją miłością i odmienia dla ciebie sens otaczających rzeczy. Tam daleko tylko jej lekki oddech, który nawet nie dobiegnie tutaj, a świat dla ciebie staje się cudem. Podobnie gospodarz przechadzający się o zroszonym świecie po swoich włościach, mieści je całe w swoim sercu, nawet sen śpiących jeszcze pracowników.

Ale tajemnica człowieka, który rozpacza, gdy odejdzie ukochana albo gdy sam przestaje kochać, albo też przestaje szanować królestwo: nie podejrzewa on nawet, jak zostaje zubożony. . . Powiada sobie po prostu: „Ona była nie tak piękna i nie tak pociągająca jak w moich marzeniach. . .” i zadowolony z siebie idzie, gdzie go oczy poniosą. Ale świat przestaje być dla niego cudem. A świt nie jest już świtem

powrotu albo świtem przebudzenia w jej ramionach. Noc nie jest już ogromną świątynią miłości: Ani też — dzięki tej, co cicho oddycha we śnie — okrywającym ich luźnym płaszczem pasterskim. Wszystko nagle przygasło. Wszystko zakrzepło. A człowiek nie wie nawet, jakie nieszczęście go dotknęło, i nie płacze nad utraconą pełnią. Cieszy się z odzyskanej wolności, która jest wolnością nieistnienia.

Podobnie dzieje się z człowiekiem, dla którego królestwo przestało być czymś żywym. „Mój zapał był głupim zaślepieniem”, powiada sobie. Ma rację, oczywiście. Nie ma teraz dokoła nic więcej — tylko luźne zbiorowisko kóz, owiec, domostw i gór. Królestwo było tworem jego serca.

Gdzie jest bowiem piękno kobiety, jeśli nie ma mężczyzny, który by się nim wzruszył? Lub wartość diamentu, jeśli nikt go nie pragnie posiadać? Lub królestwa, jeśli zabraknie tych, co królestwu służą?

Albowiem człowiek, który umie odczytać obraz i nosi go w swoim sercu, i czerpie z niego życie, jak niemowlę z piersi matczynej, człowiek, dla którego ów obraz jest zwornikiem, sensem i znaczeniem, drogą do wielkości i pełni szerokich horyzontów, gdy utraci to źródło życia, staje się rozdzielony w swojej istocie, poćwiartowany, i umiera z niedostatku powietrza jak drzewo, któremu odcięto korzenie. Nie zdoła się już odnaleźć. A przecież nie cierpi, kiedy ów obraz ginie w nim powoli, a wraz ginie i on sam, i nieświadomie przywyka do własnej przeciętności.

Dlatego wiecznie trzeba budzić w człowieku to, co w nim jest wielkością, i nawracać go na jego własną wielkość.

Bo podstawowym pokarmem nie są dla niego rzeczy, ale związek łączący rzeczy pomiędzy sobą. Nie sam diament będzie mu pożywieniem, ale określony związek pomiędzy diamentem i ludźmi. Ani piasek pustyni, ale pewien określony związek pomiędzy piaskiem i wędrującymi przezeń plemionami. Nie słowa książki, ale określony związek pomiędzy takimi słowami, jak miłość, poezja i mądrość Boża.

Dlatego, jeśli wzywam was, żebyście wspólnie pracowali i tworzyli razem wielką całość, wzbogacającą każdego i obejmującą wszystkich, nawet dziecko ofiarowane królestwu, jeśli ogarniam was i zamykam w granicach mojej miłości, jakżebyście mogli nie wzrastać, jakżebyście mogli stawiać mi opór? Piękno ludzkiej twarzy istnieje tylko dzięki temu, że każdy jej szczegół znajduje jak gdyby echo we wszystkich pozostałych. I wzrusza was jej widok. Podobnie wiersz, który wyciska wam łzy. A oto gwiazdy, źródło i wspomnienia. Nie ma tu nic więcej. Ale posłuszny mojemu natchnieniu buduję z nich całość i ona posłuży jako piedestał bóstwu, które będzie panować nad całością, a które nie mieści się w żadnym z tych poszczególnych elementów.

I wtedy ojciec posłał w to rozkładające się ludzkie zbiorowisko śpiewaka. Wieczorem zasiadł on na placu i zaczął śpiewać. Śpiewał o rzeczach, które —

jak echa — łączą się jedne z drugimi. Śpiewał o cud-księżniczce, do której dojść można tylko wędrując dwieście dni w słońcu przez piaski wyschłe, bez jednej studni. I ów brak wody staje się ofiarą i miłosnym upojeniem. A woda w bukłakach staje się jakby modlitwą, bo prowadzi do ukochanej. „Tęskniłem za gajem palmowym i łagodnym deszczem — recytował — ... ale najmocniej za tą, którą spodziewałem się ujrzeć czekającą na mnie z uśmiechem... i nie umiałem już rozróżnić miłości i dręczącej mnie gorączki...”

A oni wtedy zapragnęli pragnienia i wyciągając pięści ku mojemu ojcu, krzyczeli: „Zbrodniarzu! Odebrałeś nam pragnienie, które jest upojeniem, jakie daje ofiara składana miłości!”

Śpiewał także o szerzącej się w czas wojny niewypowiedzianej grozie, która piasek przemienia w kłębowisko żmij. Każda wydma nabiera wtedy mocy, wyrokuje o życiu i śmierci. A oni zapragnęli śmiertelnego niebezpieczeństwa, które pustyni nadaje życie. Śpiewał także o potędzie nieprzyjaciela, którego wygląda się zewsząd, jak horyzont długi i szeroki, podobnego słońcu, którego wschodu nie sposób przewidzieć! I zapragnęli nieprzyjaciela, który by ich objął swoją mocą, niby morze.

A kiedy zapragnęli miłości, ujranej na krótką chwilę, jak twarz, co mignęła i znikła, sztylety wyskoczyły z pochew. A oni, pieszcząc klingi szabel, zaczęli płakać! Ta broń zapomniana, zardzewiała, zhańbiona, stała się nagle w ich oczach utraconą męskością, bo tylko ona pozwala człowiekowi stwarzać świat. A to stało się sygnałem buntu, który był tak piękny jak pożar!

I wszyscy zginęli jak mężczyźni.

## XIII

Tak więc próbowaliśmy śpiewem poetów oddziaływać na armię, która zaczynała się rozpadać. Ale zdarzał się czasem i taki dziw, że głos poetów nie wywierał żadnego wrażenia, że żołnierze wyśmiewali się z nich.

— Niech nam śpiewają o tym, co w naszych oczach jest prawdą. O fontannie tryskającej na dziedzińcu naszego domu i zapachu zupy gotowanej na wieczerzę. Te ich bzdury nic nas nie obchodzą.

Wtedy otwarły mi się oczy na nie znaną dotąd prawdę: że władzy utraconej odzyskać nie sposób. I że obraz królestwa utracił już moc życia. Albowiem obrazy umierają, podobnie jak rośliny, kiedy ich moc wyparuje i kiedy się staną podobne do martwego budulca ścian, gotowych rozpaść się za chwilę, albo do próchnicy, na której wyrosną nowe pędy. Bo nie ma rzeczy prawdziwszych ani mniej prawdziwych. Są tylko skuteczniejsze albo mniej skuteczne. A ja nie czułem już w ręku cudownego splotu różnorakich nici. Wszystkie wymykały mi się z dłoni. I moje królestwo jakby samo z siebie waliło się w gruzy; albowiem kiedy burza łamie konary cedru, a wiatr miecący piasek powleka go twardą skorupą, aż drzewo ustąpi przed siłą pustyni, to nie dlatego, aby wzmogły się siły pustyni, ale dlatego, że cedr się poddał i otworzył swoje wrota na przyjście barbarzyńców.

\* \* \*

Kiedy śpiewak śpiewał, wyrzucano mu czasem, że wyolbrzymia swoje uczucia. To prawda: patos zdał się brzmieć fałszywie i zdawał się przynależeć do jakiejś innej epoki. Czyż nie on sam się łudzi, powiadano, kiedy wyraża gorące uczucia w stosunku do kóz i owiec, domów i gór, gdy każde z nich jest oddzielną częścią? Nie powiązaną z innymi. Czy nie łudzi się miłością do rzecznych zakoli, którym nie zagrażają przecie niebezpieczeństwa wojny i za które nie warto przelewać krwi? A śpiewacy rzeczywiście czuli wyrzuty sumienia, jakby opowiadali bajdy dzieciom, które przestały już we wszystko wierzyć. . .

Poważni a tępi generałowie przychodzili do mnie z wyrzutami. „Ci śpiewacy śpiewają fałszywie!”, powiadali. A ja rozumiałem, dlaczego fałszują — bo śpiewali chwałę Boga, który już nie żył.

Wtedy poważni a tępi generałowie zapytywali mnie: „Dlaczego nasze wojsko nie chce już się bić?” Tak jakby zgorszeni przedstawiciele innego zawodu pytali: „Dlaczego ci ludzie nie chcą pracować przy żniwie?” Ale ja zmieniłem brzmienie pytania, bo w takim kształcie nie prowadziło do niczego. Tu nie chodziło o wykonywanie zawodu. Bezśłownie i z miłością zadawałem sobie pytanie: „Dlaczego oni nie chcą umierać?” I szukałem mądrej odpowiedzi.

Bo nie umiera się za owce ani za kozy, ani za domy, ani za góry. Albowiem rzeczy trwają nawet wtedy, kiedy nic nie jest za nie składane w ofierze. Umiera się zaś po to, żeby ocalić tę niewidzialną wież, która je wiąże i przemienia w jedną ojcowiznę, w królestwo, w znajomą, rozpoznawalną twarz. Człowiek daje siebie w zamian za tę jedność, ponieważ buduje ją nawet umierając. Śmierć jest tu opłacalna, bo za nią stoi miłość. A także ten, co powoli dawał swoje życie za dobrze wykonaną pracę, trwalszą od jego życia, za świątynię, która wędruje przez stulecia, przyjmuje swoją śmierć, jeżeli jego oczy potrafią odróżnić pałac od bezładnej masy budulca i jeśli potrafi go olśnić światłość i pragnienie, aby się z nim stopić. Gdyż obejmuje go coś, co jest od niego większe, a on oddaje się swojej miłości.

Ale jak mogą ludzie godzić się oddawać życie za sprawy niskie? Najważniejszą sprawą jest wola życia. Niezależnie od wszystkich wysiłków moi śpiewacy ofiarowywali żołnierzom fałszywe monety w zamian za ofiarę życia. Ponieważ nie umieli odstąpić przed nimi twarzy, która by się stała dla nich natchnieniem. Moi żołnierze nie mieli prawa umierać w miłości. Dlaczegoż by zatem mieli umierać?

A niektórzy spośród nich, ci, co jednak umierali z twardego obowiązku przyjmowanego bez zrozumienia, umierali w smutku, sztywni i z pustym wzrokiem, skąpiąc każdego słowa, zakrzepili w zniechęceniu.

Dlatego też szukałem w sercu jakiejś nowej nauki, która by ich przejęła — a potem, zrozumiawszy, że nie doprowadzi do niej żadne rozumowanie i żadna mądrość, bo trzeba tu stworzyć oblicze, tak jak rzeźbiarz narzuca kamieniowi ciężar swojej woli, modliłem się do Boga, żeby mnie oświecił.

\* \* \*

I przez całą noc czuwałem nad moim oddziałem, pośród piasku, który trzeszcząc wzbijał się w powietrze i kłębił nad wydmami, jakby odmotując z nich przędzę i motając na nowo, trochę dalej. Pośród nocy stojącej poza czasem, gdy księżyc to ukazywał się, to znikał w czerwonych, wlokących się z wiatrem dymach. I słuchałem, jak jeszcze nawołują się strażę z trzech krańców trójkątnego obozowiska — ale ich głosy były już tylko przeciągłym, nie wyrażającym żadnej wiary wołaniem, patetycznym, bo tak bardzo osamotnionym.

I mówiłem Bogu: „Nie ma nic, co mogłoby ich ogarnąć... Zużył się ich stary język. Więźniowie mojego ojca nie wierzyli, ale u ich boku stało silne królestwo.

Ojciec posłał do nich śpiewaka, za którego królestwo brało odpowiedzialność. I dlatego wszechmocą słów nawrócił ich w ciągu jednej nocy. Ale ta potęga nie do niego należała, tylko do królestwa.

A ja nie mam śpiewaka i nie mam prawdy, i nie mam płaszcza, abym stał się pasterzem. Czy muszą się więc zabijać wzajemnie, aż noc zacznie gnić od ciosów noża zadawanych w brzuch, od ran niepotrzebnych jak trąd? W czyje imię zdołam ich zebrać, aby stworzyli jedność?”

\* \* \*

Tu i ówdzie występowali fałszywi prorocy, którzy gromadzili dokoła siebie garstki ludzi. Ci wierni, choć nieliczni, ożywieni swoją wiarą byli gotowi za nią umrzeć. Ale wiara jednych była niczym dla drugich. Każdy z nich przeciwstawia się pozostałym. Powstawały w ten sposób małe wspólnoty, które dzieląc wciąż wszystko na prawdę i fałsz znienawidziły się wzajemnie. I to, co nie jest prawdą, zostało uznane za fałsz, a to, co nie jest fałszem — za prawdę. A mnie serce krwawiło, kiedy widziałem, że są gotowi umierać za prawdy złudne, ponieważ wiem, że błąd nie jest bynajmniej przeciwieństwem prawdy, ale innym układem, inną świątynią zbudowaną z tych samych kamieni, ani prawdziwszym, ani bardziej fałszywym od tego pierwszego. Zwraçałem się więc do Boga: „Naucz mnie, proszę, takiej prawdy, która stoi ponad ich cząstkowymi prawdami i obejmuje je wszystkie w sobie. Albowiem, jeśli zamiast wielu pożerających się wzajemnie roślin, uczynię jedno drzewo ożywione jedną duszą, wówczas każda gałąź wzmocni się pomyślnością pozostałych, a całe drzewo stanie się przykładem cudownej współpracy i wzrostem ku słońcu.

Czy moje serce nie jest dość pojemne, aby objąć ich wszystkich w sobie?”

Nadszedł również czas pośmiewiska dla cnotliwych i tryumfu dla kupców. Sprzedawano. Najmowano dziewice. Grabiono zapasy jęczmienia, które przygotowałem na wypadek głodu. Mordowano się. Ale ja nie byłem tak naiwny, aby wierzyć, że koniec królestwa jest wynikiem upadku cnoty; wiedziałem, aż nadto jasno, że to upadek cnoty wynikał z końca królestwa.

„Panie, mówiłem w sercu, daj mi taki obraz, za który ludzie gotowi by byli oddać siebie. A wtedy wszyscy wzrosną w siłę — bo wzrośnie w siłę każdy. A cnota stanie się znakiem tego, czym są.”



## XIV

Przepełniony milczącą miłością skazałem wielu na śmierć. Ale każda śmierć podsycala jeszcze podziemną lawę buntu. Bo ludzie godzą się z oczywistością. Ale to nie było wcale oczywiste. Nie bardzo rozumiano, w imię jakiej, pewnej jak słońce, prawdy umierał ten lub inny. I wtedy mądrość Boża udzieliła mi nauki dotyczącej władzy.

Bo władza nie rygiem się wyraża. A jedynie prostotą mowy.

\* \* \*

Rygor jest oczywiście niezbędny, żeby nową mowę narzucić, bo nie przemawiają za nią żadne racje — ani nie jest prawdziwsza, ani bardziej fałszywa, a tylko inna. Ale czy rygor zdołałby narzucić język, który sam z siebie dzieliłby ludzi, pozwalając im przeczyć sobie wzajemnie? Albowiem narzucić taki język to tyle, co narzucać podziały między ludźmi i naruszać rygor.

Mogę to natychmiast uczynić z własnej woli i upraszczając. Wtedy narzucam człowiekowi, aby stawał się inny, swobodniejszy i jaśniejszy, bardziej wielkoduszny i pełen zapału, a także bardziej spoisty w swoich pragnieniach; a kiedy się już taki stanie, jak łatwo mu przyjdzie odrzucić — niby postać larwy — swą dawną postać, jak sam zdumiewa się własnym dostojemstwem, jak się nim zachwyca, stając się sprzymierzeńcem mojego rygoru i jego żołnierzem. Ta tylko rola jest podstawą owego rygoru. Jest on jak ogromna brama: czasem nawet razy bicza każą stadu wejść w nią, aby się odmieniło i stało czymś innym. Ale oni nie są zmuszeni — oni są nawróceni.

Rygor nie jest jednak skuteczny wtedy, gdy ludzie przekroczywszy bramę, ogołoceni z nich samych i odrzuciwszy kokony, nie czują wyrastających skrzydeł; wtedy, zamiast chwalić cierpienie, które ich zrodziło, czują się smutni i okaleczeni i zwracają się ku brzegowi, który opuścili.

Wtedy krew ludzka napełnia rzeki i jest w tym smutek bezcelowości.

Ci, których karałem śmiercią, byli świadectwem, że nie potrafiłem ich nawrócić — byli dowodem mojej pomyłki. Wtedy ułożyłem taką modlitwę:

„Panie, za skąpy jest mój płaszcz i jestem złym pasterzem, nie umiejącym osłonić mojego ludu. Zaspokajam potrzeby jednych, ale naruszam potrzeby drugich.

Panie, wiem, że piękne jest każde pragnienie. Pragnienie wolności i pragnienie dyscypliny. Chleba dla dzieci i chleba składanego w ofierze. Nauki, która szuka, i szacunku, który godzi się na świat i kładzie fundamenty. Pragnienie hierarchii, które oddaje boską cześć, i pragnienie uczestnictwa, które rozdziela. Pragnienie czasu, który pozwoliłby na medytację, i pracy, która pochłania czas. Miłości duchowej, która umartwia ciało, a człowieka porywa wzwyż, i miłości litościwej, która leczy rany ciała. Pragnienie budowania przyszłości i ocalenia przeszłości. Wojny — która sieje ziarno, i pokoju — który zbiera plony.

Ale te przeciwieństwa istnieją tylko w sferze języka, a ilekroć człowiek wznie-  
sie się trochę, ogląda je z wysoka. I przeciwieństwa przestają istnieć.

Panie, chciałbym szlachetności moich wojowników i piękna świątyń; bo ludzie w tym się odnajdują i to nadaje sens ich życiu. Ale dzisiejszego wieczoru przechadzając się po mojej ukochanej pustyni, spotkałem małą zapłakaną dziewczynkę. Podniosłem jej twarzyczkę ku sobie, żeby jej zajrzeć w oczy. I jej smutek oślepił mnie. Jeżeli nie poznam tego smutku, odrzucę jakąś cząstkę świata i moje dzieło nie będzie dokończzone. To nie znaczy, że odwracam się od moich szczytnych celów — ale chcę pocieszenia dla tego dziecka! Bo tylko wtedy świat będzie uzdrowiony. Bo i ono także jest znakiem świata”.

## XV

Wojna jest czymś trudnym, kiedy nie jest naturalną skłonnością ani wyrazem silnego pragnienia. Moi generałowie, sumienni a głupi, obmyślali zręczne zabiegi taktyczne, dyskutowali i — zamiast działać — szukali doskonałości. I nic im się nie udawało. Zgromadziłem ich tedy i tak nauczałem:

— Nie możecie zwyciężyć, albowiem szukacie doskonałości. Ale doskonałość jest jak muzealny zabytek. Nie pozwalacie sobie na błędy i, zanim zaczniecie działać, chcielibyście wiedzieć, czy śmiały gest ma zapewnioną skuteczność. Ale czy można zapewnić sobie przyszłość? Nie będzie na waszej ziemi malarzy, rzeźbiarzy ani wynalazców, i nie będzie także zwycięstw. Bo powiadam wam: wieża obronna, miasto czy cesarstwo rosną tak, jak rośnie drzewo. Są to przejawy życia, gdyż nie mogą powstać bez człowieka. A człowiekowi zdaje się, że może wszystko wyliczyć. Wydaje mu się, że wznoszoną kamienną budowlą rządzi ludzki rozum, a ona tymczasem rodzi się z pragnienia. Całe miasto zawiera się w człowieku, w jego wyobrażeniu o mieście, podobnie jak drzewo jest zawarte w nasieniu. A wyliczenia tylko osłaniają to, czego człowiek pragnie. Tylko wyrażają. Bo nie wyjaśnia się drzewa wodą, którą piją korzenie, sokami mineralnymi czerpanymi z ziemi i słońcem, które użycza mu siły. I nie wyjaśnimy miasta mówiąc: „Oto dlaczego trzyma się sklepienie. . . Oto wyliczenia architektów. . .” Jeśli miasto ma powstać, zawsze się znajdą tacy, którzy dokonają dobrych wyliczeń. Ale ich rola jest tylko służebna. I jeśli takiego człowieka wysunąć na pierwsze miejsce, w przekonaniu, że jego ręce mogą stworzyć miasto — żadne miasto nie powstanie wśród pustyni. On bowiem wie, jak miasta się rodzą, ale nie wie, dlaczego. Lecz jeśli nieuczony zdobywca znajdzie się nagle wraz ze swoim plemieniem na skalistej, surowej ziemi, szybko ujrzy, jak lśni w słońcu trzydzieści kopuł nowo wzniesionego miasta. . . I będą to kopuły mocne jak konary cedru. Pragnienie zdobywcy stanie się bowiem miastem o trzydziestu kopułach i znajdzie on w tym celu tylu ludzi, którzy mu zrobią wyliczenia, ilu zapagnie.

— Toteż wy — mówiłem generałom — przegracie wojnę, bo nie pragniecie niczego. Nie pociąga was żadna stroma droga ku górze. W waszych decyzjach nie ma spójności, więc nie współdziałacie ze sobą, tylko niszcycie się wzajemnie. Popatrzcie na ciężki głaz. Toczy się aż na dno rozpadliny. Bo współdziałają z nim

wszystkie ziarna kamienia, drobne jak kurz, z których gład powstał, i wszystkie one ciążą w jednym kierunku. Spójrzcie na wodę w cysternie. Prze na ściany i czeka sposobnej chwili. Bo któregoś dnia taka chwila nadejdzie. Nocą i dniem, niestrudzenie, woda ciąży. Na pozór śpi, a przecież żyje. Wystarczy najmniejsza szczelina i oto woda rusza, sączy się, napotyka przeszkodę, omija ją, jeśli może, a gdy droga nie prowadzi do kolejnej szczeliny, otwierającej nowe przejście — jakby znowu usypia. Ale nie prześpi nowej sposobnej chwili. I tak, w niepojęty sposób, którego nie wyliczy nikt, samą siłą ciężenia zbiegnie z ocembrowanego basenu cały zapas wody.

Wasza armia jest jak morze, które nie chciałoby napierać na tamę. Jak ciasto bez zaczynu. Ziemia nie obsiana. Tłum ludzki bez pragnień. Wy tylko zarządzacie, zamiast prowadzić. Jesteście bezmyślnymi świadkami, niczym więcej. Zaś nieznane siły, które napierają na granice cesarstwa, poradzą sobie bez zarządzających i zatopią was jak przybierająca fala. Po czym wasi historycy, jeszcze głupsi od was, wyjaśnią wam przyczyny klęski. Stwierdzą, że nieprzyjaciel zawdzięcza swoje powodzenie mądrości, wyliczeniom i wiedzy. Ale ja powiadam, że woda, która przerywa wały i pochłania ludzkie miasta, nie potrafi wyliczać, nie ma ani mądrości, ani wiedzy.

Ja będę rzeźbił przyszłość jak artysta, który swoje dzieło wywodzi z marmuru uderzeniami dłuta. Odpadają okruchy jak łuski, które kryły twarz Boga. Znajdą się tacy, którzy powiedzą: w tym marmurze zawarty był Bóg. On go odnalazł. Jego trud był narzędziem. Ale ja powiadam, że on nie wyliczał, tylko tworzył wyobraźnią. Uśmiech na twarzy posągu nie składa się z potu, uderzeń dłuta, iskier, które ono krzesze, i marmuru. Uśmiech nie wywodzi się z kamienia, ale z twórcy. Wyzwól człowieka, a stanie się twórcą.

\* \* \*

A oto zgromadzenie moich sumiennych a głupich generałów. „Trzeba rozumieć — mówili sobie — dlaczego nasi ludzie są poróżnieni i dlaczego się nienawidzą.” Wezwali ich. Słuchali tego, co jedni zarzucali drugim, próbując pogodzić ich zdania, wprowadzić sprawiedliwość, jednemu zwrócić, co mu się należy, drugiemu odjąć, co posiadał niesłusznie. A jeśli nienawidzili się z zazdrości, próbowano dojść, kto ma rację. Ale niebawem generałowie stwierdzili, że nie rozumieją już nic a nic, tak wikłało się to wszystko, a każdy czyn okazywał się wieloznaczny: szlachetny, jeśli spojrzeć na niego z określonego punktu, podły — jeśli spojrzeć inaczej, zarazem okrutny i wzniosły. Narady trwały późno w noc. A ponieważ przestali sypiać, głupota ich rosła. Przyszli na koniec do mnie: „Nie ma wyjścia z tego bałaganu — powiedzieli — chyba tylko potop jak u Żydów!”

Ja jednak pamiętałem słowa ojca: „Jeśli ziarno zaczyna gnić, szukaj przyczyny nie w ziarnie; daj je do innego spichlerza. Kiedy ludzie się nienawidzą, nie słuchaj

głupich opowiadań, co jest przyczyną nienawiści. Bo nie brakuje przyczyn innych niż te, o których mówią, takich, które im samym nie przyszłyby do głowy. Podobnie jest z powodami miłości, albo wzajemnej obojętności. Słowa nigdy mnie nie interesują, gdyż wiem, że przynoszą tylko trudny do odczytania znak, podobnie jak kamienie użyte do budowy nie dają pojęcia o cieniu i ciszy, jaką daje budowla, ani włókna drewna nie tłumaczą, czym jest drzewo. Dlaczego więc miałoby mnie interesować tworzywo ich nienawiści? Budowali ją jak świątynię, z takich samych kamieni, które mogły być posłużyć im także do budowania miłości”.

Byłem więc po prostu świadkiem nienawiści, którą przystrajali w kiepsko wynalezione racje, i wcale nie miałem zamiaru leczyć ich starając się o nieskuteczną sprawiedliwość. Gdyż mogła ich tylko utwierdzić w wynajdywanych racjach, zaostrzając winy albo przewagi. Urazę tych, których bym potępiał, pychę tych, którym bym przyznał rację. Wykopałbym między nimi przepaść. Ja jednak pamiętałem mądrość mojego ojca.

Zdarzyło się, że na świeżo podbitych i niepewnych jeszcze terytoriach osadzał generałów, którzy mieli być pomocą dla namiestników. Podróżni przybywający z owych prowincji donosili nieraz ojcu:

— Tu a tu — powiadali — generał obraził namiestnika. Przestali ze sobą rozmawiać.

Przyjezdni z innej prowincji opowiadali:

— Panie, namiestnik żywi wrogość do generała. A trzeci znowu:

— Panie, błagają cię, żebyś rozsądził poważny spór. Generał i namiestnik oskarżają się wzajemnie.

Ojciec początkowo wysłuchiwał, jakie są powody niesnasek. Za każdym razem były oczywiste. Ktokolwiek czuje się obrażony, dąży do zemsty. Było to pasmo nikczemnych i nierozwiązywalnych sporów. Gwałtów i krzywd. I zawsze, oczywiście, musiał być ktoś, kto miał rację, i ktoś, kto jej nie miał. Ale ojca mężczyły te plotki.

— Mam ważniejsze rzeczy — mówił — niż zajmować się głupimi kłótniami. Wybuchają w moim kraju, jak długi i szeroki, za każdym razem inne, a w gruncie rzeczy podobne. To niepojęte — czyżbym za każdym razem dobierał takich generałów i namiestników, którzy się nie mogą wzajemnie znieść?

„Kiedy bydlę było trzymane w oborze zaczyna padać, nie przyglądaj się padłym sztukom, żeby odkryć chorobę. Przyjrzyj się oborze i spal ją.”

Zawołał zatem posłańca.

— Nie określiłem jasno ich uprawnień. Nie wiedzą, któremu z nich należy się pierwszeństwo na ucztach. Patrzą więc na siebie z urazą. Idą obok siebie aż do chwili, kiedy przychodzi zasiąść do stołu. Wtedy zwycięża, to jest zajmuje pierwsze miejsce ten, który jest bardziej grubiański albo mniej głupi. Drugi zaczyna go nienawidzić. Przysięga sobie, że następnym razem będzie mądrzejszy, pośpieszy się i sam siądzie wcześniej. A potem, naturalnie, odbierają sobie nawzajem żony,

uprowadzają stada, obrzucają się obelgami. Wszystko to są kompletne bzdury, ale oni cierpią naprawdę, bo wierzą, że to coś ważnego. Przeszanę po prostu słuchać ich wrzawy.

„Chcesz, żeby się kochali? Nie rzucaj im zatem ziarna, którym musieliby się dzielić. Niech jeden służy drugiemu. A ten drugi — cesarstwu. Wtedy się pokochają, wspierając się wzajemnie i razem budując.”

Za czym ukarał ich dotkliwie za niepotrzebny zamęt wynikający z kłótni. „Cesarstwu — powiadał — nie trzeba waszych skandalicznych zatargów. Generał, oczywiście, powinien słuchać namiestnika. Ukarzę więc namiestnika za to, że nie umiał sprawować władzy. A generała — że nie umiał słuchać. A obu radzę milczeć.”

Wtedy w całym kraju, jak długi i szeroki, zapanowała zgoda. Zwrócono sobie ukradzione wielbłądy. Cudzołożne małżonki wróciły do prawowitych mężów albo zostały odesłane ze wstydem. Krzywdy wynagrodzono. Temu, kto słuchał, pochlebiali pochwały z ust tego, który rozkazywał. I odnalazł radość. A rozkazujący był szczęśliwy, że okazując uznanie podwładnemu, okazuje własną potęgę. I w czasie uczt sam go prowadził na pierwsze miejsce.

— Oni nawet nie byli głupi — mawiał ojciec. — Rzecz w tym, że słowa nie mówią nic, co by zasługiwało na uwagę. Naucz się nie słuchać słów ulatujących z wiatrem ani rozumowań, którymi ludzie sami się okłamują. Patrz dalej. Ich nienawiść nie była bowiem pozbawiona sensu. Jeżeli każdy kamień nie zajmie miejsca, które mu jest przeznaczone, nie stanie świątynia. Gdy natomiast każdy kamień jest na swoim miejscu i służy świątyni, ważna jest tylko cisza, która króluje wewnątrz, i modlitwa, która się tam rodzi. A o kamieniach któż by chciał mówić?

Dlatego też nie zwracałem najmniejszej uwagi na generałów, gdy przychodzili prosząc, żebym w aktach szukał przyczyn ich waśni i żebym je sprawiedliwie rozsądzał. Ale w milczeniu i w miłości jechałem przez obozowiska i patrzyłem na ich nienawiść. A potem odchodziłem, żeby się modlić.

„Panie, przestali budować królestwo, więc są poróżnieni. Bo nieprawda, że przestali je budować dlatego, że są poróżnieni. Oświeć mnie, jaką wieżę kazać im budować, tak żeby różne pragnienia w nią się przemieniły. Żeby oddali się bez reszty budowie, a każdy, powołany do wielkości na własną miarę, osiągał pełnię szczęścia. Za krótki jest mój płaszcz i zły ze mnie pasterz, nie potrafię ich ukryć pod jego połą. Nienawidzą się, bo im zimno. Bo nienawiść to zawsze niespełnienie. Nienawiść ma zawsze jakiś głęboki sens, ale ten sens ją przerasta. Jest nienawiść pomiędzy różnymi roślinami, które się pożerają wzajemnie, ale nie ma jej w pojedynczym drzewie, gdzie każda gałąź rośnie pomyślnością innych. Użycz mi jednej fałdy Twojego płaszcza, a znajdą schronienie i moi wojownicy, i wieśniacy, mędrcy i małżonkowie, nawet małe płaczące dzieci...”

## XVI

Nie inaczej jest z cnotą. Moi generałowie, sumienni a głupi, tak mi mówili:

— Oto upadek obyczajów. Dlatego królestwo upada. Trzeba ustanowić surowsze prawa i wynaleźć surowsze kary. I winnym ścinać głowy.

A ja myślałem sobie:

Może istotnie trzeba ścinać głowy. Ale cnota jest przede wszystkim wynikiem określonych przyczyn. Zepsucie moich poddanych to w gruncie rzeczy zepsucie królestwa, które dla poddanych jest jak fundament. Gdyby ono było żywe i zdrowe, umacniałoby się ich szlachectwo duchowe.

Przypominam sobie także słowa ojca:

— Cnota jest doskonałością osiąganą w ludzkiej kondycji, a nie nieobecnością przewin. Jeśli chcę, żeby powstawała społeczność, biorę męty społeczne i wszelką hołotę i swoją władzę podnoszę ją do poziomu szlachectwa duszy. Otwieram przed tymi ludźmi możliwość innych upojeń niż te nędzne, które znali: rozbój, lichwę czy gwałt. Ich muskularne ramiona podejmują trud budowania. Pycha przekształca się w wieże, świątynie i mury miejskie. Okrucieństwo przemienia się w wielkoduszność, a twarde obyczaje — w surowy ład. Zaczynają służyć miastu, które z nich samych się zrodziło i z którym w głębi serc utożsamili siebie. Gotowi będą umrzeć w obronie jego warownych murów. Spójrz na nich wtedy, zobaczysz same najświetniejsze cnoty.

Ty zaś brzydzisz się potęgą ziemi, jej nędzną ziemską miazgą, zgnilizną i robactwem; domagasz się od człowieka, żeby przestał być sobą i żeby przestał cuchnąć człowiekiem. Potępiasz go, jeśli daje wyraz swojej siły. I władzę w królestwie dajesz kastratom. A oni ścigają występki, który jest tylko nie zatrudnioną siłą. Ścigają więc siłę i samo życie. Tak że z czasem stają się niby dozorczy wielkiego muzeum i strażnicy martwego królestwa.

\* \* \*

— Bo cedr — mówił ojciec — żywi się ziemskim pyłem, ale przemienia go w gęste listowie, a ono, z kolei, żywi się słońcem.

— Cedr — powtarzał mi nieraz — jest doskonałością prochu. To proch, który stał się cnotą. Jeżeli chcesz ocalić królestwo, daj wewnętrzny ogień. On pociągnie ku sobie ludzkie dążenia. I te same czyny, te same dążenia, pragnienia i wysiłki będą umacniać miasto, zamiast je niszczyć.

\* \* \*

A powiadam ci jeszcze i to:

— Umrze miasto, jeżeli budowa jego będzie zakończona. Gdyż jego mieszkańcy żyli nie tym, co otrzymywali, ale tym, co dawali. Gdy zaczną wydierać sobie poczynione zapasy, staną się z powrotem jak wilki w legowiskach. A jeśli poskromisz ich okrutnie, staną się z kolei jak bydło w oborze. Budowy miasta nie można zakończyć. Tylko wtedy mówię, że skończyłem dzieło, kiedy zabraknie mi wewnętrznego ognia. Ludzie umrą wtedy, albowiem już są umarli. A doskonałość nie jest bynajmniej osiągnięciem celu. To przemiana, utożsamienie się z Bogiem. Nigdy nie zakończyłem budowy mego miasta. . .

\* \* \*

Dlatego też nie sądziłem, że wystarczy ścinać ludziom głowy. Oczywiście — jeśli jeden z nich jest skażony, trzeba go odciąć od reszty, aby nie zakaził innych, podobnie jak ułożony owoc wyrzuca się z piwnicy i z obory chorą sztukę bydła. Lepiej jednak zmienić piwnicę lub oborę, bo w nich przede wszystkim jest przyczyna zła.

Dlaczego karać tego, którego można nawrócić? Tak więc modliłem się do Boga: „Panie, użyj mi choćby jednej fałdy Twego płaszcza, a osłonię nim wszystkich ludzi i całe bogactwo ich wielkich pragnień. Dość mam gnębienia, z obawy, że skażą moje dzieło, tych, których nie potrafię osłonić. Albowiem widzę, że zagrażają innym, a także wątpliwym skarbowi mojej prawdy, która nie jest wieczna, ale widzę i to, że są szlachetni i że oni także niosą mi prawdę”.



## XVII

Dlatego zawsze gardziłem słowami, które są jak wiatr — puste. I byłem podejrzliwy w stosunku do sztuczek języka. A kiedy moi sumienni a głupi generałowie powiadali: „Lud się buntuje, radzimy ci, bądź zręczny...”, odsyłałem ich precz. Bo zręczność to puste słowo. W dziele tworzenia nie ma miejsca na wybiegi. Buduje się to, czym się jest, i nic więcej. A jeśli dążąc do pewnego celu, będziesz twierdził, że zmierzasz do innego, tylko ten cię uzna za zręcznego, kto daje się oszukać słowom. Gdyż to, co budujesz, jest w gruncie rzeczy tym, do czego zmierzasz, i niczym więcej. Budujesz to, co cię zaprząta, i nic więcej. Nawet wtedy, gdy cię to zaprząta dlatego, że jest bronią w walce. Buduję sobie wroga i wydaję mu walkę. Wytapiam go w ogniu i hartuję. A jeżeli rzekomo w imię przyszłej wolności utwierdzam przymus, przymus buduję, nie co innego. Życiu trzeba stawać naprzeciw twarzą w twarz. Drzewa nie da się oszukać: tak mu każemy rosnać, jak chcemy je ukształtować. Cała reszta to słowa puste jak wiatr. A jeśli twierdzę, że poświęcam swoje pokolenie dla szczęścia pokoleń przyszłych, poświęcam ludzi. Nie tych czy innych, ale wszystkich. Zamykam ich po prostu w ich nieszczęściu. Cała reszta to słowa puste jak wiatr. I jeżeli prowadzę wojnę, żeby uzyskać pokój, buduję wojnę. Pokój nie jest stanem, który można osiągnąć poprzez wojnę. Jeśli wierzę w pokój wywalczony bronią, zgine, rozbroiwszy się. Gdyż pokój można osiągnąć tylko budując pokój. Tylko otrzymując go i chłonąc, i gdy każdy w moim królestwie znajdzie wyraz swoich własnych pragnień. Tylko niewydolność języka przeciwstawia sobie ludzi wzajemnie: pragną bowiem wszyscy tego samego. Nie spotkałem nigdy człowieka, który by pragnął nieładu, podłości czy zniszczenia. Jak świat długi i szeroki ludzie noszą w sercach ten sam obraz i to samo chcieliby budować; jedynie drogi do celu różnią się między sobą. Jeden sądzi, że wolność pozwoli człowiekowi osiągnąć pełnię, drugi — że przymus ustanowi jego wielkość, ale obaj tak samo pragną wielkości. Jeden sądzi, że połączy ich miłosierdzie, drugi gardzi dobrocią, która wydaję mu się czcią dla ułomności, i zmusza człowieka, aby budował wieżę, a to dzieło stopi wszystkich w jedno. A obaj pracują w imię miłości. Jeden sądzi, że podstawowym problemem jest dobrobyt, gdyż człowiek, wolny od ciężarów, znajdzie czas, aby rozwijać swoje serce, duszę i umysł. Drugi natomiast uważa, że jakość serc, umy-

słów i dusz nie wiąże się z dostarczaniem pokarmem ani ułatwieniami, ale z tym, czego się od ludzi wymaga. I sądzi, że piękne są tylko te świątynie, których domagał się Bóg i które są ciężko opłacone. Ale obaj pragną piękna dusz, umysłów i serc. I obaj mają rację: bo czy można rosnąć żyjąc w niewoli, okrucieństwie i ośpieniu? A czy można wzrastać pośród rozwiązłości, czci oddawanej zgniliznie i bezpłodnych zajęć — próżniaczych rozrywek?

I oto ci ludzie, na skutek słów, które nie obejmują prawdy i w imię tej samej miłości chwytają za broń. I zaczyna się wojna — szukanie i pęd bezładny, ale nieodwołalny, jak w owym poemacie o drzewie, które, zrodzone bez światła, parło na mury więzienia, póki nie przebiło sobie wąskiego okna i śmignęło wtedy prosto ku słońcu, nareszcie proste i wspaniałe.

Pokoju nie można narzucić. Jeśli chce tylko pokonać wroga, buduje jego wrogość i urazę. Wielkość jest tylko w nawracaniu, a nawracać kogoś, to brać od niego. To dawać każdemu szatę, która mu przystoi, aby czuł się w niej dobrze. I każdemu taką samą szatę. Bo każda sprzeczność jest niedostatkami natchnienia.

Dlatego modłę się znowu:

„Oświeć mnie, Panie. Dozwól mi rosnąć w mądrości, abym potrafił godzić ludzi między sobą, nie wymagając, żeby zaparli się swego wewnętrznego ognia. Ale godzić ich, ukazując nowe a wspólne im oblicze spraw. Tak jest i na statku żaglowym! Ci, którzy bezmyślnie ciągną liny na prawej burcie, walczą z tymi, co ciągną je na burcie lewej. Nie wiedząc o sobie, gotowi są siebie znienawidzić. Ale wiedząc, będą pracować zgodnie, jedni i drudzy służąc sile wiatru”.

Pokój jest jak rosnące powoli drzewo. Podobnie jak cedr, musimy wrosnąć jeszcze w niejeden głąz, żeby ugruntować jego jedność. . .

Zbudować pokój to zbudować szopę tak wielką, żeby mogło w niej sypiać całe stado. Pałac tak wielki, żeby się w nim spotkali wszyscy ludzie i żeby pomieścili w nim cały swój dobytek. Nie w tym rzecz, żeby ich okaleczać i żeby okaleczeni w nim wytrzymali. Budować pokój to wyprosić od Boga, aby użyczył nam swojego płaszcz pasterskiego, i zgromadzić pod Nim ludzi razem z ich nieogarnionymi pragnieniami. Podobnie matka kocha swoich synów. Jeden jest nieśmiały i czuły. W drugim pali się chęć życia. Trzeci może garbaty, chorowity i niezręczny. A przecież wszyscy, tak różni między sobą, mają miejsce w jej sercu. I każdy, kochając ją na swój sposób, przysparza jej chwały.

Ale pokój jest drzewem budowanym powoli. Potrzeba mu więcej światła, niż ja mogę dać. I nic tu nie jest pewne. Wybieram, odrzucam. Nazbyt łatwo byłoby czynić pokój, gdyby wszyscy od początku byli do siebie podobni.

\* \* \*

Tak więc na darmo poszła zręczność moich generałów, kiedy, sumienni a głupi, przyszedli, abym wysłuchał ich rozumowania. I przypomniałem sobie słowa ojca: „Sztuka rozumowania, która pozwala mylić się człowiekowi. . .”

— Nasi poddani przestają dbać o dobro królestwa, albowiem zniewieścili w wygodach. Zahartują się, kiedy zgotujemy im przeciwności, a królestwo zostanie wtedy ocalone.

Tak mówią profesorowie, przechodzący od przesłanki do wniosku i tak dalej. A tymczasem życie istnieje. Istnieje jak drzewo. Łodyżka nie jest środkiem, dzięki któremu z kielka wyrośnie gałąź. Łodyżka, kielk i gałąź — wszystko to składa się na wzrastanie drzewa.

Przekonywałem ich zatem, że jest inaczej: jeśli nasi poddani stają się zniewieścili, to dlatego, że martwe jest obecne w nich królestwo, którym żywiła się ich siła żywotna. Podobnie jest z drzewem cedrowym, kiedy wyczerpie się w nim pęd życiowy. Przestaje wówczas przemieniać żwir i kamienie w cedrowe drewno. Zaczyna ginąć wśród pustyni. Więc i tych ludzi trzeba natchnąć siłą, aby się nawrócili. . . Generałowie nie potrafili jednak pojąć mojej łagodności, a ja zezwalałem, żeby robili to, co dotąd; wysyłali zatem do walki ludzi, którzy zabijali się wzajemnie przy studni, której nikt nie chciał zdobywać, gdyż była od dawna wyschła, ale gdzie właśnie było obozowisko nieprzyjacielskie.

Jest istotnie coś pięknego w strzelaniu przy studni, niby w tańcu dokoła kwiatu, bo ten, kto ją zdobędzie, zaślubia ziemię i odnajduje smak zwycięstwa. A wróg snuje się gdzieś w tyle, jak kruki, które zrywając się spłoszone ludzkim krokiem zbijają się w chmurę i siadają tam, gdzie nic im nie zagraża. Za twoimi plecami piasek, wśród którego znikł nieprzyjaciel, staje się jak proch. Podejmujesz męską grę: o życie i o śmierć. Jakbyś tańczył dokoła punktu oznaczającego centrum, jakbyś oddalał się i zbliżał ku czemuś.

Jeśli zaś w walce chodzi tylko o źródło, które już nie bije, gra jest czym innym. Wiesz, że studnia nie służy niczemu i że walka nie ma żadnego sensu, podobnie jak kostki do gry, jeśli stawką nie jest twój majątek. Widząc, jak ludzie grają w kości i mordują się za oszustwo w grze, moi generałowie uwierzyli w sens gry w kości. Studnia stała się w tej grze jak kostka, na którą gracz nic nie postawił. Ale nikt się nie morduje za oszustwo, kiedy kości do gry nie wyobrażają stawek.

Moi generałowie nie rozumieli też głębiej miłości.

Widzieli, jak zakochany cieszy się o świcie, bo dzień budząc go przynosi mu miłość. I jak wojownik cieszy się o świcie, bo dzień budząc go przynosi mu u kresu marszu zwycięstwo, które on czuje już w każdym mięśniu ciała i które wybucha w nim śmiechem.

A oni natomiast wierzą w potęgę samego świtu, nie w potęgę miłości.

Ja zaś powiadam, że bez miłości niepodobna nic zrobić. I kości znudzą cię, jeśli nie będą napełnione sensem twoich pragnień. I świt ci będzie nudny, jeśli będzie tylko dalszym ciągiem twojej nędzy. I nudę tylko da śmierć w obronie studni, jeśli studnia niczemu nie służy.

Prawda, że im cięższa praca, w której się spalasz, tym więcej ci daje radości. Im więcej dajesz, tym bardziej rośniesz. Ale musi być ktoś, kto będzie brał. I nie jest daniem tracić na darmo.

Moi generałowie, widząc, jak ludzie potrafią dawać z radością, nie wyciągnęli prostego wniosku, że musi istnieć ktoś, kto bierze. Nie rozumieli, że zabrać coś człowiekowi to jeszcze nie dość, żeby mu dać radość.

Spotkałem kiedyś rannego, który mi mówił z goryczą:

— Ja umrę, Panie. Dałem swoją krew i nie dostałem nic w zamian. Patrzyłem, jak umierał wróg, którego ugodziłem kulą w brzuch, nim go pomścił jeszcze ktoś inny. Wydało mi się, że w śmierci znalazł swoją pełnię, tak bez reszty oddany był temu, w co wierzył. Jego śmierć nie poszła na marne. Ja natomiast, posłuszny rozkazowi rzuconemu przez mojego kaprała, nie przez kogoś, kto — sam nim bogatszy — rozkazowi nadaje cenę, umieram z godnością, ale pusty.

Pozostali żołnierze uciekli.

## XVIII

Dlatego też, pewnego wieczoru, wspiąwszy się na czarną skałę, patrzyłem na moje obozowisko tworzące trójkąt na płaszczyźnie równiny; na jego trzech wierzchołkach nie brakowało straży, nie brakowało strzelb ani prochu, a przecież, czując, że cały obóz może za chwilę stąd zniknąć, rozwiać się i rozproszyć jak stos suchych gałęzi, z góry rozgrzeszałem tych ludzi.

Rozumiałem już. Umiera gąsienica, kiedy zamienia się w poczwarkę. Umiera roślina, kiedy zawiązuje się ziarno. Każdy, przemieniając się, odczuwa smutek i niepokój. Wszystko w nim staje się zbędne. Każdy, przemieniając się, jest jak pełen żalu cmentarz. Podobnie ludzkie rzesze, czekające na przemianę, gdy zużyło się już stare królestwo i nikt go odmłodzić nie zdoła. Nie ma lekarstwa ani dla gąsienicy, ani dla rośliny, ani dla dziecka, które dojrzewa, a chciałoby odzyskać szczęście wracając do dzieciństwa, tak aby zabawy już nudne teraz znów stary się barwne, a ramiona matczyne i smak mleka — znów słodkie, ale nie ma już ani kolorowych zabaw, ani ucieczki w matczyne ramiona, ani słodyczy w mleku — i dziecko odchodzi smutne. Gdy zużyło się stare królestwo, ludzie, nawet nie wiedząc o tym, domagają się królestwa nowego. Dziecko, które dojrzało i odwykło od matki, znajdzie ucieczkę dopiero znalazłszy kochaną kobietę. Ona jedna da mu znowu wewnętrzną jedność. Ale kto ludziom pokaże ich nowe królestwo? Kto z zamętu świata, samą siłą swojego natchnienia, wyprowadzi jego nową postać, kto zmusi świat, aby zwrócił ku niej oczy i aby ją rozpoznał? A rozpoznawszy pokochał? To nie dla logika zadanie, ale dla artysty, dla rzeźbiarza. Bo ten tylko kuć zdoła w marmurze, kto nie szuka dla siebie wyjaśnień, a w marmurze odcisnie się wtedy jego moc budzenia miłości.

## XIX

Wezwałem zatem architektów i rzekłem do nich: — Od was zależy, jakie będzie miasto przyszłości, nie jego sens duchowy, ale oblicze widoczne, wyraz jego istoty. Uważam oczywiście, tak jak wy, że idzie o to, aby ludzie mieszkali w nim szczęśliwi. Aby korzystali z miejskich udogodnień i nie tracili sił na zbędne utrudnienia i bezpłodne prace. Ale od dawna nauczyłem się rozróżniać to, co ważne, od tego, co pilne. Pilne jest, rzecz jasna, żeby człowiek jadł, gdyż bez pożywienia nie będzie człowieka i w ten sposób problem przestanie istnieć. Ale miłość, sens życia i smak rzeczy boskich są ważniejsze. Gatunek ludzki, który obrasta w tłuszcz, nie zasługuje na zainteresowanie. Nie stawiam więc sobie pytania, czy człowiek będzie, czy też nie będzie szczęśliwy, czy będzie żył w dostatku i wygodzie. Pytam przede wszystkim o to, jaki człowiek będzie dostatni, szczęśliwy i wygodnie żyjący. Gdyż od wzbogaconych przekupniów, których rozpiera poczucie bezpieczeństwa, wolę koczujący lud, w wiecznej gonitwie, ścigający wiatr, bo służąc panu tak wielkiemu pięknieje z każdym dniem. Gdybym musiał wybierać, to wiedząc, że Bóg pierwszym odmawia swojej wielkości, a daje ją drugim, rzuciłbym mój lud na pustynię. Bo miłe mi światło, jakie daje z siebie człowiek. Nie trzeba mi opasłej świecy. Tylko płomieniem mierzy się jej wartość.

Ale nie zauważyłem też, aby księżę niżej stał od ładowacza, ani generał od sierżanta, ani majster od czeladnika, choć w większej mierze korzystają z dóbr. I nie stwierdziłem, aby ci, co wznoszą mury z brązu, byli gorsi od tych, co lepiają mury z gliny. Nie odrzucam bynajmniej zdobyczy człowieka, które pozwalają mu wstępować — jak po schodach — coraz wyżej. Ale nie chcę pomylić celu ze środkiem, schodów ze świątynią. Konieczne jest, aby schody dawały dostęp do świątyni, w przeciwnym razie będzie to świątynia bezludna. Ale ważna jest tylko świątynia. Konieczne jest, aby rodzaj ludzki trwał i miał do dyspozycji to, co pozwala mu wzrastać. Ale to wszystko tylko schody, prowadzące do człowieka. Dusza, którą mu zbuduję, będzie jak bazylika, bo tylko ona jest ważna.

Potępiam was więc nie za to, że zależy wam na zwykłym życiu. Ale za to, że traktujecie je jako cel. Konieczne są — rzecz jasna — pałacowe kuchnie, ale koniec końców ważny jest tylko pałac, któremu kuchnie powinny służyć. Jeśli więc wzywam was i pytam: „Co w waszej pracy jest ważne? Powiedzcie!” A wy stoicie

bez słowa. I mówicie mi: „Zaspokajamy potrzeby ludzkie. Budujemy domy, które ich chronią”. No tak. Tak się zaspokajają potrzeby bydła, gdy się je stawia w oborze, na podściółce. Naturalnie, człowiek potrzebuje murów, w których spoczywa jak ziarno w ziemi. Ale potrzebuje także bezkresnej Mlecznej Drogi i przestrzeni morza, choć ani gwiazdne konstelacje, ani ocean nie służą mu w danej chwili na nic. Bo cóż to znaczy służyć? Znam ludzi, którzy długo i z trudem wspinali się na szczyt górski, raniąc sobie dłonie i kolana, aż znużeni wspinaczką, przed świtem weszli na wierzchołek pojąc się głębią jeszcze błękitnej równiny, tak jak inni szukają jeziora, żeby pić z jego wody. A znalazłszy się tam, siadają i patrzą, i oddychają głęboko. I serce bije im radośnie, i to jest najpotężniejszy lek na niesmak życia.

Znam także takich, których karawany, krocząc powoli, szukają morza i którzy morza potrzebują. Wstąpiwszy na skalny cypel patrzą z góry na cichą, równą głębinę, kryjącą przed ich wzrokiem bogactwo alg i koralów, wdychają ostrość soli i zachwycają się widokiem, który nie służy im w danej chwili do niczego, gdyż morza nie da się pochwycić. Ale ich serca zostają obmyte z niewoli drobnych spraw. Może z obrzydzeniem, jakby zza krat więzienia, patrzyli na czajniki i inne domowe statki i narzekające kobiety. Na całą codzienność, z której dopiero trzeba wytopić kruszec, której twarz można odczytać, nadając sens rzeczom, ale która czasem zamyka nas jak nieprzenikniony kamień grobowy.

Wtedy zabierają ze sobą tę szeroką przestrzeń jak skarb i wracają do domów z poczuciem szczęścia, które tu znaleźli. I domy ich zmieniają się przez sam fakt, że gdzieś tam jest równina o świcie i morze. Bo wszystko otwiera się na wymiar większy niż własny. Każda rzecz staje się ścieżką, drogą i oknem na coś, co jest poza nią.

Więc nie wolno wam twierdzić, że człowiekowi wystarczą wasze zwykłe mury. Gdyż jeśli człowiek nigdy nie widział gwiazd, czy wy, mogąc zbudować dla niego Mleczną Drogę na ogromnych arkadach, choćby wystawienie takiej kopuły miało pochłonąć fortunę, śmielibyście powiedzieć, że byłyby to pieniądze wyrzucane na darmo?

Dlatego powiadam wam: Jeżeli świątynia zdaje się niepotrzebna, gdyż ani w niej gotują, ani odpoczywają, i nie służy ani zgromadzeniom starszych, ani przechowywaniu wody, ale tylko poszerzeniu człowieczego serca i uspokojeniu zmysłów, i dojrzywaniu czasu, jak piwnica, w której dojrzewa owoc, i gdzie serce kosztuje przez parę godzin pokoju i uciszenia, i łagodnej sprawiedliwości; jeśli więc budujecie świątynię, gdzie ból staje się hymnem i ofiarą, a groźba śmierci — portem dojrzanym na wygładzonych wreszcie wodach, czy będziecie sądzić, że wasz wysiłek poszedł na marne?

I czy sądziłbyś, że na darmo poszła praca, która otwiera czasem wstęp do portu tym, którzy w dni burzy ranią sobie dłonie stawiając żagle, i którzy dniem i nocą walczą z falami, aż stają się jak ciało odarte ze skóry pod drażniącym dotykiem

soli? Tu wody są spokojne i świetliste, tu nie ma płynącego czasu, wysiłku ani ciężkiej walki, tylko cisza wodnej tafli, ledwie zmarszczonej, gdy ogromny statek nadchodzi, aby zająć swoje miejsce w basenie. I woda gładka jak w cysternie zdaje się słodka tym, którzy znają wszystkie zwichrzenia potężnej piersi morza, wszystkie jego rozwiane grzywy.

Oto, co jesteś zdolny ofiarować człowiekowi i co zależne jest tylko od twojego natchnienia. Samym układem kamieni budujesz smak wody śpiącej w porcie i smak ciszy, i najpiękniejszych nadziei.

Tak więc twoja świątynia wzrusza ich i wśród jej ciszy szukają siebie samych. I znajdują się. W przeciwnym razie wzruszałyby ich tylko kramy. Odzywałby się w nich tylko nabywca odpowiadający na wołanie przekupnia. I nie narodziłby się do własnej wielkości. Nie poznaliby swoich wymiarów.

„No tak — powiesz mi — tłuści przekupnie są zadowoleni i nie domagają się niczego więcej. Człowieka o ciasnym sercu nietrudno nasycić zadowoleniem.”

No tak, a wasze dzieła głupota nazywa zbędnymi. Ale ludzkie postępowanie niezbitie zaprzeczy takim opiniom. Czy widzicie, jak ludzie ze wszystkich krajów świata gorączkowo szukają kamiennych arcydzieł, których tworzenia już zaprzestaliście? Tych spichlerzy dla serc i dusz. Czy widział kto człowieka wędrującego po świecie, aby obejrzyć składy towarów? Prawda, że człowiek korzysta z towarów, ale po to, żeby żyć, i okłamuje sam siebie, jeśli sądzi, że ich przede wszystkim pragnie. Podróże co innego mają na celu. Widziałeś, jak ludzie jeżdżą tu i tam. A czy zastanawiałeś się, w jakim celu? Czasem istotnie chcą zobaczyć cudownie piękną zatokę albo górę o zaśnieżonym szczycie, albo jakiś wulkan coraz grubiej pokryty warstwą swoich wydzielin; ale przede wszystkim chcą oglądać owe zatopione nawy, które wiedziały, gdzie wiozą człowieka.

Zwiedzają je zatem i obchodzą dokoła, marząc nieświadomie, że weszli na pokład i ruszają w podróż. Albowiem oni nie jadą donikąd. A te świątynie nie wypełniają się już ludźmi, których uwożą i przemieniają w jakiś szlachetniejszy gatunek człowieka, gdy stają się niby kokon, z którego wyleci motyl. Emigranci nie mają zaś tych kamiennych statków, na które mogliby wsiąść i niemożliwa jest dla nich przemiana, która w ciągu przeprawy dusze biedne i słabe przekształca w bogate i szlachetne.

I dlatego wszyscy ci zwiedzający obchodzą wokół taką pogrzebaną świątynię, szukają czegoś, oglądają i chodzą po wielkich nagrobnych płytach, tak wytartych krokami, że już lśniących; zagubieni w lesie granitowych filarów, słuchają, jak w dostojnej ciszy odzywają się echem ich samotne głosy, i sądzą prostodusznie — podobnie jak historycy — że uczą się tutaj; a przecież przyśpieszone bicie ich serc mogłoby im powiedzieć, że krążąc wśród filarów z sali do sali i z jednej nawy do drugiej szukają jednego: kapitana; i że wszyscy, nie znając go, z dygocącym sercem wołają o pomoc, która nie przychodzi, czekają na przemianę, ale nadaremno, i z powrotem zapadają w głąb własnego losu, bo nie ma już nic poza świątynią-



mi martwymi, na pół zasypanymi piaskiem, nic poza statkami, które poszły na dno, a zapasy ciszy i cienia, które się w nich kryją, nie są zabezpieczone; i woda sączy się do wewnątrz ze wszystkich stron, przez zawalone sklepienia ukazujące wielkie arkady błękitnego nieba czy przez szczeliny murów wraz z sypiącym się piaskiem. I czują głód, i jest to głód, który nie będzie zaspokojony. . .

Tak więc, powiadam wam, będziecie budować, albowiem dobry jest dla człowieka głęboki las i Mleczna Droga, i szafirowa dolina widziana ze szczytu góry. Ale czym jest bezkres Mlecznej Drogi, szafirowych równin czy morza przy mrocznym bezkresie kamiennego wnętrza, jeśli architekt potrafił je wypełnić ciszą? I wy także, architekci, staniecie się więksi, jeśli odrzucicie upodobanie w tym, co zwykłe. Narodzić się można tylko z dzieła prawdziwego, w które — tworząc — przelejecie samych siebie, bo nie ono będzie wam służyć, ale was zmusi, abyście mu służyli. I porwie was poza granice was samych. Bo czy mogą narodzić się wielcy architekci, kiedy w ich dziełach nie będzie wielkości?

A wielcy staniecie się tylko wtedy, kiedy kamienie, w które przelewacie waszą moc, przestaną być przedmiotem waszych rywalizacji, wygodnym schronieniem o codziennym przeznaczeniu, a staną się fundamentem i schodami wiodącymi do Boga, statkami, które ku Niemu ludzi wiozą.

## XX

Znużony już byłem rozważaniami moich sumiennych a głupich generałów. Zebrali się, niby na jakiś kongres, i radzili na temat przyszłości. Chcieli okazać w ten sposób swoją zręczność. Bo nauczono ich przede wszystkim historii, tak że znali wszystkie, co do jednej, daty moich zwycięstw i przegranych, a poza tym daty narodzin i śmierci. Wydawało się im więc oczywiste, że fakty wpływają jedno z drugich. Historię ludzką widzieli zatem na podobieństwo drugiego łańcucha przyczyn i skutków, biorącego początek w pierwszej linijce podręcznika historii a ciągnącego się aż do tego rozdziału, w którym — na użytek przyszłych generałów — zapisane było, że tak oto dzieło tworzenia znalazło swoje szczęśliwe zakończenie w aktualnej generalskiej konstelacji. Podniecając się nadmiernie, przechodząc poprzez kolejne przyczyny i skutki, przewidywali przyszłość. Albo też przychodzili do mnie z bagażem swoich rozumowań: „Dla szczęścia ludzkości i dla pokoju albo dla pomyślności królestwa powinieneś działać tak a tak. Jesteśmy mędrkami — powiadali — badaczami dziejów ludzkich...”

Ja zaś wiedziałem, że znać można tylko to, co jest powtarzalne. Człowiek, który zasiewa ziarenko cedru, przewiduje wzrost drzewa, podobnie jak ten, kto rzuca kamieniem, przewiduje, że kamień upadnie na ziemię; albowiem każdy cedr jest powtórzeniem innego drzewa cedrowego, a kamień upadający powtarza wcześniejszy upadek innego kamienia, choćby ten właśnie nigdy dotąd nie był rzucony, ani to ziarenko nigdy dotąd nie zasiane w ziemi. Ale kto może poszczycić się, że przewidzi przeznaczenie cedru jako gatunku, który podlega ciągłym przemianom, z ziarenka w drzewo i z drzewa w ziarenko, z jednej poczwarki w następną? To stawanie się: geneza, której z niczym nie można równać. To wykształcanie się nowego gatunku, które nie powtarza żadnego wcześniejszego procesu. Dokąd zdąża — nie wiem. Podobnie nie wiem, dokąd zmierza gatunek ludzki.

Moi generałowie, szukając i znajdując przyczyny pokazanych im skutków, zachowują się logicznie. Powiadają mi, że każdy skutek ma swoją przyczynę i każda przyczyna — skutek. I tak, pośród nadmiaru przyczyn i skutków, idą prosto w błąd. Bo czym innym jest cofać się od skutków do przyczyn, niż od przyczyn dochodzić do skutków.

\* \* \*

I ja także na nietkniętym, wygładzonym jak puder piasku odczytywałem dzieje wroga. Wiedziałem, że kroki postępują zawsze jeden po drugim, a łańcuch składa się z ogniw i nie może w nim zabraknąć żadnego ogniwa. Gdyby nie zerwał się wiatr i sypiąc piaskiem nie zatarł z pogardą jak uczniowskiej tabliczki tej zapisanej stronicy, idąc za tropem, mógłbym dotrzeć do przyczyny wszelkiej rzeczy, lub też, zdążając śladem karawany, zaskoczyć ją w jakiejś rozpadlinie, gdzie obrała miejsce postoju. Ale w trakcie lektury nie zyskałem informacji, które pozwoliłyby mi uprzedzić karawanę na jej drodze. Gdyż prawda rządząca jej ruchem należy do innej kategorii niż piasek, który mam przed sobą. A wiedza odczytywania śladów jest wiedzą jałową o odbiciu rzeczywistości, wiedzą, która nic mi nie powie ani o nienawiści, ani o strachu, ani o miłości, najpotężniej rządzącej człowiekiem.

— A zatem — powiedzą mi generałowie, sumiennie utwierdzeni w swojej głupocie — wszystko da się wywieść rozumowo. Jeśli poznam nienawiść, strach albo miłość rządzącą ludźmi, będę mógł przewidzieć ich postępowanie. Przyszłość jest więc zawarta w teraźniejszości. . .

A ja odpowiem im na to, że zawsze mogę przewidzieć następny krok posuwającej się karawany. Ów kolejny krok będzie bowiem z pewnością powtórzeniem poprzedniego, zarówno co do kierunku, jak co do długości. Jest to wiedza o tym, co się powtarza. Ale ta sama karawana zejdzie za chwilę z drogi wytyczonej moją logiką, kiedy ożywi ją nowe pragnienie. . .

A ponieważ nie mogli mnie zrozumieć, opowiadałem im o wielkiej wędrówce.

\* \* \*

Było to w pobliżu żup solnych. Ludzie, chcąc nie chcąc, kryli się w królestwie mineralnym, bo nic tu nie sprzyjało życiu. Słońce było uciążliwe i pałało. Zaś wnętrzości ziemi, zamiast czystej wody, wydawały tylko podłużne kawały soli, które by wodę zabiły, gdyby źródła wcześniej już nie wyschły. Uwięzieni pomiędzy gwiazdami i kryształami soli, ludzie, którzy przybywali tu z daleka z pełnymi bukłakami, rzucali się w pośpiechu do pracy i rydlami wyłupywali te przejrzyste gwiazdy — symbole życia i śmierci. Potem wracali spieszenie do swoich ziem szczęśliwych i wód dających żyzność, jakby związani z nimi sznurem płodowym.

Słońce było tu więc ostre, twarde i białe jak gład. Tu i ówdzie wokół kopalni wyrzynały się z piasku skały — warstwy hebanu twardego jak czarny diament, a wiatry, bezsilne, próbowały wgryzać się w ich wierzchołki. Każdy, komu nieobce były wielowiekowe tradycje tej pustyni, wiedział, że są i że trwać będą niezmiennie całe stulecia. Góry ścierać się będą powoli jakby piłowane zbyt słabym

pilnikiem, ludzie wciąż będą wydobywać stąd sól, a karawany — wciąż przywozić wodę i żywność i podtrzymywać życie przebywających tu skazańców. . .

Ale pewnego dnia, o świcie, ludzie zwrócili twarze w stronę gór. I wtedy ukazało się coś, czego do tej pory nie widzieli.

Wiatry, od tyłu wieków wgrzyzające się w skalne bloki, wyrzeźbiły w nich ogromną twarz, twarz, która wyrażała gniew. Ponad pustynią i podziemnymi złożami soli, i plemionami osiadłymi na warstwie skamieniałej soli bardziej nie-ludzkiej niż słona woda oceanów, wznosiła się ta czarna twarz, wyrzeźbiona we wrogię ludziom skale, na tle potężnej kopuły czystego nieba i otwierała usta zdając się rzucać wściekłe przekleństwa. Na ten widok ludzie zdjęci przerażeniem uciekli. Wieść dotarła i w głąb podziemnych korytarzy i kiedy robotnicy wychodzili z kopalni na powierzchnię, zwracali się ku górcom, a potem, ze zmartwiałym sercem, biegli do swych namiotów, pakowali bezładnie narzędzia, złorzeczyli żonom, dzieciom i niewolnikom, pchając swój nieszczęsny dobytek, pod nieubłagającym słońcem ruszali na północ. A ponieważ brakowało wody, w drodze wszyscy ginęli. Tak oto na nic się zdały przepowiednie rozumujących logicznie ludzi, którzy widzieli, że góry ścierają się z biegiem lat, a rodzaj ludzki trwa. I czy mogli byli przewidzieć to, co się stało?

Kiedy cofam się pod prąd czasu, mogę rozebrać świątynię na kamienie, z których ją zbudowano. Jest to operacja prosta i dająca się przewidzieć. Podobnie, jeśli rozkładam na kości i wnętrzności rozczłonkowane ciało, świątynię — na bloki kamienia, a ojcowiznę na kozy i owce, domy i wzgórze. Jeśli jednak wyruszę w przyszłość, muszę się zawsze liczyć z pojawieniem się nowych istot, których się przewidzieć nie da, gdyż istota ich jest inna niż elementów materii. Są to istoty, powiedziałbym, pojedyncze i proste, ponieważ umrą i zginą, jeśliby zostały podzielone. Albowiem cisza jest czymś dodatkowym wobec kamieni, ale umrze, gdy budowla rozsypie się. Twarz jest czymś dodatkowym wobec marmuru i wobec rysów twarzy, ale jeśli marmur będzie skruszony, rozdzielony w kawałki, twarz przestanie istnieć. I ojcowizna to coś więcej niż kozy, domostwa, owce i wzgórze. . .

Nie potrafię przewidywać, ale potrafię kłaść podwaliny. Bo przyszłość jest czymś, co się buduje. Jeśli ukształtuję jedną twarz z rozbieżności mojej epoki, jeśli moje dłonie będą miały boską moc rzeźbiarza, moje pragnienie stanie się ciałem. Nie będę miał racji mówiąc, że umiałem przewidywać. Umiałem tworzyć. W zamęcie fragmentów ukazę jakąś jedną twarz, uniosę ją ponad ludzkie głowy i będzie nad ludźmi panowała. Tak jak ojcowizna, która czasem wymaga od ludzi nawet ofiary z ich krwi.

W ten sposób ukazała mi się nowa prawda i zrozumiałem, że próżne i złudne jest zajmować się przyszłością. Ale że jedynym działaniem słusznym jest dawać wyraz teraźniejszemu światu. A dawać wyraz to z aktualnych rozbieżności budo-

wać jedną twarz, która będzie mówić nad wszystkim, to z pojedynczych kamieni budować ciszę.

A pragnąć czegokolwiek innego to tyle, co rzucać słowa na wiatr...

## XXI

Wiemy wszyscy, oczywiście, jak mylne bywają rozumowania. Najręczniejsze argumenty, najsilniejsze dowody nie budziły przekonania u ludzi, którzy mnie otaczali. „Owszem — powiadali — masz rację. Ja jednak myślę inaczej niż ty...” Mówiono, że to ludzie głupi. Ale ja rozumiałem, że nie byli wcale głupi, przeciwnie — byli mądrzejsi od innych. Uznawali prawdę, której słowa nie są zdolne unieść.

Inni natomiast wyobrażają sobie, że świat można zawrzeć w słowach i że ludzka mowa potrafi wyrazić wszechświat i gwiazdy, i szczęście, zachodzące słońce i miłość, piękno budowli, ból i ciszę... Ale dla mnie było to, jak gdyby człowiek miał się zmierzyć z górą i przenieść ją na inne miejsce, łopata po łopacie.

Myślę, oczywiście, że geometrycy, którzy narysowali mury obronne, mają w ręku niejako prawdę o nich. I że będzie można zbudować te obwarowania zgodnie z ich rysunkami. Gdyż istnieje pewna prawda o murach przeznaczona dla planistów. Ale jaki geometra pojmie znaczenie obwarowań? Czy z ich szkiców można wyczytać, że tworzą one niejako tamę dla fal? Kto zdoła dojrzeć ich podobieństwo do kory cedru i to, że wewnątrz nich rośnie żywy organizm miasta? Czy da się zobaczyć, że obwarowania są jak kora, a we wnętrzu tej wiecznej warowni poryw pokoleń wiedzie je ku Bogu? To prawda, że mury to kamień, zaprawa mularska i geometryczna dokładność. Ale są one również jak więźba statku i jak schronienie dla jednostkowego losu. A ja w pierwszym rzędzie wierzę w los jednostkowy. Ograniczony, a przecież nie błahy przez to. Jest on jak jeden kwiat — okno otwarte, przez które patrząc zobaczymy wiosnę. W nim wiosna staje się kwiatem. Bo cóż by to była za wiosna, gdyby nie wydawała kwiatów.

Może istotnie nie tak wiele znaczy miłość żony czekającej na powrót męża. Nie tak wiele znaczy pożegnalny gest dłoni. A przecież jest to znak czegoś ważnego. Może nie tak wiele znaczy jedna lampa błyszcząca w obrębie murów jak światło żaglowego statku, a przecież to czyjeś życie, i nie zdołam określić, jaką ma wagę.

Mury obronne służą więc jak kora drzewu. A miasto jest larwą w ich kokonie. Albo okno: kwiat na gałęzi drzewa. W oknie może blade dziecko nad kubkiem mleka, nie zna nawet pacierza, bawi się, gaworzy, ale jutro będzie to zdobywca,

zakładający nowe miasta, opasujący je murami. A ziarno tego drzewa? Kto wie — ważniejsze od niego czy mniej ważne? To pytanie wydaje mi się bezsensowne; mówiłem już, że aby poznać drzewo, nie wolno dzielić go na części.

Ale jaki geometra wie o tym wszystkim? Wydaje mu się, że rozumie, czym są mury, ponieważ je zbudował. Sądzi, że rysunek zawiera całą prawdę o murach, gdyż zgodnie z nim kamień i zaprawa mularska złożą się na miejskie fortyfikacje. Ale tą prawdą rządzi coś innego i gdybym chciał pokazać wam, czym są mury naprawdę, zgromadziłbym was i całym latami uczylibyście się ich i byłaby to praca nie kończąca się, bo nie ma słowa, które by zawarło w sobie ich istotę. A ja mogę wam tylko pokazywać znaki: znakiem jest plan ich budowy, ale i ramiona męża, którymi obejmuje i chroni brzemienne kobietę, noszącą w sobie cały nowy świat.

Oto człowiek biednymi słowami próbuje przekonać drugiego człowieka, że nie powinien się smuć — czyście widzieli, żeby to coś zmieniło? Albo że nie powinien być zazdrosny czy kochać. Czy ten drugi zostanie uleczony z miłości? Słowa próbują objąć naturę i unieść ją ku nam. Więc mówię „góra” i unoszę w sobie górę, a z nią hieny i szakale, i rozpadliny skalne wypełnione ciszą, i jej pęd ku gwiazdom aż po szczyty, które kęsa wiatr. . . ale jest to tylko słowo, które muszę napełnić treścią. Kiedy mówię „mury”, też muszę wypełnić to słowo. Dorzucają coś do niego od siebie i planiści, i poeci, i zdobywcy, i to blade dziecko, i jego matka, która dzięki murom może zająć się rozniecaniem ognia, aby ogrzać wieczorne mleko, i nie przeszkodzi jej w tym okrucieństwo najeźdźcy. I choć mogę rozumować na temat planów, wedle których wzniesiono mury, jakżebym mógł rozumować na temat samych murów, których nie obejmie mój język? Prawda a jednym znaku nie musi mówić prawdy o drugim.

\* \* \*

Żeby pokazać mi miasto, prowadzono mnie nieraz na szczyt góry. „Popatrz na nasze miasto!” — mówiono. Podziwiałem więc układ i zarys obronnych murów. I mówiłem sobie: „Oto ul, w którym śpią pszczoły. O świcie rozlecą się po równinie zbierać dla ula zasoby. Ludzie będą siał i zbierać. A potem sznury osiołków powiozą owoc całodziennej pracy ku spichlerzom, targowiskom i składom. . . Miasto o brzasku dnia wysyła ludzi na wszystkie strony, a potem gromadzi ich i kryje w sobie przydźwigane zapasy na zimę. Człowiek to istota, która produkuje i spożywa. Toteż dla jego dobra powinienem przede wszystkim rozpatrzeć jego problemy życiowe i zarządzać mrowiskiem, w którym mieszka”.

Inni jednakże, chcąc mi pokazać swoje miasto, przewieźli mnie przez rzekę i kazali je podziwiać z drugiego brzegu. Ujrzałem tedy rysujące się na pysznym zmierzchającym niebie domy, wyższe i niższe, większe i mniejsze, a także iglice

minaretów niby maszty, a na nich jak proporce lekkie, rozemglone, purpurowe chmury. Miasto jawiło mi się podobne do floty, która rusza w morze. A prawda o nim nie była ustalonym ładem i prawdą planistów, ale podbojem ziemi przedsięwziętym przez człowieka w wichurach morskiej wyprawy. „Oto — mówiłem sobie — duma nacierających zdobywców. W moich miastach rządy oddałbym kapitanom, gdyż człowiek czerpie radość przede wszystkim z tworzenia, z nieodpartego smaku przygody i zwycięstwa.” Ale był to sąd ani mniej, ani bardziej prawdziwy — był tylko inny.

Jeszcze inni tymczasem, chcąc, żebym podziwiał miasto, prowadzili mnie w obręb murów i wiedli najprzód do świątyni. Wchodziłem; ogarniała mnie cisza, mrok i chłód. Rozmyślałem.

i to rozmyślanie wydawało mi się ważniejsze niż pożywienie i podboje. Albowiem odżywiałem się po to, aby żyć, żyłem, aby podbijać nowe lądy, a podbijałem je, aby wrócić i rozmyślać, i czuć, jak w pokoju i ciszy rośnie we mnie serce. „Oto prawda o człowieku — mówiłem. — Istnieje dlatego, że ma duszę. Władzę w moim mieście oddam poetom i kapłanom. Oni będą dbać o to, aby wzrastały serca ludzkie.” Ale i to był sąd ani mniej, ani bardziej prawdziwy — tylko inny. . .

A teraz, uzyskawszy już pewną mądrość, używam słowa „miasto” nie w toku rozumowania, ale po prostu jako znak tego wszystkiego, co wypełnia moje serce i czego mnie nauczyło doświadczenie: samotności na wiejskich uliczkach, chleba, którym się ludzie dzielą we wnętrzu domów, świetnej sylwetki miasta na tle równiny, ładu miejskiej zabudowy, widocznej z pobliskiej góry. A także na oznaczenie wielu innych rzeczy, których nie umiem wypowiedzieć i o których nie myślę w danym momencie. A jakżebym mógł używać tego słowa w toku rozumowania, skoro to, co jest prawdą dla jednego znaku, jest fałszem dla innego?



## XXII

Ale przede wszystkim dostrzegłem jakąś wartość absolutną w tym dziedzictwie, które z pokolenia na pokolenie ludzie przekazują sobie wzajemnie; kiedy bowiem wypełniony ciszą i miłością idę powoli przez miasto i widzę to dziewczynę, która uśmiecha się do narzeczonego z trwożliwą czułością, to kobietę oczekującą na powrót wojownika, lub inną, kiedy łaje sługę, człowieka, który wzywa do rezygnacji czy sprawiedliwości, drugiego, który dzieli tłum na wrogie obozy, żąda zemsty albo bierze w obronę słabego, czy wreszcie tego, co zwyczajnie rzeźbi jakiś przedmiot w kości słoniowej, raz po raz ponawia próby i zbliża się stopniowo do zamieszkującej w nim doskonałości. Kiedy widzę, jak moje miasto usypia i wsłuchuje się w jego zamierający głos, podobny do głosu trąconych cymbałów, które dźwięczą jeszcze cichnąc, jakby to słońce je trącało, tak jak słońce ożywia rój pszczeli, a potem przychodzi wieczór, kiedy skrzydła są zmęczone i giną zapachy kwiatów, które były jak bruzdy wiodące przez rozlewisko wiatrów. Kiedy widzę, jak gasną światła i ogień usypia w popiele, a mieszkańcy kryją swój dobytek: ten — zbiory w spichlerzu, ów — dzieci bawiące się u progu, ten psa lub osła, tamten — stołek, na którym drzemał starzec; kiedy wreszcie miasto odpoczywa jak ogień przykryty popiołem, kiedy wszystkie zadumy, modlitwy, projekty, wszystkie zapały, lęki, odruchy serca, które chciałyby ogarnąć coś albo odrzucić, wszystkie problemy czekające rozwiązania, nienawiści bezsilne, póki nie nastanie dzień, ambicje, które się nie ujawnią przed świtem, modlitwy wiążące człowieka z Bogiem, odłożone na potem, niepotrzebne jak drabiny w składzie; kiedy wszystko to ulegnie zawieszeniu, niejako martwe, ale nie wygaśnie, ponieważ ta ogromna spuścizna, która w tej chwili niczemu nie służy, nie przepadła, ale przechowywana czeka na przyszłość, a słońce, skoro obudzi pszczele rój, da ją nam jak dziedzictwo, a każdy wróci do swych poszukiwań, radości, bólu, nienawiści i ambicji, a pszczele zastępy wrócą do kwiatów, ostów i lili. . . Wtedy zadają sobie pytanie: na co to całe bogactwo obrazów?

Wydaje mi się też oczywiste, że gdybym miał do czynienia z ludzkością nie obudzoną jeszcze do życia, gdybym ją chciał kształcić, nauczać i przekazać jej tysiączne przeróżne reakcje, to nie wystarczyłaby mi do tego — jako pośredniczka — mowa ludzka.

To prawda, że komunikujemy się ze sobą, ale słowa, jakie są zawarte w naszych książkach, nie ogarniają owego dziedzictwa. Jeśli dzieci zechcą kształtować pośpiesznie popychając je w obranym przez siebie kierunku, zatracę część tego dziedzictwa. Podobnie będzie z moją armią, jeżeli nie utrwali się w niej ciągłość związków, która sprawia, że ta armia będzie jak przedłużana dynastia. Owszem, kapral będzie w niej uczył żołnierzy. Owszem, kapitan będzie sprawował władzę. Ale słowa, którymi dysponują i kapral, i kapitan, dają tylko możliwości, zresztą bardzo niewystarczające, wzajemnego przekazywania sobie wartości niewymiernych i niewyraźalnych żadną formułą. Których niepodobna przenieść słowem czy książką. Chodzi tu bowiem o pewne wewnętrzne postawy, szczegółowe perspektywy, opory i porywy, i związki pomiędzy myślami i rzeczami. . . Gdybym chciał je wyjaśnić albo wyłożyć, rozłożę je na części i nic z nich nie zostanie. Podobnie i ziemia — ojcowizna, która domaga się miłości i o której nie powiem nic, jeśli będę mówił tylko o kozach, owcach, domostwach i górach: jej wewnętrzne bogactwo nie da się bowiem przekazać w słowach, ale w związkach uczuciowych. I ludzie, przekazując jedni drugim uczucie, przekazują sobie zarazem dziedzictwo. Ale jeśli choćby raz zerwie się kontakt między pokoleniami, umrze i uczucie. Jeśli jeden raz zerwie się w wojsku kontakt między starszymi i niższymi rangą, wojsko stanie się jak fasada pustego domu i runie przy pierwszym wstrząsie. A jeśli zerwie się więź pomiędzy młynarzem i jego synem, zginie to, co w młynie najcenniejsze: jakieś życie wewnętrzne, zapał i niezliczone drobne gesty, niewytlumaczalne rozumowo, a przecież istotne: bo więcej mądrości zawiera się w rzeczach niż w słowach.

A wy każecie ludziom odbudować świat dając do czytania jakąś książeczkę, pełną obrazków i ech — ale lektura okazuje się pusta i bezsilna w zestawieniu z sumą doświadczenia. Traktujecie człowieka jak zwierzę pierwotne i nagie w swojej zwierzęcości, zapominając, że ludzkość rozwija się jak drzewo, które rośnie, i że trwa przekazywana z rąk do rąk, podobnie jak trwa potężne drzewo w skrzyconych konarach, sękach i rozwidleniach gałęzi. Mamy więc do czynienia z jednym wielkim ciałem i widzę, że nie ma sensu mówić o śmierci, kiedy z góry spoglądam na moje miasto: gdzieniegdzie jakby opadają liście, gdzieniegdzie puszczają młode pędy, a mocny pień trwa mimo tych przemian. Jednostkowe nieszczęścia nie naruszają tego, co istotne, więc widzisz, jak świątynia rozbudowuje się, jak przez spichlerze przepływa ziarno, jak doskonali się poemat, a drewniana rączka u kołowrota studni łśni coraz mocniej. Jeśli jednak wprowadzisz podział między pokolenia, to tak, jakbyś kazał człowiekowi zaczynać nagle od środka życia i wymazawszy wszystko, co czuł, wiedział, rozumiał, czego pragnął i lękał się, chciał zastąpić tę wiedzę, co się stała nieledwie ciałem, ubogimi formułkami zaczerpniętymi z książki; to tak jakbyś zatrzymał wszystkie soki żywotne krążące w drzewnym pniu, a ludziom chciał przekazać to tylko, co się daje ująć w przepisy. A ponieważ słowo po to, aby ująć rzecz — wprowadza fałsz, po to, żeby

dać wskazówkę — upraszcza, po to, by zrozumieć — zabija, więc i im odetniesz dopływ pożywnych pokarmów.

A oto, co ja twierdzę: trzeba starać się, aby w mieście powstawały określone dynastie. I tak, jeśli zaklinacze chorób wywodzą się z wąskiej grupki, ale mają do swojej dyspozycji nie tylko parę słów — zaklęć, ale całą tradycję uzdrawiania, będę miał zdolniejszych zaklinaczy, niż gdybym ich szukał w całej społeczności i dobierał spośród synów wojowników i młynarzy. Nie będzie to przeszkoda dla nowych powołań, ale pień o rdzeniu dość twardym, by szczepić na nim obce odrostki. Dawna dynastia wchłonie więc i przetworzy w sobie te nowe soki, których dostarczą nowe jednostki o wyraźnym powołaniu.

Przekonałem się bowiem ponownie, że logika jest zabójcza dla życia. I że sama z siebie nie jest żadną wartością. . .

Albowiem układacze formułek nie chwytają prawdy o człowieku. Mylą formułę, która jest jak płaski cień cedru, z samym cedrem, który ma trzy wymiary, posiada ciężar, barwę, chmary ptaków w gałęziach i listowie — a to wszystko nie da się wyrazić, gdyż nie uniosą tego słowa słabe jak powiew wiatru. . .

Albowiem mylą oni formułę, która oznacza, i przedmiot oznaczany.

\* \* \*

Przyszło mi zatem do głowy, że jest próżną i niebezpieczną rzeczą zabraniać tego, co sprzeczne samo w sobie. Tak też odpowiadałem moim generałom, kiedy mówili mi o ładzie, myśląc jednak ład, który jest potęgą, z porządkiem panującym w muzealnych salach.

Drzewo to, moim zdaniem, pewien ład. Ale ład jest tutaj jednością, która scala to, co różnorodne. Na jednej gałęzi ptak uwił gniazdo, ale na drugiej gniazda nie ma. Na jednej są owoce, na innej — nie. Jedna rośnie ku niebu, druga chyli się do ziemi. Ale moi generałowie rządzą się wyobrażeniem o wojskowej defiladzie i twierdzą, że ład panuje tylko wśród przedmiotów, które się niczym między sobą nie różnią. Toteż, gdybym im dał wolną rękę, postanowiliby ulepszyć święte księgi, ukazujące ład Bożej mądrości, i uporządkowałyby litery, gdyż nawet dziecko pozna, że w książce litery są zupełnie wymieszane. Daliby więc razem wszystkie A, wszystkie B, wszystkie C — aż otrzymaliby książkę w pełni uporządkowaną. Książkę w sam raz dla generałów.

A zwłaszcza czy zgodziliby się na to, czego się nie da zamknąć w formułach, i na to, co nie nabrało ostatecznego kształtu? Co jest sprzeczne z inną prawdą? Czy przyszłoby im do głowy, że w języku (który wprowadza formuły, ale nie chwyta istoty) dwie prawdy mogą być sobie przeciwstawne? I że mogę mówić nie popadając w sprzeczność czy to o lesie, czy o posiadłości, choć las ciągnie się poprzez wiele posiadłości, choć może z żadną nie pokrywa się dokładnie, zaś moja

posiadłość obejmuje wiele lasów, choć może żaden z nich nie mieści się bez reszty w jej granicach. I jedno nie przeczy drugiemu. Ale moi generałowie, wychwalając piękno ziemskich włości, kazaliby uciąć głowy poetom, gdyby opiewali piękno lasu.

Co innego bowiem przeciwieństwo, a co innego sprzeczność; i znam tylko jedną prawdę — życie, i jeden ład — jedność, która podporządkowuje sobie wszelkie tworzywo. Nieważne, jeśli tworzywo jest różnorodne. Mój ład polega na powszechnej współpracy wszystkich poprzez jedno i ów ład każe mi tworzyć nieustannie. Każe mi posługiwać się językiem, który obejmie w sobie sprzeczności. A który sam jest życiem. Gdybym odrzucił życie i ludzi z mojego plemienia ustawił w szeregu jak słupy przy drodze, osiągnąłbym ład doskonały. Podobnie gdybym z moich poddanych uczynił kolonię termitów. Ale czy podobałoby się tacy ludzie — termyty? Ja kocham człowieka wyzwolonego przez wyznawaną religię, czerpiącego życie z wiary w bóstwa, które mu dałem: dom, ojcowiznę, cesarstwo, królestwo niebieskie; dzięki nim przekształca się nieustannie w coś, co go przetrasta. Dlaczego więc miałbym nie zezwalać na to, by się spierali między sobą; wiem przecież, że na gest skuteczny złożyły się wszystkie wcześniejsze, nieudane, i że człowiek, aby wzrastać, musi tworzyć, a nie powtarzać. W przeciwnym razie będzie to niejako przejadanie wcześniejszych zapasów. Wiem wreszcie, że wszystko, nawet kształt nadawany kilowi żaglowej łodzi, powinno zmieniać się jak rzecz żywa, aby nie stać się tylko martwym przedmiotem, muzealnym eksponatem, wytworem rutyny. Odróżniam jednak ciągłość od rutyny. I trwałość — od zakrzepnięcia w martwocie. Ani trwałość cedru, ani trwałość cesarstwa nie opiera się na skostnieniu. „Tak jest dobrze — powiadają moi generałowie — zatem nic nie będziemy zmieniać!” Ja natomiast nienawidzę plemion osiadłych, a miasta ukończone wydają mi się martwe.

## XXIII

Niedobrze, gdy serce ma pierwszeństwo przed duchem. I kiedy uczucie ma pierwszeństwo przed umysłem.

Kiedyś wydawało mi się, że łatwiej w moim królestwie zjednoczyć ludzi uczuciem niż umysłem, który nad uczuciami panuje. Oznacza to niewątpliwie, że życie umysłu powinno przekształcić się w uczucia, ale że nie uczucia są najważniejsze.

Przyszło mi też do głowy, że nie należy podporządkowywać twórcy życzeniom szerszych mas. Albowiem to właśnie twórczość powinna stać się życzeniem szerokich mas. Szerokie masy powinny otrzymywać pokarm myślowy i przetwarzać go w uczucia. Są one jakby narządami trawiennymi, a otrzymywane pożywienie powinno zostać przez nie przetworzone w łaskę i światło.

Mój sąsiad stworzył sobie własny świat, ponieważ zrodził go w głębi swojego serca. A ludzi, którzy go otaczali, zamienił w hymn. Ale ci ludzie lękali się samotności i obcowania z górami, kiedy kładą się one pod stopą jak długi płaszcz proroka, i rozmów z gwiazdami, pytań, jakie padają z zimnych przestworzy, tej ciszy, która zalega dokoła, i głosu, który mówi, ale mówi tylko w ciszy. Człowiek, który wraca z takiej wyprawy, jest jak ktoś nakarmiony boskim życiodajnym pokarmem. Schodzi z gór spokojny i poważny, a pod luźnym płaszczem niesie zasoby nieznanego miodu. I tylko ci przyniosą ów miód, którzy będą mieli prawo oddalić się od tłumu. A ów miód będzie miał zawsze posmak goryczy. I każde słowo nowe i rodzące życie będzie się wydawało gorzkie, ponieważ żadna przemiana nie dokonuje się wśród radości. Jeśli chcę was podnieść ku górze, to wiem, że będziecie musieli zrzucić swoją skórę, jak się zrzuca łuskę, po to, żeby oblec się jak wąż w skórę nową. A wtedy śpiew stanie się pieśnią pochwalną, podobnie jak od iskry cały las staje w płomieniach. Ale człowiek, który odrzuca ową pieśń, i społeczność, która zabrania swoim członkom odejść i usunąć się w samotność pośród gór, mogą zabić ducha. Bo przestrzeń, gdzie może rozwinąć skrzydła, to cisza.

## XXIV

Zacząłem zatem rozmyślać o tych, którzy biorą więcej, niż dają z siebie. A także o kłamstwie władców, gdyż z wiary w ich słowa płynie skuteczność mowy i jej moc. A kłamstwo może dawać skutki potężne. Używając miecza, stępiam go zarazem. I jeśli dobywam miecza na przeciwnika, przyjdzie czas, kiedy stanę przed nim bezbronny.

Podobnie jest z człowiekiem, który pisze wiersze, a dopuszczając się oszustwa wobec przyjętych zasad, osiąga mocne efekty. Efekt skandalu jest też wynikiem pewnego działania. Ale kto go szuka, jest złączyńcą, ponieważ dla osobistej korzyści niszczy naczynie, które jest wspólnym skarbem. Po to, żeby wyrazić siebie, odrzuca wspólne wszystkim możliwości wyrazu; jest jak ktoś, kto chcąc poświęcić siebie, podpala las. Wtedy dla innych zostaje tylko popiół. Jeżeli zaś ludzie przywykną do wadliwej składni, nie zdołam nawet świadomie wywołać skandalu, zaskoczyć tym, co nieoczekiwane. Nie mogę także znaleźć dla siebie wyrazu w pięknie dawnej stylistyki, bo konwencje odrzuciłem jako coś zbędnego; wszystko stało się tylko znakiem, znaczącym przymrużeniem oka, całe to porozumienie ogółu, cały ów kod powoli wypracowywany i pozwalający mi przekazać najsubtelniejsze odcienie mojego ja. Znalazłem wyraz dla siebie, ale niszcząc przy tym narzędzie. A było to też narzędzie innych ludzi.

Tak jest także z ironią, która nie jest godna człowieka, raczej łobuza. Jeżeli bowiem dojrzałem komizm w postaci panującego, który się cieszy szacunkiem, i porównałem go do osła, nikt istotnie nie spodziewał się takiego zuchwalstwa z mojej strony. Nadejdzie jednak dzień, kiedy postać władcy tak gruntownie stopi się z wyobrażeniem osła, że wyrażenie tej oczywistości w nikim już nie wzbudzi śmiechu. Zniszczyłem jednak zarazem pewną hierarchię, możliwość dążenia wzwyż, płodne ambicje i pewien obraz wielkości. Zmarnotrawiłem skarb, który był mi dany w ręce. Ograbiłem spichlerz i rozsypałem ziarno. Wina i zdrada polega tu na tym, że mogłem niszczyć władcę dzięki temu tylko, że inni go władcą uznawali. Dana mi była okazja wyrażenia siebie. Wykorzystałem ją po to, aby coś zniszczyć. A zatem dopuściłem się zdrady.

Ten natomiast, kto pisząc zachowuje rygory i doskonali narzędzie, aby mu służyło, ostrzy niejako broń, którą się będzie posługiwał, i użytkując zapasy żywno-

ści dba o ich uzupełnianie. Ten, kto mimo trudności i goryczy panuje nad ludźmi prawdą swojej mowy i posługując się nią dba o nią troskliwie, będzie się cieszyć miem, gdy dojdzie do wojny. Taki człowiek jest gwarantem wielkości. Przygotowuje sobie narzędzie, którym się posłuży w przyszłości.

## XXV

Dlatego też wezwałem wychowawców i powiedziałem im tak:

— Wasz obowiązek nie polega na tym, żeby w dzieciach ludzkich zabijać człowieka, ani żeby go zamieniać w mrówkę, której przyjdzie żyć w mrowisku. Nieważne jest w moich oczach, czy człowiek będzie mniej czy więcej posiadał. Ważne jest, czy będzie mniej czy bardziej człowiekiem. Nie pytam przede wszystkim o to, czy człowiek będzie szczęśliwy, ale jaki to człowiek ma być szczęśliwy. I bogactwo sytych osiadłych plemion tyle dla mnie znaczy, co zadowolenie bytła stojącego w oborze.

Nie zasypujcie ich więc pustymi formułami, ale obfitością obrazów, z których się rodzą struktury.

Nie wpajajcie im martwej wiedzy, ale dawajcie pewien styl myślenia, który pozwoli ująć istotę rzeczy.

Nie sądźcie o ich zdolnościach wyłącznie na podstawie przejawianych uzdolnień w określonym kierunku. Ten bowiem dojdzie najdalej i osiągnie najwięcej, kto trudził się wbrew swej naturze. Gdyż najważniejsza jest we wszystkim miłość.

Nie przywiązujcie nadmiernego znaczenia do przydatności, ale do twórczych zdolności człowieka, aby ten, kto hebluje deskę, robił to z godnością, a wtedy będzie ją heblował jeszcze lepiej.

Będziecie więc nauczać szacunku, gdyż ironia, która jest niepamięcią twarzy, przystoi łobuzom.

Będziecie zwalczać uzależnienie człowieka od dóbr materialnych. I w dziecku człowieczym będziecie się starali obudzić człowieka, ucząc je przemieniać siebie w coś, co je przerasta, gdyż nie umiając tego, zamknie się w twardej skorupie.

Będziecie uczyć medytacji i modlitwy, gdyż dzięki nim dusza się rozszerza. I będziecie ćwiczyć je w miłości. Bo czy można ją czymkolwiek zastąpić? A miłość własna jest przeciwieństwem miłości.

Będziecie karać przede wszystkim za kłamstwo i za donosicielstwo, które mogą być przydatne pojedynczemu człowiekowi, a pozornie — także społeczności. Ale tylko wierność gwarantuje siłę. Wierność nie jest czymś, co się praktykuje w jednym obozie, w drugim zaś — nie. Kto jest wiemy, będzie wierny zawsze.



A kto potrafi zdradzić towarzysza pracy, nie może być wiemy. Potrzebna mi jest społeczność silna i nie będę tej siły opierał na ludzkim zepsuciu.

Będziecie nauczać pragnienia doskonałości, gdyż wszelkie dzieło jest jak stopień ku Bogu, a zakończyć je może dopiero śmierć.

Nie nauczajcie w pierwszym rzędzie przebaczenia i miłosierdzia. Mogłoby to zostać źle zrozumiane i stać się tylko czią oddawaną krzywdzie i chorobie. Ale nauczajcie owej cudownej współpracy obejmującej wszystkich, a realizującej się poprzez wszystkich i każdego z osobna. Wtedy chirurg będzie w pośpiechu przebywał pustynię, żeby zatroszczyć się o zranione kolano prostego człowieka pracy. Bo chodzi tu o narzędzie pracy; a obaj wiedzą, że ich trud jest wspólny.

## XXVI

I zaprzątał moje myśli ten wielki cud, jakim jest przemiana i przemiana samego siebie. A był w naszym mieście pewien trędowaty.

— Pokażę ci otchłań — powiedział mi ojciec.

I zaprowadził mnie na przedmieścia, graniczące z polem jałowym i brudnym. Wokół pola biegło ogrodzenie, a pośrodku stała niska chata, gdzie mieszkał trędowaty, odcięty w ten sposób od innych ludzi.

— Czy myślisz — spytał ojciec — że on będzie wył z rozpacz? Przyjrzyj mu się, kiedy wyjdzie, jak będzie ziewał.

Identycznie jak człowiek, w którym umarła miłość. Identycznie jak ten, którego złamało wygnanie. Posłuchaj, co ci powiem: wygnanie nie rozdziera człowieka, ono go niszczy powoli. Taki człowiek karmi się snami, podejmuje grę, ale stawki równe są zeru. Dostatek przestaje mieć dla niego jakiegokolwiek znaczenie. Jest królem, ale w królestwie cieni.

— Tylko zetknięcie się z koniecznością — mówił ojciec — niesie ocalenie. Nie ma gry, jeśli nie ma stawek. Sny nie wystarczą, choćby dlatego, że sny nie stawiają oporu. Te armie, które w pustych snach wysyła do walki młodość, niosą rozczarowanie. Pożytek daje to, co stawia opór. Niestety trędowatego nie jest fakt, że jego ciało gnije, ale że nic nie stawia mu oporu. Jest zamknięty, osiadły wśród swoich zapasów.

Mieszkańcy miasta przychodzili nieraz przyglądać mu się. Gromadzili się dokoła pola jak ludzie, którzy wspięli się na szczyt góry i pochylają się nad kraterem wulkanu. Bledną słysząc, jak pod ich stopami glob ziemski przygotowuje się do kolejnych wybuchów. Tłoczyli się więc dokoła terenu, gdzie mieszkał trędowaty, jak dokoła tajemnicy. Ale nie było tu żadnej tajemnicy.

— Nie wyobrażaj sobie tego, czego nie ma — mówił ojciec. — Nie myśl o jego rozpacz, o tym, jak w bezsenne noce załamuje ręce, jaki gniew w nim wzbiera przeciw Bogu, przeciw niemu samemu czy ludziom. Nie ma w nim nic poza nasilającą się pustką. Czy coś jeszcze łączy go z ludźmi? Oczy mu wypłynęły, ręce wiszą bezwładnie jak suche gałęzie. Z miasta dobiega do jego uszu tylko daleki gwar. Życie jest dla niego tylko zamglonym widowiskiem. Ale czym jest widowisko? Niepożywnym pokarmem. Życ można tylko tym, co się przetwarza. Nie

daje życia to, co jest złożone w człowieku jak w magazynie. Trędowaty mógłby żyć, gdyby poganiał konia, dźwigał kamienie i brał udział w budowaniu świątyni. Ale on wszystko dostaje gotowe.

Weszło z czasem w zwyczaj, że wzruszeni jego niedolą mieszkańcy przychodzili codziennie i poprzez pale, które jeżyły się na granicy pola, rzucali do środka dary. Trędowaty był więc odziany i obsłużony jak idol. Przynoszono mu najsmaczniejsze jedzenie. A w dni świąteczne nie brakło mu nawet muzyki. A przecież, choć potrzebował tych wszystkich ludzi, sam nie był potrzebny nikomu. Wszystko miał do swojej dyspozycji, ale nie miał nic do zaoferowania.

— Jest jak drewniane bożki, obwieszane cennymi wotami — mówił ojciec. — Wierni zapalają przed nimi lampki. Wśród woni składanych ofiar głowy ich przystrają się w drogie kamienie. Ale powiadam ci, tłum, który składa przed nimi złote bransolety i klejnoty, coś uzyskuje, podczas gdy drewniany bożek, jak był, tak i pozostanie drewnem. Niczego nie przetwarza. A drzewo wtedy żyje, kiedy bierze w siebie ziemię i przekształca ją w kwiaty.

\* \* \*

Zobaczyłem, jak trędowaty wyszedł ze swojej nory i wodził po nas, zebranych, martwym spojrzeniem. Gwar głosów, które miały być mu miłe, nie dobiegając do niego, zdawał mu się dalekim szumem fal. Był odcięty od nas i nic już odtąd do niego nie docierało. Jeśli ktoś z tłumu dawał wyraz swojemu współczuciu, patrzył na niego z nieokreśloną wzgardą... Wyzbyty uczucia solidarności. Znudzony grą, w której nie było stawek. Bo czym jest litość, która nie bierze w ramiona i nie tuli? Podobnie jego złość; jeśli coś zwierzęcego w nim buntowało się jeszcze na tę rolę jarmarczego widowiska, któremu się ludzie dziwią, była to złość raczej płytka, bo my byliśmy z innego świata, tak jak dzieci zebrane wokół basenu, w którym krąży powoli jeden karp. I czy mogła się liczyć taka złość, skoro nie mogła nas dotrzeć, złość, która rzuca tylko puste słowa, unoszone przez wiatr. I człowiek ten wydał mi się zubożony obfitością składanych mu darów.

Przypomniałem sobie też trędowatych widywanych w krajach południowych, którzy zgodnie z prawem ich dotyczącym nachodzili oazy i z końskiego grzbietu, skąd nie wolno im było zsiadać, domagali się datków. Wyciągali kije z uczipioną na końcu miseczką zebraczą. Patrzyli twardym, niewidzącym wzrokiem, gdyż szczęśliwe twarze innych ludzi były dla nich tylko terenem łowieckim. Dlatego by więc mieli odczuwać irytację na widok szczęścia tak obcego ich światu jak igraszki młodych dzikich zwierząt na polanie. Patrzyli więc chłodno, nie widząc. Potem mijając powoli stragany, spuszczały z końskiego grzbietu uwieszony na sznurze koszyk. I z cierpliwością posępną i budzącą strach czekali, żeby handlarz go napęlił. Byli w naszych oczach jak nieruchoma, ospała i chorobliwa roślinność — i niczym więcej. Jak głuche, zamknięte na słowa naczynia zgnilizny. Byli

dla nas jak miejsca, które mijamy, jak ogrodzone pola, domostwa, gdzie zamieszkuje zło. Czy na coś czekali? Na nic. Ponieważ człowiek nie oczekuje niczego w sobie, ale ze strony innych oczekuje za to tylko siebie. Im bardziej zaś ograniczony jest język, tym bardziej ograniczone są związki z innymi ludźmi i tym trudniej wyczuwalne oczekiwanie i melancholia.

Czego zaś mogli oczekiwać od nas ci ludzie, tak zupełnie od nas odcięci? Nie oczekiwali niczego.

— Widzisz — powiedział wreszcie ojciec — on nawet ziewać już nie potrafi. Obca mu jest nawet nuda, która jest w ludziach formą oczekiwania.

## XXVII

Tak więc uświadomiłem sobie przede wszystkim, że są nieszczęśliwi. Zapadła noc podobna do statku, w którym Bóg zamyka pasażerów nie dając im kapitana. Przyszło mi do głowy, aby ludzi podzielić na grupy. Chciałem najpierw zrozumieć, co to jest szczęście.

Kazałem uderzyć w dzwony. Przyjdźcie do mnie ci, którzy jesteście przepelnieni szczęściem. Człowiek kosztuje własne szczęście jak owoc pełen smakowitych soków. Zobaczyłem kobietę, która całą sobą podana do przodu, zaciskała obie dłonie na piersiach, jakby dosłownie przepelniona szczęściem. Ci wszyscy stanęli po mojej prawej stronie.

Chodźcie teraz, nieszczęśliwi, powiedziałem. I kazałem dla nich bić w dzwony. Stańcie po mojej lewej ręce. A podzieliwszy ich tak, starałem się zrozumieć: skąd się bierze zło?

Albowiem nie wierzę w arytmetykę. Ani rozpacz, ani radość nie podlegają mnożeniu. Jeżeli wśród mojego ludu znajdzie się jeden człowiek cierpiący, jego cierpienie jest nie mniejsze niż cierpienie całego ludu, ale zarazem niedobrze, jeżeli ten człowiek nie potrafi poświęcić się, aby służyć ludowi.

Podobnie z radością. Kiedy wychodzi za mąż królewska córka, tańczy cały lud. Zdaje się jak drzewo, które wydało kwiat. A drzewo można sądzić po tym, jaki jest jego wierzchołek.

## XXVIII

Ogromna wydała mi się moja samotność. Ciszy i uspokojenia chciałem dla całego mojego ludu. Piłem aż do dna, aż do goryczy z tych głębokich pokładów mojej duszy i z melancholii, którą odczuwałem tu, w górach. W dole widziałem wieczorne światła. Były jak potężne wołanie wyrywające się z ust miasta, aby wszyscy się zgromadzili, zamknęli w jego obrębie, wszyscy stali się wzajemnie dla siebie dotykalni. I widziałem, jak mieszkańcy, jeden po drugim, zamykali się w domach, jak gasło okno po oknie, i wiedziałem, że jest w nich miłość. A także melancholia. Czasem zaś ta miłość przemieniała się w coś jeszcze większego od miłości.

Ostatnie oświetlone okna wskazywały mieszkania cierpiących. Dwóch czy trzech chorych na raka, jak zapalone świece. I jeszcze jakaś gwiazda w dole, może kogoś, kto zmagał się ze swoim dziełem, bo taki człowiek nie może zasnąć, zanim plon nie ułoży mu się w dorodny snop. I jeszcze parę okien — jakieś oczekiwanie bezgraniczne i beznadziejne. Bo Bóg, jak zawsze, i tego dnia był żniwiarzem i niektórzy nie wrócą już nigdy do swoich domów.

Byli więc i tacy, którzy — jak strażnicy — czuwali na brzegu nocy jak na morzu. Oto świadkowie życia, mówiłem sobie, stojący naprzeciw nieprzeniknionego oceanu. Ci, co idą w pierwszej linii. Niewielu jest nas czuwających nad ludźmi, którzy od gwiazd czekają odpowiedzi. Niewielu jest nas i stoimy wyprostowani, bo wybraliśmy Boga. Na nas spoczywa ciężar całego miasta, a jest nas niewielu pośród tego osiadłego plemienia i biczuje nas lodowaty wiatr, który spada z gwiazd, jak zimny płaszcz.

Towarzysze moi, kapitanowie, ciężka jest ta noc, która nadchodzi. Bo ci, co śpią, nie wiedzą, że życie jest przemianą i trzaskaniem wewnątrz cedrowego pnia, bolesną metamorfozą. Jest nas niewielu, którzy za nich niesiemy brzemię, stoimy na granicach, paleni dotykiem zła, i wiosłujemy powoli w stronę wstającego świtu; czekamy jak majtkowie wypatrujący ze szczytu masztów odpowiedzi na ich pytania, i czekamy wciąż powrotu oblubieńca. . .

I dopiero wtedy dojrzałem granicę dzielącą niepokój i żarliwość. Bo niepokój często towarzyszy żarliwości. Są to odczucia przestrzeni i bezkresu.

A zatem, mówiłem sobie, czuwają ze mną tylko niespokojni i żarliwi. Inni niech wypoczywają. Ci, którzy trudzili się za dnia i którzy nie mają w sobie powołania, aby być przednią strażą. . .

\* \* \*

Tej nocy jednak całe miasto trwało w napięciu, ponieważ o świcie pewien człowiek miał ponieść karę za popełnioną zbrodnię. A mówiono, że jest niewinny. Krążyły patrole, które miały powstrzymać gromadzący się tłum, bo coś kazało ludziom opuszczać domy i zbierać się na ulicach.

A ja mówiłem sobie: „Ten pożar zapala cierpienie jednego człowieka. Jest przecież zamknięty w karczerze, a płomień ogarnia wszystkich jakby od żarzącego się węgla”.

Pomyślałem, że muszę go poznać, i ruszyłem w stronę więzienia — czarne i zwaliste rysowało się na tle gwiazd. Uzbrojeni strażnicy otworzyli przede mną wrota, które powoli rozchyłały się na zawiasach. Wydawało mi się, że mury tutaj są niezwyklej grubości, a głęboko wciętych w nie okien broniły kraty. A wewnątrz znowu czarne patrole, krążące po sieniach i podwórcach albo wstające, gdy przechodziłem; ludzie podobni do nocnych zwierząt. . . I wszędzie ta woń zamkniętych pomieszczeń i głuche — jak w krypcie — echo, kiedy na ziemię upadł klucz albo kiedy czyjś krok dobywał głos z kamiennych płyt. Niebezpieczny musi to być człowiek, skoro trzeba istotę tak słabą, o ciele tak wątłym, że jedno ostrze może go pozbawić życia, przywalać ciężarem ogromnej masy kamieni!

Każdy krok, który się tu rozlegał, był jak uderzenie buta w jego brzuch. Ciężały nad nim wszystkie mury, podziemne galerie i kamienne skarpy. „On jest duszą tego więzienia — myślałem. — Jest jego sensem, ośrodkiem i prawdą. A przecież patrząc na niego poprzez kraty, widzimy tylko kupkę łachmanów; może nawet usnął i ciężko oddycha. A jednak to on jest zaczynem, od którego całe miasto może się unieść. A obracając się, wędrując od ściany do ściany, może wywołać trzęsienie ziemi.”

Uchyłono judasza i spojrzałem na niego. Wiedziałem dobrze, że kryje się tu coś, co trzeba zrozumieć. I zobaczyłem go.

Myślałem, że może nie ma on sobie nic do wyrzucenia poza miłością do ludzi. Ale kto buduje dom, nadaje mu jakiś kształt. Każdy kształt, to jasne, może się komuś podobać. Ale nie wszystkie równocześnie. Bo wtedy żaden dom nie powstanie.

Twarz nadana kamiennej figurze jest kwintesencją wszystkich twarzy, które rzeźbiarz odrzucił. Wszystkie mogą być piękne. Ale nie wszystkie równocześnie. Marzenie tego człowieka z pewnością jest piękne.

On i ja, stoimy obaj na szczycie góry. Sami. Jesteśmy tej nocy na szczycie świata. Odnaleźliśmy się i połączyliśmy. Na tej wysokości nic już nas nie dzieli. On, podobnie jak ja, pragnie sprawiedliwości. A jednak on umrze. . .

Cierpiałem.

Ale po to, aby pragnienie zmieniło się w czyn, aby energia drzewa zamieniła się w konar, aby kobieta stała się matką, trzeba dokonać wyboru. Życie rodzi się właśnie z niesprawiedliwości, jaką jest dokonany wybór. Bo i tę piękną kobietę kochały setki. Aby stać się sobą, wtrąciła ich w rozpacz. To, co jest, jest zawsze niesprawiedliwe.

Wtedy pojąłem, że wszelka istota stworzona jest przede wszystkim okrutna.

Zamknąłem drzwi i odszedłem przez długie korytarze. Pełen szacunku i miłości. „Czym jest dla niego życie w niewoli, skoro duma stanowi o jego wielkości.” Mijałem patrol strażników, dozorców zamiatających o świcie podwórze. Wszyscy ci ludzie będą jego więźniami. A grube mury trzymały w swoim wnętrzu tego jednego więźnia, jak wyszczerbione ruiny, których istotę stanowi zakopany w nich skarb. Potem jeszcze raz obróciłem się w stronę fortecy. Z wieżą jak korona uniesioną ku gwiazdom albo jak statek płynący ze swoim ładunkiem była napełniona żarliwością; „Któż jest ważniejszy od niego?” — mówiłem sobie. A z tyłu za mną, zamazujące się już w ciemności, więzienie było jak ładunek prochu.

Pomyślałem wtedy o mieszkańcach miasta. „Będą go oczywiście opłakiwać — pomyślałem. — Ale to dobrze, jeśli będą płakać.”

Rozmyślałem o tym, jak moi poddani będą o nim śpiewać, opowiadać, dumać. „Pogrzebią go. Ale cóż to znaczy pogrzebać? — myślałem dalej. — To, co pogrzebane, staje się ziarnem. Nie mam żadnej władzy nad życiem i on pewnego dnia zwycięży. Zawisnie na sznurze. Ale jego śmierć będzie opiewana. I jego głos rozlegnie się donośniej niż głos człowieka, który chciałby godzić mimo istniejących podziałów. Ale cóż takiego ja miałbym godzić?”

Muszę się włączyć w pewną określoną hierarchię, a nie — w tej samej chwili — w jakąś inną. Nie wolno mi mylić błogiego spokoju ze śmiercią. Zmierzam do pokoju, ale nie wolno mi odrzucać sprzeczności. Muszę je akceptować. To jest dobre, a to złe; mieszanie jednego z drugim budzi we mnie wstręt; to jakby mdły syrop i przystoi tylko słabym i zniewieściałym; ja mam wykuwać swoją wielkość godząc się na istnienie wroga.



## XXIX

Rozmyślałem kiedyś długo, wpatrując się w maskę tancerki. Twarz uparta, zacięta i zmęczona. W epoce wielkości królestwa była to istotnie maska, dumałem. Dziś tylko pokrywa pustego naczynia. W człowieku nie ma już dziś patosu. Nie ma i niesprawiedliwości. Nikt nie cierpi za to, w co wierzy. A cóż to za wiara, za którą się nie cierpi?

Człowiek chciał posiadać. I posiada. Czy jest teraz szczęśliwy? Szczęściem było dążyć do posiadania. Spójrzcie na roślinę, która wydała kwiat. Czy jest przez to szczęśliwa? Nie, ale znalazła spełnienie. Nie pragnie teraz niczego więcej jak umrzeć. Wiem, czym jest pragnienie; głód pracy; smak zwycięstwa; potem odpoczynek. Ale odpoczynek nikomu nie daje życia, jeśli jest tylko pokarmem. Nie wolno mylić pokarmu z celem drogi. Ktoś biegł szybciej od innych i wygrał wyścig. Ale to zwycięstwo nie da mu życia. Ani temu, kto pokochał morze podczas jednej burzy, której stawiał czoło. Pokonana burza to tylko jeden mocny wyrzut ramion dla pływaka. Po nim musi przyjść kolejny. Więc rozkosz walki z burzą, kwitnienia i budowania świątyni różni się od rozkoszy posiadania kwiatu, burzy już pokonanej, świątyni wzniesionej. Żłudna to nadzieja, że będziemy kosztować szczęścia namiętnych poszukiwaczy, jeśli poszukiwaniem wzgardzimy i jeśli wojownik będzie szukał szczęścia plemion osiadłych. A przecież, na pozór, wojownik walczy o zdobycie tego, co stanowi pokarm osiadłych; ale niech będzie przygotowany na to, że sam się wreszcie przemieni w osiadłego, gdyż fałszywa jest rozpacz tego, kto mówi, że zaspokojenie wiecznie wyprzedza żądzę. To fałsz, czego innego pożąda. To, co ścigam, wiecznie, powiadasz, wiecznie się oddala. . . To tak, jak gdyby roślina się skarżyła: wydałam kwiat, kwiat przemienił się w nasiono, z nasienia wyrasta roślina i znów z rośliny kwiat. . . Zwyciężyłeś burzę, więc stała się dla ciebie odpoczynkiem, ale twój odpoczynek jest tylko przygotowaniem do burzy. Dlatego powiadam ci: Bóg nie udziela amnestii i nic ci nie oszczędzi trudu stawania się. Chciałbyś być: ale będziesz tylko w Bogu. Przyjmie cię do swego spichrza, kiedy się już staniesz, kiedy urobisz cię twoje czyny; człowiek — widzisz — rodzi się powoli.

Więc pusty stał się człowiek, gdyż wydało mu się, że już otrzymał i już posiada, i zatrzymał się w drodze, żeby cieszyć się, jak powiadają, zapasem nagro-

madzonego dobra. Nie ma nagromadzonych zapasów. Wiem o tym, bo sam długo dawałem się chwytać w sidła istot stworzonych, sądząc, że takie, które gdzieś w obcych krajach znajdujemy i namaszczamy najdoskonalszymi wonnościami, dadzą się posiąść na własność. I nazywałem miłością to oszołomienie. I zdawało mi się, że umrę z pragnienia, jeżeli tak posiadać nie będę.

Zatem po zaślubinach następowały huczne uroczystości, a obecność całego ludu i religia miłości nadawały im blasku. Sypano więc kwiaty kosztami, rozlewano wonności i palono drogie kamienie, w których był pot ludzki, ból i krew, i które rodzi ludzki tłum, tak jak jedna kropla wonnego olejku rodzi się z masy zwiezionych kwiatów; i wszyscy, nie rozumiejąc dobrze, szukali swego spełnienia w miłości. A ja miałem już na swoim tarasie brankę łagodną, w lekkich zasłonach, łup wiatru. Ja — mężczyzna, wojownik i zwycięzca, otrzymałem nagrodę za wygraną wojnę. Ale widząc ją tuż przed sobą, nie wiedziałem nagle, jak mam się stawać dalej...

— Gołąbko moja, turkawko, długonoga gazelo... — obmyślając nazwania próbowałem pochwycić ją — nieuchwytną! Niknęła jak topniejący śnieg. Dar, na który czekałem, okazał się niczym. — Gdzie jesteś? — wołałem. Nie było spotkania. Więc gdzie jest granica? Sam stawałem się wieżą obronną i murem. W mieście dalej płonęły ognie na chwałę miłości. A ja w okropnej pustce, samotny, patrzyłem na nią naga i śpiącą. „Pomyliłem się, nie tego łupu chciałem, pomyliłem się i źle pobiegłem. Uciekała tak szybko, zatrzymałem ją, żeby pochwycić... Ale gdy chwyciłem, znikła...” I zrozumiałem, gdzie był błąd. Biegłem w pogoni za biegiem, szalony jak ktoś, kto zamknął pod kluczem dzban wody, bo kochał szmer fontanny...

Ale jeśli ciebie nawet nie dotknę, zbuduję cię jak świątynię. Wystawię cię w świetle. W twojej ciszy będą zamknięte szerokie pola. Potrafię cię kochać poza tobą samą i poza mną. Układam hymny, które będą sławiły twoje panowanie. Przymykasz oczy — powieki świata. Trzymam cię w ramionach znużoną, jakbym trzymał miasto. Jesteś tylko stopniem mojego wstępowania ku Bogu. Jesteś po to, by spłonąć, aby strawił cię ogień, nie po to, abym cię zatrzymał dla siebie... I oto wkrótce w pałacu słyhać płacze i całe miasto czyni pokutę, albowiem zebrałem tysiąc zbrojnych i wyszedłem z miasta przez bramę, która prowadzi w kierunku pustyni, gdyż nie znalazłem zaspokojenia.

\* \* \*

Powiedziałem ci już, że ból jednego człowieka wart jest tyle co ból całego świata. A miłość jednej kobiety, choćby najgłupszej, waży nie mniej niż Mleczna Droga i wszystkie gwiazdy. Ściskam cię w ramionach i czuję jakby wypukłość burty. Oto mój statek, oto wyprawa na pełne morze: groźne ramię miłości...

\* \* \*

Tak poznałem granice mojego królestwa. A granice te określały zarazem obszar królestwa, ponieważ miłe mi jest tylko to, co stawia opór. Drzewo lub człowiek wtedy przede wszystkim jest, gdy stawia opór. Dlatego też porównałem do pokryw pustych naczyń owe płaskorzeźby przedstawiające twarze upartych tancerzek — były maskami niegdyś, kiedy krył się pod nimi upór, wewnętrzny niepokój i poezja, córa sprzeciwu. Miły mi ten, kto okazuje, kim jest, stawiając opór, kto zamyka się w sobie i milczy, kto trwa nieustępliwie, torturowany nie rozwiera ust, kto oparł się i torturom, i miłości. Kto dokonuje wyboru i bywa niesprawiedliwy odmawiając miłości. I ty, jak wieża budząca lęk, nigdy nie zdobyta. . .

Nienawidzę tego, co łatwe. Nie można być człowiekiem, jeśli nie stawia się oporu. W przeciwnym razie będziemy mieć tyłka mrowisko, w którym zabraknie boskiego piętna. Zabraknie ludzkiego zaczynu. Ten właśnie cud ukazał mi się w więzieniu. Coś mocniejszego ode mnie i od ciebie, od nas wszystkich, dozorców, zwodzonych mostów i obronnych murów. Ta właśnie tajemnica dręczyła mnie, podobnie jak tajemnica miłości, kiedy nagą brankę poddałem mojej woli. Wielkość człowieka jest zarazem jego małością, bo wiem, że jest wielki w swojej wierze, a nie w pysze buntu.

## XXX

Pojałem wtedy, że człowiek traci wartość nie tylko wtedy, gdy jest niezdolny do poświęcenia, nie potrafi oprzeć się pokusie i zgodzić na śmierć — bo wtedy jest istotą bezkształtną — ale nawet wtedy, gdy wtopiony w ludzką masę i przez nią zdominowany, ulega jej prawom. Tak bywa także z odyńcem czy słoniem samotnikiem i z człowiekiem, kiedy wejdzie na szczyt; gdyż masa ludzka powinna każdemu pozwolić na trwanie w ciszy i nie odciągać go nienawistnie od tego, co przypomina w nim cedr górujący nad okolicą.

Kto próbuje ująć w słowa i wyrazić człowieka logicznym wykładem, przypomina mi dziecko, które z łopatką i wiaderkiem zasiada u podnóża gór Atlasu i postanawia przenieść je na inne miejsce. Człowiek jest tym, kim jest, nie zaś tym, co potrafi wyrazić. Prawda, że każda świadomość stawia jako cel wyrażenie tego, co jest, ale wyrażanie jest dziełem trudnym, powolnym i skomplikowanym — i błędem jest sądzić, że istnieje tylko to, co może zostać wypowiedziane. Gdyż wypowiedzieć znaczy tyle, co ująć pojęciowo. Ale mizerna jest ta część człowieka, którą nauczyłem się ujmować w pojęcia. A przecież to, czego pojęcie zyskałem pewnego dnia, istniało w równym stopniu i dnia poprzedniego i łudzę się, jeśli sobie wyobrażam, że w człowieku nie zasługuje na uwagę część niewyraźna. Bo i gór nie mogę wyrazić, mogę tylko znaleźć słowo, które je będzie oznaczało. Czasem myli się dwie rzeczy: znaleźć słowo oznaczające i ująć istotę. Słowo oznacza coś dla człowieka, który już zna góry, ale jak bym mógł przekazać ich istotę: upłazy, gdzie toczą się kamienie, stoki porośnięte lawendą, zębaty grzbiet rysujący się wśród gwiazd, komuś, kto ich nie widział.

Wiem jednak, że górską grań to nie zrujnowana forteca ani łódź płynąca przed siebie, odcumowana z żelaznego pierścienia i gnana wedle naszej zachcianki — ale cudowny byt o swoich własnych prawach ciężenia, którego milczący majestat przewyższa milczenie gwiazdnych kołowrotów.

Ujrzałem zatem taką podstawową opozycję: podziwiać człowieka poddanego czy człowieka nieugiętego, pokazującego, kim może być człowiek. Widziałem, na czym problem polega, ale nie umiałem go sformułować. Albowiem ludzie rządzący się najsurowszą dyscypliną, gotowi na jedno moje skinienie przyjąć śmierć i jak magnesem pociągnięci moją wiarą, i tak w tej dyscyplinie stwardniali, że

mogę ich krzywdzić i poddawać swojej woli jak małe dzieci, ci właśnie ludzie, w burzliwych losach i starciach z innymi okazują twardość stali, nadludzki gniew i odwagę wobec śmierci.

Zrozumiałem, że w jednym człowieku istnieją dwie natury. Podziwiam tego, który jest jak twarde ziarno, albo tę, co się nie poddaje, nieobecna w moich ramionach jak statek na pełnym morzu; tego, którego nazywam mężczyzną, bo nie idzie na ustępstwa, nie układa się, nie pakuje, nie rezygnuje z części siebie przez zrzeczność, pożądanie czy zmęczenie, tego, którego mogę zmiażdżyć w kamiennej tłoczni, a nie wyda swej tajemnicy, jak oliwka, co nie wyda oliwy, i zachowa nietknięte jądro — twardą pestkę; tego, którego nie zniewoli ani tłum, ani tyran, bo ma serce twarde jak diament; i w nim zawsze odkryję drugą naturę. Ukaże mi się poddany prawu i dyscyplinie, pełen szacunku, wiary i oddania, roztropany syn określonej duchowej rodziny i dziedzic jej cnót. . .

Ci zaś, których nazwałem wolnymi, sami decydujący o sobie i nieodwołalnie samotni, płyną na osłep i bez steru, bo ich żagle nie chwytają wiatru, a stawiany opór ma w sobie niezborność kaprysu.

Nienawidząc zatem ludzkiego stada i człowieka, w którym nie ma już człowieczeństwa, wygnańca z duchowej ojczyzny, i nie chcąc być panem i wodzem, który swojemu ludowi odejmuje męskość i zmienia go w ślepe i posłuszne mrowisko, pojąłem, że narzucając mu jarzmo mogę i muszę natchnąć go życiem, a nie utracić go. Ponieważ jego łagodność w mojej świątyni, jego posłuszeństwo i pomoc okazywana innym czynią z niego prawowitego syna i dziedzica, a w budowaniu mojego królestwa może się on stać kamieniem węgielnym. I nie od niego samego można oczekiwać pożytku, ale z cudownej współpracy jednych z drugimi. . .

Takiego zatem człowieka, przytłoczonego ciężarem grubych murów, poddane go dozorowi straży, mogę ukrzyżować, a nie zaprzę się siebie, torturowany przez katów odpowie tylko wzgardliwym śmiechem. Ale myliłbym się, widząc w nim buntownika. Jego siła płynie z jakiejś innej religii i jest w nim drugie oblicze: czułość. Oto ten drugi — pełen ciepła i czułości, siedzi zasłuchany, i złożywszy dłonie na kolanach uśmiecha się naiwnie jak dziecko i wydaje się, że karmi go jakaś matczyzna pierś. Podobnie dziewczyna, którą wziąłem w niewolę i zamknąłem w wieży, gdzie chodzi wzdłuż i wszerz jak w klatce horyzontu: nie mogę jej ani zgwałcić, ani ująć, i nie wypowie nigdy słowa miłości, na które czekam. Bo ona po prostu przynależy do innego kraju i do innych światła, bo wywodzi się z dalekiego plemienia, wyznającego swoją własną religię. Znajdę do niej przystęp tylko wtedy, jeśli się nawróci.

Nienawidzę zaś tych przede wszystkim, którzy nie istnieją. To psi pomiot — zdaje się im, że wolni, bo wolno im zmieniać zdanie, zaprzę się (a jakżeby byli świadomi swego zaparcia, jeżeli sami są sobie sędziami?). Bo wolno im oszukiwać, przysięgać i łamać przysięgi; bo zmieniają zdanie, głodni, jeśli im pokazać miskę. Tak więc jest noc zaślubin i noc tego, co czeka na karę śmierci. Odczułem

wtedy, czym jest życie. Trwajcie więc w swoim kształcie, niezmiennym jak dziób żaglowej łodzi, a to, co czerpicie z zewnątrz, przemieniajcie w sobie, jak to czyni drzewo cedrowe. Ja jestem ramą i kośćcem, i twórczym impulsem, z którego się rodzicie; a teraz trzeba wam rosnąć i zakorzeniać się jak ogromne drzewo, które wypuszcza gałęzie, nie cudze, a swoje własne, a na nich liście czy igły, nie cudze, a swoje własne...

\* \* \*

Ci natomiast, którzy żywią się cudzym gestem i w zależności od niego, jak kameleon, zmieniają barwę, przyjaźni tym, od których mogą coś uzyskać, łasi na poklask oceniają siebie wedle sądów masy ludzkiej — to w moich oczach męty i wyrzutki. I nie są, nie mogą być porównani do twierdzy, kryjącej w sobie skarb, i nie przekazują hasła z pokolenia na pokolenie, ale pozwalają, aby ich dzieci rosły jak dziczki. I sami rosną jak grzyby, płytko, na powierzchni ziemi.

## XXXI

Tacy właśnie ludzie opowiadają mi o wygodzie, a ja wspominam wtedy moje wojsko. Wiem, ile trudu zadaje sobie człowiek, aby uzyskać równowagę w życiu, a przecież kiedy równowagę zdobył, okazuje się, że życia już nie ma. Toteż nieprzypadkowo świętowałem zaślubiny i wspominałem słowa ojca: „Kształtujesz dla nich krajobrazy i oto któryś z nich staje się piękny; bo jeśli chcesz położyć barwną plamę, nie pozwolisz, żeby jedna barwa zapanowała na całej przestrzeni; bo w istocie rozkosz ci sprawa nie kolor żółty, zieleń czy czerwień, ale ich wzajemne stosunki”.

Dlatego też lubiłem wojnę, której celem jest pokój. Ciepłe, spokojne piaski i piaski nie tknięte stopą, siedzibę żmij, krainy niedostępne człowiekowi, pełne kryjówek. Myślałem nieraz o dzieciach, które w zabawie dokonują przemiany białych kamyków: „Oto — mówią na przykład — maszerujący żołnierze, a to stada bydła”. Natomiast przechodzień widzi tylko kamyki i nie wie nic o bogactwie, jakie kryje się w dziecięcym sercu. Podobnie człowiek, który wstaje o świcie, w chłodzie wstającego słońca zanurza się i oblewa lodowatą wodą, a potem grzeje się w blasku pierwszych godzin dnia. Albo po prostu ten, co idzie do studni, sam ciągnie skrzypiący łańcuch, unosi ciężkie wiadro na brzeg cembrowiny — ten, co zna śpiew wody, jej hałaśliwe melodie. Pragnienie nadało sens jego krokom ku studni, jego ramionom i oczom i dlatego droga spragnionego człowieka ku studni jest jak poemat; inni natomiast wzywają niewolnika, a ten na ich skinienie podaje im wodę do ust, a oni nie poznają nigdy śpiewu wody. Ich wygoda jest brakiem: nie uwierzyli w cierpienie i radość się od nich odwróciła.

Podobnie — można by zauważyć — jest z człowiekiem, który słucha muzyki, a nie odczuwa potrzeby, aby przeniknąć ją głębiej. Który daje się nieść, jakby w lektyce, a nie chce iść ku niej, który wyrzeka się owocu, jeżeli jego łupina jest gorzka. Ja zaś twierdzę: nie ma owocu bez łupiny. I nie mylcie szczęścia z nieobecnością własnego ja. Albowiem człowiek nie po to jest bogaty, aby korzystać ze swoich bogactw, i takie bogactwa są marnościami. Nie ma też krajobrazów, ujrzanych ze szczytu góry, jeśli nie było wędrowca, który się wspiął na szczyt, gdyż ów krajobraz jest nie tyle widokiem, ile poczuciem zwycięstwa. Jeśli zaś wniesiono cię na górę w lektyce i widzisz w dole pewne zestawienie przymglonych form,

czy zdołasz wzbogacić ich trwanie własną substancją? Dla tego, kto zadowolony skrzyżował ręce na piersi, ów krajobraz jest czymś, na co składa się i oddech zdyszany, i ulga mięśni wypoczywających po wysiłku, i błękitniejący wieczór, jest także jakby radością z wprowadzonego ładunku, bo każdy jego krok wprowadzał trochę ładunku w bieg strumieni, ustawiał wierzchołki gór, wygładzał wiejskie drogi. Ten krajobraz z niego się narodził i radość w nim obecna jest równa radości dziecka, które układając kamyczki buduje sobie miasto, zachwyca się nim i napęnia je sobą. Ale czy dałoby dziecku szczęście patrzenie na kamyki już ułożone — można je oglądać, ale nie ma w nich własnego wysiłku.

Widziałem ludzi, których dręczyło pragnienie — a jest ono zazdrosnym pożądaniem wody, gorszym od choroby, bo tu ciało wie, jakiego mu trzeba lekarstwa, i domaga się tak, jak potrafi się domagać kobiety, i przez sen widzi jak inni piją. Tak jak patrzy się na kobietę, która uśmiecha się do innych. Nic nie ma sensu, jeżeli nie angażuje naszego ciała i umysłu. Przygoda spotka nas wtedy, kiedy się w nią rzucimy. Astrologowie z mojego dworu spędzali całe noce studiując i wpatrując się w Mleczną Drogę — widzą w niej więc ogromną księgę, której stronicę, odwracane, wydają wzniosły szelest; i wielbią Boga za to, że nasycił świat takim żywotnym sokiem — pokarmem dla serc.

Dlatego powiadam: nie wolno wam unikać wysiłku, chyba po to, żeby podjąć wysiłek jeszcze większy; gdyż zadaniem waszym jest rosnać.



## XXXII

Tego roku zmarł człowiek, który panował nad wschodnią częścią mojego cesarstwa. Toczyłem z nim zacięte wojny, a po wszystkich tych walkach pojąłem, że był dla mnie oparciem i murem. Przypominam sobie nasze spotkania. Stawiano na pustyni purpurowy namiot i udawaliśmy się tam obaj, a dokoła nas było pusto; nasi ludzie nie mogli mieszać się ze sobą, obie armie stały zatem na uboczu. Tłum ludzki żyje tylko swym brzuchem. I złuszcza się zewnętrzna warstwa złota. Patrzono więc na nas zawistnie, bo każdy czuł się silny, uzbrojony, nie zaś z powierzchowną życzliwością. Miał rację mój ojciec mówiąc: „Z drugim człowiekiem musisz spotkać się nie powierzchownie, ale w najgłębszych warstwach jego duszy, serca i umysłu. Jeśli będziecie się szukać poprzez najprymitywniejsze odruchy, dojdzie tylko do niepotrzebnego rozlewu krwi!”

Rozumiejąc to, starałem się zostawić wszystko za sobą i obwarować się ni- by potrójnym wałem obronnym samotnością, i tak szedłem na to spotkanie. Siadaliśmy potem naprzeciw siebie, na piasku. Nie wiem, który z nas był wtedy mocniejszy. Ale w tej świętej samotności moc stawała się miarą. Nasze gesty potrafiłyby wstrząsnąć światem, ale myśmy nad nimi panowali. Rozmowy dotyczyły pastwisk. „Mam dwadzieścia pięć tysięcy sztuk bydła, które mrze z głodu, mówił. U ciebie padały deszcze.” Ale ja nie mogłem zgodzić się na to, żeby jego ludzie przynieśli na moje ziemie obce obyczaje i zwątpienie, które jest jak zgnilizna. Czy mogłem przyjąć do kraju tych pasterzy, przybyszów z innego świata? Odpowiedziałem więc: „Mam dwadzieścia pięć tysięcy ludzkiej młodzi, która musi nauczyć się naszych modlitw, a nie modlitw innego ludu, gdyż w przeciwnym razie tracą własną istotę. . .” I wojska rozstrzygały o losie naszych ludów. Było to tak, jakby dwa morza wzbierały przyplływem i cofały się z falą odpływu. I żadna strona nie posuwała się do przodu, choć w natarciu parliśmy całą siłą; obie strony były bowiem u szczytu potęgi, a klęska jednej stawała się utwierdzeniem drugiej. Tyś mnie zwyciężył — ja zatem stawałem się silniejszy.

Nie gardziłem jego potęgą. Ani wiszącymi ogrodami w jego stolicy. Ani wonnościami, którymi handlowali jego kupcy. Ani cyzelowanymi cackami wyrobu jego złotników. Ani ogromnymi zaporami wodnymi. Tylko człowiek, który jest słabszy, odczuwa wzdargę, gdyż jego prawda wyklucza prawdę innych. Ale my,

wiedząc, że jedna prawda może istnieć obok drugiej, nie zamierzaliśmy pomniejszać siebie uznawaniem przeciwnej, choć była ona zarazem dowodem naszego błędu. Jabłoń, jak sądzę, nie wzgardzi winoroślą, ani palma — cedrem. Ale każde z nich twardnieje w sobie i nie pozwala mieszać się własnym korzeniom z innymi. A w ten sposób chroni właściwy sobie kształt i swoją istotę, kapitał nieoceniony, prawe dziedzictwo, którego nie należy trwonąć.

— Prawdziwa wymiana — mówił mi — to szkatułka wonności albo ziarno, albo dar wykonany z żółtego drzewa cedrowego, który napełnia twój dom zapachem mojego domu. Albo też mój okrzyk wojenny, kiedy dolatuje ciebie z gór. Albo poselstwo przekazane przez mojego ambasadora, jeśli to człowiek starannie uformowany, wykształcony i okrzepły, który gotów cię jednocześnie odrzucić i zaakceptować. Odrzuca cię w niższych warstwach twojego ja. A odnajduje kontakt z tobą na tych obszarach, gdzie człowiek jest oceniany już powyżej poziomu nienawiści. Jedyny szacunek, który jest coś wart, to szacunek ze strony nieprzyjaciela. Szacunek przyjaciół wart jest tylko wtedy, gdy wznosi się ponad ich wdzięczność, podziękowania i wszystkie bardziej prymitywne odruchy. . . Jeśli umierasz za przyjaciela, nie wolno ci się roztkliwiać nad sobą. . .

Skłamałbym mówiąc, że był mi przyjacielem. A przecież nasze spotkania dawały mi radość — tu jednak słowa obarczone ludzką pospolitością zaczynają być mylące. Radość nie do niego się kierowała, a do Boga. Był drogą ku Bogu. Nasze spotkania były jak zworniki sklepienia. Nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia.

Kiedy umarł, płakałem i niech mi to Bóg wybaczy.

Widziałem dobrze moją niedoskonałość i nędzę. Płacę dlatego, mówiłem sobie w duszy, że nie dość jestem czysty. Wyobrażałem sobie, że gdyby on dowiedział się o mojej śmierci, byłoby to wejście w obszar mroku. I że patrzyłby na to nagle runięcie świata tak samo, jak patrzyłby na zmierzchający dzień. Albo jak ten, co tonie, i pod śpiącym lustrem wody świat nagle ulega dla niego przemianie. „Panie, powiedziałby swojemu Bogu, z Twojej woli nadchodzi dzień i noc. Ale nic się nie zatraciło z tego snopa zżętego, z tego czasu, co przeminął. Byłem.” I tak zamknąłby mnie wewnątrz swojego niewymownego pokoju. Ale ja nie byłem jeszcze dość czysty, nie dość silny był we mnie pęd ku wieczności. I jak kobieta czułem tę płytką melancholię, kiedy pod wieczór wędzną na wietrze róże w moich ogrodach. Bo i ja wędnę razem z kwiatami. Umieram w nich.

Z biegiem lat pogrzebałem dowódców mojej armii, pozwaliałem ministrów, rozstałem się z kobietami. Zostawiłem za sobą w tyle sto własnych wizerunków, podobnie jak wąż zostawia swoją skórę. Tak samo jednak jak powraca słońce, które jest miarą i zegarem dnia, albo lato, które odmierza bieg roku, ponawiały się spotkania z tym człowiekiem, i coraz nowe układaliśmy traktaty, a moi żołnierze stawiali na pustyni namiot. Wchodziliśmy do niego obaj. A z nami uroczysty rytuał, uśmiech na pomarszczonych twarzach i spokój, jaki gości w pobliżu śmierci. A także cisza, która nie jest już ludzką, ale boską sprawą.

A teraz zostałem sam, sam jeden odpowiedzialny za całą swoją przeszłość, pozbawiony świadka, który patrzył na moje życie. Wszystkie czyny, których nie raczyłem wyjaśnić moim poddanym, a które on, mój sąsiad zza wschodniej granicy, dobrze rozumiał; wszystkie porywy wewnętrzne, których nie okazywałem nikomu, a które on milcząc odgadywał. Cały ten przytłaczający mnie ciężar odpowiedzialności, o którym nikt nie wiedział, gdyż słuszniej było, aby wszyscy ufali mojej woli, ale którą on, mój sąsiad zza wschodniej granicy, ważył w myślach; nie współczując mi nigdy, stojąc jakby wyżej, stojąc gdzieś poza i zachowując odmienne zdanie. Oto zasnął teraz wśród purpury piasków, okryty piaskami jak godnym siebie cafunem; zamilkł, z uśmiechem melancholijnym i pełnym Boga, jakby godząc się na to, że snop będzie związany, a oczy pełne bogactw całego życia — zamknięte. Ile egoizmu było w moim wzruszeniu! I słabości przypisującej wagę biegowi mojego życia, gdy ono tej wagi nie miało; przymierzałem królestwo do własnej osoby zamiast roztopić siebie samego w innym królestwie i widziałem, że mój los jednostkowy kończy się, jak podróż, na tym górskim wierzchołku.

Po raz pierwszy tej nocy ujrzałem przed sobą jak gdyby dział wód: wspinając się dotąd powoli po stoku, zacząłem od tej chwili schodzić z boczem w dół; nie poznawałem nikogo dokoła siebie, po raz pierwszy byłem starcem, któremu zabrakło dokoła znajomych twarzy; zobojeźniałem na wszystko, bo sam sobie stałem się obojętny, a na przeciwnym stoku pozostali wszyscy moi dowódcy, wszystkie moje kobiety, wszyscy wrogowie, a może także — jedyny przyjaciel; odtąd byłem sam na świecie zamieszkałym przez obcą mi ludzkość.

Ale potrafiłem się podnieść. Zerwałem z siebie, jak mi się zdawało, ostatnią łuskę i może teraz stanę się czysty. Nie byłem tak wielki, skoro sam siebie osądzałem. Była to próba jakby specjalnie mi zesłana w chwili, kiedy słabłem. Kiedy przepełniały mnie niskie odruchy serca. Ale będę umiał zachować obraz przyjaciela w jego majestacie i nie będę go opłakiwał. Po prostu będzie trwał. I piaski pustyni będą mi się wydawały bogatsze, ponieważ nieraz, na horyzoncie, zobaczę jak gdyby jego uśmiech. I uśmiech każdego człowieka będzie dla mnie wzbogacony tym jednym uśmiechem. Będę odtąd widział w człowieku ów kształt, którego jeszcze nigdy żadnemu rzeźbiarzowi nie udało się wydobyć z kamiennego bloku, ale poprzez zarysy kamiennego bloku jaśniej mi się ukaże twarz ludzka, ponieważ jednego człowieka ujrzałem dobrze, patrząc mu prosto w twarz.

Schodzę zatem z mojej góry: nie lękajcie się, moi poddani, nic ze światem znów jest nawiązana. Złe było to, że potrzebowałem pojedynczego człowieka. Dłoń, która mnie uzdrowiła i która zabiła ranę, już znikła, ale blizna pozostała. Schodzę z gór, mijam po drodze owce i jagnięta. Głaszczę je. Jestem sam na świecie, sam przed Bogiem, ale głaszcząc jagnięta, czując, jak biją źródła mojego serca, nie pojedyncze jagnię odkrywam, ale poprzez nie — ludzką słabość; i was odnajduję.

A tamtemu człowiekowi oddałem należne miejsce i nigdy jego panowanie nie było tak ugruntowane. Oddałem mu jego miejsce w królestwie śmierci. I co rok stawiany jest na pustyni namiot, a cały mój lud modli się wówczas. Wojska stoją pod bronią, strzelby są naładowane, konne oddziały trzymają straż na pustyni, a kto zapuści się w ten rejon, temu ucinają głowę. Ja zaś idę sam. Unoszę płótno namiotu, wchodzę i siadam. I ziemię zalega cisza.

## XXXIII

A oto teraz dokucza mi ten tępy ból w krzyżu, z którego lekarze nie potrafią mnie uleczyć, teraz kiedy jestem jak drzewo w lesie pod siekierą drwala i Bóg powali mnie jak skruszoną wieżę, kiedy budzę się już nie taki, jak mając dwadzieścia lat, z radością w mięśniach i myślami, które lekko szybują; teraz i w tym znajduję pocieszenie. Potrafię nie cierpieć nad zapowiedziami, które odczuwam w całym ciele, a które są czymś tylko osobistym, błahym i zamkniętym wewnątrz mojego organizmu i którym historycy cesarstwa nie poświęcą nawet trzech linijek w swoich kronikach; bo rzecz to naprawdę bez znaczenia, że ząb mi się chwieje lub że go należy wyrwać, a oczekiwać współczucia byłoby z mojej strony czymś niegodnym. Przeciwnie, kiedy myślę o tym, wzbiera we mnie złość. Są to bowiem pęknięcia powierzchni, dotyczące naczyń, nie jego zawartości. Ludzie opowiadają, że odkąd mój sąsiad od wschodu został dotknięty paralizem i towarzyszyła mu, niczym brat syjamski, martwa już i chłodna, i nie umiejąca się śmiać połowa ciała, on nie utracił nic ze swej godności. Przeciwnie, umiał z takiej sytuacji czerpać naukę. Tym zaś, co mu wieszowali siły ducha, odpowiadał, że chyba biorą go za kogoś innego i że takie słowa uznania należą się raczej sklepikarzowi. Gdyż człowiek, który panuje, jest tylko śmiesznym uzurpatorem, jeśli nie umie przede wszystkim zapanować nad własnym ciałem. A więc to nie tylko powinność, ale i cudowna radość, że trochę bardziej będę mógł wyzwolić się od siebie!

\* \* \*

Ludzka starość... To pewne, że nie ma tu dla mnie, na drugim stoku góry, którym schodzę w dół, nic znanego. Serce mam pełne zmarłego przyjaciela. A na mijane wioski patrzę suchym okiem i w żałobie czekam, że znów uniesie mnie, jak fala przyływu, miłość.

## XXXIV

Znów patrzyłem na miasto, którego światła zaczynały wieczorem płonąć. Światła zapalały się wewnątrz domów, jak stadka błyszczących punktów, a miasto wyglądało jak biała, czasem z błękitnym cieniem, twarz. Rozmyślałem nad rysunkiem ulic. I nad ciszą, która narastała, bo wstawała nad miastem cisza jakby idąca od podwodnych skał. Kiedy zaś podziwiałem zarys ulic i placów, i świątynie, tu i ówdzie, jak spichlerze dóbr duchowych, a dokoła ciemny płaszcz wzgórz, przyszedł mi na myśl — choć tak dotykalne było to wszystko — obraz suchej rośliny, którą odcięto od korzeni. Obraz pustych spichlerzy. Nie był to już żywy organizm, o powiązanych ze sobą członkach, nie było w nim serca zbierającego w siebie krew, aby ją rozprowadzić po wszystkich cząsteczkach, nie było to już ciało, które w dni święta potrafi zgromadzić się na jednym placu i razem się cieszyć. Były to już tylko pasożyty gnieźdzące się w cudzych skorupach, a każdy beczynny w swoim więzieniu, i nie było pomiędzy nimi współpracy. Nie było to już miasto, ale łupina miasta, wypełniona istotami martwymi, którym zdawało się, że żyją. Oto drzewo, które niebawem uschnie — mówiłem sobie. Oto owoc, który zgnije. Oto skorupa żółwia, a w niej zwierzę już martwe. Wydało mi się wtedy, że trzeba by moje miasto ożywić nowymi sokami. Wszystkie te gałęzie wszczepić z powrotem w życiodajny pień. A spichlerze i cysterny napęłnić zapasem ciszy. I że to ja muszę to zrobić: kto inny bowiem tak by ludzi kochał?

## XXXV

Rozmyślałem też o muzyce, której oni nie umieli pojąć. I przyszła mi do głowy taka sprzeczność. Albo dam im pieśni zrozumiałe — ale wtedy nie będą się rozwijali — albo będę ich uczył wiedzy niezrozumiałej, ale wtedy nie będą mieć z tego pożytku. Albo zamknę ich w obyczajach, które od tysięcy lat uważają za własne, i nie będą wtedy podobni do drzewa, które rosnąc wydaje wciąż nowe kwiaty i owoce, lecz do drzewa, które modli się w spokoju, mądrości i Bożym śnie; albo przeciwnie, idąc ku przyszłości, będę ich popychał, przewracał i zmuszał, aby odrzucili to, do czego przywykli, i wtedy będę już niebawem prowadził stado wygnańców wyzbytych ojcowizny. Będzie to armia wciąż koczująca, która nigdy nie osiadzie na stałe w jednym miejscu.

Ale wszelkie wstępowanie w górę jest bolesne. I każda przemiana niesie ze sobą cierpienie. Muzyki nie pojmem do dna, jeżeli wpierw nie zada mi ona bólu. Ona jest właśnie owocem mojego bólu; i nie wierzę tym, którzy się cieszą skarbami nie przez siebie zebranych. Nie wierzę, że wystarczy dać ludzkim dzieciom koncerty, poezję i mądre rozprawy, aby zapewnić im szczęście i upojenie, jakie przynosi miłość. Bo człowiek to z pewnością umiejętność kochania, ale i umiejętność cierpienia zarazem. I tęsknoty. I nostalgicznych nastrojów podobnych do dżdżystego nieba. A nawet u tych, którzy odczuliby smak poematu, nie o samą radość z poematu chodzi: w przeciwnym razie nigdy by w nich nie zagościł smutek. Zamknęliby się w granicach poezji i radowali bez końca. A przecież człowiek cieszy się naprawdę tylko z tego, co sam tworzy — taka jest jego natura. I by poznać smak poematu, musi razem z nim wspinać się w górę. Ale podobnie jak pejzaż ujrany ze szczytu górskiego, błędnie szybko, gdyż sens mu nadaje zmęczenie i stan mięśni tego, co się wspinał. Kiedy już zaś odpoczniesz i znowu zapragniesz ruszyć w drogę, ten sam krajobraz znudzi ci się i nic już więcej nie odkryje. Tak i poemat, jeżeli nie zrodził się z twojego wysiłku. Bo nawet cudzy poemat jest owocem twojego wysiłku, twojej wewnętrznej wspinaczki, a spichrze stawiają tylko plemiona osiadłe, które nie zasługują na miano ludzi. Nie wolno mi korzystać z miłości, jak z przygotowanego zapasu — ona jest przede wszystkim ćwiczeniem mojego serca.

Nie dziwię się więc, że tak wielu nie rozumie, czym jest ziemia–ojcowizna, czym jest świątynia, poemat, muzyka, i że powiadają: cóż to jest takiego? Tylko mniej lub bardziej bogaty zbiór luźnych części. Jakie więc ma prawo, aby nade mną panować? Mówią tak, rozumni, sceptyczni, z ironią, która jest cechą nie człowieka, a łobuza. Miłość bowiem nie jest darem, danym ci przez ukochaną twarz, ani łagodny spokój nie jest czymś, co otrzymujesz za sprawą krajobrazu, ale jedno i drugie jest twoim zwycięskim wstępowaniem na górę. Tryumfem, jaki odniosłeś nad górskim szczytem. Miejscem, jakie znalazłeś sobie w niebie.

I z miłością nie jest inaczej. To nieprawda, że człowiek ją spotka, kiedy się jej nauczy. Myli się ten, kto błąka się i czeka, aby go wzięto szturmem; kto w przelotnych zetknięciach z płomieniem poznał smak serdecznej zawieruchy i marzy o wielkim płomieniu, który go rozpali na całe życie; ale że duch jego jest ciasny i niewielki wzgórek, na który potrafił się wspiąć, więc i zwycięstwo serca nie będzie wielkie. W miłości nie znajdziesz więc odpoczynku, jeżeli z dnia na dzień nie będzie się przemieniała, tak jak to jest z miłością macierzyńską. A ty byś chciał zasiać w gondoli i na całe życie przemienić się w śpiew gondoliera. Mylisz się. Nie ma żadnego znaczenia to, co nie jest wstępowaniem na górę albo drogą. Jeżeli się nie zatrzymasz, znajdziesz tylko nudę, bo krajobraz nic ci już nowego nie powie. I odrzucisz kobietę, a to przecież ty sam zasługujesz na odrzuceniu.

\* \* \*

Dlatego też nigdy nie robiły na mnie wrażenia argumenty niedowiarka i logika: „Pokaż mi tę ojcowiznę, królestwo niebieskie czy Boga, bo kamienie i inne rzeczy materialne widzę i mogę ich dotknąć, i wierzę w te kamienie i w te przedmioty, których dotykam”. Ale nigdy nie próbowałem nawet pokazać mu prawdy, objawiając tajemnicę, tak trudną do wyrażenia w słowach. Podobnie nie mogłem przecież przenieść go na szczyt góry, żeby mu tam odsłonić prawdę krajobrazu, który dla niego nie będzie wtedy odniesionym zwycięstwem; ani nie mogę sprawić, żeby poznał smak melodii, której trudności wprawdzie nie pokonał. Taki człowiek zwraca się do mnie, żebym go nauczył pojmować muzykę — ale chce uniknąć wysiłku, podobnie ten, kto szuka kobiety, żeby ona w nim złożyła swoją miłość. A to nie w mojej mocy.

Ja mogę go tylko zaniknąć i skazać na mękę pracy, wiedząc, że jałowe jest to, co łatwe, a jałowe jest właśnie przez to, że łatwe. Wartość pracy mierzę bólem zmęczonych członków i potem.

Toteż zgromadziłem nauczycieli mego królestwa i powiedziałem im: „Musimy się dobrze zrozumieć. Powierzyłem wam ludzkie dzieci nie po to, żeby kiedyś ocenić, ile wiedzy zdołaliście im przekazać, ale po to, żeby radować się widząc, jak wstępują wzwyż. Nie ten spośród waszych uczniów mnie interesuje, który —



wzniesiony wygodnie w lektyce — pozna tysiąc górskich szczytów i ujrzy zatem tysiąc krajobrazów — żadnego z nich przecież naprawdę nie pozna, a zresztą tysiąc krajobrazów to ziarnka piasku w ogromie świata. Interesuje mnie tylko ten, który będzie ćwiczył mięśnie wspinając się na szczyt, choćby tylko jeden, nie więcej, a w ten sposób stanie się zdolny zrozumieć w przyszłości każdy ujrzany krajobraz, i to lepiej niż wasz pseudouczony owe tysiąc źle nauczonych krajobrazów.

A jeśli zechcę, aby narodził się dla miłości, zasieję w nim miłość praktyką modlitwy!”

Błąd zaś stąd się rodzi, że człowiek, który się wprawił już w miłości, odsłania twarz, która w nim wznieciła płomień. A wtedy ludzie wierzą w piękno tej twarzy. A tego, kto posiadał piękno poematu, rozplomienia poemat — więc ludzie wierzą w piękno poematu.

\* \* \*

Ale ja raz jeszcze powtórzę: kiedy powiadam „góra”, oznaczam przez to górę dla tego, kto się krwawił o kolczaste zarośla, kto obsuwał się w przepaście, oblewał się potem czepiając głazów, zrywał kwiaty i na grzbiecie górskim oddychał pełną piersią. Oznaczam górę, ale nie mogę jej ująć. A kiedy opowiadam o górze tłustemu handlarzowi, nie potrafię nic mu przekazać.

\* \* \*

I nie dlatego poezja traci siłę, że brak jej poematów. Ani dlatego, że nie dość piękne twarze, brak jest miłości. Ani dlatego, że nie dość Boga, brak w ludzkich sercach roli uprawnej, objętej serdecznie, którą pług przygotowuje pod cedry i kwiaty.

\* \* \*

Nie skąpiłem uwagi stosunkom pomiędzy ludźmi i jasno dojrzałem niebezpieczeństwo rozumienia rozumem: takiego, któremu się zdaje, że język zdoła ująć sedno sprawy. Znam też odpowiedzi padające w dyskusjach. Albowiem nie mową zdołam przekazać innym to, co jest we mnie. To, co jest we mnie, nie znajdzie sobie słowa, w którym zdołałoby się wypowiedzieć. Mogę tylko znaleźć znak, i to o tyle, o ile na inny sposób, nie przez słowa, już to pojmujesz. Przez czarodziejstwo miłości, albo dlatego, żeś zrodzony z tego samego Boga, a zatem mnie podobny. W przeciwnym razie mogę tylko na siłę wyszarpywać z siebie zatopiony we mnie świat. I przez przypadek lub niezręczność pokazywać tylko jeden jego

aspekt, albo jakiś inny, podobnie jak w przypadku góry, kiedy — uciekając się do znaków, mówię słusznie, że jest wysoka. A przecież ona jest zupełnie czymś innym, a ja chciałem mówić nie o wysokości, ale o tym nocnym majestacie, kiedy — otoczony gwiazdami — czuję chłód.

## XXXVI

Kiedy piszesz do człowieka, to jakbyś towarami ładował statek. Ale niewiele statków dobją do celu podróży. Toną w morzu. Niewiele jest zdań, które płynąc poprzez historię zachowują dawne brzmienie. Wiele bowiem wyrażałem znakami, mało potrafiłem ująć w całej prawdzie.

I tu znów staje problem: o wiele ważniejsze jest uczyć, jak ująć prawdę, niż uczyć posługiwania się znakami. Ważne więc — uczyć sposobów ujmowania prawdy. Kiedy widzę przed sobą człowieka, nieważne jest, ile wie. Człowiek to nie encyklopedia. Ale ważne, kim jest. Ktoś na przykład napisał wiersz i nappełnił go własnym żarem, ale nie udał mu się połów na głębinie. Nie wydobył nic z głębokości. Jego wiersz oznacza wiosnę, ale on nie stworzył wiosny we mnie, choć mógł ją dać jak pokarm dany sercu.

Słyszałem więc, jak logicy, historycy i krytycy stwierdzają, że jeśli dzieło ma siłę przekonywania, siła ta wyraża się w planie, albowiem to, co ma taką siłę, staje się planem. A jeśli patrząc na miasto widzę przede wszystkim jego plan, znaczy to, że miasto potrafiło znaleźć sobie wyraz, że miasto powstało. Ale to nie plan miasta stał u jego narodzin.

## XXXVII

Czasem przyglądałem się w moim mieście tancerkom, śpiewaczkom i kurtyzanom. Kazały sobie sporządzać srebrne lektyki, a kiedy wybrały się czasem na spacer, przodem biegli posłańcy, których zadaniem było obwieszczać ich obecność, tak aby na drodze gromadziły się tłumy. Kiedy zaś witały je oklaski, rozbudzone z lekkiej drzemki odchyłały z twarzy jedwabne zasłony i spełniały łaskawie pragnienie tłumu pochylając białe twarze ku jego uwielbieniu. Uśmiechały się przy tym skromnie, a tymczasem heroldowie gorliwie wypełniali swoje zadanie, ponieważ groziła im wieczorem chłosta, jeśli tłum swoim uwielbieniem nie przewyciężył skromności tancerki.

Kapały się w wannach z litego złota, a tłumom wolno było przyglądać się przygotowanym do kąpieli. Sto oślic dojono, aby dostarczyć na nią mleka. Potem dodawano wonności i ekstrakty kwiatowe, bezcenne, ale tak delikatne, że zupełnie bezwonne.

Nie gorszyłem się tym, ponieważ gospodarka mojej krainy była w gruncie rzeczy dość mało zaangażowana w produkcję tych kwiatnych ekstraktów, a ich wysoka cena była fikcją. Dobrze zresztą, że to, co cenne, znajdowało gdzieś odświętne zastosowanie. Liczy się bowiem nie sposób zastosowania, ale zapach. Skoro owe ekstrakty istniały, mniejsza z tym w końcu, czy służyły do namaszczenia ciał kurtyzan, czy nie.

Kiedy moi doradcy, rozumując logicznie, nakłaniali mnie, abym rozpatrzył, co budzi zapach w moim kraju, miałem za zasadę ingerować tylko wtedy, gdy ludzie zbyt wiele zajmowali się złotymi ozdobami, a za mało chlebem; nie występowałem natomiast nigdy przeciw złotym ozdobom, jeśli zachowywano w nich umiarkowanie i jeśli przynosiły zaszczyt rękodzielnikom; i nie zajmowałem się prawie ich przeznaczeniem, kiedy wcale nie służyły w życiu codziennym; lepiej, aby ozdabiały kobiece włosy — myślałem — niż jakiś idiotyczny pomnik. Bo pomnik można oczywiście uznać za własność tłumu, ale kobieta, jeśli jest piękna, także przyciąga ludzkie spojrzenia; przy tym pomnik, jeśli nie jest świątynią na chwałę Boga, może tylko sypać w ludzkie oczy blask swojego złota — nic więcej, a od ludzi nic otrzymywać nie może. Natomiast kobieta, jeśli jest piękna, wyzwala po-

trzebę składania jej darów i poświęcenia, a dając jej ofiary znajdujemy upojenie. Nie zaś — otrzymując coś od niej w darze.

Tak więc kobiety te kąpały się w kwiatnych ekstraktach, i stawały się co najmniej wyobrażeniem piękna. Żywiły się zaś wyszukanymi i mdłymi potrawami i umierały zadławivszy się ością rybią. Posiadały naszyjniki z pereł i gubiły perły. I nie gorszyłem się tymi zagubionymi perłami, gdyż perły powinny być czymś nietrwałym. Słuchały opowieści i omdlewały z zachwytu, a omdlewając nie zapomniały o tym, aby opaść na tę właśnie poduszkę, która kolorem odpowiadała najlepiej barwie ich szali.

Od czasu do czasu pozwalały sobie ponadto na miłość. Sprzedawały wtedy swoje perły w zamian za młodego wojaka, z którym pokazywały się na mieście, i chciały, żeby był ze wszystkich najpiękniejszy, najbardziej męski, pełen wdzięku, olśniewający...

A naiwny żołnierz, wdzięczny do nieprzytomności, wierzył najczęściej w to, że coś od nich otrzymuje, kiedy w rzeczywistości służył przede wszystkim ich próżności i przyciągał ku nim uwagę tłumów.

## XXXVIII

Przyszła do mnie kiedyś kobieta i skarżyła się namiętnie:

— To rozbójnik — krzyczała — człowiek splamiony, zepsuty, skryty hańbą. Zakąła całej ziemi. Bezwstydy kłamca. . .

— Idź, obmyj się — powiedziałem jej — bo się zbrukałaś.

\* \* \*

I przyszła inna, żaląc się w głos na niesprawiedliwość i na oszczerstwa.

— Nie staraj się, aby ludzie zrozumieli intencje twoich czynów. Ludzie ich nigdy nie rozumieją i nie ma w tym żadnej niesprawiedliwości. Bo sprawiedliwość to pościg za chimera, która jest wewnętrzną sprzecznością. Widziałas moich kapitanów żyjących na pustyni, jacy są szlachetni, szlachetni i biedni, i wysuszeni ustawicznym pragnieniem. Śpią skuleni na piasku, wśród wielkiej nocy mojego królestwa. Czujni i gotowi na każde wezwanie, gotowi chwycić za broń za najmniejszym szelestem. Oni istotnie spełniają życzenie mojego ojca: „Niech powstaną ci, którzy są gotowi przyjąć śmierć, zawinąwszy cały dobytek w węzełek niesiony na ramieniu. I niech będą gotowi na wezwanie. Wierni w walce i wielkoduszni w ofierze składanej z siebie. Powstańcie, wam wręczone klucze królestwa”. A oni stoją przed wrotami królestwa czuwając jak archaniołowie. Inne jest ich dostojęstwo niż u paziów moich ministrów, a także u samych ministrów. Ale popatrz na nich, kiedy zostaną wezwani do stolicy, jak na ucztach przypadają im podłejsze miejsca, jak czekając na posłuchanie przestępują z nogi na nogę i jak się skarżą; oni — prawdziwie wielcy — skazani na służalczość i upokorzenie. Gorzki, mówią wtedy, los człowieka, który nie został sprawiedliwie oceniony. . .

A ja mówię im: „Gorzki los tego, kto został zrozumiany i niesiony w tryumfie wśród podziękowań, zaszczytów i bogactw. Bo wkrótce jego serce napełni się pospolitą pychą, a noce pełne gwiazd przehandluje za towary. A przecież był bogatszy od innych, szlachetniejszy i bardziej godny podziwu. I dlaczegóż to ten, co królował na swoim pustkowiu, poddaje się ocenie ludzi osiadłych? Stary cieśla nagrodę swojej pracy znajduje w gładkości obrobionej deski. A kto inny — w niezwykłej ciszy pustynnej. Kiedy wróci wśród ludzi, skazany jest na zapomnienie.

A jeśli cierpi nad tym, widocznie nie dość był czysty. Albowiem powiadam ci: królestwo opiera się na wartości ludzi. Ten człowiek był częścią królestwa. Wszczepiony w nie jak w pień drzewa. Jeśli chciałbyś mu dać korzyści życia, jakimi się cieszy handlarz, i w jego miejsce pošlesz na pustynię handlarza, poczekaj parę lat, a zobaczysz, jaki owoc wydadzą twoje zabiegi. Handlarz stanie się wielkim panem, który z wiatrem gada jak równy z równym, a tamten drugi stanie się pospolitym handlarzem.

Ja zaś chronię tych, którzy są szlachetni. Ochroną właśnie jest niesprawiedliwość. Nie gorsz się brzmieniem słów. Błękitne rybki o powiewnych jak welon płetwach, pozostawione na brzegu, staną się szpetne — to niesprawiedliwość, prawda? Ale to twoja wina: ich przeznaczeniem było lśnić w głębinie. Były piękne poza granicą ładu. I moi pustynni dowódcy tam tylko są piękni, gdzie nie ma miejsca na gwar miast, nawoływania przekupniów i ludzką próżność. Na pustym próżność nie istnieje.

Niechaj więc będą pocieszeni. Jeśli zechcą, staną się z powrotem królami, gdyż ja im nie odbiorę ich królestwa i nie będę im szczędził cierpienia!”

\* \* \*

I przyszła trzecia kobieta:

— Jestem małżonką wierną, roztrofną, jestem piękna. Żyję tylko dla niego. Szyję mu płaszcz i pielęgnuję jego rany. Dzielę z nim dobre i złe dni. Ale on innej poświęca swój czas, takiej, która natrząsa się z niego i wydziera mu pieniądze.

A ja odpowiedziałem:

— Mylisz się i nie wiesz, czym jest człowiek. Któż bowiem zna samego siebie? Człowiek zmierza do swojej wewnętrznej prawdy, ale jego życie duchowe jest jak wspinanie się na górę. Widzisz przed sobą skalną grań, zdaje ci się, żeś już na niej, ale oto ukazują ci się inne granie, żeby i inne upłazy. Kto wie, czym jest ludzkie pragnienie? Są tacy, którzy pragną szumu rzek, i aby go usłyszeć, gotowi są na śmierć. Są tacy, którzy pragną czuć na swym ramieniu przytulony lisi łeb, i idą go tropić, ryzykując spotkanie z wrogiem. Ta kobieta, o której mówisz, może się zrodziła z twego małżonka. I dlatego on się czuje za nią odpowiedzialny. Człowiek czuje powinność w stosunku do tego, co stworzył. Będzie więc jej szukał po to, aby go ograbiła. Będzie jej szukał po to, żeby nasyciła jego pragnienie. Nie doczeka się zapłaty — czułego słowa, ale i nie zrani go obelga. To nie jest przedsiębiorstwo, gdzie się prowadzi rachunki, gdzie czułe słowo powiększa kapitał, a obelga go pomniejsza. Dla niego zapłatą będzie poniesiona ofiara. Tak jak temu, który powrócił z pustyni, nie zapłacą odznaczeniami z tej przyczyny, dla której nie zrani go ludzka niewdzięczność. Tam, gdzie sądzisz, że chodzi o zdobycie i posiadanie, chodzi tylko o to, aby się stawać, aby naprawdę być i umrzeć

w pełni swojej istoty. Powiedz sobie, że nagrodą jest przede wszystkim śmierć, która nareszcie zwalnia statek z cumy i z uwięzi. Szczęśliwy ten, kto jest obciążony skarbem. A ty sama na co się skarżysz? Nie umiesz pójść za nim?

I wtedy dopiero zrozumiałem, czym jest związek dwojga ludzi i czym się różni od wspólnoty. Wszyscy nawiązują między sobą kontakty — mówiłem sobie — przy pomocy opornego języka i zdaje im się, że on przenosi rzeczy ku nim, podczas gdy on tylko rzeczy oznacza. Wszyscy zatem, uzbrojeni w precyzyjne przyrządy, ważą i mierzą. Wszyscy mają rację, ale za dużo tych racji. Mają tylko rację, a zatem mylą się. Każdy tworzy sobie jakieś obrazy innych, po czym strzela do nich dla wprawy.

Związek może nas wiązać nawet wtedy, kiedy zadaję ci cios sztyletem.



## XXXIX

Nie bój się stawiać na jedną kartę. Bo jeśli ryzykujesz wszystko w tym jednym szczególe, wkrótce mógłbyś zaryzykować to samo w innym szczególe; w pierwszym wygrałbyś, ale jeszcze nie odnosząc żadnych korzyści.

Tak samo jest z królestwem.

Żeby zrozumieć, trzeba stawać się. To tłumaczy dumę tego, kto wierzy. Ma on poczucie, że wątplenie innego człowieka nic nie znaczy, gdyż ten inny nie może zrozumieć.

\* \* \*

Naucz się rozróżniać przymus od miłości. Ten, kto wierzy mi we wszystkim i czeka z mówieniem, aż ja zacznę mówić, jest mi obojętny. Bo ja idę szukając pomiędzy ludźmi mojego światła. Co innego śpiewać w chórze, a co innego podawać ton. I czy jest miejsce na współpracę w akcie tworzenia?

I tu powstaje problem. Tworzenie jest wtedy, jeżeli wszyscy współpracują i wszyscy poszukują. Nie ma tworzenia wtedy, gdy pień drzewa nie jest spojony miłością. Ale nie chodzi o to, aby każdy był poddany wszystkim, ale przeciwnie o to, aby soki płynęły w określonym kierunku, a korona wznosiła się w niebo jak świątynia. Tu może wystąpić ten sam błąd, który logikom każe widzieć w stworzonym dziele pewien plan i sądzić, że z niego zrodziło się dzieło, podczas gdy dzieło w planie znajduje właśnie swój wyraz. W planie ukazuje swoją twarz. Nie chodzi więc o poddanie każdego wszystkim, ale o poddanie każdego wspólnemu dziełu, przy czym każdy zmusza innych, aby wzrastali, czasem nawet przez stawiany opór. Tak więc zmuszam ludzi do tworzenia, bo jeśli tylko otrzymują wszystko ode mnie, stają się ubodzy i puści. Ale to ja otrzymuję od nich wszystkich i oto, jak rosną, znajdując swój wyraz w moim ja, które wpierw dzięki nim urosło. Tak samo, jak biorę na ręce jagnięta i kozy, jak biorę w dłoń ziarno i obejmuję domostwa, aby wszystko to stało się moje i abym mógł to zwrócić ludziom jako dar mojej miłości; i tak samo katedry, które wznoszą. . .

Ale jak wolność nie jest swawolą, tak i ład nie jest brakiem wolności. (Do wolności jeszcze wróć.)

Napiszę najpierw hymn do ciszy. Ciszo, muzyko owoców. Ty, która zamieszkujeś piwnice, spichrze i szopy. Naczynie miodu, pilności pszczoł. Wytchnienie morza, które zna swoją pełnię.

Ciszo, w której zamykam miasto widziane ze szczytu góry. Gdy ustaje stukot kół, wołanie i dźwięki młotów bijących w kowadła. Wszystko to już znieruchomiałe w amforze wieczoru. Czuwanie Boga nad naszą gorączką, płaszcz Boga rzucony na ludzkie mrowisko.

Ciszo kobiet, które są tylko ciałem, w którym dojrzewa owoc. Ciszo kobiet ukryta pod ciężką piersią, gdzie gromadzi się pokarm. Ciszo kobiet, w której milczy cała marność dnia, ciszo życia, które jest snopem dni. Ciszo kobiet — sanktuarium i trwanie na wieki. Gdzie w jutrzejszy dzień zmierza to jedno, co rzeczywistość ku czemuś zmierza. Która słuchasz dzieciątka poruszającego się w łonie. Ciszo, szkatułko, w której zamknąłem cały honor i krew.

Ciszo mężczyzny, który oparł głowę na rękę, дума i przyjmuje w siebie; nie wydatkuje energii, a myśli rodzą się w nim jak żywe soki. Ciszo, która mu pozwala poznać i pozwala nie wiedzieć, bo dobrze, aby czasem nie wiedział. Ciszo, która odrzucaś toczącego robaka, pasożyta i szkodliwe zielsko. Ciszo, która czuwasz nad człowiekiem w nurcie jego myśli.

Ciszo samych myśli. Odpoczynku pszczoł, kiedy miód już jest zebrany i trzeba go tylko ukryć głęboko, jak skarb. Aby dojrzewał. Ciszo myśli, które przygotowują się do lotu, bo niedobrze, gdy niespokojny jest twój umysł i twoje serce.

Ciszo serca. Ciszo zmysłów. Ciszo słów słyszanych w głębi duszy, gdyż dobrze, jeśli odnajdujesz Boga, który jest ciszą wieczności. Kiedy wszystko już zostało powiedziane, wszystko zostało zrobione.

Ciszo Boga, która jesteś jak sen pasterza, bo nie ma snu bardziej łaskawego, choć jakaś groźba zdaje się wisieć nad jagniętami; kiedy nie ma już ni pasterza, ni stada, bo któż zdołałby odróżnić jedno od drugiego pod gwiazdami, gdy wszystko jest snem, gdy wszystko jest wełnistym snem.

\* \* \*

Panie! Otwórz pewnego dnia wielkie wrota przed hałaśliwą ludzką rasą, wpuść swoje stworzenia do ogromnej szopy i kiedy czas przeminie, znajdź każdemu miejsce w spichlerzu wieczności, i tak jak chorym odejmujesz chorobę, odejmij sens naszym pytaniom.

Albowiem dane mi było zrozumieć, że wszelki postęp ludzki jest kolejnym odkrywaniem, że to pytanie, i to drugie, i to trzecie, nie miały sensu. I patrzyłem na mędrców w moim kraju — nie znaleźli odpowiedzi na zeszłoroczne pytania, ale — o Panie — dziś uśmiechają się w duchu, gdyż prawda objawiła im się jako odrzucenie jednego pytania.

Ja wiem dobrze, Panie, że mądrość nie jest posiadaniem odpowiedzi, ale wyleczeniem niedostatków mowy; wiem to również w imieniu tych, co kochają, i siedząc ze zwieszonymi nogami na niskim murku na wprost pomarańczowego sadu, ramię przy ramieniu, wiedzą dobrze, że nie otrzymali odpowiedzi na pytanie stawiane wczoraj. Ale wiem, czym jest miłość i że wtedy nie stawia się już żadnych pytań.

Krok po kroku, przewyciężając kolejne sprzeczności, wędruję w kierunku ciszy, która wymazuje pytania i jest szczęśliwością.

O gadulstwo pytań! Ile krzywdy wyrządziły one ludziom?

Głupi tylko czeka odpowiedzi Boga. Jeśli On cię przygarnie, jeśli cię uzdrowi, to wymazując swoją ręką wszystkie twoje pytania, tak jak się leczy z gorączki. Tak.

Kiedy pewnego dnia będziesz przyjmował Twoje stworzenie do Twych spichlerzy, otwórz nam szeroko, na dwie strony, wierzeje, i wpuść nas tam, gdzie nie będzie już odpowiedzi, bo i pytań nie będzie, tylko sama szczęśliwość, która jest zwornikiem wszystkich pytań i obliczem, które daje ukojenie.

I oto człowiek ujrzy przed sobą tafelę słodkiej wody większą od tafli morza, przeczuwaną niegdyś przy wtórce fontanny, kiedy siadywał ze zwieszonymi nogami koło dziewczyny, która była przecież tylko niby ścigana, biegnąca gazela, i oddychała głośno, tuż przy jego sercu.

Ciszo, porcie, gdzie zawija statek. Ciszo Boża, porcie wszystkich statków.

## XL

Bóg mi zesłał tę, która kłamała tak ślicznie, ze śpiewnym okrucieństwem i z prostotą. Pochylałem się ku niej, jak człowiek się wychyla na przyjęcie świeżego wiatru od morza.

— Dlaczego kłamiesz? — pytałem.

Wtedy płakała i kryła się gruntownie w swoje łzy. A ja dumałem nad tymi łzami.

„Ona płacze — powiadałem sobie — że nie wierzę jej, kiedy kłamie. Albowiem nie ma, moim zdaniem, komedii założonej przez człowieka. Nie rozumiem sensu komedii. To jasne, że ta kobieta chciałaby uchodzić za inną, niż jest w istocie. Ale nie w tym jest dramat i nie to mnie gnębi. Dramat przeżywa ona, ta, co tak bardzo chce być inną. I częściej widywałem szacunek dla cnoty u tych, które cnotę udają, niż u tych, które ją praktykują i są równie cnotliwe co szpetne. A te inne tak by chciały być cnotliwe, i zarazem kochane, ale nie umieją się opanować lub raczej dają się opanować innym. I zawsze zbuntowane przeciw czemuś. I kłamiące po to, żeby być piękne.”

Racje, znajdujące odbicie w słowach, nie są nigdy prawdziwymi racjami. Dlatego też nie będę im nic wyrzucał poza tym, że wyrażają się na opak. Dlatego też, słuchając kłamstw tej kobiety, milczałam: nie słuchałem dźwięku słów, objęty ciszą mojego uczucia przebijającego się z wysiłkiem przez słowa. Było to jakby zamotanie się lisa, kiedy się znajdzie w potrzasku. Albo ptaka, co się rani bijąc skrzydłami o klatkę. Zwracałem się więc do Boga mówiąc: „Dlaczego nie nauczyłeś jej mówić jakimś zrozumiałym językiem? Przecież gdybym jej nie kochał, to słuchając gotów bym był ją powiesić. A tymczasem jest w niej jakiś patos, kiedy do krwi bije skrzydłami zamknięta w mroku swojego serca i boi się mnie jak młode lisy pustynne, którym podawałem kawałki mięsa, a one drząc gryzły i wrywały mi mięso, żeby je zanieść do nory”.

A ona mówiła:

— Panie, ludzie nie wiedzą, że ja jestem niewinna!

Wiedziała oczywiście, jaki zamęt wprowadza w mój dom. A jednak serce mi krwawiło na myśl o boskim okrucieństwie.

„Pomóż jej płakać. Daj jej łaskę łez. Niech zmęczona sobą odpocznie na moim ramieniu: bo jak dotąd nie ma w niej znużenia.”

\* \* \*

Bo źle nauczono ją, jak osiągnąć doskonałość w takim jak jej życiu; i zapragnąłem wyzwolić ją. Tak, Panie, ale nie spełniłem tego, co do mnie należało... Bo ważna jest każda mała dziewczynka. Ta, która płacze, nie jest oczywiście całym światem, ale jest znakiem świata. I ogarnia ją trwoga, że nie potrafi stawać się kimś. Jest przepalona ogniem i rozproszona jak dym. Zatopiona w płynącej rzece, tak że nie sposób jej powstrzymać. A ja przychodzę i jestem jak wasza ziemia i spichlerz na wasze ziarno, i wasz sens. Jestem mocny kościec języka, dom i rama, i szkielet.

— Posłuchaj mnie... — powiedziałem.

Ją także trzeba przyjąć. A także ludzkie dzieci, a przede wszystkim tych, którzy nawet nie wiedzą, że mogliby wiedzieć...

— Ja was poprowadzę za rękę, aż odnajdziecie siebie samych... Ja jestem ludzkie dojrzewanie.

## XLI

Widziałem ludzi szczęśliwych i nieszczęśliwych. Nie zwykłym nieszczęściem, jak żałoba, czy zwykłym szczęściem, jak na przykład zaręczyny; ani z powodu choroby, ani zdrowia, bo mogę sprawić, że pod wpływem jakiejś podniecającej nowiny chory opanuje się, a kiedy na jego umysł oddziała pewna sytuacja, na przykład zwycięstwo (to najprostsze), wstanie i będzie chodził po mieście. Całe miasto mogę tak uzdrowić widokiem połyskującego o świcie zwycięskiego oręża; i patrz, jak się tłoczą, jak się ściskają. Spytasz więc: dlaczego nie można by utrzymać ich cały czas w takim nastroju, który jest jak uroczysta muzyka? Odpowiem ci tak: dlatego, że zwycięstwo to nie krajobraz widziany ze szczytu góry i wzięty na własność, ale ciągle przechodzenie z jednego stanu w drugi. Zwycięstwo, które trwa, nie jest nic warte. Nie daje życia. Pozbawia hartu, niesie nudę. Nie jest wówczas zwycięstwem, ale krajobrazem gotowym. Zatem żyć wiecznie oscylując pomiędzy nędzą a bogactwem? Ale niebawem stwierdzisz, że i to nieprawda, bo możesz całe życie przeżyć w niedostatku, nędzy i zmęczeniu, jak człowiek ścigany przez wierzycieli, który w końcu wiesza się z rozpacz, a drobne radości i momenty ulgi nie odpłaciły mu za udrękę nie przespanych nocy. Nie istnieje zatem trwały stan szczęśliwości czy zwycięstwa, który by człowiek mógł otrzymać, jak bydło otrzymuje paszę.

Ja pragnę chłopców namiętnych i szlachetnych i kobiet o błyszczących oczach; a czemu to zawdzięczają? Przyczyna jest nie na zewnątrz ani wewnątrz nich. Posłuchaj, co odpowiem. Przyczyną jest jakaś wzajemna więź rzeczy ze sobą, czy chodzi o karawanę, czy o zwycięstwo o świcie — więź, która nada je smak życiu. Ale zwycięstwo zaspokaja nasz głód tylko na jeden poranek. Bo kiedy zwycięstwo jest już faktem, nie pozostaje nic innego jak korzystać z poczynionych zapasów; ale znasz smak zwycięstwa, nawet gdy jego chwila przeminie, tylko wtedy, jeśli radość przeżyłeś z całą siłą, a wspólnotę z ludźmi — z całą namiętnością, bo oto poprzedniego dnia zamknąłeś się smutny w domu albo poszedłeś do przyjaciół z żałobą własną i twoich dzieci! Ale kto wznosi katedrę, choćby ją sto lat budował, sto lat przeżyje, bogaty w swoim sercu. Bo rośniesz tym, co dajesz, i rośnie nawet twoja zdolność dawania. I jeśli, jak rok długi, wędrujesz, budując swoje życie, szczęśliwy jesteś, bo szykujesz obie święto, a nie

zbierasz zapasów. Bo rośniesz tym, co dajesz z myślą o święcie, ale nim święto nadejdzie, a rośniesz bardziej niż tym, co święto ci kiedyś da. Tak samo jest z synami, co rosną. I ze statkami, co wędrują po morzach, to zagrożone niebezpieczeństwem, to zwycięskie i dobijające o świcie do brzegu ze swoją załogą. Ja chcę podsycać zapał, który się karmi tym, co osiągnął, i jest jak zapał człowieka, który się brzydzi plagiatem, ale im dłużej pisze, tym staranniej wykuwa swój styl. Natomiast potępiam zapał, który nie gaśnie, ale wyrodnieje przez to, co osiąga. Który im więcej wie, tym więcej chce wiedzieć, wciąż zachłannie, coraz bardziej pożąda cudzego dobra, coraz bardziej chce grabić, a karmiąc się nim, sam tyje. I coraz większe spustoszenie ma w sercu.

\* \* \*

Bo każdy podbój odśłania człowiekowi oszustwo podboju; kiedy używa tego, co zdobył, gorącą radość tworzenia pomyliwszy z przyjemnością używania, które nic już człowiekowi nie daje. A przecież trzeba kiedyś zgodzić się i na używanie, ale tylko wtedy jest ono coś warte, jeśli prowadzi do zwycięstwa, tak jak zwycięstwo umożliwia używanie. Wtedy gdy jedno wspiera drugie. Tak samo jest z tańcem czy ze śpiewem, czy z praktykowaniem modlitwy, które rodzi gorliwość, a gorliwość z kolei karmi modlitwę; i tak samo jest z miłością. Jeśli zaś zmieniam nawet stan mojej duszy, ale nie jestem w ruchu i w drodze ku czemuś, wkrótce obumrę. I kiedy staniesz na szczycie góry, widziany krajobraz nie będzie już zwycięstwem twoich mięśni i zadowoleniem ciała, nie potrafisz już się nim cieszyć.

## XLII

Mówiłem ludziom i to: Nie wstydzcie się waszej nienawiści. Bo skazali sto tysięcy ludzi na śmierć. I ci skazani snuli się po więzieniach z hańbiącą kartą na piersi, odróżnieni od innych, jak odróżnia się jedne sztuki bydła od drugich. Przyszedłem i objąłem swoją władzę więzienia i wezwałem przed siebie tłum tych ludzi. I nie wydali mi się inni od pozostałych. Słuchałem, co mówią, rozumiałem i patrzyłem. Widziałem, że tak jak inni dzielą się chlebem i tak jak inni śpieszą na pomoc chorym dzieciom. Kołyszą je i czuwają nad nimi. Widziałem też, że tak jak inni cierpią udrękę samotności, gdy są sami. I tak jak inni płaczą, kiedy wśród grubych murów udręka zaczyna ciążyć ich sercom.

Pamiętam, co mi opowiadali katorżnicy. Poprosiłem, żeby mi przyprowadzono jednego z nich, który poprzedniego dnia porwał za nóż i był cały jeszcze we krwi popełnionej zbrodni. Sam zadawałem mu pytania. I dumałem nie nad tym człowiekiem, którego śmierć była już postanowiona, ale nad tym, co w człowieku nieprzeniknione.

Bo życie tam się krzewi, gdzie może. W wilgotnej szczelinie skalnej wyrasta mech. To prawda, że z góry już skazany na zagładę, gdy powieje suchy wiatr od pustyni. Ale ocaleją ukryte nasiona i nie zginą, któż zatem uznałby za zbędną tę kępkę zieleni...

Dowiedziałem się zatem od owego więźnia, że drwiono z niego. Jego próżność, jego duma cierpiały. Próżność i duma człowieka już wcześniej skazanego na śmierć...

\* \* \*

Widziałem, jak ci ludzie zziębnięci cisną się i tulą jedni do drugich niby owce, wszędzie na świecie takie same. Wezwałem więc sędziów i pytałem:

— Dlaczego odosobniliście ich od reszty ludu i dlaczego noszą na piersi napis głoszący, że są skazani na śmierć?

— Tak chce sprawiedliwość — odparli.

A ja myślałem:



„No tak, sprawiedliwość. Gdyż sprawiedliwość w ich mniemaniu polega na tym, aby niszczyć to, co odbiega od zwyczajności. niesprawiedliwością jest dla nich fakt, że istnieją Murzyni. Albo że istnieją księżniczki, jeśli sami są robotnikami. A także obecność malarzy, kiedy sami nie pojmują malarstwa”.

Wreszcie odpowiedziałem:

— Chcę, żeby sprawiedliwość kazała ich uwolnić. Spróbujcie mnie zrozumieć. W przeciwnym razie, jeśli wyłamią wrota więzienia i dojdą do władzy, uznają za konieczne was tam z kolei zamknąć i was zniszczyć, i nie sądzę, aby zyskało na tym dobro królestwa.

I wtedy ujrzałem w całej oczywistości, czym jest krwawe szaleństwo idei, i zacząłem się modlić:

— Czy to nie szaleństwo, żeś im kazał, Boże, wierzyć w te nieskładne wyobrażenia? Nie słów ich uczaj, ale jak się mają nimi posługiwać! Bo z tego strasznego zamętu słów niesionych wicherą mowy, oni wyciągnęli wniosek o konieczności tortur. Narodziły się słowa — nieporadne, mylące, nieprzydatne, jakże natomiast przydatne jako narzędzia tortury.

\* \* \*

I równocześnie wydało mi się to naiwnością i pędem do nowych narodzin.

## XLIII

Wszystkie wydarzenia, jeśli nie są przeżyte w swej namacalności, są zafałszowane. I fałszem jest ich chwała. Tak jak fałszem jest nasz podziw dla zwycięzcy.

I wiadomości są fałszywe, bo nic się z nich nie ostaje.

Gdyż nauczanie powinno dotyczyć ram i kośćca. A nie tego, co ramy wypełnia, bo to zawsze będzie fałszywe.

\* \* \*

Ukażę ci jak gdyby rozległy krajobraz, gdy powoli wyłania się z mgły — całość, a nie szczegół po szczególe. Taka jest prawda pracy rzeźbiarza. Czyś widział kiedy, żeby nos się wyłonił z kamienia, potem broda, a potem ucho? Twórczość to zawsze obraz, który się narodził od razu, i nie dedukcją twórcy do niego doszedł, szczegół po szczególe. W ten sposób podchodzi do dzieła ciżba, która się roi dokoła, komentuje, trzusi się i wokół niego wznosi swoje konstrukcje.

## XLIV

Pewnego razu schodziłem wieczorem z góry stokiem nowych pokoleń, których oblicza nie znałem, zmęczony już słowami ludzi i nie odnajdujący w hałasie kół i dzwonienu młotów śpiewu ich serc — pusty i obcy im — jakbym nie znał ich języka i obojętny na przyszłość, która już mnie nie dotyczyła i — jak mi się zdawało — zmierzający na spoczynek, w ziemię. Obwarowany ciężkim murem egoizmu, z rozpaczą mówiłem do Boga: „Panie, opuść mnie i dlatego odchodzę od ludzi”. I sam siebie pytałem, co w ich zachowaniu tak mnie zniechęciło.

Nie pragnąłem już skłaniać ich do czegokolwiek, po cóż zatem miałbym w moje gaje palmowe wpuszczać nowe stada? Po co dobudowywać nowe wieże do pałacu, kiedy i tak snuję się z sali do sali wlokąc za sobą płaszcz niby statek na bezmiarze morskim. Po co żywić jeszcze dodatkowych niewolników, skoro i tak przy każdych drzwiach stoi ich siedmiu czy ośmiu, jak filary mojego domostwa, a na korytarzach, gdy ich mijam, usuwają się pod ściany ledwo usłyszawszy szmer mojej szaty? Po co sprowadzać inne branki, skoro zamykam je potem w moim milczeniu, nauczywszy się nie słuchać ich, aby je słyszeć. Widziałem, jak zasypiały, ledwo przymknąwszy powieki, a ich oczy zdawały się uwięzione w aksamitnej miękkości... Zostawiałem je wtedy, ogarnięty pragnieniem, aby wspiać się na najwyższą wieżę zanurzoną w morzu gwiazd i pojąć przekazany mi przez Boga sens ich snu: bo oto wtedy usypia ich hałaśliwość, myśli przeciętne, pospolita zręczność i próżność, wszystko, co wraz ze światłem dnia znów wypełni ich serca; kiedy znów chodzi im wyłącznie o to, aby uzyskać przewagę nad towarzyszką i rywalką i wyrugować ją z mojego serca. „Ale jeśli zapomnę o ich słowach, zostanie ptasi trzepot i słodycz łez...”

## XLV

Tego wieczora, kiedy schodziłem z góry tym stokiem, na którym nikogo już nie znałem, jak człowiek, którego na spoczynek w ziemi niosą milczące anioły, doznałem pociechy w starości. W owym stawaniu się drzewem ciężkim od konarów, stwardniałym od sęków i o zmarszczonej korze, jak gdyby czas namaścił już pergamin moich palców, a stawszy się sobą stałem się zarazem odpornym na rany. I mówiłem sobie, że kogoś, kto tak się postarzał, żaden tyran nie mógłby zastraszyć odorem tortur, przypominającym odór skwaśniałego mleka, i że nie potrafiłby w nim niczego zmienić, albowiem całe życie wlecze się za nim jak podarty płaszcz przewiązany tylko jednym sznurkiem. Ja także mam już swoje miejsce w ludzkiej pamięci. I żadne zaparcie się moje nie miałyby teraz żadnego znaczenia.

I przyszła mi także pociecha w myśli, że opadły już ze mnie pęta, jak gdyby moje stwardniałe ciało przemieniło się w materię niewidzialną i w skrzydła. I jak gdybym — nareszcie zrodzony z siebie samego — przechadzał się razem z archaniołem, którego od tak dawna szukałem. Jak gdybym, odrzucając starą powłokę, objawiał się nagle zdumiewająco młody. A w tej młodości nie było zapału ani pożądania, ale jakaś niezwykła pogoda ducha. Była to młodość otwierająca się na wieczność, nie zaś taka, która u zarania życia otwiera się na jego zamęt. Bogata w przestrzeń i czas. I wydawało mi się, że teraz, kiedy skończyłem już się stawać, stałem się nieśmiertelny.

Podobny byłem także do człowieka, który znalazł na drodze zaszytą dziewczynę. Niesie ją w muskularnych ramionach, bezwładną i osuwającą się ku ziemi, jak naręczce róż, przesytą stalowym piorunem i śpiącą słodkim snem, niemal uśmiechniętą, gdy tak opiera białe czoło na uskrzydłonym ramieniu śmierci; a on niesie ją na równinę, gdzie znajdzie tych, co ją uzdrowią.

„Przeleję w ciebie moje własne życie, ty moja piękna uśpiona; bo nie dbam już o marność świata ani o ludzką złość czy ambicje, ani o majątek, który mógłby mi przypaść, ale o to tylko, w co się sam przemieniam; i oto niosąc to brzemie ku uzdrowicielom z równiny, stanę się światłem oczu, pasmem włosów na czystym czole, a jeśli uzdrowiwszy ją, nauczę ją się modlić, doskonałość duszy da jej prostotę roślinnej łądygi, mocno zakorzenionej i rozkwitłej. . .”

Nie jestem zamknięty w granicach ciała, które trzeszczy jak wyschła kora. Kiedy schodzę wolno stokiem owej góry, zdaje mi się, że ciągnę za sobą niby obszerny płaszcz wszystkie zbocza i równiny, naszyte tu i tam światłami domostw niby złotymi gwiazdami. Pochyliam się jak drzewo pod ciężarem otrzymanych darów.

Śpi mój lud: śpij dalej, błogosławię cię.

\* \* \*

Niech słońce niespiesznie wyrwie was łagodnej nocy! Niech moje miasto zdoła jeszcze odpocząć, zanim o brzasku dnia rozprostuje skrzydła i porwie się do pracy. Niech ci, których wczoraj dotknęło nieszczęście, a którzy korzystają z momentu odroczenia, jaki im zsyła Bóg, czekają jeszcze, zanim podejmą znów brzemie świeżej żałoby, nędzy, wyroku albo trądu. Niech spoczywają jeszcze na łonie Boga, wszyscy przygarnięci do serca, wszyscy uzyskawszy przebaczenie.

Ja was poniosę, jak brzemie.

Ja czuwam nad wami: śpijcie jeszcze.

## XLVI

Ciężyło mojemu sercu brzemień świata, jakbym to ja był zań odpowiedzialny. Na pustkowiu, oparty o drzewo i z rękami skrzyżowanymi na piersi, stojąc w wiecznym wietrze, biorę jak zakładników tych, którzy zagubili własny sens życia, muszą go odnaleźć we mnie. Tak zagubiła sens życia prosta kobieta, której dziecko umiera. Stoi jakby nad brzegiem otchłani — nad brzegiem przeszłości, do niczego już niepotrzebnej. Jest jak gąszcz lian oplatających się dokoła kwitnącego drzewa, które nagle uschło. Na co mi teraz, pyta, te liany? Na co mleko, które wzbiera w moich piersiach?

A oto człowiek, którego trąd obejmuje jak powolny płomień i który nie wie już, co robić z porywami rodzącymi się w jego sercu. Albo inny, którego znasz i który bierze w posiadanie swą nieuleczalną a złośliwą chorobę: rozpoczął był dziesiątki prac, dla których powinien żyć długo, jak drzewo cierpliwie rozpinające sieć swoich korzeni, a oto nagle widzi, że zatrzymują się w nim zbiegające się a niepotrzebne już włókna, że zawieszony jest nad światem w powietrzu i pozbawiony oparcia. Albo ten, któremu spłonęły spichrze, albo mistrz-złotnik, który utracił prawą dłoń. Albo ci wszyscy, których oczy zgasły.

Zaciążyło nad moim sercem brzemień wszystkich ludzi, co nie umieli znaleźć pomocnego ramienia. Których bliscy odepchnęli albo z nimi zerwali. I tego człowieka, który — cały zawężony cierpieniem — przerzuca na nędznym legowisku ciało, bardziej nieprzydatne dziś niż połamany wózek, i może wzywa śmierci, ale śmierć go odręca. I woła: „Po co, Boże mój! Po co!”

Wszyscy oni są jak żołnierze rozbitej armii. Ale ja ich zbiorę z powrotem i poprowadzę do zwycięstwa. Bo dla wszystkich armii przygotowane jest zwycięstwo, tyle że zwycięstwa bywają różne. Bo ci ludzie są, jak i tylu innych, tylko jednym odcinkiem procesu życia. Z więdnącego kwiatu sypie się nasienie, nasiona butwiejąc wypuszczają łodygi, a z każdej pękającej poczwarki wysuwają się skrzydła.

Bo próchnicą jesteście, pokarmem i stopniem dla cudownego wzwyżwstępowania boskiego!

## XLVII

Czy nie wstyd wam, mówiłem im kiedyś, nienawiści, niesnasek i złości? Czy nie wygrażacie pięścią z powodu krwi wczoraj przelanej? Ze starcia możecie wyjść odnowieni, jak dziecko wychodzi z rozdartego łona, a owad — skrzydlaty i piękniejszy z rozdartej poczwarki. Ale co zrozumiecie, patrząc przez pryzmat wczorajszego dnia i prawd, które pozostały już tylko pustą Powłoką? Zawsze bowiem, opierając się na doświadczeniu, porównywałem ludzi, którzy się zwarli, gotowi rozszarpać się wzajemnie, do krwawej próby miłosnej. A owoc tego związku nie jest ani z jednego, ani z drugiego, ale z obojga. I nad obojgiem zapanuje. I w nim się pogodzą aż do dnia, kiedy sami staną się dla następnego pokolenia krwawą próbą miłości.

To prawda, że cierpią męki rodzenia. Ale kiedy przejdzie męka, nadchodzi godzina świętowania. Odnajdują się w nowo narodzonym. Widzicie? Kiedy noc was ogarnie i uśpi, jesteście wszyscy do siebie podobni. Nawet, jak mówiłem, i więźniowie, którzy noszą na szyi znak skazanych na śmierć: i oni się nie różnią od innych. Ważne jest tylko to, żeby się odnaleźli w miłości. Przebaczę wszystkim zabójcom, bo nie chcę poddawać się sztucznym rozróżnieniom wprowadzonym przez język. Ten pierwszy zabił z miłości do swoich bliskich, gdyż tylko miłość każe rzucić życie na szalę. A drugi także zabił z miłości do swoich bliskich. Spróbujcie to zrozumieć i zrezygnujcie z nazywania błędem tego, co jest sprzeczne z waszą prawdą, prawdą zaś — to, co jest sprzeczne z błędem. Bo ów oczywisty nakaz, który każe ci wspinać się na twoją górę, dosięga także drugiego człowieka i jemu każe wspinać się na inną górę — jego własną. A prowadzi go ta sama oczywistość, która tobie kazała powstać wśród nocy. Może nie ta sama, ale równie potężna.

Ty jednak potrafisz dojrzeć w innym człowieku tylko to, co jest zaprzeczeniem człowieka w tobie. I on, tak samo, w tobie odczytuje to tylko, co jemu zaprzecza. I każdy z was wie dobrze, że w głębi swojego „ja” nie jest lodowatą, wrogą negacją, ale odsłonięciem jakiegoś oblicza, tak oczywistego, prostego i czystego, że gotów jesteś dla niego pójść na śmierć. Nienawidzicie się zatem wzajemnie wymyślając sobie przeciwnika — kłamcę i bez twarzy. Ale ja, który panuję nad wami

oboma, powiadam wam, że kochacie to samo oblicze, tyle że nie dość rozpoznane, nie dość odsłonięte.

Obmyjcie więc z siebie krew: bo na niewolnictwie nic się nie da zbudować poza buntem niewolników. I rygor nie da żadnych korzyści, jeśli nie będzie prowadził do nawrócenia. Ale po co rygor, jeśli wiara, podana i gotowa, nic nie jest warta, a drogi i tak prowadzą do nawrócenia?

Dlaczego więc mielibyście pewnego dnia chwycić za broń? Jaki zysk z mordu, skoro nie wiecie nawet, kogo zabijacie? Gardzę taką wiarą, prymitywną, która zgodę wnosi tylko pomiędzy więźniów.

\* \* \*

Odradzam ci zatem polemikę. Gdyż ona nigdzie nie prowadzi. Jeśli inni są w błędzie, odrzucając twoją prawdę w imię tego, co im się wydaje oczywiste, zrozum, że ty także, w imię tego, co dla ciebie z kolei oczywiste, polemizując z nimi, odrzucasz ich prawdę.

Przyjmij ich takimi, jakimi są. Weź ich za rękę i poprowadź. Powiedz im tak: „Macie rację, ale musimy wejść na tę górę”. A wtedy wprowadzisz ład w świat, który cię otacza, a oni będą oddychać głęboko tą szeroką przestrzenią, którą zdobyli.

\* \* \*

Nie chodzi bowiem o to, by powiedzieć: „To miasto ma trzydzieści tysięcy mieszkańców”, na co ktoś drugi odpowie: „Nie, ma tylko dwadzieścia pięć tysięcy”; w gruncie rzeczy obaj by w końcu przystali na jakąś liczbę. Zatem jeden byłby w błędzie. Ale jeśli jeden powie: to miasto jest czymś stałym, a zrodzonym z wyliczeń architekta, jest statkiem, który wiezie ludzi. A ktoś drugi: to miasto jest pieśnią ludzi, którzy wspólnie pracują. . .

Chodzi o to, aby jeden powiedział na przykład: życiodajna jest wolność, bo pozwala narodzić się człowiekowi i pożywne są sprzeczności. A drugi: wolność niesie zgniliznę, a życiodajny jest przymus, który jest jak wewnętrzna konieczność i zasada wzrostu drzewa cedrowego. I oto starłszy się ze sobą, przelewają krew. Nie żałuj tego, bo to jest męka rodzenia i wewnętrznego rozdarcia, wahanie i wołanie do Boga. Powiedz każdemu z tych dwu: masz rację. Bo obaj mają rację. Ale poprowadź ich wyżej, na ich wspólną górę, a wysiłek wspinaczki, który by sami odrzucili, gdyż wymaga ogromnej pracy mięśni i serca, stanie się wymaganiem stawianym ich cierpieniu, a cierpienie zachęci ich do wysiłku. Bo na wysokości uciekasz, jeśli ścigają cię jastrzębie. Bo na wysokości szukasz słońca, jeśli jesteś jak drzewo. A wrogowie będą z tobą współdziałać, ponieważ w świecie nie ma



właściwie wrogów. Wróg zakreśla ci granice, daje ci kształt i podstawę. Więc powiesz ludziom: wolność i przymus to dwie strony jednej i tej samej konieczności — bycia tym właśnie, a nie czym innym. Jestem wolny, aby być tym właśnie. Nie wolno mi być innym. Jestem wolny, używając pewnego języka. Ale nie wolno mi mieszać, przyjmować języka innego. Jestem wolny w obrębie reguł pewnej gry. Ale nie wolno mi tej gry unicestwić, w dotychczasowe reguły wprowadzając zasady gry innej. Jestem wolny, aby budować, ale nie wolno mi grabić i niszczyć złym użytkowaniem zasobów i rezerw; jak ten, co kiepsko pisze, a dla efektu wykorzystuje własne niedbalstwo, niszcząc w ten sposób swoje możliwości ekspresji, gdyż nikt nie odczuje już efektu pisania „jak się mówi”, gdy zaniknie odczucie poprawności stylu. Na przykład osioł porównywany do króla budzi śmiech tak długo, póki król zasługuje na szacunek i jest szacunkiem otaczany. Potem nadchodzi dzień, kiedy król utożsamia się z osłem. To przecież oczywiste.

Wszyscy zresztą o tym wiedzą, gdyż ci, którzy opowiadają się za wolnością, opowiadają się za praktykowaną w głębi duszy moralnością, tak aby człowiek był mimo wszystko poddany jakiejś władzy. Żandarm, jak powiadają, jest wtedy wewnątrz człowieka. Ci natomiast, którzy opowiadają się za przymusem, twierdzą, że jest on wolnością ducha, albowiem wewnątrz własnego domu jesteś wolny, mogąc chodzić po korytarzach, spacerować wzdłuż i wszerz tej czy innej sali, otwierać drzwi, wchodzić na górę lub schodzić schodami w dół. Ta wolność rośnie wraz z liczbą murów, umocnień i zamków. I tym więcej masz do wyboru możliwości działania, im więcej oporu stawia ci twardy kamień. Natomiast we wspólnej sali, gdzie koczujesz pośród nieładu, nie jesteś wolny, ale roztapiasz się w tłumie.

Toteż w gruncie rzeczy wszyscy marzą o tym samym mieście. Tyle że jedni domagają się prawa działania dla człowieka takiego, jaki jest. Drudzy — domagają się prawa kształtowania człowieka, aby stawał się i mógł działać. Wszyscy natomiast czynią to w poszanowaniu godności człowieka.

Ale myślą się jedni i drudzy. Pierwsi — sądząc, że człowiek jest wieczny i sam przez siebie istnieje. Nie uwzględniają tego, że dwadzieścia lat nauczania, przymusu i ćwiczeń uczyniły go takim właśnie, a nie innym. I że umiejętność kochania rodzi się przede wszystkim z praktykowanej modlitwy, a nie z wewnętrznej wolności. Tak jest i z instrumentem muzycznym, jeśli nie nauczono cię grać na nim, i z poezją, jeśli nie znasz żadnego języka.

Drudzy natomiast myślą się także, ponieważ wierzą w siłę murów, a nie w człowieka. Jakby wierzyli w świątynię, zamiast wierzyć w modlitwę. Albowiem w murach świątyni jedno jest tylko ważne: cisza, która w nich panuje. I cisza w ludzkich duszach. I ludzkie dusze ciszę w sobie kryjące. Oto świątynia, przed którą pochylałam czoło. Są jednak tacy, co z kamienia czynią sobie bożka i chylą czoło przed kamieniem jako kamieniem. . .

Tak też jest z królestwem. Dlatego nie zrobiłem z niego bóstwa, które by poddało ludzi pod swoją władzę. Nie chcę wcale poświęcać ludzi dla królestwa. Natomiast buduję królestwo po to, aby napęlić nim człowieka i ożywić go, i człowiek liczy się dla mnie więcej niż królestwo. Poddałem ludzi królestwu po to, aby ich zbudować; a nie po to, by zbudować królestwo. Dajmy jednak pokój słowom, które nie prowadzą do niczego, a rozróżniają przyczynę od skutku i pana od niewolnika. Gdyż naprawdę istnieją tylko związki, struktury i zależności wewnętrzne. Ja, panujący, bardziej jestem poddany mojemu ludowi, niż którykolwiek z moich poddanych — mnie. Stojąc nocą na tarasie, gdy wsłuchuję się w ich skargi, szepty i krzyki bólu, i radosną wrzawę po to, żeby stworzyć z tego hymn przeznaczony Bogu, jestem przecież ich sługą.

Jestem posłańcem, który ich zbiera i prowadzi.

Jestem jak niewolnik, któremu zlecono dźwigać lektykę.

Jestem ich tłumaczem.

\* \* \*

Jestem jak zwornik sklepienia, jak węzeł, który ich splata i łącząc nadaje kształt świątyni. Czy mogliby mieć mi to za złe?

Czy kamienie mogłyby czuć się pokrzywdzone dlatego, że muszą podtrzymywać zwornik sklepienia?...

\* \* \*

Nie daj się więc wciągnąć w spory dotyczące takich kwestii, gdyż są to kwestie pozorne.

\* \* \*

Ani też w dyskusje na temat ludzi. Bo wtedy zawsze myli się przyczyny ze skutkami. Jakże ludzie mogą wiedzieć, co przez nich przepływa, kiedy nie istnieje język, który by potrafił to ująć. Jak kropla wody może rozpoznać w sobie rzekę? A to, co płynie, to właśnie rzeka. Jak każda komórka drewna rozpoznaby w sobie drzewo? A to drzewo właśnie wzrasta. Jak każdy kamień mógłby być świadomy istnienia świątyni? A przecież świątynia właśnie zamyka w sobie jakby w spichlerzu jego ciszę.

\* \* \*

I jak człowiek mógłby znać swoje czyny, gdyby w ciężkim trudzie nie wspinał się samotnie na górę, starając się wśród ciszy stać się sobą. Z pewnością tylko

Bóg jeden zna kształt drzewa. Ludzie natomiast wiedzą, że ten ciągnie w lewo, a tamten w prawo. A każdy chciałby powalić drugiego, który go powstrzymuje i przeszkadza, przy czym ani jeden, ani drugi nie wie, dokąd zdąży. . . Tak właśnie są wrogi sobie tropikalne drzewa, gdyż jedno dusi drugie i kradną sobie wzajemnie promienie słońca. A przecież puszcza rośnie i okrywa góry czarnym futrem, z którego o świcie wysypują się ptaki. Czy sądzisz, że czyjakolwiek mowa zdolna jest uchwycić, czym jest życie?

Co roku rodzą się pieśniarze, którzy głoszą, że wojna jest niemożliwa, ponieważ nikt nie chce cierpieć, opuszczać żony i dzieci, i zdobywać ziemi, z której sam nie będzie korzystał, a potem ginąć z ręki nieprzyjaciela, w bezlitosnym słońcu, z brzuchem przesytytym pociskiem. To prawda, że przed każdym człowiekiem staje ta decyzja. I każdy ją odrzuca. A przecież w rok później królestwo znowu staje pod bronią i wszyscy, co odrzucali myśl o wojnie, która w ich ubogim języku była czymś nie do przyjęcia, zgodnie poddają się teraz jakiemuś niewyraźalnemu nakazowi i rzucają się w przedsięwzięcia, dla każdego z nich pozbawione sensu. Wyrasta jakby drzewo, które nic o sobie nie wie. A widzi je i pojmuje tylko ten, kto jak prorok stoi na górze.

To, co większe od ludzi, wyrasta lub umiera za ich sprawą, jest ludzką rzeczą, choć nie potrafią tego wypowiedzieć, tylko ich rozpacz bywa znakiem. Jeśli więc umiera królestwo, dojrzysz śmierć w tym, że ten czy ów utraci w nie wiarę. Myliłbyś się, gdybyś go czynił odpowiedzialnym za śmierć królestwa: przez niego tylko choroba się ujawniła. Ale czy potrafisz rozróżniać przyczyny od skutków? Jeśli dochodzi do zepsucia moralnego, odczytasz jego znak w malwersacjach ministrów. Możesz im odciąć głowy — ale oni byli tylko owocem owego zepsucia. Nie walczysz ze śmiercią grzebiąc umarłych.

Ale trzeba ich grzebać, to jasne, więc grzebiesz ich. Tych, którzy są zepsuci, odsuwam od reszty. Ale godność nakazuje mi zabraniać polemik dotyczących ludzi. Albowiem brzydzą mnie ślepcy, kiedy obrzucają się wzajem wyzwiskami z powodu własnego kalectwa. Miałbym więc tracić czas wysłuchując, jak szykują obelżywe słowa? Kiedy moja armia ustępuje z pola, generał ją oskarża, ona zaś z kolei oskarża generała. Wszyscy wspólnie skarżą się na jakość dostarczonej broni. Zatem wojsko oskarża kupców. Kupcy zaś oskarżają wojsko. I znowu wszyscy razem oskarżają jeszcze innych. A ja powiadam: martwe gałęzie trzeba odcinać, albowiem są znakiem śmierci. Ale absurdem byłoby oskarżać je o śmierć drzewa. Albowiem to drzewo umiera, kiedy umierają gałęzie. Martwa gałąź była tylko znakiem.

Kiedy więc widzę zepsutych, odsuwam ich, ale nie zajmuję się nimi więcej i gdzie indziej kieruję wzrok. To nie ludzie ulegają zepsuciu. To psuje się w nich człowiek. I z troską patrzę na chorego archanioła. . .

\* \* \*

I dobrze wiem, że lekarstwem będzie śpiew, a nie wyjaśnienia. Czy wyjaśnienie lekarzy przywróci komuś życie? Oni mówią: „Umarł, dlatego że...” Oczywiście, ten człowiek zmarł z pewnej poznawalnej przyczyny, z powodu jakichś zaburzeń w jego wnętrznościach. Kiedy przygotowałeś cały wywód logiczny, bywa tak jak z lampą, która dobrze wyrobiona i przygotowana do użytku nie da światła, jeśli jej nie zapalisz.

Kochasz dlatego, że kochasz. Kocha się bez przyczyny. Lekarstwem może być tylko tworzenie, gdyż zbudujesz ludzką jedność przez wspólne bicie serc. I najgłębszą przyczyną działania stanie się śpiew, który im narzucisz.

Jutro z pewnością stanie się on przyczyną, powodem, napędem działania i dogmatem. Logicy będą się pochylać nad rzeźbą, którą stworzyłeś, żeby wyliczyć przyczyny, dla których jest piękna. Nie mogą się pomylić, gdyż istotnie jest piękna. Ale o tym dowiedzieli się inną drogą, nie dzięki swej logice.

## XLVIII

Przynoszę wam oto wielką pociechę, tę mianowicie, że niczego nie trzeba żałować. I niczego odrzucać. Tak mówił mój ojciec:

— Z przeszłością postępuj jak z krajobrazem, który tu zamykają góry, tam rzeka, a ty umieszczasz w nim swobodnie miasta, które powstaną, uwzględniając to, co widzisz przed sobą. Gdyby nie istniało to, co widzisz przed sobą, tworzyłybyś w myśli miasta–majaki, a takie tworzyć łatwo, bo to, co się majaczy, nie napotyka żadnego oporu; ale zarazem tak planowane miasta giną i rozwiewają się w dowolności. Nie skarż się na fundamenty, że są właśnie takie, a nie inne, ponieważ pierwszą zaletą fundamentów jest to, że istnieją. Tak jak istnieje mój pałac, jego wrota i mury.

Czy zdobywca biorąc w posiadanie jakąś ziemię, żałował kiedyś, że tu się wznoszą góry, a tam płynie rzeka? Potrzebuję kanwy, aby na niej haftować, reguł, wedle których można śpiewać lub tańczyć, i człowieka o mocnych podstawach, aby mógł działać.

\* \* \*

Jeśli żałujesz otrzymanej rany, to jakbyś żałował, żeś się narodził albo żeś się nie narodził w innej epoce. Gdyż cała twoja przeszłość to tylko narodziny dnia dzisiejszego. Przeszłość jest taka i to wszystko. Przyjmij ją taką, jaka jest, i nie próbuj w krajobrazie przestawiać gór. One są właśnie takie, jakie są.

## XLIX

Liczy się jedynie droga. To ona trwa, a nie cel, który jest złudzeniem wędrownika, kiedy idzie od jednego grzbietu górskiego ku drugiemu, tak jakby osiągnięty cel miał jakiś sens. Podobnie nie ma postępu bez zgody na to, co jest. Bo od tego, co jest, nieustannie wyruszasz dalej. Nie wierzę w wypoczynek. Gdyż ten, kogo rozdzierają przeciwności, nie zgodzi się szukać pokoju nietrwałego i niewiele wartego, przyjmując na ślepo tylko jeden z dwu członów przeciwieństwa. Czy cedr zyska coś na tym, że będziesz unikał wiatru? Wiatr rozdziera go i szarpie, ale jest żywiołem. I kto byłby tak mądry, aby rozdzielić zło od dobra? Szukasz sensu życia, a przecież sens to przede wszystkim stać się sobą, nie zaś osiągnąć ten nędzny pokój, który każe zapominać o przeciwieństwach. Jeśli coś ci stawia opór i rozdziera cię, nic to — wzrastaj dalej: oto się zakorzeniasz i podlegasz przemianie. Błogosławione twoje rozdarcie, w którym rodzisz sam siebie: bo żadna prawda nie objawia się i nie daje osiągnąć jako oczywista. Jeśli ci ktoś taką prawdę proponuje, wiedz, że to tylko wygodne wyjście, niby nasenny lek.

Gardzę zatem tymi, którzy sami się ogłupiają, aby zapomnieć albo — aby żyć w spokoju i uprosić sobie życie — dławia w sobie pragnienia własnego serca. Wiedz bowiem, że wszelka sprzeczność, z której nie ma wyjścia, wszelka kontrowersja, której nie da się uniknąć, zmuszają cię, abyś rósł, po to, by je przekroczyć. Wtedy w splątane korzenie bierzesz bezimienną ziemię, jej twarde kwarce i próchnicę, i wznosisz cedr na Bożą chwałę. Ta kolumna świątyni godna jest chwały, która oparła się zużyciu w ciągu dwudziestu ludzkich pokoleń. Ty także, jeśli chcesz osiągnąć wielkość, ścieraj się z przeciwnościami; one prowadzą do Boga. To jedyna możliwa w świecie droga. Dlatego też, jeśli przyjmiesz cierpienie, ono da ci wielkość.

Są jednak i miejskie drzewa, których nie hartuje pustylny wiatr. Są ludzie słabi, którzy nie potrafią się przewyciężyć. Dane im jest szczęście przeciętne i sami, zdławiwszy część swojej istoty, tak właśnie je kształtują. Zatrzymują się w przydrożnej oberży i spędzają tam całe życie. To życie poronione. I nie obchodzi mnie, co się z nimi stanie ani jak będą żyć. Siedzą skuleni na swoim nędznym dobytku i to nazywają szczęściem. Nie mają wrogów ani dokoła siebie, ani wewnątrz siebie. Zamykają uszy na głos Boga, który jest niewyraźną potrzebą, szukaniem

i pragnieniem. I nie szukają słońca — tak jak szukają go drzewa w gęstwie lasu, dla których nie będzie ono nigdy dobrem zdobytym i przechowywanym w zapasie, bo każde drzewo z trudem po nie sięga, przebijając się poprzez cień drzew sąsiednich; one gonią za słońcem pnąc się wzwyż, jak pyszne gładkie kolumny i ścigając swego Boga rosną w potęgę. Boga nie można osiągnąć, On się ukazuje wciąż przed nami, a człowiek buduje się w przestrzeni jak korona drzewa.

\* \* \*

Dlatego oto masz gardzić sądami tłumu. One bowiem sprowadzają cię w twoje własne granice i nie pozwalają rosnać. Przeciwnieństwo prawdy nazywają błędem i upraszczają przeciwnieństwa, a zaczn twojego wzrostu, jako owoc tego błędu, wydaje się im nie do przyjęcia, zatem go odrzucają. Tacy ludzie chcą, żebyś zamknął się w tym, co masz, i trwał niezmiennie jak pasożyt, jak rabuś własnego mienia. Jaka potrzeba kazałaby ci wtedy poszukiwać Boga, układać pieśń i piąć się dalej w górę, tak aby chaos gór ułożył się w dole w krajobraz? Albo chronić w sobie słońce, którego nie można zdobyć raz na zawsze, ale trzeba ścigać dzień po dniu?

Pozwól im mówić. Ich rady płyną z łatwości serca, które ci życzy przede wszystkim szczęścia. Chcieliby ci zbyt wcześnie dać ten pokój, który daje dopiero śmierć, a wtedy, coś nagromadził za życia, nareszcie będzie ci służyć. Bo to, coś nagromadził, to nie zapasy na życie, ale miód pszczeli zgromadzony na zimę wieczności.

Pytasz mnie czasem: Czy mam obudzić tego człowieka, czy niech śpi raczej, gdyż powinien zaznać szczęścia? Odpowiem ci wtedy, że nie wiem nic o szczęściu. Ale jeśli jest ono jak zorza polarna, czybyś nie przebudził swego przyjaciela? Nikt nie powinien spać, jeśli ma szansę ją zobaczyć. Oczywiście, on lubi spać, ułożył się tak wygodnie; wyrwij go jednak z tego szczęścia-snu i niech się stanie sobą.

## L

Kobieta chciałaby cię ograbić, gdyż jej celem jest dom. Prawda, że godna pożądanego jest ta miłość, co swoją wonią napełnia dom i jest jak śpiew fontanny i muzyka milczących dzbanów, i błogosławieństwo wieczoru, kiedy dzieci wracają, jedno po drugim, do domu, a ich oczy pełne są ciszy. Ale nie próbuj wprowadzać rozróżnień ani oceniać według formułek i nie oddzielaj chwały wojownika na pustyni od darów miłości. Gdyż tylko język wprowadza tu podziały. Miłość to tylko miłość wojownika, który oddycha szeroką przestrzenią pustyni, a prawdziwa ofiara życia, gdy u źródeł czeka na niego zasadzka, to ofiara kochanka, który potrafił kochać; w przeciwnym razie ciało złożone w ofierze nie jest ciałem ofiarnym ani darem miłości. Gdyż jeśli walczący nie jest człowiekiem, ale nacierającym automatem, gdzież byłaby wielkość wojownika? To tylko potworne dzieło insekta. A jeśli ten, co pieści kobietę, byłby tylko nędznym bydlęciem na legowisku, gdzież byłaby wielkość miłości?

Wielkością wydaje mi się, gdy wojownik odkłada broń i kołysze dziecko albo gdy małżonek wyrusza na wojnę.

I nie chodzi tu o przechodzenie od jednej prawdy do drugiej, o ważność okresową, która ustępuje potem innej rzeczy ważnej. Ale o dwie prawdy, które mają sens tylko w połączeniu. Jako wojownik kochasz i jako kochanek wojujesz.

Ale kobieta, która zdobyła cię na towarzysza swoich nocy i poznała słodycz twego łóżka, zwraca się do ciebie — uwielbianego: „Czy nie słodkie są moje pocałunki? Czy nie miła świeżość panuje w naszym domu? Czy nie szczęśliwe są nasze wieczory?” A ty jej potakujesz uśmiechem. „Zostań zatem przy mnie — powiada — blisko, ramię przy ramieniu. Kiedy zapragniesz mnie, wystarczy ci tylko wyciągnąć ramiona, a ja pochylę się do ciebie, czując twój ciężar, jak młode drzewko pomarańczowe obciążone owocem. Z dala ode mnie pędzisz życie skąpe w radości i odwykasz od pieścizot. A bicie twojego serca jest jak źródło przysypane piaskiem, gdy jego wody nie mogą rozlać się po zielonej łące.”

To prawda, poznałeś w samotne noce te rozpaczliwe porywy ku tej lub ku innej, których obrazy stawały przed tobą, bo w głuchej ciszy wszystkie stają się piękniejsze.



Więc myślisz, że samotność, na którą skazała cię wojna, pozbawiła cię jakiejś cudownej przygody. A przecież miłości uczysz się wtedy, kiedy miłości ci brak. I błękitnego pejzażu twoich gór uczysz się właśnie wśród skał, kiedy wędrujesz ku grzbietowi, a Boga uczysz się tylko ćwicząc się w modlitwach, na które nie ma odpowiedzi. Bo tylko to da ci pełnię i nie rozmieni cię na drobne, co osiągniesz poza codziennym biegiem dni, wtedy gdy twój czas zamknie się kuliście i kiedy przestaniesz się stawać, a dozwolone ci już będzie być.

\* \* \*

Z pewnością możesz ulec złudzeniu i żałować człowieka, który nadaremnie rzuca w noc wołanie i zdaje mu się, że czas ubiega bezpłodnie unosząc jego skarby. Może cię niepokoić to pragnienie miłości — miłości pozbawione; zapominasz widocznie, że miłość ze swej natury jest pragnieniem miłości, o czym wiedzą tańczące pary, które moment zbliżenia zamieniają w poemat, podczas gdy mogliby połączyć się od razu.

Powiadam ci: liczy się naprawdę to, co się nie spełniło. Czułość za więzonymi murami to może największa czułość. Modlitwa jest wtedy owocna, gdy Bóg nie odpowiada. Oстрыm żwirem i cierniem żywi się miłość.

\* \* \*

Nie myl więc żarliwości ze zużywaniem zasobów. Żarliwość, która domaga się czegoś dla siebie, nie jest żarliwością. Żarliwość drzewa kieruje się ku owocom, które w zamian nic drzewu nie dadzą. Tak jest i ze mną, i z moim ludem. Gdyż moja żarliwość kieruje się ku pasterzom, od których niczego nie mogę oczekiwać.

Nie zamykaj się więc także w kobiecie. Nie szukaj w niej tego, co już w niej znalazłeś. Wolno ci tylko wracać do niej od czasu do czasu, jak człowiek, który mieszka w górach, a schodzi czasami ku morzu.

## LI

Nie miał racji ten, co mówił o swoim małym domku: — Buduję go po to, żeby pomieścił wszystkich moich prawdziwych przyjaciół. . .

Jakie miał wyobrażenie o ludziach ten stary cynik! Gdybym ja miał zbudować dom dla moich prawdziwych przyjaciół, nie wiedziałbym sam, jak wielki miałby być; bo nie ma na świecie ani jednego człowieka, który jakąś swoją częścią, choćby maleńką, nieuchwytną, nie byłby mi przyjacielem; nawet w tym, którego skazuję na ścięcie, odnalazłbym przyjaciela, gdybyśmy umieli dzielić człowieka na części. Nawet w tym, który mnie na pozór nienawidzi i gdyby mógł, skazałby mnie na ścięcie. Nie sądź przy tym, że chodzi tu o tanią czułośćkliwość czy pobłażliwość, czy pospolite pobożne życzenia, czy pospolite współczucie, bo jestem taki jak zawsze: nieugięty, milczący i twardy. Ale jak wielu mam rozproszonych przyjaciół i jak wypełniliby mój dom, gdybym nauczył ich przychodzić do siebie.

A kogo tamten człowiek nazwał prawdziwym przyjacielem: chyba tego, komu by mógł zawierzyć pieniądze bez ryzyka kradzieży, ale wtedy przyjaźń jest tylko uczciwością służącego; albo tego, od kogo mógłby zażądać przysługi i prośba taka byłaby spełniona — ale wtedy przyjaźń jest korzystaniem z ludzi; albo tego, kto w potrzebie wzięłby go w obronę. A wtedy przyjaźń jest odpłaconą wiernością. Ale ja gardzę wyrachowaniem i przyjacielem nazywam tego, kogo dojrzałem w człowieku, kto może spać ukryty w nim jak w kokonie, ale kto na mój widok zaczyna się ukazywać, poznając mnie, uśmiechając się, nawet jeśli później mnie zdradzi.

A tamten, widzisz, przyjaciółmi nazywa ludzi, którzy by zamiast niego wypili cykutę; i jakże byś chciał, żeby wszyscy byli na to gotowi?

Ten człowiek, najlepszego o sobie mniemania, nie rozumiał przecie wcale przyjaźni. Mój ojciec, bezlitosny, miał przyjaciół i potrafił ich kochać i nie odczuwał rozczarowania, które jest urażonym skapstwem. Rozczarowanie odczuwane w stosunku do bliźniego jest czymś niskim; jeśli bowiem istnieje w nim coś, co nie jest ci miłe, nie ulega przecież zniszczeniu to, co w nim było przez ciebie ukochane. Ty jednak człowieka kochanego albo kochającego ciebie natychmiast zamieniasz w niewolnika, a jeśli nie wypełnia obowiązków, jakie nań niewolnictwo nakłada — potępiasz go.

Pewien człowiek, któremu przyjaciel złożył swoją miłość w darze, zamienił dar w obowiązek. Dar miłości stał się obowiązkiem wypicia cykuty i niewolą. Przyjaciel nie chciał pić cykuty. Ów człowiek poczuł się zawiedziony i to jest niegodne. Jakież tu bowiem może być rozczarowanie — chyba w stosunku do niewolnika, który źle wypełnia swoją służbę.

## LII

Opowiem ci teraz o żarliwości. Gdyż spotka cię tu niejeden wyrzut. Kobieta na przykład zawsze ci będzie wyrzucała, gdy nie jej dajesz, ale komu innemu. Albowiem wedle ludzkiej miary to, co komuś dajesz, ukradłem gdzie indziej. Niepamięć o Bogu i towary, z których korzystamy, tak nas uformowały. W rzeczywistości jednak to, co dajesz, nie uboży cię, ale przeciwnie — przymnaża bogactw, które możesz rozdzielać. W ten sposób ten, kto kocha w Bogu wszystkich ludzi, nieskończenie mocniej kocha każdego człowieka, niż ten, kto kocha jednego i tylko przed owym współnikiem otwiera nędzną izbę swojej duszy. Podobnie ten, kto z dala od ukochanej, nie znając jej nawet, stawia czoło śmiertelnym niebezpieczeństwom, dając siebie — obdarzonego rzeczywistym bytem — daje więcej niż ten, kto dniem i nocą ją tuli, ale sam właściwie nie istnieje.

\* \* \*

Zbędna tu jest oszczędność. Porywy serca nie są towarem, który można oszczędzać. Gdyż dawać to rzucać most poprzez przepaść samotności.

A kiedy dajesz, nie martw się, jeśli nie wiesz komu. Przyjdą ci może mówić: „Ten a ten nie zasługuje wcale na twoje dary”. Tak jakby chodziło tu o towar, który byś zużywał. Nawet ten, z którego nie będziesz miał żadnego pożytku, jeśli oczekujesz od niego darów, może się okazać pożyteczny ze względu na dary, których ty mu udzielasz, bo za jego pośrednictwem będziesz służył Bogu. Wiedzą o tym dobrze ci, którzy nie odczuwając pospolitej litości w stosunku do sługi okrytego wrzodami, skwapliwie narażają życie i gotowi są natychmiast sto dni wędrować po skalistych drogach, żeby przynieść ulgę najnędzniejszemu słudze, którego gnębi choroba. I tylko ci okazują duszę podłą i służalczą, jak najpodlejszy sługa, którzy oczekują od niego jakiegoś odruchu wdzięczności, gdyż chyba własnym ciałem musiałby zapłacić za jedno twoje spojrzenie; ty jednak, za jego pośrednictwem, złożyłeś dar Bogu, i to ty powinieneś się przed nim pokłonić, ponieważ raczył ów dar przyjąć.

## LIII

Kiedyś, w młodości, czekałem przybycia ukochanej, którą miałem poślubić, a którą wiozła ku mnie karawana wędrująca z tak odległej rubieży, że ludzie w drodze zdążyli się postarzeć. Czyś widział kiedy karawanę, która się zestarzała? Ci, którzy stanęli przed graniczną strażą mojego królestwa, już nie znali swojej ojczyzny. Albowiem w czasie podróży pomarli ci, którzy mogli byli wspominać. Jednego po drugim grzebano ich wzdłuż szlaku wędrówki. Ci zaś, co do nas dotarli, nie mieli innego dziedzictwa jak wspomnienie wspomnienia. A pieśni, których nauczyli się od starszych towarzyszy, były legendą o legendzie. Czy słyszałeś o dziwniejszym dziwie niż pojawienie się statku, który zbudowano i któremu dano osprzęt na morzu? A młoda dziewczyna, którą wyprowadzono ze srebrnozłotej lektyki i która umiała mówić, znała również słowo „fontanna” i wiedziała, że o fontannie mówiono kiedyś dawno, w szczęśliwych dniach; i powtarzała to słowo jak modlitwę, na którą nie może być odpowiedzi, gdyż i do Boga człowiek się modli, pamiętając na sprawy ludzkie. Jeszcze bardziej zdumiewające było to, że umiała tańczyć, a tańca nauczono ją wśród kamiennych usypisk i cierni, ona jednak wiedziała, że taniec jest modlitwą, która może spodobać się królom, na którą jednak w życiu na pustyni nie może być odpowiedzi. Tak jest z twoją modlitwą, aż do śmierci — jest to taniec, który tańczysz, aby dotknąć Boga. Ale najbardziej zdumiewające było to, że niosła w sobie wszystko, co miało jej dopiero kiedyś służyć. I piersi ciepłe jak gołębice, którymi miała karmić. I gładki brzuch, który miał nosić w sobie synów dla królestwa. Zjawiła się nagle gotowa, jak uskrzydłone ziarno, które wiatr przeniósł przez morze, i tak ukształtowana, tak pięknie urobiona, tak pełna czystego zachwyty nad własnym bogactwem, które dotąd nigdy jej nie służyło jak ty: niosący w sobie kolejne zasługi i czyny, i nabyte doświadczenia, które posłużą ci dopiero w godzinie śmierci, kiedy się nareszcie staniesz; a ona tak rzadko robiła użytek nie tylko z brzucha i piersi dotąd dziewiczych, ale i z umiejętności tańca, który się miał spodobać królom, z fontanny, w której można zwilżyć wargi, i ze sztuki układania bukietów, bo nie widziała dotąd kwiatów; i pojawiwszy się przede mną w pełni własnej doskonałości, mogła już tylko umrzeć.

## LIV

Mówiłem ci o modlitwie, która jest ćwiczeniem się w miłości za sprawą milczenia Boga. Gdybyś znalazł Boga, oparłbyś na Nim, jak na fundamencie, gotowy gmach — siebie. Po co byś miał jeszcze wzrastać, po co się stawać?

Kiedy więc pewien człowiek pochylał się nad kobietą, obwarowaną własną dumą jak potrójnym rzędem murów obronnych i ratunek dla niej wydawał się niemożliwy, ludzki los budził w nim żal i rozpacz: „Panie — mówił — rozumiem i czekam na jej łzy. Są jak deszcz, który roztopi grozę nadciągającej burzy, ulgą dla dumy i możliwością przebaczenia. Niech ta kobieta odpręży się i niech płacze, a ja przebaczę. Ale ona jest jak dzikie zwierzątko, które się broni zębami i pazurami przeciw niesprawiedliwości stworzonego przez Ciebie świata i nie potrafi nic innego jak kłamać”.

I żał mu jej było, że tak się boi. Mówił więc do Boga myśląc o ludziach: „Włożyłeś na zawsze strach w ich serca — tyle jest kolców, zębów i szponów, trucizn i ostrych łusek, i cierni w stworzonym przez ciebie świecie. Trzeba niemało czasu, żeby nabrali pewności i wrócili do siebie”. I wiedział, że ta, która kłamie, tak daleko odeszła i taka jest zagubiona, i że tak długo musi iść, żeby powrócić!

I żałował ludzi, że tak wielkie są w nich odległości do pokonania, a inni o tym nie wiedzą.

Niektórzy dziwili się jego pobłażliwości wobec najwstrętniejszych występków. Ale on wiedział, że nie jest to pobłażliwość. I mówił: „Panie, nie jestem tu sędzią. Bywają epoki, które sądzą, i ludzie, i ja sam mogę pewnego dnia zostać powołany, aby wystąpić w tej roli. Ale tę kobietę przygarnąłem, gdyż się bała, a nie po to, żeby występować przeciwko niej. Czy widział kto, aby ratownik, który wyciągnął z morza ofiarę, osądzwszy, że jest niegodna, wrzucał ją z powrotem w morze? Trzeba najpierw uratować ją do końca, bo nie ją ratujesz, ale Boga za jej pośrednictwem. Dopiero przeciw uratowanej możesz wystąpić z całą surowością. Tak jest i z człowiekiem skazanym na śmierć: pielęgnujesz go, jeśli jest chory, bo wolno ukarać człowieka na jego ciele, ale nie wolno ludzkim ciałem pogardzać”.

\* \* \*

Zapyta cię może ktoś: do czego zmierzasz — przecież tak słaba jest nadzieja, aby ją uratować. Odpowiem, że cywilizacja to nie tyle korzystanie z wynalazków, co sama żarliwość wynalazcza. A także, że nie pytasz lekarza, czy zalety chorego usprawiedliwiają okazaną mu pomoc. Liczy się przede wszystkim jego działanie, gdyż cele nie są widoczne ani kolejne, dowolnie obierane etapy, i nie wiesz sam, dokąd zmierzasz. I za tym łańcuchem górskim ciągnie się łańcuch następny. A poza tą ludzką jednostką jest coś innego, co ocalasz wtedy, kiedy zdawałoby się, że chodzi tylko o samą żarliwość niesionego ocalenia. A jeśli działasz dla celu popłatnego lub jeśli chcesz z góry zapłacić, jak przy handlowej umowie, jesteś kupcem, a nie człowiekiem.

I nic nie możesz wiedzieć o etapach, bo one są tylko wymysłem języka. Tylko kierunek działania ma znaczenie. Ważne jest iść ku czemuś, a nie dojść tam, bo nie dochodzimy nigdzie i nigdy, chyba że do śmierci.

\* \* \*

Rozwiązłość tej kobiety rozumiałem jako niepokój i rozpacz. Jeśli bowiem wszystko przecieka ci przez palce, to dlatego, że zrezygnowałeś z chwycenia czegokolwiek. Rozwiązłość jest rezygnacją z życia. Rozpaczasz, myśląc o bogactwach, które zużywają się i niszczą. Kwiat bowiem więdnie, ale staje się dla ciebie ziarnem; a jeśli kwiat był dla ciebie czymś więcej niż miejscem, które się mija, popadasz w rozpacz. Powiadam ci: nie ten jest z plemienia osiadłego, kto kocha najpierw dziewczynę, poślubia kobietę, potem kołysze niemowlę i naucza dziecko, a potem jako starzec, rozdziela pomiędzy innych swoją mądrość, i wciąż kroczy naprzód; ale ten, kto chciałby znaleźć w kobiecie postój, znajdować w niej rozkosz jak w poemacie niezwyklej piękności albo w nagromadzonych bogactwach; ten wkrótce odkryje w niej marność, gdyż nic na ziemi nie jest niewyczerpalnym rezerwuarem, a krajobraz ujrzany ze szczytu góry ukształtowało twoje zwycięstwo.

Taki człowiek porzuca kobietę — albo kobieta zmienia kochankę, gdyż czuje się zawiedziona. Ale odpowiedzialna za to jest tylko ich postawa, w niej bowiem jest marność. Bo kochać można tylko poprzez kobietę, a nie kobietę. Dzięki poematowi, nie — sam poemat. Poprzez krajobraz ujrzany ze szczytu góry. Rozwiązłość zaś rodzi się z niepokojem, kiedy nie udaje się nam być. Podobnie ten, kogo dręczy bezsenność, przewraca się na posłaniu szukając chłodnego miejsca w swoim łóżku. Ale ledwie je znalazł, już staje się ciepłe i odmawia mu wytchnienia. Więc gdzie indziej szuka trwalszego źródła chłodu. Ale nie ma go nigdzie — bo ledwo go dotknął, już cała świeżość się rozwiła.

Tak jest też z tymi, którzy w istotach ludzkich widzą tylko pustkę: istotnie jest w nich pustka, jeśli nie są oknami otwartymi na Boga. Dlatego miłość niska i pospolita kocha tylko to, co ucieka, w przeciwnym razie wnet jesteś nasycony i zaspokojone pragnienie nudzi i męczy. Wiedzą o tym dobrze tancerki, które odgrywają przede mną grę naśladowującą miłość.

Chciałem więc, aby odzyskała własną jedność ta, co chciała cały świat zagra-  
bić, a żywiła się ostem, bo kwiat prawdziwy gdzie indziej można znaleźć. I kto-  
kolwiek dotknie cię choćby jeden raz, odczujesz żar w nim płonący, jeśli go o to  
poprosisz.

A dotknie cię w chwili, kiedyś już przestawał w niego wierzyć. Chyba że  
jest tylko obrazem człowieka, zbłąkaną owcą, słabym dzieckiem, przerażonym  
lisem kłapiącym twoje palce, gdy go karmisz; czy będziesz miał wtedy żal o to,  
że zamknął się w sobie, we własnym przerażeniu i nienawiści? Czy wyda ci się  
zniewagą ten gest czy słowo, kiedy wystarczy zapomnieć o słowach i miałym  
znaczeniu, jakie słowa niosą, po to, aby głębiej odnaleźć Boga?

\* \* \*

Gotów jestem ukarać śmiercią, kogo winnym uzna moja sprawiedliwość, kie-  
dy mnie zbezczeszczono. Ale zbyt wielka odległość dzieli mnie od owego lisa  
cierpiącego w pułapce, nie żebym mu przebaczył (bo nie ma nic do przebaczenia  
na tej wysokości, gdzie jestem skazany na samotność), ale bym mógł nie słyszeć  
w haniebnym krzykach zwykłej rozpacz.

\* \* \*

Dlatego ta, która jest piękniejsza, doskonalsza i szlachetniejsza, może nie tak  
jasno pokazuje ci Boga. Nie ma w niej tego, co trzeba by zebrać razem i zabezpie-  
czyć. Kiedy zaś cię prosi, abyś się zajął nią bez reszty i zamknął w swojej miłości,  
domaga się tylko egoizmu we dwoje, który niesłusznie bywa nazywany światłem  
miłości, jest bowiem tylko jałowym płomieniem i rabunkiem spichlerzy.

Nie po to zbieram bogactwa, żebym je zamykał w kobiecie i tak się nimi  
cieszył.

\* \* \*

Dlatego ta inna, nieuczciwa, pełna kłamstwa i wybiegów, domagała się ode  
mnie więcej, sięgała głębiej serdecznych źródeł, a zmuszając mnie do życia w mil-  
czeniu, które jest oznaką prawdziwej miłości, dawała mi smak wieczności.



\* \* \*

Jest bowiem czas na to, by sądzić. Ale jest także czas na to, by się stawać. . .

Powiem ci teraz o umiejętności słuchania innych. Jeśli otworzysz drzwi twego domu przed włóczęgą, a on zasiądzie, nie wyrzucaj mu, że jest sobą, nie kim innym. Nie sądz go. Bo jego głód to przede wszystkim potrzeba znalezienia gdzieś miejsca, przyjścia do kogoś z ciężkim brzemieniem wspomnień, z urywanym oddechem i postawienia w kącie żebraczego kija. Potrzeba znalezienia się w ciepłe, naprzeciw twojej spokojnej twarzy, właśnie z całą jego przeszłością, która nie będzie poddawana ocenie, i z ujawnionymi przywarami. I już nie będzie mu ciążyła jego kula, bo ty mu nie każesz tańczyć. Poczuje się bezpieczny, wypije mleko, które mu nalejesz, i będzie jadł łamany przez ciebie chleb, a uśmiech, jakim go obdarzysz, będzie jak ciepły płaszcz i jak słońce łaskawe dla ślepeca.

A ty byś przypuszczał, że to podłe uśmiechać się do niego, dlatego, że on rzekomo tego uśmiechu niegodny?

I czy myślisz, że coś mu dajesz, jeśli nie dasz tego, co najważniejsze — przyjaznego posłuchania, które potrafi uszlachetnić twoje stosunki nawet ze śmiertelnym wrogiem? Czy zamierzasz wyłudzić jego wdzięczność obarczając go ciężarem podarków? Znienawidzi cię, jeśli wyjdzie od ciebie obciążony długiem.

## LV

Nie wolno ci mylić miłości z szaleńczą żądzą posiadania, które niesie najgorsze cierpienia. Gdyż wbrew powszechnemu mniemaniu miłość nie przynosi cierpienia. Natomiast przynosi cierpienie instynkt posiadania, który jest przeciwieństwem miłości. Bo jeśli kocham Boga, to idę drogą, utykając, aby Go zanieść innym ludziom. I nie sprowadzam tej miłości do niewolnictwa. I karmię się tym, co On daje innym. A tego, kto kocha prawdziwie, rozpoznaję po tym, że nie można go zranić. Tego, kto umiera za królestwo, królestwo nie może narazić na szwank. Można mówić o niewdzięczności ze strony człowieka, ale kto może mówić o niewdzięczności królestwa? Królestwo budujesz swoimi darami, a jeśli rozważasz, jakie uznanie w zamian otrzymałeś — nędzne to rachunki. Ten, kto poświęcił życie dla Świątyni i przemienił swoje życie w jej mury, kochał prawdziwie: jakże mógłby się poczuć skrzywdzony przez świątynię? Prawdziwa miłość zaczyna się tam, gdzie niczego już w zamian nie oczekuje. A jeśli ćwiczenie w modlitwie okazuje się tak ważne, aby nauczyć człowieka miłości do ludzi, to przede wszystkim dlatego, że modlitwa pozostaje bez odpowiedzi.

\* \* \*

U podstaw waszej miłości jest nienawiść, gdyż zatrzymujecie się przy osobie pewnej kobiety czy pewnego mężczyzny, traktując ją jak nagromadzone bogactwo i zaczynacie nienawidzić, podobni do psów biegających wokół miski, wrogich każdemu, kto spoziera na ich jadło. I tę egoistyczną zawiść o jadło nazywacie miłością. A ledwo ktoś wam okaże miłość, już z tego wolnego daru czynicie niewolę, tak jak w przypadku fałszywych przyjaźni, i gdy tylko otrzymacie dowody miłości, już zaczynacie czuć się pokrzywdzeni. I aby tym lepiej poddać sobie drugiego człowieka, dręczycie go widokiem swojego cierpienia. Cierpicie zresztą naprawdę, ale właśnie to cierpienie jest mi niemiłe. Dlaczegoż zatem miałbym je podziwiać?

W młodości istotnie zdarzało mi się chodzić tam i z powrotem po tarasie, pod palącymi gwiazdami, tęskniąc za zbiegłą niewolnicą, w której upatrywałem uzdrowienia. Gotów byłem podjąć wojnę, żeby ją odzyskać. Żeby ją posiadać,

gotów byłem podbić niejedną prowincję; ale — Bóg mi świadkiem — nie myliłem się w znaczeniu słów i nigdy bym nie nazwał miłością takiej pogoni za zdobyczą, nawet gdyby mi przyszło życiem za to zapłacić.

\* \* \*

Przyjaźń poznaję po tym, że nie może doznać zawodu, a prawdziwą miłość po tym, że nic jej nie zdoła ugodzić.

\* \* \*

Jeśli więc ktoś ci powie: „Oddal ją, bo cię krzywdzi...”, wysłuchaj pobłażliwie, ale nie zmieniaj swojego postępowania, gdyż kto może mieć władzę, aby cię skrzywdzić?

A jeśli ktoś ci powie: „Zerwij z nią, bo wszystkie twoje starania idą na marne...”, wysłuchaj pobłażliwie, ale nie zmieniaj postępowania, ponieważ dokonałeś już wyboru. I choć można cię okraść z tego, co otrzymujesz, kto ma moc okraść cię z tego, co dajesz?

I jeśli ktoś ci mówi: „Tutaj masz długi. A tu nie masz długów. Tu twoje dary cieszą się uznaniem. Tu się spotykają ze wzgardą”, zatkaj sobie uszy i nie słuchaj podobnych kalkulacji.

\* \* \*

Wszystkim zaś możesz odpowiedzieć: kochać to przede wszystkim współdziałać ze mną.

\* \* \*

Tak jest ze świątynią: wchodzi do niej tylko przyjaciel, ale liczba przyjaciół jest niezliczona.

## LVI

Tej samej tajemnicy chciałbym cię nauczyć. Cała twoja przeszłość to tylko narodziny, podobnie jak po dziś dzień — wydarzenia z dziejów królestwa. I żałować czegokolwiek to taki sam absurd, jak żałować, że się nie urodziłeś w innej epoce, albo że nie jesteś niski, kiedy jesteś wysoki, albo że nie żyjesz w innym kraju, i w tych absurdalnych rojeniach znajdować powód do rozpacz na każdą chwilę. Szalony, kto zgrzyta zębami unosząc się gniewem na przeszłość, która jest jak granitowy blok, i zamknięta. Przyjmij ten dzień tak, jak jest ci dany, zamiast bić głową o nieprzekraczalny mur. Nieodwracalność nic nie znaczy, gdyż jest cechą wszystkiego, co przeminęło. A ponieważ nie ma czegoś takiego jak cel osiągnięty albo cykl zamknięty, albo epoka zakończona — chyba że dla historyków, którzy wymyślają podziały czasu — jakżebyś mógł żałować postępowania, które nie zostało jeszcze uwiecznione wynikiem i nigdy nie zostanie — gdyż sens rzeczy nie leży w bogactwie nagromadzonym, z którego potem korzystają plemiona osiadłe, ale w płomieniu przemiany, wędrówki i pragnienia. A ten, kto doznał klęski i ginie pod butem zwycięzcy, bardziej jest moim zdaniem zwycięski niż ten, co cieszy się wczorajszym zwycięstwem, jak osiadły — nagromadzonym bogactwem, a jego kroki już zmierzają ku śmierci.

Do czego zatem mam dążyć, spytasz. Skoro cel nie ma znaczenia. A ja odpowiadając wyjawię ci wielką tajemnicę kryjącą się pod prostymi i zwykłymi słowami, której nauczyła mnie mądrość nabywana po trochu w ciągu życia: a mianowicie, że przygotowywać przyszłość to tylko dawać podstawę terażniejszości. I że niektórzy trawią siły na utopie i zabiegi, marzenia i mgliste obrazy zrodzone z wynalazczej wyobraźni. A tymczasem jedyna prawdziwa wynalazczość to odczytywać terażniejszość, całą jej niespójność i język pełen sprzeczności. Jeżeli jednak dasz do siebie dostęp tym bredniom — pustym snom o przyszłości, będziesz podobny do człowieka, któremu się zdaje, że swobodnym pociągnięciem pióra potrafi wynaleźć kolumnę i postawić nową świątynię. Ale czy napotkałby wtedy nieprzyjazny opór materii? A nie spotkawszy oporu, na czym by oparł fundamenty świątyni? Co nadałoby kształt jego kolumnie? Kolumna formuje się poprzez pokolenia, ścierając się i nabierając kształtu poprzez życie. Nawet jej kształt

nie jest wymyślony, ale wygładzony trwaniem. I tak rodzą się wielkie dzieła i królestwa.

Tylko terażniejszość trzeba wciąż porządkować. Po co dyskutować o dziedzictwie? Przyszłość nie po to jest, aby ją przewidywać, ale by ją przyjąć.

Trudnisz się oczywiście, kiedy terażniejszość masz w rękach jak tworzywo. Te owce i kozy, pola jęczmienia, domy i góry, wszystko to nazywam ojcowizną albo królestwem i dobywam z tej całości coś, czego w niej dotąd nie było; i nazywam jednością najprostszą, gdyż kto zechce ją ogarnąć rozumem, zniszczy ją, a nie pozna — i tak tworzę podstawy terażniejszości; tak samo, kiedy wspinam się na grzbiet górski, wysiłek moich mięśni organizuje krajobraz i staję się świadkiem łagodnego błękitu, gdzie miasta są jak ptasie jajka w gniazdach polnych przestrzeni, i jest to obraz ani prawdziwy, ani bardziej fałszywy niż miasta porównane do statków albo do świątyń — po prostu obraz inny. A ludzkie losy potrafią stać się pokarmem dla pogody mojej duszy.

Wiedz zatem, że żadna prawdziwa twórczość nie jest dowolnie powziętym wyobrażeniem o przyszłości, ściganiem majaków i utopią, ale nowym, świeżo odczytanym obliczem terażniejszości — a ta — tworzywem bezładnie nagromadzonego dziedzictwa; tobie zaś nie wolno ani rozkoszować się tym tworzywem, ani się na nie skarżyć, bo ono — tak jak i ty — po prostu jest, skoro się narodziło.

Pozwól zatem przyszłości jak drzewo rozkładać, jeden po drugim, swoje konary. Od jednej terażniejszości do drugiej drzewo będzie wzrastać, aż zakończywszy wzrost, dopełnione, wejdzie w śmierć. Bądź spokojny o moje królestwo. W chwili gdy ludzie w bezładzie rzeczy odkryli to oblicze, gdy jak rzeźbiarz stworzyłem dzieło w kamieniu, w majestacie tworzenia umocniłem ich los. Odtąd iść będą od zwycięstwa do zwycięstwa, odtąd moim śpiewakom nie zabraknie tematu pieśni, bo już nie martwych bogów będą chwalić, ale po prostu życie.

Spójrz na moje ogrody: gdy o świcie ogrodnicy idą gotować panowanie wiosny, nie rozprawiają o płatkach kwiatów ani o ich pręcikach: sieją ziarna.

Wam zatem, zniechęceni, nieszczęśni i pokonani, powiadam: Jesteście zwycięską armią! Gdyż ta oto chwila jest waszym początkiem i to piękne być tak młodym.

\* \* \*

Nie sądz jednak, że to proste: objąć myślą terażniejszość. Bo wtedy stawia ci opór nawet materia, z której masz korzystać, podczas gdy nie stawiają oporu plany snute na przyszłość. Temu, kto położył się na piasku koło wyschłej studni, a słońce już zamienia go w ulotną parę, roi się, że dzielnie maszeruje. I ogromnie łatwe stają się wielkie kroki, które go zbliżają do ocalenia. Łatwo bowiem pić we śnie: każdy krok, jak namaszczonej oliwą niewolnik, przynosi ci wodę i nie ma cierniów, które by cię zatrzymywały w drodze.

Ale ta przyszłość, która nie ma w sobie nic wrogiego, nie zbliża się, a ty konasz, piasek zgrzyta ci między zębami, a gaj palmowy, ciężkie wody rzeki i śpiew kobiet piorących bieliznę chwieją się i z wolna zapadają w śmierć.

Ten natomiast, kto rzeczywiście idzie, ociera sobie stopy o kamienie, walczy z kolczastymi zaroślami i rani paznokcie na skalnych usypiskach. Co krok to inny etap wspinaczki, a on nad wszystkimi musi odnieść zwycięstwo. Wodę dla siebie stwarza powoli całym ciałem, mięśniami, pęcherzami na dłoniach i ranami na nogach. Stapiając w jedno sprzeczne włókna rzeczywistości, wysiłkiem dłoni dobywa wodę ze swej kamiennej pustyni, jak piekarz wyrabiając ciasto czuje, jak ono twardnieje mu pod palcami, jak coraz silniejszy stawia mu opór, jak powstają zawężenia, które musi zrywać — a to znaczy, że w jego rękach powstaje chleb. Tak jak poeta czy rzeźbiarz, który zrazu swobodnie obrabiał wiersz czy kamień, ale zatracając się w nim, bo mógł kazać swoim postaciom, aby śmiały się albo płakały, mógł się skierować na prawo lub na lewo, i w tej pełnej swobodzie trudno mu było stawać się. Ale nadchodzi moment, gdy ryba chwytą przynętę i wędka wypręża się. Przychodzi chwila, kiedy nie mówisz tego, co chciałeś powiedzieć, ze względu na słowo, które chciałeś zachować na inną chwilę, bo i je także zamierzałeś wypowiedzieć; i obie prawdy zaczynają stawiać ci opór. A ty zaczynasz kreślić, tak jakbyś wyrabiał glinę, i pojawia się uśmiech, który zdaje się rzucać ci wyzwanie. Nie dobierasz już pojedynczych słów na zasadzie słownej logiki, ale szukasz zwornika, który by spiął sklepienie twoich sprzecznych prawd, bo z niczego nie wolno ci zrezygnować; i zgadujesz już, że właśnie rodzi się wiersz albo z kamienia powstaje twarz posągu, bo otaczają cię zewsząd drodzy ci nieprzyjaciele.

Nie słuchaj więc nigdy tych, co chcieliby ci się przysłużyć i radzą, żebyś się wyrzekł któregoś z twoich zamiarów. Znasz swoje powołanie po tym, jak ci ciąży. Jeśli je zdradzisz, sam siebie wypaczysz; wiedz, że twoja prawda rodzi się powoli, gdyż jest jak narodziny drzewa, a nie jak znalezienie formuły, bo czas tu odgrywa najważniejszą rolę, bo ty masz się przemienić i wstąpić na trudny szczyt. Nowy byt, który jest jednością wyłonioną z zamętu rzeczy, nie spada na ciebie jak rozwiązanie rebusu, ale jest uspokojeniem sprzeczności i zabliznieniem ran. A moc swoją poznasz dopiero wtedy, kiedy się stanie. Dlatego czciłem przede wszystkim owe bóstwa zapomniane, którymi są dla człowieka cisza i powolność.

## LVII

Albowiem piękna jest wasza młodość, wy nieszczęśliwi, wydziedziczeni i pokonani, którzy w waszym dziedzictwie umieliście wyczytać tylko niedobre posłanie wczorajszego dnia. Ale ja zbuduję świątynię, a wy przyjdźcie wmieszać się w tłum wiernych. Jeśli rzuciłem wam ziarno i zgromadziłem was w majestacie ciszy, abyście się stali powolnym, cudownym zniwem, to gdzież tu miejsce na rozpacz? Pamiętacie, jak wygląda poranek zwycięstwa: umarli na łożach, trędowaci i dotknięci zarazą, chromi na kulach, zadłużeni ścigani przez urzędników, dłużnicy wśród komorników, więźniowie pod strażą dozorców — wszyscy skupieni oto w zwycięstwie jak w zworniku sklepienia, wszyscy włączeni w ludzką wspólnotę; w takie ranki rozproszony tłum staje się bazyliką, w której rozbrzmiewa pieśń zwycięstwa.

Widziałeś także, jak miłość się gruntuje, jak umacniają się korzenie, jak dusze odpowiadają sobie wzajemnym echem, może pod uderzeniem nieszczęścia, które znienacka staje się kośćcem i zwornikiem sklepienia, aby we wszystkich znaleźć ten sam oddźwięk, tę samą gotowość współdziałania; i radość rodzi się wtedy z dzielonego chleba, z miejsca przy ogniu, gdzie siada zaproszony. Okazywałeś niezadowolenie jak stary zgorzknialec i wydawało się, że nawet twojego ciasnego domu nie wypełnią przyjaciele, a oto nagle otwiera się świątynia i wchodzi do niej przyjaciel — jeden, ale niezliczony.

Więc gdzież tu miejsce na rozpacz: wszędzie tylko wieczne narodziny. To prawda, że jest także nieodwracalność, ale ani to wesołe, ani smutne: nieodwracalność to istota tego, co minęło. Nieodwracalne są moje narodziny, bo oto jestem. Nieodwracalna jest przeszłość, ale terażniejszość leży przed tobą, jak budulec bezładnie rzucony u stóp budowniczego, i to ty masz z niego urobić przyszłość.

## LVIII

Przyjaciel to przede wszystkim człowiek, co nie sądzi. Mówiłem ci, że to ten, co otwiera drzwi przed włóczęgą i jego kulą, i kosturem postawionym w kącie, i nie każe mu tańczyć po to, aby tańczącego oceniać. A jeśli włóczęga opowiada o wiosnie widzianej po drodze, przyjaciel to ten, co przyjmuje w siebie wiosnę. A jeśli opowiada o grozie głodu w wiosce, z której przychodzi, przyjaciel razem z nim cierpi głód. Bo mówiłem ci już, że przyjaciel to ta część człowieka, która jest dla ciebie przeznaczona i otwiera przed tobą drzwi, których może nigdzie indziej nie otwiera. I będzie to prawdziwy przyjaciel i wszystko, co mówi, jest prawdą, i kocha cię, nawet jeśli nienawidzą cię w innym domu. Zaś przyjaciel spotkany w świątyni, obok którego — z łaski Boga — stoję ramię przy ramieniu, to ten, co zwraca ku mnie taką samą jak moja twarz, oświetloną tym samym Bożym światłem, bo wtedy rodzi się jedność, nawet jeśli poza świątynią on jest sklepi-karzem, a ja kapitanem, albo on ogrodnikiem, a ja marynarzem. Spotkałem go na wyższym piętrze niż istniejące między nami różnice i jestem jego przyjacielem. I mogę przy nim milczeć, to znaczy nie obawiać się niczego, bo on nie wejdzie w ciężkich butach do ogrodu mojej duszy i bezpieczne są moje góry i wąwozy, i moje pustkowia. A ty przyjmujesz z miłością, mój przyjacielu, to, co wysyłam ku tobie z królestwa mojej duszy, jakbyś przyjmował mojego ambasadora. Traktujesz go życzliwie, prosisz siadać i słuchasz, co mówi. I otośmy szczęśliwi. Ale czy możliwe, abym przyjmując ambasadorów traktował ich oschle albo odesłał z niczym, dlatego że gdzieś w ich cesarstwie, o tysiąc dni marszu od mojego królestwa ludzie się żywią jadłem, które mnie nie smakuje, albo mają inne obyczaje. Przyjaźń to przede wszystkim pokój i potężna duchowa wymiana, wznosząca się ponad pospolite szczegóły. I temu, kogo ze czcią sadzam za moim stołem, nie będę robił żadnych wyrzutów.

Wiedz bowiem, że gościnność, uprzejmość i przyjaźń to spotkanie z człowiekiem, jakie się dokonuje w człowieku. Nic po mnie w świątyni takiego bóstwa, które by roztrząsało wzrost i tuszę swoich wiernych, ani w domu takiego przyjaciela, który by nie przyjął gości kulawych lub kazał im tańczyć, aby ocenić, czy tańczą dobrze.



Dość spotkasz sędziów na świecie. Nieprzyjaciołom zostaw trud urabiania ciebie, abyś się stał innym, abyś stwardniał. To ich zadanie, tak jak zadaniem burzy jest rzeźbić pień cedru. Przyjaciel jest po to, aby cię przyjął. A kiedy wchodzisz do świątyni, wiedz także, że Bóg nie sądzić cię chce, ale przyjąć.

## LIX

Jeśli chcesz, by tam, gdzie dzieli się bogactwa, a więc i serca są podzielone, krzewiła się przyjaźń (jeśli chcesz bowiem, aby się znenawidzili, sypnij im ziarna), oprzyj się na poszanowaniu człowieka i wiedz, że życie plemienne wtedy jest znośne, gdy jeden nie krytykuje drugiego. Kiedy myślisz źle o przyjacielu i dajesz temu wyraz, to znaczy, że nie doszło między wami do spotkania na płaszczyźnie człowieczej, takiej jak w świątyni, gdy gromadzi się wspólnota. Nie jest to kwestia ani pobłażliwości, ani słabości, ani braku żarliwości w cnocie. Gdzie indziej jest miejsce na surowość i gdzie indziej masz być sędzią. Jeśli zajdzie potrzeba, bez drgnienia powiek będziesz ścinał głowy. Bo jeszcze raz powtarzam: możesz skazać na śmierć, ale jeśli skazaniec jest chory, wpierw go ulecz. Nie bój się tych sprzeczności, których pełno w twoim niedoskonałym języku, gdy mówisz o ludziach. Bo nie ma tu żadnej sprzeczności, poza językiem — środkiem wyrazu. I w skazańcu jest częśćka, którą wydajesz katowi, ale jest i druga, którą możesz posadzić za twym stołem i której nie masz prawa osądzać. Nakazano ci bowiem sądzić człowieka, ale nakazano też go szanować. I nie chodzi wcale o to, aby sądzić jednego, a drugiego szanować, ale ma to być ten sam człowiek. Jest to tajemnica mojego królestwa, niepojęta tylko ze względu na język ludzki.

Logiczne przedziały nie są dla mnie żadną przeszkodą. Bo ten, z kim walczę na pustyni i otaczam nienawiścią, był mi zawsze najlepszym ćwiczeniem duchowym. Kroczymy ku sobie, groźni, ale z miłością.

## LX

Rozmyślałem także nad ludzką próżnością. Gdyż zawsze wydawała mi się nie wadą, a chorobą. Kiedy widziałem, jak ktoś wzrusza się opinią tłumu, jak czyniąc z siebie widowisko upadła się w zachowaniu i w słowach, jak niezwykle zadowolenie znajduje w pochwałach, jaki ogień bije na jego policzki, gdy na niego patrzą, nie głupotę widziałem w tym, a chorobę. Bo jakie zadowolenie może dać drugi człowiek poza miłością i darem z siebie? A przecież zadowolenie, jakie taka osoba znajduje we własnej próżności, wydaje się gorętsze niż satysfakcja z bogactwa, bo za tę rozkosz zapłaciłaby szczerze innymi przyjemnościami.

Nędzna to radość i skąpa, jak zawsze, gdy płynie z ułomności. Jak człowieka, który czując swędzenie, drapie się i w tym znajduje rozkosz. Pieszczota — przeciwnie — jest osłoną i dachem nad głową. Jeśli pogłaszczę dziecko — to jakbym je bronił. Pieszczota jest tu znakiem na dziecinnym miękkim policzku.

Ale próżność jest wynaturzeniem.

Ludzie próżni to dla mnie tacy, co przestali żyć. Czy można bowiem przemienić się w coś większego od siebie, jeżeli chce się przede wszystkim brać? Taki człowiek nie będzie rósł, zostanie skarłały na wieki.

A przecież jeśli chwałę odważnego wojownika, wzrusza się i drży jak dziecko, gdy je pieszczą. Ale to nie próżność.

Co wzrusza jednego, a co drugiego? I jaka jest między nimi różnica?

A kiedy zasypia próżna kobieta. . .

Nie zazna tego, co roślina, która na wietrze otrząsa nasiona, a żadne nie będzie jej zwrócone.

Nie zazna tego, co drzewo, gdy padają z niego owoce, ale żaden nie będzie mu zwrócony.

Nie zazna radości człowieka, który innym oddaje stworzone przez siebie dzieło, a ono mu zwrócone nie będzie.

Nie zazna żaru tancerki, która z siebie daje taniec, a ten jej zwrócony nie będzie.

I tak samo wojownik, który oddaje swoje życie. I jeśli go chwałę, to dlatego, że stoi jak wypatrujący strażnik na dziobie statku. Wyrzekł się siebie dla wszystkich innych. I jest zadowolony nie z siebie, ale z ludzi.

Lecz człowiek próżny to karykatura. Nie domagam się skromności, bo lubię dumę, która jest jądrem istnienia i trwania. Jeśli jesteś skromny, toś i posłuszny wiatrom, jak blaszana chorągiewka. Kto inny waży wtedy więcej niż ty sam.

Ja domagam się, abyś żył nie tym, co otrzymujesz, ale tym, co dajesz, bo tylko tym wzrastasz. Nie powinieneś gardzić dobrem dawanym, musisz wydać owoc. A właśnie duma gwarantuje, że jest wciąż twoim owocem. W przeciwnym razie zmieniałby się z każdym podmuchem wiatru, odmieniałby barwę, zapach i smak!

Ale czym jest twój owoc dla ciebie? Wart jest tylko wtedy, jeśli ci nie będzie zwrócony.

Oto kobieta na paradnym łożu, która karmi się oklaskami tłumu. „Rozdaje własne piękno, wdzięk i dostojeństwo, a ludzie podziwiają mnie, kiedy przechodzę niby cudowny statek wiedziony przeznaczeniem. Samo moje istnienie już jest darem.”

Próżność to dar fałszywy, złudzenie prawdziwego daru. Bo dawać możesz tylko to, co sam przetwarzasz, tak jak drzewo wydaje owoce, które wytworzyło z gleby. Tancerka daje taniec, bo w taniec przetworzyła swój krok. A żołnierz — krew, gdyż ją przetwarza w świątynię albo w królestwo.

Ale nie daje nic goniąca się suka, choć otaczają ją psy i zabiegają o nią. Gdyż nie wytworzyła tego, co daje. Jej radość to ukradziona częśćka radości tworzenia. Rozprasza się i ginie w pragnieniu psów.

Jak człowiek, co budzi zazdrość innych i upaja się aromatem zazdrości. Szczęśliwy, gdyż mu zazdroszcza.

To karykatura daru. A on podnosi się przy biesiadnym stole i zaczyna przemawiać. Pochyla się ku współbiesiadnikom jak drzewo obciążone owocami. Ale współbiesiadnicy żadnego owocu nie znajdują.

Znajdą się tylko tacy, którym się będzie zdawało, że znaleźli owoc, gdyż są jeszcze głupszy niż ten pierwszy i uważają, że przemawiając zaszczycił ich. A człowiek próżny sądzi, że coś dał, skoro jego współbiesiadnik otrzymał. I obaj kłaniają się jeden drugiemu jak dwa jałowe drzewa.

\* \* \*

Próżność to brak dumy, uległość pospólstwu, niska pokora. Szuka jednak pospólstwa, bo wtedy może uwierzyć, że rozdaje owoce.

Są ludzie, którzy czują się uhonorowani królewskim uśmiechem. „Król mnie zna”, powiadają. Ale kto by naprawdę kochał króla, zarumieniłby się tylko z radości i nic by nie powiedział. Bo uśmiech króla oznaczałby dla niego: „Król przyjmie ofiarę z mojego życia...” I wtedy nagle całe jego życie staje się darem i przemienia się w królewski majestat. „Mam swój udział — mógłby taki człowiek powiedzieć — w pięknie królewskiej osoby, bo król przez to jest piękny, że jest chlubą swego ludu.”

Natomiast człowiek próżny zazdrości królowi. A kiedy król się do niego uśmiechnie, on narzuca na siebie ten uśmiech jak świetny płaszcz i przechadza się — karykatura — po to, aby jemu z kolei zazdrozczono. Król mu użyczył niejako swojej purpury. On sam zaś jest w głębi duszy tylko naśladownictwem i małpowaniem.

## LXI

Niektórzy wywodzą się z moralności kupieckiej pragnącej przede wszystkim dobrze sprzedać. Zdaje ci się, że radość daje otrzymywanie i nabywanie dóbr; skąd byś mógł wiedzieć, że jest inaczej, skoro z takim wysiłkiem nauczono cię trzymać się kurczowo przedmiotów?

To prawda, przedmiot może być wielki, jeśli ty mu siebie oddajesz. Kiedy próbujesz swój trud przemienić w blask szlifowanego klejnotu. Ów blask może być jak religia. Znałem kurtyzanę, która swoje śmiertelne ciało wymieniała na niezniszczalne perły. Nie gardzę takim kultem. Ale przedmiot staje się czymś niegodnym, kiedy poddajesz go sobie, kiedy ci ma służyć jak kadzielnica. Bo w istocie nie ma w tobie nic, co byłoby godne kadzidła.

Kiedy jednak daję dziecku zabawkę, ucieka ze swoim skarbem w obawie, abym mu go nie odebrał. Dlatego, że zabawka jest tu jak posążek bóstwa, które, kiedy się pojawią pierwsze ciernie, zażąda ofiary z krwi.

## LXII

Rozmyślałem także nad absolutną koniecznością — o ileż łatwiejsze byłoby wszystko, gdyby piramida hierarchii ludzi łączyła się wprost z Bogiem. Weźmy władcę cesarstwa: jeśli jest władcą z absolutnej konieczności, godzisz się z tym jak z prawem natury; tak samo, gdy w pałacu mojego ojca chcesz przejść z sali obrad do sali bawialnej, idziesz tymi właśnie schodami, otwierasz te właśnie drzwi i nie żałujesz, żeś nie wybrał innej drogi, ponieważ tylko ta była możliwa. A w decyzji jej obrania i swobodnego przejścia tak samo nie ma uległości, służalstwa i niskich uczuć, jak w poddaniu się władzy panującego, która pozostaje poza zasięgiem wolnej woli jako coś po prostu absolutnego. Natomiast będziesz mu zazdrościł, jeżeli zajmujesz w królestwie następne, zaraz po nim miejsce, i jeśli jego władza nad tobą nie jest elementem konieczności, ale sprawą przypadku, biegu polityki, wynikiem pewnych określonych i dyskusyjnych ocen lub też sukcesem zawdzięczanym zręcznym zabiegom. Albowiem zazdrościmy tylko temu, na którego miejscu moglibyśmy się znaleźć sami. Czy Murzyn zazdrości białemu? Czy człowiek w stosunku do ptaka czuje naprawdę tę zazdrość, która przedradza się w nienawiść, gdyż chciałby zniszczyć kogoś, aby zająć jego miejsce? Nie krytykuję bynajmniej, rzecz jasna, ambicji, bo może ona być oznaką twórczych pragnień. Ale krytykuję zazdrość. Wtedy bowiem gotów jesteś intrygować przeciwko drugiemu człowiekowi, a pochłonięty intrygami, gotów będziesz zapomnieć o tworzeniu, które jest przede wszystkim cudowną współpracą jednego z wszystkimi. Ty zaś, wydając o drugim sąd, gotów jesteś nim gardzić. I choć bez trudu przyjmujesz, że ktoś drugi może nad tobą wziąć górę siłą władzy, czy zgodzisz się, że cię przewyższa słuszością sądów, prawością i szlachetnością serca? Jeśli zaś gardzisz nim, kto ci odpłaci za twoją pracę wyrazami uznania? Uznanie z ust tego, kim pogardzasz, jest obelgą. I wtedy wzajemne stosunki między ludźmi wydadzą ci się nieznośne.

Przedem wszystkim jednak, jeśli ktoś wyda ci rozkaz, poczujesz się upokorzony, i on sam istotnie będzie chciał cię upokorzyć, żeby umocnić swoje panowanie. Inny jednak będzie mógł zasiadać z tobą przy jednym stole jak równy z równym, wypytywać cię, podziwiać twoją wiedzę i cieszyć się twoimi cnotami, jeżeli jest

panem tak po prostu, jak mur jest murem, i niepodobna, aby się pysznił swoją pozycją, gdyż ona po prostu jest faktem.

Tak też i ja mogę zasiąść u stołu najędzniejszego z moich poddanych. A on, jaśniejąc z radości na mój widok, wyciera stół i stawia ruszt na rozżarzonych węglach. Który bowiem kamień z tych, co tworzą mur, wyrzucałby zwornikowi sklepienia, że jest zwornikiem? I czy zwornik mógłby pogardzać którymkolwiek z kamieni? Siedzimy więc naprzeciw siebie jak równy z równym. Tylko taka równość ma jakiś sens. I jeśli go zagadnę o pole i zasiewy, to nie z niskiej intencji, aby licząc na jego próżność zaskarbić go sobie — bo niepotrzebny mi niczyj głos w wyborach — ale po to, żeby się samemu czegoś nauczyć. Jeśli bowiem ktoś pyta, a nie interesuje go naprawdę sprawa, której pytanie dotyczy, znaczy, że gardzi. A jeśli pytany to zauważy, maca nóż wiszący u boku. Ja natomiast rzeczywiście chciałem wiedzieć, ile oliwek może wydać drzewo oliwne, i pytałem o to, aby otrzymać odpowiedź.

Wybrałem się w odwiedziny i miłe mi było przyjęcie ze strony gospodarza. A on też czuł się obdarowany i będzie pokazywał prawnukom miejsce, gdzie siedziałem.

Co więcej: ponieważ nie chodzi tu o moją władzę i nie potrzebuję hamować ani naginać mojego postępowania dla jakichś niskich celów, mogę i ja także odczuwać wdzięczność. A kiedy on uśmiecha się do mnie, oddaje mi cześć i na moje przyjęcie piecze barana, otrzymuję coś, co jest istotnie darem i ma równą wartość jak dar, który on otrzymałby ode mnie. Tak i Bóg przyjmuje twoje najskromniejsze myśli i błahe uczynki, jak południową modlitwę żebraka wśród pustyni; jeśli zaś przyjdzie ci do głowy uczcić jakiegoś podrzędnego księcia, musisz obmyśleć prezent niezmiernej ceny, bo on ceną twojego daru będzie mierzył swoją chwałę.

Kto inny tymczasem obraca skrzypiącą rączką i ciągnie wiadro z głębi studni, a potem opiera je na cembrowinie, śmiejąc się do swojego zwycięstwa, a potem, pochylając się w słońcu, podaje mi je, gdy siedzę pod murem w cieniu, i napętnia mój kubek chłodnym bogactwem: a ja jestem cały skąpany w jego miłości.



## LXIII

Przyszedł mi na myśl pewien przykład, jakim jest miłość kurtyzany. Mylisz się bowiem wierząc w dobra materialne, w ich wartość samą w sobie. Tak samo bowiem jak krajobraz ujrzany ze szczytu góry stworzyłeś sam wysiłkiem własnych mięśni, tak jest i z miłością. Bo nic nie ma sensu samo w sobie, ale prawdziwym sensem wszystkiego jest sieć wzajemnych związków. Wykuta w marmurze twarz nie jest sumą nosa, ucha, brody i drugiego ucha, ale strukturą mięśni, które je łączą ze sobą. Zamkniętą dłonią, która coś ujmuje i trzyma. I obraz, jaki przynosi wiersz, nie zawiera się w gwieździe ani w cyfrze siedem, ani w fontannie, ale we wzajemnym splocie, który tworzę, kiedy każę siedmiu gwiazdom kąpać się w fontannie. To prawda, że aby ukazał się związek, muszą istnieć powiązane nim przedmioty. Ale moc związku nie zawiera się w przedmiotach. Pułapka na lisy nie jest ani drutem, ani podstawą, ani żadną inną częścią, ale pewnym zbiorem części, czymś stworzonym przez człowieka — i oto słyszymy szczekanie złowionego lisa. Tak i ja — śpiewak, rzeźbiarz czy tancerz — potrafię cię złowić w moją pułapkę.

I tak samo jest z miłością. Czego możesz oczekiwać od kurtyzany? Tylko wypoczynku dla ciała, kiedy dokonałeś podboju niejednej oazy. Bo ona niczego od ciebie nie wymaga i nie każe ci być. Ale rozpoznajesz się w miłości, kiedy chciałbyś jak na skrzydłach lecieć na pomoc ukochanej, dlatego że ona wzywała tego archanioła, który był w tobie uśpiony.

Różnica nie polega tu na łatwości: bo jeśli kocha cię ta, którą kochasz, wystarczy ci otworzyć ramiona, a już jest w twoich objęciach. Różnica polega na darze. Kurtyzanie niepodobna złożyć żadnego daru, gdyż cokolwiek jej przyniesiesz, ona to z góry uzna za należną zapłatę.

Kiedy ci zaś narzucają zapłatę, będziesz się spierał o jej wysokość. Taki jest sens tańca dla ciebie tańczonego. Wojsko, które rozpuszczono na jeden wieczór w podejrzanym dzielnicy miasta z nędznym żołdem w kieszeni, będzie się targowało kupując miłość, tak jak się kupuje strawę, aby pieniędzy na dłużej starczyło. Strawa daje możliwość nowego marszu przez pustynię i tak samo kupowana miłość daje spokój ciału, które znów czeka samotność. Ale wszyscy ci ludzie są jak kramarze i obcy im jest żar uczuć.

Ażeby obdarować kurtyzanę, trzeba by być bogatszym od króla, bo za to, co jej przynosisz, ona jest wdzięczna przede wszystkim sobie, pyszni się z sukcesu i winszuje sobie, że własną zręcznością i urodą tyle od ciebie uzyskała. Możesz w taką studnię bez dna wrzucić złoty skarb, którego by nie udźwignęło sto juczych karawan, a jeszcze nie stałby się darem. Bo musi być ktoś, kto przyjmuje.

Dlatego też moi wojownicy głaszczą dłonią po grzbiecie piaskowe lisy i czują jakby miłość, łudząc się, że dają coś schwytanemu dzikiemu zwierzątku, a jeśli ono przytuli się do ich piersi, są nieprzytomni ze szczęścia.

Ale czy znajdziesz w dzielnicy taniej miłości kurtyzanę, która ciebie potrzebuje i dlatego przytuli się do twojego ramienia?

Zdarza się jednak, że któryś z moich ludzi, ani bogatszy od innych, ani mniej bogaty, traktuje swoje złoto tak jak drzewo nasiona rzucane na wiatr, gdyż będąc żołnierzem gardzi nagromadzonym bogactwem.

Więc spaceruje nocą pomiędzy nędznymi szopami w blasku swojej hojności, jak ten, kto siejąc ziarno jęczmienne idzie wielkimi krokami po ziemi czerwonej, gotowej na przyjęcie ziarna.

Trwoni zatem swoje bogactwa i nie pragnie nic z nich zachować i on jeden wie, co to miłość. A może nawet i w którejś z tych kobiet zdoła obudzić miłość, gdyż ich spotkanie będzie niby taniec, i tańcząc go, ona istotnie coś otrzymuje.

Powiadam ci: wielkim błędem jest nie wiedzieć, że otrzymywać nie znaczy tyleż, co dostawać. Otrzymywanie jest przede wszystkim darem, darem z samego siebie. Skąpy jest nie człowiek, który nie rujnuje się na prezenty, ale ten, kto nie daje jasnego uśmiechu w zamian za otrzymany dar. Skąpa jest ziemia, która nie pięknieje, kiedy rzucasz w nią ziarno.

Kurtyzany i pijani żołnierze zdolni są czasem zapalić błysk światła.

## LXIV

Z czasem w moim królestwie zagnieździli się rabusie. Gdyż nikt tu już nie tworzył człowieka. A twarz wyrażająca patos cierpienia przestała być świętą maską, stała się już tylko rzeźbionym wiekiem pustej szkatułki.

I krok po kroku postępowało niszczenie Bytu. Niczego już teraz nie widziałem tu, za co by warto było umierać. Niech zatem próbują tak żyć. Bo żyć możesz tylko tym, za co zgodzisz się umrzeć. Burzyli stare budowle i cieszyli się hukem padających świątyń. Ale na miejscu świątyń, które padały w gruzy, nie zostawało nic.

Niszczycieli zatem własną zdolność wyrażania siebie. I niszczyli człowieka.

Nie jeden nie wiedział już, co oznacza radość. Bo mówił najpierw: „Wioska”. A w tym słowie były i obyczaje, niezbędny rytuał, i stawiany opór. Rodziła się wioska żarliwa. A potem człowiek przestawał już rozumieć. I chciał znajdować radość nie w strukturze, która powstaje z wolna i staje się sobą, ale w budowaniu czegoś, co jest odłożonym na bok bogactwem, jak bywa z wierszem. Ale takie nadzieje są próżne.

Podobnie ci, którzy uznając wielkość człowieka zapragnęli dla niego wolności. Wiedzieli bowiem, że przymus jest przeszkodą dla człowieka silnego. Istotnie nieprzyjaciel, dzięki któremu budujesz siebie, zarazem jest dla ciebie ograniczeniem. Ale usuń nieprzyjaciela, a nawet nie potrafisz się narodzić.

Nie jeden uwierzył, że radość mogą dać nagromadzone bogactwa. A więc wiosną należy się rozkoszować. Ale mdła jest rozkosz wiosenna, jeśli staniesz się jak roślina, aby jej kosztować. Tak jak mdła jest rozkosz miłosna, jeśli oczekujesz, że twarz ukochanej napelni twoją pustkę. I tylko dzieło, które przynosi cierpienie, może ci coś dać; czy obudziłby w tobie echo śpiew galerników i wołanie tęsknoty, gdybyś wpierw nie przeżył tęsknoty tylu rozstań i własnego niewiadomego losu niby losu galernika.

Ten, kto długo i bez nadziei wiosłował ku wschodzącemu słońcu, odczuje śpiew galerników; i ten, co pragnął na piaszczystej pustyni, odczuje wołanie tęsknoty. Ale nic nie można ci dać, jeśliś nie cierpiał, bo nie ma w tobie nikogo.

I wioska też nie jest poematem, w którym po prostu możesz zamieszkać, kiedy cieszy cię ciepła wieczerza, ludzka życzliwość i miła woń wracającego bydła

i kiedy radujesz się ogniskiem zapalonym na placu w dniu święta — któż bowiem stworzy w tobie święto, jeśli nie ma ono w tobie od czego odbić się echem? Jeśli nie będzie wspomnieniem odzyskanej wolności, miłością wypierającą z serca nienawiść, cudowną odmianą w rozpaczliwym losie. Nie będziesz ani szczęśliwszy, ani nieszczęśliwszy niż którekolwiek z twoich bydłatek. Wioska budowała się w tobie powoli i żeby stała się tym, czym jest, wspinałeś się powoli na szczyt górski. A ja urabiałem cię poprzez obrzędy i obyczaje, przez wyrzeczenia i obowiązki, gniewy nie do uniknięcia i przebaczenia, przez te właśnie, a nie żadne inne tradycje. Wioska nie jest więc mglistym majakiem, o którym bezgłośnie śpiewasz wieczorami (nazbyt łatwo byłoby wtedy być człowiekiem), ale melodią, której uczyłeś się powoli i której się początkowo opierałeś.

Ty jednak wchodzisz do wioski wraz z jej obyczajem i ciesząc się nim, dopuszczasz się rabunku; obyczaje nie są bowiem rozrywką czy zabawą, a jeśli będziesz się nimi bawił, nikt już nie będzie w nie wierzył. I nic z nich nie zostanie. Ani dla mieszkańców wioski, ani dla ciebie. . .

## LXV

— Ja ustanawiam ład — powiadał mój ojciec. — Ale nie ów ład, który oznacza oszczędność i szukanie najprostszycy wyjść. Bo nie o to idzie, aby zyskać przewagę nad czasem. Cóż mi po tym, że ludzie staną się tłuściejsi, gdy zamiast świątyń będą budować spichrze, a zamiast instrumentów muzycznych będą konstruować akwedukty; gardzę ludzkością skąpą i pyszną, nawet jeśli jest zamożna, i przede wszystkim chcę wiedzieć, jaki będzie człowiek. Myślę o takim, który pozostaje długo zatopiony w straconym na pozór czasie świątyni, jakby wpatrywał się w Mleczną Drogę i biegł razem z nią gdzieś daleko, i wprawia swoje serce do miłości ćwicząc się w modlitwie, na którą nie ma odpowiedzi (gdyż odpowiedź — zapłata za modlitwę — uczyniłaby człowieka jeszcze bardziej skąpym), a poezja bez trudu budzi w nim echo.

Albowiem czas, który zaoszczędziłbym na budowie świątyni (a jest ona jak statek żeglujący wraz z nami po morzach) i na upiększaniu wiersza, który budzi echa w ludzkim sercu, nie powinien służyć do tuczenia, ale do uszlachetniania rodzaju ludzkiego. Będę zatem budował świątynie i tworzył poematy.

Wiem, że pogrzeb jest stratą czasu, ponieważ ludzie kopiący grób w ziemi, aby w niej pochować martwe ciało, mogliby przeznaczyć ten czas na orkę albo żniwo; a jednak zabronię palenia stosów, na których spala się trupy, bo cóż mnie obchodzi zyskany czas, jeśli zaginie cześć oddawana zmarłym. Gdyż nie znalazłem piękniejszej formy usłużenia zmarłemu niż grób, do którego bliscy zbliżają się powoli, wypatrując własnego grobowca pośród innych i wiedząc, że zmarły powrócił w ziemię jak obumierająca na zimę winorośl i stał się miazgą ziemi. A zarazem wiedząc, że coś z niego zostaje: relikwia pobożowiska, kształt ręki, która rozdawała pieśczęoty, czaszka, ta bezcenna szkatułka, pusta teraz oczywiście, lecz którą tyle cudownych rzeczy wypełniało.

I nakazałem — jeśli to możliwe — aby dla każdego zmarłego budowano (co jest jeszcze bardziej bezużyteczne i kosztowne) dom, aby w dni świąteczne można w nim było przywołać jego pamięć i zrozumieć, nie samym rozumem, ale każdym poruszeniem duszy i ciała, że umarli i żywi łączą się ze sobą i tworzą wspólnie wzrastające drzewo. Gdyż wszyscy mieli przed oczyma ten sam wiersz, to samo wygięcie drewnianego dziobu statku i tę samą kolumnę trwającą przez pokolenia,

tylko coraz piękniejszą i o czystszy kształcie: człowiek jest bowiem istotą skazaną na zagładę, jeśli patrzymy mu bezpośrednio w twarz jak krótkowidze, ale inaczej jest, gdy patrzymy na cień, który rzuca, i odbłask, jaki po nim zostaje. Jeśli bowiem zaoszczędzę czas utracony na grzebanie zmarłych i budowanie dla nich domów, i jeśli pragnę, aby posłużył on umocnieniu więzi pokoleń, aby dzięki niemu stworzenie wznosiło się prosto ku słońcu jak drzewo, jeśli uznam, że to wznwyż-wstępowanie jest godniejsze człowieka niż zaokrąglanie się brzucha, to ów czas zaoszczędzony, którym dysponuję, dobrze użyję na grzebanie zmarłych.

Ład, który ja ustanawiam — powiadał ojciec — jest ładem życia. Albowiem powiadam, że jest ład w drzewie, choć składa się z korzeni, pnia, gałęzi, liści i owoców, i że jest ład w człowieku, choć jest w nim umysł i serce; i człowiek nie ma być ograniczony do jednej funkcji jak do uprawy ziemi czy przedłużania gatunku, ale ma być tym, który zarazem orze i modli się, kocha i opiera się miłości, pracuje i wypoczywa, i słucha wieczornych piosenek.

Byli jednakże tacy, którzy twierdzili, że ład jest obecny w chwale cesarstwa. Zaś głupota logików, historyków i krytyków kazała im wierzyć, że z ładu cesarstwa rodzi się jego chwała, gdy ja tymczasem powiadam, że zarówno ład jak chwała cesarstwa są wyłącznie owocem żarliwości. Żeby stworzyć ład, stwarzam oblicze, które mam ukochać. Oni natomiast pojmują ład jako cel sam w sobie, i taki ład, kiedy dyskutuje się nad nim i doskonalą, staje się przede wszystkim oszczędnością i uproszczeniem. Usuwa się na bok to, co trudno wyrazić, a przecież nic naprawdę ważnego nie da się wyrazić; i nie znałem profesora, który potrafiłby mi po prostu powiedzieć, dlaczego kocham wiatr pustynny pod wygwieźdzonym niebem. Wszyscy się natomiast zgadzają w zakresie tego, co zwykłe, ponieważ język wyrażający rzeczy zwykłe jest łatwy. Można zatem powiedzieć, nie obawiając się niczyjego protestu, że trzy worki jęczmienia są więcej warte niż jeden worek. Choć mnie się zdaje, że więcej dam ludziom, jeśli każę im pić napój sprawiający, że noc szeroko rozpościera się przed tym, który idzie pustynią pod gwiazdami.

Ład jest znamieniem bytu, a nie jego przyczyną. Podobnie wewnętrzny plan poematu jest znakiem ukończonego dzieła i znamieniem doskonałości. Nie w myśl planu pracujesz, ale pracujesz po to, aby plan się spełnił. Są jednak tacy, którzy mówią swoim uczniom: spójrzcie na wielkie dzieło i na ład, który ono wyraża. Stwórzcie więc przede wszystkim ład, a wasze dzieło będzie wielkie; ale dzieło będzie wówczas bezdusznym szkieletem, muzealnym odpadkiem.

Ja buduję na miłości ojcowizny i wszystko wtedy układa się w ład: hierarchia rolników, pasterzy, żniwiarzy z ojcem na czele. Tak jak w ład układają się kamienie, kiedy nakażesz im, aby tworząc świątynię służyły chwale Boga. Ład wtedy narodzi się z gorącej miłości budowniczych.

Nie jękać się więc, kiedy mówisz. Jeśli narzucasz życie, budujesz ład, jeśli zaś narzucasz ład, narzucasz i śmierć. Ład dla ładu to karykatura życia.



## LXVI

Zajął mnie kiedyś problem smaku właściwego niektórym przedmiotom. W jednym obozowisku ludzie wyrabiali garnki, które były piękne. Zaś garnki, które pochodziły z innego obozowiska, były brzydkie. Pojąłem jasno, że nie można sformułować prawa regulującego piękno garnków. Nie pomogą tu wydatki na kształcenie w rzemiośle, konkursy ani przyznawane zaszczyty. Zauważyłem nawet, że ci, którzy żywili inną ambicję aniżeli jakość pracy, nawet jeśli całe noce trawili na robocie, wyrabiali przedmioty pretensjonalne, pospolite, niepotrzebnie skomplikowane. W istocie bowiem nie przespane noce służyły wartości handlowej, zbytkowi albo próżności, to znaczy samym ludziom; wyrobnicy nie przemieniali się wtedy w Boga ani w przedmiot, który się staje źródłem poświęcenia i obrazem Boga, gdyż stapiają się w nim westchnienia, bruzdy na czole i znużone powieki, i ręce drżące od trudu wyrabiania gliny, i wieczorne zadowolenie po pracy. Bo wiem, że tylko owocne działanie jest modlitwą, ale wiem także, że wszelkie działanie jest modlitwą, jeśli jest darem z siebie i stawaniem się.

Jesteś jak ptak, co buduje gniazdo, a gniazdo jest ciepłe, i jak pszczoła zbierająca miód i miód jest słodki, jak człowiek, który lepi urnę z miłości do urny, a zatem jest to miłość, a zatem — modlitwa. Czy wyobrażasz sobie poemat napisany na sprzedaż? Jeśli poemat jest przedmiotem handlu, przestaje być poematem. Jeżeli urna jest przedmiotem wykonanym na konkurs, nie jest już urną — obrazem Boga. Jest tylko obrazem twojej próżności albo niskich ambicji.



## LXVII

Przyszli inni, jeszcze głupszy, przedstawili swoje racje i argumenty, dowodzili. Ja jednak wiem, że język tylko oznacza, ale nie chwyta istoty rzeczy, a rozprawy pokazują bieg myśli, ale ani nie dowodzą słuszności, ani przeczą, toteż śmiałem się z nich.

Jeden z nich tak mi tłumaczył:

— Pewien generał nie słuchał moich rad. Ale przedstawiłem mu widoki na przyszłość. . .

Zdarza się oczywiście, że nieważkie jak wiatr słowa człowieka niosą ze sobą obrazy, do których przyszłość raczy się upodobnić; przy czym innego dnia te same słowa jak wiatr przyniosą obrazy przeciwne, gdyż człowiek może mówić wszystko. Jeśli jednak generał, który sprawił szyki, rozważył szansę swojej armii, zorientował się, jaki wiatr wieje, i wie, że wróg śpi i że niełatwo ludzi obudzić — jeśli więc ten człowiek zmieni plany, zajmie inną pozycję, wyśle wojsko w innym kierunku i poprowadzi bitwę w sposób nieoczekiwany, dlatego tylko, że pewien próżniak przez pięć minut zabawił się układaniem w sylogizmy słów, które są jak wiatr, ja takiego generała złożę z urzędu, zamknę w ciemnicy i nie zadbam nawet o to, aby go karmić.

Lubię natomiast, jeśli przyjdzie do mnie ktoś, kto mi przypomina piekarza wyrabiającego chleb i powie:

— Wyczuwam, że ci ludzie ustąpią, jeśli będziesz — wymagający. Ale rozuchwala się, jeśli poprzestaniesz na gromkich słowach. Mają bowiem wrażliwe ucho. Słyszałem, jak śpią, i nie podobał mi się ich sen. Widziałem także, jak się budzą i jak jedzą. . .

Lubię człowieka, który potrafi tańczyć i tańczy. Gdyż tylko w tym jest prawda. Gdyż, aby porwać kogoś, trzeba go objąć. I trzeba objąć, aby dokonać morderstwa. Opierasz ostrze o ostrze i stał tańczy ze stałą. Ale czyś widział, żeby ten, co walczy, przedstawiał swoje racje? Czy ma czas na przedstawienie racji? Albo rzeźbiarz. Spójrz, jak jego palce tańczą w glinie i jak wielki palec koryguje to, co odcisnął wskazujący. Pozornie jeden przeczy drugiemu, ale tylko pozornie, gdyż wyłącznie słowo oznacza rzecz, a poza słowami nie ma sprzeczności. Życie nie jest ani proste, ani złożone, ani ciemne, ani sprzeczne, ani jednorodne. Ono po

prostu jest. Dopiero język porządkuje albo komplikuje, rozjaśnia lub zaciemnia, różnicuje albo spaja. Jeśliś wykonał ruch w prawo i drugi ruch — w lewo, nie należy z tego wnioskować o istnieniu dwu przeciwnych prawd, ale jednej prawdy zrodzonej ze spotkania. Gdyż tylko taniec obejmuje całość życia.

Ci zaś, którzy występują z konsekwentnym rozumowaniem, a nie z bogactwem serca, i którzy, aby działać, racjonalnie dyskutują, przede wszystkim nigdy nie podejmą działania. Ktoś zręczniejszy od nich przeciwstawi ich sylogizmom mocniejsze argumenty, którym — po zastanowieniu — przeciwstawią z kolei argumenty jeszcze mocniejsze. W ten sposób zręczny adwokat zawsze znajdzie jeszcze zręczniejszego od siebie, i tak bez końca. Nie istnieją bowiem prawdy, których można by dowieść, chyba tylko takie, które dotyczą przeszłości, oczywiście, skoro zaistniały. Jeśli chcesz rozumowo wyjaśnić, dlaczego dane dzieło jest wielkie — uda ci się to. Bo już z góry wiesz, czego chcesz dowieść. Ale nie na tej płaszczyźnie jest miejsce tworzenia. Daj kamienie rachmistrzowi — on świątyni nie zbuduje.

A oto twoi zdolni inżynierowie dyskutują nad kolejnymi posunięciami, tak jakby to były szachy. Przyznam, rzecz jasna, że w końcu zrobią posunięcie słuszne; choć i tu mam wątpliwości, gdyż w szachach masz do czynienia z prostymi elementami, ale życiowe dylematy nie tak łatwo ocenić. Jeśli człowiek jest skąpy i próżny, a z jakiegoś powodu dochodzi do konfliktu pomiędzy tymi przywarami, czy da się wyliczyć, która weźmie górę?

Może zatem postąpi najśluszniej. Ale zapomni przy tym o życiu. Albowiem grając w szachy przeciwnik, zanim przestawi swój pionek, czeka, byś posunął twój. Wszystko się dzieje jak gdyby poza czasem, który nie jest w tym przypadku pokarmem wzrastającego drzewa. Gra w szachy jest jak gdyby wyrzucona poza obręb czasu. W życiu masz bowiem do czynienia z organizmem, który podlega przemianom. Z organizmem, a nie z następstwem przyczyn i skutków, choćbyś je nawet później, dla zadziwienia swoich uczniów, wyszukał. Bo zarówno przyczyna, jak skutek to tylko odbłaski innej władzy: opanowania twórczości. W życiu twój przeciwnik nie czeka. Zrobi już dwadzieścia ruchów, zanim ty zrobisz jeden. I wtedy obmyślane posunięcie okaże się absurdalne. Ale dlaczego on miałby czekać? Czyś widział, żeby tancerz czekał na coś, gdy tańczy? Jest związany ze swoim przeciwnikiem i w ten sposób ma nad nim władzę. Ci, którzy posługują się rozumowaniem, przyjdą z pewnością za późno. Dlatego do rządów w moim królestwie powołuję tych, których zachowanie w mojej obecności przypomina ruchy człowieka wyrabiającego ciasto, aż poczuje pod palcami jego gęstość.

Tacy ludzie wydają mi się trwali i niezmienni; innych życie zmusza, aby co chwila na nowo konstruowali swoje logiczne rozumowania.

## LXVIII

Olśniła mnie także inna prawda o człowieku: a mianowicie, że szczęście nic dla niego nie znaczy — i tak samo korzyść. Jedyna korzyść, która może być dla niego bodźcem, to nie zmieniać się i trwać. A więc dla bogatego — bogacić się, dla marynarza — żeglować, a dla włóczęgi-rabusia — czuwać nocą w zasadzce.

Widziałem natomiast, jak często ludzie gardzą szczęściem, jeśli jest ono tylko nieobecnością troski i poczuciem bezpieczeństwa. W pewnym ponurym mieście, które było jak kanał ściekowy wylewający się w morze, mój ojciec przejął się kiedyś dolą prostytutek. Była jakaś zgnilizna w ich tłustych białawych ciałach i one same były zgnilizną dla podróżnych. Wysłał więc żołnierzy, aby pochwycili kilka z nich, tak jak łapie się insekty, aby obserwować ich obyczaje. Patrol przechadzał się pomiędzy wilgotnymi murami dotkniętego zgnilizną miasta. Czasem w jakiejś obskurnej norze, skąd płynął zjełczały i kleisty kuchenny zaduch, żołnierze widzieli pod lampą, która była jak godło, siedzącą na taborecie i czekającą dziewczynę, bladą i smutną jak latarnia na deszczu; jej ciężka twarz była maską zwierzęcą, naznaczona uśmiechem niby raną. Zwyczajem tych kobiet było nucić jakąś monotonną melodię, aby przyciągnąć uwagę przechodniów na podobieństwo bezkształtnych meduz, które wydzielając z siebie kleistą maź same stają się pułapką. Wzdłuż uliczki niosły się więc te rozpaczliwe zawodzenia. Gdy mężczyzna został złowiony, drzwi zamykały się za nim na parę chwil i wśród gorzkiej nędzy izdebki spełniał się akt miłosny; cichło na chwilę zawodzenie, a zamiast niego było słyhać teraz urywany oddech białej monstrialnej istoty i ciężkie milczenie żołnierza, który kupował od tej zjawy prawo do tego, aby przestać myśleć o miłości. Przychodził tu zdławić swoje okrutne sny, gdyż pochodził może z ziemi palm i uśmiechniętych dziewcząt. W ciągu dalekich wypraw wojennych obraz palmowych gajów rozrósł się powoli w jego sercu jak ciężąca nieznośnie korona wielkiego drzewa. Głos strumienia stał się z czasem okrutną melodią, a uśmiechy dziewcząt, ich ciepłe piersi pod osłoną odzienia, odgadywane kształty ciała, wdzięk ruchów, wszystko to coraz dotkliwiej paliło mu serce. Dlatego poświęcał swój nędzny żołd, aby tu, w dzielnicy taniej miłości, wyzwolić się od marzeń. A kiedy drzwi otwierały się z powrotem, stawał na ulicy znów zamknięty w so-

bie, twardy i wzgardliwy: oto udało mu się na parę godzin przygasić barwy wizji, która była jedynym jego skarbem, a której blasku nie potrafił już znieść.

Wreszcie żołnierze wrócili wiodąc ze sobą owe ośmiornice, oślepięne ostrym światłem wojskowego posterunku. Ojciec wskazał na nie.

— Nauczę cię teraz — powiedział mi — co kieruje naszym postępowaniem.

Kazał im dać nową odzież i każdą umieścić w chłodnym domu ozdobionym fontanną oraz dał im zajęcie — delikatny koronkowy haft. I kazał wypłacać sumę pieniędzy dwukrotnie większą, niż zarabiali dawniej. Po czym zalecił, by ich nie strzeżono.

— Z pewnością są teraz szczęśliwe — powiedział. — Zamiast w cuchnących kałużach, jakie zostawia przypyływ morza, żyją teraz czyste, w spokoju i bezpieczeństwie...

Tymczasem jedna po drugiej znikają — wracają do kloaki, skąd je wyrwano.

Tęskniły za własną nędzą — tłumaczył mi ojciec. — Nie przez głupie upodobanie do nędzy, stawianej wyżej od szczęścia, ale dlatego, że człowiek przede wszystkim dąży do tego, aby być intensywniej sobą. Bywa tak, że pozłacany dom, koronki i świeże owoce są odmianą, rozrywką i zabawą. Ale te kobiety nie potrafiły zbudować z nich własnego życia i nudziły się. Powolna jest bowiem nauka życia w świetle i czystości oraz nauka wyrabiania koronek, jeżeli ma być nie tylko rozkosznym widowiskiem, a zmieniać się w wielorakie więzi, obowiązki i wymagania. One tu otrzymywały, ale nic nie dawały. Żałowały więc ciężkich godzin oczekiwania, nie dlatego że były gorzkie, ale mimo że były gorzkie, oczekiwania ze wzrokiem utkwionym w czarny prostokąt otwartych drzwi, aż pojawi się w nich zacięty i pełen nienawiści mężczyzna, który był podarkiem nocy. Żałowały lekkiego zawrotu głowy, który je wypełniał jak mętna trucizna, kiedy popchnąwszy drzwi żołnierz patrzył na nie tak, jak się patrzy na zwierzę wybrane na rzeź, z oczyma utkwionymi w gardle... Bo zdarzało się, że któryś sztyletem przeszywał jedną z nich jak bukłak, by pod cegłą czy dachówką odkryć kilka monet — ich majątek.

Może żałowały jakiejś brudnej nory, gdzie się spotykały we własnym gronie w porze, gdy zgodnie z nakazem władz dzielnica zostaje zamknięta i kiedy, popijając herbatę albo obliczając zarobek, obrzucały się wyzwiskami albo wróżyły sobie wzajemnie przyszłość odczytując linie rozpustnych dłoni. Może przepowiadano im takie właśnie piękne domy oplecione kwitnącym pnączem, gdzie mieszkały godniejsze od nich kobiety. Dom zbudowany w marzeniu był cudowny, albowiem mieścił w sobie nie je prawdziwe, ale — przemienione. Tak jest i z podróżą, która ma nas odmienić. Ale jeśli cię zamknę w pałacu, będziesz nadal sobą i będziesz włókł za sobą dawne pragnienia i stare urazy, stare niechęci; będziesz i tutaj kulał, jeśli kulałeś przedtem, bo nie istnieje magiczna formuła, która by cię mogła przemienić. Tylko powoli, poprzez przymus i cierpienie, mogę zmuszać cię, abys się przemieniał i stawał kimś. Ale nie została przemieniona ta, która

znalazłszy się w prostym i czystym wnętrzu ziewa, a choć już nie grożą jej razy, bez powodu chowa głowę w ramionach, kiedy ktoś puka do drzwi, i również bez powodu spodziewa się, gdy dalej słyszczyć pukanie, bo noc nie zsyła jej już żadnych darów. Nie zaznając znużenia cuchnących nocy, nie odczuwają rozkosznego wyzwolenia, które przynosi świt. Ich los może być teraz całkiem przyjemny, ale nie mają już przed sobą niewiadomego losu na każdy wieczór, co pozwalało im przeżywać w przyszłości życie cudowniejsze od wszelkiego życia realnego. I nie wiedzą już teraz, co robić z nagłymi napadami złości, owocem życia odrażającego i niezdrowego, które powracają wbrew ich woli, tak jak wyciągnięte na brzeg morskie stworzenia długo jeszcze, w porze przyływu, poruszają się i otwierają regularnym skurczem. Kiedy napada je taka złość, nie ma już niesprawiedliwości, przeciw której można by ją wykrzywić, i te kobiety stają się nagle podobne do matki zmarłego dziecka, czującej w piersiach wzbierające mleko, które nikomu już nie jest potrzebne.

Albowiem powiadam ci, że człowiek nie szczęścia szuka, ale siebie takiego, który jest najbardziej sobą.

## LXIX

Wracam jeszcze do kwestii czasu zaoszczędzonego i zapytuje: w imię czego ma być oszczędzany? Ktoś mi odpowie: w imię kultury. Jak gdyby kultura mogła być oderwanym od reszty życia ćwiczeniem. Oto kobieta, która karmi dzieci, sprząta dom, szyje bieliznę, zostaje wyzwolona od tych obowiązków i teraz, bez żadnego udziału z jej strony, dzieci są nakarmione, dom — wyświeżony i bielizna uszyta. Czas w ten sposób zyskany trzeba teraz czymś wypełnić. Każę jej więc słuchać kołysanki śpiewanej przy karmieniu i karmienie staje się piosenką i poezją domu, tak że cały dom zbiega się w sercu. Ale ona słuchając tej piosenki ziewa, bo nie miała w niej swojego udziału. I podobnie jak góry są dla ciebie doświadczeniem cierni, osypujących się kamieni i wiatru na górskim grzbiecie — i nic nie mogę ci dać wypowiadając słowo „góry”, jeżeliś nigdy nie opuszczał łóżka, tak i jej nie powiem nic, mówiąc o domu, bo ten dom nie powstał z jej czasu ani z jej żarliwości. Nie cieszyła się wirującym w słońcu kurzem, kiedy o świcie otwiera się drzwi, aby wymieść pył, unoszący się z przedmiotów ścieranych przez czas, nie rozciągała swej władzy nad nieładem, który niesie życie, kiedy z nadejściem wieczoru widać na podłodze ślady ukochanych kroków i miseczki na tacy, i wygaszony żar w palenisku, a nawet brudne dziecinne pieluszki, ponieważ życie jest pokorne i cudowne. Nie wstawiała ze słońcem, żeby codziennie odbudować dla siebie nowy dom, tak jak ptaki, które widzisz na drzewie, gdy dzióbkiem zręcznie wygładzają lśniące pióra; nie ustawiała na nowo przedmiotów, dążąc do nietrwałej doskonałości po to, aby znów całodzienne życie, posiłki, karmienie dzieci i dziecinne zabawy, i powrót mężczyzny pozostawiły tu ślad jak odcisk na wosku. Nie wie, że dom jest o świcie jak podatna glina, a wieczorem staje się książką zapisanych wspomnień. Nigdy nie przygotowywała białej stronicy. Mówiąc „dom”, co jej możesz powiedzieć, aby miało to dla niej jakiś sens?

Jeśli chcesz ją stworzyć żywą, zajmiesz ją polerowaniem jakiegoś dzbanka na wodę z pociemniałej miedzi, aby coś z niej lśniło przez cały dzień w półmroku i żeby z kobiety stworzyć piosenkę, wymyślisz po trochu dla niej dom, który na nowo trzeba zbudować o świcie. . .

W przeciwnym razie czas zaoszczędzony nie będzie miał żadnego sensu.

Szalony, kto chciałby oddzielić kulturę od pracy. Gdyż człowiekowi obrzydnie najpierw praca, która będzie obumarłą częścią jego życia, a potem kultura, która będzie już tylko grą bez stawek, jak głupio rzucane kości, jeśli nie wyobrażają już majątku ani ludzkich nadziei. Bo gra w kości jest w istocie grą o stada i pastwiska albo o złoto. Nie inaczej jest z dzieckiem, gdy stawia babki z piasku. To już nie usypany wzgórek ziemi, ale forteca, góra albo statek.

Widziałem oczywiście ludzi, którzy z przyjemnością odpoczywają. Widziałem poetę śpiącego pod palmami. Widziałem wojownika, jak pił herbatę z kurtyzanami. Cieśle, jak siedząc na przyzbie cieszył się słodyczą wieczoru. Widać było oczywiście, jak pełni są radości. Ale powiadam ci: dlatego właśnie, że byli zmęczeni. Wojownik słuchał śpiewów i patrzył na tańczące kobiety. Poeta marzył, wyciągnięty na trawie. Cieśla oddychał wonią wieczoru. Ale stali się sobą gdzie indziej. Istotną część życia każdego z nich stanowiła część poświęcona na pracę. Bo to, co jest prawdą, gdy myślę o architekcie, który przeżywa uniesienie i osiąga własną pełnię wtedy, gdy czuwa nad wznoszącą się świątynią, a nie gdy dla odpoczynku gra w kości, jest prawdą również w stosunku do wszystkich ludzi. Czas zaoszczędzony na pracy, jeśli nie jest po prostu wychnieniem, odprężeniem mięśni po wysiłku lub snem umysłu po trudzie wynalazczym, jest czasem martwym. Życie dzieli się wtedy na dwie części, a obie budzą protest: praca, która jest tylko odrabianą pańszczyzną i gdzie nieobecny jest dar z samego siebie, i wypoczynek, który jest tylko nieobecnością.

Po trzykroć szaleni ci, którzy odbierają złotnikom ich religię — złotnictwo i dają w zamian zawód nie będący już pokarmem serc, mniemając, że podnieśli ich do godności człowieka; przy czym dostarczają im wyrobów złotniczych produkowanych gdzieś daleko, tak jakby można było odziać się w cudzą kulturę, niby w cudzy płaszcz. Jakby można było dzielić ludzi na złotników i producentów kultury.

Ja sądzę, że dla złotników jest tylko jedna forma kultury, a mianowicie kultura złotników. I że może ona być tylko doskonałością ich pracy, wyrazem trosk, cierpień, lęków, wielkości i nędzy ich pracy.

Bo tylko ta część życia może być istotna i potrafi karmić sobą prawdziwe poematy, która obejmuje ludzki głód i pragnienie, chleb i dzieci, i sprawiedliwość wymierzoną albo odmówioną. W przeciwnym razie będzie tylko grą i karykaturą życia, i karykaturą kultury.

Albowiem człowiek staje się tylko wtedy, gdy napotyka opór. A skoro odpoczynek nie wymaga od ciebie nic i czas wolny mógłbyś równie dobrze poświęcić na spanie pod drzewem albo w łożu łatwej miłości, skoro nie nęka cię żadna niesprawiedliwość i nie gnębi żadne zagrożenie, musisz — żeby istnieć — wymyślić nową pracę.

Ale nie daj się zwieść: zabawa niewiele jest warta, ponieważ nie ma sankcji, zmuszającej cię, abyś istniał jako uczestnik tej właśnie zabawy. Nie mam więc

zamiaru utożsamiać człowieka, który kładzie się po południu w swojej izbie, nawet pustej, tylko osłoniętej przed światłem dla odpoczynku oczu, z człowiekiem, którego skazałem i zamurowałem do śmierci w celi, choć obie izby mają tę samą powierzchnię, choć obie są tak samo puste i w obu panuje taki sam półmrok. Pierwszy może nawet na dodatek udawać, że jest dożywotnim skazańcem. Idź i spytaj ich pierwszego wieczoru. Pierwszy będzie się śmiał z tak niecodziennej zabawy, ale drugi zdążył przez ten jeden dzień osiwieć. I nie będzie umiał opowiedzieć, co w ciągu tego dnia przeżył, tak jak człowiek, co wspiąwszy się na szczyt i z górskiego grzbietu ujrawszy nie znany sobie świat, którego klimat odmienił go nieodwracalnie, nie potrafi przekazać swoich przeżyć.

Tylko dzieci potrafią zatknąć kij w piasku, uznać, że jest królową i obdarzyć go miłością. Ale gdybym ja chciał podobnie podnieść ludzi i wzbogacić ich uczucia, musiałbym z tego kija uczynić bożka, narzucić ludziom jego kult i skłonić ich do składania mu ofiar, co zmusiłoby ich do wyrzeczeń.

Wtedy zabawa przestałaby być zabawą. Kij zacząłby owocować. Człowiek stałby się pieśnią miłości albo lęku. Tak jak ta izba, gdy z pomieszczenia na ciepłe popołudnie zmieni się na celę przeznaczoną na resztę życia, zmieni człowieka w nie znane jemu samemu widmo i przepali jego włos u samego korzenia.

Praca zmusza człowieka, aby poślubiał świat. Oracz napotyka przed sobą kamienie, lęka się opadów albo ich pragnie, nawiązuje w ten sposób różnorakie związki, rozszerza się i napełnia światłem. Każdy z jego kroków budzi echa. Podobnie modlitwa i przepisy kultu religijnego zmuszają go, aby obierał określoną drogę, aby był wierny lub oszukiwał, aby kosztował po Łoju serca albo wyrzutow sumienia. Tak też pałac mojego ojca, który zmusza ludzi, aby byli sobą, a nie nieskładnym stadem bydła, którego kroki nie posiadają żadnego sensu.



## LXX

Tancerka, którą pochwyliła policja mojego cesarstwa, była przede wszystkim piękna. Było w niej piękno i jakaś tajemnicza obecność. Wydało mi się, że jeśli ją poznam, poznam zarazem nieznaną krainę, ciche równiny, górskie noce i wędrówki przez pustynię wśród potężnego wiatru.

Ona naprawdę jest, powiadałem sobie. Wiedziałem jednak, że ma nietutejsze obyczaje i że pracuje dla wrogich mi interesów. Kiedy jednak próbowano przełamać jej milczenie, moi słudzy nie zdołali wydobyć z tej nieprzeniknionej, dziecinnie naiwnej istoty nic poza melancholijnym uśmiechem.

Wielbię w człowieku najmocniej to, co opiera się próbie ogniowej. Tandeto ludzka, upojona próżnością i nie wykraczająca poza próżność, patrzysz na siebie miłośnie, jak gdyby mieszkał w tobie ktoś prawdziwy. Ale wystarczy kat i trochę rozżarzonych węgli, żebyś wydała wszystko ze swoich trzewi, bo nie ma w tobie nic, co by było hartowne. Pewien bogaty minister, obrzydły mi przez swoją ograniczoną pychę, a ponadto spiskujący przeciw mnie, nie potrafił oprzeć się pogrożkom, wydał swoich sprzymierzeńców, a oblany potem ze strachu wyznał szczegóły spisku, miłości i opinie, wyłożył przede mną swoje bebechy; są tacy ludzie, którzy za fałszywym murem obronnym nie kryją w takich przypadkach już niczego. Kiedy więc opluł już swoich popleczników i odrzekł się ich, spytałem:

— Gdzie twoja siła? Co ma znaczyć ten brzuch potężny, zadarta głowa i dostojnie zaciśnięte usta? Po co ta forteca, jeżeli wewnątrz niej nie ma nic, czego warto by było bronić? Człowiek to ktoś, kto nosi w sobie coś większego niż on sam. Ty zaś chciałbyś ocalić, jako coś najważniejszego, twoje zwiotczone ciało, chwiejące się zęby, ciężki brzuch i sprzedajesz mi to, czemu twoje ciało miało służyć, to, w co rzekomo wierzyłeś! Jesteś jak bukłak, pusty, gdzie nie ma nic poza słowami lekkimi jak plewy i wulgarnymi. . .

Kiedy kat łamał mu kości, obrzydzenie brało patrzeć na niego i słuchać.

Tancerka natomiast, kiedy jej groziłem, wykonała przede mną głęboki ukłon:

— Żałuję, Wasza Wysokość. . .

Patrzyłem na nią bez słowa, aż się złękła. Pobladała, kłaniała się jeszcze niżej:

— Żałuję, Wasza Wysokość. . .

Gdyż myślała, że będzie musiała cierpieć.

— Uprzytomnij sobie — rzekłem — że jestem panem twojego życia.

— Oddaję należną cześć waszej władzy, Panie. . .

Posiadając pewne tajemne posłanie i wiedząc, że przez wierność przyjdzie jej może umrzeć, była bardzo poważna.

A moim oczom wydała się jak drogocenna szkatułka kryjąca diament. Ale cesarstwo narzucało mi określone obowiązki.

— Twoim postępowaniem zasłużyłaś na śmierć.

— Ach, Wasza Wysokość. . . (była bledsza niż w noc miłosną). . . Z pewnością będzie to sprawiedliwe. . .

Znając ludzkie myśli, zrozumiałem, czego nie potrafiła wyrazić: „Sprawiedliwe jest nie to może, żebym umarła, ale to, żebym uratowała raczej tajemnicę, którą znam, niż siebie samą. . .”

— Czyżby więc było w tobie — spytałem — coś ważniejszego od twojego młodego ciała i oczu pełnych światła? Wydaje ci się, że bronisz czegoś obcego w tobie, a przecież, kiedy umrzesz, nie będzie w tobie nic. . .

Zmieszła się, ponieważ zabrakło jej słów, żeby mi odpowiedzieć, ale to zmieszanie nie sięgnęło głębi.

— Może jest tak istotnie, Wasza Wysokość. . .

A ja czułem, że przyznaje mi rację wyłącznie na płaszczyźnie słów, na której jest bezbronna.

— A więc poddajesz się.

— Wybaczcie mi, Panie, poddaję się, ale nic więcej nie powiem. . .

Gardzę tym, kogo zniewoliły argumenty, ponieważ słowa powinny wyrażać coś, a nie kierować ludźmi. Słowa oznaczają, ale nie zawierają w sobie nic. Ale jej duszy nie potrafiłyby otworzyć wiatr próżnych słów.

— Nic więcej nie powiem, Wasza Wysokość, ale poddaję się. . .

Szanuję natomiast człowieka, który niezależnie od słów, a nawet kiedy słowa przeczą sobie wzajemnie, trwa niezmienny, jak rufa statku, wbrew szaleństwu morza w nieodgadniony sposób powracająca wciąż pod tę samą gwiazdę. Wiem wtedy, dokąd idę. Ale ci, którzy się zamykają w swojej logice, biegną za własnymi słowami i jak gąsienice kręcą się w kółko.

Utkwiłem w niej oczy na długą chwilę:

— Kto cię tak ukształtował? Skąd się wzięłaś? — spytałem.

Uśmiechnęła się bez słowa.

— Czy chcesz zatańczyć?

Wtedy zaczęła tańczyć.

\* \* \*

Był to cudowny taniec, co mnie wcale nie zdziwiło, ponieważ ktoś w niej był obecny.

Czyś wpatrywał się kiedyś w rzekę widzianą ze szczytu gór? Tu napotkała skałę i nie ruszywszy jej, okrążyła jej zarys. Zakręciła dalej, aby wykorzystać wygodny stok. Na równinie zwolniła biegu wijąc się w meandrach, jakby osłabły jej siły, które ją pędzą ku morzu. Gdzie indziej usnęła rozlewając się w jezioro. A potem rzuciła się przed siebie, jak prosta gałąź, kładąc na równinie niby lśniący miecz.

Tak samo lubię, kiedy czuję w tancerce linie napięć. Kiedy jej gesty to krzepną, to biegną swobodnie. Kiedy uśmiech, tak łatwy przed chwilą, z trudem teraz utrzymuje się jak płomień na silnym wietrze, a tancerka raz posuwa się lekko jak po niewidzialnej pochyłości, kiedy indziej zwalnia kroku, który staje się tak trudny, jakby się musiała wspinać do góry. Lubię, kiedy nagle napotyka przed sobą jakby mur. Albo kiedy pokonuje przeszkodę. Albo umiera. Lubię, kiedy jest jak krajobraz, który się układa wokół niej i kiedy są w niej myśli: jedne dozwolone, a inne wzbronione. Spojrzenia możliwe i niemożliwe. Opór, zgoda i odmowa. Nie chcę, żeby była wciąż taka sama, cała o jednej naturze, jak zakrzepła w lód woda. Ale żeby była strukturą ukierunkowaną, jak żywe drzewo, które nie ma pełnej swobody wzrostu, ale pnie się ku górze, różnorakie, a posłuszne zapisowi zawartemu niegdyś w nasieniu.

Bo taniec to los człowieczy i droga przez życie. Ale żeby mnie wzruszyła twoja droga, chcę, abyś budował na czymś i ku czemuś zdążał. Bo wtedy tańczysz, kiedy chcesz przejść na drugi brzeg strumienia, a strumień ci się opiera. Wtedy tańczysz, kiedy chcesz biec za twoją miłością, a rywal ci się sprzeciwia. I tańczą szable, kiedy chcesz zadać śmierć. I tańczy żaglowiec pod powiewającym proporcem, kiedy dążąc do portu, aby wejść do niego, musi manewrować i chwytać niewidoczne poruszenia wiatru.

Żeby tańczyć, musisz mieć wroga; ale jaki wróg zaszczyci cię tańcem swojej szabli, jeżeli nikt w tobie nie mieszka?

\* \* \*

Tymczasem tancerka ujęła twarz w obie dłonie i odczułem patos w tej twarzy. Zobaczyłem tragiczną maskę. Istnieją bowiem twarze naznaczone fałszywą udręką, widywane w pompatycznym przepychu plemion osiadłych — ale są to tylko rzeźbione wieka pustych szkatulek. Gdyż nie ma w nich nic i ofiarować też nie mają czego. W tej tancerce natomiast rozpoznałem depozytariuszkę jakiegoś dziedzictwa. Było w niej jądro twarde, gotowe stawić opór nawet katowi, gdyż nawet ciężar młyńskiego kamienia nie wytloczyłby z niego tajemnicy — oliwy. Było w niej zobowiązanie, dla którego człowiek gotów jest ponieść śmierć, i które sprawia, że człowiek potrafi tańczyć. Gdyż z rasy ludzkiej jest tylko ten, którego śpiew uczynił pięknym, albo poezja, albo modlitwa, i który ma w sobie jakiś we-

wewnętrzny kościel. Jego spojrzenie kładzie się na tobie, jasne, gdyż jest człowiekiem, w którym ktoś zamieszkuje. I jeżeli odciśniesz w wosku jego twarz, stanie się twardą maską ludzkiego królestwa. Wiesz także, że jest on poddany władzy i podejmie taniec w obliczu nieprzyjaciela. Ale co można powiedzieć o tancerce, jeżeli jest tylko pustą ziemią? Nie istnieje coś takiego jak taniec plemion osiadłych. Ale tam, gdzie ziemia jest skąpa, gdzie pług zgrzyta o kamienie, a nazbyt upalne lato wypala zbiory, gdzie człowiek musi stawić opór barbarzyńcom i gdzie barbarzyńca wytraci ludzi słabych, tam rodzi się taniec: albowiem każdy krok ma tu swój sens. Gdyż taniec jest walką z aniołem. Taniec jest walką i zauroczeniem, mordem i skruchą. Ale czy potrafi tańczyć syte stado bydła?

## LXXI

Zabroniłem kupcom nadto zachwalać ich towary. Ponieważ niebawem zmieniają się w nauczycieli i uczą, że jest celem to, co ze swej natury jest tylko środkiem; pokazując w ten sposób oszukańczą drogę, upodlają człowieka, a chcąc mu sprzedać pospolitą melodię, czynią wszystko, aby jego dusza stała się pospolita. Dobrze bowiem, kiedy przedmioty wytwarza się, aby służyły ludziom, ale potworne — kiedy ludzi tworzy się, aby byli jak kosze na śmiecie, gotowe na przyjęcie przedmiotów.

## LXXII

Ojciec tak mi powiadał:

— Trzeba tworzyć. Jeśli masz moc tworzenia, nie zajmuj się organizowaniem. Pojawi się wnet sto tysięcy sług, którzy będą służyć twojej pracy twórczej i wgryzą się w nią jak robaki w mięso. Jeśli ustanawiasz religię, nie zajmuj się dogmatami. Pojawi się sto tysięcy komentatorów, którzy zajmą się ich formułowaniem. Tworzyć to znaczy tworzyć byt, a wszelkie tworzenie jest niewyrażalne. Jeśli pewnego wieczoru przybędę do dzielnicy miasta, która jest jak ściekający w morze kanał nieczystości, nie do mnie będzie należeć obmyślanie sieci kanalizacji, odpływów dla nieczystości i miejskich śmietnisk. Ja przynoszę miłość do czystych jak lustro progów i wokół mnie pojawiają się czyściciele trotuarów, zarządzenia policyjne i służba oczyszczania miasta. Nie próbuj także wyobrazać sobie, dzięki magicznej sile twoich zarządzeń, świata, gdzie praca zamiast ogłupiać człowieka, każe mu wzrastać w człowieczeństwie, gdzie kultura będzie się rodzić z pracy, a nie z czasu wolnego. Nie przewycięzysz ciężaru materii. Ale ciężar materii trzeba właśnie przemienić. A takie działanie to właśnie poezja albo glina w rękach rzeźbiarza, albo pieśń. I jeśli z mocą śpiewasz pieśń szlachetnej pracy, która jest sensem egzystencji, wbrew pieśniom rozrywki, które z pracy czynią tylko powinność, a ludzkie życie dzielą na niewolniczą pracę i pustą rozrywkę — nie przejmuj się racjami, logiką i szczegółowymi regułami. Pojawiają się komentatorzy wyjaśniający, dlaczego stworzona przez ciebie twarz jest piękna i jak trzeba budować dzieło. Wskażą pewien kierunek i będą umieli dowieść argumentacją, że jest to kierunek jedyny. Zaś obrona droga sprawi, że reguły doprowadzą do twego spełnienia i sprawdzi się twoja prawda.

Ponieważ liczy się tylko obrona droga i kierunek, i skłonność ku czemuś. I tylko to jest potęgą, równą potędze przyływu morskiego, co powoli i obywając się bez logicznych rozumowań kruszy tamy i rozszerza panowanie morza. Powiadam ci: wypełnia się każdy obraz, który ma w sobie moc. Nie zajmuj się wyliczeniami, tekstami praw i przewidywaniami. Nie przewiduj przyszłego miasta, albowiem miasto, które się narodzi, nie będzie podobne do twoich przewidywań. Obudź miłość do wież, które się będą wznosić ponad piaskami. A niewolnicy niewolników twoich budowniczych znajdą bez trudu sposoby przewożenia kamieni. Tak

jak woda, ponieważ musi spływać w dół, znajduje sposób, aby zmylić czujność obmurowanej cysterny.

— Dlatego też — tłumaczył mi ojciec — dzieło tworzenia jest niewidoczne, podobnie jak miłość, która różnorodność elementów przemienia w ojcowiznę. Jałowy to trud — olśnić słuchaczy albo ich przekonać dowodzeniem. Bo w zadziwieniu bronisz się temu, co cię zadziwia, a wszelkim dowodom przeciwstawiasz dowód jeszcze lepszy. A jak możesz dowieść istnienia ojcowizny? Jeśli jej dotkniesz, aby o niej mówić, staje się zbiorem elementów. Jeśli chcąc zrozumieć mrok i ciszę świątyni, rozłóżysz ją na pojedyncze kamienie, na nic się zda twój trud, gdyż ledwieś jej dotknął, już się stała bezładną kupą kamieni i przestała być ciszą.

Ale wezmę cię za rękę i pójdziemy razem. I wędrując tak bez określonego celu, wejdziemy na grzbiet wzgórza. Tam zacznę opowiadać ci swobodnym tonem i będę mówił rzeczy oczywiste, które — zdawało ci się — są ci od dawna wiadome. Albowiem bywa tak, że wybrane przeze mnie wzgórza, na które weszliśmy, buduje określony ład. Potężny obraz nie jawi się wtedy jako obraz. Po prostu jest. A dokładniej mówiąc — ty wchodzisz w ten ład. Czy byłbyś zdolny z nim walczyć? Jeśli osiedlę cię w jakimś domu, po prostu zamieszkujeś ów dom, z jego okien oceniasz inne widoki. Jeśli umiesz cię w takim miejscu, skąd kobieta wydaje się najpiękniejsza i budzi w tobie miłość, będziesz po prostu miłość przeżywał. Czy potrafiłbyś odrzucić wtedy miłość w imię przypadku, która umieściła cię tu właśnie, a nie gdzie indziej? Gdzieś przecież musisz być! Moje dzieło twórcze jest tylko wyborem dnia i godziny, co nie podlega dyskusji, bo po prostu jest takie, jakie jest. I drwisz tu sobie z przypadkowości. Czyś słyszał kiedy, aby człowiek spętany uczuciem uciekał od niego, twierdząc, że spotkanie tej rozpaczliwie kochanej kobiety było czystym przypadkiem, że ona mogła być umrzeć, albo się w ogóle nie narodzić, albo znajdować się gdzieś daleko? Stworzyłem twoją miłość wybierając dzień i godzinę, i czy się orientujesz w moim działaniu, czy nie — nie obronisz mi się, jesteś moim więźniem.

Jeżeli chcę, żebyś stał się jak góral wędrujący nocą ku rozgwieżdżonym szczytom, stawiam przed tobą obraz, który cię przekona, że tylko gwiazdne mleko na szczycie napoi twoje pragnienie. Będę dla ciebie tylko niby przypadek, który ukazał ci w tobie samym ową potrzebę, ponieważ potrzeba jest twoja własna, podobnie jak wzruszenie, którym odpowiadasz na przeczytany wiersz. I czy orientujesz się w moim działaniu, czy nie — czy mogłoby ci to przeszkodzić w wędrowce? Czy gdybyś otworzył drzwi i zobaczył lśniący w mroku diament, mniej byś go pragnął dlatego, żeś go ujrzał dzięki otwartym drzwiom — a te drzwi mogły być prowadzić gdzie indziej?

Jeśli ułożę cię w łożu i dam napój nasenny, i napój jest prawdą, i twój sen. Tworzyć to stawiać innych w takim miejscu, skąd ujrzą świat tak, jak chce twórca, a nie ofiarowywać im świat nowy.

Jeśli wymyślę nowy świat, a ciebie zostawię na dawnym miejscu, nie zobaczysz go, choćbym ci go pokazywał. I masz rację. Bo z twojego punktu widzenia jest on fałszywy i słusznie bronisz twojej własnej prawdy. Toteż nie osiągnę wiele, jeśli moje dzieło będzie barwne, olśniewające i paradoksalne, gdyż barwne, olśniewające i paradoksalne jest tylko to, co oglądane z określonego punktu widzenia było zarazem przewidziane do oglądania z innego punktu. Będiesz mnie wtedy podziwiał, ale nie będzie to tworzenie, a ja będę żonglerem, sztukmistrzem i fałszywym poetą.

Jeśli jednak krocząc moją drogą, która nie jest ani prawdziwa, ani fałszywa (nie ma tu nic, czemu mógłbyś przeczyć, ta droga po prostu jest), zaprowadzę cię tam, skąd zobaczysz jakąś nową prawdę, nie uznasz mnie za twórcę i nie będę dla ciebie ani barwny, ani olśniewający, ani paradoksalny; moje kroki na tej drodze były takie zwykłe i tak po prostu biegły jeden za drugim, że nie sposób mnie winić za to, iż widziana równina rośnie w twoim sercu, albo że kobieta wydaje się piękniejsza, ponieważ istotnie z tego miejsca bardziej wzruszający jest obraz kobiety i szersza się wydaje równina. To moje dzieło odniosło zwycięstwo, a zarazem nie zapisało się ani w śladach widocznych, ani w echach, ani w znakach, a skoro ich nie widzisz, nie możesz ze mną walczyć. Wtedy dopiero jestem twórcą i prawdziwym poetą. Albowiem twórcą i poetą jest nie ten, kto coś wymyśla albo czegoś dowodzi, ale ten, dzięki któremu człowiek się staje.

W dziele tworzenia zawsze chodzi o sprzeczności ogarnięte w jedność. Nic bowiem nie jest jasne albo ciemne, ani bezładne albo uładzone, ani proste lub złożone w oderwaniu od człowieka. Wszystko po prostu jest. A kiedy chcesz jakoś się w tym rozeznaczyć przy pomocy twojego nieporadnego języka i obmyślić, co masz działać w przyszłości, cokolwiek ujmiesz w słowa, wyda ci się sprzeczne. Wtedy ja się zjawiam i moja władza, która nie polega na dowodzeniu czegokolwiek przy pomocy języka, ponieważ sprzeczności szarpiące człowiekiem są nie do pogodzenia. Nie przychodzę też, aby wykazać fałsz języka, ponieważ nie jest on fałszywy, a po prostu niedogodny. Przychodzę natomiast poprowadzić cię na wędrowną, gdzie kroki biegną po prostu jeden za drugim, sięść z tobą na wzgórze, skąd ujrzysz rozwiązanie przeciwieństw i gdzie sam dla siebie ukształtujesz prawdę.



## LXXIII

Aż kiedyś poczułem pragnienie śmierci.

— Daj mi, Panie — mówiłem Bogu — pokój pełen stodoł, uładzonych przedmiotów, dokonanego żniwa. Pozwól mi być teraz, kiedy się już stał. Znużyły mnie serdeczne żałoby. Za stary jestem, żebym miał rosnąć w nowe konary. Utraciłem wszystkich przyjaciół i wszystkich nieprzyjaciół, i moją drogę smutnego wypoczywania zalał blask. Oddaliłem się, powróciłem i patrzyłem: i znów ujrzałem ludzi skupionych wokół złotego cielca, już nie ciekawych, ale ogłupiałych. A dzieci, które się dziś rodzą, są mi bardziej obce niż młodzi barbarzyńcy, co nie znają żadnej religii. Ciężą mi niepotrzebne nikomu skarby, jakby muzyka, której już nikt nie zdoła zrozumieć.

Zaczyinałem moje dzieło z siekierą drwala, pracując w lesie i byłem pijany pieśnią drzew. Żeby być sprawiedliwym, trzeba może zamknąć się w samotnej wieży. Ale ja z nazbyt bliska widziałem ludzi i jestem zmęczony.

Ukaż mi się, Panie, bo wszystko staje się okrutne, kiedy utracona jest obecność Boga.

\* \* \*

Po chwilach uniesienia śniłem taki oto sen.

Wchodziłem jako zwycięzca do miasta, a tłum zalegał ulice rozkwitłe proporcami, krzyczał i śpiewał, gdy się pojawiałem. I kwiaty słały mi chwalebne łoże. Ale Bóg mnie dotknął tylko uczuciem goryczy. Zdawało mi się, że jestem więźniem nędznego ludu.

Albowiem tłum sławiący człowieka pozostawia go wpierw w tak zupełnej samotności! To, co jest ci dane, jest też od ciebie oddzielone, gdyż jedyny most pomiędzy tobą i bliźnim biegnie drogą Boga. I tylko ci są dla mnie prawdziwymi towarzyszami, którzy wraz ze mną pochylają głowy w modlitwie. Objęci tą samą miarą, ziarna tego samego kłosa, z którego będzie chleb. Ludzie natomiast oddawali mi cześć i otwierała się we mnie pustynia, ponieważ nie potrafię szanować idących błędną drogą i nie mogę się godzić, aby oddawali cześć mojej osobie. Nie potrafię przyjmować dymu kadzideł, gdyż nie mogę oceniać siebie wedle cudzych

sądów, a jestem znudzony sobą, gdyż dźwigani ogromny ciężar i aby wejść w Boga, muszę zrzucić z ramion samego siebie, jak się zrzuca strój. Dlatego wśród owych dymów kadzideł czułem się smutny i pusty jak wyschła studnia, kiedy pochyła się nad nią spragniony lud. Nie miałem do dania nic, co by miało jakąś wartość, i nie mogłem nic otrzymać od tych ludzi, ponieważ pochylali się przede mną w uwielbieniu.

Albowiem potrzebny mi jest przede wszystkim człowiek, który jest oknem otwartym na morze, a nie lustrem, które mnie nudzi.

Zaś w owym tłumie godni wydali mi się jedynie zmarli, którzy nie gonili już za żadną z marności świata.

Znużyły mnie okrzyki wznoszone na moją cześć jak pusty gwar, który niczego nie mógł mnie nauczyć, i wtedy zacząłem śnić ów sen.

\* \* \*

Nad samym brzegiem morza wiodła droga urwista i śliska. Burza właśnie ucihła i noc rozlewała się jak zawartość pełnego bukłaka. Z uporem wspinałem się w górę, ku Bogu, aby Go spytać o zasadę wszechrzeczy i aby mi wyjaśnił, jaki jest cel narzuconego mi obowiązku.

Ale na szczycie góry ujrzałem tylko ciężki blok czarnego granitu — i to był Bóg.

To właśnie On, mówiłem do siebie, niezmienny i nietknięty żadną zmałą, albowiem ludziłem się jeszcze, że będzie odwrócona ode mnie samotność.

— Panie — mówiłem — naucz mnie. Oto moi przyjaciele, towarzysze i poddani są dla mnie jak obdarzone głosem marionetki i niczym więcej. Trzymam w rękę sznurki i poruszam nimi, jak zechcę. I nie to mi jest przykre, że mnie słuchają, albowiem dobrze, że moja mądrość na nich spływa. Ale że stali się dla mnie jak odbicie lustrzane i czuję się tak samotny, jakbym był trędowaty. Śmieją się, kiedy ja się śmieję. Pochmurnieją, kiedy milczę. I słowa, które znam dobrze, bo są moimi słowami, wypełniają ich tak, jak wiatr wypełnia korony drzew. I nie wypełnia ich nic innego. Niemożliwa jest jakakolwiek wymiana z nimi, są bowiem nadmiernie zasłuchani i słyszę tylko własny głos wracający z ich strony jak zimne echo odbite od murów świątyni. Dlaczego miłość przepelnia mnie lękiem: czego mogę oczekiwać od miłości, która jest tylko zwielokrotnieniem mnie samego?

Ale ociekający deszczem lśniący granitowy blok trwał nieprzenikniony.

— Panie — powiedziałem (a nie opodal siedział na gałęzi czarny kruk) — rozumiem, że milczenie jest cechą Twojego majestatu. Ale ja potrzebuję jakiegoś znaku. Rozkaż, aby w chwili, gdy skończę się modlić, ten kruk odleciał. Będzie to jak zwrócone ku mnie spojrzenie czyichś oczu i poczuję, że nie jestem sam na świecie. Połącz mnie z Tobą choćby mglista ufność. Nie żądam nic więcej, tylko znaku, że jest tu coś, co trzeba zrozumieć.

I przyglądałem się krukowi. Ale ptak siedział bez ruchu. Wtedy pochyliłem się ku skalnej ścianie.

— Panie — powiedziałem — niewątpliwie masz rację. Stosować się do moich próśb byłoby sprzeczne z Twoim majestatem. Gdyby kruk odleciał, mój smutek byłby jeszcze większy. Gdyż taki znak mogę otrzymać tylko od kogoś równego sobie, a zatem tak jakby od siebie samego, byłoby to więc znowu odbicie mojego pragnienia. I znowu spotkałbym tylko własną samotność.

I pokłoniwszy się do ziemi wróciłem tą samą drogą.

\* \* \*

I wtedy moja rozpacz zaczęła ustępować miejsca nieoczekiwanej i szczególnej pogodzie ducha. Grzęzłem w błotnistej drodze, zdierałem sobie skórę o ciernie, walczyłem z ostrymi jak bicz uderzeniami wiatru, a przecież ogarniała mnie spokojna światłość. Albowiem nie poznałem niczego, ale wszelkie poznanie byłoby dla mnie wstrętne. I nie dotknąłem Boga — ale bóg, który się daje dotknąć, nie jest bogiem. I nie jest bogiem, jeśli wysłuchuje modlitw. I po raz pierwszy pojąłem, że wielkość modlitwy leży przede wszystkim w tym, że nie ma na nią odpowiedzi, i że ta wymiana nie ma w sobie odrażającego piętna wymiany handlowej. I że nauka modlitwy jest nauką ciszy. I że miłość zaczyna się dopiero tam, gdzie nie ma oczekiwania na dar. Miłość jest więc przede wszystkim ćwiczeniem się w modlitwie, a modlitwa — ćwiczeniem się w ciszy.

I wróciłem do mojego ludu, po raz pierwszy obejmując go milczącą miłością. I oczekując bez końca darów z jego strony — aż po moment śmierci. Poili się milczeniem moich warg. Byłem pasterzem, relikwiarzem, przed którym śpiewali pieśni i jak skarbiec zawierałem w sobie ich losy, a zarazem byłem uboższy od nich wszystkich i pokorniejszy w nieugiętej dumie. Wiedzieli, że nic ode mnie nie mogą otrzymać. Po prostu stawali się we mnie, a ich śpiew wzrastał w moim milczeniu. I dzięki mnie byliśmy razem: oni i ja — tylko modlitwą, która wyrastała z milczenia Boga.

## LXXIV

Widziałem, jak garncarze wyrabiają glinę. Żony przychodzą i dotykają ich ramienia — oto pora posiłku. Ale oni odsyłają je do garnków i kuchni, bo nie mogą się rozstać z własnym dziełem. Potem nadchodzi noc, a oni w bladym świetle oliwnych lampek szukają w glinie kształtu, którego nie potrafili wyrazić słowami. A jeśli są żarliwi, nie oddalają się od tego kształtu, ponieważ wyrasta z nich jak owoc z gałęzi drzewa. Są pełnym soków konarem, który go żywi. Nie zostawią dzieła, póki samo się od nich nie odłączy jak dojrzały owoc. Z chwilą kiedy się wyczerpią ich siły, nie liczy się już zarobek ani zaszczyty, ani przeznaczenie wykonywanego przedmiotu. Nie pracują dlatego, że jest pora na pracę, ani dla nich samych, ale dla tej właśnie glinianej czary i dla wygięcia jej ucha. Czuwają po nocach dla jakiejś twarzy, która powoli wychodzi naprzeciw pragnieniom ich serc, podobnie jak miłość macierzyńska ogarnia kobietę w miarę, jak coraz bardziej ukształtowane dzieciątko porusza się w niej.

Jeśli was jednak zgromadzę, aby wszystkich razem poddać władzy ogromnej urny, którą tworzę z waszych miast, aby stała się spichlerzem świątynnej ciszy, samym swoim wzrastaniem powinna wykrzesać z was jakąś iskrę żywą, tak byście ją mogli pokochać. Zmuszę was, abyście budowali statek, który pewnego dnia wyjdzie w morze, jego kadłub i pokład, i maszty, i byście pewnego dnia, niby w dzień zaślubin, ubrali go w żagle i ofiarowali morzu.

Wtedy uderzenia waszych młotków staną się pieśnią, a wasz pot i okrzykami odmierzany wysiłek staną się żarliwością. I czarodziejskim gestem będzie zwolnienie cum, bo będzie to tak, jakby morze nagle zakwitło.

## LXXV

Dlatego jedność uczucia rozkwita w różnokształtne kolumny, w kopuły i patos rzeźb. Gdyż jeśli chcę wyrazić jedność, różnicuję ją w nieskończoność. I nie ma się tu czym gorszyć.

Ważne jest tylko to, co absolutne i co rodzi się z wiary, z żarliwości albo z pragnienia. Jeden jest pęd statku, ale współdziała z nim i ten, co ostrzy dłuto, zmywa deski pokładu, wspina się na maszt czy też oliwi szekle.

Niepokoi was zamieszanie wśród załogi, gdyż wydaje się wam, że gdyby wszyscy wykonywali te same ruchy i ciągnęli w tę samą stronę, skuteczniejszy byłby ich wysiłek. Ale ja wam odpowiem: na płaszczyźnie ludzkiej nie dojrzy-cie okiem tego, co jest zwornikiem sklepienia. Trzeba wznieść się wyżej, żeby go dojrzeć. Podobnie nie robisz wyrzutów rzeźbiarzowi, że chcąc ująć istotę twa-rzy, uprościł ją w najwyższym stopniu i posłużył się znakami jak wargi, oczy, zmarszczki i włosy, gdyż potrzebował jakby sieci, w którą chciał złowić swoją zdobycz. Jeśli nie jesteś krótkowidzem, który chce oglądać nosem, dzięki tej sieci ogarnie cię uczucie jednorodne i porywające.

Nie wyrzucaj mi więc także, że nie trapię się zamieszaniem w moim królestwie. Musisz bowiem oddalić się trochę, jeżeli chcesz dojrzeć ludzką wspólnotę, węzłasty pień, skąd wyrastają różne gałęzie, jedność, która jest dla mnie najwyższym celem i sensem mojego królestwa, a nie gubić się w obserwacji różnych załóg, które — każda na swój sposób — ciągną za liny. Wtedy zobaczysz idący w morze statek.

Przeciwnie: jeśli przekażę moim ludziom upodobanie do morskiej wędrówki i każdy z nich, mając w sercu miłość, będzie iść za swoją naturalną skłonnością, zobaczysz niebawem, jak różni staną się w zależności od swoich niezliczonych, a szczególnych uzdolnień. Jeden będzie tkał płótno, inny — w lesie — siekierą jak piorunem powali drzewo. Jeszcze inny będzie wykuwał gwoździe, a będą i tacy, co wpatrzeni w gwiazdy, będą się uczyć, jak trzymać w ręku ster. A przecież wszyscy będą jak jeden. Stworzyć statek żaglowy to nie znaczy wciągnąć żagle, przygotować gwoździe i czytać w gwiazdach, ale przekazać smak morza, który jest jeden, i smak światła, w którym nie ma nic sprzecznego, ale wspólnota w miłości.

Dlatego w tym dziele współtworzenia otwieram szeroko ramiona moim nieprzyjaciołom, abym się stał większy dzięki nim: bo wiem, że na pewnej, wyższej płaszczyźnie walka będzie przypominać miłość.

Zbudować statek to nie znaczy przewidzieć go w szczegółach. Jeśli bowiem — sam jeden — opracuję plan statku w całej różnorodności, nie osiągnę nic wartościowego. W trakcie realizacji wszystko i tak ulegnie zmianie; dlatego obmyślanie takim powinni się zająć inni, nie ja. Nie do mnie należy pamiętać o każdym gwoździu w konstrukcji statku. Ja powinienem dać ludziom to, co podstawowe: zapał i smak morza.

Im bardziej zaś rosnę na podobieństwo drzewa, tym bardziej umacniają się w głębi moje korzenie. A zbudowana przeze mnie katedra rodziła się z tego, że jeden człowiek, który jest pełen skrupułów, rzeźbi twarz wyrażającą wyrzuty sumienia., a inny, który umie się cieszyć — rzeźbi twarz uśmiechniętą. Z tego, że jeden — oporny — opiera mi się, a drugi — wierny — dochowuje wierności. I niech mi nikt nie zarzuca, że godzę się na nieład i brak dyscypliny, ponieważ uznaję tylko jedną dyscyplinę - władzy serca. A kiedy wejdziecie do mojej świątyni, uderzy was jej jedność i dostojność ciszy; kiedy zaś ujrzycie, jak ramię przy ramieniu chylą tu swoje czoła wierny i odszczepieniec, rzeźbiarz i kamieniarz, mędrzec i prostaczek, człowiek wesoły i smutny, nie mówcie, że to brak spójności, albowiem oni poprzez korzenie tworzą jedność, a świątynia znalazłszy dzięki nim wszystkie potrzebne drogi stała się poprzez nich — sobą.

I w błędzie jest ten, kto wprowadza ład powierzchowny, nie umiejąc się wznieść na tyle wysoko, aby odkryć, czym jest naprawdę świątynia, statek czy miłość; zamiast prawdziwego ładu wprowadza policyjną dyscyplinę, gdzie wszyscy ciągną w tym samym kierunku i maszerują równym krokiem. Jeśli bowiem każdy z twoich poddanych podobny jest do pozostałych, wcaleś nie osiągnął jedności: tysiąc identycznych kolumn to tylko idiotyczna gra luster, a nie świątynia. A najwyższym osiągnięciem w tym zakresie byłoby zgładzić tysiąc poddanych, pozostawiając przy życiu tylko jednego.

Ład prawdziwy jest właśnie świątynią. Poryw serca budowniczego, który jak korzeń wiąże różnorodność budulca i który, właśnie dla trwałej i potężnej jedności, wymaga budulca różnego.

Nie trzeba się więc obruszać, że jeden się różni od drugiego i że ich pragnienia są przeciwne i język różny — trzeba się cieszyć, gdyż jeśli jesteś twórcą, zbudujesz świątynię tym wyższą i ona będzie ich wspólną miarą.

Natomiast tylko ślepiec wyobraża sobie, że tworzy, gdy rozbiera katedrę, a kamienie układa w szeregu, jeden przy drugim, wedle wielkości.

## LXXVI

Nie przejmuj się więc krzykami, jakie podniosą się na twoje słowa, ponieważ nowa prawda jest nową strukturą ofiarowaną w całości (nie zaś oczywistą propozycją, której elementy można konsekwentnie prześledzić); ilekroć zwrócisz uwagę na jakiś szczegół wyrzeźbionej twarzy, powstaną sprzeciwy, że w innej twarzy ten szczegół odgrywał inną rolę, i najpierw cię nie rozumieją, a potem będą przeczyć, wszystkiemu przeczyć.

Ty wtedy powiesz: czy zgodzicie się umrzeć dla siebie, zapomnieć o wszystkim i nie opierając się być świadkami mojego tworzenia? Tylko wtedy może w was zajść przemiana, tymczasem jesteście jeszcze zamknięci jak poczwarki motyla. A dopełniwszy tego doświadczenia powiecie mi dopiero, czy nie więcej w was teraz jasności, pokoju, przestrzeni.

Bo niewiele daje coraz większe zbliżenie, czy to w przypadku rzeźbionego posągu, czy przekazywanej prawdy. Jest to jedność i staje się widoczna, gdy jest już gotowa. A prawdą mojej prawdy jest człowiek, który się z niej wyłania.

Tak i klasztor, w którym cię zamykam, abyś się zmienił. Ale jeśli pośród próżności świata i pospolitych kłopotów będziesz mnie prosił o pokazanie tego klasztoru, nawet nie raczę ci odpowiedzieć, bo ten, kto mógłby odpowiedź zrozumieć, jest kim innym niż ty obecny, i najpierw musiałbym cię na nowo stworzyć. Mogę cię tylko zmusić, abyś się stał sobą.

Nie trap się także, jeśli będą protestować przeciw przymusowi. Ci, którzy krzyczą, mieliby rację, gdybyś naruszał to, co w nich istotne, i wystawiał na szwank ich wielkość. Ale szacunek dla człowieka jest szacunkiem dla szlachectwa jego duszy. Oni natomiast nazywają sprawiedliwością trwanie, nawet jeśli jest to trwanie w zgniliznie, tylko dlatego, że się w niej urodzili. Zatem uzdrawiając ich, nie naruszasz praw boskich.

## LXXVII

Dlatego mogę powiedzieć, że nie chcę paktować ze złem i zarazem nie chcę go odrzucać. Nie jestem ani bezwzględny, ani miękki czy ugodowy. Akceptuję człowieka razem z jego przywarami, ale jednocześnie stosuję wobec niego dyscypliny. Przeciwnika nie traktuję po prostu jako świadka, kozła ofiarnego dźwigającego naszą wspólną niedolę, którego najlepiej byłoby spalić bez kwestii na publicznym placu. Akceptuje, w pełni przeciwnika, a zarazem odrzucam go. Albowiem świeża i miła w smaku jest woda. Miłe w smaku także czyste wino. Ale wino zmieszane z wodą daje się jako napój rzezańcom.

Nie ma na świecie człowieka, który by nie miał w jakimś stopniu racji. Z wyjątkiem tych, którzy rozumują, dowodzą, przytaczają argumenty, i ponieważ posługują się językiem logiki, wyzbytym treści, nie mogą ani mieć racji, ani jej nie mieć. Ich słowa to po prostu gwar, ale jeśli nadymają się pychą, może z ich winy polać się ludzka krew. Takich zwyczajnie odcinam jak gałęzie od drzewa.

Natomiast każdy, kto godzi się na zniszczenie urny swojego ciała po to, żeby ocalić zawarty w niej skarb, ma rację. Mówiłem już o tym. Osłaniać słabych czy wspierać silnych — oto nękający cię wybór. A zdarza się, że twój wróg osłania słabych na przekór tobie, gdyż ty wspierasz mocnych. Wtedy jesteście zmuszeni walczyć: jeden chce ocalić kraj od zgnilizny demagogów, którzy opiekują zarazę dla piękna zarazy, drugi chce ocalić swoje ziemie od okrucieństwa dozorców, którzy batem wymuszając niewolniczą uległość nie pozwalają człowiekowi, aby się stawał. Zaś życie stawia przed tobą natychmiastową konieczność wyboru, co zmusza cię do chwycenia za broń. Albowiem jedna i wyłączna myśl (jeśli się krzewi jak ziele), której nie równoważy żadna myśl przeciwna, staje się kłamstwem i gotowa pochłonąć świat.

Wynika to z zasięgu twojej świadomości, który jest tak niewielki. I podobnie jak nie potrafisz, kiedy napadnie cię rabuś — włączyć, obmyślać jednocześnie taktyki walki i odczuwać ciosów, i podobnie jak na morzu nie możesz równocześnie bać się katastrofy i odczuwać falowanie bałwanów, a ten, kto się boi, nie choruje na morską chorobę, a kto choruje na morską chorobę, ten jest obojętny i nie odczuwa lęku, tak też i ty — jeśli ci nie pomoże jasność nowego języka,



będiesz niezdolny równocześnie myśleć i przeżywać dwu sprzecznych ze sobą prawd.

## LXXVIII

Przyszli do mnie kiedyś podzielić się swoimi uwagami nawet nie geometrzy mojego cesarstwa (a właściwie był tylko jeden, na dobitek już wtedy nieżyjący), ale delegacja wysłana przez komentatorów geometrów, a tych było dziesięć tysięcy.

Kto chce zbudować statek, nie troszczy się o gwoździe, maszty ani deski na pokład, tylko zamyka w wojennych warsztatach dziesięć tysięcy niewolników i kilku nadzorców z batami. Po czym powstaje świetny statek. Nie widziałem natomiast nigdy niewolnika, który by się chełpił tym, że zwyciężył morze.

Atoli człowiek, który pracuje nad systemem geometrii, nie zajmuje się kolejnym przechodzeniem od wniosku do wniosku, gdyż taka praca przekracza i jego czas, i siły, powołuje armię dziesięciu tysięcy komentatorów, szlifujących twierdzenia, wykorzystujących płodne szlaki i zbierających owoce z tego drzewa. Ale ponieważ nie są bynajmniej niewolnikami i nie ma bata, który by ich popędzał do pracy, każdy wyobraża sobie, że dorównuje prawdziwemu geometrze, przede wszystkim dlatego, że go rozumie, a poza tym dlatego, że wzbogaca jego dzieło.

Ale ja, doceniając wartość pracy (ponieważ trzeba i żniwiarzy w zakresie pracy umysłowej), ale wiedząc także, że śmieszne byłoby mylić ich pracę z pracą twórczą, która jest wolnym, nieprzewidywalnym i bezinteresownym działaniem, ludzkim, każe im trzymać się w przyzwoitej odległości, z obawy, aby nadęci pychą nie chcieli nachodzić mnie jak równi równego. I słyszałem, jak szemrali między sobą skarżąc się na mnie. Aż ozwali się tak:

— Protestujemy w imię rozumu. Jesteśmy kapłanami prawdy. Twoje prawa są prawami Boga, który jest mniej bezsporny niż nasz Bóg. Masz za sobą zbrojnych wojowników, a siła ich mięśni może nas zgnieść. Ale za nami jest racja, po naszej stronie jest słusność, nawet jeżeli znajdziemy się w twoich lochach.

I tak mówili, przekonani, że mnie oburzą.

I spoglądali jeden na drugiego, zadowoleni, że są tak odważni.

Ja zadumałem się. Jedyne prawdziwego geometrę przyjmowałem kiedyś codziennie u mego stołu. Czasem, w bezsenne noce, udawałem się do jego namiotu i z nabożną czcią zdjawszy obuwie piłem podaną mi herbatę i syciłem się miodem jego mądrości.

— Ty, jako geometra. . . — zaczynałem.

— Nie jestem przede wszystkim geometrą, ale człowiekiem. Człowiekiem, któremu się roją geometryczne układy, kiedy nie oddaje się zajęciom pilniejszym, kiedy nie zaprzęta mnie na przykład głód albo miłość. Ale teraz postarzałem się i chyba masz rację: jestem już tylko geometrą.

— Jesteś tym, któremu objawia się prawda. . .

— Jestem tylko jak człowiek, który szuka po omacku, i jak dziecko, które szuka słów. Prawda bynajmniej mi się nie objawiła. Ale ludzie sądzą, że mój język jest oczywisty jak ta góra przed nimi, i przyjmują go jako prawdę.

— Gorycz jest w tobie, geometro. . .

— Chciałbym odnaleźć we wszechświecie jakiś ślad boskiego płaszcza i dotykając prawdy, która jest na zewnątrz mnie, tak jak Boga, który długo ukrywał się przed ludźmi, chciałbym uchwycić Go za pojęcie i zerwać Mu z twarzy zasłonę: niech się ukazuje. Ale nie było mi dane znaleźć nic poza mną samym. . .

Tak mówił. Ale oni potrząsali mi nad głową swoim bożkiem niby piorunem.

— Mówcie ciszej — rozkazałem. — Rozumiem was co prawda z trudem, ale słyszę całkiem dobrze.

A oni szemrali dalej przeciwko mnie, choć już trochę ciszej.

Wreszcie jeden z nich przemówił w imieniu wszystkich, wypchnięty ostrożnie do przodu, bo już żalowali trochę, że okazali aż tyle śmiałości.

— Czyżbyś widział wolny akt twórczy jak u rzeźbiarza czy poety — zapytał — w tej konstrukcji prawd, którą ci przedstawiamy? Nasze propozycje wypływają jedna z drugiej, zgodnie ze ścisłą logiką i żaden człowiek nie kierował tym dziełem.

Tak zatem, z jednej strony domagali się uznania absolutnej prawdy, tak jak plemiona, oddające cześć bałwanowi z malowanego drewna, który, jak twierdzą, ciska pioruny; z drugiej zaś strony chcieli dorównać jednemu prawdziwemu geometrze, ponieważ wszyscy, z mniejszym lub większym powodzeniem, podobnie jak on służyli albo odkrywali coś — ale nie tworzyli.

— Wyłożymy ci wzajemne związki linii tworzących figurę geometryczną. O ile bowiem my możemy przekraczać twoje prawa, o tyle ty jesteś niezdolny wyzwolić się od naszych praw. Nas powinieneś przyjąć na stanowiska ministrów, ponieważ my posiadamy mądrość.

Milczałem, dumając nad ich głupotą. Oni źle zrozumieli moje milczenie i dodali z wahaniem:

— Albowiem przede wszystkim chcemy ci służyć.

Na co odpowiedziałem:

— Twierdzicie, że nie zajmujecie się twórczością: całe szczęście. Albowiem zezowaci tworzą koślawo. Bukłaki nadęte powietrzem mogą wydać z siebie tylko wiatr. A gdybyście zakładali królestwa, to poszanowanie logiki, stosowalnej tylko

do historii minionej, do figury już odlanej i do organizmu już martwego, sprawiłoby, że byłyby to królestwa już z góry wydane na łup barbarzyńskich szabli.

Pewnego razu odnaleziono ślady człowieka, który o świcie opuścił namiot, poszedł w kierunku morza aż do nadbrzeżnej urwistej skały i spadł z niej. Zjawili się na miejscu logicy, przypatrywali się śladom i poznali prawdę. W łańcuchu wydarzeń nie brakło bowiem ani jednego ogniwa. Kroki biegły konsekwentnie, jeden za drugim i każdy z nich wyznaczał następny. Postępując od skutku do przyczyny doprowadzono zmarłego do namiotu, skąd wyszedł. Idąc od przyczyny do skutku doprowadzało się go do śmierci.

— Wszystkośmy zrozumieli — wykrzyknęli logicy, składając sobie wzajemnie gratulacje.

Ja natomiast myślałem, że zrozumieć byłoby to wiedzieć (jak ja to wiedziałem przypadkiem) o pewnym uśmiechu tak kruchym jak lustro wody, gdyż wystarczyła jedna myśl, aby się zmaćił, i że ów uśmiech może nawet być w danym momencie nieobecny na śpiącej twarzy, a w każdym razie był nieobecny tutaj, gdyż zamieszkiwał namiot pewnego cudzoziemca o sto dni marszu stąd.

Albowiem tworzenie jest inne w swej istocie niż przedmiot stworzony, odchodzi daleko od pozostawionych śladów i nie daje się odczytać w żadnym znaku. Wciąż tylko ślady, piętna i znaki — zobaczysz, jak jedne wynikają z drugich. Gdyż czysta logika jest tylko cieniem twórczości, rzucanym na mur świata realnego. Ale to oczywiste odkrycie nie zdoła przeciwstawić się ludzkiej głupocie.

Ponieważ nie zdołałem ich przekonać, tłumaczyłem im z całą życzliwością dalej:

— Był pewnego razu alchemik, który badał tajemnice życia. I stało się tak, że ze swoich kolb, retort i mikstur otrzymał maleńką drobinę żywej materii. Nadbiegli logicy. Powtórzyli jego doświadczenie, mieszały mikstury, podgrzewali retorty i otrzymali następną żywą komórkę ciała. Ogłosili wtedy z tryumfem, że nie ma żadnej tajemnicy życia. Życie jest tylko naturalnym następstwem przebiegającym od przyczyny do skutku i od skutku do przyczyny, działania ognia na mikstury i mikstur na siebie wzajemnie, z tym że początkowo nie są one bynajmniej żywe. Logicy jak zwykle doskonale rzecz pojęli. Gdyż tworzenie jest inne ze swojej natury niż przedmiot stworzony, nad którym panuje, i nie zostawia po sobie śladów. A twórca znika zawsze ze swego dzieła twórczego. Zaś pozostawiony przez niego ślad należy do zakresu czystej logiki. Ja natomiast, z większą pokorą, zwróciłem się o naukę do mojego przyjaciela, geometry. „Czy widzisz tu jakąś nowość, poza tym, że życie rodzi życie?” Życie nie pojawiłoby się, gdyby nie świadomość alchemika, który, jak mi się zdaje, był żywym człowiekiem. Zapomniano o tym, jak zwykle, ponieważ usunął się ze swego dzieła. Podobnie kiedy zaprowadziłeś kogoś na szczyt góry, skąd wszystko zdaje się układać w jakiś ład, owa góra staje się prawdą niezależnie od twojej osoby, a przyprowadzonego człowieka zostawiasz tam w samotności. I nikt nie pyta, jak to się stało, żeś wybrał właśnie tę

górze, ponieważ po prostu ów człowiek tam się znalazł, a gdzieś przecież trzeba się znajdować.

Ale oni dalej szemrali przeciwko mnie, ponieważ logicy nie są bynajmniej logiczni.

— Zbyt wysokie macie mniemanie o sobie — powiedziałem. — Patrzycie na taniec cieni na murze i wydaje się wam, że coś poznajecie; krok po kroku odczytujecie założenia geometrii, nie uzmysławiając sobie, że ktoś te kroki stawiał, aby założenia ustalić; odczytujecie ślady na piasku, a nie przychodzi wam do głowy, że gdzieś daleko ktoś odrzucił miłość, i odczytujecie wzrastanie życia na podstawie elementów, nie uznając, że ktoś je kwestionował i dobierał. Nie stawajcie przed moim obliczem, wy — niewolnicy z młotkami i gwoździami, udający, żeście to wy obmyślili statek i puścili go na morze.

Tego, który był sam jeden wśród was prawdziwy, a który już nie żyje, posadziłbym chętnie u mojego boku, gdyby tego zechciał, abyśmy wspólnie rządili. Bo on pochodził od Boga. I jego język potrafiłby mi ukazać tę daleką ukochaną, która inna ze swej natury niż piasek i ślady na nim, nie daje się też, tak jak ślady, odczytać od razu.

Z niezliczonej mnogości możliwych kombinacji umiał on wybrać tę jedną, która się jeszcze nie wyróżniała żadnym sukcesem, a która przecież — jedyna — dokądś prowadziła. Czasem, kiedy w labiryncie gór zabraknie nici przewodniej i dedukcja nigdzie nie potrafi zaprowadzić, skoro wiesz, że droga, napotykając przepaść, kończy się nagle, a o przeciwnym brzegu ludzie nic jeszcze nie wiedzą, pojawia się przewodnik, który jak gdyby stamtąd powraca, i drogę ukazuje. A gdy już raz ją przebiegłeś, droga staje się wytyczona i wydaje ci się oczywista. I zapominasz o tym cudownym wydarzeniu, które było niby powrót z przeciwnej strony przepaści.

## LXXIX

Przyszedł raz pewien człowiek spierać się z moim ojcem:

— Szczęście ludzi. . . — powiedział.

Ojciec przerwał mu:

— Nie wypowiadaj tego słowa w mojej obecności. Doceniam słowa, które noszą w sobie ciężar swojego wnętrza, ale odrzucam to, co jest pustą skorupą.

— A jednak — upierał się tamten — jeśli ty, pan tego królestwa, pierwszy nie zajmiesz się szczęściem ludzi. . .

— Nigdy się nie zajmuję — odparł ojciec — ściganiem wiatru, aby gromadzić go jak cenne zapasy, ponieważ wiatr nie istnieje, jeśli go nie spuszczę z uwięzi.

— Gdybym ja był władcą królestwa — ciągnął tamten — chciałbym, żeby ludzie byli szczęśliwi. . .

— Aha — powiedział ojciec. — Teraz już cię lepiej rozumiem. To słowo nie jest puste. Istotnie znałem ludzi nieszczęśliwych i ludzi szczęśliwych. Znałem również ludzi tłustych i chudych, chorych i zdrowych, żywych i martwych. I ja także pragnę, żeby ludzie byli szczęśliwi, tak samo jak pragnę, żeby byli raczej żywi niż martwi. Choć, to prawda, pokolenia muszą ustępować jedno drugiemu.

— A zatem się zgadzamy — wykrzyknął tamten.

— Nie — odparł ojciec.

Pomyślał i dodał:

— Kiedy bowiem mówisz o szczęściu, mówisz albo o stanie bycia szczęśliwym, podobnie jak człowiek może być w stanie zdrowia, i wtedy nie mam żadnego wpływu na element jego zmysłowej natury, albo też mówisz o jakimś uchwytnym przedmiocie, który mogę się starać zdobyć. Ale gdzie on się znajduje?

Jeden człowiek jest szczęśliwy w czas pokoju a drugi w czas wojny, jeden pragnie samotności i raduje się nią, inny, żeby się radować, potrzebuje świątecznej wrzawy, jednego cieszą rozważania naukowe, szukanie odpowiedzi na postawione pytania, drugi cieszy się tylko Bogiem i żadne inne problemy nie mają dla niego sensu.

Gdybym chciał wyjaśnić obszerniej, czym jest szczęście, powiedziałbym może, że dla kowala to kuć żelazo, dla marynarza — pływać po morzu, dla bogatego — bogacić się, i w ten sposób nie powiedziałbym nic, co by pogłębiło twoją

wiedzę. Zresztą szczęściem mogłoby być czasem dla bogatego — żeglować, dla kowala — wzbogacić się, a dla marynarza nic nie robić. W ten sposób wymyka ci się widmo, puste wewnątrz, które na próżno próbowałeś pochwycić.

Jeżeli chcesz zrozumieć to słowo, powinieneś je rozumieć jako nagrodę, a nie jako cel, gdyż w przeciwnym razie ono nic nie oznacza. Podobnie wiem, że coś jest piękne, ale odrzucam piękno traktowane jako cel. Czyś słyszał kiedyś, żeby rzeźbiarz powiedział: „Z tej bryły kamienia wydobędę piękno”? Byłoby to oszustwo pustego liryzmu, produkcja tandety. Prawdziwy artysta powie: „Z tego kamienia staram się wydobyć coś, co by przypominało ciężar, jaki czuję w sobie”. I jeśli jest rzeźbiarzem wielkiej miary, dzieło będzie piękne, niezależnie od tego, czy będzie twarzą ciężką i zniszczoną, potworną maską, czy obliczem uśpionej młodości. Bo również piękno nie jest celem, ale nagrodą.

I skłamałem powiedziawszy przed chwilą, że dla bogatego szczęściem będzie się bogacić. Tryumfalna radość z osiągnięcia zdobyczy, to dla niego nagroda za trudy i wysiłki. A jeżeli w jakimś momencie otwierająca się przed nim przyszłość wydaje się upojna, to w tym samym sensie, w jakim napełnia cię radością krajobraz oglądany ze szczytu gór, który powitał jako struktura twojego wysiłku. I dla złodzieja — twierdę — szczęściem jest czuwać w zasadzce pod gwiazdzistym niebem, albowiem jest w nim coś, co jest godne ocalenia i jest nagrodą za to. Albowiem zgodził się na chłód, niebezpieczeństwo i samotność. A złota pożąda jak przemiany w archanioła, bo — teraz ciężki i zagrożony — wyobraża sobie, że przyciskając skradzione złoto do piersi, lekki, na niewidzialnych skrzydłach, leci w tłumne miasto.

Z cichą miłością w sercu nie żałowałem czasu, aby przyglądać się ludziom z mojego plemienia, którzy się wydawali szczęśliwi. I zawsze odnosiłem wrażenie, że szczęście było w nich jak piękno w rzeźbie, dlatego że go nie szukali.

I zawsze mi się wydawało, że było ono znakiem ich doskonałości i zaletą serca. Więc dom swój otwórz na całe życie tylko tej, która ci powie: „Taka jestem szczęśliwa”; gdyż szczęście widoczne na jej twarzy jest oznaką wartości i mówi o sercu, co dostąpiło nagrody.

Nie żądaj więc ode mnie, władcy królestwa, żebym dla mojego ludu zabiegał o szczęście. Nie żądaj ode mnie, rzeźbiarza, abym ścigał piękno: siadę bez ruchu, bo nie wiem, w którą stronę mam biec. Domagaj się ode mnie tylko tego, żebym ukształtował dusze, w których mógłby płonąć żar.

## LXXX

Przypomniałem sobie także, co kiedyś mówił mi ojciec: żeby mieć drzewko pomarańczy, muszę się posłużyć nawozem i obornikiem, muszę kopać ziemię motyką, a czasem nawet obcinać gałęzie. I tak wyrasta drzewko, które potrafi wydać kwiaty. A ja, ogrodnik, przekopuję ziemię nie troszcząc się o kwiaty ani o szczęście, gdyż aby drzewko zakwitło, musi wpierw wyrosnąć, a żeby człowiek był szczęśliwy, musi wpierw istnieć człowiek.

Ale tamten dalej wypytywał:

— Jeśli więc nie za szczęściem gonią ludzie, to za czym?

— Ach — odparł ojciec — kiedyś później ci to wyjaśnię.

Ale przede wszystkim chcę dorzucić, że niemądry logik z faktu, że radość często wieńczy wysiłek i zwycięstwo, wyciągnie wniosek, iż ludzie walczą, aby osiągnąć szczęście. Na co odpowiedziałbym, że skoro śmierć wieńczy życie, ludzie pragną tylko jednego — a mianowicie śmierci. W ten sposób posługujemy się słowami, które są jak meduzy pozbawione kośćca. Ja zaś powiem, że bywają ludzie szczęśliwi, którzy poświęcają własne szczęście, aby wyruszyć na wojnę.

— Dlatego, że w wypełnieniu obowiązku znajdują jakąś wyższą formę szczęścia...

— Przystanę rozmawiać z tobą, jeżeli nie potrafisz nadać słowom takiego znaczenia, które można by albo stwierdzić, albo odrzucić. Z galaretowatą bezkształtną masą nie mam zamiaru walczyć. Jak możesz oczekiwać, że będę zestawiał z życiem twoje stwierdzenia, jeżeli szczęście to dla ciebie zarówno zdumienie pierwszej miłości jak przedśmiertne wymioty, kiedy kula w brzuchu uniemożliwia ci dojście do studni? Nie stwierdziłeś nic ponad to, że ludzie szukają tego, czego szukają, i ścigają to, co ścigają. Nikt ci nie może zaprzeczyć, więc się czujesz bezpieczny, ale twoje nienaruszalne prawdy nie mają dla mnie sensu.

Mówisz tak, jakbyś się bawił piłeczkami. Jeśli zaś wyrzekniesz się tych bredni, jeśli przestaniesz tłumaczyć, że ludzie idą na wojnę powodowani pragnieniem szczęścia, a będziesz się upierał, że szczęście w pełni wyjaśnia ludzkie postępowanie, już słyszę, jak będziesz twierdził, że ludzie idą na wojnę powodowani napadem szaleństwa. Ale tu znów będę oczekiwał, żebyś potraktował rzecz na serio i przede wszystkim wyjaśnił znaczenie używanych słów. Jeśli bowiem na-



zywasz szalonym na przykład tego, kto toczy pianę z ust albo chodzi wyłącznie na głowie, to widząc żołnierzy idących na wojnę na dwu nogach, nie zgodzę się z tobą.

Ale rzecz w tym, że nie posiadasz znajomości języka, którym mógłbyś wyrazić, do czego dążą ludzie. Ani ku czemu ja powinienem ich prowadzić. Posługujesz się zbyt mało pojemnymi pojęciami, takimi jak szaleństwo albo szczęście, w próżnej nadziei, że zdołasz w nich pomieścić życie. Tak jak dziecko, które siedząc u stóp gór Atlasu, zamierzało je przenieść na inne miejsce przy pomocy łopatk i wiaderka.

— Nauczaj mnie zatem — zapragnął tamten człowiek.

## LXXXI

Jeżeli się określisz nie przez pragnienie umysłu czy serca, ale przez racje wyrażalne i bez reszty zawierające się w tym, co wyrażone, wtenczas wyprę się ciebie.

Albowiem słowo nie jest znakiem czegoś, co jest poza rzeczami, podobnie jak imię twojej żony, które oznacza, ale nic nie obejmuje. Nie możesz snuć rozważań na temat słów, gdyż ciężar rzeczy leży gdzie indziej. I nie przyjdzie ci przecież do głowy powiedzieć: „Jej imię wskazuje na to, że jest piękna. . .”

Jakże zatem rozważania na temat życia mogą być wystarczające? A jeśli głębiej jest jakiś ich fundament i gwarancja, może się zdarzyć, iż gwarancja będzie poważniejsza w przypadku mniej efektownych rozważań. I naprawdę nie jest istotne zestawienie mniej lub bardziej szczęśliwych sformułowań. Życie jest tym, czym jest.

Jeżeli więc język, którym przekazujesz mi powody swego postępowania, nie jest poezją, która niesie mi jakąś głęboką nutę mówiącą o tobie, jeżeli nie zawiera nic niewyrażalnego, co jednak chcesz mi przekazać, nie chcę mieć z tobą nic wspólnego.

I jeśli twoje postępowanie wyznacza nie ujrzone oblicze, które zrodziło w tobie nową miłość, ale słabe fale powietrzne, niosące ze sobą jałową i nieważką logikę, nie chcę mieć z tobą nic wspólnego.

Albowiem nie umiera się za jakiś znak, ale za to, co leży w głębi jako gwarancja znaku. A gdybyś chciał wyrazić, czym ona jest, lub choćby zarysować znaczenie — byłaby jak ciężar książek ze wszystkich bibliotek świata. Gdyż to, co tu ująłem tak prosto, jakbym zagarniał zdobyty łup, nie da się wypowiedzieć. Gdyż sam musisz iść, aby pojąć w pełni, czym jest góra, o której mówię w moim poemacie. A ile słów i ile lat trzeba, aby przenieść górę w twoje wnętrze, jeżeli nigdy nie opuściłeś brzegu morskiego?

Albo wodę tryskającą ze źródła, jeżeliś nigdy nie był spragniony i nigdy nie składałeś, w geście zarazem ofiarnym i przyjmującym, dwu dłoni, aby pić. Ja oczywiście mogę śpiewać o źródłach: ale gdzie jest przeżycie, które ma powrócić, i wysiłek mięśni, który obudzą wspomnienia?

Wiem, że nie o źródłach miała tu być mowa, lecz o Bogu. Ale żeby mój język przemówił do ciebie i mógł się stać i dla mnie, i dla ciebie — działaniem, musi się w tobie o coś zahaczyć. I dlatego, jeżeli chcę cię nauczać o Bogu, wyślę cię najpierw w góry, ażebyś pnąc się usłyszał nieodparte wołanie gwiazdzistego grzbietu. Wyślę cię na pustynię, ażebyś umierając z pragnienia odczuł czarodziejstwo źródeł. A potem na pół roku wyślę cię do kamieniołomu, żeby przepaliło cię do unicestwienia południowe słońce. A potem dopiero powiem: ten, z kogo życie wypięło słońce południa, gdy nadejdzie tajemnica i noc, i gdy wstąpi na gwiazdzisty grzbiet, pić będzie ciszę boskich źródeł.

I wtedy uwierzysz w Boga.

I nie będziesz mógł zaprzeczyć Jego istnieniu, ponieważ On po prostu będzie, tak jak w wyrzeźbionej przeze mnie twarzy jest zaduma.

Albowiem nie istnieje oddzielnie mowa i czyn, tylko dwie twarze tego samego Boga. Dlatego pracę nazywam modlitwą, a medytację — pracą.

## LXXXII

I objawiła mi się wielka prawda trwania.

Gdyż nie ma dla ciebie nadziei, jeżeli nic nie trwa dłużej niż ty sam. Pamiętam pewne plemię, które czciło zmarłych; nagrobne kamienie, jeden po drugim, przyjmowały pod swoją pieczę zmarłych z każdej rodziny. I to one stanowiły o trwaniu.

— Czy jesteście szczęśliwi? — spytałem.

— Oczywiście, przecież wiemy, gdzie będziemy spoczywać...

## LXXXIII

Ogarnęło mnie niezmożone zmęczenie. I najprostsze wydawało mi się powiedzieć, że to Bóg mnie opuścił. Czułem się jak sklepienie pozbawione zwornika i nie odzywało się we mnie żadne echo. Zamilkł głos, który mówi w ciszy.

Wszedłszy na najwyższą wieżę, pytałem: „Po co te gwiazdy?” A kiedy z uśpionego miasta wznosił się ku mnie niby jęk, rzucałem pytanie: „Po co ten jęk?” Byłem zagubiony jak cudzoziemiec w tłumie, który nie mówi jego językiem. Byłem jak ubranie, którego już nikt na siebie nie wkłada. Rozbity i sam. Byłem podobny do nie zamieszkanego domu. I naprawdę brakowało mi zwornika sklepienia, ponieważ nic we mnie nie mogło już niczemu służyć. A przecież jestem ten sam, co dawniej, mówiłem sobie, to samo wiem, te same mam wspomnienia, patrzę na te same widoki, tyle że dziś tonę w jałowej bezkształtności. Tak i bazylika, choćby najpiękniej strzelała w górę, jeżeli nikt nie obejmuje jej wzrokiem, nie poi się jej ciszą ani nie rozumie jej sensu w serdecznych dumaniach, jest niczym więcej jak sumą kamieni. Tak i ja: moja wiedza, doznania moich zmysłów i moje wspomnienia. Byłem pewną liczbą kłosów, ale nie snopem. I poznałem tę czczość, którą przede wszystkim rodzi brak Boga.

Nie było to okrucieństwo losu — bo ono jest rzeczą ludzką — ale jakieś niespełnienie. Byłbym zdolny do okrucieństwa w pustce mojego ogrodu, gdzie chodziłem bezmyślnie, zupełnie jak człowiek na kogoś czekający. I zanurzony w świecie tymczasowości. Znosiłem modlitwy do Boga, ale nie były to modlitwy, ponieważ nie człowiek je znosił, a pozór człowieka, świeca przygotowana, ale nie zapalona. O, niech wróci moja dawna żarliwość, mówiłem. Ponieważ wiedziałem, że żarliwość jest owocem tylko tej boskiej więzi wiążącej rzeczy ze sobą. Świat jest wtedy jak statek dobrze sterowany. Jak bazylika przez kogoś ujrzana. Ale jeśli nie umiesz w nim odczytać ręki architekta i rzeźbiarza, jest tylko bezładnie rzuconym tworzywem.

Wtedy zrozumiałem, że ten, co dostrzega uśmiech posągu, piękno krajobrazu albo ciszę świątyni, znajduje Boga. Ponieważ przekracza przedmiot, aby dosięgnąć zwornika, przekracza słowa — aby ogarnąć całość pieśni, noc i gwiazdy — aby zakosztować wieczności. Gdyż to Bóg przede wszystkim nadaje sens twojej mowie i twoja mowa, nabierając sensu, pokazuje ci Boga. Jeżeli wzruszają cię łązy

dziecka, to dlatego, że są jak małe okna otwarte na szerokie morze. Nie one same budzą w tobie echa, ale wszystkie łązy świata. Dziecko bierze cię tylko za rękę, żeby coś pokazać.

„Dlaczego zmuszasz mnie, Panie, do przejścia przez pustynię? Męcę się wśród cierni. Wystarczyłby jeden Twój znak, a pustynia przemieniłaby się, a płowy piasek, horyzont i spokojny, potężny wiatr z niespójnych elementów stałyby się rozległym królestwem, które budzi we mnie zachwyt, i w tym wszystkim nauczyłbym się odczytywać Ciebie.”

Aż pojąłem, że Boga odczytuje się właśnie z jego nieobecności, kiedy odchodzi. Bo dla marynarza jest sensem morza. A dla małżonka sensem miłości. Ale są też godziny, kiedy marynarz pyta: po co morze? A małżonek: po co miłość? I zajmują się czymś, ale pełni czczości. Nic im nie brakuje, tylko tej boskiej więzi, która wiąże ze sobą rzeczy. I wszystkiego im brak.

„Jeżeli Bóg odejdzie od mojego ludu — myślałem — tak jak odszedł ode mnie, ludzie staną się jak mrówki w mrowisku, bo opuści ich żarliwość. Kiedy kości do gry nic już nie znaczą, gra staje się niemożliwa.”

I odkryłem, że rozum na nic się tu nie zda. Możesz oczywiście rozważyć układ kamieni, składających się na świątynię, ale nie uchwycisz tego, co istotne, a co się wymyka kamieniom. Możesz snuć rozważania na temat nosa, ucha czy warg rzeźby, a nie uchwycisz tego, co istotne, a co wykracza poza glinę. Bo chodzi tu o jakieś pojmanie Boga. A Jego można pojmać pułapką o innej niż On sam naturze.

Kiedy ja, rzeźbiarz, stworzyłem w kamieniu twarz, stworzyłem też przymus. Każda gotowa struktura jest przymusem. Kiedy chwytam, zarazem zaciskam pięść, abym to, co schwytałem, zatrzymał. Nie opowiadaj mi o wolności słów w poemacie. Poddałem je jedne drugim zgodnie z pewnym łańcem, który sam ustanowiłem.

Bywa tak, że świątynię zburzą, aby z jej kamieni wystawić inną. To zwykła rzecz: śmierć i narodziny. Ale nie opowiadaj mi o wolności kamieni. Gdyż wtedy nie ma w ogóle świątyni.

Nie rozumiem, dlaczego oddzielać przymus od wolności. Im więcej wytyczę dróg, tym większą masz swobodę wyboru. A przecież każda droga jest przymusem, gdyż ogrodziłem ją z obu stron płotem. Ale co nazwiesz wolnością, jeżeli nie będzie dróg, między którymi możesz wybierać? Czy wolnością nazwiesz prawo błąkania się po pustkowiu? Ilekroć powstaje przymus jakiejś drogi, powiększa się wolność.

Nie mając instrumentu, nie masz swobody w wykonywaniu melodii. Nie mając obowiązku wyrzeźbienia nosa i uszu, nie masz możliwości wyrzeźbienia uśmiechniętej twarzy. A uśmiech, który jest delikatnym owocem wytwornych cywilizacji, wzbogaca się o ich słupy graniczne, ograniczenia i reguły. Większa jest

swoboda wewnętrznego życia w moim pałacu niż w nędznej norze — mieszkaniu ostatniej hołoty.

Różnica polega tu przede wszystkim na zobowiązaniach, jak na przykład obowiązku ukłonu składanego królowi. Kto chce wznieść się w hierarchii społecznej i wzbogacić się, i głębiej przeżywać, prosi przede wszystkim o to, aby go poddać przymusowi. Narzucony rytuał rozszerza twoją duszę. I dziecko, smutne, patrząc, jak inni się bawią, domaga się przede wszystkim reguł gry, bo tylko dzięki nim może kimś się stać. Ale smutny jest człowiek, który słyszy bijący dzwon, ale nikt od niego nic nie oczekuje. A kiedy brzmi trąbka, smutno ci, jeżeli nie musisz zrywać się, i widzisz, jak inni, szczęśliwi, mówią: usłyszałem apel, który mnie wzywa, więc wstaję. Ale są tacy, dla których nie ma głosu dzwonów ani dźwięku trąbki, i ci są smutni. Wolność dla nich to tylko wolność nie-bycia.

## LXXXIV

W błędzie są ci, którzy mieszają ze sobą różne języki; gdyż może oczywiście brakować czasem jakiegoś określenia tak jak jakiegoś odcienia zieleni — zieleni młodego owsa — i może znalazłbym ten epitet w języku sąsiada; ale tu chodzi o znaki. Tak więc mogę oznaczyć jakość mojego uczucia mówiąc, że ta kobieta jest piękna. Albo oznaczyć zaletę przyjaciela, mówiąc, że cechuje go dyskrecja. Ale w ten sposób nie wnoszę nic bliskiego życiu. Tylko rozważania nad nieożywionym przedmiotem.

Istnieją ludy, które z bogactwa różnych jakości stworzyły jakość nadrzędną. Które nadały nazwę własnemu rysunkowi rysując go na tym samym co inni materiale. I które mają słowo na jego określenie. Jest więc — być może — słowo, które potrafi oznaczać melancholię, ogarniającą cię bez powodu, gdy siedzisz wieczorem przed progiem, a słońce już nie pali i nadchodzi noc, i ty udajesz się na spoczynek, melancholię, która jest lękiem życia, gdy oddechy dzieci tak łatwo mogą się zmienić w chorobliwe dyszenie, jak przy wspinaczce pod górę, kiedy nadchodzi lęk, że one ustaną w drodze, i chciałbyś je wziąć za rączkę, żeby dopomóc. I takie słowo, gdyby go często używać, stałoby się wyrazem twojego doświadczenia i dziedzictwem całego plemienia.

Ale na ogół słowa nie przynoszą nic, czego byś wcześniej nie znał. I mowa ze swej istoty nie jest przeznaczona do przynoszenia już gotowych całości; nie będzie więc malować kwiatu na różowo, ale przy pomocy najprostszych słów będzie podejmować dzieło powiązania ciebie ze światem; i nie będzie mówić, że kobieta jest piękna, ale że sprowadza do serca taką ciszę, jak szmer fontanny w popołudniowy czas.

Powinieneś więc wspierać prace zrodzone z ducha twojego plemienia, które w zgodzie z tym duchem budują tkanę związków, tak jak plecionkę wiklinowych koszy albo sieci rybackich. Lecz jeśli będziesz mieszał ze sobą obce sobie języki, nie wzbogacisz człowieka, ale go ograbisz: zamiast wyrażać życie w jego twórczych działaniach, proponujesz mu w ten sposób działanie niejako gotowe i zużyte: wtedy zamiast rewelacji, którą może być pewien odcień zieleni, tak jak widok młodego jęczmienia po powrocie z pustyni karmi cię i odmienia widzenie



świata, posłużysz się słowem już gotowym, jakby wyciągniętym ze spichlerza, które pozwoli oznaczyć rzecz, ale jej nie ujmie.

\* \* \*

Próżna bowiem jest ambicja, starająca się nazwać wszystkie kolory przy pomocy nazw, które je oznaczają, i wszystkie uczucia — nadając im nazwy, gdy przecież uczucia człowiek przeżywa, a słowo streszcza doświadczenia wielu pokoleń i wiele najgłębszych nastrojów, jak na przykład smak wieczoru. Nie można ich więc brać przypadkowo z różnych terenów, gdzie były wypowiedane, w nadziei, że władanie tym uniwersalnym bełkotem wzbogaci człowieka. Albowiem jedyne prawdziwe bogactwo i boską naturę człowieka stanowi nie prawo korzystania ze słownika, ale wyjścia z siebie dla osiągnięcia swojej istoty — na co właśnie nie ma żadnego słowa, gdyż po pierwsze słowa nic by tu nie powiedziały, a po drugie trzeba by ich więcej, niż jest ziarenek piasku na wszystkich plażach.

W porównaniu z tym, co chciałbyś wypowiedzieć, czym są słowa skradzione i wnoszące zgniliznę w twój język?

\* \* \*

Albowiem nazywać się dają tylko wierchy samotne, wyróżniające się wśród reszty gór, dzięki którym świat wydaje się bardziej przejrzysty. I może się zdarzyć, że tworząc przyniosę ci parę nowych prawd, a wypowiedziawszy je w słowach, sprawię, że staną się w twoim sercu niby imię nowego bóstwa. Gdyż bóstwo wyraża pewien wzajemny stosunek wartości, których elementy nie są nowe, ale stają się nowe dzięki niemu.

I tak pojąłem prawdę. I dobrze, jeśli żelazem wypiszę w twoim sercu litery, dzięki którym staniesz się może większy, gdyż lękam się, abyś z czasem nie zbłądził.

Wiedz jednak, że poza owymi zwornikami sklepienia, które kto inny, nie tyś, mi odsłonił, słowami nie możesz oznaczyć nic, co by wyrażało twoją istotę i życie. A jeżeli odmalujesz czerwone niebo i błękitne morze, nie obiecuję, że się wzruszę — zbyt łatwe by to było wzruszenie!

Żeby mnie wzruszyć, musisz mnie zniewolić więzami mowy i dlatego styl jest rzeczą boską. Gdyż wtedy narzucasz mi własną strukturę duchową i rytm twojego życia, które są niepodobne do niczego na świecie. Bo choć wszyscy mówią o gwiazdach, źródle i górach, nikt dotąd nie kazał ci wspinać się na góry, aby pić przezyste mleko ze źródła gwiazd.

Lecz jeśli znasz przypadkiem język, w którym te słowa istnieją, to znaczy, że niczego nie wymyśliłem i nic żywego nie dałem. Nie obciążaj się więc słowami, jeśli nie mają ci służyć na co dzień. Bo słowa nieprzydatne w cowieczornej

modlitwie są jak fałszywi bogowie. Lecz jeśli się zdarzy, że jakiś obraz otworzy ci oczy na światło, będzie jak górską turnią, skąd krajobraz wydaje się spoczywać w ładzie, i jak podarek z rąk Boga — temu obrazowi nadaj imię, abyś go zapamiętał.

## LXXXV

Ogarnęło mnie nieprzeparte pragnienie kształtowania dusz. I nienawiść do czcicieli tego, co zwyczajne. Jeżeli bowiem powiesz, że służysz rzeczywistości, cóż innego możesz dać człowiekowi poza strawą, która jest niemal taka sama w różnych cywilizacjach. (A o wodzie mówiłem, że może się stać pieśnią!)

Satysfakcję z władania jakąś ziemią zawdzięczasz wyłącznie strukturom mojej myśli, które w danym momencie do niczego ci nie są przydatne, ale napełniają cię zachwytem zgodnie z utrwalonym obrazem tego, czym jest ojcowizna. A zadowolenia, nawet czerpanego we własnej próżności, nie znajdujesz w namacalnych przedmiotach, które do niczego nie są przydatne i którym nawet barwę nadaje światło mojego królestwa.

I czy powiesz mi, że płatna prostytutka będzie dla twoich nocy tym samym napojem, co podobne do jej ciała ciało tej, która przez piętnaście lat była skąpana w woniach i olejkach i którą nauczono poezji, wdzięku i milczenia, zdolnego tyle ogarnąć, budującego pod jej gładkim czołem krainę śpiewających fontann?

I zubożysz sam siebie, jeżeli twierdząc, że wzbogaci cię łatwa zdobycz (bo mniej trudu kosztuje kształtować prostytutkę niż duszę księżniczki), nie będziesz rozróżniał jednej od drugiej.

Niewykluczone, że nie będziesz umiał ocenić uroku księżniczki, ponieważ także poezja nie jest ani darem, ani zdobytym bogactwem, ale twoim własnym wstępowaniem w górę; niewykluczone, że nie zniewala cię wdzięk ruchów, podobnie jak w przypadku muzyki, której nie zrozumiesz bez wysiłku — ale to nie dowód, że ona mało warta, ale że ty po prostu nie istniejesz.

Ogarniając ludzi milczącą miłością, słuchałem, jak mówią. Widziałem, jak się wzruszają. Widziałem, jak w kłótniach lśniła stal noży. Jakkolwiek byli nędzni i nędzne były ich nory, nigdy nie stwierdziłem, aby — poza żądzą pokarmu — obchodziły ich dobra, które by miały sens poza ich językiem. Gdyż kobieta, dla której jesteś gotowy zabijać, jest czymś więcej niż tylko ciałem, jest jakąś twoją osobistą ojczyzną, poza którą czujesz się wygnańcem pozbawionym wszelkiego znaczenia. Gdyż nagle okazuje się, że imbryk, w którym parzy się wieczorem herbata, gotów z jej powodu stracić także wszelki sens.

\* \* \*

Jeżeli jednak, działając głupio, dasz się zmylić pozorom i widząc, jak ludziom jest miły ów imbryk wieczornej herbaty, zaczniesz go czcić dla niego samego, a człowieka uczynisz niewolnikiem, aby go produkował, nie będzie ludzi, którzy mogliby go kochać, i będzie to katastrofa i dla człowieka, i dla przedmiotów.

Podobnie się stanie, jeśli rozcłonkujesz oblicze człowieka widząc w nim oddzielnie dziecięcą łagodność, cześć, z jaką przystępujemy do łóża chorego, milczenie wiernych skupionych wokół ołtarza i powagę macierzyństwa. Wtedy — w trosce o liczbę — wystawisz szopy i obory, i zamkniesz w nich stada kobiet, aby rodziły.

I zgubisz wtedy na zawsze to, o co zamierzałeś dbać; albowiem, jaki sens ma wahanie się pogłowia, jeżeli jest to bydło na opas.

Ja chcę kształtować duszę ludzką, zakreślam jej granice i stawiam tamy, i rysuję ogrody. A w imię kultu dziecka i jego znaczenia w ludzkim sercu być może będę na pozór mniej dbał o liczbę, ponieważ nie wierzę wcale w ludzką logikę, lecz w naturalną skłonność uczuć ludzkich.

Jeśli jesteś, sam budujesz drzewo twojego życia, a jeżeli ja obmyślam i kształtuję drzewo, to przecież tylko ziarno ci przedstawiam. Kwiaty i owoce śpią w nim potencjalnie jak w morzu możliwości. Jeśli się rozwijasz, to według linii nie obmyślonych wcześniej przeze mnie, bo wcale się tym nie zajmowałem. I będąc, możesz się stawać. A twoja miłość stanie się dziecięciem tej miłości.

## LXXXVI

I potykałem się jakby o próg, ponieważ są epoki, kiedy język nic nie potrafi ująć i nic przewidzieć. Istnieją ludzie, którzy ukazują mi świat niczym rebus i wymagają, abym go im wyjaśnił. Ale nie ma czegoś takiego jak wyjaśnienia i świat nie ma sensu.

„Czy trzeba się poddać, czy walczyć?” Trzeba się poddać, żeby przeżyć, a walczyć po to, żeby nadal żyć. Pozwól życiu biec swoim tokiem. Bo taka jest nędza naszych dni, że prawda o życiu, która jest jedna, znajdzie sobie wyraz w przeciwnych sobie formach. Ale nie rób sobie złudzeń: taki, jaki jesteś, jesteś już martwy. Sprzeczności w tobie należą do procesu przemiany, a także rozdarcie, i cała twoja nędza. Trzaska twoja łupina i pęka. A twoje milczenie jest milczeniem ziarna złożonego w ziemię, gdzie gnije, aby się stać żdźbłem zboża. A twoja jałowość jest jałowością poczwarki. Odrodzisz się piękniejszy o skrzydła.

Stojąc na wierzchołku góry, gdy w dole wszystkie problemy zdają się uładowane, pytasz sam siebie: „Jak to możliwe, że nie rozumiałem od początku?” Tak jak gdyby od początku było coś do zrozumienia.

## LXXXVII

Nie otrzymasz żadnego znaku — albowiem właściwością bóstwa, od którego znaku pragniesz, jest właśnie milczenie. Kamienie nie wiedzą nic o świątyni, na którą się wspólnie składają, i nie mogą wiedzieć. Ani kawałek kory — o drzewie, które składa się z wielu innych jeszcze kawałków. Ani drzewo, ani domostwo — o ojcowiznie, która składa się z wielu drzew i domostw. Ani ty — o Bogu. Bo w tym celu świątynia musiałaby się objawić kamieniom, i drzewo — korze, co jest pozbawione sensu, ponieważ kamień nie posiada języka, w którym takie objawienie mogłoby się dokonać. Mowa, którą mówi drzewo, ma wymiar drzewa. Oto, co odkryłem w tej podróży ku Bogu.

\* \* \*

Wciąż sam, zamknięty w sobie i stojący naprzeciw siebie.

I żadnej nadziei, żebym sam wyszedł z samotności. Kamień nie ma żadnej nadziei bycia czymś innym niż kamieniem. Ale współdziałając z innymi kamieniami, tworzy całość i staje się świątynią.

Nie mam też nadziei na ukazanie się archanioła, gdyż albo jest on niepodzielny, albo go nie ma wcale. A ci, którzy oczekują znaku od Boga, oczekują jakby odbicia w lustrze i zobaczą w nim tylko siebie samych. Ale kiedy obejmuję miłością mój lud, czuję przemieniający mnie żar. I to jest znak zesłany od Boga. Bo gdy tylko zapadnie cisza, będzie prawdą dla wszystkich kamieni.

Dlatego też ja sam, poza obrębem wszelkiej wspólnoty, nie mam żadnej wartości i nie potrafię znaleźć w sobie zaspokojenia.

Dlatego bądźcie jak ziarna zboża złożone na zimę w spichlerzu, aby tam spały.

## LXXXVIII

Albo odmowa tego, co nas przekracza:

— Ja — mówią — ja. . .

I klepią się po brzuchu. Jakby ktoś w nich był obecny, jakby ktoś przez nich istniał. Tak jakby kamienie z murów świątyni zechciały mówić: Ja, ja, ja. . .

Tak samo ludzie, których skazałem na pracę w kopalniach diamentów. Ich pot, wysiłki, otępienie zmieniały się w diament i w blask. Istnieli dzięki diamentowi, który nadawał ich życiu sens. Ale pewnego dnia zbuntowali się. Zaczęli mówić: „Ja, ja, ja!” Nie chcieli dłużej poddawać się władzy diamentu. Nie chcieli się stać. Chcieli natomiast sami siebie czcić. Zamiast diamentu sami siebie postawili na piedestale. Byli teraz szpetni — albowiem piękni byli tylko w diamencie. Jak kamienie są piękne w świątyni. A drzewo — piękne, kiedy jest częścią ojcowizny. A rzeka piękna, kiedy jest częścią królestwa. I o rzece śpiewają: ozywicielko naszych stad, powolny krwiobieg naszych pól, przewodniczko łodzi. . .

Ci ludzie zaś zaczęli się uważać za ostateczny cel. Przestali się odtąd interesować tym, co im służyło, i tym, co wyższe od nich i czemu oni sami służyli.

I dlatego pomordowali książąt, rozbili w proch diamenty, żeby je rozdzielić między siebie, i zamknęli w lochach tych, którzy szukali prawdy i wobec tego mogliby któregoś dnia nad nimi zapanować. Przyszła pora, powiadali, aby świątynia służyła kamieniom. I zdawało się im, że się wszyscy wzbogacili, bo każdy zabrał dla siebie kawałek świątyni; ale wszyscy stali się ubożsi o własny udział w tym, co boskie; sami, jak zwykle okruchy muru!

## LXXXIX

Ty jednak pytasz:

— Gdzie zaczyna się i gdzie kończy niewolnictwo? Gdzie zaczyna się to, co powszechne, i gdzie się kończy? I gdzie zaczynają się prawa człowieka? Znam bowiem prawa świątyni, która jest sensem kamieni, i prawa królestwa, które jest sensem ludzi, i prawa poezji, która jest sensem słów. Ale nie uznaję praw kamieni wymierzonych przeciwko świątyni, ani praw słów — przeciwko poezji, ani praw człowieka — przeciwko królestwu.

Nie ma czegoś takiego jak egoizm — jest tylko okaleczenie. I człowiek, który idzie sam, powtarzając: „Ja, ja, ja...”, jest jakby nieobecny w królestwie. Podobnie kamień odrzucony daleko od świątyni, słowo pojedyncze poza poematem albo kawałek ciała.

— Ale — powiadają niektórzy — można znieść królestwa i połączyć ludzi w jedną świątynię i wtedy nabiorą sensu wchodząc w skład jakiejś większej świątyni...

— Nic nie rozumiesz — odpowiadał wtedy ojciec. Bo najpierw widzisz, jak kamienie składają się na ramię i uzyskują swój sens. Inne składają się na pierś, a jeszcze inne na skrzydło. A wszystkie razem tworzą kamiennego anioła. Inne, zebrane razem, tworzą łuk. Inne — kolumnę. A teraz, jeśli weźmiesz te kamienne anioły, łuki i kolumny, wszystko razem złoży się na świątynię. Z kolei jeśli weźmiesz wszystkie świątynie, stworzą razem miasto święte, które cię prowadzi w drodze przez pustynię. A ty sądzisz, że zamiast poddać kamienie porządkowi, aby powstało z nich ramię, pierś i skrzydło posągu, a potem ramię, pierś i skrzydło poddać porządkowi, aby powstał z nich posąg, a posągi — aby stworzyły świątynię, a świątynie — aby stworzyły miasto święte, lepiej będzie poddać od razu wszystkie kamienie i z ich wielkiej a jednorodnej pryzmy stworzyć święte miasto. Tak jakby światło i siła świętego miasta, która jest jednością, nie rodziła się z różnorodności kamieni. Tak jakby świetność kolumny, która jest jednością, nie rodziła się z kapitelu, trzonu i podstawy, które są różne. Bo im wyższa jest prawda, tym z bardziej wysoka musisz patrzeć, aby ją ująć w całość. Życie jest jedno, tak samo jak pochyłość lądu ku morzu, a przecież — na innej płaszczyźnie, i potencjalność Bytu wciela się w Byt, inny na każdym szczeblu. Statek żaglowy



jest całością składającą się z różnych części. Podejdź bliżej — zobaczysz żagle, maszty, rufę i dziób, i bukszpryt. Jeszcze bliżej — a w każdej z tych części — liny, zaczepy, deski i gwoździe. A każda z tych części może być jeszcze dalej rozłożona.

A moje królestwo, podobnie jak każde zwykłe miasto i jak wojskowe parady, wszystko to nie ma w sobie żadnego sensu ani prawdziwego życia, jeżeli jest tylko szeregiem równo ułożonych kamieni. Ale najpierw jest twój dom rodzinny. Z wielu domów — rodzina. Z rodzin — plemię. Z plemion — prowincja. Z prowincji — moje królestwo. I widzisz to królestwo, pełne życia i żaru, ze wschodu na zachód i z północy na południe, podobne do żaglowca na morzu żywiącego się wiatrem i zmierzającego do celu, który jest niezmienny, choć zmienne są wiatry i choć żaglowiec składa się z tylu części.

A teraz przedłużaj to budowanie z części: bo możesz brać królestwa, aby się stały razem jak jeden wielki statek, obejmujący wiele statków i niosący je w jednym kierunku, żywiący się wiatrami różnymi i zmiennymi; ale niezmiennie trwa bukszpryt na dziobie, wymierzony w gwiazdy. Jednoczyć, to tyle, co mocniej wiązać ze sobą różnorakie części, a nie zacierać różnorodność, aby osiągnąć jałowy ład.

\* \* \*

Nie istnieją bowiem poszczególne szczeble, same w sobie. Wymieniłeś niektóre. Mógłbyś wymienić inne, które by zawierały w sobie te pierwsze.

## XC

A przecież niepokoisz się czasem, ponieważ widziałeś, jak zły tyran uciska ludzi. I lichwiarz trzyma ich w niewoli. A budowniczy świątyń, czasami zamiast służyć Bogu, sobie służy i dla własnej korzyści wyciska z ludzi pot. I nie widziałeś, żeby ludzie mieli przez to wzrastać.

Albowiem niedobre było ich dzieło. Nie chodzi wszakże o to, aby budować wzwyz i z przypadkowych kamieni tworzyć ramię czy kamiennego anioła. Z przypadkowych aniołów, kolumn i luków — świątynię. Wtedy mógłbyś zatrzymać się, wedle twojej woli, na każdym szczeblu budowy. Wcale nie lepiej jest poddawać ludzi świątyni niż jednemu posagowi. Albowiem ani tyran, ani lichwiarz, ani posąg, ani świątynia nie są czymś, co mogłoby objąć człowieka bez reszty i wzbogacić go w zamian za dobra, które on przynosi.

To nie pierwiastki zawarte w ziemi i przypadkowo skojarzone, wznosząc się w górę, wydają drzewo. Po to, żeby się narodziło drzewo, rzuciłeś najpierw ziarno, w którym drzewo spało. Drzewo zeszło więc z góry, a nie wyrosło z dołu.

Piramida wzajemnych związków nie ma sensu, jeżeli u jej szczytu nie znajduje się Bóg. To on rozlewa siebie na ludzi, przemieniwszy ich wpierw. Możesz się poświęcić dla księcia, jeżeli on sam korzy się przed Bogiem. Bo wtedy to, co dajesz, wraca do ciebie zmieniając tylko swoją barwę i istotę. Lichwiarz natomiast nie będzie tego umiał, ani oddzielne ramię posagu, ani sama świątynia, ani sam posąg. Skąd bowiem ramię, jeżeli nie pochodzi z jakiegoś ciała? Ciało nie jest wcale luźnym zbiorem członków. Tak jak żaglowiec nie rodzi się z przypadku zebranych razem różnych elementów, ale — przeciwnie — jest wynikiem różnorodności, pozornych sprzeczności, ale i jednego wspólnego pędu ku morzu, tak samo i ciało różnicuje się w poszczególne członki, ale nie jest ich sumą, albowiem droga nie prowadzi od tworzywa do całości, ale — jak ci to powie każdy twórca, każdy ogrodnik i każdy poeta — od całości do tworzywa. Toteż wystarczy zapalić w ludziach miłość ku wieżom górującym nad piaskami, aby niewolnicy niewolników moich architektów obmyślili, w jaki sposób transportować kamienie oraz wiele innych rzeczy.

## XCI

Nie uznawać, że prawo jest znaczeniem rzeczy, a nie mniej lub bardziej jałowym rytuałem powstałym okazjonalnie w wyniku istnienia tych rzeczy, to poważny błąd. Z ustawodawstwa dotyczącego miłości wyprowadzam określony kształt miłości. Właśnie przymusy, jakie jej narzucam, rysują sylwetkę mojej miłości. Prawo może więc być równie dobrze obyczajem jak żandarmem.

## XCH

Oto noc widziana ze szczytu murów obronnych, kiedy czuję miasto poddane mojej potędze. Kiedy garnizony, które obsadziłem w miastach mojego królestwa, utrzymują między sobą łączność paląc na górach ognie, a straże chodzące wzdłuż obwarowań czasem nawołują się wzajemnie. A każdą ogarnia tęsknota i nuda. (Później jednak zauważy, że te kroki nadawały sens jej istnieniu; bo nie ma mowy sprawiającej, by kroki straży budziły echo w jej sercu, żaden patrol nie wie, co robi, każdemu zdaje się, że to tylko nuda i tęsknota, i oczekiwanie na porę wieczery. Ale ja dobrze wiem, że słowom ludzkim nie ma co przypisywać większego znaczenia i że myślą się straże, które ziewając marzą o wieczornej stawie i uważają swój trud za niewdzięczny obowiązek. Gdyż później, w porze posiłku, strażnicy, jedząc, poszturchują się tylko, a gdybym ich zamknął tu, dokoła koryta z jadłem, byłiby jedynie stadem bydła.)

Oto noc, kiedy na murach królestwa zaczynają się rysować szczeliny i cięży ciemność, bo na górach pogasły ognie i noc może zwyciężyć, gasząc je, jeden po drugim, a wtedy królestwo padnie w gruzy, a ten upadek rzuci groźbę nawet na miskę wieczornej stawy i na pocałunek, jaki matka składa na czole dziecka. Bo będzie to już inne dziecko, jeśli nie będzie dzieckiem królestwa i jeśli całując je, nie czci się za jego pośrednictwem Boga.

Kiedy grozi pożar, używa się zapór. Z moich wiernych wojowników uczyniłem żelazny krąg i wszystko, co w nim zamknąłem, zostało zmiażdżone. Cóż z tego, że jedno pokolenie zamieniłem w krąg płonących stosów. Trzeba ocalić świątynię — sens rzeczy. Życie mnie nauczyło, że ani okaleczone ciało, ani nawet śmierć nie są prawdziwą torturą. Ale im większe rozmiary świątyni, nadającej sens ludzkim czynom, tym straszliwszy jej upadek. I jeśli zamkniecie w dalekim więzieniu człowieka, który wyrósł w wierności królestwu, będzie sobie ranić ręce o kraty i odmawiać nawet napoju, gdyż jego mowa straciła wszelki sens. Bo kto, jeśli nie on, tak boleśnie raniłby sobie ręce o kraty? A jeśli ktoś, wychowany w głębokim poczuciu więzi rodzinnej, widzi syna, który wpadł do spienionej rzeki, a wy go przytrzymujecie na brzegu, jak się wam wyrzywa i jak strasznym głosem krzyczy i chce się rzucić w odmęty — bo jego mowa traci sens. Ale pierwszy czuje się pełen dumy i dostojeństwa w dniu święta narodowego, a drugi cały

jaśniej radością w dniu imienin syna. I najcięższe cierpienia przychodzą z tej samej strony co najwznioślejsza radość. Albowiem i cierpienia, i radości to owoc twoich więzi, a więzi są owocem struktur, jakie ci narzuciłem. Ja zaś chcę ocalić ludzi i zmusić ich, aby istnieli, nawet jeśli mam im zadać ból: więzieniem, które oddala od rodziny, wygnaniem, które oddala od królestwa; a jeżeli będziesz mi wyrzucał ten zadawany ból, bo kochasz rodzinę i królestwo, odpowiem ci, że postępujesz nierozumnie, ponieważ ja właśnie ocalam to, co ci pozwala istnieć.

Przejsiowe pokolenie, w twoim ręku świątynia, której może nie potrafisz dojrzeć, gdyż brak ci dystansu, ale ona nadaje wymiar twojemu sercu i siłę — słowem — i jest wielkim płomieniem twoich radości. Dzięki tobie ocalę świątynię. Czyż nie takie znaczenie ma żelazny krąg wojowników?

Nazwano mnie sprawiedliwym. I jestem sprawiedliwy. Jeżeli przelewałem krew, to żeby ugruntować moją łaskawość, nie surowość. Albowiem mogę błogosławić człowieka, który się dziś przede mną chyba w pokłonie. I odchodzi w pokój, wzbogacony błogosławieństwem. Ale co zyskuje ten, co wątpi w moją moc? Jeśli podniosę nad nim błogosławiącą dłoń, aby przyjął miód mojego uśmiechu, nie potrafi go przyjąć. Gdyż wołanie: „Ja, ja, ja. . .”, na które nie doczeka się odpowiedzi, nie wzbogaci jego samotności. Jeżeli strąci mnie ze szczytu murów, nie mojej osoby będzie przede wszystkim pozbawiony, ale słodkiego poczucia synostwa. Pokoju, jakie daje błogosławieństwo. Przepczystej wody, jaką dla serca jest przebaczenie. Ucieczki, sensu istnienia, opiekuńczego pasterskiego płaszcza. Niech klękają, abym mógł im się ukazać piękny, niech czczą moją wielkość, abym mógł ich podnieść do wielkości. Jaki więc sens mówić o mnie?

Nie każę ludziom służyć mojej chwale, bo korzę się przed Bogiem, a Bóg, sam doznając chwały, otacza ich w zamian swoim blaskiem. Nie posługiwałem się ludźmi, żeby służyć królestwu. Ale królestwem — żeby budować człowieczeństwo ludzi. Jeżeli przyjmowałem od nich jako sobie należny owoc ich pracy, to aby go przekazać Bogu i aby zwrócić go im jako dobrodziejstwo. I oto z moich spichlerzy płynie strumień ziarna — nagrody. I staje się zarazem pokarmem, światłem, pieśnią i pokojem.

I tak jest z każdą rzeczą ludzką, ponieważ pierścień zawiera w sobie sens małżeństwa, obozowisko — sens plemienia, świątynia — sens Boga, a rzeka — sens królestwa.

W przeciwnym razie czym byłoby ludzkie posiadanie?

\* \* \*

Królestwa nie buduje się z tworzywa, ale tworzywo wbudowuje się w królestwo.

## XCIH

Są ludzkie istoty i jest wierność. Wiernością nazywam więź pomiędzy ludzkimi istotami, tak jak to jest w przypadku młyna, królestwa albo świątyni, albo ogrodu, bo wielki jest ten, kto dochowuje wierności ogrodowi.

I oto przychodzi człowiek nic nie rozumiejący z rzeczy naprawdę ważnych i ulega złudzeniu fałszywej wiedzy, który pragnie dowodzić, aby poznawać (poznawać, ale nie pojmować, gdyż brakuje owej wiedzy, podobnie jak literom w książce, jeśli zostały pomieszane, rzeczy najistotniejszej — obecności. Jeżeli pomieszasz litery, zatrzysz obecność poety. A jeśli ogród będzie tylko pewnym zbiorem elementów, zatrzysz obecność ogrodnika). Wtedy człowiek odwołuje się do ironii, a to jest broń właściwa hultajstwu. Albowiem polega na mieszanu liter w książce, a nie na jej czytaniu. Człowiek więc pyta: „Po co umierać za świątynię, która jest tylko zbiorem kamieni?” I nie wiadomo, co mu odpowiedzieć. „Po co umierać za ogród, który jest tylko zbiorem drzew i ziół?” I nie wiadomo, co mu odpowiedzieć. „Po co umierać za litery alfabetu?” I ty sam, czy byś się zgodził tak umierać?

W rzeczywistości jednak ironia niszczy wszystkie twoje bogactwa, jedno po drugim. Nie chcesz więc umierać, a zatem i kochać, i tę decyzję nazywasz postępowaniem rozumnym, a tymczasem jesteś nieuk i zadajesz sobie niemało trudu, żeby zburzyć to, co było zbudowane, i roztrwonić to, co było najcenniejsze — sens nadany rzeczom.

A ów człowiek pyszni się, choć jest tylko rabusiem, ponieważ swoim postępowaniem nie tworzy nic, w przeciwieństwie do twórcy, co wygładzając zdanie wykuwa swój własny styl, który mu pozwoli wygładzać w przyszłości również inne zdania. Ten pierwszy potrafi cię zaskoczyć krusząc posąg, abyś się zdumiał okruchami marmuru; i świątynia, która ci się wydawała przybytkiem zadumy i ciszy, okazuje się kupą żwiru i nie zasługuje już na to, aby za nią umierać.

A kiedy zostałeś już nauczony, jak się zabija bogów, nie zostaje ci nic, czym mógłbyś oddychać i czym mógłbyś żyć. Gdyż w przedmiocie ważny jest przede wszystkim odcień, jaki mu nadaje określona kultura. I tak jest z kamieniami domowego ogniska, które wyobraża miłość, i z gwiazdą, która mówi o Królestwie Bożym, i z przekazywanym ci obowiązkiem oddawania czci królowi. I z herbem,

który jest godłem dynastii. Ale po co ci jakiś tam kamień, jakiś obowiązek, jakiś znak, jeśli nie wyjaśniono ci ich znaczenia?

I wtedy, idąc coraz dalej w dziele zniszczenia, zapadasz wreszcie w nicość, bo ona staje się jedynym możliwym odcieniem, kiedy wszystko, co było zawartością, przestaje być pokarmem. Wtedy, kiedy zabraknie jakiegokolwiek sensu nadawanego z zewnątrz, musisz w sobie samym znaleźć sens, który mógłbyś nadać przedmiotom. Odtąd sam jeden swoim skąpym światłem będziesz nadawał odcień rzeczom. Twoje zatem jest nowe ubranie. I stada bydła. I twój — dom zasobniejszy niż ten, który miałeś przedtem. Ale wtedy wszelka własność innych, ich odzież, stada, domostwa, stają ci się wrogie. Stają naprzeciwko ciebie jak królestwo podobne a przeciwstawne. Musisz odtąd sam w sobie, na tym pustkowiu, znajdować zadowolenie, ponieważ za tobą nie ma nikogo. I skazany jesteś na to, aby krzyknąć: „Ja, ja, ja. . .” w pustce, skąd nie przyjdzie żadna odpowiedź.

Jeśli ogrodnik po prostu kocha swój ogród, nie będzie się nim pysznił — nie spotkałem dotąd takiego.

## XCIV

Ukazanie się Boga nadaje barwę rzeczom.

Jeżeli odejdzie, wszystko nagle ulegnie zmianie. Na co dzienny zarobek, jeśli nie można upiększyć dzięki niemu następnego dnia? Zdawało ci się, że dzięki niemu coś posiadasz, ale oto nie ma nic, co można by posiadać. Na co ten czajniczek z czystego srebra, jeżeli nie posłuży do ceremonii parzenia herbaty w jej obecności, zanim dacie sobie wzajemnie miłość? Po co wiszący na ścianie flet z bukszpanowego drewna, jeżeli nie będziesz jej na nim grał? Po co ci dłonie, jeżeli nie możesz w nich ukryć usypiającej ukochanej twarzy? Jesteś jak kram, pełen towarów przygotowanych na sprzedaż, ale wszystkie one na nic jej, a więc i tobie. Każdy przedmiot opatrzony etykietką, ale i każdy czeka, aby zacząć żyć.

A także godziny, które są samym oczekiwaniem na lekki krok, a potem na uśmiech we drzwiach, a jest to uśmiech podobny do miodowego kołacza, który miłość daleko od ciebie przygotowała w ciszy, a którym ty nasycisz swój głód. Godziny inne od momentów pożegnania, kiedy trzeba się rozstać. Inne od godzin snu, w ciągu których odżywa twoje pragnienie.

A tu nie ma już świątyni, tylko bezładnie rzucone kamienie. I nie ma ciebie. A nawet wiedząc, że może zapomnisz i zbudujesz następną świątynię — bo takie jest życie — czy umiałbyś zrezygnować z tego, że znów się w nim pojawi imbryk herbaty i dywan z puszystej wełny, i godziny poranne, południowe, wieczorne, i że życie znowu nada sens twoim dziennym zarobkom i zmęczeniu; i że znowu będziesz mógł być blisko albo daleko, że będziesz się zbliżał i oddalał, coś gubił i coś znajdował. Bo kiedy ona nie jest dla ciebie zwornikiem sklepienia, nie pomoże ci nic: nie możesz ani się zbliżyć, ani oddalić, ani zgubić, ani odnaleźć, ani iść dalej, ani się cofać.

I choć ci się zdaje, że coś cię łączy z przedmiotami, że możesz je brać i pragnąć ich, oczekiwać, niszczyć, rozdawać, zdobywać i posiadać, mylisz się: nie bierzesz ich, nie trzymasz, nie gubisz, nie znajdujesz, nie oczekujesz i pragniesz tylko tego światła, które nadaje im słońce. Gdyż nie ma mostu pomiędzy rzeczami i tobą, a tylko pomiędzy tobą i niewidzialnym obliczem, które za każdym razem jest obliczem Boga, albo miłości, albo królestwa. A jeśli jesteś marynarzem żeglującym po morzu, to dlatego, że jakieś oblicze z nieobecności uczyniło skarb, i dlatego



że stare pieśni galerników mówią o powrocie, a także opowieści o zaczarowanych wyspach i rafach koralowych, hen, daleko. Powiadam ci: w śpiewie fal brzmia dla ciebie pieśni wioślarzy dawnych galer, choć nie ma już galer ani koralowych raf, i choć twoje żagle nigdy cię tam nie doniosą, ich barwa zabarwi zmierzchy, które ty przeżyjesz na morzu. A opowieści o zatopionych statkach, nawet jeśli sam nigdy nie przeżyjesz katastrofy, zamienią skargę morza, gdy bije o przybrzeżne skały, w żałobną muzykę, towarzyszącą grzebaniu umarłych. W przeciwnym razie ziewałbyś tylko ciągnąc suche liny; a oto krzyżujesz ręce na piersi i ogromem dorównujesz morzu. Bo wszystko musi być najpierw obliczem, kulturą albo świątynią zbudowaną dla twojego serca.

Dlatego też nie chcesz wyrzec się siebie, kiedy — tak długo żyjąc jakąś miłością — czujesz, że tylko ona nadaje ci sens.

\* \* \*

I dlatego mury więzienia nie potrafią uwięzić tego, kto kocha, bo on jest z innego królestwa, które nie jest królestwem rzeczy, ale sensu rzeczy, i które drwi sobie z murów. I gdzieś istnieje jakaś ona, może nawet śpiąca, a zatem jakby nieżywa, która w danym momencie nic mu nie może dać; a jeżeli pomiędzy tym dwojgiem wzniesiesz nawet mury fortecy, ona i tak, w ciszy, w największej głębi swej duszy, będzie mu pokarmem. I nie zdołasz rozdzielić tych dwojga.

Tak właśnie jest ze wszystkim, co widzialne, a co się rodzi z boskiej więzi łączącej ze sobą rzeczy. Nie możesz bowiem niczego otrzymać, jeżeli ci brak tej, której właśnie pragniesz, i ku której unosi cię rozpacz w bezsenną noc, tak samo jak głodny pies, kiedy mu sen odbiera obraz mięsa; albowiem nie narodził się jeszcze taki bóg, który byłby wyłącznie duchem i przechodził mury na wskroś. Ale mówiłem ci już o właścicielu ziemi — ojcowizny, który o świcie przechadza się po zroszonej roli. Nic z owej ojcowizny nie zda mu się w danym momencie. Widzi przed sobą tylko drogę biegnącą dnem jaru. A przecież nie jest człowiekiem takim jak wszyscy inni, ale o wielkim sercu. A oto strażnik królestwa — co ma z niego poza ścieżką biegnącą szczytem murów, po której chodzą strażę, granitem pod gwiazdami? Chodzi po niej tam i z powrotem, a jego ciało jest zagrożone. Czy znasz nędzniejszego człowieka niż ów więzień trasy nie przekraczającej stu kroków? Cięży mu broń, grozi loch, jeżeli usiądzie, a śmierć — jeżeli zaśnie. Zziębnięty na mrozie, zmoczony deszczem, palony niesionym przez wiatr piachem — czego może oczekiwać — chyba tylko lufy niewidocznej w ciemnościach, wymierzonej w jego serce. Czy może być rozpaczliwszy los? Każdy żebrak jest bogatszy od niego: robi, co chce, zadaje się, z kim mu się spodoba, i wszędzie ma prawo szukać sobie rozrywki.

A przecież ów strażnik jest strażnikiem królestwa. I królestwo jest mu pokarmem. Królestwo o tyle większe od żebraka. I nawet jego śmierć nie pójdzie na marne, gdyż wtedy on przemieni się w część królestwa.

Wysyłam więźniów do pracy w kamieniołomach. Tłuką kamień, ale wewnątrz mają nadal pustkę. Czy sądzisz, że takie same kamienie tłuczesz, budując sobie dom? Wznosisz ścianę twojego domu, a każdy ruch jest nie karą, ale śpiewem.

Wystarczy bowiem spojrzeć z innego punktu widzenia i wszystko staje się jasne. Uznasz, to prawda, że miał szczęście ktoś, kto nagle został ocalony od śmierci. A jeżeli staniesz na innym wierzchołku górskim i dojrzysz jego los już spełniony i już związany jak snop zboża, powiesz może, że szczęśliwszy byłby umierając śmiercią, która miała sens.

Podobnie było z ludźmi, których w czasie wojny kazałem pojmać pewnej nocy, żeby wyjawili mi zamiary moich wrogów. „Ja jestem z mojego kraju i twoi oprawcy nic mi nie mogą zrobić...” Mogłem go zmiążyć młyńskim kamieniem, a nie uroniłby ani jednej kropli sekretu, bo był obywatelem swojego królestwa.

— Biedny jesteś — mówiłem mu — i wydany na moją łaskę i niełaskę.

Ale on się śmiał, słysząc, że nazywam go biednym. Bo nie mogłem odjąć mu tego, co posiadał.

Taki właśnie sens ma nauczanie. Bo twoje prawdziwe bogactwo to nie przedmioty, które mają wartość, gdy ich używasz, jak osioł, kiedy wsiadasz na jego grzbiet, miska, z której jesz, ale która traci swój sens, kiedy ją odstawisz na bok. Ani nie to, co bieg wydarzeń potrafi ci odjąć, jak na przykład kobietę, której tylko pożądasz, ale nie kochasz.

Zwierzę istotnie ma dostęp wyłącznie do przedmiotu. Nie do tej barwy, którą przedmiotowi nadaje ludzka mowa. Ale ty jesteś człowiekiem i znajdujesz pokarm w sensie przedmiotu, nie w samym przedmiocie.

A ja cię buduję i podnoszę wzwyż. I w kamieniu ukazuję ci to, co nie jest kamieniem, ale serdeczną intencją rzeźbiarza i dostojeństwem martwego wojownika. I jesteś bogaty tym, że gdzieś istnieje ów kamienny wojownik. A podniósłszy cię jeszcze wyżej buduję dla ciebie domostwo z gór, z owiec i kóz — ojcowiznę. I choć nic z jej bogactw nie służy ci w danym momencie, serce masz jej pełne. Biorę najzwyklejsze słowa i wiążąc je daję ci bogactwo poematu. Biorę rzeki i górskie pasma i budując z nich moje królestwo daję ci zachwyty i uniesienie. A w dniu zwycięstwa duma przepełnia chorych na nędznym łożu, więźniów w lochu, dłużników ściganych przez komorników, gdyż żaden mur, ani więzienny, ani szpitalny nie przeszkadzą otrzymać im daru, gdyż ja z bezkształtnej materii wywiodłem boga, który drwi sobie z murów i który jest silniejszy od katów.

Dlatego też, jak już powiedziałem, buduję człowieka i burzę mury, kruszę kraity i uwalniam go. Albowiem zbudowałem człowieka, który nawiązuje łączność

z innymi i drwi sobie z murów obronnych. I drwi z dozorców więzienia. I drwi z katowskich narzędzi, które go nie zdołają zgnieść.

\* \* \*

To prawda, że nie nawiązujecie łączności jeden z drugim. Ale jeden z królestwem i drugi z królestwem, które dla każdego z was ma inne znaczenie. Jeśli mnie zatem pytasz: jak osiągnąć ukochanej, kiedy dzielą cię od niej mury albo morza, albo śmierć, odpowiem ci tak: na nic się zda wołać do niej dla niej samej; ale wystarczy kochać to, od czego żaden mur cię nie oddzieli: oblicze domu, tacę z zastawą do herbaty i imbryk, i dywan z puszystej wełny, i ją, uśpioną małżonkę, która jest zwornikiem wszystkiego; bo ją możesz kochać nawet daleką i uśpioną.

Dlatego powiadam, że w formowaniu człowieka ważne jest przede wszystkim nie nauczać go (bo to próżny trud, jeśli nie ma być tylko chodzącą księgą), ale kształcić go i prowadzić z jednej płaszczyzny na drugą, coraz wyżej, gdzie nie ma już przedmiotów, ale ich oblicza, zrodzone z boskiej więzi, która łączy ze sobą przedmioty. Albowiem od przedmiotów nie ma czego oczekiwać, jeśli ich głosy nie odzywają się echem w innych przedmiotach i tylko taka muzyka trafia do serc.

Tak też i twoja praca, jeżeli staje się chlebem dla dzieci, albo jeżeli przemienia cię w coś większego od ciebie. Tak też i twoja miłość, jeżeli jest czymś więcej i czymś wyższym niż szukaniem ciała, które daje się objąć, bo radość, którą daje ci ciało, jest zamknięta w samej sobie.

Dlatego najpierw chcę mówić o tym, jaka może być ludzka istota.

Kiedy wracając z piasków pustyni, w smutku gorących nocy udajesz się do dzielnicy łatwych kobiet i wybierasz jedną z nich, aby w jej objęciach zapomnieć o miłości, kiedy ją pieścisz i słuchasz, co mówi, i odpowiadasz, nawet jeżeli była piękna, zaspokoiwszy potrzebę miłości odchodzisz, jak gdyby wyzbyty siebie i nie unosząc nawet wspomnienia.

Ale jeżeli napotykasz przypadkiem taką, która — choć ma tę samą powierzchowność, te same ruchy i wdzięk, i słowa — okaże się księżniczką przywiezioną z dalekiej wyspy przez powolne karawany, która w ciągu piętnastu lat była skąpana w muzyce, poezji i mądrości, która potrafi trwać i płonąć gniewem, gdy obrażona, a w przeciwnościach zachować wierność płonąca; i bogata w to, co w niej niezbywalne, wypełniona świętością, której nie zdradzi, potrafi wydać na śmierć swój wdzięk nieporównany, a nie zechce wypowiedzieć słowa, które chcą jej wydrzeć; a tak jest utwierdzona w szlachectwie duszy, że ostatni jej krok przewyższy dostojnością taniec; jeśli więc ona właśnie, gdy wejdiesz do księżycowej sali o lśniącej posadzce, otworzy ci — czekająca — ramiona i wypowie te same słowa, które tym razem będą wyrazem doskonałości jej duszy. . . powiadam ci: wrócisz o świcie w pustynne piaski i ciernie, już nie ten sam, ale jak śpiew pochwalny.

Bo w ludzkiej istocie nie ma wagi jej nędzna powłoka i myśli wystawione na pokaz jak w kramie, ale dusza — jej obszar wewnętrzny, jej klimat, góry i ciche pustkowia, śnieg spływający w strumienie, zbocza porośnięte kwiatami i senne wody, całe to bogactwo niewidoczne a ogromne. Tej duszy właśnie zawdzięczasz szczęście. Nie możesz się już od niej oderwać. Co innego bowiem żeglować po wąskiej rzeczce, nawet jeśli zamknąwszy oczy odczuwasz kołysanie wód, a co innego podróż po pełnym morzu. I nie tę samą rozkosz daje ci diament fałszywy, co prawdziwy, choć tak są do siebie podobne. I kobieta, co milcząc stoi przed tobą, nie jest równa innej, pogrążonej w milczeniu.

I nic cię tu nie zmyli.

I dlatego nie wolno ci ułatwiać sobie zadania i skoro kobiety dają rozkosz twojemu ciału, zdobywać je z coraz większą łatwością, pozbawiając oporów, rezerwy i szlachectwa duszy; albowiem postępując tak niszczysz to właśnie, co chciałbyś osiąść.

A jeżeli są sprzedajne, znajdziesz w nich tylko możliwość zapomnienia, czym jest miłość; a przecież tylko te czyny mają wartość w moich oczach, które bogacą cię i przygotowują do czynów kolejnych: tak więc każę ci zdobywać szczyt górski, co cię przysposobi do kolejnej wspinaczki, na jeszcze wyższą grań, i aby ugruntować twoją miłość, każę ci zdobywać duszę nieprzystępną.

## XCV

Diament jest owocem ludzkiego trudu, lecz dzięki ludzkiemu trudowi rodzi się diament — rzecz niejadalna i niepodzielna, i nie służąca wszystkim pracującym. Czy mam zatem zrezygnować z wydobywania diamentów — gwiazd powstających z głębi ziemi? Czyżbyś utrzymywał, że godność człowieka zasadza się na tym, aby nie wydobywać diamentów z ziemi i nie wyrabiać filigranowych cacek ze złota? Gdybym bowiem wyrwał z dzielnicy, gdzie mieszkają, ludzi cyzelujących złote karafki — niepodzielne, bo każda z nich ma w sobie wartość ludzkiego życia — i gdybym wysłał do pracy na roli złotnika, którego teraz muszę żywić pszenicą uprawianą gdzieś daleko, nie byłoby złotych karafek, za to więcej pszenicy do podziału. Ale czy byłoby to wzbogaceniem człowieka? I cóż to ma za znaczenie, do czego diament posłuży? Aby zadowolić powszechną zazdrość, zgodziłbym się w ostateczności raz do roku palić wszystkie wydobyte diamenty — bo skorzystałyby z takiego święta tłumy, albo też znaleźć damę, którą bym przystroił w diamentowy blask i tłumy miałyby wtedy na własność okrytą diamentami królową. I świetność królowej, i płomień święteczny na wszystkich by rzucił swój blask. Ale czy byłoby bogatsi, gdyby diamenty leżały zamknięte w muzeum — tam także nie służyłyby nikomu, może tylko paru głupim próżniakom, a swojej godności użyczyłyby może jakiemuś tępemu i prostackiemu dozorczy.

Musisz więc przyjąć, że wartość ma tylko to, co wchłonęło w siebie ludzki czas, jak na przykład świątynia. I że chwała mojego cesarstwa, z której każdy otrzyma część, rodzi się tylko z diamentów, które każę ludziom wydobywać, i z królowej, którą diamentami przystroję.

Nie znam bowiem innej wolności jak ćwiczenie duszy. Wszelka inna jest śmiechu warta, bo musisz przecież znaleźć bramę, żeby wyjść poza obręb murów, i żadna wolność nie pozwoli ci pozostać młodym, ani w nocy cieszyć się słońcem. Jeśli zmuszam cię, żebyś wybrał raczej tę bramę niż inną, skarżysz się, że cię nękam, jakbyś nie wiedział, że gdyby istniała tylko jedna brama, tak samo uległbyś przymusowi. A jeśli odmówię ci prawa poślubienia kobiety, która ci się wydaje piękna, oskarżysz mnie, że tyran, ale nie znając żadnej innej, nie zauważyłeś nawet, że w twojej wiosce wszystkie były zezowate.

Ale jeśli dziewczynę, którą poślubisz, zmusię, aby się stała, i w tobie także będę wykuwał duszę, dana wam obojgu będzie jedyna wolność, która ma sens — a która jest ćwiczeniem duszy.

Gdyż rozwiązłość zaciera granice człowieka i, jak mawiał mój ojciec, być wolnym nie oznacza nie być wcale.

## XCVI

Pewnego dnia opowiem ci o konieczności albo o absolicie, tej boskiej więzi łączącej wzajemnie rzeczy. Nie sposób bowiem dostrzec wzniosłości w grze, jeżeli kości do gry niczego nie wyobrażają. Oto z mojego rozkazu człowiek jest wysłany na morze; jeżeli, nim wejdzie na pokład, obejmie je szerokim spojrzeniem i ujrzy, jak jest wzburzone, a na ciężkie chmury spojrzy jak na przeciwnika i zmierzy wysokość bałwanów albo wyczuje zamierający wiatr, wszystko to powiąże się dla niego w jedną całość i za sprawą konieczności, to jest mojego rozkazu, nie będzie podobne do bezładnego widowiska jarmarcznego, ale do wzniesionej bazyliki, w której ja będę zwornikiem sklepienia i gwarantem trwałości. I taki człowiek wstępując na pokład i wydając rozkazy zgodne z żeglarskim rytuałem, będzie wspaniały.

Inny natomiast będzie chciał oglądać morze jak widz, błąkać się po nim wedle swej woli i wykonywać dowolne zwroty; taki człowiek nie ma dostępu do bazyliki: ciężkie chmury, ledwie realniejsze od malowanej dekoracji, nie zwiastują mu momentów próby, wiatr, kiedy chłodnieje, nie przemienia świata, ale jest lekką pieśczętą dla ciała, a otwierający się morski oddech — tylko udręką dla wnętrza.

I dlatego to, co będę nazywał obowiązkiem, a co jest boską więzią łączącą ze sobą rzeczy, tylko wtedy stanie się podwaliną twojego królestwa, twojej świątyni czy ojcowizny, kiedy przyjmiesz ją jako absolutną konieczność a niejako grę, której reguły mogą być zmieniane.

„Po tym przede wszystkim poznasz obowiązek, mawiał mój ojciec, że nie ty go wybierasz.”

\* \* \*

Nie mają więc racji ci, którzy się chcą podobać. Aby się podobać, dają się bowiem powodować i prowadzić. I z góry uprzedzają pragnienia innych. I gotowi są do każdej zdrady, ażeby tylko wciąż odpowiadać cudzym życzeniom. Ale na co mi takie meduzy, pozbawione kośćca i kształtu? Wyrzucę je z ust moich i odeślę w mglisty pół-byt: przyjdźcie, kiedy nabierzecie formy.

Nawet kobiety są. znużone człowiekiem kochającym, który na dowód miłości godzi się na rolę echa i zwierciadła — nikt bowiem nie potrzebuje odbicia własnego obrazu. Ja zaś potrzebuję człowieka, który jest budowlą i fortecą, a we wnętrzu — twardym jądrem. Zasiądź tu, koło mnie, albowiem ty jesteś rzeczywiście.

Tego, kto należy do królestwa, poślubi kobieta i zostanie jego służebnicą.



## XCVII

A oto, co myślałem na temat wolności.

Kiedy mój ojciec, po śmierci, stał się jak góra, która zagradza horyzont ludzki, ocknęli się logicy, historycy i krytycy, nadęci słowami, które były nieważkie jak wiatr, a które z jego woli musieli zamykać w sobie, i odkryli, że człowiek jest piękny.

A był piękny, ponieważ zbudował go mój ojciec.

— Skoro człowiek jest piękny — wykrzyknęli — należy go wyzwolić. Rozkwitnie wówczas w pełni wolności i każdy jego czyn będzie cudowny. Albowiem dotąd ograniczano jego świetność.

Ja także, chodząc czasem wieczorem po plantacji drzew pomarańczowych, gdzie trzeba prostować pnie i przycinać gałęzie, mógłbym powiedzieć: moje drzewa pomarańczowe są tak piękne i obciążone owocem. Po co zatem przycinać gałęzie, które by wydały owoce? Trzeba wyzwolić drzewo, a rozkwitnie w pełni wolne. Albowiem jest to może ograniczanie jego świetności.

Wyzwolili więc człowieka. Człowiek stał prosto, ponieważ tak był prowadzony i przycinany. Kiedy zaś wystąpili żandarmi, którzy — już nie przez szacunek dla niepowtarzalnego modelu, ale z pospolitej potrzeby panowania — próbowali narzucić mu znów przymus, ograniczony w swojej świetności człowiek zbuntował się. Smak wolności objął ludzkość na całej ziemi niby pożar.

Chodziło o wolność bycia pięknym. I kiedy ludzie umierali dla tej wolności, umierali dla własnego piękna i śmierć była piękna.

I słowo wolność dźwięczało tak czysto jak głos radosnej trąbki.

Ale ja przypomniałem sobie słowa ojca:

— Ich wolność to wolność nie-bycia.

Bo oto, w nieustępliwym toku przyczyn i skutków, ludzie stali się hałaśliwą tłuszcą, jaka się gromadzi na placach publicznych. Jeżeli bowiem decydujesz wedle twej woli, a sąsiad — wedle swojej, wasze czyny znoszą się wzajemnie. Jeżeli każdy będzie malował pewien przedmiot wedle swego gustu, jeden go posmaruje na czerwono, drugi na niebiesko, trzeci na żółto i przedmiot nie będzie miał w ogóle żadnego koloru. Jeżeli organizuje się pochód, a każdy wybiera kierunek, nie ma już pochodu tylko pył miecony szaleńczym podmuchem. Jeśli roz-

dzielisz władzę pomiędzy wszystkich, nie osiągniesz wzmocnienia władzy, ale jej rozprzężenie. I jeśli każdy z osobna będzie wybierał miejsce, gdzie ma stanąć świątynia, i tam przyniesie swój kamień, nie świątynia powstanie, ale równina zasłana kamieniami. Dzieło tworzenia jest bowiem jedno i drzewo rośnie wtedy, gdy wykiełkuje jedno nasienie. Prawda, że to drzewo jest niesprawiedliwe, ponieważ inne nasiona nie wykiełkowały.

Głupią ambicją nazywani władzę, jeżeli jest żądzą panowania. Ale jeżeli jest dziełem twórcy i twórczym aktem, jeśli przeciwstawia się naturalnej skłonności rzeczy, za której sprawą mieszają się elementy, lodowce topią się i tworzą rozlewiska, kruszą się z biegiem czasu świątynie, skwar słoneczny rozprasza się w leniwe ciepło, mylą się i rozpadają stronicie zniszczonej książki, mieszają się ze sobą i tracą swoją tożsamość języki, gasną potęgi, równoważą się przeciwstawne wysiłki, a wszelkie struktury zrodzone z boskiej więzi, co łączy rzeczy, rozpadają się w bezładne masy. . . Taką władzę będę wychwalał. Bo jest ona tej samej natury co cedr, który wchłania w siebie pustynne żwirowisko, zapuszcza korzenie w glebę, gdzie brak soków życiodajnych, gałęźmi chwyta słońce, które miało przemieszać się z lodem i zamienić w bezkształtne błoto, i w nieruchomym pustkowiu, gdzie wszystko się z wolna rozpadało, wygładzało i równało, wznosi się oto drzewo — niesprawiedliwe, bo wystrzela ponad skały i żwir, rozpościera w słońcu kopułę listowia, śpiewa na wietrze jak harfa i w nieruchomość wprowadza z powrotem ruch.

Albowiem życie jest strukturą, wyraźnym podziałem i niesprawiedliwością. Jeżeli dzieci się nudzą, narzucisz im przymus — reguły gry, i za chwilę zobaczysz, jak zaczną biegać i bawić się.

\* \* \*

Nadszedł więc czas, kiedy nie było już kogo wyzwalać i wolność stała się tylko dzieleniem zasobów w duchu nienawistnej równości.

Pośród takiej wolności trącasz sąsiada i on cię trąca. A jeśli znajdziesz odpoczynek, będzie to stan podobny do stanu kulek, które przestały się toczyć. Wolność prowadzi wtedy do równości, a równość do równowagi, która jest śmiercią. Czy nie lepiej, aby rządziło tobą życie i żebyś napotykał na swojej drodze przeszkody — pęd wzrastającego drzewa? W przeciwnym razie jedynym ograniczającym cię przymusem, który powinieneś znienawidzić, będzie uraza twojego sąsiada, zazdrość tego, kto ci jest równy, zrównanie z wulgarnym. One cię pochłoną jak zatechłe trzęsawisko, ale tak wielka jest głupota słów nieważkich jak wiatr, że widząc wznoszące się drzewo będziecie mówić o tyranii.

Nadszedł więc czas, kiedy wolność nie była już wolnością piękna człowieka, ale wyrazem masy ludzkiej, w którą człowiek musiał się wtopić, a owa masa

nie może być wolna, ponieważ nie jest ukierunkowana, a tylko podlega ciężeniu i bezwładowi. Niemniej jednak tę wolność gnicia w brudzie nazywano wolnością, a gnicie — sprawiedliwością.

Nadszedł czas, kiedy słowo wolność, dotąd naśladowane jako takie wołanie trąbki, utraciło cały swój patos, a ludziom zaczął się niejasno marzyć dźwięk nowej trąbki, który by ich obudził i zmusił do podjęcia budowy.

Gdyż piękny jest tylko głos trąbki, kiedy cię wyrywa ze snu.

\* \* \*

Wartość ma jednak wyłącznie przymus oddający cię we władzę świątyni, której znaczenie pojmujesz, albowiem nie są wolne kamienie i nie mogą układać się, jak zechcą, bo w takim przypadku ani by nie użyczały niczemu znaczenia, ani by same nic nie oznaczały. Przymus ma cię poddać głosowi trąbki, kiedy cię podrywa z drzemki i budzi w tobie coś, co jest od ciebie większe. A ci, którzy umierali za wolność, kiedy była ich własnym, ale większym od nich obliczem, i walką o ich własne piękno, godzili się na przymus, wstawali nocą na wołanie trąbki i odmówiona im była wolność dalszego spania i kobiecej pieśczości, gdyż byli poddani władzy, a skoro jest to powinność, nie wydaje mi się istotne, czy żandarm był wewnątrz nich, czy na zewnątrz.

Jeżeli zaś jest wewnątrz, wiem i tak, że zrazu był zewnątrz, podobnie jak poczucie godności zrodziło się z surowych zasad ojca, który cię wychował w poczuciu godności.

Jeżeli zaś przez przymus rozumiem przeciwieństwo niesubordynacji, która zezwala na oszustwo, nie chcę, żeby ono rodziło się w wyniku mojego postępowania, gdyż przyglądałem się w milczeniu i z miłością dzieciom, które podporządkowały się regułom gry i które wstydziły się oszukiwać. Znają oblicze gry. A obliczem nazywam to, co się rodzi z gry. Zapał, przyjemność z rozwiązywania trudności, młodzieńczą zuchwałość, wszystko, co stanowi, że lubią tę grę, a nie inną, tego jakiegoś boga, który im każe stawać się, gdyż żadna gra nie kształtuje grającego tak samo i chcąc się zmienić odmieniasz jedną grę na drugą. Jeśli jednak widzisz, jak w danej grze rośniesz i szlachetniejesz, dopuściwszy się przypadkiem oszustwa, zobaczysz, że burzysz to, co było celem gry. Wielkość i szlachectwo duszy. I miłość tego oblicza narzuci ci z powrotem przymus.

\* \* \*

Żandarm bowiem buduje twoje podobieństwo do drugiego człowieka. Nie potrafi patrzeć dalej i wyżej. Ład to dla niego ład muzealny, gdzie eksponaty ustawia się równo. Ja natomiast nie buduję jedności królestwa na tym, abyś był podobny

do sąsiada, ale na tym, abyście i twój sąsiad, i ty sam, podobnie jak kolumna  
i posąg w świątyni, stopili się w królestwo, które jest jednością.

Mój przymus jest rytuałem miłości.

## XCVIII

Jeżeli nie ma nadziei, żeby twoja miłość została przyjęta, powinienes okryć ją milczeniem. Może krzawić się w tobie po cichu, jeśli jest ciszą. Stanowi bowiem kierunek w świecie, a wszelki kierunek, który pozwala zbliżać się i oddalać, wchodzić i wychodzić, znajdować i gubić, zapewnia ci wzrastanie. Bo masz być żywy. A nie ma życia, jeśli żaden bóg nie nakreślił dla ciebie drogi, którą byś się do niego zbliżał.

Jeżeli twoja miłość nie może zostać przyjęta i staje się daremnym błaganiem, prośbą o nagrodę za wierność, a nie masz tyle siły ducha, aby milczeć, próbuj — jeśli znajdziesz lekarza — uleczyć się z niej. Nie należy bowiem mylić miłości z miłosną niewolą. Miłość, która prosi, jest piękna, ale ta, która błaga, godna jest służby.

Jeżeli twoja miłość rozbija się o nieustępliwość rzeczy jak o mur nieprzekraczalny klasztoru czy więzienia, dziękuj Bogu, że twoja wybrana, choć na pozór głucha i ślepa, kocha cię wzajemnie. Bo jest jak wiecznie paląca się lampa, zapalona dla ciebie, gdzieś w dalekim świecie. I nieważne, że nie możesz z niej korzystać. Albowiem dla tego, co umiera na pustyni, bogactwem jest daleki dom, choćby on sam umarł.

Kiedy kształtują piękne dusze, a najdoskonalszą wybieram, aby ją zamknąć w ciszy, wydaje się, że nikt na tym nie zyskuje. A tymczasem ta dusza doskonali uszlachetnia całe królestwo. Chyli się przed nią każdy przechodzący, choćby z daleka. I mnożą się znaki i cuda.

Więc jeśli jest miłość, która biegnie ku tobie, choćby na nic nieprzydatna, i miłość wzajemna z twojej strony, będziesz szedł w świetle. Gdyż tam, gdzie istnieje Bóg, wielka jest moc modlitwy, na którą odpowiada tylko milczenie.

Kiedy zaś twoja miłość zostanie przyjęta i otworzą się gotowe cię przyjąć ramiona, proś Boga, aby zachował tę miłość od poniżenia, albowiem lękam się o serca, które doczekały się spełnienia.

## XCIX

Kochałem zatem wolność, budzącą w moim sercu echa, i byłem gotów przelewać krew, aby ją zdobyć, i widziałem, jak świetliste jest spojrzenie ludzi, którzy o nią walczyli (podobnie zresztą widziałem, jak posępni i podobni do stada bydła i trywialni w szukaniu dóbr są ci, którym odmówiono karmy i którzy przypominali świnie wznoszące ryje wokół koryta).

Widziałem też, jakim blaskiem płoną ludzkie twarze w płomieniu wolności, i jak gasi je tyrania.

A że nie mam w zwyczaju rezygnować z czegokolwiek we mnie i gardzę myślami na sprzedaż, wiem, że jeśli słowa nie potrafią wyrazić życia, trzeba zmienić słowa, a jeśli zaplątałeś się w nierozwiązywalną sprzeczność — trzeba przerwać zdanie; i że trzeba wspiąć się na szczyt, aby cała równina ukazała się jak na dłoni.

I zarazem odkryłem, że wielkość jest tylko w tych duszach, które oparłem na mocnym fundamencie i zahartowałem jak stal, i wzniosłem jak fortece przymusem, czcią i ceremoniałem, co oznacza jednocześnie tradycję, modlitwę i niepodważalny obowiązek.

I że piękne są tylko dusze dumne, które nie zechcą się ugiąć; tacy ludzie zniosą męki bez drgnienia, pozostając wolni, i nie odrzekną się niczego, więc dalej będą wolni dokonując wyboru, decydując lub poślubiając tę, którą kochają, wbrew szemraniu tłumów i niełasce króla.

I zrozumiałem, że ani przymus, ani wolność nie mają sensu. Bo żadnego z moich czynów nie mogę odrzucać, choć słowa je oznaczające drwią z siebie nawzajem.

## C

Jeżeli zatem zamykasz ludzi w więzieniu zgodnie z wyrobionym sobie z góry poglądem, a zamykasz ich wielu (może mógłbyś uwięzić w ogóle wszystkich, bo w każdym jest coś, co zasługuje na potępienie; podobnie, gdyby więziono ludzi za nieprawę pożądaną, nawet święci znaleźliby się w więzieniu), widocznie twój wyrobiony pogląd nie nadaje się do osądzania ludzi; jest jak góra zakazana i krwawa, niedobry słup graniczny, który każe ci działać na niekorzyść człowieka. Gdyż w tym, którego potępiasz, jest może coś pięknego, co mogłoby być wielkie. A ty miażdżysz tę cząsteczkę dobra.

Żandarmi, oczywiście głupi, są ślepych wykonawcami twoich rozkazów, a zgodnie z ich funkcją nie wymagasz od nich bynajmniej intuicji, ale przeciwnie — odmawiasz im do niej prawa, gdyż nie o to chodzi, aby coś pojmowali i oceniali, ale aby kierowali się twoimi poleceniami. Otóż jeżeli ci żandarmi otrzymają rozkaz oznaczenia czarnym, a nie białym kolorem (gdyż istnieją dla nich tylko te dwa kolory) na przykład człowieka, który nuci, kiedy jest sam, albo czasami wątpi w Boga, albo ziewa, albo w jakiś określony sposób myśli, postępuje, kocha, nienawidzi, podziwia albo gardzi czymkolwiek, otwiera się straszliwa epoka. Otwiera cię oto społeczność zdrajców, którą całą właściwie należałoby wyciąć w pień. Zarazem będzie to tłum podejrzanych i plemię szpiegów, gdyż wybrałaś linię podziału biegnącą nie na zewnątrz ludzi, co by ci pozwoliło postawić jednych po prawej a drugich po lewej stronie i w ten sposób rzeczy rozjaśnić, ale linię, która biegnie przez samego człowieka, dzieli jego wnętrze, czyni z niego szpiega w stosunku do siebie samego; podejrzanego wobec siebie i zdrajcę, albowiem w gorące noce każdemu zdarza się wątpić w istnienie Boga. Każdemu zdarza się nucić przy pracy na roli lub o pewnych porach myśleć, działać, kochać, nienawidzić, podziwiać lub gardzić czymkolwiek. Gdyż człowiek żyje. A święty, zbawiony i godny pochwały wydałby się tylko człowiek, którego poglądy byłyby jak jarmarczne świecidełka, a nie wyrażałyby poruszeń serca. A kiedy zlecisz żandarmom, aby wysłędzili w człowieku to, co ludzkie, a nie właściwe danemu człowiekowi, z całą gorliwością odnajdą to w każdym, bo w każdym jest to obecne; i przelęknią się postęпами zła, i przelęknią ciebie składanymi raportami, i przekonają ciebie, że nie wolno zwlekać z represjami, a kiedy będziesz już podzielał ich przeświadczenie,

skłonią cię, żebyś zbudował więzienia i zamkniesz w nich cały lud. Aż nadejdzie dzień, kiedy będziesz musiał zamknąć tam także żandarmów, ponieważ i oni są ludźmi.

Jeżeli jednak kiedyś zapragniesz, żeby wieśniacy uprawiali ziemię w łaskawych promieniach słońca, a rzeźbiarze rzeźbili w kamieniu i geometryści rysowali figury geometryczne, będziesz musiał zmienić obrany punkt widzenia. Obierzesz wtedy inną górę, a kiedy popatrzysz z jej szczytu, twoi katorżnicy zamienią się w świętych, a człowiekowi, którego skazałeś na pracę w kamieniołomie, będziesz wznosić posągi.



## CI

Z czasem wyrobiłem sobie pogląd na to, czym jest rabunek, o czym myślałem nieraz, ale Bóg nie dał mi dotąd ujrzeć tego jasno. Wiedziałem oczywiście, że jest rabusiem człowiek, który kruszy do fundamentów pewien styl, aby osiągnąć w ten sposób pożądane efekty. Efekty zresztą same w sobie chwalebne, gdyż istotą stylu jest czasem pozwalać sobie na nie, a styl istnieje po to, aby mógł unieść poruszenia ludzkich serc. Zdarza się jednak, że pod pozorem korzystania z narzędzia ktoś je niszczy, podobnie jak człowiek, który taki ciężar nakłada na osła, aż zwierzę — obciążone nadmiernie — zdechnie. Jeśli jednak ładunek zawsze będzie umiarkowany, zwierzę wciągnie się do pracy i będzie pracować jeszcze lepiej niż dotąd. Odrzekam się więc pisania z pogwałceniem reguł. Niech pisarz robi, co chce, ale niech wyraża się w zgodzie z regułami, gdyż tylko wtedy reguły trwają jak fundament.

Zdarza się jednakże, że praktykowanie wolności, kiedy dąży ona do piękna człowieka, staje się rabowaniem zgromadzonych wcześniej zasobów. Niewiele są warte oczywiście zasoby, które śpią bezużytecznie, i piękno, płynące z walorów odlewniczej formy, które jednak — nie wyjęte z formy — nigdy nie ujrzą światła dziennego. Pięknie bowiem budować spichrze, gdzie składa się zboże. Spichrze jednak wtedy mają sens, kiedy czerpie się z nich zboże, aby służyło w czas zimy. Spichlerz więc jest przeciwieństwem miejsca, które przyjmuje w siebie i zamyka ziarno. Spichlerz ma być miejscem, które ziarno z siebie wydaje. Tylko nieporadność języka jest przyczyną tej sprzeczności, gdyż „przyjmować” i „wydawać” są słowami, które drwią z siebie nawzajem, gdy tymczasem wystarczyłoby zamiast zdania „Ten spichrz na mój rozkaz przyjmuje ziarno” powiedzieć: „Ten spichrz na mój rozkaz wydaje ziarno”; wtedy bowiem panujesz nad ludzkim językiem, przewycięzasz jego nieważkość i sprzeczności oraz ustalasz znaczenie słowa „spichrz” nazywając go zbożowym portem.

Tak też moja wolność jest tylko wykorzystaniem owoców przymusu, gdyż tylko przymus może zbudować coś zasługującego na wyzwolenie. Nazywam więc wolnym człowieka, który jest wolny wśród zadawanych tortur, ponieważ nie zgadza się na zaprzaństwo i stawia wewnętrzny opór rozkazom tyrańcy i jego katów. Ale wolnym nazywam też tego, kto opiera się niskim namiętnościom, gdyż nie

mogę uznać za wolnego człowieka, który idzie w niewolę wszelkim namowom, nawet kiedy nazywa się to wolnością — a mianowicie wolnością pójścia w niewolę.

\* \* \*

Albowiem kiedy buduję człowieka, wyzwalam w nim ludzkie czyny, a kiedy kształtuję poetę, wyzwalam w nim poezję, a jeśli czynię z ciebie archanioła, wyzwalam w tobie uskrzydłone słowa i krok niezawodny, jak w tańcu.

## CII

Nie ufam człowiekowi skłonnemu wydawać sądy z jednego tylko punktu widzenia. Ani temu, kto będąc ambasadorem wielkiej sprawy, tak się jej podporządkowuje, aż sam się staje ślepy.

Chciałbym, mówiąc do niego, obudzić w nim człowieka. Nie ufam jednak uwadze, z jaką mnie słucha. Będzie to raczej zręczność, wojenny podstęp, gdyż on przełknie moją prawdę, aby ją podporządkować swojemu królestwu. Trudno mu zresztą robić o to wyrzuty, skoro jego wielkość płynęła tylko z wielkości sprawy, której służył.

Idealnie światłym natomiast nazywam człowieka, który słucha, co mówię, z którym nawiązuję doskonały kontakt i który nie przełyka mojej prawdy po to, żeby z niej uczynić prawdę własną, a w potrzebie posłużyć się nią przeciwko mnie; ten jednak zazwyczaj nie pracuje, nie działa, nie walczy i nie ściera się z trudnościami. Trwa gdzieś tam, zawieszony jak niepotrzebny lampion, świecący sobie tylko i dodający przepychu, jak najwytworniejszy kwiat mojego królestwa, ale tak czysty, że jałowy.

Powstaje więc problem stosunków i kontaktów pomiędzy mną a ambasadorem innej, nie mojej sprawy. Oraz sensu naszych słów.

Gdyż kontakt między ludźmi powstaje tylko za sprawą boga, który ukazuje swoją twarz. Tak samo jak z żołnierzem nawiązuję kontakt wyłącznie poprzez oblicze królestwa, które nam obu nadaje znaczenie. Tak samo kochający nawiązuje poprzez mury kontakt ze swoją miłą i może ją kochać, choć jest nieobecna i uśpiona. Jeśli rozgrywka z człowiekiem, który jest ambasadorem obcej sprawy, jest czymś więcej niż grą w szachy, i jeśli chcę w nim odnaleźć człowieka na płaszczyźnie wyższej ponad ludzki spryt, i jeśli dojdzie do jawnego z nim starcia, zachowuję dla niego szacunek i swobodnie oddycham w jego obecności. Tak było z władcą krainy na wschód od moich granic, który był mi ukochanym wrogiem. A taki kontakt może się nawiązać tylko poprzez jakiś nowy obraz, jakąś wspólną dla nas miarę.

Jeśli on wierzy w Boga tak jak ja, i jeśli swój lud, jak ja, poddał Bogu, rozmawiamy ze sobą jak równy z równym, w namiocie rozpiętym na pustyni w czas

Bożego pokoju: w oddali klęczą nasze wojska, a my, łącząc się w Bogu, możemy się razem modlić.

Jeżeli jednak nie znajdziesz jakiegoś boga, który by nad wszystkim panował, nie ma nadziei na kontakt między wami, gdyż te same elementy mają pewien sens dla ciebie, a inny sens dla niego, tak jak podobne kamienie staną się w rękach innego budowniczego inną świątynią; jakżebyście więc mogli znaleźć wspólny wyraz dla uczuć, kiedy zwycięstwo oznacza dla ciebie jego porażkę, a dla niego — jego zwycięstwo.

\* \* \*

Wiem już, że nieważne jest to wszystko, co się da wypowiedzieć, a tylko kryjąca się gdzieś głębiej gwarancja, na którą wypowiedź się powołuje i której wagę niesie; wiem, że to, co zwykle, nie porusza serca i że zdanie: „Pożycz mi imbryk na herbatę” wtedy tylko poruszy człowieka, jeśli dotyczy osoby, której się może stać krzywdą, jeśli ten imbryk był elementem twojej duchowej krainy i oznaczał herbatę, którą piłeś razem z kobietą dającą ci miłość; albo jeśli był to imbryk spoza twojej duchowej krainy, ale oznaczał bogactwo i przepych. Zrozumiałem zatem, dlaczego berberyjscy uciekinierzy w królestwie mojego ojca, sprowadzeni do roli luźnych elementów, pozbawieni boskiej więzi łączącej rzeczy, nie potrafili z obfitych nawet elementów zbudować niewidzialnej bazyliki, której sami byliby kamieniami. Schodzili więc do poziomu zwierząt, które tym się różnią od ludzi, że nie mają dostępu do bazyliki i ograniczają swoje rozkosze do nędznej radości, jaką dają luźne elementy.

Zrozumiałem także, dlaczego tak bardzo ich wzruszył ów poeta sprowadzony przez ojca śpiewający po prostu o rzeczach, które łączą ze sobą wielorakie związki.

A także zrozumiałem sens trzech białych kamyków, którymi bawi się dziecko: jest to bogactwo — skarb większy od masy kamyczków leżących bezładnie.

## CIII

Dozorcy moich więzień więcej wiedzą o człowieku niż geometry. Pozwól im działać, a sam się przekonasz. To samo, gdy chodzi o rządy w moim królestwie. Mogę się oczywiście wahać pomiędzy generałami a dozorcami więzień. Ale nie zawaham się w wyborze między dozorcami a geometrami.

Nie chodzi bowiem wcale o to, aby znać miarę albo żeby mylić sztukę mierzenia z mądrością — „znajomością prawdy”, jak powiadają. Prawdy, która pozwala ustalić miarę. Aby rządzić, możesz się istotnie posługiwać tym niezręcznym i nieprzydatnym językiem. Będziesz wtedy jak najdokładniej stosował jakieś abstrakcyjne i skomplikowane miary, których mógłbyś się po prostu nauczyć umiając tańczyć lub dozorować więzienia. Gdyż więźniowie są jak dzieci. I ludzie także.

## CIV

Nachodzili mojego ojca mówiąc:

— Nam przystoi rządzić ludźmi. My znamy prawdę.

Tak mówili komentatorzy geometrów. A ojciec im odpowiadał:

— Wy znacie prawdę geometrów.

— Jak to: więc to nie jest prawda?

— Nie — odpowiadał ojciec.

— Oni znają prawdę swoich trójkątów — powiadał mi. — Inni ludzie znają prawdę chleba. Jeśli go źle wyrobisz, nie będzie rósł. Jeśli piec będzie za gorący, chleb się spali. Jeśli za zimny — ciasto będzie zakalcowate. Ale choć z rąk piekarzy wychodzi chrupiący bochen — radość twoich zębów, piekarze nie przychodzą żądać ode mnie, żebym im oddał władzę nad królestwem.

— Może tak jest istotnie w przypadku komentatorów geometrów. Ale są także historycy i krytycy. Ci opisują ludzkie czyny. Znają człowieka.

— A ja — ojciec na to — oddam władzę nad królestwem temu, kto wierzy w diabła. Albowiem od czasu, gdy mu zaczęto przypisywać coraz większy stopień doskonałości, świetnie sobie radzi z zagadkowym zachowaniem człowieka. Jasne, że diabeł nic nie pomoże przy wyjaśnianiu stosunków pomiędzy liniami. Dlatego też nie oczekuję, żeby geometry pokazali mi diabła w świecie trójkątów. I nic, co jest z tego świata, nie potrafi im pomóc w rządzeniu ludźmi.

— Niejasno mówisz — oponowałem. — Czyżbyś wierzył w diabła?

— Nie — odparł ojciec.

Ale dodał po chwili:

— A cóż to znaczy wierzyć? Jeżeli wierzę w to, że latem dojrzewa jęczmień, wypowiedziane zdanie nic nie wnosi i nie podlega nawet krytyce, ponieważ wpierw nazwałem latem porę roku, kiedy dojrzewa jęczmień. Tak samo w przypadku innych pór roku. Ale jeśli zajmę się stosunkiem pomiędzy różnymi porami roku i stwierdzę, że jęczmień dojrzewa wcześniej niż owies, będę wierzył w te stosunki, ponieważ są one czymś istotnym. Nieważne, jakie przedmioty wchodzi w ów układ relacji: posłużyłem się nimi, jak siecią, w którą chcę złowić zdobycz.

I dalej mówił:

— Tak samo jest w przypadku posagu. Czy mógłbyś sobie wyobrazić, że artyście chodziło o ukazanie jakichś ust, nosa czy brody? Z pewnością nie. Tylko o echa, jakie te części budzą w sobie wzajemnie, a tym echem może być na przykład ludzkie cierpienie. Które zresztą będziesz mógł pojąć, gdyż wchodzisz w związki nie z poszczególnymi przedmiotami, ale z łączącą je więzią.

— Tylko dziki wierzy — ciągnął ojciec — że dźwięk znajduje się wewnątrz bębna. I wielbi bęben. Inny wierzy, że dźwięk jest w pałeczkach, i wielbi pałeczki. Jeszcze inny wierzy, że dźwięk jest w sile jego ramienia i widzisz, z jaką pychą wymachuje tym ramieniem nad głową. Ty zaś stwierdzasz, że nie jest on ani w bębnie, ani w pałeczkach, ani w ramieniu dobosza, i nazywasz prawdą bębnienie człowieka, który bębni.

Dlatego nie zgadzam się, aby na czele mojego królestwa stali komentatorzy geometrów, oddający boską cześć temu, co posłużyło jako budulec, a ze wzruszenia, jakie budzi w nich świątynia, wywodzą cześć wobec umiejętności układania kamieni. Bo oni chcieliby rządzić ludźmi opierając się na prawdach, które rządzą trójkątami.

\* \* \*

Wtedy posmutniałem:

— A zatem nie ma prawdy — powiedziałem.

— Jeżeli uda ci się określić, na jakie to pragnienie poznania brak odpowiedzi — tłumaczył z uśmiechem — może i ja zapłacę nad niedolą, co nam ciąży. Ale nie pojmuję, o czym chciałeś mówić. Kto czyta list miłosny, jest u szczytu szczęścia, niezależnie od jakości atramentu i papieru. Nie szukał przecież miłości ani w papierze, ani w atramencie.

## CV

Zrozumiałem wtedy, że ludzie, poddani złudzeniom mowy i zauważywszy, że dla zdobycia wiedzy o czymś warto rozłożyć przedmiot poznania na części, oraz stwierdziwszy piorunującą skuteczność tej metody, zburzyli swoje dziedzictwo. Bo to, co jest prawdziwe w dziedzinie materii, i to nie w sposób absolutny, staje się fałszywe w dziedzinie ducha. Człowiek jest bowiem istotnie tak ukształtowany, że przedmioty są dla niego martwe i — wyzbyte sensu, jeżeli nie przynależą do pewnego królestwa duchowego, i nawet jeśli sam jest nieokrzesany i tępy, piękno przedmiotów ocenia wyłącznie ze względu na sens, jaki im nadaje, podobnie jak pożądasz złota, ponieważ zawarta jest w nim mnogość niewidzialnych skarbów; a jeżeli kobieta pragnie pewnej ozdoby włosów, to nie dla jej ciężaru, ale dlatego, że wymaga tego pewna konwencja językowa i hierarchia, że jest w niej jakieś tajemnicze przesłanie i oznaka władzy.

Tak oto ujrzałem jedyne źródło, gdzie ludzie zaspokoją pragnienie i umysłu, i serca. Jedyne pokarm, który im przystoi. Jedyne dziedzictwo, które trzeba ocalić. I pojąłem, że trzeba odbudować to, coś rozrzucił w gruzy. Bo oto siedzisz pośród ruin — rozsypanych bezładnie przedmiotów — i choć zwierzę w tobie jest zadowolone, człowiekowi grozi głód; i nie wiesz, co to za głód, gdyż jesteś również tak ukształtowany, że potrzeba pokarmu jest w tobie wynikiem przyjmowanego pokarmu i że jeśli jakaś część ciebie, z niedożywienia i braku ćwiczenia, jest wątła i uśpiona, nie będziesz się domagał ani tego ćwiczenia, ani żywności.

I dlatego, jeżeli ktoś nie zejdzie ku tobie z góry, skąd widział jasno, i nie wyjaśni ci, jaka droga da ci ocalenie — nie będziesz wiedział. I choćby nie wiem jak mądrze ci wywodzono, nie uwierzysz tak samo, jaki człowiek rodzi się w tobie, czy budzi, ponieważ ten człowiek jeszcze nie zaistniał.

Dlatego przymus z mojej strony jest jak potęga drzewa, przez którą dokona się wyzwolenie żwiru.

\* \* \*

I mogę otwierać przed tobą kolejne skarbce, z piętra na piętro coraz świetniejsze. Piękny jest, to prawda, skarbiec miłości, i domu, i ojcowizny, i królestwa,



i świątyni, i bazyliki, w którą zmienia się rok poprzez następstwo świąt, ale jeśli dasz się poprowadzić, pomogę ci wspiąć się na najwyższy szczyt, a tam chowam dla ciebie skarby tak trudne do zdobycia, że wielu wyrzeknie się wspinaczki, gdyż aby budować nowy obraz, będę musiał zbierać kamienie z dawnych świątyń, które są im miłe.

Ale niektórzy pójdą ze mną, a moja obecność będzie dla nich tak porywająca, że zapłonie w nich dusza. Bo są struktury, z których bije taki żar, że dusze zajmują się ogniem. I nazwę je gorejącą miłością.

Przyjdź więc do mnie, a ja cię zbuduję i odejdiesz w blasku.

Ale Bóg czasem ginie z oczu. Mówiłem to samo o poezji. Nawet najpiękniejszą nie możesz się karmić na co dzień. I moje straże spacerujące po murach nie mogą nocą i dniem okazywać królestwu tej samej żarliwości. A w duszach ludzkich często rozluźnia się więź łącząca ze sobą rzeczy. Spójrz na rzeźbiarza, jaki smutny jest dzisiaj. Stoi przed bryłą marmuru i potrząsa głową. „Po co — mówi do siebie — ten nos, ta broda, ucho...” Bo nie widzi w danym momencie całości. A zwątpienie jest wyzwaniem rzucanym przez Boga, bo czujesz wtedy Jego brak i cierpisz.

## CVI

Ale więz nawiązujesz tylko poprzez rytuał. Jeżeli w roztargnieniu będziesz słuchał muzyki lub oglądał świątynię, nie narodzi się w tobie nic i nic ci się nie stanie pokarmem. Dlatego nie mogę ci inaczej wytłumaczyć życia, do jakiego cię zachęcam, jak tylko nakłaniając cię do niego siłą i żywiąc cię nim. Jak zdołałbym ci wytłumaczyć melodię, kiedy nie wystarcza słuchać jej, jeśli nie jesteś przygotowany, aby ci dała pełnię. Jeżeli obraz ojcowizny gotów w tobie umrzeć, pozostawiając tylko gruzy. Ironiczne słowo (które jeśli pada, to z ust łotra), źle przespana noc, jakiś hałas, który ci przeszkadza — i otoś już pozbawiony Boga. Już odrzucony. Siedzisz na progu, za tobą zamknięte drzwi, i jesteś zupełnie oddzielony od świata, który jest tylko sumą pustych przedmiotów. Gdyż łączność nawiązujesz nie z rzeczami, ale z ich wzajemnymi związkami.

Jak zatem otworzy ci do nich dostęp, skoro tak łatwo od nich odchodzisz?

I stąd znaczenie rytuału, bo trzeba uchronić cię, byś nie zniszczył wszystkiego, kiedy zamknąwszy drzwi siądziesz u siebie w domu.

Dlatego też potępiam przede wszystkim człowieka, który grzebie w książkach po to, aby wszystko pomieszać. A ciebie buduję i pomagam trwać, nie żeby ci ustawicznie dawać pokarm, ani z przyczyny słabości twojego serca, ale żebyś był dobrze wytyczoną drogą, szeroko otwartymi drzwiami, pięknie wybudowaną świątynią, gotową na przyjęcie ludzi. Chcę, żebyś był jak instrument muzyczny, co czeka na muzykanta.

Dlatego powiedziałem ci, że przeznaczony dla ciebie poemat to twoje wzwyżwstępowanie.

A tylko ci dochodzą do prawdziwego poznania, którzy wracają drogą, niegdyś prowadzącą na manowce, i odnajdują towarzyszy, których zostawili za sobą w gruzach.

Chcę ci pokazać twoją ojczyznę, jedyną, w której twój duch znajdzie swobodę działania.

I dlatego powtarzam, że przymus, jaki niosę, jest wyzwoleniem i daje ci jedyną wolność coś wartą. Bo ty nazwałeś wolnością władzę zburzenia świątyni, pomieszania słów poematu, zrównania ze sobą dni, z których rytuał wzniósł bazylikę. Wolność pustoszenia. A jak wtedy odnajdziesz siebie?

Ja zaś wolnością nazywam twoje wyzwolenie.

\* \* \*

Dlaczego kazałem ci niegdyś wybierać: wolność niewolnika czy mężczyzny, poszanowanie dla wrzodów czy dla zdrowego ciała? Sprawiedliwość dla człowieka czy dla kanalii? Ja jestem sprawiedliwy przeciw tobie, przez ciebie i dla ciebie. I z pewnością jestem niesprawiedliwy dla kanalii, łotra albo dla gąsienicy, która się nie przepoczwarzyła w motyla, ponieważ takich ludzi zmuszam, aby wyrzekli się siebie i stawali się.

## CVII

Albowiem przymuszam cię, nauczając. Ale jeżeli przymus będzie niepodważalny, stanie się też niedostrzegalny, tak jak musisz skrócić w bok, żeby znaleźć furtkę w murze, i ani nie robisz mi z tego powodu wyrzutów, ani nie narzekasz.

Przymusem są reguły dziecięcych zabaw. Ale dziecko ich pragnie. Dostojnicy domagają się gwałtownie tych obowiązków i ciężarów, które są dostojestwu przypisane, a które są przymusem. Widzisz, jak posłuszne zwyczajowi są kobiety dobierając klejnoty, których moda zmienia się co roku, ponieważ i tu wchodzi w grę pewien język, który jest przymusem. Gdyż nikt nie życzy sobie wolności bycia nie zrozumianym.

Jeżeli pewien układ kamieni nazywam domem, nie wolno ci zmieniać tego słowa pod karą osamotnienia; inaczej wszyscy przestaną cię rozumieć.

Jeżeli określony dzień w roku nazwę dniem święta i radości, nie wolno ci tego lekceważyć pod karą osamotnienia; inaczej utracisz łączność z własnym plemieniem.

Jeżeli zebrane razem kozy, owce, domostwa i góry uznam za ojcowiznę, nie wolno ci wyzwalać się od tego przymusu pod karą osamotnienia; inaczej przestaniesz współpracować przy upiększaniu owej ojcowizny.

Kiedy twoja wolność stopi lodowce w błotniste rozlewisko, będziesz samotny; nie będziesz już bowiem drobiną lodu, która się wspina ku słońcu pod białym płaszczem lodowca, ale drobiną zrównaną z innymi i na tym samym co wszystkie poziomie; różnice staną się odtąd powodem do nienawiści, a osiągnąwszy stan spoczynku, taki jak zmieszane ze sobą kulki, nie poddani niczemu nadrzędnemu, nawet niepodważalności języka, będziecie pozbawieni zdolności porozumiewania się; a kiedy każdy sam dla siebie wybierze dzień święta, staniecie się rozdzieleni i bardziej samotni niż ciała niebieskie w nie dającej się pokonać samotności.

I czego można oczekiwać od waszego braterstwa, jeżeli nie będzie to braterstwo połączenia w drzewie, którego jesteście częściczkami, które nad wami panuje i jest czymś spoza was; gdyż drzewem cedrowym nazywam przymus zadawany żwirowi, lecz nie ze żwiru się rodzący, a z cedrowego ziarna.

Jak zaś zdołacie stać się cedrem, jeśli każdy z was sam sobie wybiera drzewo, aby nim wzrastać, a nie chce służyć drzewu wspólnemu, a nawet opiera się jego

wzrostowi, nazywając je tyranią, choć przecież cedru pożąda; trzeba was zatem oddzielić od was samych, abyście służyli drzewu, a nie starali się nim posługiwać.

Dlatego rzuciłem ziarno, a teraz poddam was mojej władzy. A jeśli sprawiedliwość ma być równością, wiem, że jestem niesprawiedliwy. Albowiem stwarzam linie i pola napięć, i struktury. Ale dzięki temu, że przemieniłem was w konary i gałęzie, będziecie się żywić słońcem.

## CVIII

O tym, jak odwiedziłem pogrążoną we śnie straż.

Słuszne jest, aby ci strażnicy zostali ukarani śmiercią. Ich czujności powierzono przecie ogrom oddychającego spokojnie snu, w którym życie znajduje pokarm, i przedłużane tym oddechem trwa, jak w zaciszu zagubionej zatoczki lekko oddycha morze. I tyle zamkniętych świątyń, gdzie sakralne bogactwa gromadzono powoli jak miód, tyle potu i uderzeń dłuta oraz młotów, i zwożonych kamieni, i zmęczenia oczu nad haftem złocistych draperii, co miały się pokryć kwiatami, i dyskretnych dekoracji — dzieła inwencji i pobożnych rąk. I spichlerzy pełnych zapasów, aby znieść bez trudu zimę. I świętych ksiąg w spichrzach mądrości, gdzie spoczywa gwarancja ludzkiego losu. I tylu chorych, którym jestem pomocny w godzinę śmierci spokojnej i zgodnej z obyczajem, w gronie najbliższych, śmierci prawie niedostrzegalnej, gdy staje się tylko dalszym przekazywaniem dziedzictwa. Gdyż wy, strażnicy, jesteście jądrem murów obronnych — osłony na kruchym ciele miasta, która nie pozwala mu się rozpuścić, bo jeśli w murach pojawi się szczelina, wnet z ciała upłynie wszystka krew. Chodźcie tam i z powrotem, tam i z powrotem, otwarci na głosy pustyni, która szykuje natarcie i nieznużona jak potężna fala bije o mury raz po raz — fala groźna, co was hartuje i nadaje kształt. I nie sposób rozróżnić, co niesie zniszczenie, a co buduje fundament, gdyż ten sam wiatr rzeźbi diuny i ściera je znów, ten sam przybór rzeźbi nadmorską skałę i kruszy ją, ten sam przymus rzeźbi twoją duszę i zniewala bezwładem, ta sama praca pozwala ci żyć i stawia życiu tamy, ta sama miłość spełniona daje ci pełnię i wydrąza pustką. A twój nieprzyjaciół nadaje ci zarazem kształt, gdyż zmusza cię, żebyś zbudował siebie wewnątrz granic, które ci stawia; tak samo można by powiedzieć o morzu, że jest wrogiem statku, ponieważ gotowe jest go w każdej chwili pochłoniąć, a statek cały jest walką z morzem; ale można powiedzieć także, że jest ono jak gdyby murem, granicą i formą nadającą statkowi kształt, albowiem w długim ciągu pokoleń rozcinane kilem fale rzeźbiły pomalą dziób, który stawał się coraz bardziej harmonijny i zgodny z opływającą go falą i w ten sposób morze wyrzeźbiło dziób i upiękaczyło go. Można też powiedzieć, że to wiatr, szarpiący żagle, dał im zarys, jak dał zarys ptasiego skrzydła, i że ty bez nieprzyjaciół nie masz kształtu ani własnej miary.

Ale cóż znaczyłyby mury, gdyby nie było strażników?

Dlatego, jeżeli straż śpi, miasto staje się nagie i bezbronne. I dlatego przychodzę wtedy i zabieram śpiących strażników, aby ich utopić w owym śnie.

A strażnicy spali z głowami opartymi na płaskim kamieniu i z rozchylonymi ustami. Twarze mieli dziecinne. Przyciskali do siebie mocno karabiny, jak zabawkę, z którą dzieci zasypiają. Patrząc na nich poczułem litość. Bo w gorące noce lituję się ludzkiej ułomności.

Ułomność strażników — to barbarzyńca rzuca na nich sen. Ulegają pustyni i zostawiają nie strzeżone wrota, rozwierające się wolno i cicho, bo zawiasy są naoliwione, a wyczerpane miasto potrzebuje nadejścia barbarzyńców i niebawem zostanie przez nich zapłodnione.

Śpiący strażnicy. Nieprzyjacielska awangarda. Już uległa, gdyż sen jest świadectwem, że nie należą już do miasta, że zrywa się więź, że nie trwają już, ale czekają przemiany, gotowi otworzyć miasto na nowe nasienie.

\* \* \*

Pojawił się przede mną obraz miasta już pokonanego za sprawą snu strażników, bo w nich jest więź, a więź może zostać przerwana. Jest piękno w straży czuwającej, bo jest ona okiem i uchem miasta. I tyle w niej szlachetnego rozumienia, gdyż prostą miłością przewyższa umysły logików, którzy nie rozumieją miasta, ale je dzielą. Widzą je oddzielnie: tu więzienie, tam szpital, tam dom przyjaciela — ale i dom ten rozkładają w swoim sercu i widzą znów oddzielnie: jeden pokój, drugi, trzeci. I nie tylko każdy pokój oddzielnie, ale i wszystkie przedmioty widzą każdy z osobna. A potem przedmioty zacierają się im w oczach. I po co im te elementy, z których niczego nie chcą zbudować?

Ale ty, strażniku czuwający, jesteś związany z twoim miastem, które jest wydane gwiazdom. Nie z tym domem czy innym, ze szpitalem czy pałacem. Ale z miastem. Nie ze skargą konającego ani z krzykiem rodzącej kobiety, nie z jękiem miłosnej nocy, ani głosem noworodka, lecz z wielorakim oddechem jednego ciała. Z miastem. Nie z czuwaniem jednego człowieka, ze snem drugiego, z poematem trzeciego, badawczym myśleniem jeszcze innego, ale z tą mieszaniną żarliwości i snu, tym ogniem pod popiołem Mlecznej Drogi. Z miastem. Strażniku mój, strażniku, z uchem przy bijącym sercu ukochanego miasta, wsłuchany w ciszę, w zmieszane oddechy wypoczywających, których nie trzeba oddzielać od siebie, jeśli się chce usłyszeć bicie tego serca. Bo to jest właśnie bicie serca, nic innego.

Strażniku, jeśli czuwasz, jesteś mi równy. Bo miasto na tobie się opiera, a na mieście opiera się królestwo. Zgodzę się, że powitasz mnie przyklekając, bo taki jest bieg rzeczy i bieg soków żywotnych od korzeni po najdrobniejsze listki. Dobrze, jeśli wzniesie się ku mnie twój hołd, gdyż jest to jak gdyby krążenie krwi

w ciele królestwa, jak miłość małżonka do żony, jak mleko matki płynące dla dziecka, jak szacunek młodych dla starości; ale kto tu może mówić o dawaniu i otrzymywaniu? Gdyż ja przede wszystkim tobie służę.

Wiec kiedy widzę twój profil, gdy się opierasz na karabinie, strażniku, równy mi w Bogu — kto zdołałby odróżnić kamień fundamentu i kamień zwornika sklepienia? I czy jeden może zazdrościć drugiemu? Dlatego patrząc na ciebie czuję w sercu miłość, ale ona nie przeszkodzi mi, bym kazał pojmać cię zbrojnym, gdy zaśniesz.

Śpisz. Strażniku śpiący. Strażniku martwy. Patrę na ciebie z przerażeniem, bo w tobie śpi i umiera królestwo. W tobie widzę jego chorobę, bo zły to znak, że wysłała strażników, którzy śpią. . .

Tak, mówię do siebie, kat spełni swoją powinność i utopi winnego w jego własnym śnie. . . Ale litując się, odczułem nową i nieoczekiwaną sprzeczność. Albowiem tylko potężne królestwa ucinają głowy śpiących strażników, zaś królestwa, które wysyłają strażników sennych, nie mają do tego prawa. Trzeba dobrze zrozumieć, czym jest rygor. Nie zbudzimy królestwa ucinając głowy strażnikom, którzy zasnęli, ale tylko wtedy, kiedy królestwa nie śpią, wolno śpiącemu strażnikowi ucinąć głowy. I tu nie wolno mylić przyczyny ze skutkiem. Bo gdy widząc, że potężne królestwa ucinają głowy, chcesz osiągnąć siłę w ten sposób, jesteś tylko krwiożerczym błaznem.

Buduj na miłości, a zbudujesz czujność strażników; i wtedy wolno ci potępić tych, co zasną, gdyż z własnej woli zerwali więz z królestwem.

\* \* \*

Opanować się zaś możesz tylko przez dyscyplinę — zależność od kaprała, który cię pilnuje. A kapral, jeśli zwątpi w siebie, ma tylko dyscyplinę — zależność od sierżanta, który go pilnuje. Zaś sierżant od kapitana. I tak dalej, kończąc na mnie samym, który mam nad sobą tylko Boga, który mną włada, i jeśli zwątpię, czeka w oknie, wysoko, ponad pustynią.

Ale chcę ci zdradzić tajemnicę — tajemnicę trwania. Otóż jeśli śpisz, życie w tobie ulega zawieszeniu. To samo dzieje się w tych chwilach, kiedy serce w tobie omdlewa, i gdy się rodzi w tobie słabość. Albowiem choć nic się nie zmieniło dokoła ciebie, wszystko zmienia się wtedy w tobie. Stoisz wtedy, strażniku, naprzeciw miasta, ale nie nadśluchujesz już w ukochanej piersi bicia serca, kiedy nie wiesz już sam, czy to serce bije, czy słyszysz oddech, czy ciszę, bo wszystko jest znakiem ukochanej obecności; obecność jest jedna, ale ty już ją gubisz wśród rozsypanych bezładnie elementów, poddanych nocnym melodiom, brzmiącym niezgodnie, gdy śpiewka pijaka zaprzecza skardze chorego, krzykom noworodka zaprzecza agonია i lament, świątyni — jarmarczny tłum. I mówisz sobie



wtedy: co począć z tym nieładem, z tym niezbornym widowiskiem; bo jeśli nie wiesz, że masz przed sobą drzewo, nie widzisz wspólnej skali korzeni, pnia, gałęzi i liści. Czy dochowasz wierności, jeżeli nie ma już nikogo, komu można by dawać? Wiem, że nie zasnąłbyś za nic, gdybyś czuwał przy ukochanym a chorym człowieku. Ale zniknął ten, którego mógłbyś kochać, a zamiast niego masz przed sobą rozsypany bezładnie gruz.

Albowiem pękła boska więź, która łączyła rzeczy.

Chcę, żebyś był wierny sobie samemu i wiem, że wrócisz. Nie żądam, żebyś zrozumiał, ani odczuwał głęboko w każdym momencie: aż nadto dobrze wiem, że nawet miłość najszaleńcza musi przebyć niejedną wewnętrzną pustynię. I w obecności kochanej kobiety zadajesz sobie czasem pytanie: „Jej czoło to zwykłe czoło. Jak mogę je kochać? Jej głos to zwykły głos. Powiedziała przed chwilą głupstwo... Postąpiła źle...” Jest wtedy zbiorem rozpadającym się na luźne elementy i nie może ci już być pokarmem, a niebawem gotów będziesz ją znienawidzić. Ale jakże byś nienawidził? Nawet kochać nie potrafisz.

Milczysz; bo wiesz niejasno, że to tylko przelotny sen. To, co w takiej chwili jest prawdą o kobiecie, może być także prawdą o poemacie, o ojcowiznie czy o królestwie. Zabrakło ci umiejętności przyjmowania pokarmu, a także dostrzegania boskich więzi łączących rzeczy, bo owa umiejętność to także miłość i poznanie. Wszystkie twoje miłości kiedyś odnajdziesz nie oddzielnie, ale razem, śpiący strażniku, a kiedy zdarzy ci się nieszczęście i nie dochowasz wierności, trzeba uszanować to, że jesteś jak opustoszały dom.

Kiedy po murach chodzą moi strażnicy, nie twierdzą, że wszyscy są żarliwi. Wielu z nich się nudzi i marzy o misce zupy, gdyż kiedy usną w człowieku bogowie, zostaje w nim zwierzęce wołanie, które chce zaspokoić potrzeby brzucha. A kto się nudzi, myśli o jedzeniu. Nie sądzę bynajmniej, że dusza w nich nigdy nie drzemie. Duszą zaś nazywam to, co w człowieku nawiązuje łączność z ową boską więzią łączącą rzeczy i co drwi sobie z murów. Myślę po prostu, że niekiedy dusza strażnika płonie. Że niekiedy mocno mu bije serce. Że są tacy, którzy poznają ciężar miłości, czując, jak nagle wypełnia ich gwar miasta. Kiedy czują w sobie bezmiar i oddech gwiazd i zamykają w sobie cały horyzont niby muszle wypełnione śpiewem morza.

Wystarczy mi, jeżeli doświadczysz takiego nawiedzenia i pełni bycia człowiekiem, i będziesz gotowy na jego przyjęcie, bo jest też tak samo jak ze snem, głodem albo pożądaniem, które nawiedza cię od czasu do czasu, a jeśli wątpisz, to znaczy, że jesteś czysty, i chciałbym cię w zwątpieniu pocieszyć.

Odnajdziesz, jeśli jesteś rzeźbiarzem, sens oblicza. Odnajdziesz, jeśli jesteś kapłanem, sens Boga, jeśli jesteś kochankiem — sens miłości, jeśli strażnikiem — sens królestwa; odnajdziesz to wszystko, jeśli pozostaniesz wierny sobie i będziesz utrzymywał w twoim domu czystość, choć zdaje się opuszczony, bo tylko

to może być pokarmem serca. Albowiem nie znasz godziny nawiedzenia, a ważne jest jedynie, abyś wiedział, że tylko ono na świecie może ci dać pełnię.

Dlatego kształtuję cię w nużących godzinach nauki, żeby poemat, jakimś nieoczekiwanym cudem, mógł w tobie zapalić płomień; i formuję cię obrzędami i obyczajem królestwa, żeby mogło się ono zakorzenić w twoim sercu. Ponieważ do otrzymania każdego daru musisz się przygotować. I nawiedzenie nie nastąpi, jeżeli nie będzie domu otwartego na przyjęcie gości.

Słuchaj strażnika: kiedy w zwątpieniu i niepokoju gorących nocy krocysz wzdłuż murów, kiedy słuchasz gwaru miasta i nie rozumiesz, co ono mówi, kiedy strzeżesz ludzkich domostw, a one są tylko bezduszną masą kamieni, kiedy oddychasz pustynią, a ona jest tylko pustką, kiedy próbujesz kochać, a nie kochasz, wierzyć — a nie wierzysz, i być wiernym — kiedy nie ma komu dochować wierności — wtedy właśnie gotujesz w sobie drogę światła, które pojawia się czasem jako nagroda i dar miłości.

Nietrudno być wiernym samemu sobie, kiedy dobrze wiadomo, komu dochować wierności; ale ja chcę, aby w każdym momencie pamięć wzywała cię i żebyś mówił sobie: „Niech zostanie nawiedzony mój dom. Zbudowałem go i utrzymuję w czystości. . .” Mój przymus ci pomoże. Zmuszam więc kapłanów do składania ofiar, nawet jeżeli ofiary nie mają już sensu. Zmuszam rzeźbiarzy, aby rzeźbili, nawet jeżeli wątpią w siebie. Zmuszani strażników pod karą śmierci, żeby obchodzili mury, gdyż w przeciwnym razie umrą odcięci z własnej winy od królestwa. Moja surowość jest dla nich ocaleniem.

\* \* \*

Podobnie i człowiek gotujący się do walki wśród trudów życia na strażnicy. Wysyłam go jako zwiadowcę w szeregi nieprzyjacielskie. On dobrze wie, że zginie. Bo wróg jest czujny. I lęka się tortur i tego, że krzyżącemu z bólu wróg będzie się starał wydrzeć tajemnice twierdzy. I ci, którzy są poddani więzom miłości, stroją się w radosnym rozgorączkowaniu, gdyż jedyną radością wydaje im się poślubić kobietę; i oto ją poślubiają. Nie sądzę bowiem, że kiedy w noc poślubną obejmujesz ukochaną, posiadasz tylko jej ciało; gdyż takie samo inne ciało mógłbyś znaleźć w owej dzielnicy miasta, gdzie zamieszkują inne, podobne do twojej dziewczyny; tu jednak następuje odmiana — wszystkie rzeczy zyskują nowy sens i barwę. I twój wieczorny powrót do domu, i przebudzenie, które zwraca ci bogactwo świata, i dzieci, na które czekasz i które nauczasz pacierza. Nawet ów imbryk, który stanie się ceremonią picia herbaty, kiedy skończycie się kochać. Ledwie ona przekroczyła próg twojego domu, a już kobierce z puszystej wełny stają się łąką dla jej stóp. A jakże mało jest użytkowych wartości wśród wszystkiego, co otrzymujesz, i co staje się nowym sensem świata. Pełni szczęścia nie

daje ci ani otrzymany przedmiot, ani pieszczota ciała, ani taka czy inna korzyść, ale sama tylko wartość owej boskiej więzi łączącej ze sobą rzeczy.

Zaś ten, co się stroi w zbroję, aby umrzeć, nic przecież w danej chwili nie otrzymuje, gdyż nawet pieszczota — a to rzecz tak niewiele ważna — nie będzie mu dana, wprost przeciwnie: pragnienie wśród skwaru słońca, wiatr, co miecie piaskiem zgrzytającym w zębach, a potem obecność wrogich ludzi usiłujących wydobyć z niego tajemnicę; czy myślisz, że ten, co się stroi na śmierć, aby wejść w nią w śmiertelnym mundurze, krzyczy z rozpaczony jak skazany zbrodniarz, co rozdziera ciało o nieustępliwe kraty? Widzisz, jaki spokojny jest ten, co się stroi na śmierć, jak patrzy na ciebie niewzruszonym spojrzeniem i odpowiada na żarty dozorców, które są wulgarnym przejawem sympatii, nie przez fanfaronadę, ani żeby pokazać odwagę, pogardę śmierci, cynizm czy coś w tym rodzaju; on jest przejrzysty jak spokojna woda i nic przed tobą nie skrywa; a jeśli trochę smutny i nie wstydzi się mówić o smutku, to skrywa przed tobą chyba tylko miłość. A dlaczego, powiem ci później.

Ale wiem, jaka broń jest mocniejsza od śmierci, gdy zostanie wymierzona przeciw człowiekowi, co nie drży mocując sprzączki i rzemienne paski zbroi. Jak łatwo go zranić! Wszystkie bóstwa jego serca mają nad nim władzę. Zwykła zazdrość potrafi zburzyć pokój, mądrość i wyrzeczenia, jeżeli zagraża królestwu, sensowi rzeczy i wizji powrotu do domu. Możesz mu w ten sposób wszystko odebrać, gdyż on ma oddać Bogu nie tylko ukochaną, ale i dom, i winnice, i porę winobrania, i żniwa, gdy trzeszczą suche snopy jęczmienia. I nie tylko żniwa, winobranie i winnice, ale nawet słońce. I nie tylko słońce, ale i tę, która jest jego częścią. Czy widzisz, ilu skarbów się wyrzeka, a jeszcze się nie uważa za zrujnowanego. Ale wystarczy, że mu ukradniesz jeden uśmiech ukochanej, a straci panowanie nad sobą i podda się szaleństwu. Oto tajemnica! Masz zatem nad nim władzę nie przez przedmioty stanowiące jego własność, ale przez ich sens zrodzony z owej boskiej więzi, która łączy rzeczy. A on woli własną zagładę niż zagładę tego, w co sam się przemienia i w czym z kolei znajduje swój pokarm. Ten, kto z powołania jest człowiekiem morza, godzi się na śmierć w jego falach. I choć w momencie katastrofy na pewno będzie odczuwał niepokój zwierzęcia złapanego w potrzask, teraz z pewnością niewiele liczy się dla niego ten paniczny lęk, który przewiduje, na który godzi się i którym gardzi; przeciwnie — znajduje satysfakcję w pewności, że kiedyś umrze na morzu. Słyszac zaś, jak skarżą się nieraz na okrucieństwo tej czekającej ich śmierci, nie widziałem w tym przechwałek mających przypaść do gustu kobietom, ale sekretne pragnienie miłości i skrywającą je wstydlivość.

\* \* \*

Albowiem i tu, podobnie jak wszędzie, żaden język nie zdoła wyrazić tego, co byś wyrazić pragnął. W przypadku kultury miłosnej możesz powiedzieć „ona”, w przekonaniu, że istotnie o nią chodzi, gdy w rzeczywistości chodzi przecież o sens rzeczy, a ona ma tylko oznaczać ową boską więź łączącą rzeczy ze sobą i z Bogiem; a Bóg jest sensem życia i ku Niemu kierujesz poryw miłości, gdy w istocie chodzi tu o pewien określony sposób nawiązywania kontaktów ze światem. A kiedy jakieś słowo nagle tak rozszerza swoje granice, w duszy, jak w morskiej muszli, budzą się niezliczone echa. Albo mówisz „królestwo” instynktownie i w przekonaniu, że zostaniesz zrozumiany i że wypowiedziałeś słowo zupełnie proste, jeżeli rozumieją je wszyscy dokoła ciebie; ale gdy trafi się ktoś, kto je zrozumie jako zwykłą sumę elementów, będzie się śmiał, gdyż nie o to samo królestwo mu chodzi. I będzie ci przykro, że ktoś mógł pomyśleć: oddaje swoje życie za skład akcesoriów.

Podobnie jest, kiedy widzenie przedmiotów wzbogaca się o wizję, która nad nimi góruje, a choć wymyka się rozumowi, duszy i sercu, wydaje się oczywista. I kieruje tobą lepiej, mocniej i pewniej niż jakakolwiek rzecz uchwytna (nie masz co prawda pewności, czy inni równocześnie i razem z tobą ją widzą), milczysz zatem z obawy, aby nie posądzono cię o szaleństwo i aby nie potraktowano z ironią — właściwą łobuzom — tej twarzy, która ci się objawiła. Ironia bowiem, próbując pokazać, z czego twarz się składa, potrafi ją zniszczyć. Jak przekonać, że twarz w tym przypadku nie jest sumą elementów, lecz czymś całkiem innym, skoro dostępne to jest duchowi, nie oczom?

Często dumałem nad takimi wizjami, bo tylko ich należy pragnąć, bo są piękniejsze niż wizje, które zwykłeś przywoływać wśród rozpaczliwych nocy. Kiedy opada cię zwątpienie, chciałbyś najczęściej, żeby Bóg ci się ukazał jak przechodzień, który zjawia się, aby cię odwiedzić, lecz wtedy przyjąłbyś Go jako równego sobie i podobnego, a On nigdzie by cię nie zaprowadził, ale zamknął w swej samotności. Nie pragniesz zatem obrazu boskiego majestatu, ale widowiska jarmarcznego, które dałoby ci niską uciechę na poziomie jarmarcznego święta i rozczarowanie, którego ostrze zwróciłoby się przeciw Bogu. I czy tak pospolite przeżycie mogłoby się stać dowodem? A ty pragniesz tymczasem, żeby coś zstąpiło ku tobie, zniżyło się do twojego poziomu, narażając się bez przyczyny na upokorzenie, i nie zostajesz wysłuchany. W moim zaś szukaniu Boga, przeciwnie: otwierają się przed tobą nowe duchowe rejony i ukazują się olśniewające wizje, nie dla oczu przeznaczone ani dla rozumu, ale dla serca i duszy, jeśli tylko zdobędziesz się na wysiłek wzwyz-wstępowania i wzniesiesz się na tę płaszczyznę, gdzie nie ma już rzeczy, ale łączące je wzajemnie boskie więzi.

I wtedy nie możesz nawet umrzeć, bo umrzeć to znaczy utracić. Zostawić coś poza sobą. A tu nic nie zostawiasz, a stapiasz się z czymś. I całe życie jest ci zwrócone.

Wiesz dobrze, że tak jest z pożarem, w którym poznałeś wymiar śmierci, aby ocalić cudze życie. I ze statkiem, gdy tonie na morzu.

I widzisz, jak ci sami ludzie, którzy gotowi byliby wyc, kraść, oszukiwać, drwić z powodu jednego uśmiechu, nie dla nich przeznaczonego, umierają i przyjmują własną śmierć z oczyma otwartymi na prawdziwe światło.

Możesz im mówić, że to nieprawda: tylko się roześmieją.

\* \* \*

Ale na twój widok, śpiący strażniku o twarzy bladego dziecka, ogarnia mnie niepokój; nie dlatego, że odstąpiłeś królestwa, ale że ono cię odstąpiło i że nie potrafi już sprawić, aby jego strażę czuwały.

Z pewnością jednak nie mam racji, kiedy słyszę głosy miasta jako jeden śpiew i widzę jako jedność to, co dla ciebie jest podzielone. I wiem, że powinienes być czekać, wyprostowany jak struna, aby w nagrodę, kiedy nadejdzie pora, światło cię olśniło, i byś poczuł nagle upojenie, słysząc swój miarowy krok niczym cudowny taniec w świetle nagle bezcennym pod gwiazdami. Bo oto, w nieprzeniknionej nocy dobijają do portów statki ładowne kością słoniową i drogimi kruszcami, a ty także, strażniku na murach, może je chronisz i tak — złotem i srebrem — stroisz królestwo, któremu służysz. Bo oto, gdzieś tam, kochankowie, którzy milczą, nie śmiejąc mówić, patrzą na siebie i tyle chcieliby powiedzieć... bo kiedy jedno z nich mówi, a drugie przymyka oczy, zmienia się cały świat. A ty bronisz także tego milczenia. Bo oto gdzieś ostatni oddech konającego. A zebrani pochylają się nad nim, żeby przyjąć jego serdeczne słowo i błogosławieństwo, które już na zawsze będzie zachowane w głębi duszy, a ty ratujesz od zapomnienia słowo umierającego.

I nie wiem, gdzie kończy się twoje królestwo, strażniku, kiedy Bóg cię zamienia w światło wewnętrzne i spojrzenie ogarniające rozległy horyzont, do którego masz prawo. Nieważne, jeżeli kiedy indziej jesteś człowiekiem, co marzy o misce zupy i wyrzeka na codzienny trud. To dobrze, że śpisz i że zapomnisz. Źle tylko, kiedy zapominając pozwalasz, aby zawalił się twój dom.

Gdyż wierność to wierność sobie samemu.

A ja chcę nie ciebie jednego ocalić, ale i twoich towarzyszy. A w tobie doczekać się tej wewnętrznej stałości, która jest cechą mocnych dusz. Gdyż oddalić się od domu, nie znaczy zburzyć go. A odwrócić wzrok od róż, nie znaczy rzucić je w ogień. One czekają na następne spojrzenie, w którym znowu rozkwitną.

Wyślę zatem zbrojnych, żeby cię pojмали. Zostaniesz skazany na śmierć, jak się karze strażników, gdy zasną. Możesz odżyć w nadziei, że przykład twojej kary zamieni się w czujność innych wartowników.

## CIX

Smutne to z pewnością, kiedy dziewczynie czulej i prostodusznej, pełnej ufności i wstydlivej, zagraża cynizm, egoizm i oszustwo, które wykorzystają jej bezbronny wdzięk i ufną wiarę; i może chciałbyś, żeby więcej wiedziała. Ale nie chodzi wcale o to, by dziewczyny w twoim kraju wszystko wiedziały, były ostrożne i skąpe w dawaniu; gdyż kształtując je w ten sposób niszczyłbyś to właśnie, co chcesz ocalić. Z pewnością każda wartość ma w sobie i zarodki własnego zniszczenia. Szczodrość niesie ryzyko obrzydliwego pasożytnictwa. Wstydlivość — wulgarności, która ją stłumi. Dobroć — ryzyko niewdzięczności i na koniec zgorzknienia. Ale czy chciałbyś świata już martwego, aby uniknąć ryzyka, które z natury rzeczy przynosi życie? I czy zabroniłbyś wznieść piękną świątynię ze strachu przed trzęsieniem ziemi, które mogłoby ją zburzyć?

Będę więc wciąż powoływał do życia te, które są ufne, choć najłatwiej właśnie je zdradzić. Jeżeli rabuś dopuści się grabieży na jednej z nich, będzie cierpiał. Ale jeśli chcę mieć wspaniałego wojownika — godzę się na ryzyko, że stracę go w czas wojny.

Odrzuć więc pragnienia, które niosą w sobie sprzeczność.

Znów bowiem absurdalna była twoja postawa. Podziwiając godne podziwu oblicze, zrodzone przez obyczaj twojego kraju, zaczynasz oto nienawidzić obyczaj, gdyż wydawał ci się przymusem, w istocie zaś dlatego, że nakazywał ludziom stawać się. A zniszczywszy obyczaj, w konsekwencji zniszczyłeś to, co zamierzałeś ocalić.

I w rzeczywistości, ze strachu przed wulgarną brutalnością i sprytem zagrażającym szlachetnym duszom zmusiłeś te szlachetne dusze, aby się stały właśnie wulgarniejsze i sprytniejsze.

\* \* \*

Pamiętaj, że nie na darmo kocham to, co zagrożone. Nie trzeba ubolewać nad zagrożeniem rzeczy cennych. To właśnie wydaje mi się warunkiem ich wartości. Lubię, gdy wierna przyjaźń jest wystawiona na próbę. Gdyby nie próby, nie byłoby wierności i nie miałbym przyjaciela. Godzę się na to, że niektórzy upadną, aby

wartość innych była tym większa. Lubię odważnego żołnierza, który się kulom nie kłania. Gdy zabraknie odwagi, nie będę miał bowiem żołnierzy. I godzę się na to, że niektórzy zginą, gdyż śmiercią utwierdzą godność pozostałych.

\* \* \*

Jeśli mi więc przynosisz skarb, niech będzie tak kruchy, że wiatr mógłby mi go odebrać.

W młodzieńczej twarzy lubię to właśnie, że zagraża jej starość, a w uśmiechu — że jedno słowo może go przemienić w łzy.



## CX

Ujrzałem wtedy rozwiązanie sprzeczności, nad którą tyle przemyślałem. Kiedy ja — król pochylałem się nad śpiącym strażnikiem, ta sprzeczność była dla mnie jak rana. Wyrwać ze szczęśliwych snów to dziecko i przenieść je nie-  
tknięte, zdumione w śmierć, gdy w krótkim ocknieniu spaść ma na nie cierpienie za sprawą ludzi... Wartownik obudził się, kiedy stanąłem przed nim i przesunął dłońią po czoło, a potem, nie rozpoznawszy mnie, podniósł twarz ku gwiazdom i cicho westchnął, jakby czując znów ciężar odłożonej broni. Wtedy zrozumiałem, że taką duszę trzeba zdobyć.

Obok niego ja — jego król, zwrócony ku miastu, wdychałem obecność miasta, które tylko na pozór, a nie istotnie było tym samym miastem. I myślałem, że z patosu moich przeżyć nic mu nie mogę przekazać. Jedno tylko może mieć sens: nawrócić go i złożyć na niego nie ciężar rzeczy, bo przecież tak samo jak ja patrzy na nie, wchłania w siebie, posiada je i ocenia, ale ciężar wizji: oblicza rzeczy i boskiej więzi, która je łączy. Zrozumiałem, że przede wszystkim trzeba rozróżnić zdobywanie od przymusu. Zdobywać kogoś to nawracać. Zmuszać — to więzić. Jeżeli cię zdobędę — wyzwolę w tobie człowieka. Jeżeli przymuszę — zdławię go. Zdobyć to zbudować ciebie w tobie i przez ciebie. Przymus to równe rzędy kamieni, podobnych do siebie, z których nic nie powstanie.

Pomyślałem wtedy, że wszystkich należałoby zdobyć. Tych, co czuwają, i tych, co śpią, strażników obchodzących mury i mieszkańców miasta, których te mury strzegą. Tych, co się cieszą z narodzin dziecka lub opłakują umierającego. Tych, którzy się modlą, i tych, którzy wątpią. Zdobyć to zbudować w człowieku kościec i otworzyć drzwi duszy na obfitość bogactw. Jeżeli mu wskażę drogę, będzie mógł się poić w ogromnych jeziorach. I włożę mu w duszę moich bogów, aby dawali mu światło.

I ważne jest, aby go zdobyć w dzieciństwie, gdyż w przeciwnym razie skrzepnie i stwardnieje, i nie będzie umiał nauczyć się mojej mowy.

## CXI

Pewnego dnia stwierdziłem, że nie mogę się mylić. Nie dlatego, żebym się uważał za mocniejszego od innych w rozumowaniu, ale dlatego, że przestałem wierzyć w racje, które wynikają jedna z drugiej zgodnie z zasadami logiki. Przekonałem się bowiem, że logiką rządzi coś wyższego od niej i rysuje ona tylko ślad na piasku owej drogi, która jest jak taniec, i w zależności od uzdolnień tancerza prowadzi lub nie do źródła ocalenia; i zrozumiałem z całą pewnością, że historia już dokonana jest uzależniona od rozumu, ponieważ w następstwie kroków nie zabraknie ani jednego kroku, ale że patrząc w przyszłość nie da się odczytać ducha, który wyznacza kierunek kroków; i że kultura, jak drzewo, wyrasta tylko z energii zawartej w nasieniu, a nasiono jest tylko jedno, choć drzewo rozrasta się, różnicuje i wydaje różne części: korzenie, pień, konary, liście, kwiaty i owoce, które są już zrealizowaną energią ziarna. Zrozumiałem też dobrze, że dokonana już kultura istotnie wyznacza nieprzerwaną drogę wstecz, ku swoim źródłom, ukazując logikom szlak, którym mogą się cofać, ale że oni nie umieją posuwać się tym szlakiem, ponieważ nie umieją nawiązać kontaktu z elementem wiodącym. Słuchałem, jak ludzie spierają się, a żaden z nich nie zyskuje zupełnej przewagi, wysłuchiwałem komentatorów geometrów, którym się zdawało, że poznali prawdę, a w rok potem odrzekli się jej — pełni urazy, albo oskarżali przeciwników o świętokradztwo, nie mogąc się rozstać ze swoimi chwiejnymi bożyszczami; ale siadałem też przy jednym stole z jednym prawdziwym geometrą i moim przyjacielem, który wiedział, że trzeba ludziom znaleźć odpowiedni język; jak poeta, który chce wypowiedzieć swoją miłość i chce języka obejmującego zarazem światy gwiazd i minerałów, poeta, który wie, że każdego roku trzeba odmieniać język, gdyż to właśnie jest znak wzwyż-wstępowania. Odkryłem, że nic nie jest fałszem z tego prostego powodu, że nic nie jest prawdziwe (a prawdziwe jest to wszystko, co się staje, jak prawdziwe jest drzewo); i w serdecznym milczeniu, cierpliwie wysłuchiwałem niewyraźnych słów i krzyków wściekłości, śmiechów i skarg mojego ludu. Swego czasu, w młodości, kiedy stawiano opór argumentom, które były nie tyle strukturą mojej myśli, co jej ozdobą, zrezygnowałem z walki widząc, że brak mi skutecznego narzędzia słownego w walce ze zręczniejszym ode mnie obrońcą, ale nie wyrzekłem się tego, co było we mnie trwałe; wiedziałem, że z jego wy-

wodów wynika tylko to, że ja wyrażam się niezręcznie; i później używałem broni silniejszej, gdyż jeśli jest w człowieku prawdziwe przekonanie, znajdzie w sobie, jak w niewyczerpanym źródle, nieprzebraną obfitość środków wyrazu. Zrezygnowawszy ze znalezienia sensu w beładnej gadaninie ludzkiej, uznałem, że więcej da, jeżeli oni spróbują znaleźć mój sens, i wolałem rozwijać się jak drzewo z nasienia, gdy wykształca w każdym szczególe korzenie, pień i gałęzie. I nie ma co już wtedy wybierać pomiędzy tym drzewem a innym, ponieważ tylko jego korona jest dość szeroka, aby dać schronienie.

I nabrałem pewności, że niejasność stylu i sprzeczności w wypowiedziach nie wynikały bynajmniej z niepewnych, sprzecznych w sobie albo mglistych wartości, ale z niewłaściwego posługiwania się słowami, gdyż moja wewnętrzna postawa, tendencja i obrany kierunek nie mogły być ani mgliste, ani sprzeczne w sobie, ani niepewne i nie potrzebowały żadnego usprawiedliwienia; po prostu były, tak jak w rzeźbiarzu wyrabiającym glinę istnieje potrzeba, która nie znalazła sobie jeszcze kształtu, ale niebawem stanie się twarzą powstałą z wyrobionej gliny.

## CXII

Kiedy nie ma jakiejś narzucającej porządek hierarchii, rodzi się próżność. (Przykłady: generał i namiestnik.) Ale kiedy zaistnieje coś, co jednych poddaje drugim — próżność ginie. Albowiem powstaje ona w sytuacji, gdy ludzie są jak przemieszane kulki: nie panuje nikt, kto by narzucił ich ruchom określony kierunek; i każdy jest wtedy zazdrosny o miejsce, które zajmuje.

A oto wielka wojna wydana przedmiotom — nadszedł bowiem czas, kiedy trzeba mówić o tym wielkim zagrożeniu. Oceniam bowiem żarliwość i uznaję szczęście ludzi, których życie polega na tym, że ryjąc i przeszukując podziemne żyły wśród nagiej spękanej ziemi, raniąc sobie ręce o kamienie, wciskając się w głąb gliny i wychodząc na powierzchnię, gdzie śpią pod namiotami nadzy, paleni słońcem jak przejrzały owoc, raz na rok znajdują przezroczysty diament. I widziałem, jak byli nieszczęśliwi, zgorzkniali i poróżnieni między sobą ci, co otrzymywali przepyszne diamenty, a mieli tylko nikomu niepotrzebne szkiełka. Albowiem nie przedmiotu człowiekowi potrzeba, ale Boga.

Albowiem posiadanie przedmiotu istotnie jest trwałe, ale nietrwały jest pokarm, który w ten sposób zyskujesz. Sensem przedmiotu jest bowiem wzbogacić ciebie, a ty wzbogacasz się zdobywając go, nie posiadając. Dlatego szanuję człowieka, który zachęca do trudnego zwycięstwa, do górskiej wspinaczki, do zrozumienia poematu, do zdobycia nieprzystępnej istoty, i zmusza nas do stawania się. Gardzę natomiast człowiekiem, który jest jak zgromadzone w magazynie zapasy i od którego nic już nie możesz otrzymać. Kiedy zdobędziesz już diament, co będziesz z nim robił?

Chciałbym wam też przekazać zapomniany sens święta. Święto jest ukoronowaniem świątecznych przygotowań, świętem jest zdobyty szczyt, znalezienie diamentu, kiedy było ci dane wydostać go z ziemi; świętem jest zwycięstwo, wieńczące wojnę, a także pierwszy posiłek chorego w pierwszym dniu przezwyciężonej choroby, i obietnica miłości, kiedy ona spuszcza oczy na dźwięk twoich słów...

\* \* \*

Żeby cię tego nauczyć, pokażę ci taki oto obraz:

Potrafiłbym, gdybym chciał, stworzyć kulturę pełną żarliwości, radosną w zespołowym trudzie i w dźwięcznym śmiechu robotników powracających z pracy; gdzie mocno kocha się życie i gorąco oczekuje na jutrzejsze cuda i na poezję, w której słyhać echo gwiazd; ale ty kopałbyś tylko ziemię, by wydobyć z niej diamenty, które w wyniku cichej przemiany we wnętrzościach globu ziemskiego stają się wreszcie blaskiem. (Gdyż diamenty to dzieci słońca, które stały się potem pędami paproci, potem — nieprzebitą nocą, aż z powrotem stały się światłem.) Zatem, jak ci powiedziałem, zapewniam ci życie pełne patosu skazując na to wydobywanie kamieni i zapraszając na uroczyste święto — dzień, w którym w obecności utrudzonego ludu diamenty będą spalone w ofierze i zwrócone światłu. Albowiem nieużywanie zdobytych przedmiotów wyznacza twoje życie wewnętrzne, a twoja dusza nie rzeczami się karmi, ale sensem rzeczy.

Oczywiście że mógłbym, z równym pożytkiem dla powszechnego poczucia obfitości, ofiarować ten diament księżniczce, zamiast go palić. Albo też zamknąć w szkatułce, w tajemniczym skarbcu świątyni, aby dawał tym mocniejszy blask, nie dla oczu, ale dla duszy (bo dusze żywią się blaskiem poprzez mury). Ale z pewnością niewiele by ci to dało, gdybym ci ten klejnot po prostu ofiarował.

Zrozumiałem bowiem głęboki sens ofiary, która nie powinna niczego odbierać, ale wzbogacać. Mylisz się jak nieświadome jeszcze dziecko, kiedy wyciągasz ręce do przedmiotu, podczas gdy w rzeczywistości potrzebny ci jego sens. Gdybym bowiem stworzył królestwo, gdzie co wieczór dawałbym ci przywiezione z innych krajów diamenty, to tak jakbym ci dawał kamyki, gdyż nie znajdziesz w nich nic z tego, czego pragnąłeś. Bogatszy jest zatem człowiek, który przez okrągły rok w trudzie kuje skałę i w doroczne święto daje na spalenie owoc swojej pracy, aby zabłysnął pełnym blaskiem, niż ten, kto dzień po dniu otrzymuje sprowadzone z daleka dobra, które mu przysły bez trudu.

\* \* \*

(Tak jest z grą w kręgle: cieszysz się, kiedy je przewrócisz. Ale kręgle przewrócone nie są ci do niczego potrzebne.)

\* \* \*

Dlatego ofiara łączy się w jedno ze świętem. Ukazuje ci się wtedy sens ludzkiego działania. Czy nie jest świętem radosny ogień, gdy spalasz zebrane drzewo opałowe, radosny wypoczynek mięśni, gdy wspiąłeś się już na szczyt, lśnienie diamentu, który już został wydobyty na słońce, winobranie, kiedy winorośl już obsypana owocem? Czy myślisz, że ze święta można tak korzystać jak z gotowego zapasu? Świętem jest zakończenie drogi, uwieńczenie marszu, ale nie oczekuj

go, jeżeli zamienisz wędrowanie na osiadły tryb życia. Dlatego nie możesz znaleźć sobie domu ani w muzyce, ani w poezji, ani w zdobytej kobiecie, ani w krajobrazie zobaczonym ze szczytu góry. Zgubię cię, jeżeli cię rozmienię po równo na wszystkie dni. Jeżeli dniom nie nadam kierunku, jak statkowi, co wie, dokąd płynie. Nawet poezja jest świętem, kiedy potrafisz pokonywać ją krok po kroku jak górski szczyt. I świętem jest świątynia, w której masz pozostawić na progu wszystkie przyziemne troski. Dzień po dniu męczyło cię swoim rozgardiaszem miasto. Dzień po dniu trawiła cię gorączka zrodzona z pośpiechu, z konieczności pracy na chleb, z chorób, które trzeba wyleczyć, i kłopotów, którym trzeba sprostać, więc szedłeś to tu, to tam, śmiejąc się i płacząc. Aż przyszła pora przeznaczona na ciszę i na szczęście. Wtedy wchodzisz po schodach, popychasz drzwi i nie ma nic więcej tylko otwarta przestrzeń morza i Mleczna Droga, w którą patrzysz, i bogactwo ciszy, i zwycięstwo nad zwykłym dniem; a było ci to potrzebne jak pokarm, gdyż przedmioty, które nie są dla ciebie, zadawały ci ból. Musiałeś stać się tutaj, aby z rzeczy narodziło się oblicze i aby powstała struktura, nadająca im, poprzez różnorodność widzialnego, jeden sens. Ale co będziesz robił w świątyni, jeżeliś przedtem nie żył w mieście, jeżeli nie walczyłeś, nie wspinałeś się w górę i nie cierpiałeś, jeżeli nie przynosisz ze sobą kamieni — tworzywa, z którego masz w sobie coś zbudować.

To samo mówiłem o moich wojownikach i o miłości. Jeżeli jesteś tylko kochankiem, pamiętaj, że nie jest w pełni osobą ten, co tylko kocha, i kobieta będzie przy tobie ziewać z nudów. Tylko rycerz może kochać naprawdę. Jeżeli zaś nie jesteś rycerzem, kto umrze w boju? Owad ubrany w metalowe łuski? Tylko mężczyzna i to taki, który kochał, umiera po męsku. Nie ma tu sprzeczności, chyba tylko na płaszczyźnie słów. Albowiem owoce i korzenie mają wspólną miarę, a jest nią drzewo.

## CXIII

Nie możemy się porozumieć co do tego, czym jest rzeczywistość. Ja nie to nazywam rzeczywistością, co jest wymierne i daje się zważyć (nie jestem wagą i drwię z niej, i niewiele obchodzi mnie to, co jest rzeczywistością wagi). Rzeczywistość jest tym, czego ciężar czuję nad sobą. Czyjaś smutna twarz, jakaś kantata, żarliwość w służbie królestwa, litość dla ludzi albo piękno postępowania, smak życia, czyjaś krzywda, żal, rozstanie albo więź, jaka się zawiązuje w czasie winobrania. (To coś o wiele więcej niż ścinanie winnych gron, bo jeśli nawet wywiezie się je gdzieś na sprzedaż, to, co istotne, zostaje we mnie. Tak jak człowiek, który miał otrzymać order z rąk króla, już przybył na ceremonię, cieszył się jej świetnością, przyjął gratulacje przyjaciół, zaznał dumy zwycięstwa — ale król spadł tymczasem z konia, zmarł i nie zdążył przypiąć mu do piersi metalowego przedmiotu. I kto będzie twierdził, że ów człowiek nic nie otrzymał?)

Dla psa rzeczywistość to kości. Dla wagi — ciężar odważnika. Ale dla ciebie rzeczywistość ma inny charakter.

Dlatego powiadam, że ludzie interesu są niekonsekwentni, a tancerki — rozsądne. Nie, abym lekceważył zajęcia pierwszych, ale że lekceważę ich zadufalność, pewność i zadowolenie z siebie, ponieważ uważają się za cel ostateczny i istotę wszystkiego, a są tylko sługami. Służą zaś przede wszystkim tancerkom.

Staraj się dobrze zrozumieć sens pracy. Są prace pilne. Na przykład w kuchniach mojego pałacu. Jeśli bowiem zabraknie jedzenia, nie będzie i ludzi. I ludzie powinni być przede wszystkim nakarmieni, ubrani i powinni mieć mieszkanie. Po prostu muszą istnieć. I takie usługi w pierwszym rzędzie są pilne. Ale nie to jest ważne naprawdę, ale jaki jest człowiek. Więc tańce, poezje i mieszkający na poddaszach złotnicy, geometra i astronom wpatrzony w gwiazdy, umożliwiają prace kuchenne i pracują na chwałę człowieka i nadają mu sens.

Kiedy więc przychodzi ktoś, kto zna się wyłącznie na kuchni, gdzie istotnie chodzi o rzeczywistość dającą się zważyć i o kości dla psów, zabraniam mu mówić o człowieku, ponieważ nie dostrzeże tego, co najważniejsze, podobnie jak adiutant generała widzi w człowieku tylko umiejętność władania bronią.

Kto będzie tańczył w jego pałacu, jeżeli tancerki wyśle się do kuchni, żeby przygotowywały obfitsze jadło? I kto będzie cyzelował złote dzbanki, jeżeli wyśle

się złotników do wytwórni cynowych imbryków, aby zwiększyć liczbę produkowanych naczyń? I kto będzie szlifował diamenty, pisał wiersze albo obserwował gwiazdy, kiedy można wszystkich tych ludzi wysłać do młocki zboża, aby przybyło ludziom chleba?

Ale kiedy zabraknie w twoim kraju czegoś przeznaczonego dla ducha, a nie dla oczu i nie dla zmysłów, będzie trzeba obmyślać dla ludzi fałszywe pokarmy, które nic nie będą warte. Znajdziesz wtedy fabrykantów, którzy będą fabrykować wiersze, ludzi — automaty — wytwarzających taniec, szalbierzy, którzy ze szlifowanego szkła będą fabrykować diamenty. Będzie to złudzenie życia, gdyż w istocie obecna w tych ludziach będzie tylko karykatura życia. Ponieważ prawdziwy sens tańca, diamentu i wiersza, które są pokarmem człowieka tylko wtedy, gdy zostały osiągnięte z trudem, zostanie pomyłony z paszą rzucaną bydłu do żłobu. Taniec jest walką i rzucanym czarem, morderstwem i skruchą. Wiersz jest wspinaniem się na górski szczyt. Diament jest rokiem pracy przemienionej w gwiazdę. Więc zabraknie tego, co najistotniejsze.

A ponieważ gra w kręgle daje ci radość, kiedy przewracają się kręgle przeciwnika, będziesz teraz szukał przyjemności ustawiając całe setki kręgli i budując maszynę, która potrafi powalić je wszystkie naraz.



## CXIV

Nie sądz natomiast, że lekceważę twoje potrzeby. Ani też nie wyobrażam sobie, że są sprzeczne z prawdziwym sensem twojego życia. Chciałbym się bowiem wytłumaczyć i pokazać ci moją prawdę w słowach, które drwią z siebie nawzajem, jak potrzeba i zbytek, przyczyna i skutek, kuchnia i sala balowa. Ale wcale nie wierzę w te podziały wynikające z niezręczności mowy i z wyboru nieodpowiedniej góry, z której odczytujemy ludzkie postępowanie.

Widzisz: moi strażnicy dopiero wtedy pojmują sens miasta, kiedy Bóg da im jasność spojrzenia i wyborny słuch, jaki przystoi straży; wtedy krzyk noworodka nie sprzeciwia się lamentom przy łożu konającego, targowisko nie sprzeciwia się świątyni, ani dzielnica tanich kobiet — wierności, stanowiącej inne oblicze miłości; i tak samo jak świątynia ciszą góruje nad różnorodnością figur, filarów, ołtarzy i sklepień, tak i człowieka spotkam dopiero na tej płaszczyźnie, gdzie ten, który śpiewa, nie będzie już przeciwstawieniem tego, który młóci zboże, ten, który tańczy — siewcy na zagonie, astronom — kowala wykuwającego gwoździe. Tak bowiem nie zrozumie nigdy człowieka: podzielę go i zgubię jego sens.

Dlatego też zamknąłem się w ciszy mojego uczucia i zacząłem przyglądać się mieszkańcom mojego miasta. Zapraǳałem ich zrozumieć.

(Notatka do późniejszego wykorzystania: Nie sądzę, aby można było z góry dokonać wyboru związków zachodzących pomiędzy różnymi typami działania. Rozum nie ma tu nic do rzeczy. Nie sposób bowiem zbudować ciała z sumy elementów. Sądziś natomiast ziarno i ono okazuje się ową sumą. I tylko z tego, ile warta jest miłość, zrodzi się rozumna proporcja, nie dająca się wcześniej ująć, chyba że w głupim języku logików, historyków i krytyków, którzy pokażą ci wszystko w kawałkach i wytłumaczą, jak mógłbyś powiększyć jeden z nich kosztem pozostałych, a także dowodząc z łatwością, że należało raczej powiększyć ten właśnie, a nie inny, choć równie dobrze mogliby dowieść czegoś przeciwnego; jeżeli bowiem stworzysz sobie obraz kuchni i sali balowej, nie ma wagi, która by wykazała większe znaczenie jednego obrazu niż drugiego. Albowiem jeśli uformujesz sobie z góry pewne wyobrażenie przyszłości, słowa przestają cokolwiek znaczyć. Kształtować przyszłość to tyle co kształtować teraźniejszość. Stwarzać pragnienie dotyczące dnia dzisiejszego. Które jest dzisiejsze, ale zwró-

cone ku przeszłości. Nie jest to natomiast rzeczywistość działań, które mają sens tylko w odniesieniu do przeszłości. Jeżeli twój organizm oderwie się od terażniejszości — umrze. Życie, które jest przystosowaniem do terażniejszości i trwaniem w dniu dzisiejszym, składa się z nieprzeliczonych więzi, których ująć język nie jest w stanie. Na równowagę składa się tysiąc cząstkowych stanów równowagi. I jeśli w toku abstrakcyjnych wywodów przetniesz jedną z tych więzi jak jedną żyłę w owej ogromnej budowli, jaką jest ciało słonia — nastąpi śmierć. Nie chodzi o to, abyś nic nie zmieniał. Bo możesz zmienić wszystko. I jałową równinę możesz zamienić w las cedrowy. Ale nie o to chodzi, abyś budował cedry, ale abyś siał nasiona. I w każdym momencie zarówno samo nasienie jak to, co z nasienia się narodzi, będzie w harmonii z terażniejszością.)

\* \* \*

Z różnych perspektyw można widzieć rzeczy. Jeśli patrzę z określonej góry, dzieląc ludzi pod względem ich prawa do zasobów materialnych, wzburzy mnie poczucie niesprawiedliwości. Możliwe jednak, że z innej góry, która wprowadzi inny podział wśród ludzi, inaczej będę rozumiał sprawiedliwość. A chciałbym, aby każda sprawiedliwość była wymierzona. Dlatego poleciłem przypatrywać się zachowaniu ludzi.

(Sprawiedliwość bowiem nie jest jedna — ale jest ich nieskończona mnogość. Aby wynagrodzić moich generałów — obdarzając ich coraz wyższymi godnościami i coraz większymi obowiązkami — mogę przyjąć podział wedle wieku. Ale równie dobrze mogę w miarę lat ujmować im obowiązków i składać je na barki młodych. Mogę działać wedle dobra królestwa. Mogę też działać wedle praw jednostki lub poprzez jednostkę, a w sprzeczności z nią — wedle praw człowieka.)

A jeżeli uwzględniając hierarchię w moim wojsku staram się sądzić według zasad równości, natychmiast wpadam w sieć nierozwiązywalnych sprzeczności. Gdyż mam uwzględnić i oddane zasługi, i uzdolnienia, i dobro królestwa. I zawsze znajdę jakąś niepodważalną skalę wartości, która wykaże błąd działania wedle innej skali. Toteż nie tak bardzo się przejmę, gdy mi wykażą, że wedle pewnego oczywistego systemu praw moje decyzje są wprost potworne: z góry wiem, że tak będzie, cokolwiek zrobię, i że trzeba wyważyć prawdę, dać jej nieco dojrzeć, aby wyraziła się nie w słowach, a w całym swoim ciężarze.

(Tu można by mówić o liniach napięć.)

## CXV

Uznałem zatem, że błędne byłoby odczytywać sens mojego miasta z punktu widzenia ludzi uprzywilejowanych. Każdego bowiem można skrytykować. I nie na tym polega problem. Czy też — dokładniej mówiąc — jest to problem, ale drugorzędny. Gdyż oczywiście zależy mi na tym, aby uprzywilejowanych przywileje uszlachetniały, a nie upadły. Ale w pierwszym rzędzie zależy mi na obliczu całego miasta.

Wybrałem się więc na przechadzkę mając przy boku porucznika, który przechodniom zadawał pytania.

— Czym się zajmujesz? — pytał przypadkowo spotkanych.

— Jestem cieślą — odpowiadał jeden.

— Jestem rolnikiem — odpowiadał drugi.

— Jestem kowalem — mówił trzeci.

— Jestem pasterzem — mówił czwarty.

— Kopię studnie. Pielęgnuję chorych. Piszę dla tych, co nie umieją pisać. Jestem rzeźnikiem zaopatrującym ludzi w mięso. Fabrykuję tace do podawania herbaty. Tkam płótno. Szyję odzież. . .

Wydawało mi się, że ci ludzie pracują dla wszystkich. Albowiem wszyscy potrzebujemy mięsa, wody, leków, desek, herbaty i ubrań. I nikt nie zużywa więcej, niż mu jest potrzebne, ponieważ raz można coś zjeść, raz zażyć lekarstwo, raz się ubrać, wypić herbatę, napisać list i w jednym łóżku jednego domu się przespać.

Ale od czasu do czasu któryś z zapytanych odpowiadał:

— Buduję pałace, szlifuję diamenty, rzeźbię kamienne posągi. . .

Ci oczywiście nie pracowali dla wszystkich, ale tylko dla niektórych, ponieważ wytwór ich pracy nie był podzielny.

I rzeczywiście: spójrz na człowieka, który przez cały rok maluje jedną wagę — czy mógłbyś każdemu przyznać taką wagę? Zatem jeden człowiek pracuje dla wielu. Są kobiety i chorzy, kaleki i dzieci, starcy a i ci, którzy akurat dziś odpoczywają. Są także słudzy cesarstwa, którzy nie wykonują przedmiotów: żołnierze, żandarmi, poeci, tancerze i zarządzający. A przecież i oni, podobnie jak pozostali, korzystają z dóbr, potrzebują ubrań i obuwia, jedzą, piją i śpią w jakimś łóżku. A skoro nie wymieniają przedmiotów wytwarzanych na przedmioty przez

siebie używane, trzeba gdzieś ukraść te przedmioty produkującym, aby zaopatrzyć i tych, co nie produkują. I żaden rzemieślnik nie twierdzi, że zużytkowuje wszystkie przedmioty wytworzone w jego warsztacie. Istnieją zatem przedmioty, którymi nie można by było obdzielić wszystkich, gdyż w takim przypadku nie byłoby komu ich wytwarzać.

A jednak to istotne, aby takie przedmioty obmyślano i produkowano, ponieważ stanowią bogactwo, istotę i sens danej kultury. Zwłaszcza, że produkcja przedmiotów mających wybitną wartość i godnych człowieka pochłania wiele czasu. Sens diamentu to właśnie rok ciężkiej pracy dającej w końcu nie większy od paznokcia okruch. Tak samo kropla perfum, na którą złożyły się naręcza kwiatów. Przeznaczenie owej brylantowej łzy czy owej wonnej kropli nie jest przy tym istotne, ponieważ z góry wiem, że nie mogą one stanowić powszechnej własności i wiem także, że o treści kultury stanowi nie przeznaczenie przedmiotu, ale to, jak się narodził.

Więc ja, władca, okradam z chleba i ubrań ludzi pracujących, aby je dać żołnierzom, kobietom i starcom.

Dlaczegoż więc miałbym mieć większe wyrzuty okradając ich z chleba i ubrań, aby je dać rzeźbiarzom, szlifierzom diamentów i poetom, którzy choć piszą wiersze, muszą jednak coś jeść?

W przeciwnym razie nie będzie ani diamentów, ani pałaców, ani w ogóle niczego, czego by człowiek mógł pragnąć.

Przedmioty te tylko w niewielkim stopniu wzbogacają mój lud: bogaci się on samym przemianami w inne formy działania swojej aktywności na polu kultury zabierającej wiele czasu tym, którzy się nią zajmują; ale — jak przekonały mnie rozmowy ze spotkanymi ludźmi — zajmuje się nią w mieście bardzo niewielu ludzi.

Rozmyślałem jeszcze i nad tym, że skoro nieistotne, komu przypadnie przedmiot, który nie może być przeznaczony dla wszystkich, a zatem nie mogę twierdzić, że on go ukradł innym, grono ludzi, którym on przypadnie, stanowi w oczywisty sposób tkankę ogromnie delikatną i trzeba dużej rozwagi, aby jej nie naruszyć, gdyż jest ona zarazem kanwą, na której powstaje kultura. A wartość tych ludzi i ich etyczne zalety są tu sprawą drugorzędną.

Z pewnością problem jest właśnie moralny. Ale zarazem istnieje i problem przeciwny. A jeśli rozmyślając nad tym używam terminów wykluczających współistnienie sprzeczności, wykluczam i jasne widzenie problemu.

## CXVI

Notatki na później: Uciekinierzy z kraju Berberów nie chcą pracować, kładą się na ziemi. Jakiegokolwiek działanie wydaje się niemożliwe.

Narzucam im nie konkretne czyny, ale struktury. Wprowadzam rozróżnienie w ciągu biegnących po sobie dni. Ustanawiam hierarchię i buduję mieszkania, jedne ładniejsze, a drugie brzydsze, aby wprowadzić element zazdrości. Wprowadzam nakazy — mniej lub bardziej niesprawiedliwe, żeby obudzić różne reakcje. Nie mogę zakładać sprawiedliwości, gdyż byłaby tu ona równoznaczna ze spokojnym gniciem martwej kałuży. I zmuszam ich, aby przyjęli mój język, ponieważ mój język posiada dla nich pewien sens. Wszystko zaś tworzy pewien system konwencji, przy pomocy których — podobnie jak w przypadku ślepcy lub głuchoniemego — chcę dotrzeć do uśpionego w nich człowieczeństwa. Do ręki ślepcy przysuwasz płomień i mówisz „ogień”. I za każdym razem, gdy przysuwając płomień do jego ręki, mówisz „ogień”, jest to niesprawiedliwe w stosunku do jednostki, skoro jej zadajesz ból. Ale jest sprawiedliwe wobec człowieka, ponieważ powtarzając „ogień”, dajesz mu w końcu świadomość. I nadejdzie dzień, kiedy nie przysuwając płomienia powiesz „ogień”, a on odsunie rękę. Będzie to znak, że zbudził się w nim człowiek.

Tak więc ludzie niezależnie od swojej woli są wpleceni w pewną nieodwołalną sieć, której nie mogą oceniać, ponieważ ona po prostu jest. Domy są różne. Pokarmy są różne. (Wprowadzam także święto, którego istotą jest ustawienie dni w stosunku do określonego dnia, co daje ludziom smak egzystencji, „i zmuszę ich do napięcia mięśni i do trudnych figur tańca; a wszelkie napięcie jest niesprawiedliwe, bo gdzież tu sprawiedliwość, jeżeli jeden dzień różni się od innych?”) I święto sprawia, że zbliżają się ku czemuś lub oddalają w czasie. A domy — ładniejsze lub brzydsze — dają poczucie zyskiwania lub tracenia. A także wchodzenia i wychodzenia. I na ziemi ich obozowiska namaluję białe linie, aby zakreślały strefy zakazane i strefy bezpieczne. I wprowadzę miejsce, gdzie przebywanie jest absolutnie zabronione i karane śmiercią, aby znali kierunki przestrzeni. W ten sposób galaretowate ciało meduzy otrzyma kościec. I o dziwo! Zacznie się poruszać.

Człowiek miał do swojej dyspozycji język, który był pusty. A teraz język zostanie nałożony jak wędzidło. Narodzą się słowa okrutne, mogące przyprawić o płacz. I słowa śpiewne, od których w sercu robi się jaśniej.

„Ułatwię wam życie...” — wszystko można w ten sposób stracić. Nie same bogactwa są niebezpieczne, ale to, że przestają być odskocznią, a stają się tylko nagromadzonym zapasem. Błąd polega nie na tym, żeś dawał — ale żeś mniej wymagał. Jeśli więc dajesz, i wymagać musisz więcej.

Sprawiedliwość i równość. I oto nadchodzi śmierć. A braterstwo można znaleźć wyłącznie w świecie roślinnym. Nie wolno bowiem mylić związku i wspólnoty, która jest wyzbytą bóstwa bezładną mieszaniną, pozbawioną tych boskich sił, które rządzą ruchem mięśni i krążeniem krwi; jest zatem gniciem.

Albowiem życie w zupełnej równości, sprawiedliwości i wspólnocie zaciera granice między jednostkami. Następuje stan spoczynku, jaki jest udziałem wymieszanych kulek.

Rzuć ludziom ziarno, które zakiełkuje w drzewo — drzewo niesprawiedliwe.

## CXVII

Co się więc tyczy mojego sąsiada, zauważyłem, że niewiele daje obserwowanie wydarzeń, sytuacji, instytucji i przedmiotów w jego królestwie, ale obserwować należy wyłącznie tendencje. Jeśli interesujesz się moim królestwem, wybierzesz się do kowali, których zastaniesz przy kuciu gwoździ, przejętych tym zajęciem i śpiewających o nim piosenki. Potem pójdziesz odwiedzić drwali i zastaniesz ich przy wyrębie lasu, przejętych tym zajęciem i weselących się z całego serca, kiedy nadejdzie moment dla drwala uroczysty: drzewo pierwszy raz zatrzeszczy, a jego majestat zacznie się chylić ku ziemi. A jeżeli wybierzesz się do astronomów, zobaczysz, jak pasjonują ich gwiazdy i jak wsłuchują się w ich ciszę. I rzeczywiście każdy to sobie tak wyobraża. Jeśli cię więc spytam: „Co się dzieje w moim królestwie i czego się spodziewać w dniu jutrzejszym?”, odpowiesz: „Ludzie będą wykuwać gwoździe, rąbać drzewa, wpatrywać się w gwiazdy, będzie zatem wystarczający zapas gwoździ, drewna i dość obserwacji astronomicznych”. Boś krótkowidz i patrzysz z nazbyt bliska, i nie poznałeś, że buduje się tu statek.

Nikt z tych ludzi oczywiście nie mógłby ci powiedzieć: „Jutro wyruszamy w morze”. Każdy sądzi, że służy tylko swojemu bogu i że jego język jest zbyt nieporadny, by móc nim wyśpiewać boga nad bogi — to jest budujący się statek. A jego żywotność jest taka, że w duszy kowala staje się miłością do gwoździ.

O wiele lepiej mógłbyś przewidywać przyszłość, gdybyś wzniósł się ponad to bezładne zbiorowisko i uświadomił sobie, czym wzbogaciłem duszę mojego ludu — a mianowicie tęsknotą do morza. Zobaczyłbyś wtedy, jak ów żaglowy statek, zbiór gwoździ i desek, i pni drzewnych, prowadzony przez gwiazdy wznosi się powoli w ciszy i krzepnie jak cedr, który wśród żwiru zbiera soki życiodajne i mineralne sole, aby unieść je w światło.

I po nieuniknionych skutkach rozpoznasz to dążenie do dnia jutrzejszego.

Nie sposób się tu bowiem pomylić: przejawia się wszędzie tam, gdzie jest to możliwe. Tak jak tęsknotę do ziemi rozpoznaję, kiedy kamień trzymany, a potem wypuszczony z ręki choćby na okamgnienie, natychmiast spadnie na ziemię.

Widząc, jak spacerujący człowiek kieruje się na przykład ku wschodowi, nie mogę absolutnie przewidzieć jego przyszłości. Możliwe bowiem, że chce spa-

cerować tam i z powrotem i że w momencie, gdy zdaje się zmierzać wyraźnie w określonym kierunku, zrobi nagle zwrot. Mogę natomiast przewidzieć przyszłość w przypadku psa, który za każdym razem gdy go zwolnię nieco ze smyczy, pociągnie mnie za sobą — choćby o krok — właśnie w kierunku wschodu. Od wschodu bowiem czuje zapach zwierzyny i stąd wiem, dokąd pobiegnie, kiedy go spuszczę z uwięzi. Jeden cal smyczy więcej mi powie w tym przypadku niż sto kroków w przypadku pierwszym.

Albo też obserwuję więźnia, który siedzi lub leży, jakby bezwolny, pozbawiony wszelkich pragnień. Ale tęskni do wolności. I mogę odgadnąć tę tęsknotę, albowiem wystarczy pokazać mu dziurę w murze, a zadrży, napręży mięśnie i stanie się czujny. A jeśli wyłom w murze otwiera się na daleki krajobraz, nie ma takiego więźnia, który by nie wlepił weń wzroku!

Jeśli zdasz się na rozum i jego wywody, zapomnisz o owej dziurze albo nawet — zamyślony — patrząc na nią nie będziesz jej widział. Albo też widząc ją, ale układając sylogizmy, żeby odpowiedzieć sobie na pytanie — czy warto z niej skorzystać, za późno się zdecydujesz, ponieważ mularz zdąży tymczasem dziurę zamurować. Natomiast woda zamknięta w cysternie na pewno nie zapomni o najmniejszej bodaj szczelinie.

Dlatego powiadam ci, że tęsknota, nawet niewyraźna, ze względu na niedoskonałość języka, jest potężniejsza od rozumu i że ona jedna rządzi człowiekiem. Dlatego też powiadam, że rozum jest tylko sługą ducha, i że przede wszystkim przekształca tęsknotę i przemienia ją w wywody i maksymy, co pozwala uwierzyć, że to myśl — tanie targowisko myśli — kieruje człowiekiem. Ja natomiast twierdzę, że kierowali nim tacy bogowie, jak świątynia, królestwo, tęsknota do morza albo potrzeba wolności.

Podobnie nie zdołam pojąć zachowania mojego sąsiada, władcy, który panuje po drugiej stronie gór. Bo kiedy gołąb leci, nie rozpoznam z jego lotu, czy śpieszy do gołębnika, czy pozwala się nieść wiatrowi, i widząc człowieka idącego do domu, nie rozpoznam, czy pociąga go pragnienie czekającej tam kobiety, czy męczący obowiązek, i ku czemu zmierzają jego kroki — do rozwodu czy do miłości. Natomiast bez trudu zgaduję, jak człowiek uwięziony, gdy mu się nadarzy okazja, ukrywa — nastąpiwszy nań stopą — zapomniany klucz, maca kraty, żeby stwierdzić, czy któraś z nich nie drgnie, taksuje wzrokiem dozorców, a na koniec — wolny już — wędruje po polach.

O moim sąsiedzie muszę wiedzieć nie, co robi, ale czego nigdy nie zapomni zrobić. Wtedy będę wiedział, jaki to bóg nim kieruje, nawet jeśli nie wie tego on sam, i poznam jego przyszłość.



## CXVIII

Przypominam sobie pewnego proroka o twardym wejrzeniu, który na dodatek był zezowaty. Kiedy przyszedł do mnie, kipiała w nim wściekłość. Ponura wściekłość.

— Trzeba ich wytracić — powiedział.

Zrozumiałem, że miał pociąg do doskonałości. Albowiem tylko śmierć jest doskonała.

— Grzeszą — dorzucił.

Milczałem. Widziałem go na wskroś: miał duszę ostrą jak miecz. I myślałem sobie:

Jego życie jest sprzeciwem wobec zła. Ale żyje tylko poprzez zło. Czym byłby bez zła?

— Czego pragniesz — spytałem — aby być szczęśliwym?

— Tryumfu dobra.

Zrozumiałem, że kłamie. Bo nieszczęściem było dla niego, że jego miecz rdzewiał bezużyteczny.

Po trochu zaczynałem więc pojmować prawdę — skądinąd oczywistą, że kto kocha dobro, jest pobłażliwy dla zła. Kto kocha siłę, pobłaża słabości. Albowiem choć słowa przedrzeźniają się nawzajem, przecież dobro i zło występują przemieszane: kiepscy rzeźbiarze są glebą, na której wyrastają dobrzy rzeźbiarze, tyrania sama przeciw sobie wykuwa hartowne dusze, głód skłania do dzielenia chleba, co jest słodsze od samego chleba. Ludzie, którzy knuli przeciw mnie spisek, tropieni przez żandarmów, kryjący się po ciemnych piwnicach, oswojeni z co dzień oczekiwaną śmiercią, poświęcający się za innych i z miłości swobody i sprawiedliwości gotowi na niebezpieczeństwo, nędzę i niesprawiedliwość, zawsze mi się wydawali promieniujący pięknem płonącym jak ogień w momencie kaźni i dlatego też nigdy im nie odmawiałem śmierci. Czym jest diament, jeśli nie jest doarty z odpornej materii mineralnej, w której się kryje? Czym jest szabla, jeśli nie jest szablą nieprzyjacielską? Czym jest powrót, jeśli nie było wpięrw nieobecności? Czym jest wierność, jeśli nie było pokusy? Pełny tryumf dobra to tryumf posłusznego bydła stojącego nad korytem. Nie liczę na przymierze z plemionami osiadłymi i sytymi.

— Walczysz ze złem — odparłem — a wszelka walka jest jak taniec. Satisfakcję zaś znajdujesz w tańcu, a zatem w obecności zła. Wolałbym, żeby do tańca skłaniała cię miłość.

Jeżeli bowiem ustanowię królestwo, gdzie ludzie będą się zachwycać poematami, nadejdzie dzień, kiedy logicy zaczną rozdzielać włos na czworo i odkrywają niebezpieczeństwa grożące poezji ze strony przeciwieństwa poezji, tak jakby w ogóle mogło istnieć przeciwieństwo czegokolwiek. Po czym pojawią się policjanci, którzy myląc ze sobą miłość poezji i nienawiść przeciwieństwa poezji nie będą się interesować miłością, ale nienawiścią. Tak jakby niszczenie drzewa oliwnego dowodziło ukochania cedru. I zamkną w ciemnicy czy to muzyka, czy rzeźbiarza lub astronoma, w zależności od wyników swoich głupich argumentacji — słów czczych jak powiew wiatru, gdy ledwo drgnie zastygłe powietrze. Odtąd mojemu królestwu będzie grozić upadek, ponieważ dbałość o cedr nie oznacza bynajmniej niszczenia oliwek albo wyrzeczenia się woni róż. Natchnij serce twojego ludu miłością do statku żaglowego, a cały zapał twojej krainy przemieni się w żagle. A ty byś chciał doprowadzić do postawienia żagli ścigając ludzi, donosząc i gnębiąc heretyków? Faktycznie wszystko, co nie jest żaglowcem, może być nazwane przeciwieństwem żaglowca, gdyż logika zaprowadzi cię tam, gdzie zechcesz. I tak, przeprowadzając jedną po drugiej kolejne czystki, wygubisz wreszcie cały twój lud, ponieważ faktycznie każdy kocha co innego. Co więcej, doprowadzisz też do zniszczenia samego żaglowca, gdyż w przypadku kowala pieśń o żaglach stanie się pieśnią o gwoździach. Wobec tego zamkniesz go w więzieniu. I nie będzie gwoździ do budowy żaglowego statku.

Podobnie człowiek, który sądzi, że działa dla dobra wielkich rzeźbiarzy niszcząc kiepskich i nazywając ich — w swoim głupim i czczym języku — przeciwieństwem tych pierwszych. I powiadam ci: własnemu synowi zabronisz wtedy wykonywania zawodu, z którego tak trudno się utrzymać.

— Jeśli cię dobrze zrozumiałem — najeżył się zezowaty — powinienem okazywać pobłażliwość występкови!

— Bynajmniej — odparłem. — Widzę, żeś nic nie zrozumiał.

## CXIX

Jeżeli nie chcę bić się na wojnie, a dokucza mi w nodze reumatyzm, choroba stanie się być może dla mnie argumentem przeciw wojnie; gdybym natomiast skłaniał się do wyruszenia na wojnę, starałbym się wyleczyć reumatyzm aktywnym życiem. To po prostu pragnienie pokoju przybrało maskę reumatyzmu, jak kiedy indziej — miłości domu rodzinnego, szacunku dla nieprzyjaciela czy czegośkolwiek innego. Jeśli więc chcesz zrozumieć ludzi, nie słuchaj nigdy tego, co mówią. Bo kowal będzie ci mówił o gwoździach. Astronom o gwiazdach. A wszyscy zapomną o morzu.

## CXX

Jedno jest ogromnie ważne: nie wystarczy patrzeć, aby widzieć. Pokazywałem ludziom góry z mojego tarasu, ich ojcowiznę i jej granice, a oni kiwali głowami i mówili: „Ach tak, rzeczywiście...” Albo otwierałem przed nimi klasztor i tłumaczyłem regułę zakonną, a oni dyskretnie ziewali. Albo pokazywałem nową świątynię czy też dzieło rzeźbiarza lub malarza, który stworzył coś wyjątkowego. A oni szybko odwracali wzrok. Pozostawali obojętni na to samo, co innych poruszyłoby do głębi serc.

Wtedy powiedziałem sobie:

Nawet człowiek, który poprzez rzeczy potrafi dotrzeć do łączącej je boskiej więzi, nie na stałe ma w sobie tę władzę. Jego dusza jest senna. A tym bardziej dusza nie dość wyćwiczona. Czy mogę oczekiwać, że na ludzi spadnie objawienie nagle niby piorun? Piorunowe olśnienie staje się udziałem tych, którzy są otwarci na jego przesłanie, tak jakby czekali pojawienia się tego właśnie oblicza, i tak uformowani, że natychmiast gotowi zapłonąć jego ogniem. I tak przygotowałem na przyjęcie miłości człowieka, któremu kazałem ćwiczyć się w modlitwie. Ukształtowałem go tak, że niekiedy uśmiech potrafi być dla niego jak miecz. Inni natomiast będą znać tylko pożądanie. Jeśli wykołysałem człowieka legendami Północy, pełnymi przelotów łabędzi i siwych ciągów dzikich kaczek, i wołań rozlegających się w powietrznych bezmiarach, bo skrzepła w mrozie Północ jeden krzyk potrafi wypełnić jak świątynię z czarnego marmuru, będzie gotów poddać się szarym oczom i uśmiechowi płonącemu w oddali, jak tajemnicza gospoda wśród śniegów. Te przeżycia dosięgną głębi jego serca. Ale kto inny, zrodzony z rozpalonej pustyni, nie zadrży na widok tego uśmiechu.

Jeżeli więc ukształtowałem cię w dzieciństwie podobnie do innych, ujrysz te same twarze, co i reszta twojego plemienia, będziesz przeżywał te same miłości i nawiązesz z innymi kontakt. Gdyż kontakt między ludźmi nie przebiega wprost od jednego do drugiego, ale poprzez różnorodne więzi łączące rzeczy między sobą; i ważne jest, aby wszystkie te więzi były podobne.

Kiedy zaś mówię o podobieństwie, nie myślę o tworzeniu porządku, który jest nieobecnością i śmiercią, jak to jest w przypadku równo ułożonych kamieni

albo żołnierzy maszerujących w ordynku. Powtarzam, iż chodzi o znajomość tych samych twarzy i o przeżywanie tych samych miłości.

Bo wiem już, że kochać to rozpoznawać, rozpoznawać twarz odczytaną poprzez rzeczy. Miłość jest tylko poznaniem bogów.

Miłością nazywam okno, które otwiera się w tobie, kiedy na krótki moment dane ci jest dojrzeć w jedności ojcowiznę, poemat, królestwo, kobietę lub poprzez litość ludzką — Boga. A śmiercią twojej miłości jest, gdy staje się dla ciebie tylko zbiorem luźnych elementów. A przecież to, co dotarło do ciebie poprzez zmysły, w niczym się nie zmieniło.

Dlatego też powiadam, że ludzi, którzy się wyrzekli bogów, może łączyć — niby zwierzęta — tylko wzgląd na użyteczność — i są wtedy jak stado powracające do obory.

\* \* \*

I dlatego trzeba koniecznie nawrócić tych, którzy przychodzą do mnie, patrzą i nie widzą. Bo dopiero wtedy rozszerzą się dusze i napełnią światłem. I wtedy staną bez osłonek — nadzy. Bo dokąd pójdziesz, czego będziesz pragnął i z czego narodzi się płomień twojej radości, jeżeli odrzucisz zaspokojenie brzucha?

Nawrócić ludzi to zwrócić ich ku bogom, tak aby ich ujrzeli.

Jaką kładką przejść ku tobie, jak ci wytłumaczyć? Jeżeli patrzysz na pola, a ja wyciągając laskę pokazuję ci zarys mojej ojcowizny, żadnym gestem nie zdołam przekazać ci mojej miłości do tej ziemi: nazbyt łatwo by mi było tak cię wzruszyć. A nudząc się, szedłbyś w góry i podobnie jak ja zakreślał krąg laską, aby przeżywać zachwyty.

Mogę tylko wypróbować na tobie moc mojej ojcowizny. Dlatego też wierzę w ludzkie czyny. Rozróżnianie myśli od czynu wydawało mi się zawsze ślepotą lub dziecinadą. Rozróżniać należy tylko myśli od myśli zamienianych w jarmarczne błyskotki.

Powierzę ci więc pług i jarzmo wołów albo cepy do młócki ziarna. Albo dozór nad kopiącymi studnię. Albo zbiór oliwek. Albo pieczę nad ceremoniałem ślubnym. Albo grzebanie zmarłych. Albo cokolwiek innego, tak abyś włączył się w niewidzialną konstrukcję i podporządkował się działającemu w niej liniom napięć, a owe linie napięć wyznaczają twoje ruchy tak, że jedne będą ci przychodziły łatwo, a inne z trudem.

Napotkasz więc obowiązki i rzeczy wzbronione. To pole nadaje się pod uprawę, a tamto — nie. Ta studnia ocali wioskę przed suszą, a tamta — przyniesie choroby. Ta dziewczyna nadaje się na żonę, a wieś, gdzie mieszka, zdaje się całą piosenką. A w innej wsi oplakują czyjąś śmierć. A kiedy się zaczniesz przyglądać, ujrzysz, jak jedno zazębia się z drugim. Bo oracz pije u studni. A ten, co kopał

studnię, wydaje córkę za mąż. A ona je chleb powstały z pracy pierwszego i pije wodę dzięki pracy drugiego, a wszyscy świętują te same dni świąteczne, modlą się do tych samych bogów i tak samo oplakują czyjaś śmierć. A ty stajesz się taki jak wszyscy w twojej wiosce. Powiesz mi później, kto się w tobie narodził. A jeżeli taki nie spodobał się sobie, to po prostu znaczy, że wyrzekłeś się naszej wspólnej wioski.

Albowiem widzenie nigdy nie jest dane temu, kto się beczynnym przechadza. Sam z siebie ukazuje się tylko luźny zbiór przedmiotów, który nic nie znaczy. A ty chciałbyś pojąć od razu Boga, który jest tylko ćwiczeniem twojego serca?

Prawdą nazywam tylko to, co cię porywa. Niczego bowiem nie można dowieść argumentując za lub przeciw. A przecież nie wątpisz w piękno, jeżeli jakaś twarz budzi w tobie echo? Powiesz mi: to prawda, jest to piękna twarz. Tak samo jest z ojcowizną albo z królestwem, jeżeli odkryjesz je i zgodzisz się za nie umrzeć. Czy powiesz mi zatem, że prawdziwe są kamienie, a nie świątynia? I czy potrafiłbyś w głębi klasztoru, gdzie zapalisz się płomieniem, odrzucić to największe oblicze, jakie uformuję, by ci się ukazało? I czy możesz twierdzić, że prawdziwe jest piękno oblicza, a nie Bóg w świetle?

\* \* \*

Czy sądzisz może, że wrażliwość na piękno twarzy jest ci wrodzona? A ja powiadam ci, że jest ona wyłącznie wynikiem twoich ćwiczeń. Nie mogę sobie wyobrazić, aby ślepy od urodzenia, wyleczony nagle z kalectwa, wzruszył się od razu czymś uśmiechem. Nawet uśmiechu musi się dopiero nauczyć. Ale ty od dzieciństwa wiesz, że pewien szczególny uśmiech zapowiada ci radość, gdyż mówi o nie ujawnionej jeszcze niespodziance. Albo że pewne zmarszczenie brwi zapowiada smutek, drżenie warg — płacz, a pewien błysk oczu zwiastuje plan, który i ciebie porwie, a pewne pochylenie ciała niesie pokój i schronienie w ufnych ramionach.

Ze stu tysięcy doświadczeń budujesz sobie pewien obraz, obraz twojej ojczyzny, krainy doskonałej, która cię przyjmie całego, da pełnię i życie. Rozpoznasz ją w największym tłumie i wolałbyś umrzeć, niż ją utracić.

Piorun trafia cię w samo serce, ale twoje serce było gotowe na przyjęcie pioruna.

\* \* \*

Toteż nie tylko miłość, jak powiadam, wolno się rodzi, ale i objawienie chleba, kiedy nauczyłem cię głodu. W ten sposób przygotowałem w tobie echa, które

odezwą się z czasem w poemacie. I poemat, który w kimś innym wywołałby tylko ziewanie, ciebie olśni. Przygotowałem w tobie głód, który nie zna jeszcze sam siebie, i pragnienie, któremu nie umiesz jeszcze nadać imienia. I one są tu strukturą budowli i jej planem, i siecią splątanych dróg. Bóg tej całości obudzi ją nagle, a wszystkie ścieżki staną się światłem. Ty jeszcze nic o nim nie wiesz: bo gdybyś wiedział i szukał go, musiałby już mieć imię. A to by znaczyło, żeś go już znalazł.

## CXXI

Notatka na później: Głupcy — z powodu fałszerstwa zasad algebry — byli przekonani, że istnieje coś takiego jak przeciwieństwa. Zaś przeciwieństwem demagogii jest okrucieństwo. Tymczasem w życiu związki pomiędzy rzeczami są tak splątane, że jeśli unicestwisz jedno z przeciwieństw — umrzesz. Albowiem przeciwieństwem czegokolwiek jest moim zdaniem śmierć i tylko śmierć.

Oto człowiek, który ściga to, co przeciwne doskonałości. Wykreśla i wykreśla, aż zniszczy cały tekst. Bo nic nie jest doskonałe. Ale kto kocha doskonałość, zawsze będzie chciał jeszcze upiększać.

A oto człowiek, który ściga to, co przeciwne szlachetności. Gotów zniszczyć wszystkich dokoła, ponieważ nikt nie jest doskonały.

A oto człowiek, który unicestwił swojego wroga. A przecież żył jego obecnością. Więc teraz umrze. Przeciwieństwem statku jest morze. Ale to ono wyrysowało i nadało niezawodny kształt kila i dziobu. Zaś przeciwieństwem ognia jest popiół, ale to popiół czuwa nad ogniem.

Oto człowiek walczący z ludzką niewolą odwołuje się do nienawiści, zamiast walczyć odwołując się do miłości. A ponieważ w każdej hierarchii można doszukać się śladów niewoli (można nawet nazwać niewolą rolę fundamentu świątyni, na którym wspierają się bloki szlachetnego kamienia, gdyż one jedne dostępują zaszczytu wspinania się w niebo), trzeba by — postępując konsekwentnie — unicestwić świątynię.

Albowiem cedr nie jest wcale odmową nienawiści wszystkiego, co nie jest cedrem, ale skalistym gruntem przerośniętym korzeniami i powstającym z niego drzewem.

Jeżeli walczysz z czymkolwiek, cały świat staje się w twoich oczach podejrzany, bo wszystko jest możliwym schronieniem i pokarmem dla wroga. Jeżeli walczysz z czymkolwiek, powinienes i siebie unicestwić, ponieważ i w tobie samym jest, choćby minimalna, cząsteczka tego, co zwalczasz.

Jedyna dająca się pojąć niesprawiedliwość to akt twórczy. A przecież nie zniszczyłeś tych soków żywotnych, które mogły zrodzić z ziemi ciernie, tylko wyniosłeś z ziemi cedr, który te soki wchłonał w siebie, i ziemia już cierni nie zrodzi.



Jeżeli stałeś się określonym drzewem, już się nie staniesz innym. Byłeś dla tych innych niesprawiedliwy.

\* \* \*

Kiedy wygasa żarliwość, trwanie cesarstwa muszą zapewnić żandarmi. Ale jeżeli tylko żandarmi potrafią je ocalić, oznacza to, że cesarstwo już jest martwe. Zaś mój przymus jest jak potęga drzewa cedrowego, które wchłania w swoje włókna żywotne soki ziemi, nie zaś jałowym wykorzenianiem cierni i tych soków, którymi się ciernie żywiły, ale które przecież mogły też stać się pokarmem dla cedru.

Gdzieś widział wojnę toczoną przeciw czemuś? Cedr bujnie rosnący tłumi drobne krzewy i drwi sobie z nich. Nawet nie wie o ich istnieniu. Walczy w imieniu własnym: cedru, i w cedr przetwarza okoliczne krzewy.

Chcesz, aby ktoś umierał walcząc przeciw? Kto zechce tak umierać? Każdy będzie wtedy chciał zabić, ale nie umrzeć sam. A przecież zgoda na wojnę jest zgodą na własną śmierć. A zgoda na własną śmierć jest możliwa tylko wtedy, gdy człowiek w coś się przemienia. A zatem gdy człowiek trwa w miłości.

Są ludzie, którzy nienawidzą innych. Jeżeli mają więzienia, zamykają w nich więźniów. Ale w ten sposób umacniają nieprzyjaciela, gdyż moc więzienia szerzej się rozchodzi niż moc klasztoru.

Ten, kto zamyka innych w więzieniu albo skazuje ich na śmierć, robi to przede wszystkim dlatego, że nie wierzy w siebie. Potem wytracić chce świadków i sędziów. Ale żeby urosnąć samemu, nie wystarczy wytracić ludzi, którzy widzieli, jak mały jesteś.

Ten, kto zamyka w więzieniu i wysyła na śmierć, robi to także dlatego, że chce na innych rzucić winę. A zatem jest słaby. Gdyż im silniejszy jesteś, tym więcej win bierzesz na swoje barki. Wyciągasz z nich naukę, która cię prowadzi do zwycięstwa. Kiedy jeden z generałów mojego ojca poniósł klęskę i usprawiedliwiał się z niej, ojciec przerwał mu: „Czy to nie nazbyt wygórowane pretensje: pochlebiasz sobie, żeś zrobił błąd. Kiedy siadam na grzbiet osła i zwierzę schodzi z dobrej drogi, to nie osła wina, tylko moja”.

„Usprawiedliwieniem zdrajców, powiadał kiedy indziej mój ojciec, jest przede wszystkim to, że w ogóle mogli zdradzić.”

## CXXII

Kiedy prawdy są oczywiste i absolutnie ze sobą sprzeczne, możesz tylko zmienić język, w którym je wypowiadasz.

Logika nie potrafi ci pomóc w przechodzeniu z jednej płaszczyzny na drugą. Nie umiesz przewidzieć siły skupienia, jeśli uwzględnisz tylko obecność kamieni. I jeżeli o skupieniu będziesz mówił językiem kamieni, nic z tego nie wyjdzie. Musisz znaleźć nowe słowo, aby oddać architekturę budowli. Bo narodziła się nowa istota niepodzielna i niewytłumaczalna; gdyż tłumaczyć, to tyle co rozkładać na elementy. Zatem nadajesz owej istocie nowe imię.

Jakie rozumowanie powie ci coś o skupieniu? Albo o miłości? Albo o ojcowiznie? To nie przedmioty, a bogi.

Znałem kiedyś żołnierza, który był gotów umrzeć, dlatego że słyszał pieśń — legendę z północnego kraju i wiedział, choć niejasno, że pewnej zimowej nocy pod wygwieżdżonym niebem ludzie idą tam po śniegu, a śnieg chrzęści im pod nogami, do rozjarzonych oknami drewnianych domów. A kiedy wejdiesz, zdronżony, w krąg światła i przyłgniesz twarzą do szyby, zobaczysz, że to światło bije od drzewka. Mówią też, że ta noc pachnie woskiem i zabawkami z lakierowanego drewna. I że twarze ludzkie mają tej nocy w sobie coś niezwykłego. Bo wszyscy czekają na cud. I widzisz, jak dorośli wstrzymują oddechy i wpatrują się w oczy dzieci i serca zaczynają im bić jak młoty. Bo w dziecięcych oczach ma się pojawić coś nieuchwytnego a bezcennego. Coś, co cały rok rosło oczekiwaniem, opowieściami i obietnicami, a przede wszystkim zasłyszczanymi od starszych melodiami, tajemniczymi napomknieniami i twoją niezmierną miłością. A potem zdejmiesz z drzewka jakiś niepozorny przedmiot z lakierowanego drewna i podasz go dziecku zgodnie z tradycją i ceremoniałem. To właśnie ten oczekiwany moment. Wszyscy wstrzymują oddechy. Dziecko mruży oczy, bo niedawno zbudzono je ze snu. Trzymasz je na kolanach i czujesz ten zapach dziecka, dopiero co zbudzonego ze snu, a ono obejmuje cię za szyję i rodzi się w tobie coś, co jest jak źródło dla twojego serca i czego pragnąłeś. (A wielkim nieszczęściem dzieci jest, kiedy ktoś im zrabuje to obecne w nich źródło, o którym same nie mogą nic wiedzieć, ale do którego przychodzą wszyscy o sercach postarzałych, żeby się w nim odmłodzić.) Ale potem dziecko przestaje cię obejmować za szyję: patrzy na

drzewko, a ty patrzysz na dziecko. Bo masz być świadkiem jakiejś czarodziejkiej niespodzianki, która rodzi się tylko raz do roku jak rzadki kwiat wśród śniegu.

I przepelnia cię szczęściem odcień dziecięcych, nagle pociemniałych oczu. Gdyż dziecko dotknąwszy otrzymanego podarku zamyka w sobie swój skarb, żeby rozświetlić się nim od wewnątrz, jak stulający się morski anemon. A gdybyś mu pozwolił uciec, uciekałoby. I nie ma żadnej nadziei, żeby przeniknąć w jego wnętrze. Nie mów do niego, ono i tak nie słyszy.

Ta nieznaczna zmiana barwy oczu dziecka, lżejsza od cienia chmury na łące, nie jest jednakże czymś pozbawionym wagi. Choćby była bowiem jedyną nagrodą całego roku pracy w pocie czoła albo nogi straconej na wojnie, nocnych rozmyślań, doznanych cierpień i afrontów, i tak byłbyś sownie opłacony i porwany zachwytem. W tej wymianie zysk byłby po twojej stronie.

Nie ma bowiem rozumowania, którym można objąć miłość ziemi rodzinnej, ciszę świątyni albo taką nieporównaną chwilę.

Mój żołnierz zatem gotów był umrzeć. On, którego życiem były tylko słońce i piaski, nie wiedział nic o rozświetlonym drzewku i ledwo orientował się, w jakiej stronie leżą owe północne kraje; ale chciał bronić przed zagładą, grożącą, jak mu powiedziano, pewnej woni wosku i pewnej barwy oczu, których słabe echo przyniosły mu swego czasu wiersze, jak wiatr przynosi z daleka zapach. I czy może być ważniejszy powód, aby złożyć życie w ofierze?

\* \* \*

Albowiem pokarm znajdujesz tylko w owej boskiej więzi, łączącej rzeczy. Więzi, która drwi sobie z murów i z mórz. I oto człowiek wśród pustyni znajduje pełnię dzięki czemuś, co gdzieś istnieje, ale gdzie — nawet tego nie wie, w kraju, z którego nic nie może pojąć, wśród nie znanych mu cudzoziemców; jakieś oczekiwanie na skromną zabawkę z lakierowanego drewna, której obraz zapada w dziecinne oczy jak kamyk w stojącą wodę.

Albowiem pokarm otrzymany w ten sposób wart jest, aby za niego umrzeć. Więc gdybym zechciał, potrafiłbym wystawić armie, gotowe bronić istniejącej gdzieś w dalekim świecie świętej woni wosku.

\* \* \*

Nie będę natomiast wystawiał armii, aby bronić zgromadzonych zapasów. Zapasy leżą gotowe i człowiek niczego od nich nie może oczekiwać, może tylko tego, że potrafią go zmienić w tępe bydło.

Dlatego też, jeśli przygasa cześć oddawana twoim bogom, nie zgodzisz się umierać. Ale i żyć nie będziesz umiał. Gdyż nie ma czegoś takiego jak przeciwieństwa. Choć słowa „śmierć” i „życie” drwią z siebie nawzajem, możesz żyć tylko tym, za co gotów jesteś umierać. A kto odmawia śmierci, i życia odmawia.

A jeśli nie ma nic ponad tobą, nic nie możesz otrzymać. Chyba że od siebie samego. Ale co znajdziesz w pustej głębi lustra?

## CXXIII

Chcę mówić do ciebie — samotnej. Pragnę bowiem przelać w ciebie odrobinę światła.

\* \* \*

Odkryłem, że w milczeniu i samotności możesz znaleźć pokarm. Bogowie drwią sobie z murów i z mórz. I ty także jesteś wzbogacona tym, że gdzieś tam, daleko, istnieje świąteczny zapach wosku. Nawet jeżeli nie spodziewasz się, abyś go kiedyś mogła sama zakosztować.

Ale dopiero oceniwszy ciebie, mogę ocenić wartość pokarmu, jaki chciałbym ci dać. Kim się staniesz otrzymawszy go? Chcę, żebyś w ciszy złożyła ręce i żeby oczy pociemniały ci jak dziecku, pochłoniętemu bez reszty otrzymanym skarbem. To nie był żaden przedmiot — ów podarek, jaki dałem dziecku. Dziecko potrafi z trzech kamyków stworzyć flotę wojenną, której zagraża burza, a kiedy mu dam drewnianego żołnierzyka, stwarza armię, dowódców, wierność cesarstwu, bezwzględność dyscypliny i śmierć z pragnienia wśród pustyni. I tak samo jest z instrumentem muzycznym, który jest zupełnie czymś innym niż instrumentem — jest tworzywem, z którego budujesz pułapki, by schwytąć zdobycz. A zdobycz jest czymś zupełnie innym ze swej natury niż pułapka. Więc chcę i tobie dać światło, żeby rozjaśnił się twój pokój na poddaszu i aby twoje serce było zamieszkane. Uśpione miasto, na które patrzysz z okna, staje się zupełnie inne, odkąd opowiedziałem ci o ogniu śpiącym pod popiołami. I ścieżka biegnąca szczytem murów, którą wędrują moje straże, przemieni się, jeśli się stanie granicznym bastionem cesarstwa.

Kiedy dajesz się sam, dostajesz więcej, niż dajesz. Bo byłeś niczym, a oto stajesz się czymś. I mniejsza z tym, jeżeli słowa stoją tu naprzeciw siebie — sprzeczne.

\* \* \*

Będę mówił do ciebie — samotnej, ponieważ pragnę cię zamieszkać. A może skrzywienie pleców albo upośledzenie wzroku utrudniają ci przyjęcie w twój dom

małżonka z krwi i kości. Ale bywa obecność mocniejsza od obecności fizycznej; widziałem sam, jak w ranek, gdy święcono zwycięstwo, chory na raka był jak odmieniony na swoim nędznym posłaniu, a choć dźwięki trąb nie docierały do niego przez grube mury, jego izba była wypełniona jakąś obecnością.

Co takiego przeniknęło z zewnątrz do środka izby? Zwycięstwo, owa więź łącząca rzeczy, mocniejsza od murów i od mórz. A przecież może istnieć bóstwo jeszcze bardziej płomienne. Ono cię ukształtuje i będziesz miała serce gorące, wierne, zdolne czynić cuda.

Bo miłości prawdziwej nie zubaża hojność. Im więcej dajesz, tym więcej ci zostaje. Jeżeli będziesz czerpać w źródle prawdziwym, im więcej wydobędziesz wody, tym obficiej będzie płynąć. I zapach świątecznego wosku jest ten sam dla wszystkich”. Jeśli ktoś drugi będzie się nim cieszył, tym więcej go zostanie dla ciebie.

Lecz jeśli małżonek tylko twoje ciało poślubił, poczujesz się ograbiona i znużona miłością, gdy będzie poza domem rozdawał uśmiechy.

Dlatego ja przyjdę do ciebie. Nie musisz mnie wcale znać. Jestem więzią królestwa i wymyśliłem dla ciebie modlitwę. Jestem zwornikiem sklepienia i solą, która nadaje smak wszystkim rzeczom. Związałem ciebie. I przestałaś być samotna.

Czy możesz mi odmówić i nie pójść za mną? Nie jestem niczym więcej — tylko tobą samą. Tak jak muzyka budująca w tobie jakiś wewnętrzny, palący cię kościec. A ta muzyka nie jest ani prawdziwa, ani fałszywa. To ty stajesz się sobą.

Nie chcę, abyś była pusta i doskonała. Pusta i gorzka. Obudzę w tobie żarliwość, która daje i nigdy nie odbiera, bo żarliwość nie dopomina się ani o własność, ani o obecność.

Przyczyny, dla których wiersz jest piękny, nie mieszczą się w logice, są z innej płaszczyzny. A tym więcej w nim dostojeństwa, im mocniej słuchacza osadza w przestrzeni. Bo trzeba wydobyć z ciebie jeden dźwięk, a ty nie możesz go wydać — ale nie wszystkie dźwięki mają tę samą wartość. Istnieje też kiepska muzyka, otwierająca w sercu drogi przeciętności. I bóg, który się wtedy ukazuje, nie ma w sobie mocy.

Ale bywają też odwiedziny, po których zapadasz w sen z nadmiaru miłości.

I dlatego dla ciebie — samotnej obmyśliłem tę modlitwę.

## CXXIV

Modlitwa samotności:

„Zlituj się nade mną, Panie, bo ciąży mi samotność. Na nic nie czekam. Oto jestem w tym domu, w którym wszystko milczy. A przecież nie ludzkiej obecności pragnę i jeśli zanurzę się w tłum, jeszcze bardziej jestem zagubiona. Inna podobna do mnie kobieta, też sama w swoim pokoju, czuje się pełna i szczęśliwa, jeśli ci, których otacza czułością, są gdzieś w domu. Nie słyszy ich ani ich nie widzi. Nie otrzymuje od nich nic w danym momencie. Ale wystarcza jej świadomość, że dom jest zamieszkały.

Ja także nie proszę o nic, Panie, co można by zobaczyć albo usłyszeć. Cuda, jakie zsyłasz, nie dla zmysłów są przeznaczone. Ale daj mi tylko poznać prawdę o moim mieszkaniu, a będę uzdrowiona.

Jeśli podróżnik na pustyni jest z domu zamieszkanego, cieszy się, choć wie, że dom ten znajduje się daleko, hen, na krańcu świata. Żadna odległość nie przeszkodzi, aby w nim znajdował swój pokarm, a jeśli umrze, umrze w miłości... Nie proszę więc nawet, Panie, aby mój dom był blisko.

Przechodzień w tłumie, kiedy uderzy go widok jakiejś twarzy, jest jak przemieniony, nawet jeśli ta twarz nie jest mu przeznaczona. Albo żołnierz zakochany w królowej. Staje się żołnierzem królowej. Nie proszę więc nawet, Panie, aby mój dom był mi obiecany.

Na morzach szerokich bywają ludzie, których trawi miłość do nie istniejącej wyspy. Na pokładzie statku śpiewają o niej pieśni i są szczęśliwi. Nie wyspa daje im pełnię szczęścia, ale pieśń o niej. Nie proszę więc nawet, Panie, aby mój dom istniał gdzieś na świecie...

Samotność, Panie, jest tylko owocem duszy. Gdyż dusza zamieszkuje naprawdę tylko jedną krainę — sensu rzeczy. Ale także świątynię, która jest sensem kamieni. Ma skrzydła, ale latać może tylko po tej przestrzeni. Nie przedmioty ją cieszą, ale samo oblicze, które daje się odczytać poprzez nie i które je łączy. Spraw po prostu, żebyśmy nauczyła się czytać.

Wtedy, Panie, skończy się moja samotność”.

## CXXV

Katedra jest nie tylko pewnym układem kamieni — wszystkich podobnych do siebie, ale rozdzielonych zgodnie z liniami napięć, których struktura przemawia do umysłu; ale zarazem i dokładnie tak samo jest ceremoniałem tych kamieni. On wyznacza piękno katedry. A zatem katedra może być mniej lub bardziej piękna.

Dokładnie tak samo liturgia roku Bożego jest pewnym układem dni, zrazu wszystkich podobnych do siebie, ale rozdzielonych zgodnie z liniami napięć, których struktura przemawia do ducha. Są więc dni, w których trzeba pościć, inne — w których ludzie powinni się radować, jeszcze inne — kiedy nie wolno pracować. Człowiek napotyka co krok owe linie napięć i powstaje w ten sposób ceremoniał dni. On nadaje życie całemu rokowi. A rok staje się mniej lub bardziej żywy.

Dokładnie tak samo istnieje pewien ceremoniał rysów twarzy. I twarz jest mniej lub bardziej piękna. I ceremoniał wojska, gdyż pewien gest możesz wykonać, a inny nie, bo sprzeczny jest z liniami napięć. I jesteś żołnierzem określonej, słabszej lub silniejszej armii.

Istnieje też ceremoniał wioski: święto, dzwon pogrzebowy, pora winobrania, wspólnie budowany mur, wspólnota w czasie głodu, susza, gdy ludzie dzielą się wodą i gdy pełny bukłak nie tobie samemu jest przeznaczony. Należysz do jakiegoś kraju. I kraj jest mniej lub bardziej ciepły.

Wszystko na świecie, jak mi się zdaje, jest przede wszystkim ceremoniałem. Cóż jest warta katedra bez zamysłu architektonicznego, armia bez przepisów, kraj bez obyczajów. Byłyby to beładnie rzucone, nieprzydatne do niczego elementy.

I dlaczego owe beładne przedmioty miałyby być rzeczywistością, a ceremoniał — złudzeniem? Przecież sam przedmiot jest ceremoniałem własnych części. Dlaczego wojsko miałoby być czymś mniej rzeczywistym niż kamień? A kamieniem mogę nazwać pewien ceremoniał drobin pyłu, z których kamień powstał. A rok — ceremoniałem dni. I dlaczegoż by rok miał być mniej prawdziwy niż kamień?

Niektórzy ludzie widzą wyłącznie jednostki. Oczywiście: dobrze, jeśli jednostkom dobrze się powodzi, jeżeli się odżywiają, ubierają jak trzeba i nie cierpią nadmiernie. Jednostki jednak umierają i stają się beładnie zebranymi kamieniami, jeśli w obrębie królestwa nie ustalisz łączącego ludzi ceremoniału.



\* \* \*

W przeciwnym bowiem razie człowiek jest niczym. I nie bardziej będziesz opłakiwał brata niż pies, kiedy utopi się inny z tego samego miotu. Ale i powrót brata nie sprawi ci radości. Gdyż powrót brata ma być niejako upiększeniem świątyni, a śmierć brata — zawaleniem się jakiegoś jej fundamentu.

Nie zauważyłem, aby wśród uciekinierów berberyjskich ktoś opłakiwał zmarłych.

\* \* \*

Jakby ci ukazać, czego szukam? Nie chodzi o żaden przedmiot przemawiający do zmysłów, ale o taki, który przemawia do ducha. Nie oczekuj, abym podawał racje, dlaczego narzucam taki, a nie inny ceremoniał. Logika należy do płaszczyzny przedmiotów, a nie łączącej je więzi. Tu język zawodzi.

Widziałem, jak ślepe gąsienice pełzną ku światłu albo wędrują w górę drzewa. Jako człowiek, obserwując je, określisz, ku czemu dążą. Orzekasz, że to „światło” albo „wierzchołek drzewa”. Ale one tego nie wiedzą. Podobnie i ty: kiedy otrzymujesz coś z mojej katedry, mojego roku świętego, oblicza czy ziemi ojczystej — otrzymujesz prawdę; i mało ważne są twoje słowa, nieważkie jak wiatr i odpowiednie tylko w sferze przedmiotów. Jesteś gąsienicą. Nie pojmujesz, czego szukasz.

Jeżeli więc za sprawą katedry, roku świętego i królestwa staniesz się uświęcony, piękniejszy i umocniony niewidzialnym pokarmem, powiem sobie: „Oto piękna katedra zbudowana dla ludzi. I piękny rok święty. Piękne królestwo”. Nawet gdybym nie umiał znaleźć przyczyny tego piękna.

Podobnie jak gąsienica znalazłem coś, co było mnie przeznaczone. Albo jak ślepiec, który w zimie szuka bliskości ognia wrażliwymi dłońmi. I znajduje. Odstawia wtedy kij i skrzyżowawszy nogi zasiada. Choć nie wie nic o ogniu w tym sensie, w jakim wiesz ty, widząc ogień. On znalazł prawdę swojego ciała, bo zauważ — będzie siedział dalej, tu, przy ogniu.

A jeśli zarzucasz, że moja prawda wcale prawdą nie jest, opowiem ci o śmierci jedyne go prawdziwego geometry a mojego przyjaciela, który gotując się do odejścia prosił, abym go nie opuszczał.

## CXXVI

Zbliżałem się do niego powoli; było mi ciężko, ponieważ go kochałem:

— Przyjacielu, będę się modlił do Boga za ciebie.

Ale on dużo już wycierpiał i był zmęczony.

— Nie troszcz się o moje ciało. Mam bezwładną nogę i rękę i jestem jak stare drzewo. Pozwól drwalowi, niech przyjdzie. . .

— I niczego nie żałujesz?

— Czego miałbym żałować? Pamiętam czas, kiedy miałem i rękę, i nogę zdrową. Ale życie to nic innego jak wieczne narodziny. I człowiek godzi się na siebie ciągle innego. Czyś kiedyś żałował najwcześniejszego dzieciństwa, lat chłopięcych albo wieku dojrzałego? Takie żale mogą być chyba udziałem kiepskiego poety. Jest to bowiem nie żal, ale melancholijna słodycz, nie cierpienie, ale jakby pozostała w naczyniu woń zwiędłego likworu. Z pewnością człowiek rozpacza, gdy traci oko, gdyż każda przemiana jest bolesna. Ale życie z jednym okiem nie ma w sobie nic aż tak dramatycznego. Widywałem ślepców, którzy się śmieli.

— Można przypominać sobie własne szczęście. . .

— A gdzież w życiu widzisz cierpienia? Widziałem rzeczywiście człowieka cierpiącego z powodu wyjazdu ukochanej, która była dla niego sensem dni, godzin i wszystkich rzeczy. Było to jak zawalenie się świątyni. Ale nie widziałem, żeby cierpiał inny człowiek, który zaznawszy uniesień miłosnych, przestał następnie kochać i utracił źródło radości. Podobnie ten, kto w pierw wzruszał się poematem, a następnie — znudził nim. Czyż on cierpi? Duch w nim śpi, a człowiek nie egzystuje. Gdyż nuda jest zupełnie czymś innym niż żal. Żal za utraconą miłością to wciąż jednak miłość. . . A jeśli nie ma miłości, nie ma już żalu po niej. Wtedy masz do czynienia już tylko z nudą, która pochodzi z płaszczyzny rzeczy, a te nie mają ci nic do ofiarowania. Elementy mojego życia mogą także zawalić się w momencie, gdy zabraknie zwornika sklepienia, ale wtedy jest to cierpienie związane z przemianą, i o czym tu mówić? Przecież dopiero wtedy ukazuje mi się prawdziwy zwornik sklepienia i prawdziwe znaczenie rzeczy, i że miały go one tyle, ile mieć mogły. I gdzież tu mówić o nudzie, skoro dopiero teraz bazylika jawi mi się jako budowla wykończona i widzę ją w świetle.

— Co mówisz, geometro? Przecież matka może rozpaczać na wspomnienie zmarłego dziecka.

— W momencie, kiedy dziecko umiera — oczywiście. Gdyż rzeczy tracą wtedy swój sens. Mleko wzbiera w jej piersiach, a nie ma dziecięcia. Chciałbyś coś ważnego zwierzyć ukochanej, a jej nie ma. A jeśli sprzedano i podzielono twoją ojcowiznę, co zrobisz z miłością do ojcowizny? Moment przemiany jest zawsze bolesny. Ale mylisz się, gdyż słowa wprowadzają ludzi w błąd. Nadchodzi moment, kiedy dawno utracone rzeczy odzyskują swój sens: że oto dzięki nim stałeś się. Nadchodzi chwila, kiedy czujesz się wzbogacony tym, że niegdyś kochałeś. Słodycz melancholii. Nadchodzi czas, kiedy twarz postarzałej matki staje się tym bardziej wzruszająca, a serce — jeszcze świetlistsze, choć nie śmie wyznać, lękając się słów, jak słodkie jej jest wspomnienie zmarłego dziecka. Czyś słyszał kiedy matkę mówiącą, że wołałaby nie mieć dziecka wcale, nie karmić go i nie kochać?

Geometra zamilkł na drugą chwilę, a potem odezwał się znowu:

— Całe moje uporządkowane życie, kiedy patrzę na nie wstecz — jest już dla mnie wspomnieniem. . .

— Powiedz mi, przyjacielu, jaka prawda daje ci taką pogodę duszy. . .

— Znać prawdę, to być może tylko widzieć w ciszy. Znać prawdę, to może tylko mieć nareszcie prawo do ciszy wiekuiestej. Powtarzam często, że drzewo jest wtedy prawdą, gdy jest określonym stosunkiem poszczególnych części. Potem las — który jest określonym stosunkiem pomiędzy drzewami. Potem ojcowizna, która jest określonym stosunkiem pomiędzy drzewami, równiną i innymi elementami ojcowizny. Potem królestwo, które jest określonym stosunkiem pomiędzy ziemią, miastami i innymi elementami królestwa. I mówię o Bogu, że jest doskonałym stosunkiem pomiędzy królestwami i wszystkim na świecie. Bóg jest równie prawdziwy jak drzewo, ale trudniejszy do odczytania. A dalszych pytań nie stawiam.

I zadumał się.

— Nie znam innej prawdy. Znam tylko struktury, które lepiej lub gorzej nadają się do wypowiedzenia świata. Ale. . .

Tym razem zamilkł na bardzo długo, a ja nie śmiałem się odezwać.

— Czasem jednak wydawało mi się, że przypominają one coś. . .

— Co masz na myśli?

— Jeżeli szukam, to już znalazłem, gdyż umysł pragnie tylko tego, co już posiada. Znajdować — to wiedzieć. A jak bym mógł szukać czegoś, co dla mnie nie ma jeszcze sensu? Jak ci mówiłem, żal za miłością jeszcze jest miłością. I nikt nie cierpi pragnąc czegoś, czego nie pojmuję. A ja tymczasem czułem jakby żal myśląc o rzeczach, które jeszcze nie miały sensu. W przeciwnym razie jak bym mógł zmierzać ku prawdom, których jeszcze nie mogłem pojąć? Obierałem prosto biegnące drogi w kierunku nie istniejących źródeł i było to jak gdyby powraca-

nie. Wybierałem instynktownie pewne struktury, jak ślepe gąsienice pełzające ku słońcu.

A ty, kiedy budujesz piękną świątynię, jaka ona jest?

A kiedy prawnie określasz ceremoniał, budzący w ludziach zachwyt, podobnie jak ogień ogrzewa siedzącego przy nim ślepcę, jaki to jest ceremoniał? Gdyż nie wszystkie świątynie są piękne i bywają ceremoniały, które nie budzą zachwytu.

Natomiast gąsienice nic nie wiedzą o słońcu, ślepcy nic nie wiedzą o ogniu, a ty nie znasz oblicza, do którego chciałbyś upodobnić budowaną świątynię, która wzrusza serca ludzkie.

Było pewne oblicze, od którego było światło, i blask bił wyraźnie z tej, a nie z innej strony, więc zwracałem ku niemu twarz. Ale nie znam jeszcze tego oblicza. . .

Wtedy geometrze pokazał się Bóg.

## CXXVII

Niskie czyny angażują niskie dusze. Szlachetne czyny angażują dusze szlachetne.

Niskie czyny wyznaczają niskie pobudki. Szlachetne czyny — pobudki szlachetne.

Jeśli knuję zdradę, użyję do tego zdrajców.

Jeśli buduję, budować będą mularze.

Jeśli zawieram pokój, podpiszą go tchórzliwi.

Jeśli niosę śmierć, wojnę wypowiedzą bohaterowie.

\* \* \*

Jeśli spośród wielu różnych tendencji jedna weźmie górę, na jej czele stanie ten, kto najgłośniej się za nią opowiadał. Jeżeli zaś droga będzie potrzebna i upokarzająca, przywódcą zostanie człowiek, co pragnął jej przez zwykłą podłość, nawet jeśli nie była naprawdę potrzebna.

\* \* \*

Trudno doprowadzić do tego, aby o poddaniu decydowali najodważniejsi, równie trudno — aby za poświęceniem opowiadali się najtchórzliwsi.

\* \* \*

Jeśli zaś jakiś czyn będzie potrzebny, choć upokarzający z pewnego punktu widzenia — bo nic w życiu nie jest proste — wybiorę człowieka, który, dlatego że sam najbardziej cuchnący — nie będzie okazywał obrzydzenia. Na śmieciarzy nie należy wybierać ludzi o czułym powonieniu.

\* \* \*

Podobnie w przypadku układów prowadzonych ze zwycięskim wrogiem. Do ich przeprowadzenia wybiorę przyjaciela mojego wroga. Ale niech nikt mi nie zarzuca, że szanuję pierwszego, ani że z dobrej woli poddaję się drugiemu.

\* \* \*

Jeśli śmieciarzy poprosisz o wypowiedź, oświadczą oczywiście, że opróżniają śmietniki z upodobania do woni odpadków.

A kat powie, że wykonuje swoje rzemiosło z zamiłowania do krwi.

Ale byłbyś w błędzie sądząc mnie — gdy nakazuję im to czynić — wedle ich słów. Przeciwnie: ja powołuję śmieciarzy, gdyż mam wstręt do nieczystości i lubię nade wszystko lśniące progi domostw. A wstręt do niewinnie przelanej krwi zmusił mnie, abym wymyślił funkcję kata.

\* \* \*

Jeżeli więc chcesz zrozumieć ludzi, nie słuchaj, co mówią. Kiedy dla ocalenia spichlerzy mojego królestwa wypowiadam wojnę i decyduję się na ofiarę z ludzkiego życia, najodważniejsi wysuną się na czoło i będą głosić potrzebę śmierci, mówiąc wyłącznie o honorze i o chwale umierania. Nikt bowiem nie umiera za spichlerz.

Podobnie jest z miłością do statku, który u kowala przekształca się w miłość do gwoździ.

Kiedy natomiast postanawiam zawrzeć pokój, aby zawartość tych samych spichlerzy ocalić przed kompletnym rabunkiem, nim ogień wszystko strawi (a wtedy nie byłoby już mowy ani o wojnie, ani o pokoju, a tylko o wiecznym śnie umarłych), wysuną się na czoło, aby pokój podpisywać, ludzie najmniej uprzedzeni w stosunku do nieprzyjaciela i będą mówić o pięknie praw i o słuszności takich decyzji. I oczywiście będą wierzyć w to, co mówią. Ale chodziło przecież o coś zupełnie innego.

Jeżeli skłaniam ludzi, aby coś odrzucili, odrzuci ten, który odrzuca wszystko. Jeżeli skłaniam ich, aby się na coś zgodzili, zgodzi się ten, który się godzi na wszystko.

\* \* \*

Gdyż królestwo jest rzeczą potężną i ciężką, której nie mogą unieść słowa próżne jak plewy rzucone na wiatr. Dzisiejszej nocy spoglądałam z wyżyn mojego tarasu na czarną ziemię, gdzie niezliczone tysiące śpią lub czuwają, ludzie

szczęśliwi albo nieszczęśliwi, zadowoleni lub niezadowoleni, ufni lub zrozpaczeni. I najpierw pomyślałem sobie, że moje królestwo jest nieme, gdyż jest jak olbrzym-niemowa. I jakże bym potrafił przenieść w twoje wnętrze pragnienia królestwa i jego żarliwość, znużenie i wezwania, jeżeli nawet nie potrafię znaleźć słów, które by przeniosły w twoją duszę górskie łańcuchy, gdyś ty znał tylko morze?

Wszyscy mówią w imieniu królestwa, a każdy inaczej. I mają rację, gdy próbują mówić w imieniu królestwa. Bo trzeba starać się, aby ów olbrzym-niemowa wydał z siebie jakiś krzyk.

Mówiłem ci to samo o doskonałości. Piękna pieśń rodzi się i pieśni nieudanych, gdyż jeśli nikt nie będzie ćwiczył się w śpiewaniu, nigdy się nie narodzą piękne pieśni.

Ludzie więc przeczą jedni drugim, albowiem nie ma jeszcze języka zdolnego wypowiedzieć, czym jest królestwo. Pozwól im mówić. Wysłuchaj wszystkich. Wszyscy mają rację. Ale nie dość wysoko wspięli się każdy na swój szczyt, aby zrozumieć, że inni też mają rację.

A kiedy się rozszarpują wzajemnie, zamykają w więzieniach i zabijają, to dlatego, że pragną mowy, której nie potrafią jeszcze stworzyć.

Toteż przebaczam im, kiedy się jękają.

## CXXVIII

Zapytujesz mnie: „Dlaczego ten naród godzi się iść w niewolę i nie walczy do upadłego?”

Otóż trzeba rozróżniać pomiędzy poświęceniem z miłości, które jest rzeczą szlachetną, a samobójstwem z rozpacz, które jest czymś niskim albo niegodnym. W przypadku poświęcenia potrzeba jakiegoś boga, jak ojcowizny, wspólnoty albo świątyni, czegoś, co przyjmuje przekazaną sobie część człowieka, w którą człowiek przemienia siebie.

Bywa, że człowiek godzi się umrzeć za wszystkich, nawet jeżeli śmierć jest zbędna. Ale ona nigdy nie jest zbędna. Inni stają się dzięki niej piękniejsi, oko ich się rozjaśnia, a umysł rozszerza.

Jaki ojciec nie wyrwie się, choćby przytrzymywany z całych sił i nie skoczy w otchłań, gdzie topi się jego syn? Nikt go nie zdoła utrzymać. Ale czy chcesz, aby obaj rzucili się w odmęty? Kto zostanie wzbogacony zagładą tych dwu żywotów?

Honor to promieniujące poświęcenie, nie — samobójstwo.



## CXXIX

Kiedy osądzasz moje dzieło, chcę, żebyś mówił o nim nie przenosząc osądu na moją osobę. Jeżeli bowiem rzeźbię jakąś twarz w kamieniu, przemieniam się w nią i jej służę. A nie ona mnie służy. I godzę się nawet zapłacić życiem, aby dzieła dokończyć.

Nie oszczędzaj więc słów krytyki, lękając się, że zranisz moją próżność, gdyż nie ma we mnie próżności. Uczucie próżności nie ma dla mnie w ogóle sensu, skoro nie chodzi tu o mnie, ale o rzeźbioną przeze mnie twarz.

Jeśli jednak się zdarzy, że to oblicze coś w tobie przemieniło, nie szczędź mi także słów uznania, aby nie urazić mojej skromności. Nie ma bowiem we mnie skromności. Tu chodziło o strzał z łuku: jego kierunek jest czymś nadrzędnym wobec nas, ale trzeba, abyśmy współdziałali. Ja jestem strzałą, ty — celem.

## CXXX

A kiedy umrę.

Panie, przychodzę do Ciebie, gdyż w Twoje imię orałem. Ty będziesz siał. Ja postawiłem tę świecę. Ty ją zapalisz.

\* \* \*

Ja budowałem świątynię. Ty zamieszkasz w jej ciszy.

\* \* \*

Nie ja będę łowił zwierzynę: ja tylko zastawiałem sidła. Gotowałem je, aby brać udział w łowach. I lepiłem człowieka zgodnie z twoimi boskimi prawami energii, aby mógł chodzić. Ty będziesz korzystał z tego narzędzia, jeżeli znajdziesz w nim swoją chwałę.

\* \* \*

Stojąc na górze warownych murów westchnąłem głęboko. Żegnajcie. Oddałem wam całą miłość, jaka była we mnie, i teraz zapadam w sen. Ale jestem niezwyknięty, tak jak niezwyknięte jest ziarno. Nie wypowiedziałem wszystkiego, co jest we mnie. Ale tworzenie nie musi być wypowiedaniem. Jeżeli zdobyłem się na jedną nutę, niczyją, tylko moją własną, już się wyraziłem bez reszty. I jeśli uchwyciłem jeden gest, ten właśnie, niepowtarzalny. Dałem ciastu ten jeden zaczyn. I teraz wszyscy narodziliście się ze mnie, gdyż kiedy zechcecie dokonać wyboru, poprowadzi was niewidoczna droga i będziecie rosnać, jak rośnie moje drzewo, i stawać się tak jak ja.

Będziecie się czuli wolni, a ja będę już martwy. Ale tak samo wolna jest rzeka, która płynie do morza, i kamień spadający ku ziemi.

Stańcie się jak gałęzie. Kwitnijcie, okrywajcie się owocem. Przyjdzie winobranie i owoc zostanie zważony.

„Z pokolenia na pokolenie zachowaj wierność, mój ludu, jeżeli potrafię  
wzbogacić twoje dziedzictwo.”

Modliłem się, a straż chodziła po murach twierdzy. I rozmyślałem.

Królestwo posyła ku mnie niestrudzone straże. Więc zapaliłem ogień, który  
w strażnikach staje się płomieniem czuwania.

Piękny jest ten żołnierz, który patrzy w moją twarz.

## CXXXI

Gdyż ja wam przemieniam świat, tak jak dziecko — swoje trzy kamyki, nadając im różne znaczenia i coraz to inną rolę w zabawie. I rzeczywistość dla dziecka nie jest ani kamykami, ani regułami gry, bo one są tylko skuteczną pułapką, ale wyłącznie — żarliwością rodzącą się z zabawy. I to ona z kolei przemienia kamyki.

A tobie na co przedmioty, dom, miłość i dźwięki przeznaczone dla uszu albo obrazy przeznaczone dla oczu, jeżeli nie staną się budulcem dla mojego niewidzialnego pałacu, który je wszystkie przemieni?

Natomiast ludzie, którzy nie mają królestwa dającego życie, a zatem nie znajdujący żadnego uroku w przedmiotach, patrzą na nie z irytacją. „Dlaczego bogactwo mnie nie ubogaca?” — skarżą się i sądzą, że trzeba je zatem pomnażać, ponieważ nie było dość wielkie. I przywłaszczają sobie jeszcze więcej przedmiotów, i jeszcze bardziej są nimi przytłoczeni. A niepokój, nie dający się niczym złagodzić, rodzi w nich okrucieństwo. Bo nie wiedzą, że szukają czego innego, ponieważ dotąd tego nie spotkali. Zobaczyli człowieka, który czytając list miłośny wydał im się nieopisanie szczęśliwy. Zaglądają mu przez ramię i widząc, że znajduje radość w czarnych literach na białej karcie, nakazują niewolnikom wypisywać na białych stronicach tysiączne kombinacje czarnych znaków. I chłoszczą ich, gdy talizman przynoszący szczęście okazuje się nieosiągalny.

Albowiem nie istnieje w nich nic, co pozwoliłoby przedmiotom budzić w sobie wzajemne echa. Żyją więc na pustyni pełnej porzuconych bezładnie kamieni.

Ale ja przychodzę i wbrew nim wznoszę świątynię. I oto te same kamienie napełniają ich szczęściem.

## CXXXII

Wpajałem w ludzi wrażliwość na śmierć. I nie żałowałem tego. Bo dzięki temu stawali się również wrażliwi na życie. Jeżeli wprowadzę między ludzi prawo starszeństwa, przybędzie powodów do nienawiści, ale zarazem — powodów do kochania czy opłakiwania brata. Nawet gdyby to on — z mocy mojego prawa — krzywdził brata młodszego. Gdyż wtedy śmierć starszego, który jest odpowiedzialnym przewodnikiem i drogowskazem plemienia, nabiera znaczenia. A jeśli umrze młodszy, starszy opłakuje owcę ze swego stada — młodszego brata, którego tak miło było mu kochać i dawać mu rady w świetle wieczornej lampy.

Jeżeli jednak uczynię obu równych i wolnych wobec siebie, śmierć jednego nic nie zmieni i żaden nie będzie opłakiwał drugiego. Zauważyłem to patrząc na moich żołnierzy w czasie bitwy. Zginął oto towarzysz i nic się właściwie nie zmieniło. Inny go zaraz zastąpi. A tę powściągliwość w obliczu śmierci i powstrzymane łzy wy nazywacie żołnierską godnością, podjętą ofiarą, męską dumą. Ale choćbym miał was zgorszyć, powiem jasno: nie płaczesz, bo brak ci powodów do płaczu. Bo nie wiesz nawet, że ten, co zginął, jest martwy. Może umrze później, kiedy już wojna się skończy. Dzisiaj masz zawsze obok siebie innych żołnierzy, jednego z prawa i drugiego z lewa, każdy z karabinem w ręku. Nie masz nawet możliwości zapytać tego człowieka, co byłby zdolny dać z siebie, gdyby był sam. Czy dałby taką opiekę jak starszy brat? Bo to, co dawał jeden towarzysz broni, da ci także inny. Kulki zamknięte w woreczku nie opłakują braku jednej kulki, bo woreczek jest pełen identycznych kulek. O towarzyszu, co umiera obok ciebie, powiesz po prostu: „Ach, nie mam czasu... On umrze później!” Ale on i potem nie umrze, bo kiedy wojna się skończy, ci, co przeżyli, rozproszą się po świecie. I tak rozpadnie się struktura, którą tworzyliście. Będziecie sobie podobni i za życia, i po śmierci. Nieobecni staną się jakby martwi, a martwi — jak nieobecni.

Jeżeli jednak przynależycie do jednego pnia drzewnego, każdy zależy od wszystkich i wszyscy od każdego. I jeśli jeden odejdzie, będziecie płakać.

A jeżeli stworzycie jakąś strukturę, to i poddani jesteście pewnej hierarchii. Wówczas okazuje się, ile każdy znaczy dla innych. Tam zaś, gdzie nie ma hierarchii, nie ma i braterstwa. Ilekroć słyszałem, jak ktoś mówi „bracie”, wiedziałem, że istnieje tu jakaś zależność.

I nie chcę bynajmniej, żebyście okazywali wobec śmierci niewzruszoność serca. Gdyż czym innym jest odporność na upokarzającą słabość, jak na przykład strach na widok krwi albo obawa przed bólem, która to odporność każe wam wzrastać, a czym innym — lżej przeżywać śmierć, skoro mniej znaczy to, co umiera. Z pewnością, im lżej będzie ważył zmarły brat, tym mniej go będziecie oplakiwać.

A ja chcę was wzbogacić i nawiązać więź pomiędzy tobą i bratem. I sprawić, aby wasza miłość, jeśli się pokochacie, była odkrywaniem królestwa, a nie skokiem dzikiego kozła. To prawda, że dziki kozioł nie płacze. Ale jeśli umrze ukochana, poczujesz się jak wygnaniec. Natomiast kto przyjmuje śmierć ukochanej po męsku, traktował widocznie miłość po bydłecemu. I ona także może przyjąć jego śmierć po bydłecemu, mówiąc: „To normalne, że ludzie giną na wojnie...” Naprawdę chcę tego, żebyście umierali w czas wojny. Któż bowiem poza wojownikiem będzie umiał rzeczywiście kochać? Nie chcę natomiast, żebyście przez małoduszność umniejszali wasz skarb, po to by mniej żałować jego utraty. Kto wtedy będzie umierał? Tępy automat, który nie ponosi ofiary dla królestwa.

Ja żądam, aby mi dawano część najlepszą. Bo tylko wtedy wy będziecie wielcy.

A zatem nie wymagam, abyście gardzili życiem, ale, przeciwnie, abyście je kochali.

A także abyście pokochali śmierć, jeżeli w zamian za nią macie otrzymać królestwo.

Nie ma bowiem przeciwieństw. Miłość Boga powiększa w was miłość królestwa. Miłość królestwa — powiększa miłość ojcowizny. Ta z kolei — miłość małżeńską. A miłość małżeńska rodzi miłość do zwykłej srebrnej tacy, na której pijecie herbatę, kiedy skończycie się kochać.

\* \* \*

Ale skoro sprawiłem, że śmierć jest rozpaczą, chcę was zarazem pocieszyć. Toteż dla tych, co płaczą, wymyśliłem modlitwę: „Modlitwę przeciw śmierci”.

## CXXXIII

Napisałem wiersz. Mam go jeszcze poprawić.

Ojciec rozgniewał się:

— Pisziesz wiersz, a potem go będziesz poprawiał! Przecież pisać to właśnie poprawiać! Tak samo jak rzeźbić to poprawiać. Czyś widział, jak się miesi glinę? Z kolejnych poprawek rodzi się rzeźbiona twarz, a pierwsze dotknięcie palca jest już poprawką w stosunku do bryły gliny. Zakładając miasto wprowadzam poprawkę w piaszczysty grunt. Potem wprowadzam poprawki w budowane miasto. I tak, poprzez kolejne poprawki, idę ku Bogu.

## CXXXIV

Człowiek wyraża się poprzez wyrażanie stosunków. Dzwony budzą w sobie wzajemne echa. Ale przedmioty budzące echa nie mają większego znaczenia. To tylko tworzywo, z którego budujesz pułapki, chcąc schwytać zdobycz, a zdobycz jest zawsze czymś innym ze swej natury niż pułapka. I powtarzałem ci już wiele razy, że przedmioty muszą być powiązane między sobą.

W tańcu czy muzyce istnieje pewne następstwo czasowe, dzięki któremu odczytuję bezbłędnie zawarte przesłanie. Tu przedłużasz, tam zwalniasz, tu się wznosisz, tam schodzisz. A ty, słuchaczu, słuchaj w sobie echa.

Ale tam, gdzie wszystko tworzy jedną całość, niezbędny jest pewien umowny system. Jeżeli bowiem nie ma nosa, ani ust, ucha ani brody, jak mogę wiedzieć, czy wydłużasz jakąś odległość, czy ją skrucasz, pogrubiasz czy wysmuklasz, prostujesz czy krzywisz, wgłębienie dajesz czy wypukłość? Jak poznam twoje intencje i jak dojrzę powtórzenia, jak usłyszę echa? I jak odczytam twoje przesłanie? A przesłanie stanie się dla mnie kodem, gdyż może być przesłanie wspaniałe albo banalne.

Jeżeli więc dasz mi twarz doskonale banalną, nie wyrazisz nic poza tym, co przynosi kod, nic poza punktem odniesienia i akademickim modelem. Nie wywoła on we mnie wzruszenia, co najwyżej odczytam, co chcesz mi przekazać. Jeżeli zaś dasz mi wyłącznie model, z pewnością nie przekażesz nic. Toteż godzę się, kiedy oddalasz się od modelu, deformujesz go i wprowadzasz powikłania, ale tak długo, póki zachowuję klucz do zrozumienia, co mianowicie robisz. I nie zrobię ci żadnego wyrzutu, jeśli ci przyjdzie do głowy umieścić oko na środku czoła.

Mogę jednak wtedy stwierdzić, że jesteś niezręczny, podobnie jak ktoś, kto chcąc, aby jego muzyka była słyszana, gra za głośno, albo w wierszu zbyt silnie akcentuje pewien obraz, aby został zauważony.

Wydaje mi się bowiem godziwe, aby po ukończeniu świątyni usunąć rusztowanie. Nie muszę wiedzieć, jakimi środkami osiągasz swój cel. Dzieło jest wtedy doskonale, jeżeli ich nie widzę.

Albowiem nie nos interesuje mnie w szczególny sposób; nie należy zatem zbyt natrętnie mi go pokazywać umieszczając na czole; ani słowo — więc nie trzeba



dobierać słów zbyt silnych, gdyż mogą przesłonić obraz. Ani nawet na obraz nie trzeba kłaść zbyt silnego nacisku, gdyż zacierają się wówczas style.

Oczekuję z twojej strony czegoś, co jest innej natury niż pułapka, w którą chcesz schwytać czytelnika. Tak jest z ciszą wewnątrz kamiennej katedry. Okazuje się wtedy, że ty przeciwnie, pogardzając rzekomo tworzywem i szukając istoty, zgodnie ze wzniosłą ambicją dostarczenia przekazów nie do odczytania, zastawiasz potężną pułapkę o jaskrawych kolorach, która mnie miażdży i kryje złowioną w pułapkę martwo urodzoną myszkę.

Kiedy bowiem uważam cię za pisarza barwnego, błyskotliwego albo paradoksalnego, nic mi nie dajesz, gdyż po prostu występujesz przede mną jak sztukmistrz na jarmarku. Błąd dotyczy stwarzanego dzieła. Bo nie chodzi o to, byś się sam pokazał, ale abyś mnie kazał się stawać. Więc jeśli będziesz wymachiwał mi przed oczami twoim dziwactwem, po prostu pójdę gdzie indziej.

Kto natomiast doprowadził mnie tam, gdzie zamierzał, a potem się wycofał, daje mi przekonanie, że to ja odkryłem świat i — tak jak tego pragnął — zacznym się stawać.

\* \* \*

Nie sądzę jednak wcale, aby dyskrecja polegała na mglistym falowaniu kształtów: nosa, ust, brody rozlewających się jak wosk topiony w ogniu. Jeżeli bowiem tak mocno pogardzasz używanymi środkami, odrzuć w pierwszym rzędzie marmur, glinę czy brąz, które są nieporównanie bardziej materialne niż zwykły kształt wargi.

Dyskrecja polega na tym, abyś nie kładł zbyt silnego nacisku na to, co chcesz mi pokazać. Przecież w ciągu każdego dnia widuję wiele twarzy i zauważę od pierwszego wejrzenia, że chcesz zatrzeć kształt nosa; nie nazwę także dyskrecją tego, jeżeli umieścisz swoją marmurową rzeźbę w ciemnym pokoju.

Twarz naprawdę niewidoczna i taka, która nie da mi nic, to twarz banalna.

Ale staliście się prymitywni i trzeba krzyknąć, żebyście w ogóle coś usłyszeli.

\* \* \*

Możesz, oczywiście, narysować kolorowy dywan; ale ma on tylko dwa wymiary i choć przemawia do zmysłów, nie przemawia ani do umysłu, ani do serca.

## CXXXV

Chciałbym ci przetrzeć oczy, żebyś dojrzał miraż czarodziejskiej wyspy. Wydaje ci się, że wśród swobodnie rosnących drzew i łąk, i pasących się stad, w uniesieniu, jakie dają wielkie i puste przestrzenie, w płomieniu nieokiełznanej miłości, wystrzelisz w górę jak smukłe proste drzewo. A tymczasem najprostsze drzewa, jakie widziałem, nie rosły bynajmniej swobodnie. Takie nie śpieszą się, aby piąć się w górę, zwlekają, rosną skrzycone i krzywe. Tylko drzewo w dziewiczej puszczy, zagrożone ze strony rywali kradnących mu dopływ słonecznego światła, wspina się w niebo pionowym pędem, pośpiesznie, jakby w odpowiedzi na czyjeś wezwanie.

Na twojej wymarzonej wyspie nie znajdziesz ani swobody, ani uniesienia, ani miłości.

Jeżeli zaś na długo odejdziesz na pustkowie (bo czym innym jest szukanie tam odpoczynku po zamęcie miejskiego życia), znam tylko jeden sposób, żeby pustkowie dla ciebie ożyło: musisz zachować tam napięcie, by stało się podatnym gruntem, by twoje uniesienie miało skąd czerpać soki. Zbuduj tam strukturę — sieć linii napięć. Czy to na płaszczyźnie naturalnej, czy też mojego królestwa.

A ja na tym pustkowie rozmieszczę studnie tak skąpo, żebyś mógł dojść do każdej z nich, ale nie bez trudu. Będziesz musiał pod koniec siódmego dnia oszczędzać wody w bukłakach. I śpieszyć ku studni z całych sił. I zdobyć ją zwycięsko. I tracić juczne zwierzęta po drodze, przemierzając pustynne przestrzenie, bo studnia godna jest ceny świadomie podjętych ofiar. A zasypane piaskiem karawany, które studni nie odnalazły, poświadczają jej chwałę, błyszczącą w białych kościach wydanych słońcu.

Kiedy więc ruszając w drogę sprawdzasz juki, dociskasz sznury, patrząc, czy ładunek nie chwieje się na grzbiecie zwierzęcia, i kontrolujesz zapasy wody, dajesz to, co w tobie najlepsze. I oto ruszasz do dalekiego kraju, gdzie za horyzontem piasków czeka błogosławieństwo wód, i pokonujesz odległość etapami, od jednej studni do drugiej, jak stopień po stopniu; a potem okazuje się, że jest tam wróg, którego trzeba pokonać, i taniec, który trzeba odtańczyć — więc wchodzisz w ceremoniał pustyni. A ja umacniam nie tylko siłę twoich mięśni, ale i duszę.

\* \* \*

Jeżeli zaś chcę ubogacić cię jeszcze bardziej, jeśli chcę, żeby studnie, niby bieguny magnetyczne, przyciągały lub odpychały z całą siłą, a pustynia stawała się w ten sposób strukturą dla twojego umysłu i serca — wtedy wypełnię ją nieprzyjaciółmi. Oni będą w posiadaniu studzien i żeby mieć do nich dostęp, będziesz musiał szukać wybiegów, walczyć i zwyciężać. A twój krok stanie się szybszy lub powolniejszy, cichszy lub głośniejszy w zależności od tego, jakie tam będą koczowały plemiona: mniej czy bardziej okrutne, pokrewne duchem czy też mówiące niezrozumiałym językiem, lepiej lub gorzej uzbrojone. Zmieniać się też będą etapy przebywane w ciągu dnia, choć będzie to ta sama przestrzeń, identyczna w każdym calu dla oka. I bezmiar pustyni — w pierw płowy i monotony — zróżnicuje się, zabarwi rozmaicie i ukierunkuje różnym przyciąganiem; i dla twojego umysłu i serca nabierze większej wyrazistości niż szczęśliwe krainy pełne świeżych dolin, błękitnych gór, słodkich jezior i łąk.

Bo twój krok raz jest krokiem skazanego na śmierć, a kiedy indziej — oswobodzonego, tu czeka cię zagadka, a tam zagadka się wyjaśnia. Tu ścigasz kogoś, a tam idziesz cicho i uważnie jak w pokoju, gdzie śpi ta, której nie chcesz obudzić.

Podczas większości tych podróży nic się faktycznie nie stanie, albowiem wystarczy, że rozpoznasz różnice, a ceremoniał z nich zrodzony uznasz za naturalny, potrzebny i nieodwołalny, a wtedy stanie się bogatszy twój taneczny krok. Przeżyjesz wtedy cud, którego nie przeżyje nikt z twojej karawany, jeżeli nie rozumie twojego języka i nie ma udziału w twoich lękach, nadziejach i radościach; jeśli powtarza tylko gesty twoich wielbłądników, nie znajdzie nic poza pustynią i pustką i będzie ziewał podczas przemarszu przez bezkresne przestrzenie, i nie otrzyma nic poza nudą: takiego podróżnika moja pustynia w niczym nie zmieni. Studnia będzie dla niego tylko niewielkim otworem w ziemi, który trzeba oczyścić z piasku. I będzie się nudził, ponieważ pustynia ze swej natury jest niewidoczna: bo przecież chodzi tu tylko o garść ziaren porwanych wiatrem, choć i one potrafią wszystko przemienić dla człowieka, którego wiąże z rzeczami więź, podobnie jak całe przyjęcie przemieni sól, którą przyprawią jadło. A jeśli pojdziesz reguły gry, moja pustynia może nabrać dla ciebie tak nieodpartej mocy, że choć wybiorę człowieka przeciętnego, egoistę, sceptyka i krótkowidza i wyrwę go z przedmieścia albo sennej oazy, i raz jeden każę mu przejść przez pustynię, wykielkuje w nim człowiek, jak ziarno przebijające łupinę, i rozkwitnie w nim umysł i serce. I stanie przede mną przemieniony, wspaniały, gotowy żyć życiem ludzi mocnych. A jeśli nawet dam ci tylko udział w języku pustyni, ona, jak słońce, sprawi, że zakiełkujesz i urośniesz — gdyż istotne są nie same przedmioty, ale ich sens.

Przejdiesz więc pustynię jak cudowną uzdrawiającą sadzawkę. A kiedy znajdziesz się na drugim brzegu, roześmiany, piękny i pełen męskości, rozpoznają cię

natychmiast kobiety, bo takiego cię szukały, i lekceważąc je, każdą będziesz mógł zdobyć.

\* \* \*

Szalony, kto sądzi, że ludzkiego szczęścia trzeba szukać w zaspokajaniu pragnień, przekonany, że dla idących liczy się przede wszystkim dojść do kresu. A kresu przecież nigdy nie ma.

Dlatego powiadam ci, że dla człowieka najważniejsze są przede wszystkim linie napięć, bo on w napięciu się hartuje; a także zrodzona z niego własna zwartość wewnętrzna i echo, jakie budzą jego kroki, i to, z jaką siłą przyciągają go studnie wśród pustyni i jak ostry jest stok, po którym wspina się wśród gór. Kto umiał się po nim wspiąć i pokonać skalną iglicę podciągając się na rękach i ścierając do krwi kolana, tego rozkosze — przyznasz — innej są próby niż płaskie rozkosze człowieka osiadłego, który po całodziennym wypoczynku rzuca się na trawę, na miękkiej wyniosłości niewielkiego wzgórza.

Ale ty, zerwawszy boską więź łączącą rzeczy, zniszczyłeś siły magnetyczne. Widząc ludzi dążących z takim wysiłkiem ku studniom, sądziłeś, że to o studnie chodzi, i wywierciłeś dla nich studni pod dostatkiem. Widząc, jak człowiek dąży do odpoczynku siódmego dnia, pomnożyłeś dni wypoczywania. Widząc, że ludzie pragną diamentów, rozdzieliłeś między nich diamenty, nie patrząc komu i ile. Widząc, że ludzie lękają się wroga, wrogów obezwładniłeś. Widząc, że ludzie tęsknią do miłości, zbudowałeś specjalne dzielnice, wielkie jak całe miasta, gdzie wszystkie kobiety są na sprzedaż. A w ten sposób okazałeś się jeszcze głupszy niż ów gracz w kręgle, o którym opowiadałem, a który szukał rozkoszy, ale jej nie znalazł, gdyż na jego rozkaz niewolnicy przewracali wszystkie kręgle naraz.

Nie twierdzę jednak — bądź pewien — że chodzi o niezaspokajanie pragnień. Jeżeli bowiem nie ma w człowieku wewnętrznej dynamiki, nie ma i linii napięć. Jeśli studnia jest blisko, pragniesz jej umierając z pragnienia. Jeśli jednak, dla jakiejś przyczyny, jest dla niego zupełnie niedostępna, i nie może ani nic od niej otrzymać, ani nic jej dać — studnia jakby dla niego w ogóle nie istniała. Podobnie jak przechodząca kobieta, którą mija i która nie może być dla niego. Wbrew realnym odległościom dalsza jest niż inna, w jakimś dalekim mieście i nawet zamężna. Ta może być przemieniona, jeśli stanie się elementem struktury i napięcia. Możesz więc marzyć, na przykład, że jedziesz ku niej nocą i że przystawiasz drabinę do okna, aby ją porwać, rzucić na swego konia i nasycić się nią w bezpiecznej kryjówce. Lub — jeśli jesteś żołnierzem — może się stać królową i możesz mieć nadzieję, że umrzesz za nią.

Radość, którą znajdujesz w strukturach fałszywych, wymyślanych dla zabawy, jest żałosna i nędzna. Jeżeli podoba ci się diament, wystarczy, że będziesz szedł

ku niemu powoli, i coraz wolniej, a przeżyjesz życie pełne wzruszeń. Ale jeżeli to powolne kroczenie w stronę diamentu będzie objęte pewnym rytuałem, wiążącym cię i zabraniającym przyspieszyć kroku, jeżeli pracując ku niemu ze wszystkich sił będziesz napotykał zakazy, powstrzymujące cię, abyś nie szedł prędzej; jeżeli dostęp do diamentu nie jest ci wzbroniony nieodwołalnie (wtedy utraciłby znaczenie i zmienił się w nierealne zjawisko), ale też nie jest łatwy (co nie wykrzesaloby z ciebie żadnego wysiłku), ani utrudniony specjalnie jakimś głupim wymysłem (to byłoby karykaturą życia); jeżeli, słowem, ów dostęp jest włączony w jakąś silną i rozbudowaną strukturę — wtedy i życie będzie bogate. Żeby dać mocne podstawy istnienia, nie ma jak obecność nieprzyjaciela: nic w tym zdumiewającego — po prostu, żeby doszło do starcia, muszą istnieć dwie strony walczące.

A bogactwo polega właśnie na wierceniu studni, czekaniu na dzień odpoczynku, wydobywaniu diamentu z wnętrza ziemi i zdobywaniu miłości.

Nie zaś na tym, aby studnie, dni wolne od pracy, diamenty i swobodę w miłości — posiadać. Podobnie jak i nie na tym, aby tego wszystkiego pragnąć, ale nie dążyć do zdobycia.

Jeśli zaś przeciwstawiasz sobie jako sprzeczne słowa: „pragnienie” i „posiadanie”, chyba nie rozumiesz życia. Jedno i drugie poddane jest twojej ludzkiej prawdzie i nie ma tu żadnej sprzeczności. Gdyż pragnienie musi się wyrazić bez reszty, a ty musisz napotykać nie absurdalne przeszkody, ale tę przeszkodę, jaką stanowi samo życie, drugiego tancerza-rywala, i wtedy życie jest tańcem. W przeciwnym razie będziesz równie głupi jak człowiek, który sam z sobą gra w orła i reszkę.

Gdyby pustynia nazbyt obfitowała w studnie, z boskiego rozkazu dostęp do niektórych powinien być zamknięty.

Albowiem narzucone człowiekowi linie napięć powinny być narzucone z wysoka, ażeby dzięki nim odnalazł swoje skłonności, napięcia i swoje własne szlaki; ale że nie wszystkie są jednej jakości, powinny przypominać coś, czego nie będzie w stanie zrozumieć. Dlatego powiadam, że istnieje ceremonia dotycząca studni wśród pustyni.

\* \* \*

Nie spodziewaj się więc niczego po szczęśliwej wyspie: nagromadzonych na wszystkie dni zapasach, podobnych do kręgli walących się pokotem. Stałbyś się tam tępym bydłem. Jeżeli zaś wyobrażasz sobie, że dopłynąwszy nocą do wyspy, zobaczysz na niej skarby, które cię przyprawią o zawrót głowy, pamiętaj, że ja — aby istotnie przyprawiły cię o zawrót głowy — znajdę jakąś pustynię i rozrzucę je w ogromnej przestrzeni, tak aby ułożyły się w zarys oblicza, innego ze swej natury niż przedmioty tego świata.

A gdybym chciał wyspę dla ciebie ocalić, dałbym ci w darze ceremoniał obejmujący jej skarby.

## CXXXVI

Jeżeli chcesz mówić o słońcu zagrożonym śmiercią, powiedz: „Słońce październikowe”. Ono już słabnie i niesie ci swoją starość. Ale słońce listopada lub grudnia nazwij śmiertelnym skupieniem. Widzę, żeś zrozumiał: ale mnie to obojętne. Bo dasz mi wtedy nie smak samej śmierci, ale śmiertelnego nazwania. A nie o to chodziło.

Jeżeli pośrodku zdania jedno słowo podnosi głowę — zetnij mu ją. Gdyż nie chodzi o to, aby pokazać jedno słowo. Zdanie ma być jak sidła, w które złowisz czytelnika. Sidła zaś mają być niewidoczne.

Mylisz się, jeśli sądzisz, że to, co chcesz przekazać, da się wypowiedzieć. W takim przypadku powiedziałbyś „melancholia”, a ja odczułbym melancholię: zbyt łatwe by to było. Z pewnością istnieje pewien dość ograniczony mimetyzm, sprawiający, że upodabniasz się do tego, co ja mówię. Jeżeli powiem: „Wściekłość fal”, odczujesz w pewnym stopniu, jak fale cię rzucają. Jeżeli powiem: „Żołnierz, któremu grozi śmierć”, odczujesz pewien niepokój o życie żołnierza. Z przyzwyczajenia. Ale wszystko to dzieje się na powierzchni. Ważne zaś jest wyłącznie to, czy potrafię cię poprowadzić tam, skąd ujrzysz świat, tak jak ja tego chcę.

Każdy wiersz i każdy obraz poetycki w wierszu jest tylko oddziaływaniem na ciebie. Nie chodzi o to, aby ci to czy tamto wytłumaczyć, ani — jak sądzą ludzie bardziej subtelni — zasugerować; nie chodzi w ogóle o żadne to czy tamto, ale o to, byś ty stał się taki lub inny. Tyle, że podobnie jak rzeźbiarz posługuje się kształtem nosa, ust i brody, aby je ze sobą wzruszająco powiązać i w tę sieć złowić ciebie, tak i ja powiem albo zasugeruję to czy tamto, abyś ty się stał kim innym.

Jeżeli mówię o świetle księżyca, nie wyobrażaj sobie przypadkiem, że chodzi o ciebie w świetle księżyca. Chodzi tylko o ciebie: równie dobrze w słońcu czy w domu, czy w chwili miłości. Chodziło po prostu o ciebie. Wybrałem światło księżyca, bo szukałem znaku, który by ci pomógł zrozumieć. Nie mogłem wziąć wszystkich znaków naraz. I oto cud: to, co mówię, różnicuje się, zupełnie jak drzewo, które na początku było czymś prostym — nasieniem, a nasiono nie jest bynajmniej miniaturowym drzewem — a potem rozwijając się w czasie wykształca konary i korzenie. Tak samo jest z człowiekiem. Jeżeli dam mu coś tak

prostego, co może unieść nawet jedno zdanie, moja moc nad nim zróżnicuje się i przekształcę jego istotę, a on będzie odtąd inny i w świetle księżyca, i w domu, i w miłości.

Dlatego twierdzę, że obraz, jeżeli jest obrazem prawdziwym, jest pojemny jak kultura i obejmie cię bez reszty. I nie zdołasz nawet określić, jak daleko sięga jego władza.

A przecież sieć upleciona z linii napięć może się okazać dla ciebie za słaba. I jej działanie wyczerpie się już na końcu stronicy. Są bowiem nasiona, których zdolność kiełkowania wygasa bardzo szybko, i są istoty ludzkie, którym brak zapachu. Od ciebie jednak zależało, czy zakiełkują, i ty mogłeś zbudować z nich nowy świat.

\* \* \*

Jeśli więc powiadam: „Żołnierz królowej”, nie chodzi mi z pewnością ani o wojsko, ani o władzę, ale o miłość. I o pewną określoną miłość, która niczego nie oczekuje dla siebie, ale oddaje się czemuś większemu od siebie. Która uszlachetnia człowieka i rozszerza jego granice. Gdyż taki żołnierz jest silniejszy niż inni. Spójrz na niego, a zobaczysz, jak szanuje samego siebie ze względu na królową. Wiesz także, że on nie zdradzi, gdyż chroni go miłość, która sercem zamieszkuje w sercu królowej. Widzisz, jak wraca do rodzinnej wioski — dumny z siebie, ale wstydlivy, i czerwieni się, kiedy go spytać o królową. A kiedy powołują go na wojnę, zostawia żonę i wyrusza z zupełnie innymi uczuciami niż zwykły żołnierz królewski: ten jest pijany wściekłością i szuka wroga, żeby mu, w imię króla, wpakować kulę w brzuch. Natomiast żołnierz królowej będzie się starał nawrócić wroga i choć na pozór weźmie udział w tej samej bitwie, będzie chciał wroga wprowadzić w miłość. Albo nawet. . .

Ale mówiąc dłużej osłabię i tak wątłą siłę obrazu. A patrząc, jak obaj jedzą kromkę chleba, nie będę umiał powiedzieć, jak odróżnić żołnierza królowej od innych. Bo obraz jest jak słabe światło lampy, a choć każda lampa na cały świat rzuca swoje światło, twoim oczom niewiele ukaże.

Natomiast oczywistość bezsporna jest jak ziarno, z którego możesz wyprowadzić cały świat.

I dlatego twierdzę, że skoro już raz ziarno zostało zasiane, zbędne, żebyś sam dodawał komentarze, ustanawiał dogmaty i sam wymyślał metody działania. Ziarno przyjmie się na ludzkim gruncie i przyjdą tysiące, które zechcą ci służyć.

Tak też jeśli umiałeś przekazać człowiekowi, że jest żołnierzem królowej, narodzi się z tego cały świat kultury. A potem będziesz mógł zapomnieć o istnieniu królowej.



## CXXXVII

Nie zapominaj, że zdanie jest czynem. Jeżeli chcesz mnie nakłonić do działania, nie szukaj argumentów. Czy sądzisz, że jakiegokolwiek argumenty skłonią mnie do decyzji? Potrafię znaleźć lepsze od twoich.

Czyś widział kiedy, aby opuszczona żona uzyskała coś procesem, w którym dowodzi, że racja jest po jej stronie? Proces jest czymś irytującym. Biedaczka nie zdoła nawet odzyskać męża, stając się znów taką, jaką kochał, bo już jej nie kocha. Widywałem nieszczęsne, poślubione wśród lamentów i lamentujące w przeddzień rozwodu. Ale teraz męża doprowadzało to tylko do furii.

Może odzyskałaby go, gdyby potrafiła w nim obudzić znów tego człowieka, który ją niegdyś kochał. Ale musiałyby mieć w sobie coś z twórczego geniuszu, który by natchnął człowieka, tak jak ja mogę kogoś natchnąć umiłowaniem morza, aż stanie się budowniczym statków. Wtedy znów wzrośnie drzewo, które rosnąc będzie się różnicować. A wtedy człowiek nawet lamentu będzie czekał z upragnieniem.

Żeby zbudować miłość do mnie, powołuję w tobie do życia kogoś, kto jest mnie przeznaczony. Nie będę ci mówił o cierpieniach, bo wzbudzę tylko wstręt. Nie będę robił wyrzutów: zirytuja cię, i słusznie. Nie będę wymieniał powodów, dla których masz mnie kochać, bo nie ma po temu żadnych powodów. Powodem miłości jest miłość. Nie będę się też starał uchodzić za takiego, jak byś sobie życzyła. Gdyż takiego już sobie przestałaś życzyć. Gdyby było inaczej, wciąż jeszcze byś mnie kochała. Ale podniosę cię w górę — dla mnie. A jeśli będę miał dość siły, pokażę ci krajobraz, który sprawi, że staniesz mi się przyjacielem.

Poczułem jakby nóż w sercu, kiedy kobieta, o której zapomniałem, spytała: „Czy słyszysz dzwon, który zgubiłeś, a on wciąż dzwoni dla ciebie?”

\* \* \*

I cóż ja w końcu mam ci do powiedzenia? Szedłem często w góry i siadałem patrząc na miasto. Albo spacerowałem w milczeniu i z miłością słuchałem, co mówią ludzie. Słyszałem nieraz słowa, po których następowały czyny, jak kiedy

ojciec powiadał do syna: „Idź do studni i napełnij ten dzban”; albo kapral mówił do żołnierza: „O północy obejmiesz straż...” Ale zawsze też wydawało mi się, że w tych słowach nie ma nic tajemniczego i że podróżnikowi nie znającemu miejscowego języka, a widzącemu, jak są związane z codziennym życiem, wydałyby się czymś równie normalnym i bez reszty zrozumiałym jak to, co dzieje się w mrowisku. Ja także, obserwując pojazdy, budowle, opiekę nad chorymi, rzemiosło i handel w moim mieście, wszystko to oceniałem jako dzieło zwierzęcia, może tylko śmielszego, bardziej pojętnego i wynalazczego od pozostałych; ale jednocześnie i z nie mniejszą oczywistością widziałem, że obserwując te zwykłe czynności człowieka, jeszcze go nie widzę całego.

Były bowiem rzeczy niewytłumaczalne prawami mrowiska, wymykające mi się, jeżeli nie pojmowałem sensu słów. Oto na przykład na placu targowym ludzie siedzący w krąg słuchali bazarza, a on, jeżeli był uzdolniony, mógłby skończyć mówić, wstać nagle i podpalić miasto, a oni poszliby za nim.

Widziałem także, jak tłum spokojnych ludzi, porwany głosem proroka, śpieszył w ślad za nim, gotowy na całopalenie w ognistym piecu wojny. Wystarczało, aby słowa, które są zazwyczaj jak plewy ulatujące z wiatrem, podziałały z nieodpartą mocą, a tłum odrzucał obyczaje mrowiska i gotów na śmierć stawał się jak pożar.

Gdyż ludzie wracający potem do domów byli przemienieni, i wydawało mi się, że aby uwierzyć w magiczne działanie, nie trzeba go szukać w bełkocie czarowników, bo do moich uszu dochodziły oto słowa czarodziejskiej mocy, zdolne oderwać mnie od rodzinnego domu, pracy, przyzwyczajzeń i sprawić, że zapragnę śmierci.

Dlatego też za każdym razem z uwagą słuchałem przemówień, jakże skutecznych, ludzi, którzy niczego nie tworzyli, i starałem się pojąć treść ich przekazu. Gdyż nieistotne jest to, co wypowiedane. W takim przypadku każdy by był wielkim poetą. I każdy byłby prowodyrem mówiąc: „Idźcie za mną do ataku, a zapach prochu...” Ale spróbuj tak przemawiać, a ludzie się roześmieją. Podobnie, jeśli będziesz głosił potrzebę dobra.

Słuchając jednak, jak niektórym udaje się przemienić człowieka, i prosząc Boga, aby mnie oświecił, nauczyłem się po trochu rozpoznawać wśród słów jak plewy rzadki przekaz ciężki jak ziarno.

## CXXXVIII

Tak więc postąpiłem nieco w poznaniu szczęścia i uznałem, że trzeba zająć się tym zagadnieniem. Szczęście wydawało mi się bowiem owocem pewnego wybranego ceremoniału stwarzającego duszę szczęśliwą, a nie bezpłodnym darem przedmiotów, które są marnością. Niepodobna bowiem przekazać ludziom szczęścia jak gotowego zapasu. Toteż owym uciekinierom berberyjskim mój ojciec nie mógł ofiarować nic, co by ich uszczęśliwiło, gdy tymczasem wśród najokrutniejszej pustyni i najdotkliwszej nędzy zdarzało mi się widywać ludzi promieniejących szczęściem.

Nie sądzę jednak, że choćby przez moment mogę wierzyć w możliwość szczęścia zrodzonego przez samotność, pustkę i nędzę. Równie dobrze mogą to być przyczyny rozpacz. Chcę dać tylko wymowny przykład rozgraniczenia szczęścia od dostarczanych ludziom dóbr i związku ludzkiej szczęśliwości z ceremoniałem.

Doświadczenie nauczyło mnie, że proporcja ludzi szczęśliwych jest bardziej zadowalająca w pustyniach, w klasztorach i pośród poświęcenia niż u osiadłych mieszkańców żyznych oaz czy wysp zwanych szczęśliwymi; nie wyciągnąłem jednak stąd wniosku (co byłoby wręcz głupie), że jakość pożywienia jest sprzeczna z jakością szczęścia, a jedynie ten, że tam, gdzie dóbr jest więcej, tam i większa szansa, że ludzie biednie pojmą charakter swojej radości: może się wtedy wydawać, że istotnie rodzą ją przedmioty, a przecież radość jest dana ludziom tylko poprzez sens, jakiego nabierają przedmioty włączone w królestwo, dom rodzinny lub ojcowiznę. Stąd też zamożność sprzyja powstawaniu złudzeń i pogoni za czczym bogactwem.

Natomiast mieszkańcy pustyni albo klasztoru, nie posiadając; nic, widzą naczynie, skąd się bierze ich radość, i w ten sposób łatwiej chronią źródło swojej żarliwości.

Ale znów jest tutaj tak jak w przypadku wroga, który może cię zabić albo dać ci wielkość. Gdyby bowiem człowiek rozpoznał: prawdziwe źródło szczęścia i potrafiłby zachować żarliwość żyjąc na wyspie szczęśliwej albo w oazie, osiągnąłby niewątpliwie wielkość w sposób jeszcze doskonalszy, podobnie jak z instrumentu wielostrunowego można wydobyć bogatsze dźwięki niż z instrumentu o jednej

strunie. Podobnie też nie drewna kosztowne, materie, napoje i potrawy nadawały świetność pałacowi mojego ojca, gdzie każdy krok był pełen znaczenia.

Ale tak też jest ze złotymi ozdobami, które nic nie są warte póki zamknięte w skarbcu, ale nabierają znaczenia, gdy wydobyte ze skrzyń zostaną rozmieszczone w nowym domu, którego oblicze będą upiększały.

## CXXXIX

Znów mnie odwiedził ów prorok o twardym wejrzeniu, dniem i nocą przeżuwający w sobie świętą złość, a który na domiar wszystkiego jest zezowaty.

— Trzeba ich zmusić do poświęceń — powiedział.

— Istotnie — odparłem. — Dobrze by było odjąć im część nagromadzonego bogactwa; staliby się wtedy nieco ubożsi, ale i wzbogaceni sensem pozostałego majątku. Bogactwa nie mają bowiem dla nich żadnej wartości, póki nie zostaną włączone w kształt pewnego oblicza.

Ale on mnie nie słuchał, pochłonięty bez reszty swoją wściekłością.

— Niechby zaczęli naprawdę pokutować... — ciągnął.

— Istotnie — odparłem — gdyż pozbawieni pokarmu w dni postu, zaznają potem radości nasycenia albo też odczują solidarność wobec tych, co poszczą z konieczności, albo zjednoczą się z Bogiem ćwicząc swoją wolę, albo po prostu unikną zbytnej otyłości.

Wtedy uniósł się gniewem.

— Przede wszystkim powinni zostać ukarani za grzechy.

A ja zrozumiałem, że zadowoli się dopiero, kiedy człowiek przykuty do pryczy, pozbawiony chleba i światła, zostanie zamknięty w lochu.

— Trzeba — powiadał — wyrwać zło z korzeniami.

— Istnieje niebezpieczeństwo, że wyrwiesz z korzeniami wszystko. Czy nie lepiej byłoby zamiast wyrwać z korzeniami zło, powiększać sumę dobra? Wynajdywać święta, które by uszlachetniły człowieka? Przyodziać go w strój, dzięki któremu nie będzie chodził brudny? Lepiej odżywić dzieci, żeby piękniały nauczone pacierza, zamiast cierpieć z powodu pustego brzucha?

Przecież nie chodzi o to, aby zakreślać granice dobrom należnym człowiekowi, ale o to, aby ocalić te linie napięć, które kształtują jego jakość, i rysy oblicza przemawiające do umysłu i serca.

Tym, którzy potrafią budować łodzie, każę pływać na łodziach i łowić ryby. Ale tym, którzy potrafią budować statki, każę żeglować i zdobywać świat.

— Chcesz więc zepsuć ich bogactwem!

— Nie interesuje mnie nic, co jest zasobem bogactw — odparłem — i widzę, żeś mnie nie rozumiał.



## CXL

Jeżeli odwołasz się do żandarmów i im zlecisz budowanie świata, choćby najdoskonalszego, ten świat w ogóle nie powstanie, gdyż nie mieści się w roli ani w możliwościach żandarma ożywiać twoją religię. W jego naturze nie mieści się ocenianie ludzi, ale wyłącznie wykonywanie rozkazów wynikających z określonego kodeksu, jak na przykład nakaz płacenia podatków czy zakaz okradania bliźnich, czy poszanowania takiego lub innego przepisu. To natomiast, że człowiek jest taki, a nie inny, że wieczorny posiłek w gronie rodzinnym ma taki, a nie inny charakter, wyznaczają rytuały społeczne, pola napięć i ich linie.

Żandarma nie widzi się w ogóle. Jest jak mur, jak rama i szkielet. Nie ma z nim kontaktu i jest on równie bezlitosny jak fakt, że nocą człowiek pozbawiony jest słońca, albo że aby przebyć morze, musisz czekać nadejścia statku, albo że jeśli nie ma drzwi po lewej stronie, musisz pójść na prawo. Wszystko to po prostu jest takie, a nie inne.

Może jednak obdarzysz go donioślejszą rolą i zlecisz oceniać ludzi (do czego nikt na świecie nie jest zdolny) i tropić zło wedle jego własnej oceny, zamiast obserwować ludzkie czyny, co leży w jego kompetencjach. Wtedy — ponieważ nic na świecie nie jest proste, a ludzkie myśli są zmienne oraz trudne do sformułowania i w istocie nie istnieją przeciwieństwa — pozostaną na wolności i dojdą do władzy wyłącznie ci, których przemożny wstręt nie zniechęci do tak karykaturalnego życia. Byłby to bowiem ład, postawiony ponad żarliwością drzewa, ład, który zamierzają wprowadzić logicy, a nie ład drzewa, które się rodzi z ziarna. W istocie przecież ład jest wynikiem życia, a nie jego przyczyną. Ład jest znamiem silnej społeczności, ale nie genezą jej siły. To życie, żarliwość i dążenie ku czemuś rodzą ład. Ale ład nie rodzi ani życia, ani żarliwości, ani dążenia ku czemukolwiek.

A wtedy tylko ludziom o pospolitych duszach będzie się wydawało, że wzrastają; przyjmą tandetne idee rodem z żandarmskiego formularza i wymienią treść swoich dusz za podręcznik postępowania. Pamiętaj: nawet wzniosły obraz człowieka i szlachetny cel stanie się podły i głupi, jeżeli żandarm będzie go głosił. Albowiem rolą żandarma nie jest nieść kulturę, ale zabraniać pewnych określonych czynów nie rozumiejąc nawet dlaczego.

\* \* \*

Człowiek w pełni wolny, postawiony w nieodwołalnym polu napięć i wobec nieodwołalnych przymusów, które są jak niewidoczni żandarmi — oto jak rozumiem sprawiedliwość w moim królestwie.

\* \* \*

Dlatego wezwałem żandarmów i powiedziałem im tak:

— Będziecie oceniać tylko ludzkie postęпки wymienione w podręczniku. I godzę się na niesprawiedliwość z waszej strony: jest bowiem czymś rozpaczliwym, że nie wolno dziś przekroczyć muru, który kiedy indziej osłania rabusia, nawet jeżeli za murem krzyczy napadnięta kobieta. Ale mur jest murem, a prawo prawem.

Nie wolno wam będzie jednak oceniać człowieka. Bo milcząca miłość do ludzi dała mi zrozumieć, że aby pojąć człowieka, wcale nie trzeba go słuchać. A i dlatego, że i ja nie potrafię odróżnić zła od dobra i boję się, abym wrywając z korzeniami zło nie dał i dobra na spalenie. A jak ty byś mógł się o to pokusić, skoro od ciebie wymagam właśnie, żebyś był ślepy jak mur.

A ja nauczyłem się już tego, że kiedy skazańca powiodę na stos, spalę w nim właśnie tę cząstkę, która jest piękna, a która dopiero w płomieniach się ukazuje. Ale godzę się na tę ofiarę, ażeby ocalić to, co jest kośćcem. Gdyż poprzez jego śmierć napinam sprężyny ludzkiego działania, których nie wolno mi zwalniać.



## CXLI

Zacznę więc mówić do ciebie tak:

— Człowieku o niezaspokojonych pragnieniach, ujarzmiany siłą, któremu inny człowiek zawsze przeszkadza wzrastać. . .

A ty nie zaprotestujesz, ponieważ to prawda, że masz niezaspokojone pragnienia, że jesteś ujarzmiany siłą i że inni zawsze przeszkadzają ci wzrastać.

Wobec tego poprowadzę cię, żebyś w imię równości walczył z księciem.

Albo zacznę inaczej:

— Człowieku, który masz potrzebę kochania i który istniejesz tylko dzięki temu ogromnemu drzewu, jakie tworzysz razem z innymi. . .

Wtedy także nie zaprotestujesz, ponieważ to prawda, że masz potrzebę kochania, a istniejesz tylko poprzez dzieło, któremu służysz.

A ja poprowadzę cię, żebyś osadził księcia z powrotem na jego tronie.

Mogę ci więc powiedzieć cokolwiek — i wszystko będzie prawdziwe. A jeśli spytasz, jak z góry rozpoznać, która prawda okaże się żywa i wykiełkuje jak żywe ziarno, odpowiem, że tylko ta, która się stanie zwornikiem sklepienia, mową prostą i uprości twoje problemy. Nieistotne, ile będą warte moje oświadczenia. Istotne jest przede wszystkim, w jakim punkcie ciebie postawią. Jeśli patrząc z tego punktu widzenia dojrzysz niejedną sprzeczność w sobie, a one się z czasem rozwiążą, sam zaczniesz wypowiadać swoje obserwacje; a że ja się tu i ówdzie źle wyraziłem albo wręcz pomyliłem — to naprawdę niezbyt ważne. Będziesz widział tak, jak ja tego chciałem, bo nie dałem ci gotowego rozumowania, a punkt widzenia, skąd rozumowanie może brać początek.

Niewykluczone, że w kilku językach znajdziesz wytłumaczenie świata czy siebie samego. I że ścierają się ze sobą. I każdy jest spoisty i mocny. I że nic ich nie przeciwstawia sobie wzajemnie. A ty nie możesz argumentami zbijać postawy przeciwnika, ponieważ ma on rację w równym stopniu co ty sarn . Albowiem walczyście obaj w imię Boga.

„Człowiek to ten, co produkuje i spożywa. . .”

I to prawda, że produkuje i spożywa.

„Człowiek to ten, co pisze poezje i uczy się czytać w gwiazdach. . .”

I to prawda, że pisze poezje i bada tajemnice gwiazd.

„Człowiek to ten, co tylko w Bogu znajduje szczęście...”

I to prawda, że w klasztorach człowiek uczy się radości.

Ale trzeba też powiedzieć o człowieku coś takiego, co by objęło wszystkie te wypowiedzi, które rodzą wzajemne nienawiści. Ponieważ obszar ludzkiej świadomości jest znikomo mały i człowiek, który znalazł pewną formułę, jest przekonany, że inni kłamią albo są w błędzie. A tymczasem wszyscy mają rację.

\* \* \*

Codzienne życie dało mi nieodpartą pewność, że produkowanie i konsumowanie jest (jak w przypadku pałacowych kuchni) nie tyle najważniejsze, ile najpilniejsze; chciałem więc, aby to przekonanie odbiło się jakoś w moich zasadach postępowania. Kategoria rzeczy pilnych nie na wiele jest przydatna i mógłbym równie dobrze oświadczyć: „Człowiek to ten, co jest coś wart tylko wtedy, kiedy jest zdrowy...”, po czym wydedukować z tego cywilizację, w której — w myśl tej zasady — lekarz osądzałby czyny i myśli ludzkie. Ale i tu sam się przekonałem, że zdrowie jest tylko środkiem, a nie celem, i chciałem, aby ta hierarchia również znalazła odbicie w moich zasadach. Jeśli nie jest to bowiem zasada absurdalna, trzeba się liczyć z tym, że pociągnie za sobą konieczność faworyzowania produkcji i konsumpcji albo wprowadzi dyscyplinę ze względu na zdrowie. Gdyż tak samo jak ziarno różnicuje się wyrastając w roślinę, a jedna i wspólna kultura różnie się kształtuje w zależności od środowiska i sytuacji społecznej, tak samo i moje zasady postępowania koniec końców w każdym szczególe znajdą swój wyraz.

O człowieku powiem więc tak: „Człowiek to ten, co ma wartość tylko pośród pola napięć; ten, kto nawiązuje kontakt z innymi tylko za pośrednictwem bogów, których sobie wyobraża i którzy rządzą i nim, i innymi; to ten, kto znajduje radość tylko przemieniając swoje życie w twórcze dzieło; to ten, co umiera szczęśliwy tylko wtedy, kiedy przekazuje siebie innym; to ten, któremu ciężą zasoby dóbr i którego wzrusza jedna dojrzana jedność świata; ten, co szuka poznania, a znajdując, czuje upojenie; a także ten, który...”

Muszę to wszystko tak sformułować, aby podstawowe pragnienia człowieka nie zostały stłumione ani sprowadzone na manowce. Jeśli bowiem miałbym zniszczyć instynkt twórczy za cenę wprowadzenia ładu — nie chcę takiego ładu. Jeśli miałbym zlikwidować pola napięć, aby powiększyć obwód brzucha — nie chcę tego. A także gdyby miał wzrastać jego instynkt twórczy, ale za cenę chaotycznego rozkładu — nie chcę takiego instynktu. A także gdybym miał zgubić człowieka, aby nadać większą wagę polu napięć, tak że zostanie mi pole napięć, ale zginie człowiek — nie chcę tego wcale.

Zatem ja — kapitan, czuwający nad miastem z wysoka, będę dzisiejszego wieczoru mówił o człowieku, a kierunek, który wytyczę, wyznaczy wartość podróży.



## CXLII

Wiem najpierw i przede wszystkim, że nie osiągnę w ten sposób prawdy absolutnej i dającej się dowieść, a także zdolnej przekonać moich przeciwników, a tylko jakiś potencjalny obraz człowieka, uwzględniający w pierwszym rzędzie to, co wydaje mi się w człowieku szlachetne; i tej zasadzie poddam wszystko inne.

Nie mam oczywiście zamiaru, traktując człowieka jako producenta i konsumenta, podporządkować rozmiarom jego brzucha wartości ludzkich uczuć, wiedzy, namiętnych radości, choć — nie wpadając w żadną sprzeczność ani wykręty — chciałbym mu zarazem dać możliwie dużo; podobnie zresztą ci, co się interesują rozmiarami jego brzucha, twierdzą, że nie zamierzają lekceważyć ducha.

Albowiem kapitalny wybór dotyczy oblicza, a ono, jeśli będzie mieć potrzebną siłę, rozwinie się jak roślina z ziarna i ukształtuje całą resztę. Miłość morza bowiem nieuchronnie przekształci się w budowanie statków.

Wydaje mi się także, że nie suma wiadomości jest najważniejszą rzeczą, bo nie na tym polega nauczanie i wychowanie, i nie stwierdziłem wcale, aby jakość człowieka wyznaczała suma idei, którymi się karmi; wyznacza ją jakość tego narzędzia, które pozwala wiadomości nabywać.

Tworzywo będzie zawsze to samo i żaden jego element nie jest do pogardzenia, ale z tego samego tworzywa można stworzyć bardzo różne oblicza.

Niektórzy będą zarzucać wybranemu obliczu, że zostało dobrane dowolnie i poddaje człowieka narzuconej mu woli, na przykład każe mu umierać dla zdobycia jakiejś niepotrzebnej nikomu oazy pod pretekstem, że sam podbój jest czymś pięknym; tym ludziom odpowiem, że wszelkie usprawiedliwianie jest bezpłodne, ponieważ to oblicze może współistnieć z wszystkimi innymi, równie prawdziwymi, i że w gruncie rzeczy walczymy w imieniu bogów, którzy są jedną wybraną strukturą tych samych wciąż elementów.

Dzielić nas będzie tylko objawianie się i ukazywanie archaniołów. Są to, moim zdaniem, efekty rodem z podrzędnego teatryku, gdyż jeśli Bóg jest do mnie podobny i ukazuje mi się, nie jest już Bogiem, jeśli zaś jest Bogiem, może być poznawalny dla mojego ducha, nie zmysłów. Jeżeli zaś jest poznawalny dla mojego ducha, rozpoznam Go tylko poprzez odczute wzruszenie, jak to jest w przypadku piękna świątyni. Będę szukał i znajdę Go podobnie jak ślepiec, którego w stro-

nę ognia prowadzi wycucie dłoni, a ogień jest dla niego poznawalny tylko przez odczuwane zadowolenie. (Mogę jeszcze powiedzieć, że ponieważ Bóg wywiódł mnie z siebie, sprowadza mnie do Niego z powrotem jakaś siła ciężenia.) I cędr dlatego się rozwija, że jest zanurzony w słońcu, choć nie pojmuje znaczenia słońca.

Albowiem wedle słów jedyne go prawdziwego geometry a mojego przyjaciela wydaje mi się, że nasze struktury coś muszą przypominać, ponieważ nie ma dających się wytłumaczyć czynów, które prowadziłyby ku tym nieznanym studniom. I jeśli nieznanne słońce, które narzuca swoje prawa w świecie moich czynów, nazywam bogiem, prawda sprawdzi się tu skutecznością nazwania.

Dzisiejszego wieczora spoglądam z wysoka na miasto, jak kapitan statku na pełnym morzu. Wydaje się, że ludźmi rządzi interes, szczęście i rozum. Ale odebrałem im interes, rozum i szczęście, ponieważ miałem wrażenie, iż interesem i szczęściem nazywają po prostu to, ku czemu dążą, i zbędne są takie bezkształtne niby meduzy pojęcia; zaś rozum, który dąży tam, gdzie się go skieruje, wydał mi się śladem na piasku zostawionym przez coś, co jest wyższe od niego.

Nie rozum prowadził jedyne go prawdziwego geometry, mojego przyjaciela. Rozum pisze komentarze, wywodzi prawa, układa przepisy, i krocząc od przyczyny do skutku wywodzi drzewo z nasienia, aż do dnia, kiedy drzewo umiera, rozum staje się bezradny i szuka innego nasienia.

Ale ja, patrząc z góry na miasto, niby kapitan statku na pełnym morzu, wiem, że tylko duch rządzi ludźmi i że rządzi nimi nieodwołalnie. Jeśli bowiem człowiek dojrzał pewną strukturę, napisał wiersz i zasiał ziarno w ludzkie serca, wtedy interes, szczęście i rozum poddają mu się jak słudzy: przemiana ziarna w drzewo dzięki nim zostawi ślady w sercu albo cieniu na murze rzeczywistości.

I nie w twojej mocy bronić się przeciw duchowi. Jeśli cię bowiem postawię na tej właśnie górze, a nie na innej, czy możesz zaprzeczyć, że miasta i rzeki układają się w taki właśnie, a nie inny wzór, skoro jest właśnie tak, jak jest.

I dlatego każę ci się stawać. I dlatego, choć śpi moje miasto, i choć odczytując ludzkie czyny nie znajdujesz w nich nic poza szukaniem interesu i szczęścia albo pracą rozumu, jestem odpowiedzialny za to, ku czemu naprawdę zmierza ono pod wywieżdżonym niebem.

\* \* \*

Bo ludzie w istocie nie wiedzą, jaki kierunek obrali, kiedy szukają, jak im się zdaje, swego interesu lub szczęścia, albo kiedy kierują się rozumem; nie mają pojęcia, że rozum, szukanie szczęścia lub interesu w zależności od królestwa, któremu są poddane, zmieniają i formę, i sens.

I że w moim królestwie interes jest jakimś uskrzydleniem, takim jak dla dziecka bawić się w najbardziej podniecającą grę. Szczęście — to przemieniać się

i trwać w przedmiocie własnej twórczości. A rozum — układać rozsądne prawa. W wojsku rozum to wojskowy regulamin, który ustala takie, a nie inne związki pomiędzy rzeczami, na statku — to regulamin pokładowy, a w moim królestwie rozum to całość praw, obyczajów, dogmatów i systemów, które sprawiają, że rzeczy tak właśnie, i spoiście, będą ze sobą wzajemnie powiązane.

Ale ta więź, ten dźwięk, który poniesie się w nieskończone echa, jest mój własny, jeden i wykraczający poza argumentację.

\* \* \*

Może mnie jednak zapytasz: „A po co przymus?”

Kiedy ustanowiłem określone oblicze, trzeba, aby trwało. Kiedy oblicze ulepiłem z gliny, wkładam glinę do pieca, aby stwardniała i dzięki temu przetrwała wystarczająco długi czas. Tak samo moja prawda, aby przyniosła owoce, musi być stała: kto by chciał bowiem co dzień zmieniać przedmiot miłości i gdzie wtedy byłyby wielkie czyny ludzkie? Tylko ciągłość pozwoli zaowocować twojemu wysiłkowi. Rzadko bowiem pojawia się moc twórcza, a choć czasem musi ci być dana, aby cię zbawić, niedobrze by było, gdyby cię nawiedzała co dzień. Trzeba wielu pokoleń, aby narodził się człowiek. I pod pretekstem ulepszania drzewa nie ścinam go co dzień i nie sadzę nowego nasienia.

Wszystkie istoty, które znam, rodzą się, żyją i umierają. A oto człowiek zebrał kozy, owce, domostwa i góry, i dziś z tego zbioru narodzi się jakiś nowy byt, który odmieni ludzkie postępowanie. I będzie trwał, a potem zacznie słabnąć i wyczerpawszy otrzymany dar życia umrze.

Narodziny to zawsze twórczość w stanie czystym, ożywiający ogień, który zstąpił z nieba. A życie nie biegnie wedle linii ciągłej. Oto leży przed tobą jajko. Ale nadchodzi moment, w którym wychodzi z niego kobra i twoja sytuacja zmienia się gwałtownie.

W czasie budowy masz robotników i złożone kamienie. W ułożonych kamieniach jest pewna logika. Ale nadchodzi moment otwarcia świątyni i człowiek zostaje przemieniony. Cała jego sytuacja staje się z gruntu inna.

A jeśli rzuciłem w człowieka ziarno kultury, trzeba mi więcej czasu niż jedno życie ludzkie, żeby puściła gałęzie, liście i dała owoce. I nie mam zamiaru codziennie odmieniać oblicza, bo wtedy nic się nie narodzi.

To wielki błąd wierzyć w trwanie równe jednemu życiu ludzkiemu. Przede wszystkim komu lub czemu przekaze siebie umierający? Potrzebuje jakiegoś boga, aby go przyjął.

Umieranie ma wtedy prostotę wszystkich istniejących rzeczy. Moje oliwki za rok okryją się znów owocami, które zbiorą moi synowie. Wtedy jestem spokojny w godzinie śmierci.

## CXLIII

I tak oto nabierałem coraz mocniejszego przekonania, że ludzi nie trzeba słuchać, ale ich rozumieć. Patrzę na miasto w dole i widzę, jak mało świadomi są go ludzie. Uważają się za budowniczych, murarzy, żandarmów, tkaczy, sądzą, że szukają swojego interesu albo szczęścia, ale nie czują w sobie miłości, podobnie jak nie czuje w sobie miłości człowiek krzątający się po domu, pochłonięty codziennymi kłopotami. Za dnia dochodzi do kłótni małżeńskich. Ale nocą ten, co się kłóci, odnajduje w sobie miłość. Bo miłość jest silniejsza od słów rzucanych na wiatr. I człowiek zamyślony, siada w oknie, pod wygwieżdżonym niebem, i czuje się znów odpowiedzialny za tych, co śpią, za chleb, który trzeba zdobyć, za sen żony, leżącej tuż, tak kruchej, delikatnej i nietrwałej. Miłość nie wyraża się w myślach. Miłość jest.

Ale jej głos mówi tylko w ciszy. Tak samo, gdy chodzi o dom rodzinny czy miasto, czy królestwo. Niech zapadnie prawdziwy spokój, a wtedy człowiek ujrzy swoich bogów.

I nikt nie rozpozna dnia, w którym mu przyjdzie umrzeć. A słowa mówiące o mieście inaczej niż poprzez pryzmat jego interesów lub szczęścia, wydadzą mu się pełne kiepskiego patosu, bo nie będzie wiedział, że jego interesy i szczęście zrodziło właśnie miasto. Skromne słowa na oznaczenie wielkich rzeczy.

Ale jeśli spojrzy na miasto z lotu ptaka i cofnie się w czasie śledząc jego losy, poprzez zamęt, egoizm, ludzkie podniecenie dojrzy powoli i spokojnie płynący statek. Wróciwszy wstecz poprzez kilka stuleci, zobaczy, niby bruzdę na wodzie, ludzkie ślady pozostawione w poezji, w kamiennych rzeźbach, teoriach naukowych i świątyniach, dotąd jeszcze wynurzających się z piasku. Codziennosc za-trze się i zniknie. I zrozumie, że to, co ludzie nazywali interesami albo gonitwą za szczęściem, było tylko nędznym odbiciem wielkich spraw.

Człowiek, o którym mówiłem, będzie szedł naprzód.

Podobnie z armią, która rozbiła obozowisko. Jutro rano, w palącym jak ogień piaszczystym wicherze, rzucą ją na wroga. Wróg stanie się dla mojej armii jak tygiel, w którym wytapia się kruszec. Popłynie krew, a tysięczne jednostkowe, nagle unicestwione szczęścia znajdą swój kres w jednym błysku szabli, tysiące jednost-

kowych interesów nagle zginie bez śladu. A przecież moje wojsko nie zbuntuje się, gdyż wchodzi tu w grę nie los jakiegoś człowieka, ale los człowieka.

Wiem, że ci ludzie godzą się jutro umrzeć: a przecież kiedy wieczorem, ogarnięty cichą miłością, chodzę pomiędzy obozowymi ogniskami i słucham ludzkich rozmów, nie usłyszę głosu człowieka, który godzi się na jutrzejszą śmierć.

Tu ludzie będą żartować z czyjegoś krzywego nosa. Tam — kłócić się o ćwiartkę mięsa. Gdzie indziej garstka siedzących w kucki żołnierzy sarkać będzie na wodza ostro, słowami może obraźliwymi. A jeśli któremuś z nich powiem, że jest pijany jutro składaną ofiarą, roześmieje mi się w twarz i stwierdzi, że przesadzam, a zarazem nie doceniam jego osoby; gdyż on nie ma zamiaru — i nie nakazuje mu tego sumienie ani poczucie godności i ważności własnej osoby — umierać za swojego kaprała, który w żadnej mierze nie zasługuje na takie poświęcenie. A przecież jutro ten człowiek umrze za swojego kaprała.

Nie ujrzę nigdy tego wielkiego oblicza, które pozwala stawiać czoło śmierci i przyjmuje dar ludzkiej miłości. A jeżeli przejmowałem się dotąd słowami rzuconymi na wiatr, wrócę powoli do: swojego namiotu ze smakiem klęski na wargach. Gdyż ci ludzie żartowali, krytykowali wojnę i obrzucali wyzwiskami wodzów. No tak: widziałeś myjących deski pokładu, zwijających żagle i kujących gwoździe, ale nie dostrzegłeś, ponieważ wzrok masz kiepski i patrzysz z nazbyt bliska, statku w jego majestacie.



## CXLIV

Pewnego wieczoru poszedłem zlustrować moje więzienia. I przekonałem się, że żandarmi wybrali i zamknęli w karcerach ludzi okazujących stałość: tych, którzy nie zmyślali i nie odrzekali się od tego, co było oczywistą prawdą.

Ci natomiast, którzy odrzekali się swoich czynów i kłamali, pozostali na wolności. Bo zapamiętaj moje słowa: niezależnie od kultury żandarma i twojej własnej, jeśli żandarm otrzyma prawo wydawania sądów, ostoi się tylko człowiek podły. Gdyż w oczach żandarma wszelka prawda, jeżeli jest prawdą człowieka, a nie głupiego logika, stanowi przewinę i grzech. Gdyż on chciałby, aby wszystko było objęte jedną księgą, jednym modelem człowieka, jedną formułą. Gdyż żandarm budując statek chciałby zniszczyć morze.

## CXLV

Jestem już zmęczony słowami, które się przedrzeźniają wzajemnie i nie wydaje mi się bynajmniej absurdem w przymusie szukać swobody.

A także — w walorach wojennej odwagi — waloru miłości.

A także — wśród ascezy szukać luksusu.

I w zgodzie na śmierć — radości życia.

W hierarchii szukać równości, którą bym nazwał przymierzem.

W odrzuceniu dóbr — najlepsze tych dóbr spożytkowanie.

W bezgranicznym oddaniu królestwu — osobistej godności.

Jeśli opowiadasz się za człowiekiem pojedynczym, powiedz mi, jaki on jest? Ja widziałem trędowatego.

Jeśli opowiadasz się za społeczeństwem dostatnim i wolnym. Powiedz mi, jakie ono jest? Ja widziałem moich Berberów.

## CXLVI

A tym, którzy nie pojmowali mojego przymusu, powiedziałem tak:

— Jesteście jak dziecko, które widziawszy w swoim życiu tylko jeden kształt dzbana uważa ten kształt za nieodwołalny, a zmieniawszy miejsce zamieszkania nie może zrozumieć, dlaczego tak odmieniono i popsuto kształt owego znanego mu z domu dzbanka. Podobnie, kiedy w sąsiednim królestwie widzicie formowanie człowieka według innego niż wasz modelu, i będzie to człowiek, który inaczej czuje, inaczej myśli, kocha, skarży się i nienawidzi, zapytujecie, dlaczego odmienia się i psuje człowieka. W tym tkwi twoja słabość. Nie uchronisz świątyni przed zniszczeniem, jeżeli nie będziesz wiedział, że architektura to rzecz krucha i że jest zwycięstwem człowieka nad naturą. I że całą budowlę podtrzymują belki, przypory, filary i łuki.

I nie pojmujesz wiszącej nad tobą groźby, bo w cudzym dziele widzisz tylko skutek chwilowego pobłędzenia, i nie rozumiesz, że grozi to, na całą wieczność, zniknięciem człowieka, który nigdy już się nie pojawi po raz wtóry.

Uważałeś się za wolnego i oburzałeś się, kiedy mówiłem o przymusie. Jest to zaś przymus nie ze strony jakiegoś żandarma, a więc widoczny, lecz tym bardziej nieunikniony, że nieodczuwalny, podobnie jak w przypadku drzwi w murze, kiedy przymusu dojścia do nich nie traktujesz jako zamachu na swoją wolność.

Jeżeli chcesz jednak dojrzeć pole napięć, które ci wyznacza i każe ci tak właśnie, a nie inaczej poruszać się, odczuwać, myśleć, kochać, skarżyć się i nienawidzić, zaobserwuj, jak zaczynają działać ów gorset u sąsiada — wtedy stanie się dla ciebie widoczny.

W przeciwnym razie nigdy go nie dostrzeżesz. Spadający kamień nie odczuwa siły ciężenia. Kamień ciąży wtedy, gdy leży nieruchomo.

Tylko stawiając opór czujesz siłę, która cię chce popchnąć. I liść ulatujący z wiatrem nie czuje go, i kamień wypuszczony z ręki — nie czuje ciężenia.

Dlatego też i ty nie widzisz ciężącego nad tobą potężnego przymusu, dostrzegalnego i jak mur stawiającego opór dopiero w przypadku, gdyby ci przyszło do głowy na przykład podpalić miasto.

Podobnie nie dostrzegasz tego najbardziej podstawowego przymusu, jakim jest język.

Wszelki system jest przymusem, ale niewidocznym.

## CXLVII

W księgach książęcych studiowałem przepisy sporządzone w różnych królestwach. Obrzędy różnych religii, ceremonie pogrzebów, zaślubin i narodzin, mojego ludu oraz innych ludów, i obecne i przeszłe; w duszach i w prawach, które sporządzono dla zbudowania dusz, kierowania i utrwalania ich w dobrem, szukałem prostych międzyludzkich stosunków i nie mogłem ich znaleźć.

A przecież kiedy się stykałem z mieszkańcami sąsiedniego cesarstwa, w którym obowiązuje określony ceremoniał ofiarny, odkrywałem pewien niepowtarzalny smak i jakby aromat, pewien określony sposób kochania i nienawidzenia, bo miłość i nienawiść są w każdym przypadku inne. Miałem zatem prawo pytać o przyczyny: „Jak to się dzieje, że rytuał, który wydaje się pozbawiony związku z czymkolwiek, a także skuteczności i działania, ponieważ dotyczy spraw obcych miłości, buduje jednak miłość, i to miłość określonej barwy. Jak więc przebiega więź pomiędzy czynem a nakazami, które nim rządzą, i określonym charakterem uśmiechu, niepodobnego do uśmiechu innych ludzi?”

Nie było to szukanie bezpłodne, ponieważ w ciągu całego mojego życia przekonałem się, że ludzie różnią się między sobą, choć te różnice pozostają po pierwsze niewidoczne, a po drugie niewyraźne w słowach; w rozmowie bowiem odwołujemy się do tłumacza, którego zadaniem jest przekładać na nasz użytek cudze słowa, to znaczy szukać w naszym języku tego, co by najbliżej odpowiadało wypowiedziom w innym języku. W ten sposób miłość, sprawiedliwość i zazdrość zostaną przełożone na zazdrość, sprawiedliwość i miłość i będziemy się zachwycać podobieństwami, choć treść tych słów bynajmniej nie będzie ta sama. Jeżeli zaś będziemy w dalszym ciągu analizować słowo po słowie, w kolejnych przekładach będziemy i szukać, i znajdować wyłącznie podobieństwa, i — jak zawsze w toku analizy — umknie nam to, co chcieliśmy ująć.

Kto chce bowiem zrozumieć ludzi, nie powinien słuchać, co mówią.

A tymczasem różnice są podstawowe. Gdyż w każdym przypadku inna będzie i miłość, i sprawiedliwość, i zazdrość, a także śmierć, śpiew, stosunki z dziećmi, z władcą, z ukochaną kobietą, i to, co człowiek wkłada w twórczą pracę, szczęście, przybierające kształt własnych interesów, i owe ludzkie interesy za każdym razem inne; znałem ludzi, którzy czuli się w pełni szczęśliwi, skromnie przy tym

zaciskając usta i mrużąc oczy, kiedy dochowali się dość długich paznokci; inni natomiast zachowywali się tak samo pokazując odciski powstałe na ich dłoniach od pracy. Znałem też ludzi, którzy oceniali swoją wartość wedle wagi złota nagromadzonego w piwnicy, co mogłoby się wydawać obrzydliwym skąpstwem, póki nie poznamy innych przeładowanych dumą i niezmiernie zadowolonych z siebie, jeśli bez żadnego celu wtoczyli kamień na wysoką górę.

Stwierdziłem jednak niezbitcie, że te usiłowania były chybione, gdyż z jednej płaszczyzny na drugą nie da się przejść przy pomocy dedukcji; było to więc równie absurdalne jak zachowanie gaduły, który razem z kimś podziwiając jakąś rzeźbę, próbuje poprzez linię nosa albo wymiary ucha wyjaśnić mu przekaz dzieła sztuki — na przykład melancholię świątecznych wieczorów; a przecież to tylko zachwyt tego, kto patrzy, coś zupełnie innego ze swojej natury niż użyte tworzywo.

Doszedłem do wniosku, że mój błąd polegał na próbach wyjaśniania drzewa poprzez soki mineralne, ciszy - poprzez kamienie, melancholii — poprzez linie, a charakteru duszy — poprzez ceremoniał, co jest odwracaniem naturalnego porządku stworzenia; tymczasem trzeba było — przeciwnie — wyjaśniać wstępowanie wzwyż tego, co mineralne, poprzez wzrastanie drzewa, układ kamieni — poprzez pragnienie ciszy, strukturę linii — poprzez przemożną melancholię i ceremoniał - poprzez charakter duszy, która jest jedna i niewyraźalna w słowach; ponieważ właśnie po to, aby ją pojąć, zapanować nad nią i utrwalić jej wartości, powstały swego rodzaju sidła — pewien określony ceremoniał.

W młodości polowałem na jaguary. Kopałem w tym celu doły, z jagnięciem na dnie, najeżone ostrymi palami i pokryte trawą. Przychodząc o świcie, znajdowałem wgłębi ciało jaguara. Znając bowiem zwyczaj jaguara, człowiek może wymyślić taki dół z jagnięciem, ostrymi palami i pokryty trawą. Jeżeli mu jednak polecić zaprojektowanie dołu bez podstawowej znajomości dotyczącej zwierzęcia, nic nie wymyśli.

Dlatego o prawdziwym geometrze a moim przyjacielu mówiłem, że jest to ktoś, kto czuje jaguara i wymyśli pułapkę na niego. Choć nigdy tego zwierza nie widział. Natomiast komentatorzy geometry zrozumieli, co mają robić, ponieważ pokazano im schwytanego jaguara: ale oni widzą świat w perspektywie pali na dnie pułapki, jagniąt i trawy oraz innych elementów konstrukcji i mają nadzieję, że logicznie rozumując dojdą w ten sposób do prawdy. Ale do prawdy nie dochodzą. I brną w swojej jałowej działalności aż do dnia, kiedy pojawi się ktoś, kto czuje jaguara, jeszcze zanim go zobaczy, i zrozumie, jak go schwytać, i pokazuje to im. A prowadzi ich przy tym w jakiś tajemniczy sposób drogą, która jest jakby drogą powrotną.

Takim geometrą był mój ojciec, który ustanowił ceremoniał, mający pojąć w swoją sieć człowieka. A także ci, którzy gdzie indziej lub kiedy indziej ustanawiali inne ceremoniały, mające pojąć innych ludzi. Ale potem nadeszły czasy

głupich logików, historyków i krytyków. Oni zaś patrzą na ceremoniał i nie mogą z niego wydedukować obrazu człowieka, ponieważ wydedukować go istotnie nie można; po czym w imię słów lekkich jak plewy na wietrze, które nazywają rozumem, w przypadkowy sposób rozkładają elementy stanowiące pułapkę, niszczą ceremoniał i człowiek nie może już zostać pojmany.

## CXLVIII

W czasie wiejskich przejażdżek w pewnym obcym kraju udało mi się odkryć charakter owych zapór, które budują człowieka. Jechałem powoli konno polną drogą od jednej wioski do drugiej. Droga mogła biec prosto przez równinę, a tymczasem biegła obrzeżem pola i straciłem parę dobrych chwil objeżdżając je bokiem. Poczulem wtedy na sobie ciężar owego prostokąta obsianego owsem, gdyż instynkt kazałby mi jechać prosto przed siebie, a ów ciężar ugiął mnie. Istnienie tego prostokąta obsianego owsem naruszyło bieg mojego życia, bo musiałem mu poświęcić minuty, które mogłyby posłużyć na co innego. Pole narzucało mi swoją władzę, ponieważ zgodziłem się je objechać i choć mógłbym puścić konia wprost w owies, uszanowałem je jak świątynię. Potem droga poprowadziła mnie wzdłuż posiadłości otoczonej murem. Szanowała najwidoczniej tę posiadłość, gdyż wygięła się miękkim łukiem zgodnie z występami i wgłębieniami muru. A za murem widziałem drzewa rosnące gęściej niż drzewa w naszych oazach i jakiś staw słodkiej wody migoczący przez gałęzie. Słyszałem tylko ciszę. Potem minąłem bramę wjazdową ocienioną listowiem. Tutaj droga się rozwidła, bo jedno rozgałęzienie było już wewnętrzną drogą prywatnej posiadłości. Wtedy właśnie, w czasie tej powolnej pielgrzymki, kiedy mój koń potykał się na wybojach albo naciągał cugle, chwytając niską trawę wyrosłą pod murem, przyszło mi do głowy, że delikatne krzywizny drogi, okazywany przez nią szacunek, nieśpieszność i czas tracony jakby na rozkaz jakiegoś rytuału lub przepisów królewskiego apartamentu, tworzyły zarys książęcej twarzy; i że wszyscy, którzy drogą jechali, na trzęsących bryczkach czy kołysani na grzbiecie powolnych osiołków, ćwiczyli się bezwiednie w miłości.



## CXLIX

Mój ojciec mówił tak:

— Ludzie uważają, że wzbogaca ich rozszerzanie słownictwa. Można, oczywiście, użyć jeszcze jednego dodatkowego słowa, które będzie oznaczać na przykład „październikowe słońce” w odróżnieniu od innego słońca. Ale nie wiem, co można na tym zyskać. Przeciwnie: stwierdzam, że gubi się wtedy wyraz owej zależności, łączącej październik, październikowe owoce i chłód październikowy ze słońcem, które już nie jest tak mocne, ale już jakby znużone. Rzadkie są słowa, które przynoszą mi jakiś zysk, wyrażając za jednym razem cały system współzależności, którym będę się mógł posługiwać i gdzie indziej, jak słowo „zazdrość”. Tak więc powiem na przykład: „Pragnienie jest zazdrością wobec wody”. Gdy widząc ludzi umierających z pragnienia, miałem wrażenie, iż cierpią męki już nie jakiejś choroby równie okropnej jak zaraza, która odbiera człowiekowi świadomość i wydobywa ciche jęki z jego piersi. Pragnienie wody każe człowiekowi wyć. Zwidują mu się inni ludzie — pijący. Woda, która gdzieś daleko płynie obficie, wydaje mu się jak zdrada. Jak kobieta uśmiechająca się do wroga. Cierpienie człowieka spragnionego nie jest chorobą, ma w sobie coś religijnego, miłosnego, coś, co odwołuje się do obrazów działających na człowieka przemożnie. Gdyż żyje on wewnątrz królestwa, które nie dotyczy rzeczy, ale sensu rzeczy.

Natomiast „październikowe słońce” jest czymś tak szczególnym, że niezbyt będzie mi pomocne.

Wzbogacę natomiast człowieka, jeżeli go wyćwiczę tak, aby posługując się tymi samymi słowami, budował różnorodne pułapki, nadające się do różnych celów. Tak na przykład jeśli pozna on takie węzły na sznurze, które będą przydatne i na sidła lisie, i do obsługi statków żaglowych, tak aby dobrze chwyciły wiatr. Ale podobnie i z efektami zdań wtrąconych, odcieniami form czasownika, rytmem zdań, układem dopełnień, tym wszystkim, co jest jak echo i jak zwroty ciała; jak taniec, którym tańcząc przekazujesz innemu człowiekowi to, co zamierzałeś mu powiedzieć, co pozwala mu pojąć ze słowa pisanego to, co chciałeś, żeby pojął.

— Zdobyć świadomość — mówił kiedy indziej mój ojciec — to przede wszystkim zdobyć własny styl.

— Zdobyć świadomość — stwierdzał także — wcale nie znaczy nabyć pewnego zasobu przypadkowych pojęć i kazać im spokojnie czekać. Nie wiadomości mają istotne znaczenie, gdyż one służą tylko tak jak przedmioty i narzędzia przydatne w danym zawodzie — w budowaniu mostów, wydobywaniu złota albo nauczaniu — jeśli tego zajdzie potrzeba — jak daleko leży jedna stolica od drugiej. Ale zasób formuł nie stanowi człowieka. Zdobyć świadomość, to również nie tyle, co wzbogacić słownictwo. Zwiększenie jego zasobu ma na celu wyłącznie nadać słowu większą precyzję dzięki zestawieniu na przykład różnych form zazdrości. Ale dopiero jakość stylu będzie gwarancją jakości działania. W przeciwnym razie streszczenia przemyśleń nie na wiele się zdadzą. Wolę słuchać o „październikowym słońcu”, bo przemawiając do oczu i do serca działa to silniej na mnie niż jakieś nowe słowo. Kamienie są wprawdzie kamieniami, potem — kiedy już tworzą pewien układ — kolumnami, a układ kolumn stanie się katedrą. Ale człowiek otrzymuje coraz szersze układy za sprawą geniuszu architekta, który je dobierał dla coraz ambitniejszych zamysłów wyrażających jego styl, czyli dla wyrażenia linii napięć, które chciał narzucić kamieniom. Również zdanie jest pewnym zamierzonym działaniem. I ono jest w zdaniu najważniejsze.

— Spójrz na dzikusa — mówił ojciec. — Rozszerzysz jego słownictwo, a on się stanie nieznośnym gadułą. Możesz mu wbić do głowy wszystkie możliwe wiadomości, a stanie się nie tylko gadułą, ale kimś pretensjonalnym i goniącym za świecidełkami. I nie powstrzymasz go na tej drodze. Będzie się upajał pustym wielosłowiem. A ty, jak ślepy, będziesz się zapytywał: jak to się stało, że moja cywilizacja zamiast go podnieść, doprowadziła dzikusa do degeneracji wyzwalając w nim nie mądrość mędrca, jak oczekiwałem, ale rozkład. Widzę teraz, jaki był wielki, szlachetny i czysty w swojej niewiedzy!

Należało mu bowiem ofiarować tylko jedno, o czym ty coraz bardziej zapominasz i lekceważysz. A mianowicie używanie pewnego stylu. Wtedy zamiast przetrzącać treść swojej wiedzy jak kolorowe piłeczki, bawić się wydawanym przez nie dźwiękiem i upajać własną zręcznością, będzie umiał nagle zwrócić się ku tym funkcjom umysłu, które decydują o wzrastaniu człowieka. Stanie się wtedy milczący i skupiony jak dziecko, które otrzymawszy zabawkę, potrząsa nią zrazu i hałasuje. Ale potem ktoś je nauczy, jakie wzory i konstrukcje można z niej ułożyć. Staje się wtedy zamyślone i milknie. Siada w swoim kącie, marszczy czoło i zaczyna rodzić się do człowieczeństwa.

Naucz więc najpierw prostaczka gramatyki i użycia czasowników oraz dopełnienia. Naucz go działać, zanim mu zlecisz kierunek działania. A wtedy zobaczysz, jak ci, którzy nadto hałasują, jak to się mówi, żonglują ideami, aż się stają męczący — odkryją nagle milczenie.

Tylko ono jest znakiem wielkich wartości.

## CL

Tak jest i z prawdą, kiedy ma służyć człowiekowi.

Dziwisz się. Ale nie dziwisz się, o ile wiem, kiedy woda, którą pijesz, i chleb, który jesz, stają się światłem oczu. Ani kiedy słońce staje się koroną drzewa, owocem i nasieniem. Rzeczywiście: nie odnajdziesz w owocu nic, co by przypominało słońce, w cedrze nic, co by przypominało orzeszek cedrowy.

Bo być z czegoś zrodzonym nie znaczy być do tego podobnym.

A raczej nazywam „podobieństwem” coś, co nie jest odbierane wzrokiem ani rozumem, a wyłącznie duchem. I o tym właśnie myślę, mówiąc, że stworzenie podobne jest do Boga, owoc — do słońca, wiersz — do tego, co jest przedmiotem wiersza, a człowiek, którego w tobie powołałem, do ceremoniału królestwa.

A to jest bardzo ważne, gdyż nie dostrzegając wzrokiem pokrewieństwa, które ma sens tylko w sferze duchowej, odrzucasz to, co warunkuje twoją wielkość. Jesteś jak drzewo, które nie widząc śladów słońca w owocu, odrzuciłoby działanie słońca. Czy też może raczej jak profesor, który nie mogąc znaleźć w dziele sztuki niewypowiedzianego impulsu, z którego dzieło powstało, poddaje je analizie, odkrywa plan — i jeśli potrafi — wewnętrzne prawa, po czym sam tworzy dzieło, stosując owe prawa, aż słuchacz, nie mogąc już dłużej wytrzymać, zaczyna zmykać.

Gdyż w tym zakresie pasterka, stolarz albo żebrak są bardziej uzdolnieni od wszystkich logików, historyków i krytyków mojego królestwa. Tym ludziom nie podoba się, kiedy droga, którą postępują, traci wyraźny zarys. Ale dlaczego? — zapytasz. Dlatego, że lubią wyraźne zarysy. W tym upodobaniu jest tajemnica, którą się karmią. Skoro mają takie upodobania, widocznie coś im to daje. Jeżeli nie wiesz, jak to nazwać — trudno. Wyłącznie logicy, historycy i krytycy akceptują w świecie tylko to, co daje się ująć w zdania. Wydaje mi się, że mały człowieczek zaczynający się dopiero uczyć języka wprawia się po omacku i chwyta tylko cienką błonkę świata. Bo cały świat jest ogromnym ciężarem.

Ci ludzie natomiast potrafią wierzyć tylko w ów mały świątek, który ogarniają ich myśli, tanie jak jarmarczne świecidełka.

\* \* \*

Jeżeli odrzucisz moją świątynię, mój ceremoniał i skromną wiejską drogę dlatego, że nie potrafisz wypowiedzieć treści ani sensu ich przesłania, lepiej nie wychylaj się ze swojego błota. Bo choć brakuje ci słów, których dźwiękiem mógłbyś mnie zadziwić, lub obrazów, które by ci posłużyły jako namacalne dowody, godzisz się jednak na odwiedziny, których nie umiesz nazwać. Słuchałeś przecież nieraz muzyki. A dlaczego jej słuchasz?

Przyznajesz na ogół, że uroczyste widowisko zachodu słońca nad morzem jest piękne. A może mi powiesz, dlaczego?

A ja ci powiadam, że jeżeli przejechałeś na grzbiecie osła tą wiejską drogą, o której mówiłem, coś się w tobie zmieniło. I naprawdę nieważne, że znów nie będziesz mi umiał powiedzieć, dlaczego.

I dlatego nie wszystkie rytuały i ofiary są równie dobre, nie wszystkie ceremoniały i nie wszystkie drogi. Są także i złe, tak jak jest muzyka wulgarna. Ale nie potrafię wprowadzić tu podziałów rozumowo. Poznam to po znaku, którym jesteś ty sam.

Jeżeli chcę ocenić drogę, ceremoniał albo wiersz, patrzę na człowieka, kim się stał zetknąwszy z nimi. Albo słucham, jak bije jego serce.

## CLI

To tak, jakby kowale wykuwający gwoździe i robotnicy piłujący deski, twierdząc, że statek jest zbiorem desek pozbijanych przy pomocy gwoździ, domagali się dla siebie decyzji w budowie statku i żeglowania po morzu.

Błąd jest zawsze ten sam, a polega na błędnym przechodzeniu od przyczyn do skutków. Statek nie rodzi się bowiem z wykuwania gwoździ i tarcia desek. Przeciwnie: właśnie te ludzkie prace rodzą się z umiłowania morza i postępującej budowy statku. Statek staje się za ich pośrednictwem, czerpiąc z nich niejako soki, tak jak cedr czerpie soki z kamienistego gruntu.

Ci, którzy trą deski i kują gwoździe, powinni zwracać oczy ku deskom i gwoździom. Powinni znać się na deskach i gwoździach. Miłość do statku powinna stać się w ich języku miłością do desek i gwoździ. A pytań na temat statku nie będę im zadawał.

Podobnie urzędnicy, którym zleciłem pobieranie podatków. Nie będę zadawał im pytań na temat kultury. Niech posłusznie i rozsądnie spełniają swoje zadanie.

Jeżeli obmyślę model szybkiego statku żaglowego i zmienię wymiary desek oraz długość gwoździ, technicy zaczną się burzyć i buntować. Uważają, że naruszam istotę statku, która zasadzała się przede wszystkim na deskach i gwoździach.

A ona się zasadzała na moim pragnieniu.

Zaś poborcy, jeżeli zmienię strukturę finansów, a więc i zbierania podatków, też burzą się i buntują, gdyż — ich zdaniem — podważam istnienie królestwa, które opierało się na ich rutynie.

Lepiej — by wszyscy oni milczeli.

A ja ich w zamian za to będę szanował. Kiedy już ich bóg zstąpi ku nim, nie będę im doradzał niczego na temat kucia gwoździ i cięcia desek. Nie chcę o tym w ogóle nic wiedzieć. Główny budowniczy katedry na każdym kolejnym poziomie przekazuje rzeźbiarzowi swój entuzjazm, swoje natchnienie. Ale nie miesza się do jego pracy, nie radzi nadać twarzy takiego a nie innego uśmiechu. Byłaby to wtedy utopia i budowanie świata na opak. Zajmować się wyrobem gwoździ to wymyślać świat przyszłości — co jest absurdalne. Albo też poddawać dyscyplinie to, czego dyscyplina nie dotyczy. Tak się przejawia ład narzucany przez profesorów, nie pokrywający się wcale z ładem życia. We właściwym momencie

przyjdzie czas i na deski, i na gwoździe. Ale zajmując się tym wcześniej trują się nad stworzeniem świata, który się wcale nie narodzi. Albowiem kształt gwoździ i wymiary desek wyznaczy ścieranie się z rzeczywistością życia, a ta objawi się dopiero kowalowi i cieślom.

A im silniejszy będzie mój przymus, który jest wpajaniem ludziom umiłowania morza, tym mniej się będzie przejawiała tyrania. Bo i w drzewie nie ma żadnej tyranii. Tyrania — to jeśli przy pomocy soków żywotnych chcesz zbudować drzewo. Nie zaś wtedy, gdy drzewo czerpie soki z ziemi.

Mówiłem już wielokrotnie: budować przyszłość to najpierw i wyłącznie myśleć o teraźniejszości. Tak samo — budować statek to wyłącznie wpajać umiłowanie morza.

\* \* \*

Bo nie ma i być nie może — języka logiki, który by zapewnił tworzywo temu, co dla ciebie najważniejsze, i który by tym tworzywem rządził; ani by wyjaśnił królestwo drzewami i górami, miastami i rzekami, ani marmurową rzeźbę — liniami i formami nosa, brody i uszu; ani skupienie odczuwane w katedrze — kamieniami, ani ojcowiznę — jej częściami składowymi, ani, najprościej, drzewo — sokami mineralnymi. (A tyrania bierze się stąd, że usiłując zrealizować niemożliwość, irytujesz się niepowodzeniem, obrzucasz wyrzutami innych i stajesz się okrutny.)

Nie może tu być mowy o języku logiki, ponieważ nie ma także logicznych związków. Nie sprawisz, aby drzewo wyrosło z soli mineralnych zamiast z nasienia.

Jedyne, co ma tu sens, ale sens niewyraźalny w słowach, ponieważ chodzi o czysty akt twórczy albo przekazywanie wzruszeń, to przechodzić od Boga do przedmiotów, które od Niego otrzymały sens, barwę i energię. Albowiem królestwo tajemniczą mocą napełnia drzewa, góry i rzeki, stada, parowy i domostwa. Zapał rzeźbiarza nadaje tajemną moc glinie i marmurowi, katedra nadaje sens kamieniom i przemienia je w źródło ciszy, a drzewo czerpie sole mineralne z ziemi, aby je unieść w światło.

Znam dwie kategorie ludzi, którzy mówią, że trzeba stworzyć nowe królestwo. Jedni to logicy, budujący rozumem. Ich działalność nazywam utopią. Nie narodzi się z niej nic, bo nic w niej nie było. Taić jak rzeźba ulepiona przez profesora akademii. Twórca może być inteligentny, ale dzieło twórcze nie z inteligencji powstaje. Taki człowiek nieodwołalnie zamieni się w oschłego tyrana.

Druga kategoria to ludzie ożywieni jakąś prawdą oczywistą, której nie umieją nadać imienia. Może to więc być pasterz albo cieśla nie obdarzony inteligencją, ponieważ dzieło nie z inteligencji powstaje. Taki człowiek miesi glinę i nie bardzo

wie, co z niej ulepi. Nie jest zadowolony, więc uciskają kciukiem z lewej strony. Potem zgniata w dół. A twarz wyłaniająca się z gliny coraz bardziej zadowala w nim to pragnienie, które nie ma imienia, ale które go przepelnia. I coraz bardziej przypomina coś, co wcale nie jest twarzą. I nawet nie wiem, co oznacza w tym przypadku słowo „przypominać”. Oto ulepiona z gliny twarz, otrzymawszy jakieś niewyraźne podobieństwo, zostaje wyposażona w moc przekazania tobie tego, co było natchnieniem rzeźbiarza. Dostałeś się w moc jakiejś więzi, której on był poddany.

Albowiem ten człowiek nie rozumem tworzył, ale duchem. I dlatego twierdzą, że nie rozum światem rządzi, ale duch.

## CLII

Powiedziałem już wcześniej: nie chodzi o to, aby mieć ślepo posłusznych niewolników, gdyż ludzie mają przeróżne poglądy. Nie, żeby byli w swoich poglądach zmienni, ale ich wewnętrzna prawda nie znajduje w słowach zadowalającego wyrazu. Więc trzeba trochę tego i trochę tamtego. . .

Możesz zanadto uprościć sprawę wolności i przymusu. I wahasz się pomiędzy jednym a drugim, ponieważ prawda nie jest ani w obu, ani pomiędzy nimi, ale na zewnątrz. Ale czy możliwe, żebyś jednym słowem ujął swoją wewnętrzną prawdę? W imię czego miałbyś to, co ma ci zapewnić wzrost, zamykać w ciasnym pudełku?

Ale żebyś był wolny jak śpiewak improwizujący przy wtórze instrumentu, musisz mieć w pierw wyćwiczone palce i znać sztukę śpiewu. A to oznacza walkę, przymus i wytrwałość.

A żebyś był wolny jak góral, musisz mieć wyrobione mięśnie, a to oznacza walkę, przymus i wytrwałość.

A żebyś był wolny jak poeta, musisz mieć wyćwiczony mózg i wyrobiony styl, a to oznacza walkę, przymus i wytrwałość.

Czy pamiętasz o tym, że warunkiem szczęścia nigdy nie jest szukanie szczęścia? Szukając go siądziesz i nie będziesz wiedział, dokąd biec. Dopiero kiedy coś stworzyłeś, szczęście ci jest przydane jako nagroda. A warunki szczęścia to walka, przymus i wytrwałość.

Czy pamiętasz, że warunkiem piękna nigdy nie jest poszukiwanie piękna? Siądziesz i nie będziesz wiedział, dokąd biec. Kiedy dzieło jest gotowe, piękno jest mu przydane jako nagroda. A warunki piękna to bojowanie, przymus i wytrwałość.

Podobnie jest z warunkami wolności. To nie są dary wolności. Bo siądziesz i nie będziesz wiedział, dokąd biec. Kiedy wydobyto z ciebie człowieka, wolność jest dla niego nagrodą, a on rozporządza całą potęgą i ćwiczy się w niej. A warunki wolności to walka, przymus i wytrwałość.



\* \* \*

Choćbym cię miał zgorszyć, powiem ci jeszcze, że warunkiem braterstwa nie jest bynajmniej równość, gdyż braterstwo jest nagrodą, a równość ma być równością w Bogu. Drzewo też jest pewną hierarchią, ale żadna część nie panuje w nim nad pozostałymi. I świątynia jest hierarchią. Opiera się na fundamencie, a wieńczy ją zwornik sklepienia. A czy można by powiedzieć, które z tych dwojga jest ważniejsze? Czym jest generał bez armii? Czym armia bez generała? Równość jest równością w określonym królestwie, a braterstwo jest przydane ludziom jako nagroda. Braterstwo nie jest bowiem prawem do tykania drugiego ani do obrzucania wyzwiskami. Braterstwo jest, jak mi się wydaje, nagrodą za uznanie hierarchii i za świątynię, którą budujecie, jedni za sprawą drugich. Widziałem to w rodzinach, gdzie ojca otaczał szacunek, a starszy syn opiekował się najmłodszym. A najmłodszy ufał starszemu. Ile ciepła było tam we wspólnie spędzanych wieczorach, w dniach świątecznych i powrotach do domu. Ale jeśli ludzie są tylko bezładnym tworzywem, jeśli nikt od nikogo nie jest zależny, tylko cisną się obok siebie, wymieszani jak kulki, na czym będzie polegało ich braterstwo? Gdy jeden umrze, inny zastąpi go bez trudu, gdyż nie był naprawdę potrzebny. Żeby cię kochać, muszę wiedzieć, gdzie jesteś i kim jesteś.

Jeżeli uratowałem cię wyciągając z morza, będę cię tym więcej kochał, bo jestem odpowiedzialny za twoje życie. Albo jeśli czuwałem przy tobie i pielęgnowałem w chorobie, albo jeżeli jesteś moim starym sługą, który trwał przy mnie jak wierna lampa, albo stróżem moich stad. Wybiorę się do niego spróbować koziego mleka. Ja od niego otrzymam coś, on będzie dającym. I on otrzyma, gdy ja będę dawał. Natomiast człowiekowi, który zawistnie oświadcza, że jest mi równy, i nie chce ani być ode mnie zależny, ani żebym ja był zależny od niego, nie mam nic do powiedzenia. Kocham tylko tego, czyja śmierć będzie dla mnie rozdzierającym bólem.

## CLIII

Tej nocy chciałem jeszcze raz wspiąć się na górę i w ciszy mojej miłości patrzeć na miasto, które stąd, z wysokości wydawało mi się uładzone ciszą i nieruchome; ale przystanąłem w pół drogi, powstrzymany litością, gdyż z okolicznych wiosek wznosiły się skargi i chciałem je zrozumieć.

Były to skargi stojącego w oborach bydła. A także zwierząt polnych, mieszkańców nieba i stworzeń wodnych. Gdyż w pochodzie przez życie tylko one dają świadectwo: świat roślinny jest pozbawiony mowy, a człowiek posiadając ją, ale żyjąc już na poły życiem duchowym, zaczyna rozumieć znaczenie ciszy. Tak człowiek chory na raka zagryza wargi i milczeniem kryje ból, a ponad zamętem ciała przemienia się w duchowe drzewo, wrastające konarami i korzeniami w królestwo, które nie rzeczy obejmuje, ale ich sens. Dlatego większą trwogą napełnia cierpienie milczące niż cierpienie, które wydaje krzyk. To, które milczy, wypełnia sobą całą izbę. Całe miasto. Nie ma gdzie przed nim uciec. Jeżeli ukochana cierpi z dala od ciebie, gdziekolwiek się znajdujesz, wszędzie ogarnia cię przemożnie jej ból.

Słyszałem zatem skargi istot żyjących. Gdyż w oborach, na polach i nad brzegami wód dalej toczyło się życie. Ryczały cielące się jałówki. Z bagien wzbijały się pijane miłością głosy żab. Słyszałem także odgłosy rzezi, gdyż chrypiał cietrzew schwytyany przez lisa i beczała koza przeznaczona na ludzki posiłek. A czasem jakiś drapieżnik jednym rykiem narzucał całej okolicy milczenie, zamieniając ją w królestwo ciszy, gdzie wszystko, co żywe, drętwiało ze strachu i oblewało się potem. Drapieżnik kieruje się bowiem w poszukiwaniu zdobyczy owym kwaśnym odorem lęku niesionym przez wiatr. I ledwo ryknie, natychmiast wszystkie ofiary stają się dla niego widoczne jak konstelacja światła. Potem ze zwierząt mieszkających na ziemi, w powietrzu i nad wodami opadało odrętwienie i znów było słyhać skargi towarzyszące narodzinom, miłości i rzezi.

No tak, pomyślałem, te dźwięki są głosem wielkiego przesłania, bo życie przekazuje się z pokolenia na pokolenie, a w czasie owej wędrówki poprzez wieki, czasem zdają się skrzypiec osie ciężkiego wozu. . .

W tym momencie dane mi było nareszcie zrozumieć coś z dojmującego niepokojem ludzi, którzy przekazują też trochę siebie z pokolenia na pokolenie. Dniem

i nocą, w miastach i wsiach trwa jakby niepojęte rozdieranie ciała, jakby sama jego tkanka rwała się i zablizniała; i poczułem w sobie, tak jakbym odczuł ranę, powolny, nieustanny proces przemiany.

Ale przecież ludzie, powiadałem sobie, żyją nie przedmiotami, ale ich sensem i muszą sobie przekazywać jakieś hasło.

I dlatego, ledwo narodzi się dziecko, już troszczą się, aby się nauczyło używać mowy, co jest jakby wtajemniczeniem w tajemny system — klucz do skarbcza. Torują więc drogi przesłaniu, które mu dostarczy mnóstwa cudownych bogactw. Ciężkie a kruche, i trudne do wyrażenia jest bowiem zebrane ziarno, które jedno pokolenie podaje drugiemu.

Jaka wesoła ta wioska. Jaka wzruszająca chata. Ale co pocnie na pustyni nowe pokolenie, jeżeli obejmie te domy, nieświadome niczego więcej, tylko tego, jak je użytkować? Jeżeli chcesz, żeby twoi spadkobiercy znajdowali rozkosz w grze na jakimś instrumencie, musisz ich nauczyć sztuki muzykowania. A jeśli chcesz, żeby byli ludźmi i żywili ludzkie uczucia, musisz ich nauczyć, aby pod różnorodnością przedmiotów odczytywali oblicze domu, ojcowizny i królestwa.

W przeciwnym razie nowe pokolenie będzie obozować jak plemię barbarzyńców w zajętej mieście. A jaką barbarzyńską radość dadzą im odziedziczone skarby? Nie będą nawet umieli zrobić z nich użytku, nie posiadając klucza — twojej mowy.

Dla tych, co odeszli w śmierć, wioska, gdzie wszystko miało swoje znaczenie: mury i drzewa, studnie i domy, była jak harfa. Każde drzewo miało swoją odrębną historię. Każdy dom -odrębne obyczaje. I każdy mur był inny, bo inne krył tajemnice.

Więc przechadzka była jak kompozycja muzyczna, bo każdy krok przynosił taki dźwięk, jakiego człowiek szukał. Ale obozujący barbarzyńca nie potrafi sprawić, aby wioska śpiewała. Nudzi się, a napotykając zakazy wchodzenia, burzy mury i rozrzuca napotkane przedmioty. Mszcząc się na instrumencie, na którym nie potrafi grać, podkłada ogień, aby pożar dał mu przynajmniej trochę blasku. Potem, zniechęcony, zaczyna ziewać. Bo żeby blask był czymś pięknym, trzeba przynajmniej znać to, co się pali. Tak jak pali się świecę na ofiarę bogu. Ale nawet płomień ogarniający ludzkie domy nie przemówi do barbarzyńcy, ponieważ nie będzie płomieniem ofiarnym.

Dreczył mnie obraz pokolenia, które zamieszkało jak intruz w cudzej skorupie. I wydawało mi się, że podstawową rzeczą w moim królestwie są rytuały nakazujące człowiekowi, aby przekazywał innym swoje dziedzictwo albo je przyjmował. Potrzebni mi są mieszkańcy, a nie koczownicy, przychodnie znikąd.

\* \* \*

I dlatego narzucę wam konieczne a długie ceremonie, poprzez które naprawię to, co było rozdarciem mojego ludu, tak aby nic z jego dziedzictwa nie zostało uronione. Drzewo, prawda, nie interesuje się nasionami. Dobrze, kiedy wiatr je porywa i unosi. I owad nie interesuje się złożonymi jajeczkami. Zajmie się nimi słońce. Gdyż wszystko, co te istoty posiadają, zawiera się w ciele i wraz z ciałem będzie przekazane.

Ale kim będzie człowiek, którego nikt nie poprowadził i nie pokazał zasobów owego miodu, który jest sensem rzeczy? Litery w książce są dla każdego widoczne. Ale człowieka trzeba czasem poddać męce, żeby mu dać w darze klucz do poematu.

Podobnie chcę, aby pogrzeb był uroczysty. Bo nie chodzi o to, aby ciało umieścić w ziemi. Ale, aby nie gubiąc nic, jak z urny strzaskanej zebrać wszystko, czego zmarły był depozytariuszem. Trudno jest ocalić wszystko. Dziedzictwo zmarłych zbiera się powoli. Trzeba ich długo opłakiwać, rozważać ich życie i obchodzić rocznicę. Wiele razy trzeba się obracać w tył, patrząc, czy coś nie zostało zapomniane.

Tak samo małżeństwo, które przygotowuje narodziny. Dom, który was chroni, staje się bogactwem piwnic, stodół i spichlerzy. Kto zdoła opisać, co się w nim mieści? Wasza sztuka kochania, umiejętność śmiechu, smakowania poezji, sztuka kucia w srebrze, umiejętność płaczu i zadumy: wszystko to trzeba zebrać, aby z kolei przekazać innym. Chcę, żeby wasza miłość była jak ładowny statek, który przepłynie otchłan pomiędzy jednym a drugim pokoleniem, a nie wspólnym pożyciem dla przyszłego dzielenia bezdusznych dóbr.

I tak samo rytuał narodzin, bo i tu trzeba zreperować rozdarcie.

Dlatego wymagam ceremoniału na każdą okazję: na dzień zaślubin i narodzin, śmierci i rozstania, powrotu i rozpoczęcia budowy, żniwa i zbioru, początku winobrania, początku wojny albo pokoju.

I dlatego wymagam, abyś wychowywał dzieci tak, by stały się do ciebie podobne. Nie adiutant przekazuje im dziedzictwo, którego nie znajdą w podręczniku. Choć inni zamiast ciebie mogą im przekazać zasób twoich wiadomości i podstawowych wyobrażeń, to jeśli zostaną odcięte od ciebie, utracą to, co niewyraźne i czego nie ma w podręcznikach.

Więc buduj dzieci na twój obraz, ażeby nie musiały potem snuć się bezradnie po kraju, który będzie dla nich pustym obozowiskiem, a nie znając klucza do skarbcza, zaprzepaszczą jego skarby.

## CLIV

Urzednicy mojego królestwa przerażali mnie nieraz swoim optymizmem.

— Dobrze jest, jak jest — powiadali. — Doskonałość jest nieosiągalna.

To prawda, że doskonałość jest nieosiągalna. Ma takie samo znaczenie jak gwiazda, która prowadzi idącego. Wyznacza drogę i kierunek. Ale liczy się tylko zdążanie i nie ma gotowych zapasów, którymi otoczywszy się można by spokojnie zasiąść. Wtedy bowiem przestaje istnieć pole napięcia, które nadaje ci życie, i stajesz się jak trup.

A jeżeli ktoś przestaje dbać o gwiazdę, to znaczy, że chce się i zasnąć. A gdzie chciałbyś się i zasnąć? Nie znam miejsca odpowiedniego na spoczynek. Jeśli jakieś miejsce budzi w tobie uniesienie, to dlatego, że jest miejscem twojego zwycięstwa. Ale pole bitwy, gdzie oddychasz świeżym zwycięstwem, to nie wygodne łóżko, na którym chcesz spoczywać.

Z jakim dziełem zestawiasz własne, żeby wiedzieć, czy masz się nim zadowolić?

## CLV

Dziwisz się sile moich rytuałów albo wiejskiej drogi, o której mówiłem. Ale dziwiąc się, chyba jesteś ślepy.

Popatrz na rzeźbiarza: nosi w sobie coś niewyraźnego. Bo to, co jest właściwością człowieka, a nie szkieletu człowieka przeszłości, zawsze jest niewyraźne. I rzeźbiarz lepi w glinie, żeby to przekazać innym.

Idąc minąłeś może jego dzieło, spojrzaleś na twarz, może zuchwałą, a może melancholijną, i poszedłeś dalej. Ale nie byłeś już ten sam. Było to nawrócenie, choćby nieznaczne nawrócenie, to znaczy jakiś zwrot i obranie nowego kierunku na krótki czas prawdopodobnie, a jednak zwrot.

Tamten człowiek odczuwał coś, co nie dawało się wypowiedzieć, i dotknięciem palców nadał kształt glinie. Potem umieścił tę bryłę na twojej drodze. I jeżeli poszedłeś tą drogą, w tobie teraz zagościło jego niewypowiedziane uczucie.

Nawet jeżeli pomiędzy gestem jego dłoni i twoim przyjściem upłynęło sto tysięcy lat.

## CLVI

Zerwał się wiatr od pustyni i przyniósł ku nam szczątki dalekiej oazy, a w obozowisku pojawiło się mnóstwo ptaków. Pełno ich było pod każdym namiotem: towarzyszyły nam, wcale niełękliwe, chętnie siadały na ramionach; ale z braku pożywienia ginęło ich tysiące, i wyschłe ptasie szkielety trzeszczały pod stopami jak kora ściętych drzew. W powietrzu unosił się zaduch; kazałem więc je zbierać. Napełniono wielkie kosze i wrzucono w morze szczątki suche jak pył.

\* \* \*

Kiedy po raz pierwszy odczuliśmy, czym jest pragnienie wody, w porze największej spiekoty, pojawił się naszym oczom miraż. W spokojnych wodach przeglądało się jakieś miasto o geometrycznym, czystym zarysie. Ktoś oszalał i z krzykiem rzucił się biegiem w kierunku ujrzanego obrazu. Zrozumiałem, że ten krzyk wstrząsnął resztą, tak jak krzyk odlatującej dzikiej kaczki porywa do lotu wszystkie pozostałe. W ślad za nawiedzonym gotowi byli teraz wszyscy biec ku mirażowi, ku nicości. Celna kula z karabinu położyła go na miejscu. Trup był tylko jeden i jakoś nas to uspokoiło. Któryś z moich żołnierzy zapłakał.

— Co ci? — spytałem. Myślałem, że płacze nad zabitym.

Ale on zobaczył na ziemi jeden z tych wyschłych szkieletów i płakał nad niebem, w którym zabrakło ptaków.

— Kiedy niebo traci swój puch — powiedział — niebezpieczeństwo zagraża i ludzkim ciałom.

\* \* \*

Wyciągnęliśmy z wnętrza studni spuszczonego w nią człowieka: zemdłał, ale zdążył nam pokazać gestem, że studnia jest sucha. Istnieją bowiem pod ziemią jakby sadzawki słodkiej wody, która w ciągu lat spływa powoli ku studniom w północnej części kraju. Stają się one wtedy, jak krew, źródłami życia. Ale ta studnia trzymała nas jak gwóźdź, którym przybito ptasie skrzydło.

Wszyscy myśleliśmy o wielkich koszach pełnych suchej kory martwych drzew.

Ale nazajutrz wieczorem dotarliśmy do studni w El Bahr.

Z nastaniem nocy wezwałem przewodników.

— Oszukaliście nas mówiąc, że w studniach jest woda. Studnia w El Bahr jest pusta. Co mam z wami zrobić?

W głębi nocy gorzkiej, a zarazem olśniewającej błyszcząły cudowne gwiazdy. Jako pokarm mieliśmy diamenty.

— Co mam z wami zrobić? — spytałem powtórnie przewodników.

Ale czcza jest ludzka sprawiedliwość. Czyż i tak nie zamieniliśmy się już wszyscy w ciernie?

\* \* \*

Słońce wstało przecięte piaszczystym tumanem w kształcie trójkąta. Jakby ostrze ugodziło nasze ciała. Jakby cios uderzył ludzkie czaszki. Wielu oszalało. Ale nie było już miraży wabiących obrazem przejrzystego miasta. Nie było widać ani miraży, ani linii horyzontu, ani żadnych wyraźnych zarysów. Otaczał nas tuman piaskowy, niespokojne światło jak w piecu z rozpalonych cegieł.

Podniósłszy głowę zobaczyłem wśród powietrznych wirów bladą żagiew podsycającą pożar. Rozpalone żelazo, pomyślałem, którym Bóg nas znaczy jak sztuki bydła ze swojej trzody.

— Co ci jest? — spytałem człowieka, który chwiał się na nogach.

— Oślepiłem.

Kazałem zarznąć dwie trzecie wielbłądów i wypiliśmy wodę z ich wnętrzności. Na pozostałe załadowaliśmy wszystkie puste bukłaki i uformowawszy tę karawanę kazałem ludziom iść ku studni w El Ksour, gdzie obecność wody była wątpliwa.

— Jeżeli El Ksour wyschła — powiedziałem — umrzecie tam, tak samo jak umarlibyście tu.

Po dwóch dniach beczynnego czekania, w ciągu których zginęła jedna trzecia moich ludzi, powrócili.

— Studnie w El Ksour — zaklinali się — to okno na życie. Wypiliśmy przywiezioną wodę i ruszyliśmy do El Ksour, żeby pić jeszcze i nabrać zapasów wody.

\* \* \*

Wiatr, który niósł piasek, ucichł i nocą dotarliśmy do El Ksour. Dokoła studni rośnię kilka kolczastych drzew. W pierwszej chwili dojrzeliliśmy nie bezlistne szkielety, a jakby czarne kule osadzone na cienkich kijach. Nie mogliśmy pojąć,



co to; ale drzewa, kiedyśmy zbliżyli się do nich, wybuchały kolejno jakby eksplozją wściekłości. Ogromne, wędrowne stada kruków obrały je na swoje siedziska, a teraz ulatywały w okamgnieniu, jak mięso, które odpada od kości. Powietrze było od nich tak gęste, że mimo jaskrawej pełni księżyca staliśmy w głębokim mroku. Gdyż kruki nie chciały odlatywać, tylko kłębiły się nad naszymi czołami niby czarny popiół.

Zabiliśmy ich trzy tysiące, ponieważ brakowało nam pożywienia.

\* \* \*

Było to istne święto. Ludzie usypali z piasku kuchnie i zapalili ogień z suchego wielbłądziego łajna, które paliło się jasnym płomieniem jak siano. W powietrzu rozniosła się woń ptasiego tłuszczu. Drużyna pełniąca straż przy studni sznurem długości stu dwudziestu metrów bez chwili wytchnienia ciągnęła wodę, która zwracała nam wszystkim życie. Inna drużyna roznosiła wodę po całym obozie, tak jak podlewa się pomarańcze w czas suszy.

Chodziłem powoli wśród ludzi, patrząc, jak wracają do życia. Potem odszedłem i otoczony samotnością zaniósłem do Boga modlitwę:

„Widziałem, Panie, jak w ciągu jednego dnia ciało mojego wojska schnie, a potem odżywa. Było już podobne do kory ściętego drzewa, a teraz oto znowu jest chętne i gotowe do działania. Mięśnie nóg odzyskały sprawność i zaprowadzą nas tam, gdzie zechcemy. A przecież wystarczyłoby jeszcze tylko jedna godzina skwaru, a ślad po nas i po naszych krokach zostałby starty z powierzchni ziemi.

Słyszałem, jak ci ludzie śmieją się i śpiewają. Wojsko, które prowadzę, jest jak ładunek wspomnień. Jest kluczem wielu dalekich istnień. Zawiera w sobie nadzieje i cierpienia, rozpacz i radość ludzką. Nie jest bytem samoistnym, ma tysiącne powiązania. A przecież wystarczyłoby jeszcze tylko jedna godzina skwaru, a ślad po nas i po naszych krokach zostałby starty z powierzchni ziemi.

Prowadzę ich ku oazie, którą trzeba podbić. Będą nasieniem dla tej barbarzyńskiej ziemi. Przynoszą swoje obyczaje ludom, które tych obyczajów nie znają. Ci sami ludzie, którzy dzisiejszego wieczoru jedzą, piją i żyją w najbardziej prymitywny sposób, znalazłszy się na urodzajnych równinach zmieniają na nich nie tylko obyczaje i język, ale także sposób budowania obwarowań i styl świątyń. Jest w nich ciężar mocy, która będzie ciążyć przez długie stulecia. A przecież wystarczyłoby jeszcze tylko jedna godzina skwaru, a ślad po nas i po naszych krokach zostałby starty z powierzchni ziemi.

Oni nie wiedzą o tym. Chcieli pić, a teraz brzuchy ich zostały zaspokojone. A jednak woda ze studni w El Ksour ocala poematy, miasta i wielkie wiszące ogrody — bo postanowiłem, że zostaną zbudowane. Woda ze studni w El Ksour zmienia świat. A przecież jedna godzina słonecznego skwaru potrafiłaby ją wypić i ślady naszych kroków zetrzeć z powierzchni ziemi.

Ci, którzy pierwsi stamtąd wrócili, powiedzieli: "Studnia w El Ksour jest oknem na życie". Twój aniołowie byli już gotowi zebrać w wielkie kosze resztki mojego wojska jak korę ściętych drzew i wysypać je w otchłań Twojej wieczności. Wymknęliśmy się z tych koszy dziurą nie większą od łepka szpilki. Nie potrafię sobie teraz znaleźć tutaj miejsca. Ile razy od tej chwili spojrzę na zwykłe pole jęczmienia w słońcu — harmonię błotnistej ziemi i światła, zdolną dać pokarm człowiekowi, widzę w nim jakby pojazd albo tajemne przejście, choć nie wiem, co on wiezie i dokąd prowadzi. Widziałem, jak ze studni w El Ksour wyrastają miasta, mury obronne i wielkie wiszące ogrody.

Moi żołnierze piją i myślą o swoich brzuchach. Nie ma w nich nic poza zaspokojeniem ciała. Tłoczą się dokoła maleńkiego otworu w ziemi. A na jego dnie jest tylko chlupotanie czarnej wody, kiedy porusza jej powierzchnię pysk spuszczonego naczynia. Ale kiedy woda padnie na suche ziarno, które nie wie o sobie nic poza tym, że woda przynosi mu rozkosz, budzi nieznaną moc stwarzania miast i murów obronnych, i wielkich wiszących ogrodów.

Nie potrafię znaleźć tu swojego miejsca, chyba że Ty staniesz się zwornikiem sklepienia, wspólną miarą i sensem wszystkiego. Pole jęczmienia, studnia w El Ksour i moje wojsko — wszystko to jest jak bezładnie rzucone tworzywo; chyba że Twoja obecność widoczna w głębi pozwoli mi dojrzeć w nim jakieś miasto warowne wznoszone pod gwiazdami”.

## CLVII

Niebawem stanęliśmy naprzeciw miasta. Jedno, co było w nim dostępne naszym oczom, to czerwone mury niezwyklej wysokości, które zwracały się w stronę pustyni jakby lewą stroną, pogardliwe, wyzbyte wszelkich ozdób, występów, blanków, i które w oczywisty sposób nie były przeznaczone do oglądania z zewnątrz.

\* \* \*

Kiedy patrzysz na miasto, ono też patrzy na ciebie. Przeciwko tobie wznosi wieże. Spogląda na ciebie spoza wycinanych blanków. Zamyka albo otwiera przed tobą bramy. Albo chce być kochane, uśmiecha się do ciebie i zwraca ku tobie klejnoty — ozdoby swojego oblicza. Kiedy zdobywaliśmy miasta, zawsze nam się zdawało, że nam się oddają: były bowiem tak zbudowane, aby wchodzący dobrze mógł objąć spojrzeniem. Czy jesteś włóczęgą, czy zdobywcą, monumentalne bramy i królewskie ozdobne wejścia przyjmują cię jak księcia.

Ale kiedy mury, rosnąc w oczach, kiedyśmy się zbliżali, wydawały się w najoczywistszy sposób odwracać do nas tyłem, niewzruszone jak nadmorskie skały i jakby poza miastem nie istniało absolutnie nic — moi ludzie odczuli niepokój.

Pierwszy dzień poświęciliśmy na to, aby je obejść powoli, w poszukiwaniu jakiejś szczyrby czy szczeliny, albo przynajmniej jakiegoś przejścia, choćby zamurowanego. Nic. Obchodziliśmy tak miasto na odległość strzału ze strzelby, ale choć ze strony moich żołnierzy przejętych coraz większym niepokojem, rozległo się kilka wyzywających salw, żaden odzew nie naruszył ciszy. Miasto ukryte za murami było jak aligator okryty grubą skórą, który nie raczy nawet na widok człowieka przerwać swojej drzemki.

\* \* \*

Z jakiejś oddalonej wyniosłości terenu, a więc nie z lotu ptaka, ale spojrzeniem poziomym, dojrzeliliśmy gęstą zieleń jak grzędę rzeżuchy. Tymczasem na

zewnątrz murów nie widać było ani źdźbła trawy. Tylko ciągnące się w nieskończoność piaski i skały kruszące w słońcu — tak gruntownie wszystkie źródła tej oazy zostały wyczerpane wewnątrz miasta. Mury przytrzymały w swoim obrębie roślinność, jak hełm przytrzymuje włosy. Ogłupiali przechadzaliśmy się o parę kroków od rajy zagęszczonej zieleni, wybuchu drzew, ptaków i kwiatów, zduszonego pasem murów niby bazaltowym kraterem.

\* \* \*

Kiedy żołnierze przekonali się, że w murze nie ma najmniejszej szczeliny, niektórych zdjął strach. Zatem to miasto, jak pamięć ludzka sięga, nie wysłało ani nie przyjęło w swoje mury żadnej karawany. Żaden podróżny nie przywiózł tu, razem ze swoimi jukami bakcyła odległych obyczajów. Żaden kupiec nie wprowadził do użycia przedmiotu, gdzie indziej zwykłego. Żadna branka, pojmana w dalekim kraju, nie połączyła swojej krwi z miejscową. Moim ludziom wydawało się, że dotykają skóry jakiegoś przedziwnego potwora, który nie ma nic wspólnego z innymi mieszkańcami ziemi. Bo nawet na najbardziej zagubionych wyspach pojawiali się czasem rozbitkowie i dochodziło do krzyżówki ras, i zawsze można było znaleźć coś, co pozwalało z ich mieszkańcami nawiązać nić pokrewieństwa i zmusić ich do uśmiechu. Ale ten potwór, nawet gdyby się ukazał, nie ukazałby swojej twarzy.

W innych natomiast, przeciwnie, narodziło się jakieś szczególne i niewypowiedziane uczucie. Wzruszająca jest bowiem tylko ta kobieta, w której jest stałość i mocne fundamenty; której ciało nie mówi o mieszaninie krwi, której język, religijność i obyczaje nie zostały dotknięte skazą i która nie jest produktem owego tygla ludzkiego, gdzie wszystko zostaje przemieszane i który jest jak lodowiec roztopiony w kałużę. Zaiste, miła oczom i sercu jest ta, którą zazdrośnie chowano w woni ojczystych ogrodów, w rodzinnym obyczaju.

Ale teraz, gdy pustynia była już za nami, i jedni, i drudzy, i ja sam, staliśmy oko w oko z czymś nieprzeniknionym. Bo człowiek, stawiający opór otwiera przed tobą drogę ku własnemu sercu, a twojej szabli — drogę w głąb własnego ciała i możesz mieć nadzieję, że go pokonasz, pokochasz albo umrzesz w walce. Ale co można przeciw temu, kto cię ignoruje? I właśnie w chwili, kiedy zawładnęła mną ta niepokojąca myśl, odkryliśmy, że dokoła ślepego i głuchego muru widać było na piasku jakby jaśniejszą wstęgę, białawą, bo pełną kości, mówiących jasno o losie wysłańców przybywających tu z daleka. Była to jakby frędzla piany, gdzie u stóp nadbrzeżnych skał umierają fale, kolejne wysłanniczki morza.

Kiedy nadszedł wieczór, stanąłem przy wejściu do namiotu, patrzyłem na nieprzeniknione budowle, stojące niewzruszenie przed nami, i rozmyślałem. Wydało mi się, że nie my mamy zdobyć to miasto, ale że sami zostaliśmy tu oblężeni. Jeśli

włóżysz w żyzną ziemię twarde nasienie w zamkniętej łupinie, nie ziemia otaczająca ziarno ze wszystkich stron rozpoczyna oblężenie. Bo kiedy łupina pęknie, ziarno narzuci ziemi swoje panowanie. Jeżeli, mówiłem sobie, jest za tymi murami jakiś nie znany nam instrument muzyczny, doświadczenie mnie uczy, że gdy złamię opór tajemniczej strefy i żołnierze rozbiegną się po niej, zobaczą kiedyś później, jak na obozowisku próbują z tych dziwnych dla siebie instrumentów wydobyć melodię, wnoszącą nowy ton w ich serca. I serca ich zostaną przemienione.

Zwycięzcy czy zwyciężeni? — zadawałem sobie pytanie. Jak na to odpowiedzieć? Widzisz w tłumie milczącego człowieka. Tłum go otacza, napiera na niego, wywiera presję. Jeżeli jest pusty w środku — zmiażdży go. Ale inaczej, jeśli jego wnętrze jest zamieszkane i zorganizowane, jak u owej tancerki, której kazałem tańczyć; niech wtedy przemówi, a natychmiast wrasta w tłum korzeniami, zastawia swoje własne siła, narzuca swoją władzę, a tłum, ruszając z miejsca, ruszy w ślad za nim i jego siła zostanie pomnożona.

Wystarczy, że na jakiejś ziemi znajdzie schronienie jeden mędrzec osłonięty swoim milczeniem, który pośród głębokich medytacji potrafił się stać, a zrównoważy całą broń, w którą wyposażone jest twoje wojsko; bo jest podobny do twardego ziarna. Ale czy go rozpoznasz, żeby go zgładzić? Widoczna jest tylko jego władza nad ludźmi i tylko w tej mierze, w jakiej jego dzieło już się dokonało. Bo tak już jest z ludzkim żywotem, jeżeli wobec świata cechuje go stan równowagi. Walczyć można tylko z człowiekiem szalonym, proponującym jakieś utopie, ale nie z takim, który myśli i buduje teraźniejszość, ponieważ teraźniejszość jest właśnie zgodna z podawanym przez niego obrazem. I tak jest ze wszelkim stworzeniem, ponieważ stwórca nie jest w nim widoczny. Czy potrafisz się obronić przede mną, jeżeli z góry, na którą cię zaprowadziłem, widzisz takie właśnie, a nie inne rozwiązanie twoich problemów? Gdzieś przecież musisz być.

Tak i ów barbarzyńca, który sforsował mury, wdarł się do pałacu królewskiego i znalazł się nagle w obliczu królowej. A przecież królowa nie dysponowała żadną siłą, gdyż cała jej straż zginęła.

Jeżeli pomylisz się w grze, którą zacząłeś z czystej chęci zabawy, rumienisz się, wstydzisz i chcesz naprawić błąd. A przecież nie stoi nad tobą sędzia, który mógłby wydać wyrok, a tylko protestuje w tobie ten, kogo gra w tobie wyzwoliła. Starasz się także nie zmylić kroku w tańcu, choć nie zrobi ci wymówki ani partner, ani nikt inny. Toteż, aby cię pojmać, nie będę ci pokazywał mojej siły, tylko dam ci upodobanie w tańcu. I pójdziesz tam, gdzie ja zechcę.

Dlatego właśnie królowa na widok króla barbarzyńców, który rozrąbał drzwi i stanął przed nią jak żołdak z siekierą w rękę, dyszący potęgą i pełen przemożnego pragnienia, by ją zadziwić (był bowiem próżny i chępliwy), uśmiechnęła się smutno, jakby z tajonym rozczarowaniem i nieco znużoną pobłażliwością. Bo nie dziwiło jej nic poza doskonałością milczenia. A całej bitewnej wrzawy nie

raczyła nawet słuchać, podobnie jak człowiek nie zwraca uwagi na prace przy czyszczeniu ścieków, choć zgadza się z tym, że są potrzebne.

Wytresować jakieś zwierzę to tyle, co nauczyć je działania w jedynym kierunku, w jakim się może wykazać. Wychodząc z mieszkania, nie myśląc nawet idziesz do drzwi. Kiedy pies chce dostać kość, wykona wszystkie wymagane sztuczki, gdyż zdążył się przekonać, że jest to najkrótsza droga do otrzymania nagrody. Choć pozornie nie mają one żadnego związku z kością. Wypływa to z instynktu, a nie z rozumowania. Tak i tancerz prowadzi tancerkę zgodnie z regułami, których oboje nie znają; a one są jak potajemny język, którym się człowiek porozumiewa z wierzchowcem. I nikt nie zdoła dokładnie określić, jakie gesty sprawiają, że koń słucha człowieka.

I choć pomyłką barbarzyńcy było, że chciał początkowo zdumieć królową, instynkt podszeptał mu szybko, że istnieje jedna tylko droga, bo wszystkie inne sprawią, że królowa stanie się jeszcze bardziej daleka, pobłażliwa i rozczarowana; i wtedy rzucił na szalę — milczenie. W ten sposób ona, która od łomotu siekiery wolała bezsłowne, a pełne czci ukłony, zaczęła go już kształtować na swój sposób.

Toteż wydało mi się, że otaczając miasto — ów magnetyczny biegun — ściągające ku sobie nasze spojrzenia, choć samo uparcie miało oczy zamknięte, pozwalały mu odgrywać niebezpieczną rolę; nasza czołobitność dawała mu władzę, jaką miewają klasztory promieniujące w krąg swoim wpływem.

Zebrałem więc generałów i powiedziałem:

— Wezmę to miasto zdumieniem. Trzeba, aby jego mieszkańcy o coś nas pytali.

Generałowie, których doświadczenie wiele już zdążyło nauczyć, nic co prawda nie zrozumieli z moich słów, ale przytakiwali mi na różne sposoby.

Przypomniałem sobie także odpowiedź mojego ojca, kiedy niektórzy kwestionowali jego stanowisko, twierdząc, że w ważnych sprawach ludzie ustępują tylko przed wielką siłą.

— To prawda — odparł im wtedy. — I nie ma obawy, że popadniecie w sprzeczność, bo mówicie po prostu: siła jest wtedy wielka, kiedy ustępują przed nią silni. Posłuchajcie: był raz kupiec mocny, zuchwały i skąpy. Wiózł bezcennej wartości diamenty, zaszyte w pasek. Natomiast pewien garbus, słaby, ubogi a roztropny, mówiący innym niż kupiec językiem, chciał sobie przywłaszczyć te drogie kamienie. Jaką siłą mógł się w tym celu posłużyć?

— Nie mamy pojęcia — odparli.

— Otóż — ciągnął ojciec — garbus poszedł do olbrzyma i ponieważ było gorąco, zaprosił go na herbatę. Nawet kiedy ma się diamenty zaszyte w pasku, niczym zdaje się nie grozić wypicie herbaty z garbusem.

— Oczywiście — powiedzieli.

— A jednak kiedy się rozstawali, garbus odchodził z diamentami, a kupiec szalał ze złości, ale taniec, odtąńczony przez kalekę, ujarzmił go skutecznie, tak że nawet z pięści nie mógł zrobić użytku.

— Co to za taniec? — spytali.

— Taniec trzech kostek do gry — odparł ojciec. A potem zaczął tłumaczyć:

— Bywa tak, że gra jest mocniejsza od tego, co jest przedmiotem gry. Ty, generale, dowodzisz dziesięcioma tysiącami żołnierzy. Żołnierze mają broń. Łączy ich ze sobą poczucie solidarności. A jednak doprowadzasz do tego, że jeden drugiego posyła do więzienia. Bo żyjesz nie rzeczami, ale sensem rzeczy. A kiedy sens diamentów kazał im stać się stawką w grze, przeniosły się do kieszeni garbusa.

Otaczający mnie generałowie zapytali teraz śmielej:

— Ale jak dotrzeć do mieszkańców miasta, jeżeli nie chcą słuchać?

— Oto znów upodobanie w słowach skłaniające do jałowych stwierdzeń. Czy z tego, że ludzie czasem nie chcą słuchać, wynika, że nie chcą słyszeć?

— Jeżeli chcę przekonać człowieka o nieugiętym sercu, może być głuchy na pokusy zawarte w moich obietnicach!

— Owszem, jeżeli wystąpisz jawnie! Ale jeżeli jest wrażliwy na muzykę, a ty będziesz grał pięknie, nie ciebie usłyszy, ale muzykę. Jeśli pochłania go jakiś problem, a ty mu pokażesz rozwiązanie, będzie zmuszony je przyjąć. Nie będzie przecież oszukiwał samego siebie i przez pogardę albo nienawiść do ciebie, szukał rozwiązań w dalszym ciągu. Jeżeli graczowi pokażesz takie posunięcie w grze, które go ocali, a którego sam szukał bezskutecznie, zdobędziesz nad nim władzę, ponieważ — choćby udawał, że o tym nie wie — posłucha ciebie. Jeżeli dają ci coś, czego szukałeś, przyjmiesz to. Oto kobieta szukająca zgubionego pierścionka albo słowa brakującego do rebusu. Podaję jej znaleziony przez siebie pierścionek albo podsuwam słowo, którego szukała. Oczywiście, może przez nienawiść odmówić przyjęcia. Jednakże poddałem ją swojej władzy, gdyż zmusiłem, aby siadła spokojnie. Musiałaby być niespełna rozumu, żeby szukać dalej. . .

Mieszkańcy tego miasta muszą czegoś pragnąć, szukać, życzyć sobie, coś ochraniać czy pielęgnować. Po co w przeciwnym razie budowałiby obwarowania? Jeżeli zbudowałeś je dokoła studni niebogatej w wodę, a ja na zewnątrz murów ukazę ci jezioro, mury same padną, bo będą tylko śmieszne. Jeżeli zbudowałeś je, aby strzec jakiejś tajemnicy, a moi żołnierze zaczną na cały głos wykrzykiwać ją pod murami, mury także padną, bo przestają mieć sens. Jeżeli je zbudowałeś, żeby chronić jeden diament, a ja na zewnątrz murów rozsypię diamenty jak żwir, mury upadną, gdyż osłaniałyby tylko ubóstwo. A jeśli są zbudowane wokół jakiegoś doskonałego tańca, a ja będę tańczył ten sam taniec, ale lepiej, mieszkańcy sami je zburzą, żeby ode mnie nauczyć się tańczyć. . .

Ja chcę przede wszystkim, żeby ludzie z tego miasta po prostu mnie słyszeli. Potem zaczną słuchać. Ale, oczywiście, jeżeli zaczną grać pod murami pobudkę,

będą spokojnie odpoczywać i nie usłyszą nawet mojej trąbki. Bo człowiek słyszy tylko to, co jest dla niego przeznaczone. Co każe mu wzrastać. Albo rozwiązuje jakąś istniejącą w nim sprzeczność.

\* \* \*

Będę zatem próbował na nich oddziaływać, choć udają, że mnie nie widzą. Bo podstawowa prawda jest taka: człowiek nie istnieje sam. Nie może pozostawać wciąż niezmienny w świecie, który dokoła niego wciąż się zmienia. Mogę oddziaływać na człowieka pośrednio, czy chce tego, czy nie — zmieniam sens jego czynów, a on nie może tego znieść. Jeśli powierzono ci tajemnicę, a tajemnica przestała istnieć, zmienił się sens twojego życia. Jeżeli ktoś tańczy i deklamuje sam dla siebie, a ja sprowadzę ironicznych słuchaczy i uniosę zasłonę, żeby go ujrzeli, sprawię tym samym, że przestanie tańczyć.

Chyba szalenię tańczyłby wtedy dalej.

Twój sens składa się z sensu innych ludzi — czy chcesz tego, czy nie. Na twoje upodobania składają się upodobania innych. Każdy twój czyn jest ruchem w jakiejś grze. Krokiem w tańcu. Jeżeli zmienię rodzaj gry albo taniec, zmienię też twój czyn.

Zbudowałeś obronne mury z powodu pewnej gry: zburzysz je sam, kiedy gra będzie inna.

Albowiem żyjesz nie rzeczami, ale ich sensem.

\* \* \*

Ukarzę mieszkańców miasta za ich pyszałkowatość, gdyż liczą na potęgę swoich murów.

\* \* \*

A tymczasem jedyny mur obronny to potęga struktury, która człowieka kształtuje i której on służy. Więc murem obronnym cedru jest energia zawarta w jego nasieniu, która pozwala mu przetrwać pomimo burzy, suszy i kamienistej ziemi. Można to później tłumaczyć właściwościami kory, ale i kora wzięła początek z nasienia. Korzenie, kora i liście są nasieniem, które znalazło swój wyraz. Natomiast kiełek jęczmienia ma w sobie niniejszą energię i jęczmień słabszy mur przeciwstawi kaprysom pogody.

Człowiek obdarzony stałością i o mocnych fundamentach potrafi rozwijać się w polu napięć i zgodnie z liniami napięć, zrazu niewidocznymi. Takiego nazwę



cudownym murem obronnym, gdyż czas go nie zniszczy, ale go umocni. Czas będzie mu służył. To nieważne, jeżeli wydaje się nagi i bezbronny.

Skóra aligatora nie jest obroną, jeżeli zwierzę jest martwe.

\* \* \*

I tak patrząc na nieprzyjazne miasto, zasklepię w swojej betonowej zbroi, dumałem nad jego słabością i siłą. Kto z nas prowadzi taniec: ono czy ja? Niebezpiecznie jest rzucić w łan zboża choćby jedno ziarno kąkolu, ponieważ natura kąkolu jest mocniejsza od natury zboża i nieistotny jest tu wygląd zewnętrzny i ilość. Ilość jest też zawarta w nasieniu. Da się obliczyć w miarę upływającego czasu.

## CLVIII

Długo dumałem też nad tym, czym jest mur obronny. Prawdziwy mur jest wewnątrz ciebie. Wiedzą o tym żołnierze, którzy wywijają szablami. A wtedy nie przejdiesz. Lew nie ma obronnej skorupy, ale cios jego łapy jest jak piorun. A skoczywszy na wołu otwiera jego ciało na dwoje, tak jak się otwiera szafa.

Powiesz mi, że małe dziecko zawsze jest kruche i że człowiek, który w przyszłości zmieni świat, w niemowlęctwie mógł być zgaszony jak świeca. Ale ja widziałem, jak umierało dziecko Ibrahima. Póki było zdrowe, jego uśmiech był jak podarunek. „Chodź tu”, wołano na dziecko Ibrahima. I dziecko podchodziło do starca, i uśmiechało się. A starzec cały się rozjaśniał. Głaskał dziecko po policzku i nie bardzo wiedział, co mu mówić, ponieważ to dziecko było jak lustro, w które patrząc człowiek czuje zawrót głowy. Albo jak okno. Bo dziecko zawsze onieśmiela, jak gdyby była w nim jakaś ogromna mądrość. I to prawda, bo zanim dorośli skrzywią go i pomniejszą, duch jego jest silny. Z trzech kamyków potrafi stworzyć flotę wojenną. A starzec z pewnością nie rozpozna w dziecku przyszłego kapitana marynarki wojennej, ale rozpozna jego moc. Zaś dziecko Ibrahima było jak pszczoła, która z wszystkiego, co znajdzie, potrafi zebrać miód. Wszystko dla niego stawało się miodem. I do każdego uśmiechało się pokazując białe ząbki. I nikt nie domyślał się, co nieuchwytnego kryje się za tym uśmiechem. Bo nie ma słów, które mogłyby to wypowiedzieć. Jakby nieznanne skarby, nieoczekiwanie, w cudowny sposób dostępne jak błysk wiosny na morzu, kiedy w rozdarciu chmur ukazuje się słońce. Marynarz czuje, że nagle cały staje się modlitwą. Na przeciąg pięciu minut statek płynie w słonecznej chwale. A człowiek krzyżuje ręce na piersi i wie, że otrzymuje jakiś dar. Tak i to dziecko Ibrahima, którego uśmiech muskał patrzącego jak cudowna szansa, którą nie wiadomo jak i kiedy chwycić. Jak nazbyt krótkie panowanie nad ziemią pełną słońca i bogactw, których nie zdąży się nawet zliczyć. I o których nic właściwie nie można powiedzieć. A to tylko dziecko, co otwiera i przymyka oczy — jak okna prowadzące gdzieś dalej i poza. Które mało co mówiąc, czegoś uczy. Bo prawdziwe nauczanie nie polega na tym, aby mówić do ciebie, ale aby cię prowadzić. I ciebie, starego, ono prowadzi jak pasterz swoje stado na niewidzialne łąki, o których nigdy byś nawet

nie wiedział, gdybyś przez jedną chwilę nie poczuł, że nasycony jest twój głód i pragnienie.

To właśnie dziecko, o którym wiedziałeś, że ma umrzeć, było jak znak nieznanego słońca. Całe miasto, przemienione, przychodziło czuć przy nim, osłaniać je. Wszystkie stare kobiety próbowały mocy naparów z ziół i kołysanek. Mężczyźni stali przed drzwiami pilnując, żeby na ulicy nie było hałasów. Otulano je, kolebano i wachlowano. W ten sposób wznoszono pomiędzy nim a śmiercią obronny mur, który mógł się wydawać nie do zdobycia, bo całe miasto, niby zastępy żołnierzy, wspomagało oblężonego. Nie mów mi, że choroba dziecka to tylko walka słabej istotki o słabej powłoce cielesnej. Może gdzieś daleko znajdzie się na nią lekarstwo? Więc wysłano w pośpiechu jeźdźców. Ale choroba także przyspiesza kroku i galopuje jak jeźdźcy przez pustynię. Czasem postój, żeby nabrać tchu. I ogromne poidła, w których poi się konie. I brzuchy końskie uderzane piętą, bo trzeba wygrać w wyścigu ze śmiercią. Widać tylko twarzyczkę: zamkniętą i lśniącą od potu — a przecież walka, która tu się toczy, to także spinanie konia ostrogami.

Dziecko jest słabe? Czy to prawda? Równie słabe jak generał wiodący armię...

Patrząc na nie i na staruszki, starców i ludzi młodszych, zrozumiałem: byli jak pszczeli rój dokoła królowej, jak górniczy wokół żyły złota, żołnierze dokoła kapitana, a tworzyli jedność o tak wielkiej mocy dlatego, że wezwał ich wszystkich na walkę cichy, nieśmiały, a idący ku ludziom uśmiech; niby jakieś ziarno zbierające w sobie różnorodność tworzywa, aby powstały z niego drzewa, wieże i mury obronne. Więc w tym delikatnym ciele nie było kruchości, bo nieświadomie i w naturalny sposób, samym swoim wezwaniem gromadziło dokoła siebie wszystkie możliwe rezerwy pochodzące z zewnątrz. Całe miasto przyszło posługiwać temu dziecku. Tak — na wezwanie i rozkaz ziarna — sole mineralne stają się twardą korą: obronnymi murami cedru. Czy kielek rzeczywiście jest kruchy, jeżeli potrafi zbierać dokoła siebie przyjaciół i poddawać sobie nieprzyjaciół? Czy wierzyć pozorom, pięściom olbrzyma, wrzaskom, jakimi może wybuchnąć? To prawda, ale prawda tylko obecnej chwili. Nie wolno zapominać o czasie. To czas tworzy korzenie. A czy widzisz, jak ów olbrzym został już spętany niewidzialną strukturą, jakby skuty w dyby. A dziecko tymczasem kroczy na czele całej armii. Olbrzym zgniecie je lada chwila. Ale nie. Bo dziecko nikomu nie zagraża. I zobaczysz, jak dziecko położy stopę na głowie olbrzyma i w jednym okamgnieniu go zniszczy.

## CLIX

Widziałeś w każdym razie, jak to, co silne, bywa zmiążdżone przez to, co słabe. Nie musi tak być w najbliższej chwili, stąd złudne sformułowania twojego języka. Nie zapominaj jednak o czasie. Oczywiście, jeżeli słabe dziecko wywoła wściekłość olbrzyma, olbrzym je zdepcze. Ale w naturze słabego dziecka nie leży wywoływanie gniewu olbrzyma. Stara się raczej, by olbrzym go nie zauważył. Albo żeby je pokochał. Zaś w naturze wieku młodzieńczego będzie się mieścić pomoc okazana olbrzymowi, tak aby olbrzym zaczął potrzebować jego obecności. Potem przychodzi wiek wynalazków i podrosłe już dziecko szykuje dla siebie broń. Albo całkiem po prostu przewyższa tamtego wzrostem i wagą. Albo — jeszcze prościej — dziecko zaczyna mówić, ściąga dokoła siebie masy innych ludzi, których poprowadzi na olbrzyma, a oni staną się dla niego jakby zbroją. Spróbuj go wtedy dosięgnąć.

Jeżeli zobaczę w polu zboża jedno ziarnko kąkolu, wiem już, czyje będzie zwycięstwo. A jeśli wśród ludu jest gdzieś takie dziecko, jak dziecko Ibrahima, które zaczyna się rozwijać i wykształcać nowy obraz świata, wkrótce tak nieodparty jak żelazny gorset (bo już widzę gotowe linie napięć) — i tyran, i jego żołnierze, i żandarmi legną pobici; tak jak świątynie, które zdołało pokonać jedno ziarnko, ponieważ było nasieniem ogromnego drzewa, wypuszczającego cierpliwie korzenie, jak człowiek, przeciągający się ze snu powoli napina mięśnie ramion. Jeden korzeń zwałił przyporę, drugi — główny filar. Pień przebił kopułę w miejscu, gdzie znajduje się zwornik sklepienia, i zwornik runął na ziemię. I oto drzewo panuje nad leżącym bezładnie gruzowiskiem, obracającym się w pył, i ciągnie z niego soki żywotne.

Ale i to drzewo ogromne potrafię z kolei zwalić. Świątynia stała się drzewem. Ale drzewo stanie się splotem lian. Wystarczy uskrzydłone ziarnko, które przyleci z wiatrem.

\* \* \*

Co pokaże bieg czasu? Prawda, że na pozór zamknięte w zbroi miasto jest niewidoczne. Ale ja umiem czytać przyszłość. I wiem, że ponieważ zamknęło się

w bogactwie nagromadzonych zapasów, już z góry zgodziło się na śmierć. Lękam się ludzi, którzy idą nadzy na północ, z pustyni, gdzie zamieszkują i gdzie nie ma żadnych fortec. Prawie bezbronni. Ale są jak ziarno, które jeszcze nie wykiełkowało i nie zna swojej mocy. Moje wojsko wywodzi się z głębokiej studni w El Ksour. Jesteśmy nasionami, które Bóg ocalił. Kto stanie na drodze naszym zamiarom? Wystarczy, że znajdę jedną szczelinę w zbroi, a gmach świątyni zostanie rozsadzony przebudzeniem drzewa, które było zawarte w nasieniu. Wystarczy, jeśli będę wiedział, jaki tu taniec trzeba odtńczyć, a miasto stanie się jak samica wobec samca, stanie się miastem oswojonym jak kobieta przebywająca w czterech ścianach domu. Będziesz moje jak miodowy kołacz, miasto nazbyt pewne siebie. Twoje straże najprawdopodobniej śpią. Bo serce masz zużyte.

## CLX

Powiadałem zatem sobie, że mury obronne nie istnieją. Te, które wybudowałem, służą umocnieniu mojej potęgi, ponieważ są wynikiem mojej potęgi. Służą mojemu trwaniu, ponieważ są wynikiem mojego trwania. Ale skóry martwego aligatora nie nazwiesz przecież murem obronnym.

Jeżeli ktoś ubolewa, że jakaś religia nie może zdobyć ludzkich serc, to do prawdy śmiechu warte. Religia powinna pochłonać ludzi, a nie poddawać ich sobie. Nikt nie robi przecież wyrzutów ziemi, że nie ukształtowała cedru.

Czy sądzisz, że jeśli ludziom głoszącym nową religię udaje się szerzyć ją po świecie i przyciągnąć ludzi, to dzieje się tak dzięki wrzawie, zręcznej szarlatanerii i wymyślnej krzykliwości? Dość się nasłuchiwałem ludzi i rozumiem, co jest sensem mowy. Jest to idący od jednego człowieka do drugiego przekaz, obdarzony siłą, stanowiący nowy punkt widzenia i sam sobie wystarczający za pokarm. Istnieją słowa rzucane jak ziarna, obdarzone mocą skupienia ziemi wokół siebie, tak aby wyrósł cedr. Możesz oczywiście zasiać pestkę oliwki, aby wyrosła oliwka. Czy cedr, czy oliwka, oba będą rosły i rozkrzewiały się. I w potężniejących konarach cedru będzie słychać coraz głośniejszy szum wiatru. A jeśli rozmnożą się hieny, usłyszysz, jak ich wycie coraz bardziej będzie wypełniało noc. Nikt nie będzie jednak twierdził, że to szum wiatru w cedrowych gałęziach wyciąga z ziemi soki żywotne, ani że niesamowite wycie hien przemieni w hienę mięso gazeli. Ciało hieny żywi się ciałem gazeli, cedr żywi się żywotnymi sokami, które czerpie spośród kamieni. Wierni danej religii rekrutują się spośród niewiernych. Ale nikt i nigdy nie jest zniewolony mową, jeśli ta mowa nie potrafiła go pochłonać.

Pochłania zaś to, co wyraża. Jeżeli potrafię dać ci wyraz — należysz do mnie. Musisz wtedy stawać się we mnie. Gdyż od tej chwili to ja jestem twoją mową. Dlatego też powiadam, że cedr jest mową kamieni, bo one dzięki drzewu stają się szmerem wiatru.

Ale kto poza mną proponuje ci drzewo, abyś się w nim stawał?

Patrząc zatem na ludzkie czyny nigdy nie starałem się wyjaśnić ich poprzez gromki dźwięk obwieszczających je fanfar (bo możesz je w ten sposób znienawidzić i odrzucić), ani przez działalność żandarmów, gdyż oni potrafią najwyżej przedłużyć trwanie umierającego narodu, ale nigdy — zbudować jego trwanie.

Mówiłem, że potężne królestwa karzą śmiercią strażników, którzy zasnęli, i że fałszywy byłby stąd wniosek, iż potęgę królestwa rodzi dyscyplina. Kiedy bowiem skazuje na śmierć królestwo słabe, gdzie śpią wszystkie straże, jest to wyłącznie krwawa błazenada; natomiast potężne królestwo przekazuje potęgę swoim obywatelom i dlatego nie toleruje spania na służbie. Nie staram się przeto wyjaśniać ludzkich czynów poprzez wypowiedane słowa, motywy albo argumenty rozumowe, ale przez tę niewyraźną potęgę nowych płodnych struktur, jak w przypadku owego kamiennego oblicza, na które spojrzaleś i zostałeś przemieniony.

## CLXI

Nadeszła noc i wspiałem się na najwyższe w okolicy wzniesienie, żeby popatrzeć na śpiące miasto i jak w zalegającej dokoła ciemności nikną czarne plamy moich obozowisk na pustyni. Chciałem bowiem zgłębić bieg rzeczy; wiedziałem, że moje wojsko jest potęgą, której nadałem ruch, a zarazem że miasto jest potęgą zamkniętą jak wieża pełna prochu; i że poprzez ów obraz — wojska skupionego dokoła magnetycznego bieguna — kształtuje się inny obraz, coraz mocniej zakorzeniony, o którym nic jeszcze nie wiem, a który inaczej powiąże to samo tworzywo. I próbowałem odczytywać w ciemności znaki zwiastujące owe tajemnicze narodziny, nie żeby je przewidzieć, ale żeby nimi pokierować, gdyż poza patrolami straży wszyscy już spali. I broń odpoczywała. Bo człowiek jest jak statek w rzece czasu. Przechodzi nad jego głową światło poranka, południa i wieczoru — kiedy lęgną się myśli i wszystko zdaje się posuwać do przodu. A potem, wyzwolony ostatnim oddechem słońca, milczący poryw nocy. Noc, która biegnie bezszelestnie i wydana jest snom, gdyż tylko takie prace jeszcze trwają, które się toczą same: ciało się zabliznia, pęczniają soki życia, miarowo i niezmiennie dźwięczy krok strażujących patroli: noc jest domeną sług, ponieważ pan wówczas śpi. Noc przeznaczona na naprawianie błędów, z którego dzień zda sprawę. I ja, kiedy jestem zwycięzcą, do następnego dnia odkładam święcenie tryumfu.

Noc winnych gron czekających winobrania, a chronionych nocą, noc żniw jeszcze do rana odłożonych. Noc otoczonych nieprzyjaciół, których wezmę szturmem dopiero z nastaniem dnia. Noc wygranej, ale kiedy ten, co wygrał, śpi. I kupiec poszedł spać, ale pieczę nad bagażami zlecił nocnemu stróżowi, który chodzi tam i z powrotem. I generał poszedł spać, ale zlecił czuwanie strażom. Kapitan statku poszedł spać, ale sternikowi zlecił pieczę nad statkiem i człowiek przy sterze chwytą wędrującą wśród masztów konstelację, i Orion zajmuje znów to miejsce, jakie zajmować powinien. Noc dobrze wydanych poleceń i zawieszonych czynności.

Ale i noc, kiedy jest możliwe wszelkie oszustwo. Włóczęga kradnie z sadu owoce. Pożar ogarnia stodoły. Zdrajca podstępem bierze cytadelę. Noc przeraźliwie rozlegających się krzyków. Raf grożących statkowi. Noc nawiedzeń i cudów.



Noc, kiedy budzi się Bóg — złodziej — bo na tę, którą kochasz, możesz czekać nadaremnie!

Noc, w której słyszeć trzeszczenie kręgosłupa. Noc, w której zawsze słyszałem trzeszczenie jakiegoś ogromnego kręgosłupa, jakby to był nieznany anioł, uwięziony w ciele mojego ludu, którego trzeba kiedyś uwolnić...

Noc rzuconego ziarna.

Noc boskiej cierpliwości.

## CLXII

Znowu widzę, ile w tobie złudzeń, kiedy mówisz mi o ludziach żyjących skromnie i nie żądających niczego, praktykujących domowe cnoty i z prostotą obchodzących święta, i pobożnie wychowujących dzieci.

— Oczywiście — odparłem. — Ale powiedz mi, jakie są te ich cnoty? Jakie ich święta? Jacy bogowie? Oni już żyją każdy oddzielnie, jak drzewa, które każde na swój sposób ciągnie soki z piasku. Inaczej ich istnienie nie byłoby możliwe.

Oni nie chcą niczego więcej, tylko żyć w pokoju, powiadasz. No tak. . . A przecież już prowadzą wojnę. Chociażby w imię swojego przetrwania, ponieważ chcą się ostać wbrew wszystkiemu, co podsuwa inne możliwości i z czym mogliby się stopić. I drzewo jest wojowaniem już w nasieniu. . .

Jednakże ich dusza, raz ukształtowana, może trwać w tym kształcie. Moralność raz ustanowiona. . .

— Owszem! Kiedy dzieje jakiegoś ludu przeminą, wtedy mogą już trwać. Znałeś narzeczoną, która wcześniej zmarła. Jaka była uśmiechnięta. Ona się już nie zestarzeje, na wieczność zostanie piękna i promienna. Ale ludzie albo podbijają świat, ażeby pochłonąć nieprzyjaciół, albo im samym zagrażają zarazki zniszczenia. Są śmiertelni, dlatego właśnie, że żywi.

A ty chciałeś, żeby obraz trwał tak jak wspomnienie tej młodej zmarłej.

Ale ty powtórnie zgłaszasz sprzeciw:

— Jeżeli forma, którą się ludzie rządzą, stała się teraz i tradycją, i religią, i przyjętym rytuałem, może dalej trwać przenosząc tylko ów system z pokolenia na pokolenie. I może dawać tylko szczęście, tak jak zapala blask w oczach synów. . .

— Jeżeli zrobiłeś zapasy — odparłem — możesz na pewno żywić się przez pewien czas nagromadzonym miodem. Kto wspiął się na szczyt, może przez pewien czas sycić się krajobrazem, który jest zwycięstwem — pokonaniem szczytu. Przypomina sobie głązy, na które się wdrapywał. Ale wspomnienie szybko blednie i krajobraz staje się pusty.

Również święta mogą odtwarzać powstanie wioski albo religii, gdyż są wspomnieniami etapów, wysiłków i poświęceń. Ale po trochu wygasa ich moc, nabierają posmaku czegoś minionego, niepotrzebnego. I ty zaczynasz wierzyć, że tak

jest istotnie. Żyjący w szczęściu ludzie, o których mówisz, stają się plemieniem osiadłym i przestają żyć. Jeśli zawierzysz jednemu pejzażowi i zostaniesz w nim na zawsze — wkrótce zaczniesz się nudzić, przestaniesz żyć.

Istotą religii był akt zdobywania. A tyś sądził, że ona jest podarunkiem. Ale z podarkiem niedługo nie będziesz wiedział, co zrobić; wyniesiesz go na strych, kiedy zostanie wykorzystana siła, tkwiąca przecież nie w ofiarowanym ci przedmiocie, ale w radości otrzymania daru.

— A zatem nie ma nadziei na odpoczynek?

— Tam, gdzie zapasy okazują się naprawdę przydatne. Tylko w tym pokoju, jaki daje śmierć — kiedy Bóg zwozi żniwo do stodoł.

## CLXIII

Są w życiu okresy, które stają się udziałem każdego.

Przyjaciele kiedyś muszą się tobą znużyć. Chodzą wtedy do innych domów i skarżą się na ciebie. Kiedy znaleźli już ulgę, wracają: przebaczyli ci wszystko i znów cię kochają, znów są gotowi oddać za ciebie życie.

Ale kiedy dowiedziawszy się przez kogoś trzeciego, kto tymczasem doniesie ci, co nie było dla twoich uszu przeznaczone, co było przesytem twoją osobą, a zatem czymś zewnętrznym w stosunku do niej, może się zdarzyć, że odtrącisz kochających i wracających, aby cię kochać znowu.

Jeżeli od początku nie kochałeś ich naprawdę, będziesz nawet zadowolony z takiego korzystnego dla ciebie obrotu spraw — stało się właściwie tak, jak tego pragnąłeś, i chwała Bogu.

Ale czy ty nie rozumiesz, że w życiu ludzkim mogą być różne pory; przecież i w ciągu jednego dnia, w zależności od pory, smakuje ci — albo nie — najulubieńsze jedzenie w zależności od apetytu; raz go pragniesz, kiedy indziej jest ci obojętne albo budzi obrzydzenie.

Nie mam takiej władzy, żeby używać zawsze tego samego.

## CLXIV

Przyszedł wreszcie czas, kiedy muszę cię nauczyć prawdy o człowieku.

Na morzach północy są pływające góry lodowe, ale z całego ich ogromu nad poziom wody wyłania się tylko niewielki grzbiet górski lśniący w słońcu. Reszta śpi. Tak i człowiek: tylko mizerną jego część oświetliłeś magią słowa. Gdyż mądrość wieków dobrała klucze, aby tę część pojąć. I dobrała pojęcia, aby ją wytłumaczyć. A od czasu do czasu ktoś wprowadza w twoją świadomość inną częśćkę, dotąd jeszcze nie wyrażoną, przy pomocy nowego klucza; może być nim słowo, jak na przykład słowo „zazdrość”, o którym już mówiłem, a które odwołując się do pewnej sieci związków, potrafi wyrazić wiele za jednym razem; a więc śmierć z pragnienia kojarzy z pożądaniem kobiety i z wieloma innymi rzeczami. I słuchacz pojmie to natychmiast, choć nie umiałby powiedzieć, dlaczego pragnienie zadaje ból dotkliwszy niż zaraza. Ale w ten sposób działa słowo wtedy, gdy odwołuje się nie do owej niewielkiej części oświetlonej, ale do tej jeszcze ciemnej, która nie ma jeszcze swojego języka. I dlatego ludy idą tam, gdzie ludzki język wzbogaca strefy wyrażalnego. Gdyż człowiek nie wie, jakiego pokarmu domaga się w nim przemożny głód. Ale ja mu przynoszę ten pokarm, a on je. Logik mówi wtedy o szaleństwie, gdyż jego logika — logika dnia wczorajszego — nie pozwala mu zrozumieć.

\* \* \*

Mój mur obronny to siła, gromadząca gdzieś w głębi zasoby energii i przekazująca je do świadomości. Potrzeby ludzkie są bowiem niejasne, niespójne, nawet sprzeczne. Chciałbyś zarazem wojny i pokoju, reguł gry, ażeby w nią grać, i swobody, żeby się cieszyć bez ograniczeń. Dostatku, który daje zaspokojenie, i ofiary, w której człowiek odnajduje siebie. Zdobywania dóbr dla zdobywania i cieszenia się dobrami ze względu na same dobra. Świętości, co by dała blask duchowi, i sukcesów ciała, dających satysfakcję rozumowi i zmysłom. Płomienia własnego ogniska domowego i płomienia zapałów poza ścianami rodzinnego domu. Miłosierdzia na widok ran i tej rany, jaką jest jednostka zestawiona z modelem człowieka. Miłości mocnej przez narzuconą sobie wierność i odkrycia innej

miłości, poza narzuconymi granicami. Równych praw w sprawiedliwości i nierównego prawa do wzwyż-wstępowania. Ale jakie to drzewo potrafi wchłonać te różnorodne potrzeby niczym rozrzucone kamienie i nada im ład, a z siebie powoła człowieka? Jaką bazylikę zbudujesz używając tych kamieni?

Moje mury obronne to będzie przede wszystkim ziarno, jakie przynoszę człowiekowi. Kształt pnia i konarów. Tym trwalsze drzewo, im lepszy użytek zrobi z soków żywotnych zawartych w glebie. Tym trwalsze królestwo, im pełniej przyjmie w siebie wszystko, co jest w tobie. Nieskuteczne są kamienne mury, jeśli są już tylko jak łuska na martwym ciele.

## CLXV

Ludzie znajdują rzeczy, powiadał mój ojciec, tak jak świnie znajdują trufle. Bo nie brak rzeczy, które można znaleźć. Ale do niczego nie posłużą człowiekowi, bo on żywi się sensem rzeczy.

Natomiast sensu rzeczy ludzie nie znajdują, ponieważ nie można go znaleźć, a trzeba stworzyć.

Dlatego mówię do ludzi.

— Jaki jest sens tych wydarzeń? — pytano ojca.

— Sens ich to twarz, którą ulepię z nich jak z gliny.

\* \* \*

Zawsze zapominamy o czasie. A tymczasem czas, kiedy ktoś uwierzy w fałszywą nowinę, naznaczy go przemożnie, bo ona będzie jak kiełkujące ziarno i rozrastające się gałęzie. I kiedy już go wyprowadzą z błędu, okaże się, że inaczej się ukształtował. Jeśli stwierdzę coś z całą siłą, słuchający natychmiast znajdzie wszelkie tego oznaki, zapowiedzi i dowody. Na przykład, jeżeli stwierdzę, że żona go zdradza. Uprzytomni sobie wtedy, że jest kokietką, co zresztą jest prawdą. Że ciągle wychodzi z domu, co również jest prawdą, ale czego do tej pory nigdy nie zauważył, jeżeli następnie wycofam się z tego kłamstwa, zostanie w nim mimo wszystko jakaś konstrukcja domysłów. Z kłamstwa zawsze coś zostanie, ponieważ było ono punktem widzenia, z którego można patrzeć na bezsporną prawdę.

Jeżeli oświadczę, że to garbaci roznoszą zarazę, ludzie się przerażą, że tylu jest garbatych. Gdyż do tej pory ich nie zauważali. A im dłużej będą mi wierzyli, tym bardziej będą się im przyglądać. Aż w końcu doliczą się, ilu ich jest. A o to tylko chodziło.

## CLXVI

— I jestem odpowiedzialny za wszystkie czyny wszystkich ludzi — powiedział mój ojciec.

— Przecież są wśród nich i tchórze, i zdrajcy — odpowiedziano mu. — I w czym tu twoja wina?

— Jeżeli ktoś tchórzy, to ja tchórzę. Jeżeli ktoś zdradza, to ja zdradzam samego siebie.

— Jak można zdradzać samego siebie?

— Godzę się na jakiś obraz wydarzeń, a oni mi zgodnie z tym obrazem służą — odparł ojciec. — Jestem za niego odpowiedzialny, gdyż go narzucam. On staje się prawdą. A zatem służę prawdzie mojego wroga.

— Ale dlaczego? Czyżbyś był tchórzliwy?

— Nazywam tchórzem człowieka, który nie chce się ruszać, natomiast stoi nagi — odparł mój ojciec. — A także człowieka, który powiada: „Rzeka mnie unosi”; w przeciwnym razie zaczęłyby płynąć — ma przecież mocne ręce.

Po czym podsumował to tak:

— Tchórzem i zdrajcą nazywam każdego, kto się skarży na cudze winy albo na potęgę nieprzyjaciela.

Ale nadal nikt go nie rozumiał.

— Istnieją przecież pewne oczywiste fakty, za które nie jesteśmy odpowiedzialni. . .

— Nie ma takich — odparł ojciec.

\* \* \*

Wtedy wziął jednego ze współbiesiadników i zaprowadził do okna:

— Co ci przypomina kształt tej chmury? Zapytany długo się przyglądał.

— Leżącego lwa — powiedział nareszcie.

— Pokaż go innym.

Tu podzielił zebranych na dwie części i pierwszą przyprowadził do okna. Wszyscy zobaczyli leżącego lwa, którego sylwetkę zarysował im palcem pierwszy zagadnięty.



Potem ojciec odsunął ich na bok, a do okna wezwał innego człowieka.

— Co ci przypomina kształt tej chmury? Zapytany długo się przyglądał.

— Uśmiechniętą twarz ludzką — powiedział na koniec.

— Pokaż to innym.

I wszyscy pozostali zobaczyli uśmiechniętą twarz ludzką, którą im zarysował palcem.

Wreszcie ojciec zebrał wszystkich zebranych z dala od okien.

— Spróbujcie dojść do porozumienia i stwierdzić, co przypomina owa chmura.

Ale oni bez żadnego pożytku obrzucali się tylko obraźliwymi słowami, ponieważ dla jednych absolutnie oczywiste było podobieństwo do lwa, a dla innych — do uśmiechniętej twarzy.

— Podobnie i wydarzenia nie mają kształtu — powiedział ojciec — poza tym, jaki im nada twórca. I wszystkie kształty są w równym stopniu prawdziwe.

— Rozumiemy to — odparł mu ktoś — jeśli chodzi o chmurę, ale nie rozumiemy, jeśli chodzi o życie... Choćbyś o świecie przed bitwą wiedział, że własna armia w porównaniu z potęgą przeciwnika jest nie dość silna, nie w twojej mocy wpłynąć na wynik bitwy.

— Oczywiście — odparł ojciec. — Tak jak chmura układa swój kształt w przestrzeni, tak wydarzenia układają się w czasie. Jeżeli chcę wykonać w glinie rzeźbę twarzy, muszę mieć czas na to. W tym, co ma się stać dzisiejszego wieczoru, nie zmienię nic, ale z mojego ziarna wyrośnie jutrzejsze drzewo. A ziarno to właśnie dziś. Tworzyć to nie znaczy odkryć jakiś dzisiejszy podstęp, który może ukrywa przed tobą los, aby ci dać zwycięstwo. Byłoby to zwycięstwo bez jutra. Nie chodzi też o znalezienie leku, który by ukrył chorobę, gdyby przyczyna choroby nadal trwała. Tworzyć to znaczy sprawić, aby zwycięstwo albo ozdrowienie stały się czymś tak nieodpartym jak wzrastanie drzewa.

Ale oni nadal nie rozumieli:

— Logika faktów... — zaczęli.

Wtedy ojciec uniósł się gniewem i obrzucił ich obraźliwymi słowami.

— Głupcy! Tępe woły trzebione! — wołał. — Historycy, logicy i krytycy, jesteście jak robactwo żywiące się trupem i nigdy nie pojmiecie nic z życia.

\* \* \*

Po czym zwrócił się do pierwszego ministra:

— Król sąsiedniego kraju chce nam wydać wojnę. Ale my nie jesteśmy do niej gotowi. Tworzenie nie polega na tym, żeby w dzień stworzyć nie istniejącą armię. Byłaby to dziecinada. Ale sprawić, żeby król, nasz sąsiad, potrzebował z naszej strony przyjaznych uczuć.

— Ależ to nie w mojej mocy tak go ukształtować. . .

— Znam pewną śpiewaczkę — odparł ojciec — o której pomyślę, kiedy znu-  
dzi mi się rozmawiać z tobą. Wczoraj wieczorem śpiewała o rozpaczliwym  
i biednym adoratorze, który nie śmie wyznać swojej miłości. Widziałem, jak gene-  
ral głównodowodzący płakał. A jest to człowiek bogaty, nadęty pychą i gwałciciel  
dziewcząt. Ona w dziesięć minut przemieniła go w anioła czystości, tak że odczu-  
wał wszystkie skrupuły i wszystkie męki wiernego młodzieńca.

— Ale ja nie umiem śpiewać — odparł pierwszy minister.

## CLXVII

Jeżeli polemizujesz, upraszczasz sobie wyobrażenie o człowieku. Jakiś naród otacza swego króla. Król go prowadzi do celu, który oceniasz jako niegodny człowieka. Polemizujesz zatem z królem.

Ale wielu, będąc tego samego co ty zdania, żyje z łaski króla. Nie myśleli o królu z tego punktu widzenia, ponieważ istnieją inne powody po temu, żeby króla kochać albo tolerować. Ty zatem popychasz ich naprzeciw własnym interesom, przeciw możliwości zarobienia na chleb dla dzieci.

A zatem jedna trzecia pójdzie za tobą z oporami, wyrzekając się króla, i będzie miała wyrzuty sumienia, bo istniały przecież i inne powody, żeby króla kochać lub tolerować, jest bowiem także obowiązek wyżywienia dzieci, a nie ma takiej wagi, która by uspokoiła sumienie, kiedy w grę wchodzi dwa obowiązki. Jeśli zaś chcemy natchnąć siłą człowieka, który się wplątał w wątpliwości, i nie wie, jak dalej postępować, trzeba go wyzwolić. Wyzwolić zaś, to tyle co go wyrazić. A wyrazić, to znaczy odkryć przed nim język, który jest zwornikiem sklepienia jego sprzecznych pragnień. Człowiek rozdierany sprzecznościami siada w oczekiwaniu, żeby przeminęły, i cierpi śmiertelnie. Ale jeżeli jeszcze pogłębisz te sprzeczności, w zniechęceniu i z niesmakiem położy się spać.

Inni, może też trzecia część, nie pójdą za tobą wcale. Ale będą zmuszeni szukać usprawiedliwienia we własnych oczach, ponieważ wysunięte argumenty były celne. Będą więc zmuszeni wynaleźć argumenty równie mocne, które by odparły argumenty usłyszane. Zawsze się takie znajdują, ponieważ rozum pójdzie wszędzie tam, gdzie mu każą. Tylko duch jest nieuległy. A teraz, kiedy ci ludzie określili się, wyrazili i uzbroili dowodami, już ich nie zdobędziesz.

Natomiast król, który nieomal nie myślał o tym, żeby swój lud zmobilizować przeciwko tobie, poczuje się teraz zmuszony do działania. Odwoła się zatem do swoich piewców, historyków, logików, profesorów, kazuistów i komentatorów, którzy sporządzą twój wizerunek, nadając ci wygląd zezowatego. Dowiodą też, że masz duszę podłą, co jest zawsze możliwe. I trzecia część, która nie potrafiła się dotąd określić, a jest pełna dobrej woli, daje wiarę temu gmachowi niezachwianej logiki, który powstał za twoją przyczyną. Widok zezowatego przepętnia ich

obrzydzeniem i stają przy swoim królu jak mur. A król czuje się nareszcie uspokojony czystym obliczem prawdy.

Należało bowiem nie walczyć przeciw czemuś, a za coś. Bo człowiek nie jest tak prostą maszyną, jak sądziłeś. I sam król jest tegoż co ty zdania.

## CLXVIII

„Ten człowiek jest moim zwolennikiem, powiadasz, więc mogę korzystać z jego służb. Ale ten drugi stawia mi opór, więc dla wygody umieszczę go w przeciwnym obozie i nie będę próbował oddziaływać na niego, chyba że wojując z nim.”

Ale postępując w ten sposób, utwierdzasz go w oporze i robisz z niego naprawdę wroga.

A ja twierdzę, że „przyjaciół” i „wrogów” to słowa sfabrykowane przez ludzi. Wprowadzają one rzeczywiście pewne rozróżnienie, określając na przykład to, co nastąpi, kiedy się spotkacie na polu bitwy; człowieka nie wyznacza jednak nigdy jedno słowo i znam wrogów, którzy mi są bliżsi od przyjaciół, albo takich, którzy są mi bardziej przydatni, albo którzy mnie bardziej szanują. I moja możliwość oddziaływania na człowieka nie jest bynajmniej związana z jego słownym określeniem. Powiedziałbym nawet, że łatwiej mogę oddziaływać na wroga niż na przyjaciela; z przyjacielem, idącym w tym samym co ja kierunku, mniej mam okazji do spotkania i wymiany, natomiast ten, co idzie przeciw mnie, nie uroni ani jednego z moich gestów (jest wszak od nich uzależniony) i ani jednego słowa.

Inne będzie oczywiście moje zachowanie w stosunku do jednego i drugiego, ponieważ otrzymałem w dziedzictwie własną przeszłość i nic w niej nie mogę zmienić. Jeżeli podbiłem jakiś kraj, przecięty rzeką płynącą opodal góry, i muszę teraz toczyć w nim wojnę, absurdalne byłoby ubolewać nad położeniem góry i biegiem rzeki. I nikt nigdy nie słyszał takich lamentów z ust zdobywcy, jeśli jest tylko zdrowy na umyśle. W wojnie natomiast wykorzystani i rzekę, i górę, tak jak to jest możliwe. Może byłoby korzystniejsze dla mnie jakieś inne położenie, podobnie nie tak łaskawy jak sprzymierzeniec okaże się wobec mnie przeciwnik, zwłaszcza silny. Ale ubolewać nad tym byłoby to tyle, co żałować, że nie urodziliśmy się w innej epoce albo jako władcy innego królestwa — wszystko to licha warte rojenia. Biorąc jednak pod uwagę to, co brać należy, a zatem istniejący stan rzeczy, okaże się w końcu, że mam te same możliwości działania w stosunku do przyjaciela co do wroga. Będzie to działanie w jakimś sensie mniej lub bardziej korzystne, w innym sensie — mniej lub bardziej niekorzystne. Ale kiedy trzeba oddziaływać na dźwignię wagi, to znaczy przejawiać pewne działanie lub siłę, czyn-

ności polegające na zdjęciu ciężaru z prawej szali czy też na dołożeniu ciężaru na lewą mają taką samą wartość.

Człowiek jednak obiera moralny punkt widzenia, zupełnie nie na miejscu w tej sytuacji, i potępia tego, kto mu dokuczył, obraził albo zdradził, odtrąca go i zmusza, żeby nazajutrz jeszcze poważniej dokuczył, obraził lub zdradził. Ja natomiast sądzę, że tym, który zdradził, należy się posłużyć jako zdrajcą, gdyż jest on określoną figurą na szachownicy, więc mogę uważać go za pewną pozycję, aby obmyślić i zorganizować moje zwycięstwo. Znajomość nieprzyjaciela już jest bronią w moim ręku. A zwyciężywszy, skorzystam z tego następnie, aby go powiesić.

## CLXIX

Zwracasz się czasem do żony z wymówką:

— Nie było cię w domu, a ja na ciebie czekałem.

Ona zaś odpowiada:

— Jak mogłam być w domu, kiedy byłam właśnie wtedy u sąsiadki.

I to prawda: istotnie była wtedy u sąsiadki.

Albo do lekarza:

— Nie było pana tutaj, kiedyśmy próbowali uratować dziecko, które się topiło.

On zaś odpowiada:

— Jak mogłem być tutaj, skoro właśnie wtedy byłem przy łóżku chorego starca.

I to prawda: istotnie był wtedy przy chorym starcu.

Jeżeli do kogokolwiek w królestwie powiesz:

— Dlaczego nie służyłeś królestwu tutaj?

On odpowie:

— Jak mogłem tutaj służyć królestwu, skoro działałem gdzie indziej...

I to prawda: istotnie działał gdzie indziej.

\* \* \*

Ale jeżeli w ludzkich czynach nie widać wzrastającego drzewa, nie było widocznie zasianego ziarna: obecność ziarna nadałaby bowiem potrzebny kierunek i obecności kobiety, i gestom lekarza, i służbie królestwu. A poprzez nich narodziłoby się to, co chciałeś, żeby się narodziło. Gdyż działanie jest na pozór takie samo, czy chodzi o kucie gwoździ zgodnie z religią kucia gwoździ, czy o przygotowanie gwoździ byle jakich. Ale może tu chodzi o gwoździe do budowy statku. I z pewnej odległości, która pozwala lepiej widzieć, okaże się może, że to narodziny czegoś nowego, a nie zachwianie istniejącego ładu.

\* \* \*

Gdyż byt nie ma sam w sobie ani siły, ani słabości, i może pozostać dla wszystkich nie znany, jeśli nie znajdzie odpowiedniego środka wyrazu. Ukazuje się w każdym inaczej w zależności od jednostkowego języka.

Byt nie traci żadnej okazji. Zewsząd czerpie pokarmy, wznosi swoje struktury, narzuca zmiany. Ludzie mogą go nie dostrzegać, ponieważ uwzględniają tylko logikę swojej płaszczyzny. (Kobieta na przykład — rozkład swoich zajęć, nie zaś pragnienie przebywania w domu.)

Nie ma słabości samej w sobie. Gdyż każdy czyn daje się usprawiedliwić. W zależności od punktu widzenia może być szlachetny albo nie. Może istnieć słabość w stosunku do bytu albo słabość samego bytu. Każdy może mieć szlachetne pobudki, aby nie postępować w określony sposób. Szlachetne i logiczne. Widocznie byt nie pociągnął go ku sobie z wystarczającą siłą. Jak człowieka, który zamiast kuć gwoździe rzeźbi w kamieniu. Zdradza w ten sposób statek.

Nie będę słuchał, jakie są pobudki twojego postępowania: nie masz języka, który by to wyraził.

Albo, mówiąc dokładniej, istnieje język księcia, język architektów, majstrów kierujących robotnikami, a dalej język tych, co kują gwoździe, i zwykłych robotników.

Płacisz człowiekowi za robotę. Opłacasz go wystarczająco drogo, żeby ci był wdzięczny nawet nie za wynagrodzenie, ale za uznanie dla jego zasług, bo żadna cena nie wydaje mu się wygórowana jako równowartość jego rzeźby albo ryzyka życia, jakie podjął. Rzeźba jest tyle warta, ile się za nią płaci.

W ten sposób za pieniądze kupujesz nie tylko rzeźbę, ale i duszę rzeźbiarza.

Słusznie Jeżeli człowiek uważa, że to, z czego żyje, jest godne uznania. Praca daje chleb jego dzieciom. I nie może być niegodna, skoro się przemienia w dziecienny śmiech. Wtedy człowiek służy tyranowi, ale tyran zarazem służy dzieciom. Wtedy w postępowanie ludzkie wkrada się zamęt i nie sposób go jasno ocenić.

Wolno oceniać tylko człowieka zdradzającego byt; byt, który mógł ukierunkować jego czyny i spośród wielu podobnych dróg kazać mu wybrać tę jedną idącą we właściwym kierunku.

Wtedy człowiek w spiekocie słonecznej spaja kamień z kamieniem zaprawą mularską. To jest jego działalność. W określony sposób opłacana. Wymagająca określonego trudu. I on sam widzi w niej tylko to, że poświęca życie spajaniu kamieni. Nie masz mu co robić wyrzutów, jeżeli nie są one kamieniami świątyni.

Ustanowiłeś miłość świątyni po to, by ku świątyni kierowała się miłość wyrażająca się spajaniem kamieni.

Albowiem byt stara się zewsząd czerpać pokarmy i wzrastać.

Trzeba wielu ludzi zobaczyć, żeby byt poznać. Różnych ludzi. Tak jak statek zobaczyć można dopiero poprzez gwoździe, żagle i deski. Byt nie jest dostępnym



rozumowi. Jego sensem jest to, że jest i że zdąży ku czemuś. Rozumem staje się na płaszczyźnie czynów. Ale nie od razu. W przeciwnym razie żadne dziecko nie dożyłoby wieku dojrzałego, tak słabe jest wobec świata. I nie przeżyłby cedr, któremu zagraża pustynia. Cedr rodzi się wbrew pustyni, gdyż wchłania ją w siebie.

Człowiek nie opiera swojego postępowania w pierwszym rzędzie na rozumie. Rozum wprzęga w swoją służbę. Nie wymagaj, żeby twój przeciwnik dawał większe od ciebie dowody rozumu. Logiczne jest twoje dzieło dopiero wtedy, kiedy już zostanie umieszczone w czasie i w przestrzeni. Ale dlaczego zostało rozmieszczone właśnie tak, a nie inaczej? To zawsze kwestia przypadku. Ale jak to się dzieje, że w tym ciągu przypadków drzewo nie rozsypuje się w pył, ale wznosi się w górę wbrew prawom ciężenia?

\* \* \*

Dajesz życie temu, z czego sobie zdajesz sprawę. Albowiem byt rodzi się, kiedy został określony. Wtedy szuka dokoła siebie pokarmów, stara się trwać i rosnąć. Pracuje nad tym, żeby stać się sobą, ale i innym. Podziwiasz bogactwo człowieka. A i on zdaje sobie z tego sprawę i choć może dotąd o tym nie myślał, będzie teraz wzrastał w sobie i w swoje bogactwa. Przekształcają się one bowiem w jego własne znaczenie. Nie pragnij zmieniać jednostki ludzkiej w inną niż jest. Z pewnością bowiem przemożne przyczyny zmuszają ją, aby była taka właśnie, a nie inna, i ty nic tu nie poradzisz. Możesz ją jednak zmienić w tym kształcie, jaki dziś ma, gdyż człowiek składa się z przebogatej substancji: jest w nim wszystko. Możesz wybierać wedle woli. A z wybranych elementów sporządzić rysunek, żeby zobaczyli go inni i on sam. Zobaczywszy zaś, zaakceptuje go, gdyż akceptował go już i wczoraj, jeszcze nie zaangażowany we współdziałanie. A zdawszy sobie z tego sprawę i przyjąwszy jako swoje, człowiek taki zacznie żyć na sposób ludzi, którzy starają się trwać i rosnąć.

Czasem niewolnik daje swemu dozorczy tylko część pracy, a poza nią — pracy odmawia. Takie jest życie: człowiek może pracować mniej albo więcej. Kto chce jednak, żeby ta jedna część pochłonęła pozostałą, żeby praca zatryumfowała nad odmową pracy, niech powie człowiekowi: „Godzisz się na pracę, mimo jej goryczy, bo tylko w pracy odnajdujesz własną godność i ćwiczysz się w tworzeniu. I na cóż się zda żałować, że twój przełożony nie jest inny. Jest taki, jakie są twoje czasy. Albo jak góry w twoim kraju. . .”

Nie domagałeś się, żeby pracował więcej, ani nie wyolbrzymiałeś istniejących między wami przeciwieństw. Ale ofiarowałeś mu pewną prawdę, która pogodziła w nim dwie tendencje. Ta prawda będzie teraz wzrastać, a człowiek pójdzie do pracy.

Jeżeli jednak zapragniesz, aby odmowa pracy zatryumfowała, powiedz tak:

„Pomimo bicza i groźby braku chleba dasz z siebie w pracy tylko tę część znikomą, bez której byś umarł. Ile odwagi jest w twoim postępowaniu. I masz rację oczywiście, gdyż jeśli chcesz, aby twój zwierzchnik poczuł się zagrożony, ty musisz wpierw poczuć się zwycięzcą. To, z czego nie ustąpisz, będzie ocalone. Logika nie rządzi bowiem dziełem tworzenia”.

Nie domagałeś się, żeby pracował mniej, ani nie wyolbrzymiałeś istniejących przeciwieństw. Ale ofiarowałeś mu pewną prawdę, która pogodziła w nim dwie sprzeczne tendencje. Ta prawda będzie teraz rosnąć, a człowiek będzie zmierzał do buntu.

\* \* \*

I dlatego nie ma wrogów. We wrogu — patrząc uważnie — widzę przyjaciela. I wróg staje się przyjacielem.

\* \* \*

Biorę wszystkie elementy. Nie muszę ich zmieniać. Wiążę je tylko inną strukturą językową. I ta sama istota będzie odtąd inna.

Jakiegokolwiek tworzywo przyniesiesz mi ze swojego wnętrza, wszystko uznam za prawdziwe. Powiem tylko, że wzór z nich ułożony nie jest zadowalający. Jeżeli zaś mój wzór lepiej ogarnie wszystkie elementy i ułoży się zgodnie z moim pragnieniem, i ty poczujesz się lepiej.

\* \* \*

Dlatego powiadam, że słusznie robisz wznosząc mur dokoła twoich źródeł. Ale pozostały jeszcze inne źródła, mieszczące się poza jego obrębem. A w twojej naturze jest zwać mury i stawiać je na nowo. Ale wznosząc nowe mury, objąłeś i mnie ich obrębem, a ja wtedy stanę się ziarnem w ich wnętrzu.

## CLXX

Potępiam pychę, ale nie dumę; gdyż jeżeli tańczysz lepiej od innych, dlaczego byś się miała upokorzyć wobec tej, która tańczy źle? Istnieje forma dumy, która jest miłością dobrze tańczonego tańca. Ale miłość tańca nie jest tym samym co miłość do siebie tańczącej. W dziele znajdujesz własny sens i dzieło nie jest ponad tobą. I nigdy go nie zakończysz, chyba umierając. Tylko próżna tancerka jest już zadowolona, nie idzie już naprzód, ale wpatruje się w siebie i wyczerpuje się w tym podziwie. Co może otrzymać od patrzących — tylko oklaski. Lekceważymy takie aspiracje, my, wieczni wędrowcy kroczący ku Bogu, bo nic w nas nie może nas zadowolić.

Próżna tancerka zatrzymuje się na swojej osobie i wydaje jej się, że można się stać obliczem wcześniej niż w godzinę śmierci. I dlatego nie będzie odtąd umiała ani otrzymywać od innych, ani dawać, tak właśnie jak umarli.

Pokora nie wymaga, abyś się upokarzał, ale abyś się otwierał. Jest kluczem umożliwiającym wymianę. Dopiero wtedy będziesz potrafił i dawać, i otrzymywać. Właściwie niepodobna odróżnić jednego od drugiego — są to słowa na oznaczenie tej samej drogi. Pokora nie jest poddaniem się wobec ludzi, ale wobec Boga. Tak jak pojedynczy kamień nie jest poddany innym kamieniom, ale świątyni. Służąc czemuś, służysz dziełu tworzenia. Matka jest pokorna wobec dziecka, a ogrodnik wobec róży.

Ja, król, bez wstydu poddam się naukom rolnika. Bo on o roli wie więcej niż król. A jeżeli będzie umiał mnie nauczyć, podziękuję mu, nie widząc w tym żadnego dla siebie poniżenia. Jest bowiem naturalne, że wiedzę o uprawie roli królowi przekazuje rolnik. Ale też odrzekając się wszelkiej próżności nie będę z jego strony oczekiwał podziwu. Albowiem oceny król przekazuje rolnikowi.

\* \* \*

Spotykamy czasem kobietę, która uważa się za bożyszcze. Czy miłość może jej coś dać? Wszystko, nawet radość na jej widok, przyjmuje jako składany sobie hołd. Ale hołd tym więcej jest wart, im jest kosztowniejszy: i dlatego ona więcej satysfakcji znajdzie w czyjejs rozpacz.

Taka kobieta pochłania wszystko, ale w niczym nie znajduje pokarmu. Zagarnia cię na własność, żebyś spłonął ku jej czci. Podobna jest do pieca krematoryjnego. Sądzi w swojej zachłanności, że ją bogacą kolejne ofiary i że znajdzie radość w ich gromadzeniu. Ale gromadzi tylko popioły. Gdyż twoje dary miały się stać drogą od ciebie do niej, a nie świadectwem podboju.

Ponieważ widzi w nich porękę i zastaw, będzie się strzec, żeby ci nie odplacić wzajemnością. Zamiast szczerych porywów, które by ci dały szczęście, napotykasz udaną rezerwę, głoszącą, że wspólnota dusz nie wymaga widomych znaków. Jest to dowód niemożności kochania, a nie wzniosłej miłości. Jeśli rzeźbiarz gardzi gliną, będzie miesił wiatr. Jeśli miłość gardzi znakami miłości, pod pretekstem, że zmierza ku temu, co istotne, zostaną z niej tylko słowa. Ja chcę od ciebie i pragnień, i darów, i świadectwa. Czy można kochać ojcowiznę wyłączając z niej kolejno jako zbędne albo zbyt szczegółowe to młyn, to stada, to dom? Jak budować miłość, która jest obliczem odczytywanym na płótnie, gdy zabraknie płótna, na którym można by pisać?

Nie ma katedry bez ceremoniału kamieni.

I nie ma miłości bez ceremoniału, którego sensem jest miłość.

Drzewo osiąga swoją istotę tylko wtedy, gdy zgodnie z ceremoniałem korzeni, pnia i gałęzi, powoli brało w siebie i przekształcało ziemię. Wtedy stało się drzewem. Tym, a nie innym.

A ta kobieta gardzi wymianą, z której by się narodziła. W miłości szuka przedmiotu, który dałby się pojmać. Takiej miłości brak prawdziwego sensu.

Sądzi, że miłość jest darem, który można w sobie zamknąć. Jeżeli ją kochasz, to znaczy, że cię pozyskała. Więc zamyka cię w sobie przekonana, że stanie się bogatsza. A przecież miłość nie jest skarbem, który można zatrzymać, ale obustronnym zobowiązaniem. Owocem przyjętego ceremoniału. Obliczem dróg, na których dokonuje się wymiana.

Taka kobieta nigdy się nie narodzi. Bo narodzić się można tylko z sieci różnorodnych więzi. A ona stanie się bezpłodnym ziarnem o nie wyzyskanej energii, pozbawiona duszy i serca. Postarzeje się — żałobna — wśród czczej marności podbojów.

Bo nie wolno ci nic przypisywać sobie na własność. Nie jesteś szkatułką. Jesteś splotem własnej różnorodności. Tak jak świątynia, która jest sensem kamieni.

\* \* \*

Odwróć się od niej. Nie ma nadziei, żeby ją upiększyć, ani żeby ją ubogacić. Z diamentu, który jej dałeś, zrobiła sobie berło i koronę — insygnia władzy. Żeby podziwiać coś, choćby klejnot, trzeba pokory serca. A ona nie podziwiała, tylko zazdrościła. Podziw gotuje drogi miłości, ale zazdrość gotuje drogi pogardzie.

W imię tego diamentu, który wreszcie zdobyła, ona będzie pogardzać wszystkimi innymi diamentami. I w ten sposób jeszcze bardziej odłączysz ją od świata.

I odłączysz ją od siebie samego, skoro diament nie stanie się dla niej drogą ani od ciebie ku niej, ani od niej ku tobie, a tylko niewolniczą daniną.

Dlatego każdy kolejny hołd sprawi, że stanie się jeszcze twardsza i bardziej samotna.

\* \* \*

Powiedz jej tak:

„Rzeczywiście śpieszyłem do ciebie, ciesząc się, że do ciebie dojdę. Słałem do ciebie posłańców. Obsypywałem darami. Chciałem, żebyś sama mnie wybrała i to byłoby dla mnie słodyczą miłości. Tobie dawałem prawa, żeby się samemu poczuć spełnionym. Potrzebuję korzeni i konarów. Chciałem ci towarzyszyć i pomagać jak krzakowi róży, który pielęgnuję w ogrodzie. Jestem poddany mojej róży. I nic z mojej godności nie wzbrania mi przyjętych zobowiązań. I w ten sposób zawdzięczam sobie moim zobowiązaniom wobec miłości.

Nie bałem się występować w roli proszącego. Szedłem ku tobie swobodnie, bo nikt na świecie nie może mi stawiać przeszkód. Ale ty mylnie odczytałaś moje wezwanie, widząc w nim dowód zależności: a ja nie byłem zależny. Byłem wielkoduszny.

Liczyłaś, ile kroków postąpiłem w twoim kierunku, i żywiłaś się nie moją miłością, a hołdem, jaki ona stanowiła. I pomyliłaś się, nie rozumiejąc, co oznaczają moje prośby. Odwróć się więc od ciebie, aby czcić tę, która jest pokorna i której moja miłość nada blask. Pomogę wzrastać tylko tej, która wzrośnie moją miłością. Tak samo, jak chorego pielęgnuję po to, żeby go wyleczyć, a nie, żeby pochlebiać jego próżności. Potrzebna mi jest droga, nie mur.

A ty nie miłości chciałaś, ale kultu. Zagroziłaś mi drogę. Stałaś naprzeciw mnie jak idol. Nic mi nie da takie spotkanie. Ja szedłem gdzie indziej.

„Ja nie jestem idolem, aby mu służono, ani niewolnikiem, który miałby służyć. Ktokolwiek będzie chciał mną zawładnąć, odsunę go. Nie jestem przedmiotem danym w zastaw i nikt nie jest moim wierzycielem. Ja także u nikogo nie mam długów: od kobiety, która mnie kocha, dostaję nieustannie dary.

Od kogo mnie kupiłaś, że dopominasz się o mnie jak o własność? Nie jestem twoim osłem. Może Bogu zawdzięczam to, że jestem ci nadal wierny. Ale nie tobie”.

Tak też jest i z królestwem, kiedy żołnierz zawdzięcza mu życie. Nie królestwa jest on dłużnikiem, ale dłużnikiem Boga. To on nakazuje, aby istnienie człowieka miało jakiś sens. A sensem tego człowieka jest być żołnierzem królestwa.

Tak i strażnicy, którzy winni mi oddawać honory. Wymagam ich, ale nie przyjmuję dla siebie. Za moim pośrednictwem strażnicy spełniają swoją powinność. Ja jestem splotem ich powinności.

I tak samo jest z miłością.

\* \* \*

Jeżeli jednak spotkam taką, która się rumieni i jąka, tak jest nieśmiała, i potrzebne są jej dary, aby się nauczyła uśmiechać, bo oznaczają dla niej świeży wiatr od morza, a nie świadectwo podboju, stanę się dla niej drogą przynoszącą wyzwolenie.

Ani siebie nie upokorzę tą miłością, ani jej. Będę dokoła niej jak przestrzeń, a w niej — jak czas.

I powiem jej: „Nie śpiesz się, żeby mnie poznać: nie ma we mnie nic, co dałoby się pojąć. Jestem przestrzenią i czasem albo stawaniem się”.

Jeżeli potrzebuje mnie tak, jak ziarno potrzebuje ziemi, żeby się stać drzewem, nie stłumię wzrostu ograniczając ją.

Ale i nie będę jej cził dla niej samej. Chwycę ją twardo w szpony miłości. Moje uczucie będzie dla niej jak orzeł o potężnych skrzydłach. I wcale nie mnie zobaczy z wysoka, ale poprzez mnie doliny i górskie łańcuchy, gwiazdy i bogów.

\* \* \*

Bo nie chodzi tu wcale o mnie. Ja jestem tylko tym, który cię niesie. I nie chodzi też o ciebie: ty jesteś tylko ścieżką prowadzącą ku łąkom o świcie. Nie chodzi o nas: jesteśmy razem przejściem ku Bogu, który na krótki czas obiera nasze pokolenie i posługuje się nim.

## CLXXI

Nienawiść — ale nie taka, której przedmiotem jest niesprawiedliwość, gdyż ona jest czymś przejściowym i staje się sprawiedliwa.

Nienawiść — ale nie taka, której przedmiotem jest nierówność, gdyż ona jest widzialną albo niewidzialną hierarchią.

Nienawiść — ale nie taka, która jest pogardą wobec życia, bo jeżeli człowiek podporządkuje się czemuś większemu, dar życia stanie się przemianą.

Ale nienawiść do trwającej przemocy, bo ona niszczy sam sens życia: trwanie w tym właśnie przedmiocie, w który się człowiek przemienia.

## CLXXII

W terażniejszości będziesz odczytywał byt, którym się staniesz. Będziesz go wyrażał w słowach. On nada sens ludziom i ludzkim czynom. Nie będzie od nich tymczasem żądał nic ponad to, co dają i co dawali wczoraj. Ani więcej odwagi, ani mniej, ani więcej, ani mniej ofiar. Nie chodzi o to, aby im głosić nauki, ani żeby naginać w nich cokolwiek. A przede wszystkim — niczego w nich nie zmieniać. Chodzi tylko o to, żeby ich wypowiedzieć. Albowiem z elementów możesz zbudować dowolną konstrukcję. A oni pragną, abyś ich wypowiedział, bo nie wiedzą, co zrobić ze swoich elementów.

Stajesz się natomiast panem człowieka, którego wypowiedziałeś. Rządzisz człowiekiem, który szukał celu, nie znajdując drogi ani wyjścia. Gdyż człowiekiem rządzi duch.

Patrzysz na ludzi nie jak sędzia, ale jak rządzące bóstwo. Znajdujesz każdemu właściwe miejsce, sprawiasz, że się stają. Reszta potoczy się sama z siebie. Bo ty dałeś fundamenty bytu. Odtąd będzie on szukał sobie pokarmu i przemieni w siebie resztę świata.



## CLXXIII

Na spokojnym morzu była tylko zagubiona gdzieś łódź. Istnieje na pewno, o Panie, jakaś inna płaszczyzna, z której ten rybak w łodzi wydałby mi się żarliwym płomieniem albo kłębowiskiem złości, albo kimś, kto z wody wydobywa chleb uczuć przeznaczony dla żony i dzieci, zmuszony do tego głodowym zarobkiem. Albo może dojrzałbym w nim trawiącą jak ogień chorobę, od której umiera.

Małość człowieka? Kto może tu mówić o małości? Nie wolno wymierzać człowieka taśmą mierniczą. Przeciwnie, kiedy wchodzę do łodzi, wszystko staje się ogromne.

Żebym poznał siebie, wystarczy, Panie, jeśli rzucisz we mnie kotwicę cierpienia. Ciągniesz linę kotwiczną, a ja się budzę.

Może ten człowiek w łodzi cierpi niesprawiedliwość? W niczym to nie zmienia obrazu. Ta sama łódź. Ten sam spokój na morzu. To samo leniwe światło.

Co mogę otrzymać od ludzi, jeżeli nie stanę się dla nich pokorny?

Panie, przywiąż mnie do drzewa, z którego jestem. Moje życie nie ma sensu, jeśli jestem sam. Niech inni się oprą o mnie. Niech ja się oprę o innych. Niech Twoja hierarchia narzuci mi swój przymus. Jestem niegotowy, prowizoryczny.

Czuję potrzebę bycia.

## CLXXIV

Opowiadałem o piekarzu: jak miesi ciasto i póki ciasto ulega jego dłoniom, nic się jeszcze nie dzieje. Ale przychodzi moment, kiedy ciasto zaczyna stawiać opór. W owej bezkształtnej masie dłonie odkrywają teraz jakieś linie napięć, twardniejące włókna. W chlebowym cieście rozrastają się jakby muskuły, jakby korzenie. Ciasto wiąże się w chleb, tak jak ziemia wiąże się i staje drzewem.

Przetrawiasz swoje problemy i nie widzisz przed sobą nic. Przechodzisz od jednego rozwiązania do drugiego, a żadne cię nie zadowala. Nie mogąc działać, jesteś nieszczęśliwy, gdyż tylko ruch jest upajający. A ty się czujesz rozproszony i podzielony, i wstręt cię ogarnia. Zwracasz się wtedy do mnie, żebym jakoś rozwikłał te sprzeczności. Naturalnie, że mogę rozwikłać zestawiając jedno rozwiązanie z drugim. Jeśli cię w ten sposób pokonałem i zniewoliłem, mogę powiedzieć: wybrałeś jedno wyjście kosztem drugiego, sprawa się uprościła; teraz jesteś gotowy do czynów, owszem, ale pokój, jaki uzyskałeś, to pokój fanatyka albo mieszkańca mrowiska, albo tchórza. Bo odwaga nie polega na tym, żeby odejść rozdzielając ciosy pomiędzy tych, których prawda jest inna.

Cierpienie zmusza cię rzeczywiście do tego, żeby wydobyć się z warunków rodzących cierpienie. Ale cierpienie trzeba przyjąć, bo ono cię pcha po drodze wstępowania wzwyż. Nawet jeśli to będzie zwykłe cierpienie atakującej cię choroby. Ono cię zmusza, żebyś się leczył i nie godził się na własną słabość.

Ale kto cierpiąc woli raczej obciąć chorą rękę lub nogę, niż postarać się o lekarstwo, nie odważny jest, moim zdaniem, ale szalony albo tchórzliwy. Ja nie chcę okaleczać człowieka, ale go uleczyć.

I dlatego z góry wznoszącej się nad miastem zaniósłem do Boga taką modlitwę:

\* \* \*

„Przyszli do mnie ludzie, Panie, i dopominają się, abym powiedział, jaki sens ma ich życie. Oczekują ode mnie prawdy o sobie, ale ta prawda, Panie, nie jest jeszcze gotowa. Oświeć mnie. Wyrabiam ciasto na chleb, aby stwardniało w sprężyste włókna. Ale nie czuję ich jeszcze i wiem, co to znaczy nieczyste sumienie

w nie przespane noce. Wiem także, co to lenistwo gotowego owocu. Gdyż wszelkie stworzenie musi się najpierw zanurzyć w czasie, aby w nim się stawać.

Przynoszę Ci, bezładnie zmieszane, pragnienia, potrzeby, życzenia. Składają je jedne na drugich na moim warsztacie, jak budulec, z którego można złożyć konstrukcję, aby go z czasem wchłonęła w siebie świątynia albo statek.

Ale ja nie chcę poświęcać potrzeb jednych na rzecz potrzeb innych ani wielkości jednych na rzecz wielkości drugich. Pokoju jednych — pokojowi drugich. Poddam ich wszystkim sobie wzajemnie, aby się stali wspólną świątynią lub statkiem.

Gdyż pojąłem, że poddawać, to tyle co otrzymywać i znajdować miejsce. Poddaję kamień świątyni i już nie leży, przypadkowy, na placu budowy. Budując statek zrobię użytek z każdego gwoźdźca.

Nie będę słuchał, co mówi większość, gdyż ludzie nie widzą statku, który góruje nad nimi. Gdyby większość stanowili kowale, poddaliby stolarzy prawdziwie kowalskiej i nie powstałby przenigdy statek.

Nie zaprowadzę też pokoju, jaki panuje w mrowiskach, poprzez ślepy wybór oraz instytucje kata i więzienia, choć wtedy istotnie nastalby pokój; ale człowiek ukształtowany przez mrowisko byłby stworzony tylko dla mrowiska. A po cóż mi przedłużać ludzki gatunek, jeżeli zgubi on po drodze to, co niósł przez stulecia? Posiadanie naczynia jest rzeczą pilną, ale dopiero płyn, który je wypełnia, stanowi o wartości.

Nie będę także godził. Gdyż godzić to przestawać na obrzydliwości, jaką tworzy letnia mieszanina — pogodzone ze sobą napoje lodowate i gorące. A ja chcę ocalić smak człowieczeństwa. Bo wszystko, czego ludzie szukają, jest godne pragnienia, i wszystkie ludzkie prawdy są oczywiste. Ja mam stworzyć wizerunek, który je wchłonie wszystkie. Gdyż wspólną miarą prawdy stolarzy i prawdy kowali jest statek.

\* \* \*

Nadejdzie chwila, Panie, kiedy ulitujesz się nad moim rozdarciem — albowiem niczego nie chciałem odrzucać. Bo pragnę z całej duszy łagodnej pogody, w której blasku stają pokonane przeciwieństwa, a nie pokoju — zawieszenia broni, w którym miłość miesza się z nienawiścią.

Kiedy się oburzam, Panie, to dlatego, że nie wszystko jeszcze rozumiałem. Kiedy zamykam w więzieniu albo skazuję na śmierć, to dlatego, że nie umiałem ochronić przed złem. Gdyż człowiek obstający przy jakiejś kruchej prawdzie, który na przykład wyżej stawia wolność niż przymus albo przymus niż wolność, a nie panujący nad językiem, w którym pełno słów nie więcej wartych od plew, pieni się ze złości, kiedy mu ktoś zaprzecza. Jeżeli krzyczysz, to dlatego, że brak

siły twojej mowie i chcesz zagłuszyć słowa innych. Ale czym miałbym się, Panie, oburzać, skoro wstąpiłem na Twoją górę i zobaczyłem, jaka, mimo niedoskonałości słów, dokonuje się praca. Przyjmę każdego, kto do mnie przyjdzie. Zrozumiem każdego, kto błędząc będzie powstawał przeciwko mnie, i będę do niego mówił łagodnie, aby przyszedł powtórnie. A w tej łagodności nie będzie nic z ustępstwa, niskich pochlebstw ani odwoływania się do pomocy; płynąć będzie ona tylko stąd, że w człowieku jasno odczytam jego wzruszające pragnienia. I uczynię je moim własnym pragnieniem, ponieważ wchłonę w siebie także tego człowieka. Złość nie zaślepia — ona się rodzi ze ślepoty. Oburzasz się na kobietę pełną gniewnej zawiści. Ale ona odsłania suknię i widzisz, że jest chora na raka, i przebaczasz. Czy będziesz się irytował na widok takiej rozpaczy?

Pokój, o którym myślę, zdobywa się przez cierpienia. Godzę się na okrucieństwo nie przespanych nocy, ponieważ zdążam ku Tobie, który jesteś wypowiedzianym słowem, wymazaniem pytań i ciszą. Jestem drzewo powoli rosnące, ale przecież drzewo. I dzięki Tobie wchłonę w siebie żywotne soki ziemi.

\* \* \*

Zrozumiałem dobrze, o Panie, że duch góruje nad intelektem. Intelekt rozpatruje budulec, ale tylko duch widzi statek jako całość. I jeżeli zamierzam zbudować statek, znajdują się tacy, którzy mi użyczą intelektu, aby przyozdobić, wyrzeźbić, utrwalić i jasno ukazać stworzone przeze mnie oblicze.

Dlaczego by mi mieli odmawiać pomocy? Przecież w niczym ich nie ograniczam, a przeciwnie — każdego z nich wyzwalam, aby szedł za swoją miłością.

Robotnik w tartaku nie przygotowuje mniej desek dlatego, że mają to być deski na statek.

Nawet obojętni, którzy nie mają przeznaczonych dla siebie miejsc, zwrócą się ku morzu. Każda istota bowiem pragnie zwracać się ku temu, co ją otacza i wchłania to w siebie.

Kto nie potrafi pomagać w budowie statku, nie będzie też umiał przewidzieć ludzkiej przyszłości. Gdyż zgromadzony budulec jeszcze niczego nie mówi o nim samym. Nie narodzi się, jeżeli się nie narodzi w bycie. Kamienie dopiero zebrane w jakąś całość zdolne są oddziaływać bezbrzeżną ciszą na ludzkie serca. Kiedy ziemię przerastają korzenie cedru, mogę przewidzieć, co dalej stanie się z ziemią. A jeśli znam budowniczego i złożone na placu budowy materiały, wiem, w jaką stronę skieruje zbudowany statek i że dopłynie do dalekich wysp”.

## CLXXV

Chcę, żebyś miał mocne fundamenty i żebyś trwał. Chcę, żebyś był wierny. Gdyż być wiernym, to przede wszystkim być wiernym sobie. Nie spodziewaj się niczego dobrego, jeżeli zdradzisz; bo muszą być mocne te więzi, które cię poprowadzą, dadzą życie, staną się twoim sensem i światłem. Tak i z kamieniami świątyni. Nie rozsypuję ich bezładnie, aby co dzień stawiać piękniejsze świątynie. Jeżeli sprzedasz ojcowiznę, aby kupić inną, może na pozór cenniejszą, utracisz przecież coś, czego już nie odnajdziesz. Czemu się nudzisz w nowym domu? Wygodniejszy jest od dawnego, nędznego, taki, jak sobie życzyłeś. Męczyły ci się ramiona u studni i chciałeś mieć fontannę. Oto ją masz. Ale brakuje ci teraz śpiewu koła u studni i wody wyciąganej z wnętrzości ziemi, migoczącej, gdy ją wydobyć na słońce.

To nieprawda, że nie chcę, żebyś się wspinał na szczyt i wznosił ku górze, żebyś kształtował się i pragnął o każdej porze iść naprzód. Ale czym innym jest fontanna, którą upiększasz swój dom, a która jest dziełem i zwycięstwem twoich rąk, a czym innym osiedlenie się w cudzej skorupie. A także czym innym kolejne wysiłki zmierzające w tym samym kierunku, jak dbałość o wzrastające bogactwo świątyni (gdyż są one jak wzrost drzewa zgodnie z jego naturą), a czym innym przeprowadzka dokonana bez miłości.

Nie ufam ci, kiedy odcinasz się od przeszłości, bo to niesie zagrożenie najcenniejszemu dobru, które nie mieści się na płaszczyźnie rzeczy, ale sensu rzeczy.

Emigranci zawsze wydawali mi się smutni.

Apeluję do ciebie o otwartość umysłu, gdyż w przeciwnym razie możesz paść ofiarą słów. Czasem człowiek sensu swojego życia upatruje w podróży. Wróciwszy z jednej wyprawy wyrusza na drugą i nie twierdę bynajmniej, że będzie tym zubożony. Ciągłość to dla niego właśnie podróż. Ale inny człowiek kocha swój dom, i to stanowi o jego ciągłości. Jeżeli się będzie co dzień przeprowadzał, nigdy nie będzie szczęśliwy. Mówiąc o plemionach osiadłych nie mówię bynajmniej o ludziach, którzy nade wszystko kochają swój dom. Mówię o takich, którzy już domu nie kochają, a nawet go nie widzą. Bo i dom może być wieczną walką i zwycięstwem, o czym dobrze wie twoja żona, kiedy go buduje na nowo każdego rana.

\* \* \*

Posłuchaj, co ci powiem o zdradzie. Jesteś splotem różnorodnych związków i niczym innym. Istniejesz dzięki twoim więziom, a one istnieją dzięki tobie. Świątynia istnieje dzięki każdemu z kamieni. Usuniesz jeden, a ona padnie w gruzy. Stanowisz część świątyni, ojcowizny, królestwa i one istnieją dzięki tobie. Nie do ciebie należy osądzać, jak osądza ktoś, kto przychodzi z zewnątrz i nie jest, tak jak ty, powiązany. Ty sądząc osądzasz siebie samego. To jest twoje brzemień, ale i twoja radość najwyższa.

Gardzę człowiekiem, który oczernia własnego syna, kiedy syn zgrzeszył. Syn jest jego częścią. Powinien go napomnieć i potępić — a to, jeśli go kocha, będzie dla niego samego okrutną karą — i bezlitośnie wbić mu prawdę do głowy, ale nie skarżyć się na niego na każdym kroku. Gdyż w tym przypadku zrywa więź solidarności z synem, przestaje być ojcem, a zyskuje w zamian spokój, którego istotą jest uboższa egzystencja i który przypomina spokój umarłych. Ludzie nie wiedzący już, z czym są solidarni, wydawali mi się zawsze biedni. Patrzyłem, jak szukają dla siebie jakiejś religii, jakiejś grupy, sensu, i jak zabiegają, aby się w coś włączyć. Ale wszędzie przyjmowano ich nie naprawdę. Włączyć się naprawdę można tylko poprzez korzenie. A człowiek chce wrastać, chce nieść ciężar praw i obowiązków, i odpowiedzialności. Ale w życiu nikt nie bierze na siebie ciężaru drugiego człowieka, tak jak na placu budowy, na rozkaz majstra, bierze ciężar kamieni. Jeżeli opuszczasz jedne sztandary dla drugich, stajesz się dezerterem i człowiekiem o pustym wnętrzu.

Pochwalam ojca, który sobie przypisuje hańbę, jeśli syn zgrzeszył, przywdziewa żalobę i czyni pokutę. Gdyż syn jest jego częścią. Łączy go z synem mocna więź, a więc jest mu jakoś poddany, ale i syn jest mu poddany. Każda droga prowadzi bowiem w obie strony. Jeżeli odmawiasz odpowiedzialności za klęskę, nie będziesz też odpowiedzialny za zwycięstwo.

Jeżeli kochasz kobietę twojego domu — żonę, a ona grzeszy, nie łącz się z tłumem, który ją osądza. Ona jest twoją częścią i siebie najpierw osądź, bo jesteś za nią odpowiedzialny. Może twój kraj poniósł klęskę? Musisz się najpierw sam osądzić: jesteś przecież jego częścią.

Z pewnością pojawią się cudzoziemcy, świadkowie klęski, i będziesz się musiał przed nimi rumienić ze wstydu. Żeby się ze wstydu oczyścić, odrzekniesz się win twojego kraju. A przecież musisz być z kimś solidarny. Czy z tymi, którzy plują na twój dom? Oni mieli rację, powiesz. Być może. Ale ja chcę, żebyś był częścią własnego domu. Odstąp od tych, którzy plują. I nie pluj sam. Wróć do siebie i wołaj: „Dlaczego jestem tak szpetny w was wszystkich?” To oni wszyscy swoimi czynami okryli cię wstydem — ale jeśli przyjmiesz na siebie ten wstyd, twoje czyny mogą ich wszystkich uczynić piękniejszymi. A zarazem sam się staniesz piękniejszy.

Nie chcesz pluć — to nie znaczy, że chcesz ukryć winy; ale chcesz przyjąć swój udział w winach, aby się z nich oczyścić.

Ci, co zrywają solidarność i sami szczują obcych, wołają: „Patrzcie na to zepsucie, ale to nie ja. . .” Powiedzą potem, że są solidarni z ludzkością, z cnotą albo z Bogiem. Ale będą to puste słowa, jeżeli nie będą za nimi stały prawdziwe więzi. Bóg zniża się, zstępuje z wysokości aż w twój dom i staje się w nim. A dla prostaczka zapalającego świecę Bóg staje się powinnością zapalania świec. A dla tego, kto czuje solidarność z ludźmi, „człowiek” nie jest słowem, jakich pełno w słowniku, „człowiek” to ci, za których jesteś odpowiedzialny. O ileż łatwiej odsunąć się na osobność, głosząc, że Bóg to więcej niż zapalanie świec. Ale ja nie wiem, co to „człowiek”, wiem tylko, co to „ludzie”. Nie wiem, co to „wolność”, a tylko, co „wolni ludzie”. I nie „szczęście”, ale „ludzie szczęśliwi”. Nie „piękno”, ale „piękno rzeczy”. Nie „Bóg”, ale żarliwość zapalanych świec. Ci zaś, którzy gonią za istotą rzeczy nie rodząc się do nich, okazują tylko własną próżność i pustkę swoich serc. Ani żyć nie potrafią, ani umierać, gdyż nie żyje się i nie umiera w słowach.

A zatem człowiek, który osądza, a z nikim nie czuje się solidarny, osądza samego siebie. Natykasz się na jego próżność jak na ślepy mur, gdyż jemu chodzi o własny obraz, a nie o miłość. Nie chodzi o niego powiązanego z czymś, ale o niego jako przedmiot, na który można patrzeć. Co nie ma sensu.

Będziesz może twierdził, że podajesz się za czystego, aby oczyścić tym samym ludzi, z którymi jesteś związany przynależnością do wspólnego domu, ojcowizny, królestwa, a którzy przynoszą ci wstyd. Ale to fałsz: nie czujesz się z nimi związany; stojąc wobec świadków — uniewinniasz tylko siebie. I słusznie ci ktoś powie: „Jeżeli oni są tacy jak ty, dlaczego nie stoicie tu razem, dlaczego wszyscy nie plujecie? . . .” Pograżasz ich jeszcze głębiej we wstydzie i karmisz się ich nieszczęściem.

Bywa, oczywiście, że ktoś oburzony podłością, występkami i hańbą własnego domu, ojcowizny czy królestwa, odchodzi gdzie indziej szukać życia godnego. Jest wtedy znakiem godności swoich bliskich. Coś, co z godności jeszcze tam pozostało, wysyła go w świat. Jest znakiem tego, że inni także starają się wyjść ku światłu. Ale niebezpieczne to zadanie, gdyż potrzeba mu wtedy jeszcze więcej cnót niż w obliczu śmierci. Spotka z pewnością ludzi, którzy powiedzą: „Ty należysz do nich, jesteś częścią tej zgnilizny!” A on uniesie się honorem i odpowie: „Tak, ale ja od nich odszedłem”. A sędziowie powiedzą: „Niechaj ci, co są czyści, odejdą. Ci, co zostaną, są zgnilizną”.

I uczczą cię wtedy dymem kadzideł, ale — ciebie jednego. A nie w tobie — twoich bliźnich. I będziesz sarn, tak jak samotny jest człowiek pyszny, samotnością śmierci.

Odchodząc niesiesz w sobie groźne przesłanie. Bo cierpiąc byłeś znakiem ich godności. A teraz oddzieliłeś ich od siebie.

\* \* \*

Tylko wtedy pozostaniesz wierny, kiedy czyniąc ofiarę z własnej próżności, Odpowiesz: „Ja myślę tak jak oni, nie ma między nami różnic”. A wtedy spadnie na ciebie pogarda.

Ale nie przejmiesz się pogardą, ponieważ jesteś częścią większej całości — jakby częścią ciała. Możesz wpływać na to, jakie ono będzie. Przelejesz w nie swoje upodobania. Jego chwała stanie się twoją chwałą. Nie ma przed tobą innej drogi, innej nadziei.

Jeżeli wstydzisz się i masz rację po temu, nie okazuj tego. Nie mów. Wstyd przetrawiaj w swoim wnętrzu. Dobrze ci zrobi taka kuracja — zmusi cię, żebyś się sam odnowił, na terenie własnego domu. Bo dom od ciebie zależy. Ale człowiek o chorych rękach i nogach nie odetnie ich sobie. Byłby szaleńcem. Możesz pójść na śmierć, żeby tym podnieść szacunek wobec twoich bliskich, ale nie wolno ci się ich wyprzeć, gdyż wyparłbyś się zarazem siebie.

Twoje drzewo jest i dobre, i złe. Nie wszystkie owoce podobają ci się. Ale są wśród nich i piękne. Zbyt łatwo byłoby pysznić się pięknymi, a wypierać pozostałych. Bo są różnymi aspektami tego samego drzewa. Zbyt łatwo byłoby wybierać sobie pewne gałęzie, a reszty się wyrzekać. Możesz być dumny z tego, co piękne. Jeżeli zaś złe weźmie górę, zamilknij. Stań się jednym z całością pnia i spytaj: „Co powinienem zrobić, żeby ten pień uleczyć?”

Kto emigruje na płaszczyźnie uczuć, lud go się wyprze i on się wyprze ludu. Nie może być inaczej. Zgodziłeś się na innych sędziów, więc słusznie, że teraz inni ludzie staną ci się bliscy. Ale ta ziemia nie będzie twoją ziemią i umrzesz od tego.

To twoja istota czyni zło. A błędzisz chcąc rozróżniać i rozdzielać. Niczego ci nie wolno odrzucić. Złe się tu czujesz — ale tu przecież jest twoje miejsce.

Wyrzeknę się człowieka, który się wyrzeknie swojej żony albo miasta, albo kraju. Niezadowolony jesteś z nich? Ależ jesteś ich częścią. Jesteś w nich tym, co ciąży ku dobru. Masz pociągnąć za sobą całą resztę. A nie osądzać ją z zewnątrz.

Gdyż powinny być zawsze dwa osady. Jeden, kiedy ty sądzisz, ty jesteś sędzią. I drugi osąd — dotyczący ciebie.

Nie chodzi o to, aby zbudować mrowisko. Jeśli wyrzekniesz się domu, wyrzekasz się wszystkich domów. Jeżeli wyrzekniesz się kobiety, wyrzekasz się miłości. Porzucisz tę kobietę, ale już nie znajdziesz miłości.



## CLXXVI

Powie mi ktoś, że powstają przeciwko przedmiotom — a są przedmioty, które człowieka ubogacają. A także przeciw zaszczytom — a są zaszczyty, od których człowiek wzrasta. Jaka jest w tym tajemnica, skoro inne zaszczyty człowieka pomniejszają.

Rzecz w tym, że nie ma przedmiotów, zaszczytów ani nagród samych w sobie. Nabierają wartości w kręgu określonej kultury. Przede wszystkim stanowią część pewnych struktur i nadają im dodatkowego blasku. A kiedy człowiek tej strukturze służy, jest nimi wzbogacony. Tak jest w zespole ludzkim, jeśli jest naprawdę zespołem. Kiedy jeden z zespołu otrzyma nagrodę, wszyscy pozostali czują się bogatsi. A ów, co uzyskał nagrodę, czuje dumę w imieniu całego zespołu i przychodzi do towarzyszy zarumieniony ze szczęścia, niosąc nagrodę w rękę. Ale jeżeli nie jest to zespół ludzi, a suma poszczególnych jednostek, nagroda będzie miała znaczenie tylko dla tego, kto ją otrzymał. A on będzie pogardzał pozostałymi, że nic nie otrzymali. Pozostali zaś będą w stosunku do nagrodzonego odczuwać zawistną nienawiść. Wszyscy będą się czuli dotknięci. Tak oto te same nagrody dla pierwszych będą motywem uszlachetnienia, a dla drugich — znikczemnienia. Gdyż tylko to przynosi człowiekowi korzyść, co buduje drogi wymiany pomiędzy nim a innymi.

Tak i młodzi porucznicy w moim wojsku marzą, by umrzeć za królestwo, a ja nadaję im stopień kapitana. Mianowani chodzą w chwale: i czy może tu być coś, co by ich pomniejszało? Stali się jeszcze gorliwsi, jeszcze bardziej skorzy do poświęceń. A nie tylko oni stają się szlachetniejsi, ale i ich zwierzchnik. Podobnie, kiedy tego, kto najlepiej służy statkowi, mianuję kapitanem: będzie pijany ze szczęścia i on, i jego oficerowie. Podobnie kobieta będzie szczęśliwa, że jest piękna, bo rozjaśnia serce ukochanego mężczyzny. Diament jeszcze jej doda blasku. Doda też blasku miłości.

Ktoś kocha swój skromny dach. Z myślą o nim wiele pracował, wiele mu nocny poświęcił. Wciąż mu jednak brakuje paru dywanów z puszystej wełny albo srebrnego imbryka na herbatę, którą piją z ukochaną, zanim nadejdzie godzina miłości. I oto pewnego wieczora, po wielu trudach, cierpieniach i nie przespanych nocach, wchodzi do kupca i kupuje najpiękniejszy dywan, najpiękniejszy dzba-

nek na wodę — tak jak się wybiera przedmioty kultu. I wraca, zaczerwieniony z dumy, czując, że tego wieczoru jego dom stanie się prawdziwym domem. Zaprasza wszystkich przyjaciół, aby pijąc z nim herbatę, uczcili nabycie dzbanka. I jest naprawdę wzruszający, kiedy w czasie tego przyjęcia przemawia — on, zazwyczaj tak nieśmiały. Gdyż dokonało się jakieś powiększenie człowieka, który teraz więcej będzie gotów poświęcić dla swojego domu, ponieważ ten dom stał się piękniejszy.

Jeżeli jednak człowiek nie służy żadnemu królestwu, a zaszczyt, przedmiot albo uznanie przeznaczone są tylko dla niego, jest tak, jakby je wrzucił do pustej studni. Zostaną pochłonięte. A człowiek, czując się coraz bardziej nienasycony i spragniony, będzie się stawał coraz bardziej chciwy. I niepojęta gorycz ogarnie go w puste wieczory na widok przedmiotów, których tak pożądał. „Marność przedmiotów, powie wtedy, wszystko marność. . .”

Ale kto tak woła, woła dlatego, że chciał, aby one jemu służyły. I nie odnalazł samego siebie.

## CLXXVII

Posłuchaj, co ci powiem, i patrz, jaki otrzymasz znak. Zwrócę ci twoich bogów. Niektórzy wierzyli w anioły, demony i geniusze. Wystarczyło im sobie tylko wyobrazić, a już zaczynały działać. Podobnie ledwo sformułowano pojęcie miłosierdzia, już ogarnęło ono ludzkie serca. Człowiek miał źródło bijące wodą. Nie tylko kamienną cembrowinę zniszczoną przez wiele pokoleń, nie tylko śpiew wody napełniającej basen, nie tylko jej obfitość nagromadzoną w zbiorniku niczym owoce w koszu (a woły szły do poidła, gdzie czekała woda już nagromadzona), nie tylko wodę śpiewającą i ciszę wody w basenie i jej ruchliwy chłód na dłoniach, a nocą wodę drżącą od gwiazd i słodką dla spragnionych ust. Miał ponadto bóstwo źródła, w którym to wszystko stawało się jednością. I dzięki niemu woda skacząca z kamienia na kamień i obmurowanie, i kamienna rynna, i koryto, i powolna procesja wołów nie rozpraszały się w różnorodność tworzywa. Bo to ważne: źródłami trzeba się cieszyć.

\* \* \*

Więc ja wypełnię dla ciebie noc obfitością źródeł. Wystarczy, że cię obudzę jego szmerem, nawet jeśli będzie ono gdzieś daleko. Czyż to dziwniejsze, niż gdybym ci dał czysty diament albo złote cacko, nie mające wartości użytkowej, a tylko ze względu na zbliżające się święto albo jako przypomnienie święta. Podobnie i pan ziemi — ojcowizny (która w danym momencie do niczego mu nie jest przydatna), kiedy przechadza się wiejską, biegnącą parowem drogą. To jemu właśnie rośnie serce na myśl o stadach i zagrodach, i śpiących jeszcze pracownikach, i okrywających się kwiatami migdałowcach, i kłosach ciężkich, gdy je wypełni ziarno. Choć wszystkiego tego nie widzi w danym momencie, za wszystko czuje się odpowiedzialny. A dzieje się tak za sprawą owej boskiej więzi łączącej rzeczy, która całą ojcowiznę spaja w jedno bóstwo, mocniejsze od murów i mórz. Tak i ja chcę, żeby nocą nawiedzał cię bóg źródeł, nawet jeżeli właśnie giniesz z pragnienia na pustyni albo do ostatniego tchu trudzisz się odkopywaniem studni, którą zasypał piach. Wystarczy, że ci powiem po prostu, że źródła są jak śpiewające serce sadu: jabłoni, migdałowców i pomarańczowych drzew (bo drzewa żyją dzięki

nim, a kiedy serce to przestaje bić — umierają), a już się staniesz bogatszy. Podobnie żołnierz o świcie, którego widzę na pustyni, gdzie moje wojsko jest jak ziarno rzucone w ziemię, jest spokojny i pewny siebie — po prostu dlatego, że gdzieś daleko jest jego ukochana; jakby martwa, bo nieobecna i może właśnie śpiąca, i na nic mu w danym momencie nieprzydatna, ale jej głos, gdyby go mógł usłyszeć, byłby dla niego jak pieśń.

Nie można zabić twoich łagodnych bóstw; ale mogą umrzeć bezgłośnie jak gołębnice, których martwych ciał człowiek nie odnajduje. Nie będziesz nic wiedział o ich śmierci. Nadal będzie obmurowany basen i woda w nim, i szmer wody, i cynowe usta rury, i mozaika, a ty, choćbyś wyliczył na palcach to wszystko, nie zorientujesz się, co utraciłeś, bo nie utraciłeś niczego z sumy elementów, a tylko ich życie.

Na dowód przyniosę ci, jak podarunek, słowo w wierszu. Połączę je z nowymi bóstwami, które też tak powoli się rodziły. Gdyż jednym z nich na przykład jest twoja wioska, kiedy śpi w bogactwie słomianych strzech, ziarna i rolniczych narzędzi; z ładunkiem pragnień, pożądliwości i gniewu, i współczucia; i ze staruszką, która umrze niebawem jak dojrzały owoc, opuszczający drzewo, które go wydało; i z dzieckiem, które się narodzi, i ze zbrodnią, która zostanie popełniona i jak choroba zamąci bytowanie wioski; z pożarem zeszłorocznym, który pamiętasz, bo pomagałeś przy gaszeniu; i z budynkiem rady, gdzie zbierają się starsi, tak dumni z tego, że kierują wioską poprzez czas niby statkiem, choć to tylko rybacka łódź i nie czeka jej pod gwiazdami żaden wielki los.

Mogę więc powiedzieć: „... źródło w twojej wiosce”, a serce się w tobie obudzi i po trochu nauczę cię wędrować ku Bogu; tylko wtedy będziesz zaspokojony, gdyż wędrując od znaku do znaku osiągniesz Jego — oblicze odczytywane na płótnie, Jego — sens księgi, której ja wypowiadam słowa, Jego — Mądrość, Jego, który jest, Jego, od którego wszystko otrzymujesz z powrotem, gdyż na każdej płaszczyźnie On spaja elementy, aby wydobyć z nich sens, On, który jest również Bogiem wiosek i źródeł.

Ludu ukochany, utraciłeś ów miód, który nie z rzeczy jest, ale z sensu rzeczy, i choć jest w tobie nadal skwapliwa chęć życia, nie widzisz już przed sobą drogi. Znałem człowieka, który był ogrodnikiem i umierając zostawił ogród leżący odłogiem. „Kto będzie przycinał moje drzewa... Kto będzie siał kwiaty?...”, skarżył się. Chciał jeszcze żyć, żeby dbać o swój ogród, gdyż miał w zapasie przeróżne nasiona kwiatów, starannie przygotowane do siewu, a w szopie narzędzia do uprawy ziemi, a u paska — nóż, którego zadaniem było odmładzać drzewka. Ale wszystko to było już teraz bezładną zbieraniną przedmiotów, które nie łączyły się w wyraz kultu. Podobnie jest z zapasami, które zgromadziłeś. Słomiana strzecha i nasiona przygotowane do siewu, zazdrość, współczucie i kłótnia, staruszki, które niebawem umrą, cembrowina studni, mozaika i śpiew wody — wszystkiego

tego jeszcze nie umiałeś stopić w jedno poprzez cud owej boskiej więzi łączącej rzeczy, a tylko ona niesie ulgę umysłowi i sercu, i spaja je w wioskę i w źródło.

## CLXXVIII

Ponieważ nie słuchałem ludzi, więc usłyszałem, co mówią. Mądrzy i niemądrzy. I te kobiety, które czyniły zło dla samego zła. Bo nie znajdowały w nim żadnej innej radości, poza płomieniem, obejmującym twarz i jakimś niejasnym uczuciem, w którym jest coś z ruchów pantery, kiedy wyciąga niebieską łapę, żeby uderzyć i ogłuszyć.

Widziałem w tym jakiś odblask ognia, który płonie w wulkanie: energię nie zatrudnioną i niczemu nie poddaną. Ale zarazem ognia, z którego powstało słońce. A ze słońca kwiat. Podobnie kiedy uśmiechasz się rano albo zwracasz do ukochanej, to poprzez łańcuch przyczyn i skutków staje się to sensem wielkiej rzeczy. Gdyż wystarczy obecność magnetycznego bieguna, żeby zaczął się w tobie proces krystalizacji i narodzin.

Ale te kobiety mają tylko energię ognia, który pali. . .

Widzisz, jak to jest z drzewem: wydaje się na pozór snem, umiarem i powolnością, i trwającą dokoła wonią, która buduje jego królestwo; a przecież może się stać pokarmem pożaru czy wybuchu, który na zawsze roztrwoni tę energię. Podobnie i z ciebie, z twojego skrywanego gniewu i z zazdrości, z podstępów i żaru zmysłów, sprawiającego, że taka trudna jest dla ciebie noc, chcę zbudować napełnione pokojem drzewo. Nie odbierając ci nic. I podobnie jak ziarno stające się drzewem kryje w sobie słońce i nie pozwala mu odejść, topić lody i wraz z nim tworzyć błoto, tak i ziarno duchowe zbuduje cię w twoim ciele, niczego nie odrzucając i nie tłumiąc, ale stapiając twoje tysiączne cechy w jedność.

Dlatego zamiast mówić: „Przyjdź, a ja odrzucę, co zbędne, przytnę i nadam kształt”, powiem: „Przyjdź, a ja sprawię, że się narodzisz dla siebie”. Ty mi przyniesiesz nie uporządkowany budulec, a ja ci zwrócę ciebie — już jednego. To nie ja w tobie idę. To idziesz ty sam. Ja jestem dla ciebie tylko wspólną miarą — niczym więcej. Czasem kobieta, rozgorączkowana, rozmyśla nad złem. Gdyż do zła ją skłania okrucieństwo upalnych nocy, kiedy nie może sobie znaleźć miejsca, i nie potrafi się stawać, złamana, opuszczona i ogarnięta zamętem. Niedobra z niej strażniczka wydanego na łup miasta. I widzę, jak nie wie, co zrobić ze swoim nie uporządkowanym budulcem. Więc woła śpiewaka, żeby śpiewał: „Nie, niech już idzie!” Woła drugiego i trzeciego. I zamęcza ich. Wreszcie podnosi się znużona

i budzi przyjaciółkę. „Nie ma lekarstwa na moją nudę! Pieśni nie przynoszą mi rozrywki...”

A więc może miłość: z tym, tamtym, z jeszcze innym... Zbiera ich, jakby gromadziła trofea. Ponieważ szuka w nich swojej jedności i nie może znaleźć. Nie jest to bowiem przedmiot, który można znaleźć wśród innych przedmiotów.

A ja przyjdę w ciszy. Stanę się niewidocznym szwem zablizniającym ranę. Nie zmienię nic w elementach budulca ani nawet ich miejsca, tylko zwrócę im sens: niewidoczny kochanek, który każe się stawać.

## CLXXIX

Jesteś instrumentem muzycznym bez muzyka i zachwycają cię dźwięki, które z ciebie płyną. Widziałem dziecko, które trącało struny i śmiało się wesoło z władzy swoich rączek. Ale mnie dźwięki nie wystarczają, ja chcę cię przenieść w moje wnętrze. Co prawda ty nie masz czego przynieść, skoro cię nie ma: zaniedbałeś tego, aby się stać. Więc trącasz struny przypadkowo, oczekując jakiegoś dźwięku dziwniejszego od innych. Draży cię nadzieja, że natkniesz się w ten sposób na dzieło, które właśnie powstaje (tak jakby to był owoc, który można znaleźć koło siebie, nie w sobie), i że złowisz powstający własny twój poemat.

Ale ja chcę, żebyś się stał ziarnem, szukającym dokoła pokarmu poezji. Chcę, żebyś miał duszę już ukształtowaną, gotową do miłości — a nie szukającą w wiecznym wietrze kogoś, kto cię pojmie i podbije; bo nie ma w tobie nic, co by było godne podboju.

Tylko tak możesz czcić miłość.

I tylko tak możesz czcić sprawiedliwość — w odróżnieniu od czynów sprawiedliwych. Gdyż bez trudu staniesz się niesprawiedliwy w konkretnych sytuacjach, żeby sprawiedliwości uczynić zadość.

Będziesz także czcił miłosierdzie, ale łatwo staniesz się okrutny w konkretnych sytuacjach, żeby miłosierdziu uczynić zadość.

Będziesz czcił wolność, ale w więzieniach zamkniesz całe zastępy tych, którzy śpiewają inaczej niż ty.

Ja znam tylko sprawiedliwych ludzi, a nie sprawiedliwość. Ludzi wolnych, ale nie wolność. Ludzi ożywionych miłością, ale nie miłość. Podobnie nie znam ani piękna, ani szczęścia, a tylko szczęśliwych ludzi i piękne przedmioty.

Ale najpierw trzeba działać i budować, uczyć się i tworzyć. Nagroda przychodzi potem.

Ci jednak, którzy wylegują się w pysznych łóżach, uważają za prostsze osiągnąć abstrakcję, nie budując wpierv różnorodnej rzeczywistości. Tak jak palacz opium, który za parę groszy funduje sobie upojenie twórcy.

Ci ludzie przypominają prostytutki, bezwolne jak liście na wietrze. Ale kto i kiedy przyniesie im miłość?



## CLXXX

Gardzę opasłą zamożnością i znoszę ją tylko wtedy, kiedy jest warunkiem czegoś, co ją przewyższa; podobnie jak wulgarny smród ścieków jest koniecznym warunkiem oczyszczania miasta. Bo wiem już, że naprawdę nie istnieją przeciwieństwa i że doskonałość równa się śmierci. Znoszę więc także złych rzeźbiarzy, którzy są warunkiem pojawienia się rzeźbiarzy dobrych, i zły gust jako warunek gustu dobrego, wewnętrzny przymus jako warunek wolności i opasłą zamożność jako warunek wznoszenia się; ono nie rodzi się z niej, ani jej nie służy, ale rodzi się z tych i dla tych, którzy w zamożności znajdują pokarm. Zamożność bowiem, płacąc rzeźbiarzowi za rzeźbę, spełnia rolę przydatnego magazynu, skąd dobry poeta zaczerpnie ziarna na codzienny chleb. Ziarno zostało zrabowane rolnikowi, który w zamian może dostać tylko wiersz, absolutnie mu zbędny, albo rzeźbę, której mu nawet nie pokażą. Ale gdyby nie ten rabunek, nie pozostałby przy życiu ani jeden rzeźbiarz — więc mniejsza z tym, czy ów magazyn nosi imię konkretnego człowieka. W gruncie rzeczy jest tylko drogą, sposobem przekazywania.

Może mi zarzucisz, że magazyn zboża zamienia się w magazyn poezji, rzeźby i pałacowej świetności, krzywdząc w ten sposób oczy i uszy ludu. Ale ja ci odpowiem, że przede wszystkim próżność zamożnego brzuchacza skłoni go do prezentowania skarbów wszystkim wokoło; tak jest w każdym razie w przypadku pałacu, ponieważ kultura nie polega na używaniu stworzonych przedmiotów, ale na twórczej namiętności; i tak jest, o czym już mówiłem, w niektórych królestwach słynących ze sztuki tańca, choć tańca nie można zmagazynować ani umieścić, czy to w gablotach zamożnego brzuchacza, czy w muzeum przeznaczonym dla ludu.

Jeżeli zaś mi zarzucisz, że zamożny brzuchacz jest — można niemal przyjąć — człowiekiem o pospolitych gustach i daje pierwszeństwo poetom tanich wzruszeń oraz twórcom rzeźb, które są „jak żywe”, odpowiem: to nie takie ważne. Jeżeli bowiem chcę kwiatu z danego drzewa, muszę przyjąć całe to drzewo, takie jakie jest, i tak samo zgodzę się na dziesięć tysięcy kiepskich rzeźbiarzy, aby pojawił się jeden, który jest coś wart. Niech więc powstanie dziesięć tysięcy magazynów dobieranych ze złym gustem, ale wśród nich i ten jeden, gdzie dobór będzie mądry.

Co prawda, choć nie ma w gruncie rzeczy przeciwieństw i choć morze jest koniecznym warunkiem istnienia statków, są też statki, które morze pochłania. Zdarza się też zamożny brzuchacz, który nie jest pośrednikiem i narzędziem, a zatem — warunkiem, i pożera dobro ludu dla samej przyjemności trawienia. Morze nie powinno pożerać statków ani przymus niszczyć wolności, ani zły rzeźbiarz — dobrego, ani zamożny brzuchacz — królestwa.

Czy logika może tu podsunąć jakiś system, broniący przed niebezpieczeństwem? Nie ma takiego systemu. Nikt nie pyta, jak zorganizować kamienie, aby utworzyły razem katedrę. Katedra jest czymś z innej płaszczyzny. Z płaszczyzny architekta, który był siewcą ziarna, a ziarno czerpało swój pokarm z kamieni. Muszę istnieć i ja, a poprzez moją poezję budować pęd ku Bogu, a On wchłonie w siebie i żarliwość ludzką, i ziarno przechowywane w magazynach, i działalność zamożnego brzuchacza, i wszystko poprowadzi ku swojej chwale.

Niech nikt nie sądzi, że zależy mi na ocaleniu magazynów, dlatego że noszą czyjeś imię. Nie dla niego samego chcę ocalić smród ścieków. Czyściciel ścieków jest tylko pośrednikiem, drogą i narzędziem. Obca mi jest także nienawiść elementów budulca przeciw temu, co jest z innej płaszczyzny. Lud jest tylko pośrednikiem, drogą i narzędziem. Jestem obojętny tak na muzykę, jak na pochlebstwa pierwszych w równym stopniu co na nienawiść lub oklaski drugich; służę Bogu niezależnie od nich wszystkich, pozostając na stoku mojej góry, bardziej samotny niż odyniec żyjący w ostępie i bardziej nieruchomy niż drzewo, które z biegiem czasu przemienia kamienisty grunt w kwiaty i nasiona, ulatujące z wiatrem — i w ten sposób ślepa ziemia biegnie ku światłu. Stoję na zewnątrz fałszywych sprzeczności, skazany na nieodwołalne wygnanie, nie idąc z jednymi przeciwko drugim, ani z drugimi przeciwko pierwszym; stoję powyżej klanów, partii i stronnictw, walczę w imieniu drzewa jako całości, a przeciw odrębnym jego elementom, i w interesie tych właśnie elementów, a w imieniu drzewa; i kto przeciw mnie podniesie bunt?

## CLXXXI

Zobaczyłem przed sobą następującą trudność: jak doprowadzić mój lud do światła prawdy poprzez czyny, a nie poprzez słowa? Gdyż życie trzeba budować tak jak świątynię, aby ukazało się jego oblicze. A co zrobić z dniami, które są wszystkie do siebie podobne, jak kamienie równo ułożone? Postarzawszy się bowiem człowiek mówi: świętowałem święta moich ojców, nauczałem synów, potem dawałem im małżonki, a potem niektórych pobożnie grzebałem, albowiem kiedy już byli ukształtowani, Bóg ich zabierał widząc w tym swoją chwałę.

Gdyż człowiek jest jak cudowne ziarno, które ziemi nadaje rangę pieśni i ofiarowuje ją słońcu. Potem, objęty uśmiechem i spojrzeniem ukochanej, zbożu nadaje rangę światła, a ona go uczy słów modlitwy. Więc kiedy sieje ziarno, jest ono już jak wieczorna modlitwa. A ja idę powoli i rzucam ziarno pod spojrzeniem gwiazd, i nie mogę pojąć znaczenia tego gestu, jeżeli, jak krótkowidz, patrzę z nadto bliska. Z ziarna wyrośnie kłos, kłos się przemieni w ludzkie ciało, a z człowieka narodzi się świątynia na chwałę Boga. Wtedy będę mógł powiedzieć, że to zboże miało w sobie moc scalania w jedność kamieni.

Żeby ziemia stała się bazyliką, wystarczy uskrzydłone ziarenko lecące, gdzie je wiatr poniesie.

## CLXXXII

Zostawię za sobą brudę na czarnym zagonie, jeszcze wszystkiego nie zrozumiawszy. Będę szedł naprzód. . . Jestem częścią królestwa, a ono jest we mnie i nie potrafię się od niego odróżnić. Nie wolno mi oczekiwać niczego, czego sam wprawie nie zbudowałem, ale jestem ojcem synów, którym dałem życie. Ani jestem hojny, ani skąpy, ani gotowy do poświęceń, ani od innych domagający się poświęcenia, gdyż jeśli zginę na murach obronnych, nie poświęcam się dla miasta, ale dla siebie samego, cząsteczki miasta. Za to umrę, czym żyję. Jednakże tej mocnej i żywej radości, która jest przede wszystkim nagrodą, niech nikt nie traktuje jak przedmiotu na sprzedaż.

Miasto leżące w sercu pustyni stawało się dla ciebie jak purpurowy mięsisty kwiat, a dotykając go znajdowałeś nieustanną radość. Wędrując po szerokich schodach rozkoszowałeś się zakrzepłą lawiną kolorowych warzyw, piramidami mandarynek, wokół których rozciągały się krainy woni, a przede wszystkim przyprawami cennymi jak drogie kamienie: gdyż dzięki jednej szczypcie słodkiego pieprzu, którą z dalekich ziem przywiozła flotyła żaglowców strojnych w białe płótna, odnajdujesz w sobie i smak morskiej soli, i woń portowej smoły, i rzeźmiennych cugli — aromat karawan ciągnących przez jałowe bezmiary ku czardziejstwu morza. I dlatego twierdzę, że targowi korzennemu nadają patos szramy, obrzęki i stwardnienia twojego własnego hartowanego przeciwnościami ciała.

Ale co znajdzie człowiek, który nie słyszy tu znów pieśni zwycięstwa święconego oliwą płonąca w lampach?

Tak, wystarczy jeden raz zakosztować wody ze studni El Ksour! Kiedy wiem, co to ceremonia święta, źródło stanie się dla mnie pieśnią. . .

Więc będę szedł. Wrócę do pracy bez zapachu; ale jeżeli spichrze będą dla mnie tylko jak porty-etapy wędrującego zboża, nie dojrzę już różnicy między składaniem zboża w spichrze i jego spożywaniem. Kiedyś chciałem nareszcie zasiąść i zakosztować spokoju. A spokoju nie ma. I widzę, że nie mieli racji ci, którzy radzili mi trwać przy dawnych zwyczajach, wyobrażając sobie, że zwycięstwo można zamknąć i zmagazynować: a ono jest jak wiatr — spróbuj go zamknąć, a przestanie istnieć.

Szalony, kto kochając szmer żywego źródła zamyka wodę w urnie.

Stanę się, Panie, drogą i narzędziem. Idę i wracam. Pracuję, jak pracuje osioł albo koń, z cierpliwym uporem. Widzę przed sobą tylko orną ziemię, a w zawiązanej płachcie czuję na plecach sypkość drobnego ziarna. Ty sprowadź wiosnę i żniwa, zgodnie z Twoją chwałą.

Więc idę pod prąd. Zmuszam się i chodzę tam i z powrotem jak smutny patrol morzony snem, ledwo jeszcze rojący coś sobie o ciepłej zupie po to, aby bóg strażujących patroli powiedział raz na rok: „Jaki to piękny bastion... I jaki wierny... Jakie surowe narzucił sobie czuwanie!”

Ja ci wynagrodzę monotonne kroki. Przyjdę zlustrować strażę. Wezmę broń w swoje ręce. Ale będą one zarazem twoimi rękami. Poczujesz, że osłaniasz całe królestwo. Z góry obronnych murów moje oczy obejmą świetność miasta. Ty i ja, i miasto, staniemy się jednym. Poczujesz wtedy miłość jak dotknięcie ognia. A jeżeli blask pożaru będzie tak piękny, że wynagrodzi ci życie, które było jak drzewo przygotowane pieczołowicie na opał — pozwolę ci umrzeć.

## CLXXXIII

Patrząc na siebie ziarno mogłoby powiedzieć: „Ile we mnie piękna, energii i siły! Jestem cedrem. Co więcej: jestem istotą cedru”.

Ale ja twierdzę, że ono jest jeszcze niczym. Jest tylko drogą przekazu i narzędziem. Jest wykonawcą działania: niech więc działa! Niech prowadzi powoli ziemię, którą drzewo ma wchłonąć i przemienić. Niech wznosi w górę cedr ku chwale Boga. Osądzę je wedle tego, jakie wyda konary.

Ludzie otaczają szacunkiem samych siebie. Jestem taki lub inny, powiadają. Widzą w sobie pełne cudowności skarbcze. Są w nich drzwi otwarte na nagromadzone troskliwie bogactwa. Wystarczy je znaleźć choćby po omacku, a wydobędą się na zewnątrz wiersze, trochę jak przypadkowa czkawka. Ale słuchający czkawki nie przeżywają wielkich wzruszeń.

Podobnie jak czarownik murzyńskiego plemienia. Zbiera przypadkowo, ale z mądrą miną całe mnóstwo ziół, ingrediencji i dziwacznych szczątków zwierzęcych. Miesza to wszystko w wielkiej donicy w bezksiężycową noc. Wypowiada przy tym jakieś słowa, nie kończące się słowa. I oczekuje, że z owej mieszaniny powstanie niewidzialna moc, zdolna położyć pokotem oddziały wojska ciągnące ku jego lepiance. Ale nic nie widać. Więc zaczyna od nowa. Dobiera inne słowa. Dobiera inne zioła. Istotnie, nie mylił się tak bardzo w swoich ambitnych życzeniach. Albowiem i ja widziałem, jak arkusze sprasowanej masy drzewnej w połączeniu z czarnym gęstym płynem przewracają państwa. Był to mianowicie list z wypowiedzeniem wojny. Wiem, z jakiego to naczynia wydobywa się zwycięstwo. Miesza się w nim proch strzelniczy. Słyszałem, jak słaby głos, wydobywający się z piersi pojedynczego człowieka, ogarniał potem płomieniem cały lud, niby szerzący się pożar. To jeden człowiek wzywał do buntu. Ale znam także starannie ułożone kamienie, tworzące nawę ciszy.

Nigdy natomiast nie widziałem, żeby coś powstało z przypadkowo zebranych elementów, jeżeli ludzki umysł nie nadał im wspólnej miary. Potrafi mnie wzruszyć wiersz, ale nigdy nie przypisał o lży żaden bezładny zbiór liter, jak rozsypana dziecinna układanka. Albowiem nic niewarte jest ziarno, które nie znalazło sobie wyrazu, a sławi rzekomo drzewo, choć nie brało udziału w jego budowie.

Rzeczywiście dążysz do Boga. Ale nie wnioskuje, kim jesteś, już dziś z tego, kim się możesz stać. W czkawce nic nie usłyszysz. W skwarze południa ziarno, choćby cedrowe, jeszcze nie da cienia.

\* \* \*

Bezlitosna epoka budzi śpiącego archanioła. Niech pękają powijaki, niech wyjdzie z nas, niech rozbłyśnie w naszych spojrzeniach! Niech wchłonie w siebie delikatne odcienie naszej mowy. A ogarnąwszy je, niech wyda ze swego gardła prawdziwy krzyk. Wołanie nieobecnej. Krzyk nienawiści wymierzonej w goniącą sforę. Wołanie o chleb. Niech napełni sensem żniwiarza albo żniwo, albo wiatr pochylający nisko łany zbóż, albo miłość — wszystko, co rodzi się w powolnym dojrzewaniu.

Ale ty, rabusiu, idziesz w dzielnicę taniej miłości i poprzez wymyślne starania szukasz dla siebie miłosnych wzruszeń — a tymczasem rolą miłości jest, aby wzruszyła cię po prostu dłoń, którą żona najwyczałniej położy ci na ramieniu.

\* \* \*

Zdarza się istotnie, że magia i ceremoniał prowadzą człowieka, aż zostanie pojmany i przeniesiony już na inną płaszczyznę niż ta, gdzie go schwytano; tak na przykład ludzie Północy w zmieszanej woni żywicy, lakierowanego drzewa i ciepłego wosku znajdują coś, co rozplómienia ich serca. Ale jeżeli oczekując cudu, któregoś wprawdzie nie przygotował, będziesz mieszał zawzięcie przypadkowe ingrediencje, nazwę to fałszywą magią, lenistwem i zamąceniem umysłu. Zapominasz bowiem, że masz się stawać, a udajesz, że idziesz na własne spotkanie. Ginie wtedy wszelka nadzieja. I zamykają się przed tobą spiżowe wrota.

## CLXXXIV

Pełen melancholii smuciłem się myśląc o ludziach. Każdy zwracał się tylko ku sobie i nikt nie wiedział, czego pragnąć. Jakich bowiem skarbów pragniesz, jeśli je chcesz poddać sobie, żeby cię samego ubogaczyły? To prawda, drzewo szuka soków żywotnych w glebie, żeby się nimi żywić i przetwarzać. Zwierzę szuka trawy albo innego zwierzęcego ciała, aby je w sobie przetworzyć. Ty także szukasz pokarmu. Ale czego pragniesz poza pokarmem, czego ci potrzeba? Ponieważ pycha poi się dymem kadzidła, wynajmujesz ludzi, żeby cię oklaskiwali, a oni cię istotnie oklaskują. Ale oklaski zaczynają ci się wydawać czcze. Ponieważ dywany z miękkiej wełny przydają mieszkaniu przytulności, skupujesz je na mieście. Zapelniasz nimi dom. A one okazują się nieprzydatne. Zazdrościsz sąsiadowi posiadłości o królewskim przepychu. Wyrzucasz go z domu. Sam zajmujesz jego rezydencję. I okazuje się, że nic ci się w niej nie podoba. Jest jakieś stanowisko, które cię kuszą. Intrygując na prawo i lewo dążysz do niego. Osiągasz je. I okazuje się, że nie ma w nim nic cennego, zupełnie jak w opuszczonym domu. Albowiem, żeby być szczęśliwym, nie wystarczy dom, nawet wygodny, luksusowy, ozdobny i gdzie — uważając go za swoją własność — możesz sam wszystkim rozporządzać. Ponieważ nic nie jest twoje: i tak umrzesz; a ważne jest nie to, aby dom był twoim domem, a przez to był piękniejszy albo świetniejszy, ale żebyś ty był związany z domem, bo wtedy on cię może gdzieś poprowadzić; albowiem dom może się stać siedzibą twojej dynastii, twojego rodu. Przecież nie cieszysz się przedmiotami, ale drogą, którą ci przedmioty otwierają.

Cóż by to było, gdyby jakiś ponury włóczęga-egoista wiódł życie pełne zbytków i luksusów, chodząc tylko przed królewskim pałacem i wmawiając sobie, że jest księciem. „Oto mój pałac”, powtarzałyby sobie. Istotnie: prawdziwemu właścicielowi ten luksusowy pałac również do niczego w danym momencie nie jest przydatny. Nie może przebywać w paru salonach równocześnie. Czasem zamyka oczy albo czyta, albo z kimś rozmawia i wtedy nawet z tej sali, gdzie właśnie przebywa, też nic nie widzi. Albo przechadza się po ogrodzie i jest odwrócony tyłem do całej budowli. A przecież jest panem pałacu, jest z niego dumny i ta duma może go uszlachetnia, a on sercem ogarnia wszystko, nawet cichą i zapomnianą salę obrad, nawet mansardy i piwnice. Tymczasem również żebrak mógłby dla roz-



rywki wyobrażać sobie, że jest tu panem, i przechadzać się pysznie wzdłuż jego fasady, narzuciwszy na siebie, niby płaszcz z trenem, księżęcą duszę. Przecież od pana nie różni go nic poza świadomością. Jednakże niewiele by dała taka zabawa, a skłamanie uczucia okazałyby się jak sen — próchnem. Najwyżej doszłaby do głosu owa słaba zdolność mimetyczna, która każe kulić się słuchaczowi, gdy mu opowiadają o rzezi, albo odczuwać jakiś nieokreślony błogostan, gdy mu śpiewają o szczęściu.

Przyswajasz sobie i przemieniasz w siebie to, co należy do płaszczyzny ciała. Ale mylisz się, przypuszczając, że możesz robić to samo na płaszczyźnie umysłu i serca. Istotnie radość czerpana z trawionych pokarmów nie jest szczególnie bogata. Ale — co więcej — nie możesz wchłonąć i trawić ani pałacu, ani srebrnego dzbanka, ani przyjaźni bliskiego człowieka. Pałac zostanie pałacem, a dzbanek — dzbankiem. Zaś przyjaciele będą dalej żyć, jak żyli.

Ale oto ja dokonuję przemiany: żebraka, tylko pozornie przypominającego króla, gdyż wpatruje się w pałac (albo nie — nie w pałac, a w morze, albo nie, nie w morze nawet, a w Mleczną Drogę), ale nie potrafi się zdobyć na nic więcej niż na to posępne spojrzenie, przemieniam w prawdziwego króla. Choć na pozór nic nie uległo zmianie. Istotnie — w pozorach nie ma tu czego zmieniać: przecież taki sam jest pan jak żebrak. Tacy sami są dwaj ludzie: ten, co kocha, i ten, co oplakuje utraconą miłość, kiedy obaj siedzą na progu, a wieczór jest spokojny. Ale jeden z nich, może właśnie ten zdrowszy, bogatszy, mądrzejszy i o szlachetniejszym sercu, jeśli go nikt nie powstrzyma, pójdzie dziś wieczór i rzuci się w morze. A żeby więc zamienić ciebie, który może jesteś jednym z nich, w drugiego, nie potrzeba żadnej rzeczy widzialnej czy dotykanej ani też nie trzeba przemieniać twojej istoty. Wystarczy, jeżeli cię nauczę języka, który ci pozwoli odczytywać to, co cię otacza i co jest w tobie, i co stanie się dla twojego serca nowym, pełnym blasku obliczem. Wystarczy na przykład, jeśli jesteś posępny, kilka prostych kawałków drewna, ułożonych przypadkowo na desce, ale które — kiedy ci przekażę mądrość gry w szachy — wypełnią bez reszty twoje myśli skomplikowanym problemem.

Dlatego patrzę na ludzi pełen cichej miłości i nie wyrzucam im tego, że się nudzą, gdyż ta nuda nie z nich płynie, ale z ich języka; i wiem, że zwycięskiego króla, który oddycha pustynnym wiatrem, i żebraka, który pije z tej samej lotnej rzeki powietrznej, nie dzieli nic poza językiem; ale że byłoby niesprawiedliwością wyrzucać żebrakowi, nie wydobywszy go wpierw z jego pozycji, że nie odczuwa tego, co zwycięski król.

Ja wam daję klucze szerokich przestrzeni.

## CLXXXV

Widziałem obu: króla i żebraka pośród bogactwa świata, które było jak dostały miód. Ale obaj byli podobni do człowieka, który chodzi po umarłym mieście (umarłym dla niego, ale czarodziejskim poza murami domów), albo do tego, kto słucha poematu w nie znanym sobie języku, albo do tego, kto stoi obok kobiety, dla której inny zgodziłby się umrzeć, ale on zapomina nawet ją kochać. . .

Nauczę was, jaki użytek robić z miłości. Mniejsza o przedmiot kultu. Widziałem wśród ludzi cisnących się do studni człowieka, który mógłby być żyć dalej, ale on się pograżył w noc, dlatego że uciekł od niego na zew instynktu mały lisek pustynny. Patrzą na moich żołnierzy, a ich spoczynek przypomina mi innych spoczywających i ich niedola — inną niedolę. Żeby was wprowadzić w radosne uniesienie, starczyłoby, aby ta noc była nocą powrotu do domów, to wzgórze — wzgórzem, które przynosi nadzieję, ten człowiek leżący obok — oczekiwanym przyjacielem, ten baran pieczony na węglach — uczta urodzinową, te słowa — słowami piosenki. Starczy czasem jakiś budynek, jakaś melodia, zwycięstwo. . . coś, co nada wam sens. Starczy, jeżeli nauczę was zamieniać, jak dziecko, kamiki w wojenną flotę, wystarczy moment zabawy, a obejmie was, jak koronę drzewa, radosny wiatr. Ale wy jesteście tak niespójni, rozsypani na oddzielne części i nie szukacie niczego poza sobą, więc znajdujecie pustkę; cóż dziwnego? Jesteście przecież splotem różnorodnych więzi, a jeśli więzi nie ma, znajdziecie w sobie tylko głucho rozstaje. I nie ma żadnej nadziei, jeżeli jest w tobie tylko miłość samego siebie. Mówiłem już wielokrotnie, jak jest ze świątynią: kamień nie służy ani sobie, ani innym kamieniom. Ale świątynia jest porwyem kamieni, które wszystkie składają się, aby ona powstała, a ona z kolei im wszystkim służy. Może moglibyście żywić się porwyem miłości do króla, skoro jesteście królewskimi żołnierzami?

„Panie, proszę, daj mi siłę miłości! Ona jest jak sękata laska, która pomaga wejść na szczyt. Zrób ze mnie pasterza, abym ich poprowadził.”

\* \* \*

A teraz powiem ci, jaki jest sens skarbu. Przede wszystkim jest on niewidzialny, ponieważ nigdy nie jest tej samej natury co elementy tworzywa. Poznałeś

gościa, który przychodzi wieczorem. Po prostu odkłada kij podróżny i uśmiecha się. Ludzie go otaczają. „Skąd przychodzisz?” Znasz potęgę uśmiechu.

Nie odchodź; szukając muzycznych wysp jak gotowego daru morza, które dzierga wokół nich białą koronkę, nie znajdziesz ich, nawet jeśli cudownie przeniesiony znajdziesz się na piasku, co je otacza wieńcem, jeżeli cię wpraw nie poddam ceremoniałowi morza. Bo zbudziwszy się bez żadnego wysiłku z twojej strony, nie znajdziesz rozkoszy na dziewczęcych piersiach, co najwyżej zdołasz zapomnieć o miłości. I będziesz szedł od zapomnienia do zapomnienia, obumierając po trochu. . . a w końcu powiesz: „Czy jest na tych wyspach coś, co warto by było przeżyć?” A przecież z miłości do tej samej wyspy cała załoga statku, jeśli ją nauczę, czym wyspa jest naprawdę, gotowa jest narażać swoje życie.

Ocalić cię to nie znaczy pomnożyć twoje bogactwa ani dać ci cokolwiek, co byłoby przeznaczone dla ciebie. Ale poddać cię, tak jak poddajesz się żonie, regułom gry.

Ach, dotkliwa jest moja samotność, kiedy w pustyni nie znajduję dla siebie pokarmu. Na co mi piasek, jeżeli nie ma gdzieś niedostępnej oazy, która całe pustyni nadaje woń? Na co mi linia horyzontu, jeżeli nie jest granicą barbarzyńskich obyczajów? Na co mi wiatr, jeżeli nie niesie wieści o toczących się daleko rokowaniach? Na co luźne elementy, jeżeli nie złożą się w oblicze? Ale siądziemy na piasku. Będę ci mówił o pustyni i pokażę ci jej prawdziwą twarz. A ty zostaniesz przemieniony, gdyż jesteś zależny od zewnętrznego świata. Czy nie staniesz się nagle kim innym, siedząc u siebie w domu, jeżeli dowiesz się, że dom się pali? Jeżeli usłyszysz krok kochanej osoby? Nawet jeśli nie idzie ku tobie. Nie mów, że zachwalam ci życie iluzjami. Nie każę ci wierzyć, ale czytać. Czym jest część bez całości? Czym kamień bez świątyni? Czym oaza bez piasków pustynnych? Jeżeli mieszkasz pośrodku wyspy, a chciałbyś ją poznać, musi ci ktoś powiedzieć o istnieniu morza! A jeżeli mieszkasz wśród piasków, musi ci ktoś opowiedzieć o dalekich przygodach, czyimś ślubie, uwolnionej brance, następujących wojskach nieprzyjacielskich. I to nieprawda, że ów ślub pod nieznanymi namiotami nie rozsiewa i tu, na pustyni, światła ceremoniału — albowiem nikt nie wie, dokąd sięga jego władza.

Będę mówił tak, aby zadowolić twoje obyczaje i skłonności twojego serca. Moje dary to sens rzeczy, droga odczytana poprzez znaki i pragnienie, które każe ruszyć w drogę. I ja, król, podaruję ci jedyny krzak róży, który cię ubogaci, gdyż ja zażądam z niego kwiatu. W ten sposób zbuduję dla ciebie schody, które cię zaprowadzą do wyzwolenia. Będziesz najpierw kopał ziemię i spulchniał ją motyką, a rano będziesz się zrywał, żeby zagony podlewać. Będziesz doglądał posadzonego krzaku i chronił go od robaków i gąsienic. Potem wrzuci cię rozwijający się pęk i nadejdzie święto: róża się rozwinie, róża dla ciebie przeznaczona, którą zerwiesz. A zerwawszy dasz mi ją. Otrzymam ją z twoich rąk i będziesz czekał.

Bo nie wiedziałeś, co zrobić z różą. Wymieniłeś ją na mój uśmiech. . . i wracasz do domu, cały rozpromieniony królewskim uśmiechem.

## CLXXXVI

Są ludzie pozbawieni poczucia czasu. Chcą zrywać kwiaty, które się jeszcze nie stały kwiatami: i wtedy okazuje się, że nie ma kwiatów. Albo znajdują kwiat, który się rozwinął gdzie indziej i nie jest uwieńczeniem ceremoniału róży, a tylko kwiatem kupionym na targu i niczym więcej. Czy może więc dać ci radość?

Ja idę z wolna w kierunku ogrodu. Zostawia on w powietrzu jakby smugę woni, niby statek załadowany słodkimi cytrynami albo karawana z ładunkiem mandarynek, albo wyspa, do której płyniemy, a ona całe morze nasycza zapachem.

Nie gotowy skarb otrzymałem, ale obietnicę. Ogród jest jak osada, którą trzeba zdobyć, albo jak oblubienica, której jeszcze nie posiadłeś, ale trzymasz ją, już powolną, w ramionach. Ogród otwiera się przede mną. To raj drzew cytrynowych i mandarynkowych czekający za niskim murkiem, aż wejdziesz, żeby się po nim przechadzać. Nikt tu tymczasem nie mieszka na stałe, ani zapach cytryn, ani mandarynek, ani niczyj uśmiech. Ale ja znam tajemnicę, więc wszystko dla mnie ma znaczenie. Czekam, aż nadejdzie pora ogrodu albo pora zaślubin.

Są ludzie, którzy nie potrafią czekać i nigdy nie zrozumieją poezji, bo wrogi im jest czas, co odnawia pragnienie, stroi kwiat i każe dojrzewać owocom. Próbują znaleźć przyjemność w przedmiotach, a tymczasem można ją znaleźć tylko w drodze, zobaczonej dzięki nim. Ja idę, idę i idę. A kiedy znajdę się w ogrodzie, który jest dla mnie przygotowanym krajem zapachów, siadam na ławce. Patrę. Niektóre liście spadają, niektóre kwiaty więdną. Współczuję ze wszystkim, co umiera i rodzi się na nowo. Nie opłakuję. Jestem czujny, jak na wzburzonym morzu. Nie jest to cierpliwość, gdyż nie chodzi o osiągnięcie celu: rozkosz daje samo wędrowanie. Wędrujemy, ja i mój ogród, od kwiatu do owoców. A poprzez owoce — ku ziarnom. A poprzez ziarna — ku przyszłorocznym kwiatom. Wiem, co mam myśleć o przedmiotach. Są zawsze przedmiotami kultu. Dotykani akcesoriów ceremoniału i w każdym z nich widzę odcień modlitwy. Natomiast ci, którzy ignorują istnienie czasu, napotyka ją na swojej drodze przedmioty jak mur. Nawet dziecko staje się dla nich przedmiotem, którego doskonałości nie dostrzegają, a ono jest przecież wędrownką ku jakiemuś Bogu, której nie sposób powstrzymać. Chcieliby je zamknąć w jego dziecinnym wdzięku, tak jak skarb, który da się zamknąć i przechować. Ale ja mijając dziecko, widzę jak ono stara się uśmiechnąć,

rumieni się, chce uciec. Wiem, jakie jest w nim rozdarcie. Kładę mu rękę na czole, tak jakbym chciał uciszyć morze.

Są ludzie, którzy mówią: „Jestem tym a tym. Jestem taki a taki. Posiadam to i to”. Zamiast powiedzieć: „Piłuję deski, szykuję drogę drzewu, które ma być zaślubione z morzem. Idę świętując, od święta do święta. Jestem ojcem i będę ojcem, gdyż żona daje mi dzieci. Jestem ogrodnikiem na służbie u wiosny, bo ona każe mi pracować szpadlem i motyką. Jestem tym, który idzie ku czemuś”. Tacy ludzie nigdzie nie idą. I śmierć nie będzie portem dla ich statków.

A w czas głodu ci ludzie powiedzą: „Nie jem już nic. Żołądek mam umęczony”. A słysząc, jak sąsiedzi opowiadają o swoich umęczonych żołądkach, czują, że i dusze mają umęczone. Bo nie wiedzą, że cierpienie jest drogą do uzdrowienia albo zerwaniem ze zmarłymi, albo znakiem niezbędnej przemiany, albo wzruszającym wołaniem o rozwiązanie jakiejś sprzeczności. Dla nich zaś nie jest już ani przemianą, ani rozwiązaniem, ani obietnicą zdrowia, ani żałobą. Ale wyłącznie chwilową niedogodnością. Podobnie jak chwilową radością, jedyną radością, jakiej umieją kosztować, jest zaspokojenie apetytów i pragnień; natomiast radość godną człowieka daje nagłe rozpoznanie w sobie drogi i narzędzia przekazu w służbie największego Przewodnika.

Sensu karawany nie da się odczytać z monotonii kroków, wszystkich podobnych do siebie wzajemnie. Ale zaciągając węzeł na obluzowanym sznurze, poganiając pozostających w tyle, przygotowując na noc obozowisko, pojąc juczne zwierzęta, człowiek wchodzi już w rytuał i ceremoniał miłości; tak samo jak, kiedyś później, wjeżdżając w palmowy gaj, kiedy oaza stanie się uwieńczeniem całej wyprawy, i przechadzając się po mieście, które najpierw ukazuje tylko niskie murki ubogich dzielnic, ale już w nich jest świetlistość miasta, w którym rządzi twój bóg.

\* \* \*

Albowiem twój bóg rządzi, nieznużony, i niczym są dla niego odległości. Najpierw rozpoznajesz go w twardych krzemieniach i cierniach. Są one przedmiotami kultu i tworzywem twojego wstępowania w górę. Tak samo jak stopnie schodów prowadzących do komnaty oblubienicy. Tak samo jak słowa, z których powstanie wiersz. Są one składnikami ludzkiego magicznego działania, gdyż posuwając się w męce naprzód i krwawiąc sobie kolana, człowiek już przygotowuje pojawienie się miasta. Już widzi, że jest w nich podobieństwo do miasta, w tym sensie, w jakim owoc jest podobny do słońca, albo kształt ulepiony z gliny — do poruszeń serca rzeźbiarza, który glinę kształtował. Wiesz już, że po miesiącu wśród krzemieni ukaże się żyła marmuru, wśród ostów — róża, wśród jałowej ziemi — źródło. Nie znużysz się tworzeniem, bo wiesz, że krok po kroku budujesz swoje

miasto. Kiedy wydawało mi się, że moi wielbłądnicy są już zmęczeni, mówiłem im zawsze, że tak samo jak kamieniarze i ogrodnicy budują miasto pełne cystern z błękitną wodą i że sadzą mandarynkowe drzewa. Mówiłem im także: „To, co robicie, jest jak gest w czasie ceremonii. Zaczynacie budzić do życia jeszcze nieobecne miasto. Jak rzeźbiarze nadajecie wdzięczne kształty łagodnym dziewczętom. Dlatego właśnie krzemienie i ciernie już teraz wydają taką woń jak ciało ukochanej kobiety”.

\* \* \*

Inni ludzie jednakże odczytują tylko to, co zwykłe. Krótkowidze wodzą nosem po stronicy i z całego statku widzą tylko jeden gwóźdź w desce. W karawanie na pustyni widzą tylko pojedyncze kroki: jeden, drugi, trzeci. A każda kobieta jest dla nich prostytutką, gdyż zagarniają ją jak coś, co im się w danym momencie należy, kiedy trzeba było do niej dążyć drogą przez ostre kamienie i ciernie, przez gaje palmowe i delikatne stukanie do drzwi. Kiedy przychodzi się z bardzo daleka, ten jeden gest stanowi cud mogący zbudzić umarłego.

Dopiero wtedy rozwinię się i powstanie z czasu sypkiego jak pył, wydobywając się z wolna z samotnych nocy jak woń, która coraz szerzej się rozchodzi, młodość świata, raz jeszcze dla ciebie się stająca. To będzie dla was początek miłości. Od gazeli tylko ten może oczekiwać nagrody, kto ją powoli oswajał.

\* \* \*

Nienawidzę takiej ludzkiej inteligencji, która jest inteligencją rachmistrzów. Która zajmuje się wyłącznie nędznym bilansem rzeczy zamkniętych w danej chwili. Idąc wzdłuż murów obronnych można istotnie widzieć jeden kamień, potem drugi i trzeci. Ale są także ludzie rozumiejący sens czasu. Nie żałują mijanego kamienia, nie oczekują tego, co im się należy, od następnego. Idą po prostu, obchodząc miasto dokoła.

## CLXXXVII

Jestem tym, który zamieszkuje. Widzę was nagich na zimnej ziemi. O, plemię zrozpaczone, zabłąkane w nocy, podobne do pleśni występującej na splekanej korze, gdzie na stoku górskim pochylonym ku pustyni kryje się jeszcze trochę wilgoci.

Powiedziałem wam: „Oto Orion i Wielka Niedźwiedzica, i Gwiazda Polarna. Rozpoznaliście te gwiazdy i teraz mówicie jedni do drugich: oto Wielka Niedźwiedzica, oto Orion i Gwiazda Polarna”. Zamieszkujecie określone miejsce dlatego, że potraficie powiedzieć: „Zrobiłem siedem dni drogi w kierunku Wielkiej Niedźwiedzicy” i mówiąc tak rozumiecie się wzajemnie.

Tak było też w pałacu mojego ojca. „Pobiegnij, mówiono mi, kiedy byłem dzieckiem, do piwnicy po owoce...” I na sam dźwięk tego słowa czułem ich zapach. I biegłem w miejsce, gdzie leżały dojrzałe figi.

A kiedy powiem: „Gwiazda Polarna”, czujesz, jak coś się w tobie obraca w tym kierunku i słyszysz szczękanie broni plemion z północy.

A skoro wapienne płaskowzgórze na wschodzie obrałem na miejsce uroczystych obrzędów, a kopalnie soli na południu — na miejsce kaźni, a tę kępę palmowych drzew — na miejsce postoju i odpoczynku dla karawan, oto już się orientujesz we własnym domu.

Chciałeś w tej studni widzieć tylko jej użyteczność: to, że daje wodę. Ale woda nie jest zaprzeczeniem braku wody. Do tego, żeby istnieć, nie wystarcza nie umierać z pragnienia.

Prawdziwiej mieszka człowiek, który cierpi na pustyni brak wody i marząc o znanej sobie studni słyszy w gorączkowych snach, jak skrzypi jej koło i trzeszczy sznur, niż ten, kto nie czując pragnienia, po prostu nie wie, że istnieją źródła czułości, do których prowadzą gwiazdy.

Nie wielbię pragnienia dlatego, że nadaje wodzie tę cenę, jaką ma dla ciała, ale dlatego, że każe człowiekowi odczytywać gwiazdy i wiatr, i ślady nieprzyjaciela na piasku. Trzeba to koniecznie zrozumieć: odmawiać prawa do wody, żeby dać człowiekowi natchnienie, byłoby karykaturą życia, zwykłym podniecaniem zwierzęcej potrzeby picia. Ale ważne jest, aby człowieka, kiedy chce pić, poddać ceremoniałowi wędrówki ku gwiazdom, głosu zardzewiałej rączki, który jest jak



piosenka, i temu, co robi, nadaje znaczenie modlitwy, tak że pokarm dla wnętrzości staje się pokarmem dla serca.

Nie jesteście bydłem w oborze. Jeśli bydło przejdzie z jednej szopy do drugiej, taki sam będzie żłób i taka sama podściółka ze słomy. I w nowej szopie bydło się nie poczuje ani lepiej, ani gorzej. Ale pokarm ludzki jest nie tylko dla żołądka, ale i dla serca. Jeżeli umierasz z głodu, a przyjaciel otwiera przed tobą drzwi i prowadzi do stołu, i napełnia dla ciebie dzbanek mlekiem, i łamie chleb, to uśmiech pijesz przede wszystkim, ponieważ taki posiłek ma charakter ceremonii. Rzeczywiście nasyciłeś głód, ale czujesz także wdzięczność na myśl o ludzkiej dobroci.

Ja chcę, żeby chleb był chlebem podanym przez przyjaciela, i żebyś w mleku czuł macierzyńską opiekę twojego plemienia. Chcę, żeby jęczmienna mąka była świętowaniem święta dożynek. A woda — śpiewem koła u studni i kierunkiem drogi pod gwiazdami.

Przyglądałem się moim żołnierzom i lubię, kiedy czują w sobie drgającą igłę, która biegnie do magnetycznego bieguna jak igła kompasu na pokładzie statku. A jeżeli wolę, żeby byli związani małżeństwem i pewnymi zasadami czystości, to nie dlatego, aby im odmawiać urody świata; ale dlatego, że ich ciało jest wtedy ukierunkowane i odróżniają północ od południa i wschód od zachodu, i widzą także jak gwiazdę ten kierunek świata, gdzie jest ukochana kobieta.

\* \* \*

Ale jeżeli ziemia jest dla nich jak wielka dzielnica taniej miłości, gdzie puka się do przypadkowych drzwi, żeby ugasić w sobie pragnienie miłości, i gdzie każda kobieta jest powolna; jeżeli nie widać już drogi ani kierunku w wędrówce przez nagą ziemską skorupę — wtedy ludzie nigdzie już nie mieszkają.

Tak owi Berberzy, których mój ojciec nakarmił, napoił i zaspokoił w nich pragnienie kobiety, a oni stali się jak porażone rozpaczą bydło.

Ale ja jestem tym, który zamieszkuje; jestem biegunem magnetycznym. Jestem nasieniem drzewa i polem sił, leżącym w ciszy, aby stał pień, korzenie, konary i taki, a nie inny kwiat i owoc, takie, a nie inne królestwo, taka, a nie inna miłość; nie przez odrzucenie czy pogardę wobec innych, ale dlatego, że miłość nie jest czymś do znalezienia jak przedmiot pośród przedmiotów, ale ukoronowaniem ceremoniału, tak samo jak istota drzewa, panująca nad naturalną dla niego różnorodnością. Jestem znaczeniem tworzywa. Jestem bazyliką i sensem kamieni.

## CLXXXVIII

Nie oczekuj niczego, jeżeli jesteś ślepy na to światło, które płynie nie z rzeczy samych, ale z sensu rzeczy. Widzę cię, jak stoisz przed drzwiami:

— Co tu robisz?

Ale ty nie wiesz i skarżysz się na życie. Życie nic mi już nie daje. Żona śpi, odpoczywa mój osioł, dojrzewa zboże. Cały jestem głupim oczekiwaniem i nudzę się. Jesteś jak dziecko, które się nie bawi, a nie umie czytać tego, co w głębi. Siadam koło ciebie i tłumaczę. Jesteś zanurzony w utraconym czasie i zewsząd czyha na ciebie niepokój, ponieważ nie stajesz się.

Są ludzie, którzy mówią: Trzeba mieć jakiś cel. Pięknie jest płynąć, kiedy brzeg wynurza się powoli z morza. I pięknie jest skrzypiące koło u studni, które ci niesie wodę do picia. I złote zboże, kiedy jak brzeg wyłania się z czarnej pracy. I uśmiech dziecka, który wyłania się z domowej miłości. I świąteczny strój, delikatnie haftowany złotem. Ale czym się staniesz, jeżeli kręcisz rączką koła tylko po to, żeby usłyszeć jego głos, kiedy szyjesz strój dla samego stroju, kiedy kochasz tylko dla kochania. Wszystko to szybko się wyczerpie, gdyż nic ci nie potrafi dać.

Opowiadałem o przymusowych robotach, na które są skazani ludzie pozbawieni już cech ludzkich. Uderzenie kilofa angażuje tu tylko kilof. Wałą nim raz po raz, ale nic się nie zmienia z substancji człowieka. Płyną, ale nie do brzegu, raczej wciąż w kółko. Nie ma tu tworzenia, a oni nie są drogą i przekazywaniem światła. Ale choćby paliło to samo słońce i tak samo ciężka była praca i członki oblewał taki sam pot, ale niechby raz na rok dane było człowiekowi wydobyć z ziemi czysty diament, a już stanie się to dla niego światłością i religią. Sensem uderzeń kilofa stanie się wtedy diament o absolutnie innej naturze. A człowiek wstępuje wtedy w pokój wielkiego drzewa i w sens życia, którym jest wstępowanie z jednej płaszczyzny na drugą, coraz wyżej, dla chwały Boga.

Uprawiasz ziemię ze względu na zboże, szyjesz strój ze względu na święto i kujesz skałę ze względu na diament. Co ponadto posiadają ludzie, którzy ci się wydają szczęśliwi? Tylko świadomość boskiej więzi, która łączy rzeczy.

Nie znajdziesz pokoju, jeżeli nie będziesz przemieniał czegoś zgodnie ze swoją istotą. Jeżeli nie staniesz się narzędziem, drogą i przekazem. A ty chciałbyś, żeby cię szanowano i czczono dla ciebie samego. I chciałbyś wyrwać światu i chwy-

cić coś, co byłoby wyłącznie dla ciebie. A nie znajdziesz nic, bo niczym nie jesteś i rzucasz beładnie chwytane przedmioty w dół na śmiecie.

\* \* \*

Oczekiwałeś, że coś nadejdzie z zewnątrz i pojawi ci się jak archanioł, ale podobny do ciebie. Czyjego odwiedziny dałyby ci jednak więcej niż któregokolwiek z sąsiadów? Zauważyłem, że kim innym jest człowiek biegnący do chorego dziecka, ten, co biegnie do ukochanej, i ten, co biegnie do pustego domu, choć w danym momencie wydają się podobni do siebie; stałem się więc spotkaniem i brzegiem wyłaniającym się z głębi istniejących rzeczy, i wszystko się odmieniło. Jestem zbożem, które wyrasta poza polem, człowiekiem, który wyrasta z dziecka, źródłem, które pojawia się wśród pustyni, diamentem, który pojawia się wśród ciężkiego znoju.

Przymuszam cię, żebyś w sobie zbudował dom.

Kiedy dom będzie gotowy, przyjdzie zamieszkać w nim ten, kto w twoim sercu położy płomienną pieczęć.

## CLXXXIX

Kiedy odpoczywałem na górze, tworzącej jakby kamienny płaszcz, stało nagle przede mną pytanie i kryjąca się w nim sprzeczność. Jakby powolny pożar, skąd dolatywał tutaj tylko dym i blask.

„Dokąd oni idą? Dokąd mam ich, Panie, poprowadzić? Zarządzając nimi sprawię, że staną się podobni do siebie nawzajem. Nie znam takiego sposobu zarządzania, o Panie, który by zarządzanego nie czynił mniej wrażliwym. Ale co pocznę z ziarnem, które nie rośnie zgodnie z nakazem drzewa. Z rzeką, która nie płynie do morza. Z uśmiechem, jeśli nie kieruje się w stronę miłości.

A co z moim ludem?

Od tyłu już pokoleń kochali się, Panie. Układali wiersze. Budowali domy i przystrajali je w dywany z puszystej wełny. Przedłużali swój gatunek. Wychowywali dzieci, a pokolenia odchodzące składali jak grona w kosze w czas winobrania. Gromadzili się w dni świąteczne. Modlili się. Śpiewali. Biegali. I odpoczywali po biegu. Dłonie im twardniały od pracy. Oczy oglądały tyle cudów, a potem napełniały się mrokiem. Nienawidzili się także. Wprowadzali pomiędzy siebie podziały. Rozszarpywali się wzajemnie. Kamienowali książąt zrodzonych z własnego plemienia. Zajmowali ich miejsce i kamienowali jedni drugich. O Panie, jak bardzo ta ich nienawiść, wyroki potępienia i tortury przypominają jakąś niemą i posępną ceremonię. A choć przypominała jęki i trzeszczenia, które stątek wydaje w czasie burzy, albo bóle rodzącej kobiety, bez przerażenia, o Panie, patrzyłem na to z wysokości. Podobnie drzewa rozpychają się, duszą nawzajem i cisną w pogoni za słońcem. A przecież o słońcu można powiedzieć, że wydobywa z ziemi wiosnę, a drzewa oddają mu cześć. A choć są sobie wrogie, przecież razem tworzą las, a wiatr gra na nich jak na harfie pieśń chwały. Gdybym patrzył ze zbyt bliska, jak krótkowidz, cóż bym o nich wiedział: są przecież tak różni.

Ale teraz odpoczywają. Noc ukryła kłamliwe słowa, uspiła apetyty i rachuby. Ułagodziła zazdrość. A ja, Panie, wodzę wzrokiem po pracach, które odłożyli chwilowo, i jestem tak zmieszany, jakbym stał u progu prawdy; gdyż nie znalazłem jeszcze do niej klucza, a muszę ją poznać, aby się stała.

O malującym malarzu co wiedzą, Panie, jego palce, uszy czy włosy? Albo biodro, albo ramię? Nic. Rodzące się dzieło wciąga w siebie jego poszczególne

gesty i z wielu sprzecznych poruszeń rodzi się płomienne. Ale patrząc ze zbyt bliska, jak krótkowidz, można dojrzeć tylko nieskładne ruchy, maźnięcia pędzla i barwne plamy. Cóż bowiem mogą wiedzieć kowale albo stolarze o majestacie statku? Podobnie i mój lud, jeżeli zostanie podzielony. Co wie skąpiec i zamożny brzuchacz, minister, kat, pasterz? Jeżeli jest wśród nich ktoś, kto widzi jaśniej, to raczej ten, co prowadzi bydło do wodopoju, ta, co rodzi, albo ten, co umiera, a nie uczony, nie gryzpiórek, gdyż ci nie wiedzą, czym jest powolne stawanie się. I nie służą niczemu, co naprawdę ważne, podczas gdy ten, co hebluje deskę, widzi, jak deska pięknieje i staje się.

Kiedy usną ich drobne namiętności, widzę dziedzictwo pozostawione przez skąpca. Ten człowiek niegodny rabował dla siebie cudze mienie, a z kolei inny, minister niedbały, trwoni je opłacając rzemieślników rzeźbiących w kości słoniowej i cyzelujących złoto. Więc rzeźbi się kość słoniową i cyzeluje złoto. A dzięki temu, kto wydaje niesłuszne wyroki, rodzi się trudna miłość prawdy i sprawiedliwości. A ten, kto styka się z budulcem, tym mocniej będzie pragnąć wznosić mury świątyni.

Widziałem, jak świątynie powstawały w najdziwniejszy sposób. Widziałem niewolników dźwigających kamienie pod batem więziennych dozorców. Widziałem, jak kierujący budową kradł pieniądze przeznaczone na wypłaty. Patrzyłem, Panie, ze zbyt bliska, jak krótkowidz, i wciąż widziałem podłość, głupotę i pogoń za zyskiem. Ale teraz, z góry, widzę, jak świątynia wznosi się w świetle.”

## CXC

Uprzytomniłem sobie kiedyś, że zgoda na ryzyko śmierci i zgoda na śmierć są czymś różnym ze swojej istoty. Znałem młodych, którzy wyniosłe wyzywali śmierć. Najczęściej były koło nich admirujące ich kobiety. Wracającemu z wojny podoba się ta pieśń pochwalna, którą śpiewają ich oczy. Godzi się na bojową próbę i rzuca na szalę całą swoją męskość: nie ma nic więcej, a to godzi się utracić.

Wiedzą o tym dobrze gracze w kości, ryzykujący cały majątek, gdyż w danym momencie nie mają z niego żadnego pożytku; ale kiedy staje się on stawką w grze, jest coś wzruszającego w ręce rzucającej kostki na prosty stół; a z nich wysnuwają się i płyną równiny, łąki i łąny zboża tworzące ziemię — ojcowiznę.

Wraca więc mężczyzna w świetlistej aureoli zwycięstwa, z ciężarem broni zdobytej, a może krwią zakwitła na ramieniu. Blask bije od niego, może na pewien czas tylko, ale bije blask. Zwycięstwem nie można żyć stale.

Zgoda na ryzyko śmierci jest więc zgodą na życie. A kto kocha niebezpieczeństwo, ten kocha życie. Podobnie i zwycięstwo jest ryzykiem klęski, pokonanym przez twórczy akt. Nikt natomiast nie słyszał, żeby człowiek panujący nad domowymi zwierzętami uważał się za zwycięzcę.

Ale ja więcej od ciebie żądam i chcę, żebyś był żołnierzem, który zapewnia życie królestwu. Jest to próg trudny do przebycia, gdyż czym innym jest zgodzić się na ryzyko śmierci, a czym innym — zgodzić się na śmierć.

Chcę, żebyś należał do drzewa i żebyś był drzewu poddany.

Chcę, żebyś swoją dumę umieścił w drzewie. A twoje życie, żeby nabrało sensu.

Zgoda na ryzyko to dar dany samemu sobie. Lubisz oddychać pełną piersią i olśniewać dziewczęta. Czujesz także potrzebę opowiadania o podjętym ryzyku: jest to bowiem jakby towar wymienny. Tak się przechwalają kaprale w moim wojsku, a w gruncie rzeczy jest to cześć oddawana samemu sobie.

Co innego przegrać majątek w kości, kiedy chcesz nagle poczuć w ręku jego obecność materialną i dotykálną i gdy cały staje przed tobą: strzechy i kłosa w stodołach, bydło na pastwiskach, wioski oddychające lekkim dymem — znakiem ludzkiej obecności; a co innego wyzbyć się tych samych stodoł, bydła i wiosek, żeby zamieszkać gdzieś daleko. Co innego w jednym momencie podjętego ryzyka

odczuć cały swój majątek jak coś żywego i palącego, a co innego — zrezygnować, jak ktoś, kto się rozbiera, sztuka po sztuce zdejmując ubranie i zostawia na plaży sandały, a potem, już nagi, poślubia morze. Trzeba ci umrzeć, żeby zaślubić.

Trzeba żyć, tak jak te staruszki do utraty wzroku haftujące kościelne obrusy — strój dla ich Boga. Stają się same boskim odzieniem. A cudem ich palców łądyga lnu staje się modlitwą. Bo jesteś tylko drogą i przejściem i naprawdę możesz żyć tylko tym, co przemieniasz. Drzewo przemienia ziemię w konary. Pszczoła — kwiaty w miód. A twoja praca — czarną ziemię w zboże jasne jak pożar.

Chcę więc przede wszystkim, żeby Bóg stał się dla ciebie czymś rzeczywistym niż chleb, w którym zatapiasz zęby. Wtedy nawet w poświęceniu — zaślubinach przez miłość — znajdziesz upojenie.

\* \* \*

Ale ty zatraciłeś sens święta, a przejadając co dnia dawne zasoby, sądziłeś, żeś wciąż bogaty, aż wszystko zniszczyłeś i wszystko roztrwoniłeś. Mylisz się i nie rozumiesz, jaki jest sens przemijającego czasu. Przyszli historycy, logicy i krytycy popatrzyli na zebrany budulec, a nie mogąc nic odczytać z tego, co się kryło w głębi, doradzili, żeby z niego po prostu korzystać. Więc odrzuciłeś post, który był warunkiem świątecznego posiłku. Odrzuciłeś też ofiarę z tej części ziarna, która palona w czasie święta dawała ziarnu blask.

I już nie pojmujesz, że może być moment godny całego życia, gdyż oślepiły cię twoje żalosne wyliczenia.

## CXCI

Rozmyślałem więc nad zgodą na śmierć. Gdyż logicy, historycy i krytycy wysławiali sam w sobie budulec przygotowany do wystawienia bazyliki. I można by przypuszczać, że to istotnie o budulec chodzi; a przecież wygięta rączka srebrnego dzbanka na wodę, jeśli tworzy udaną linię, może być więcej warta, niż cały taki dzbanek ze złota i więcej dać satysfakcji umysłowi i sercu. Jeżeli więc nie jest dla ciebie jasne, dokąd zmierzają twoje pragnienia, wyobrażasz sobie, że posiadanie da ci szczęście, i do ostatniego tchu będziesz gromadzić kamienie, które gdzie indziej posłużyłyby do wzniesienia bazyliki, a ty upatrujesz w nich warunku swojego szczęścia. A jednocześnie kto inny, wyrzeźbiwszy w jednym głazie oblicze swojego boga, znajduje w nim radość serca i umysłu.

Jesteś podobny do gracza, który nie znając gry w szachy, szuka przyjemności w układaniu jednej na drugiej figur ze złota i kości słoniowej; komu innemu tymczasem, w kim boskie reguły rozbudziły upodobanie w tej subtelnej grze, zwykłe klocki z drewna dadzą radość. Chcąc wszystko wyliczyć, człowiek przywiązuje się do tworzywa, zamiast do twarzy, która ma z tworzywa powstać i którą wprawdzie trzeba umieć rozpoznać. Z tego też wynika nieuchronnie, że zależy mu przede wszystkim na życiu jako na gromadzeniu dni, a przecież jeśli sylwetka świątyni odznacza się czystością linii, głupotą byłoby żałować, że do jej budowy nie użyto więcej kamieni.

Nie wyliczaj mi więc, pragnąc olśnić, wszystkich kamieni w ścianach twojego domu, wszystkich pastwisk w twej posiadłości i sztuk bydła na nich, wszystkich klejnotów twojej żony, a nawet wspomnień dawnych miłości. Naprawdę niewiele mnie to obchodzi. Ja chcę wiedzieć, jaki jest twój dom, jaką religijną żarliwością potrafi cię natchnąć twoja ojcowizna, i czy wieczorem, po skończonej pracy, radosny tam jest wieczorny posiłek. I jaką miłość potrafiłeś zbudować — i w co, trwalszego niż ty sam przemieniłeś swoje życie. Chcę, żebyś się stał. Chcę odczytać, jaki jesteś, z tego, co stworzyłeś — a nie z budulca nie wykorzystanego, którym się pysznisz.

Ale ty zadajesz mi pytanie o sprzeczne siły instynktu. Każe ci on uciekać przed śmiercią i dobrze zauważyłeś, że każde zwierzę chce żyć. Nad wszelkim innym powołaniem, twierdzisz, góruje to, które każe przetrwać. Teraźniejszość życia jest



czymś bezcennym i mam obowiązek w stosunku do samego siebie ocalić je jak światło. Więc będziesz na pewno bohatersko walczył, żeby ocalić życie. W czasie oblężenia, podboju czy rabunku okażesz odwagę. Będziesz się upajał poczuciem siły, które każe ci rzucić na szalę wszystko, żeby poznać jej możliwości. Ale nie pójdziesz na bezgłośną śmierć z potajemnej i ofiarnej gotowości.

A ja ci wtedy pokażę ojca, który — idąc za głosem powołania — rzuca się w otchłań, gdzie walczy o życie jego syn: twarz jeszcze ukazuje się momentami, coraz bledsza, jak księżyc w rozdarciu chmur. I powiem:

— A zatem instynkt życia nie jest w ojcu aż tak silny. . .

— Owszem — odpowiesz. — Ale instynkt patrzy dalej w przyszłość. Obejmuje ojca i syna. Tak jak garnizon, który wysyła w bitwę kolejne oddziały żołnierzy. Ojciec jest związany z synem. . .

Jest to odpowiedź właściwa, bogata w treść i dobierająca słowa. Ale ja dodam jeszcze, żebyś jaśniej zrozumiał:

— Tak, istnieje instynkt życia. Ale jest to tylko jeden aspekt silniejszego instynktu. Podstawowym instynktem jest instynkt trwania. Kto otrzymał życie cielesne, szuka trwania w trwaniu cielesnym. Kogo natomiast ukształtowała miłość do dziecka, w ocaleniu dziecka szuka własnego trwania. A kogo ukształtowała miłość Boga, szuka dla siebie trwania w swoim wzwyż-wstępowaniu, w Bogu. Nikt nie szuka tego, czego nie zna, ale chce ocalić to, co jest warunkiem jego wielkości, tak jak ją czuje. Jego miłości — tak jak odczuwa miłość. Dlatego jeżeli przemienisz swoje życie w coś wyższego od ciebie, nic ci nie będzie odjęte.

## CXCII

Nie rozumiesz bowiem istoty radości, jeżeli sądzisz, że i drzewo żyje dla siebie, zamknięte w swojej powłoce. Ono jest źródłem uskrzydłych nasion i przemienia się, i pięknieje z każdym ich pokoleniem. Gdzieś kroczy — ale nie tak jak człowiek — raczej jak pożar, który się szerzy z wiatrem. Posadziłeś na górze drzewo cedrowe i oto powoli, w ciągu wieków, już cały las wędruje po zboczach góry.

Co mogłoby myśleć drzewo o sobie? Że jest korzeniami, pniem i liśćmi. Ze czerpie pokarm, wypuszczając korzenie — a przecież jest tylko drogą i przejściem. Dzięki niemu ziemia zaślubia miodowe słońce, wypuszcza pączki, otwiera kwiaty, zawiązuje nasiona, a nasionko — jak ogień przygotowany, ale jeszcze niewidoczny — przenosi dalej życie.

Siejąc z wiatrem, zapalam ziemię płomieniem. Ale twoje oczy widzą wszystko w zwolnionym rytmie. Widzisz nieruchome liście, konary ciężkie i mocno wrosnięte w pień, i wydaje ci się, że drzewo to istota osiadła, samodzielna, zamknięta. Patrząc z nadto bliska, jak krótkowidz, źle widzisz. Wystarczy, że cofniesz się na pewną odległość i przyśpieszysz bieg dni jak ruchy wahadła, a zobaczysz, jak z ziarna wystrzela płomień, a z płomienia — następne płomyki i jak rozszerza się pożar, zostawiając po drodze resztki zwęglonego drewna, gdyż las pali się bezgłośnie. Nie widzisz już ani tego drzewa, ani żadnego innego. I zaczynasz rozumieć, że korzenie nie służyły temu czy innemu drzewu, ale temu ogniowi żarłocznemu a zarazem twórczemu; i że ta masa ciemnego listowia okrywająca górę jest niczym innym jak ziemią zapłodnioną przez słońce. Na polanie pojawiają się zające, a w gałęziach ptaki. I nie wiesz już, komu przede wszystkim służą korzenie. Widzisz już tylko przejścia i kolejne etapy. A dlaczegoż by miało być prawdą drzewa to, czego nie chcesz przyjąć jako prawdy nasienia? Nie mówisz przecież: „Ziarno żyje dla siebie. Jest bytem gotowym i zamkniętym. Kwiat — w cokolwiek by się przemienił — żyje dla siebie, jest gotowy i zamknięty. Nasiono, które kwiat wydał, żyje dla siebie jako byt gotowy i zamknięty”. I to samo powtórzysz o małym kielku, wypuszczającym upartą łodyżkę pomiędzy kamieniami. Jaki etap wybierzesz, aby stanowił zakończenie cyklu? Ja natomiast widzę tu tylko wstępowanie ziemi wzwyż, ku słońcu.

Tak też i z człowiekiem i z moim ludem — nie wiem, dokąd idzie. Kiedy nadchodzi noc, stodoły są zamknięte i zaryglowane drzwi domów. Śpią dzieci, śpią starcy i staruszki, i co mogą powiedzieć o ich drodze? Taka jest trudna do rozpoznania, tak niedokładnie ją kreślą kolejne pory roku, które najwyżej jedną zmarszczkę dodadzą twarzy staruszki, kilka słów dorzucą do dziecinnego języka, zaledwie zmieniają uśmiech. I nic nie zmieniają w doskonałości czy niedoskonałości człowieka. A przecież, jeżeli ogarnę spojrzeniem wiele pokoleń, widzę, jak mój lud budzi się i rozpoznaje sam siebie.

To prawda, że nikt nie wybiega myślą poza swoje granice. I tak jest dobrze. Trzeba, aby złotnik w skupieniu cyzelował złoto. Żeby geometra zajmował się geometrią. Żeby król panował. Gdyż wszyscy oni są warunkiem drogi. Tak samo jak kowale śpiewają kowalskie piosenki, a stolarze — stolarskie, choć jedni i drudzy patronują narodzinom statku. Dobrze jednak, jeśli poezja im powie, czym jest żaglowiec. Ci, którzy rozumieją dzięki niej, że ów wielki skrzydlaty łabędź, żywiący się morskim wiatrem, jest miejscem ich spotkania i celem, nie będą przez to mniej kochali desek i gwoździ, przeciwnie.

A cel, właśnie dlatego, że jest tak wielki, nie oszczędzi ci żadnego z drobnych zajęć; więc jeszcze raz zamiecesz o świetle izbę, zasiejesz jeszcze jedną, którąś tam, garść jęczmienia, jeszcze raz powtórzysz w pracy ten sam gest, syna nauczysz jeszcze jednego słowa albo pacierza — tak samo, jak widząc, czym jest żaglowiec, nie będziesz pogardzał deskami i gwoździami, lecz tym bardziej je pokochasz. Chcę bowiem, żebyś wiedział z całą pewnością, że nie chodzi tu ani o posiłek, ani o modlitwę, o pracę, czy o dziecko, czy o święto świętowane w rodzinie, ani o sprzęt, który będzie ozdobą domu, bo to wszystko jest tylko warunkiem, drogą i przejściem. Wiem także, że zrozumiałwszy, zamiast tym gardzić, będziesz to wszystko jeszcze bardziej cenił: tak jak bardziej będziesz kochał drogę, jej kręty bieg, zapach dzikiej róży, koleiny i stoki wzgórz, którymi biegnie, widząc, że nie jest bezcelowym i nudnym meandrem, ale drogą do morza.

Dlatego nie pozwalam ci pytać: po co zmiatanie, ten ciężar, który trzeba nieść, karmienie dziecka, książka, którą trzeba przeczytać? Bo choć dobrze, żebyś zasnął czasem i śnił o wieczery, a nie o królestwie, jak patrole straży, dobrze jest także, żebyś był gotowy na odwiedziny niezapowiedziane, ale które na chwilę rozjaśnią ci wzrok i słuch, a smutne zmiatanie przemienia w święty obrzęd, którego treści nie obejmą żadne słowa.

W ten sposób każde uderzenie serca, ból i pragnienie, każdy wieczorny smutek i każda wieczera, każdy wysiłek w pracy, uśmiech i znużenie monotonią dni, każde przebudzenie i słodki sen, mają boski sens, który w nich można wyczytać.

Nic nie znajdziecie zamieniwszy się w plemię osiadłe i sądząc, że pośród poczynionych zapasów sami jesteście jak gotowy, odłożony na stronę zapas. Nie istnieją bowiem poczynione zapasy, a kto przestaje rosnać — umiera.

## CXCIII

Równość doprowadzi do klęski. Mówisz na przykład: trzeba tę perłę podzielić pomiędzy nas wszystkich: przecież każdy z nurków mógł ją znaleźć.

I morze natychmiast przestaje być czarodziejstwem, źródłem radości i cudownością losu. A praca nurka przestaje być cudownym ceremoniałem i czarodziejską, legendarną przygodą, gdzie myśli się ciągle o jakiejś czarnej perle znalezionej ubiegłego roku.

Podobnie chcę, żebyś cały rok oszczędzał, ograniczał się i odmawiał sobie niejednego z myślą o jedynym święcie, którego sensem nie jest samo świętowanie (bo święto jest krótkie jak jedna chwila, jak moment wybuchu, nagłe zwycięstwo, przejazd księcia); jego sensem będzie, jeżeli cały rok nabierze smaku od pragnień i wspomnień nagrody: bo tylko wtedy droga jest piękna, jeżeli prowadzi do morza. Ptak przygotowuje gniazdo, żeby wylęły się w nim pisklęta, a wyląg jest czymś zupełnie innej natury niż gniazdo. Człowiek podejmuje ciężką walkę dążąc do zwycięstwa, a zwycięstwo jest zupełnie innej natury niż walka. Albo przez cały rok przygotowuje dom na przyjazd księcia; więc i dlatego nie chcę zrównywać ich w imię fikcyjnej sprawiedliwości — bo jak zrównać ze sobą starego i młodego? Taka równość zawsze będzie kulawa. Zaś podział jednej perły pomiędzy wszystkich nic nie da nikomu; chcę natomiast, żebyś zrezygnował ze swojej nędznej części, a ten, co znajdzie perłę, żeby z całą wrócił do domu uśmiechnięty, promienny, mówiąc: „Zgadnij!” pytającej żonie, i zaciskając garść, bo chce jeszcze bardziej pobudzić jej ciekawość i nacieszyć się szczęściem, które spłynie na wszystkich, ledwo on otworzy dłoń.

Wszyscy się wtedy czują bogatsi. Gdyż szczęście jednego dowodzi, że połów pereł jest czymś więcej niż ciężką pracą nędzarzy. Podobnie miłosne opowieści, śpiewane przez moich bajarzy, uczą smaku miłości. A piękno, które sławią, piękniejsza wszystkie kobiety. A jeśli jest taka, dla której słodkiego posiadania warto umrzeć, to miłość przez nią każe umierać; więc słuchając tych pieśni z zachwytem, każda kobieta czuje się piękniejsza, bo może każda kryje w swoim tajemnym wnętrzu jakiś szczególny skarb, jak morze — perłę.

A zbliżając się do którejkolwiek z nich, poczujesz, że bije ci serce, tak jak nurkom w Koralowej Zatoce, idącym na zaślubiny z morzem.

Szykując się do święta może jesteś niesprawiedliwy dla zwykłych dni — ale nadchodzące święto daje aromat tym zwykłym dniom, a ty stajesz się bogatszy przez to, że ono nadchodzi. To niesprawiedliwe dla ciebie, że nie masz swojej cząstki w perle, i która przypadnie sąsiadowi, ale ona rzuci blask na twoje dalsze nurkowanie; tak jak źródło, o którym mówiłem, tryskające w dalekiej oazie, rzuca czar na całą pustynię.

No tak, sprawiedliwość wymaga, żeby wszystkie dni były do siebie podobne i wszyscy ludzie tacy sami. Jeżeli żona płacze, możesz ją porzucić i wybrać sobie inną, która nie będzie płakała. Bo jesteś jak szkatułka czekająca na dar i jeszcze go nie otrzymałaś. Ale ja chcę, żeby miłość trwała. Bo miłość jest tylko tam, gdzie wybór jest nieodwołalny, gdyż konieczne są postawione granice, aby człowiek się stawał. Inne szczęście daje zasadzka, polowanie czy pojmanie, a inne miłość. W pierwszym przypadku twoja wartość mierzy się sprawnością myślowego. A kobieta ma wartość jako łup. Dlatego, pojmana, traci już wszelką wartość — albowiem spełniła swoje zadanie. Czym jest dla poety wiersz już napisany? Jego sensem jest dalsze tworzenie. Ale jeżeli zamknąłem drzwi domu, w który weszło dwoje ludzi, musisz zrozumieć, że chodzi tu o coś więcej. Stałeś się małżonkiem i to jest twój sens. A sensem kobiety — że jest małżonką. To słowo nabrało wagi i mówisz teraz „moja małżonka” z powagą w sercu. Odkrywasz teraz nowe radości, z pewnością i nowe cierpienia, bo one są warunkiem radości. Możesz umrzeć za tę kobietę, bo ona jest częścią ciebie samego, tak jak ty jesteś jej częścią. Nie umierasz dla tej, którą pojmałaś. Twoja wierność jest bowiem wiernością tego, kto wierzy, a nie wiernością zmęczonego myśliciela. Gdyż ta wierność jest czym innym i rozsiewa dokoła nudę, a nie światło.

Będą oczywiście nurkowie, którzy nie odnajdą perły. Będą mężczyźni, którzy przy wybranej kobiecie znajdą tylko gorycz. Ale los nieszczęśliwych nurków leży u źródła fascynacji morzem, której ulegają wszyscy, również ci, co nigdy nic nie znaleźli. A los nieszczęśliwych w małżeństwie leży u źródła fascynacji miłością, której ulegają wszyscy, również nieszczęśliwi. Bo pragnienie, żal i smutek miłości więcej są warte niż tępy spokój tych, którym jak bydłu miłość jest nie znana. Podobnie na pustyni, gdzie cierpisz pragnienie, wolisz tęsknić do źródła, niż o nim nie pamiętać.

Bo w tym tkwi tajemnica, którą dane mi było pojąć. Czy walczysz za coś, czy przeciw czemuś, już przez to samo coś budujesz — i dlatego źle się bijesz, jeżeli walczysz tylko z nienawiści do bóstwa twoich wrogów; po to, żeby walczyć na śmierć i życie, musisz przede wszystkim bić się z miłości do własnego boga. Podobnie już przez to samo, że czegoś żałujesz i pragniesz, coś opłakujesz, spływa na ciebie światło i bogactwo, i ożywcza siła, tak jakbyś rzecz upragnioną posiadał na własność. Tak wspomnieniem zmarłego dziecka żyje matka o pobrużdżonej twarzy, na której żaloba, nabierając najgłębszego sensu, stała się uśmiechem.

Cóż by dało człowiekowi zniknięcie tego warunku miłości, którym jest cierpienie? Czy tym, którzy zagubili szlak i umierają z pragnienia, łagodniejsza wydaje się pustynia bez źródeł?

Jeżeli pieśnią przywołałem dla ciebie źródło i jeżeli je wbudowałem w twoje serce, to kiedy poślubisz piaski i będziesz gotów wyzbyć się już powłoki ciała, ono ci da jeszcze swoją spokojną wodę, nie na płaszczyźnie rzeczy, ale sensu rzeczy — a opowiadając o cichym śpiewie źródeł, obdaruję cię jeszcze jednym uśmiechem.

Musisz za mną pójść. Jam jest twój sens. Twoim żalem przemieniam pustynię, po której idziesz. Otwieram przed tobą miłość. Z zapachu buduję królestwo.

## CXCIV

Chcę ci otworzyć oczy na to, czym jest ceremoniał, bo nie widzisz jeszcze dobrze. Wydaje ci się, że to bezużyteczny porządek i dodatkowe upiększenie. Sądzisz, że człowieka, który kocha, pętają reguły ceremoniału pochodzące od jakiegoś kapryśnego bóstwa, które je wydaje w najlepszym razie po to, by tu człowiekowi ułatwić, tam zaś go powściągnąć; tak jest z życiem wiecznym, które wymaga rzekomo pewnej rezygnacji z uczuć; a przecież te reguły sprawiają, że stajesz się właśnie taki, a nie inny, i nakładając ci pęta, zarazem cię kształtują. Na każdym kroku napotykamy granice, a i sylwetka drzewa jest wyznaczona energią zawartą już w nasieniu. Tak też jest z pięknym obrazem: jest on punktem widzenia, a nadaje smak wszystkim rzeczom. Obierając ten punkt widzenia inaczej będziesz myślał o posiłku, odpoczynku, modlitwie, zabawie i miłości. Nie istnieją wtedy przegrody, gdyż człowiek nie jest sumą fragmentów, ale niepodzielną jednością panującą nad częściami. Jeżeli w dziele rzeźbiarza — kamiennym obliczu — zmienić kształt nosa, trzeba zmienić także kształt ucha, a — ściślej mówiąc — cała wymowa dzieła zostanie odmieniona, a zatem i wymowa ucha. Jeżeli zatem nakazuję, aby człowiek raz na rok składał pokłon stojąc twarzą do pustyni i czcząc w ten sposób śpiewną oazę ukrytą w piaszczystych fałdach, odnajdzie on tę tajemnicę w kobiecie albo w pracy, albo w domu. Podobnie dając ci niebo pełne gwiazd zmieniłem twój stosunek do niewolnika, do króla, do śmierci. Jesteś korzeń — macierz liści, a zmieniając korzenie zmienię i liście. Nie widziałem, żeby ludzie przemieniali się pod wpływem logicznych argumentów, ani żeby ich do głębi nawróciła wzniosła wymowa zezowatego proroka. Ale kiedy poprzez ceremoniał zwróciłem się do tego, co w nich najistotniejsze, otwarli się na moje światło.

Domagasz się miłości wbrew regułom, które jej zabraniają. Ale właśnie te reguły dały podstawę miłości. A smutek płynący z braku miłości, smutek, który zawdzięczasz regułom, już sam jest miłością.

Pragnienie miłości to miłość. Gdyż nie umiałbyś pragnąć czegoś, czego jeszcze nie pojąłeś. Tam, gdzie z braku struktury albo obyczaju nadającego sens roli brata, nie ma braterskich uczuć, czy ludzie mogą się kochać tylko dlatego, że razem zasiadają do stołu? Nie zauważyłem, żeby ktoś żałował, że nie kocha bra-

ta mocniej. Żałujesz tej miłości, której masz już wyobrażenie, żałujesz kobiety, która od ciebie odchodzi, ale na widok obojętnej ci, przechodzącej, nie powiesz z rozpaczą: „Byłbym szczęśliwy, gdybym ją kochał. . .”

Kiedy opłakujesz miłość, to znaczy, że miłość się narodziła. Budujące miłość reguły pozwalają ci ujrzeć, że ją opłakujesz, i zdaje ci się, że miłość mogłaby cię porwać i unieść z ich pominięciem; a tymczasem one, budując miłość, dają ci radość i mękę, tak samo jak istnienie źródła w palmowym gaju sprawia, że tak okrutny wydaje się jałowy piasek: nieobecność źródła jest siostrą jego obecności. Nie opłakujesz tego, czego nie możesz pojąć. Powołując do istnienia źródła, powołuję też ich nieobecność. Dając diamenty stwarzam możliwość ubóstwa — braku diamentów. Czarna perła mórza, którą ktoś raz na rok znajdzie, sprawia, że tyle razy nurkujesz bezowocnie. Kiedy ją otrzyma jeden człowiek, wydaje się to gwałtem, niesprawiedliwością i rabunkiem innych i dzieląc ją, gotowy byłbyś ją zniszczyć. A trzeba było tylko zrozumieć, że ona, nawet jeśli przypadła innemu, daje ci większe bogactwo, niż jednakowa dla wszystkich pustka mórza.

\* \* \*

Domagając się równości, jak przy korycie w stajni, ludzie dali początek nędzy. Wszystko im trzeba dawać. Szukając chwały dla tłumu, w każdą duszę wprowadzono tłum. Ale jeżeli w jednostce dasz chwałę człowiekowi, zbudujesz człowieka, a ludzie wejdą na drogę bogów.

\* \* \*

Gnębi mnie myśl, że ludzie odwrócili prawdę, jak ślepi nie widzą tej oczywistości; a mianowicie, że morze, które jest warunkiem narodzin statku, zarazem ogranicza statek; a warunki miłości ograniczają miłość, a warunki wzwyżwstąpienia ograniczają wstępowanie wzwyż. Gdyż nie ma wstępowania bez prawa ciężenia.

Ale ludzie wołają: „Ogranicza się nasze wstępowanie w górę! . . .” I zrywają pęta, a w przestrzeni przestają istnieć kierunki. A zburzywszy pałac mojego ojca, gdzie każdy krok miał swój sens, zamieszkują oto w jarmarcznej wrzawie.

\* \* \*

Dlatego słyszysz, jak niektórzy zastanawiają się, jakie to duchowe pokarmy dawać ludziom, żeby ożywić ich umysły i uszlachetnić serca. Starali się o bezładny rozwój człowieka, żywili go przy żłobie, zamienili go w osiadłe zwierzę, a że



cały czas powodowała nimi miłość do człowieka, chęć wyzwolenia jego szlachetności, blasku i dumy, więc teraz zdejmuje ich lęk, gdy widzą, jak umysły i serca stają się nieczułe. Ale co można zrobić z wrzaskliwym tłumem? Żeby go wzruszyć, będą śpiewać dawne pieśni galerników i obudzą blade widma, nie pamiętające już galer, ale jeszcze pochylające plecy w lęku przed batem. Tylko mgliście dotrą do nich słowa poezji. Ale jej władza będzie coraz mniejsza. Niedługo będą słuchać pieśni galerników nie czując zapomnianych uderzeń bata i nic już nie zamaści spokoju obór, bo morze utraci całą swoją moc. Na widok przeżuwających codzienną strawę ogarnia cię niepokój o sens życia i tajemnicę porywającą ducha ludzkiego ku górze, ale sens i tajemnica będą martwe. Będziesz wtedy szukał zguby, jak gdyby można ją było znaleźć wśród zgubionych rzeczy. Wymyślisz jakąś piosenkę o pokarmach, która do utraty tchu będzie powtarzać: „Karmię się, karmię...”, ale nie poprawi się przez to smak chleba. Nie rozumiesz bowiem, że nie chodzi tu o jakiś przedmiot, który można wyróżnić spośród innych przedmiotów, ani nawet uczyć go wśród innych, albowiem istota drzewa nie kryje się gdzieś tam w drzewie, a kto by chciał namalować samą istotę, nic nie zdoła namalować.

\* \* \*

Nic dziwnego, że z takim wysiłkiem poszukujesz cywilizacji plemion osiadłych — przecież jej nie ma.

\* \* \*

Dać ludziom kulturę, powiadał mój ojciec, to tyle co dać im pragnienie. Reszta przyjdzie sama. Ale ty pełnym brzuchom ofiarowujesz gotowe już napoje.

Miłość jest wezwaniem do miłości. Tak i kultura. Zawiera się w samym pragnieniu. Ale jak pielęgnować pragnienie?

Domagasz się tylko warunków trwania. Ten, którego ukształtował alkohol, domaga się alkoholu. Nie dlatego, że alkohol jest dla niego korzystny, bo on przynosi śmierć. Ten, którego ukształtowała obecna kultura, domaga się tej właśnie kultury. Jedyne najmocniejszy instynkt to instynkt trwania. Góruje on nawet nad instynktem życia.

Znałem wielu takich, którzy woleli śmierć od życia z dala od rodzinnej wsi. A są nawet gazy albo ptaki, które, pojmane, powoli umierają.

Kiedy oderwą człowieka od żony, dzieci, obyczajów, albo kiedy zgaśnie na świecie światło, które mu dawało życie (gdyż światło promieniuje nawet z wnętrza klasztoru), wtedy zdarza się, że człowiek umiera.

Żeby go wtedy ocalić od śmierci, wystarczy znaleźć mu jakieś duchowe królestwo, gdzie czeka ukochana. Będzie wtedy żył dalej, gdyż cierpliwość ludzka

jest bezgraniczna. I tak na pustyni ratuje go, choć daleki, rodzinny dom. Ratuje go ukochana, choć jest tak daleko i może właśnie w tym momencie śpi.

Jednego człowiek nie zniesie: zerwania więzi, bo wtedy wszystkie przedmioty rozsypują się bezładnie. Umierasz, jeżeli umierają twoi bogowie. Bo żyjesz dzięki nim. A żyć możesz tylko dzięki temu, za co mógłbyś umrzeć.

Jeżeli obudzę w tobie głębokie przeżycie, będziesz je umiał przekazać z pokolenia na pokolenie. Nauczysz dzieci odczytywać je poprzez różnorodność rzeczy, tak jak się odczytuje sens ojcowizny poprzez jej elementy.

Nie potrafiłbyś umrzeć za luźne elementy. To one zawdzięczają swoje istnienie — nie tobie oczywiście, bo ty jesteś tylko drogą i przejściem — ale ojcowiznie. A ty je oddajesz w jej służbę. Jeżeli zaś ojcowizna jest już spoistą całością, umrzesz, żeby ocalić tę jedność.

Umrzesz za sens książki, nie za atrament ani papier.

Gdyż ty jesteś węzłem różnorodnych związków, a twoja tożsamość nie polega na twarzy, ciele, cechach szczególnych czy uśmiechu, ale na pewnej strukturze, która powstała dzięki tobie, na pewnym obliczu, które się pojawiło z ciebie i tobie dało fundament. Jego jedność narodziła się dzięki tobie, ale z kolei ty się z niej narodziłeś.

Rzadko możesz o tym mówić: nie istnieją słowa zdolne to przekazać innemu człowiekowi. Podobnie kiedy chcesz mówić o ukochanej kobiecie. Choćbyś powiedział imię, jego sylaby nie są w stanie przenieść uczucia w serce drugiego człowieka. Musisz mi ją pokazać. A to już należy do płaszczyzny działania, nie słów.

Znasz drzewo cedrowe. Jeżeli powiem „cedr”, przekażę ci majestat tego drzewa. Bo ktoś ci już je ukazał: pień, gałęzie, korzenie i liście.

Nie znam innego sposobu, żeby obudzić w tobie miłość, jak skłonić cię do poświęceń w imię miłości. Ale jakich bogów mają ludzie, którzy otrzymują paszę nie ruszając się z wygodnego posłania?

Twierdzisz, że staną się szlachetniejsi, jeżeli ich nasycisz darami: ależ oni od nadmiaru darów umierają! Żyć można tylko tym, co człowiek przemienia, i za co każdego dnia po trochu umiera, bo przemienia siebie samego.

Wiedzą o tym dobrze staruszki, które haftują aż do utraty wzroku. Ludzie im mówią, że trzeba szanować oczy. Ale wtedy przestają pełnić służbę i zostaje zniweczona przemiana, która nadawała sens ich życiu.

W co się będą przemieniać wszyscy ci, których zamierzasz nasycić?

Można wykształcić w ludziach potrzebę posiadania, ale posiadanie jest czymś innym niż przemiana. Można wykształcić potrzebę gromadzenia haftowanych materii. Ale wtedy narodzi się tylko duch magazynowania. A jak wykształcić w ludziach potrzebę zużywania oczu na haft? Bo tylko takie pragnienie jest pragnieniem prawdziwego życia.

Pełen milczącej miłości długo przyglądałem się ogrodnikom i kobietom, które przędą wełnę. I zobaczyłem, że niewiele było im dane, a wiele od nich wymagano.

Jak gdyby w rękach tych mężczyzn i kobiet spoczywał los świata.

Chcę, żeby patrol straży czuł się odpowiedzialny za całe królestwo. A także ogrodnik, który u bram ogrodu chroni go przed gąsienicami. Zaś kobieta szyjąca złoty ornat w kręgu słabego światła lampy okrywa swojego Boga kwiatami, aż staje się Bogiem ukwieconym, w świetle jej czuwania.

Podnosić człowieka wzwyż może oznaczać tylko jedno: uczyć go, aby w rzeczach odczytywał twarze. Przedłużam boskie dzieło. Tak jak w grze w szachy ocalę radość, jeżeli ocalę reguły gry. A ty chciałbyś zlecić ten trud niewolnikom, którzy zamiast grających wygrywaliby partię po partii?

Chciałbyś też może dawać ludziom w prezencie listy miłosne, zauważywszy, że niektórzy czytając takie listy płaczą ze wzruszenia; i dziwisz się, że żaden z listów ofiarowanych nie wyciska łez.

Nie wystarczy dawać. Trzeba najpierw ukształtować tego, co otrzymuje. Żeby dać przyjemność gry w szachy, trzeba wykształcić gracza. Z myślą o miłości trzeba najpierw wykształcić pragnienie miłości. Zbudować wpierw ołtarz, żeby przyjąć nadchodzącego boga. Ja budowałem królestwo w sercach moich strażników, zmuszając ich, aby chodzili tam i z powrotem po obronnych murach.

## CXCV

Doskonały poemat obejmujący czyny ludzkie i domagający się od człowieka wszystkiego, nawet wysiłku mięśni. Taki ma być mój ceremoniał.

Poprzez słowa obdarzone siłą budzę w tobie słabe echa, zarysy gestów. Wymyślam galery, a na nich wioślarzy. Chcesz wejść pomiędzy nich, pochylić plecy w znoju.

\* \* \*

Ale reguły, rytuał, zobowiązania i budowa świątyni, ale ceremoniał kolejnych dni — to na pewno jeszcze inne działanie.

\* \* \*

To, co napisałem, miało cię nawrócić, żebyś zobaczył siebie takim, jakim się stanesz, i żebyś miał nadzieję.

\* \* \*

Podobnie jak możesz mnie czytać z roztargnieniem i nie rozumiejąc, tak możesz być poddany ceremoniałowi, a nie wzrastać. Twoje skąpstwo pomieści się bez trudu w hojności rytuału.

\* \* \*

Nie chcę tobą kierować nieustannie, godzina po godzinie, tak samo jak nie oczekuję, żeby patrole straży o każdej porze z taką samą żarliwością służyły królestwu. Wystarczy mi, jeśli tak będzie służyć jeden patrol spośród wszystkich. A i od tego nie oczekuję, żeby okazał żarliwość w każdym momencie; ale jeżeli zwykle marzy o nadejściu pory wieczery, żeby czasem, jak błyskawica, olśniła go świadomość, czym jest stróżowanie; bo choć wiadomo, że duch jest słaby

i senny, a strażnik nie może nieustannie wytężyć wzroku, gdyż poczułby w oczach ogień, trzeba też wiedzieć, że morzu nadaje sens znaleziona niegdyś czarna perła, a całorocznemu biegowi dni nadaje sens jedynie święto, a życiu — sens i spełnienie nadaje śmierć.

\* \* \*

Jeżeli ludzie niegodnych serc odnajdą w moim ceremoniale sens także niegodny — trudno. W czasie wypraw wojennych widywałem czarne plemiona i czarownika, który znając ich zachłanność kazał im składać dary mające stać się pokarmem jakiegoś drewnianego kloca pomalowanego na zielono.

\* \* \*

Jeżeli czarownik nie dorasta do swojej roli — trudno. Dłoń rzeźbiarza stwarza życie.

## CXCVI

Bywa, że ktoś domaga się wdzięczności: zrobił dla ludzi to czy tamto... A przecież nie ma czegoś takiego jak dar przyjęty i bogactwo odłożone na zapas. Dar to krążenie od jednego człowieka do drugiego. Jeżeli przestajesz dawać, nic nie dałeś. Jeżeli mi powiesz: „Wczoraj się zasłużyłem, więc nadal należy mi się nagroda”, odpowiem: „Nie!” Miałbyś oczywiście tę zasługę umierając, gdybyś umarł wczoraj, ale wczoraj nie umarłeś. Liczy się tylko, kim stałeś się w godzinę śmierci. Z człowieka hojnego, którym byłeś wczoraj, zmieniłeś się może dziś w skąpca. Wtedy ten, co umrze, będzie skąpцем.

Jesteś korzeniem drzewa, które tobą żyje. Jesteś związany z drzewem. Ono stało się twoim zadaniem. Jeśli korzeń powie: „Zbyt dużo dostarczałem soków”, drzewo umrze. Nie można nagromadzić na zapas czujnych kroków strażnika. Nie można nagromadzić na zapas uderzeń serca. Nawet spichlerz nie jest magazynem zapasów, jest tylko portem przeładunkowym. Uprawiasz rolę, a jednocześnie grabisz spichlerz z jego zasobów. Wszędzie ci grozi pomyłka. Wyobrażasz sobie, że odpoczniesz po twórczej pracy gromadząc stworzone przedmioty w muzeum. Całe twoje plemię możesz tam zgromadzić. Ale przedmioty jako takie nie istnieją. Ten sam przedmiot ma inny sens w różnych językach. Czym innym jest czarna perła dla nurka, dla kupca i dla kurtyzany. Diament ma pewną wartość w momencie wydobywania, potem inną — kiedy go się sprzedaje albo daje, kiedy się go gubi i kiedy znajduje, i kiedy w dniu święta ozdabia czyjeś czoło. O zwykłym diamencie nic nie można powiedzieć. Diament codzienny to pozbawiony treści kamyk. Wiedzą o tym dobrze kobiety, które go przechowują. Zamykają go w najtajniejszej szkatułce, aby tam spał, a wydobywają tylko w dniu urodzin króla. Staje się wtedy znakiem dumy. Dostały go w dniu ślubu — wtedy był znakiem miłości. A kiedyś, dla człowieka, który go wydobył z głębi ziemi, był cudem.

Kwiaty mają wartość dla oczu. Ale najpiękniejsze są te, które rzuciłem w morze, żeby uczcić umarłych. Nikt nigdy nie będzie się nimi zachwycał.

Czasem człowiek przemawia w imię swojej przeszłości. Mówi na przykład: „Jestem tym, który...” Zgodzę się go uczcić pod warunkiem, że będzie martwy. Ale nigdy nie słyszałem, żeby jedyny prawdziwy geometra, a mój przyjaciel, pysznił się z powodu swoich trójkątów. On był sługą trójkątów i ogrodnikiem

w ogrodzie znaków. Pewnej nocy powiedziałem: „Musisz być dumny ze swojej pracy, tyle ludziom dałeś...” Milczał przez chwilę, a potem odparł:

— Nie chodzi o to, żeby dawać. Gardzę i tym, co daje, i tym, co otrzymuje. Czy mógłbym podziwiać nienasycony apetyt księcia, który się domaga darów? A tych, którzy mu się dają pożerać? Wielkość księcia zaprzecza ich wielkość. Trzeba wybrać jedną lub drugą. Gardzę jednak księciem, który mnie poniża. Jestem jego poddanym i on powinien starać się o to, abym wzrastał. Dopiero kiedy jestem wielki, mogę pracować dla wielkości księcia.

A ja co dałem ludziom? Jestem jednym z nich. Jestem częścią ich rozważań na temat trójkątów. Ludzie za moim pośrednictwem rozmyślali o trójkątach. Ja dzięki nim codziennie jadłem chleb i piłem mleko kóz, które hodowali. Chodziłem w butach ze skóry ich bydła.

Owszem, daję ludziom, ale wszystko od ludzi otrzymuję. Co jest ważniejsze? Jeżeli więcej daję, więcej otrzymuję. Staję się poddanym wznioślejszego królestwa. Widzisz to dobrze na przykładzie najbardziej pospolitych finansistów. Nie potrafią żyć sami, więc stroją kurtyzanę w bezcenne szmaragdy. Kobieta jaśnieje w ich blasku, a oni czują się włączeni w tę światłość. I zadowoleni są, że błyszczą. A przecież jacy biedni: tylko jedna kobieta stoi za nimi — kurtyzana. Natomiast inny człowiek wszystko ofiarował królowi: „Czyj jesteś?” „Królewski.” Ten naprawdę chodzi w blasku.

## CXCVII

Znałem człowieka, który należał tylko do siebie, gdyż gardził nawet kurtyzanami. Opowiadałem o pewnym ministrze, o brzuchu opastym i ciężkich powiekach, który zdradziwszy mnie, odrzekł się i zaklinał w czasie tortur, i sam siebie w ten sposób zdradził. Musiał zdradzić i mnie, i siebie. Jeżeli należysz do jakiegoś boga, ojcowizny czy królestwa, przez ofiarę z siebie możesz ocalić to, do czego należysz. Tak na przykład skąpiec, który należy do skarbu, z rzadkiej piękności diamentu uczynił sobie boga i umrze walcząc z rabusiami. Ale co innego zamożny brzuchacz: on sam siebie uważa za idola. Diamenty należą do niego i jemu przynoszą chwałę, on natomiast nie należy do nich. Jest słupem granicznym i murem — ale nie drogą. W imię jakiego bóstwa miałby umierać? Nie ma w nim nic poza brzuchem.

Miłość, która chętnie się pokazuje, jest miłością niską. Kto kocha, ten w ciszy wpatruje się w swoje bóstwo i jednoczy się z nim. Gałąź odnajduje więź z korzeniem. Usta odnajdują karmiącą pierś. Serce oddaje się modlitwie. Ludzkie opinie są wtedy zbędne. Nawet skąpiec ukrywa przed wszystkimi swój skarb.

Miłość milczy. Natomiast dostatek i bogactwo biją w bębny. Czym jest bowiem bogactwo, które nie jest na pokaz? Czym jest idol bez pokornych czcicieli? Wizerunek z malowanego drewna leżący gdzieś w szopie, pod śmieciem jest niczym.

Otóż mój minister o ciężkich powiekach i opastym brzuchu miał zwyczaj mawiać: „Moja ziemia, moje stada, mój pałac, moje złote kandelabry, moje kobiety”. Istniał więc niewątpliwie. Jego obecność wzbogacała tych, którzy się przed nim z podziwem pochylali. Tak i wiatr, nie mający ciężaru ani woni, wie o swoim istnieniu, kiedy pochyla łany zboża. „Jestem, myśli, ponieważ mi się kłaniają.”

Mój minister, poza ludzkim uwielbieniem, karmił się także nienawiścią. Czuł w nozdrzach jej woń, co było dowodem jego własnego istnienia. „Jestem, ponieważ płaczą przeze mnie.” Dlatego był jak ciężki wóz przejeżdżający po brzuchach ludu.

Poza tym nie było w nim nic, tylko słowa: wulgarne i nieważkie jak plewy, a wzdymające go niby pusty bukłak. Gdyż aby człowiek był naprawdę, musi wzrastać drzewo, do którego należy. A on jest tylko przekazem, drogą i przej-



ściem. Żeby uwierzyć w ciebie, muszę uwierzyć w twojego Boga. Natomiast mój minister był tylko dołem na przechowanie budulca.

Dlatego zwróciłem się do niego tak:

— Od tak dawna słyszę, jak mówisz „Ja, ja, ja...”, że w swojej dobroci odpowiedziałem wreszcie na zaproszenie twoich bębnow i popatrzyłem na ciebie. Zobaczyłem tylko magazyn towarów. Co ci daje ich posiadanie? Jesteś jak skład albo jak szafa, ale nie bardziej pożyteczny, ani bardziej rzeczywisty niż szafa albo skład. Lubisz, kiedy ludzie mówią: „Szafa jest pełna”, ale kim jest ta szafa?

Jeżeli zbrzydziwszy sobie grymas twojej twarzy, każę cię ściąć, czy coś się zmieni w moim królestwie? Twoje pełne skrzynie zostaną nie naruszone. Czy coś dodawałeś do swoich bogactw, czego teraz mogłoby zabraknąć?

Zamożny brzuchacz nie zrozumiał absolutnie pytania, ale zaczynał się niepokoić, gdyż oddychał z trudem. A ja ciągnąłem:

— Nie sądz, że niepokoję się w imieniu bliżej nieokreślonej sprawiedliwości. Skarb, który zalega twoje piwnice, jest imponujący i nie nim się gorszę. To prawda, żeś grabił królestwo. Ale i ziarno dokonuje grabieży wobec ziemi, aby zbudować drzewo. A ty pokaż mi drzewo, które zbudowałeś.

Nie przeszkadza mi, że wełniana odzież czy chleb powstały z potu pasterza i rolnika po to, żeby rzeźbiarz miał w co się ubrać i co jeść. Ich pot przemienia się, choć oni nawet o tym nie wiedzą, w rzeźbione kamienne oblicze. I poeta grabi spichrze, ponieważ żywi się zbożem, a sam nie bierze udziału w jego zbiorze. Ale tworzy wiersz. Synowie królestwa dają mi swoją krew, a ja z niej tworzę zwycięstwo moich wojsk. Ale buduję królestwo, którego są synami. Powiedz, czemu ty służysz: rzeźbie, drzewu, poezji, cesarstwu? Przecież jesteś tylko narzędziem, drogą i przekazem...

Choćbyś przez tysiąc lat powtarzał: „Ja... ja... ja...”, czy mi to powie cokolwiek o twoim postępowaniu? Czym stały się dzięki tobie ziemie uprawne, klejnoty i sztaby złota? Nie sądz, że powstają przeciw lodowcom w imieniu kałuż. Ani ziarnu nie będę robił wyrzutów za żarłoczność, z jaką rabuje ziemię. Ono jest tylko zaczynem i nie pamięta o sobie, a drzewo, które z niego wyrasta, z kolei na nim dokonuje grabieży. Tyś rabował; dobrze, ale kto rabuje ciebie i do kogo ty należysz?

\* \* \*

Piękna była królowa pewnego dalekiego kraju. Diamenty zbierane w pocie czoła przez jej lud stawały się diamentami królowej. A wędrowcy i włóczędzy z owej ziemi docierając do obcych krajów drwili z tamtejszych wędrowców i włóczęgów: „Wasza królowa, powiadali, nie jest obsypana diamentami! A nasza ma blask księżyca i barwę gwiazd...” Ale u ciebie perły, diamenty i uprawne ziemie

budują tylko chwałę zamożności i ciężkiego brzucha. Z tego luźnego budulca stawiasz świątynię pospolitą, która budulca nie uszlachetni. Wiązesz jego różnorodność w jedno i tę więź im ofiarowujesz. Perła na twoim palcu nie jest tak piękna jak obietnica morza. Dlatego zerwę tę gorszącą mnie więź i ze wzniesionej przez ciebie budowli uczynię nawóz pod inne drzewo. A co mam zrobić z tobą? Co zrobić z takim nasieniem, przez które ziemia szpetnieje, jak ciało okryte wrzodami?

\* \* \*

Nie chciałbym jednak, aby ze wzniosłą sprawiedliwością, której służę, mylnie inną bładą sprawiedliwość. Bywa, że los — jakieś niskie czyny na przykład — zgromadziły w jednym ręku skarb, który podzielony byłby niczym. Nie tylko podnosi on wartość posiadającego, ale, co ważniejsze, posiadający pomnaża wartość skarbu. Mógłbym go podzielić, zamienić na chleb i rozdać ludziom, ale ponieważ liczny jest mój lud, więc niewiele mu da ów dodatkowy jednodniowy zasilek. Kiedy drzewo już rośnie, a jest piękne, przemienię je raczej w maszt żaglowca, a nie dam porąbać na szczapy, ażeby wszyscy cieszyli się godzinę płonąącym ogniem. Bo niewiele im da przez godzinę grzać się przy ogniu. Ale wszyscy będą zadowoleni, kiedy ruszy w morze żaglowy statek.

Chciałbym taki skarb przemienić w obraz, który ucieszy wszystkie serca. Chciałbym zwrócić ludziom smak cudowności, bo dobrze, jeśli poławiacze pereł żyjący w biedzie (wiadomo jak trudno wydobywać pereł z morskiego dna) wierzą w jakąś cudowną perłę. Będą bogatsi, jeżeli każdy z nich raz w roku znajdzie jedną perłę, która odmieni jego los, niż gdyby równo podzielić wartość wszystkich wydobytych pereł i każdemu dać trochę stawy; gdyż ta perła jedyna dla wszystkich rozświetla głąb morza.

## CXCVIII

Szukałem więc użytku dla skonfiskowanych bogactw, który byłby godny prawdziwej sprawiedliwości — nie chcę się bowiem opowiadać za poszczególnymi kamieniami, a przeciw świątyni. Nie pragnę rozpuszczać lodowca w błoto, rozkładać świątyni w luźne elementy i skarbiec oddawać na rabunek. Jedyne rabunek, który považam, to kiedy ziarno rabuje ziemię, ale zarazem i siebie w imieniu drzewa, gdyż samo obumiera. Nie zależy mi, aby każdemu dodać niewiele i zgodnie ze stanem: kurtyzanie — perłę, rolnikowi — korzec zboża, pasterzowi — kozę, skapcowi — złoty pieniądz. Nędzne to wzbogacenie. Ja chciałbym ocalić jedność skarbcza, tak aby na wszystkich promieniował jego blask niby blask niepodzielnej perły. Bo może być i tak, że dasz każdemu nowe bóstwo, a nie umniejszysz całości. Ale wtedy oburzają się ci, co pragną sprawiedliwości: — Nędzarami, mówią, są rolnik i pasterz. Jakim prawem pozbawisz ich tego, co im się należy, w imię jakiegoś zysku, którego wcale nie pragną, albo w imię jednego bóstwa, którego nie znają. Uważamy, że każdy ma prawo dysponować owocem swojej pracy. Jeśli mi się spodoba, będę utrzymywał śpiewaków. Jeśli zechcę, będę oszczędzał z myślą o świącie. Ale jakim prawem chcesz budować z mojego potu bazylikę, jeżeli ja się na to nie zgadzam?

A ja odpowiem im tak:

— Niedostateczna to sprawiedliwość i tymczasowa, bo obejmuje tylko jedną płaszczyznę. A tymczasem trzeba wybierać. Budulec zmienia swój sens przechodząc z jednej płaszczyzny na drugą. Ziemi przecież nie pytacie, czy chce wydać ziarno, gdyż nie rozumie, czym jest ziarno. Jest po prostu ziemią. Nie pragniesz tego, czego pojęcia jeszcze sobie nie wytworzyłeś. Jakaś kobieta jest ci obojętna: wcale nie pragniesz jej kochać, choć może ta miłość, zapaliwszy się w tobie, przyniosłaby ci szczęście.

Nikt nie żałuje, że nie pragnie zostać geometrą. Nikt nie żałuje, że nie żałuje — byłoby to absurdem. To zboże musi nadać sens ziemi. Ziemia stanie się wtedy ziemią dającą zboże. Nie nakazujesz także zbożu, aby się stało świadomością i światłem oczu. Nie ma w nim tych pojęć: ani świadomości, ani światła oczu. Jest po prostu zbożem. To człowiek ma się nim żywić i przemieniać chleb, który powstał ze zboża, w żarliwość i modlitwę wieczorną. Nie pytaj więc rolnika,

czy chce, żeby jego pot przemienił się w wiersz, geometrię czy architekturę, gdyż rolnik nie zna tych pojęć. On by wykorzystał efekty swojej pracy na to, żeby ulepszyć swój pług, gdyż jest po prostu rolnikiem.

Ale ja nie chcę się opowiadać za poszczególnymi kamieniami przeciw świątyni, za ziemią — przeciw drzewu, za pługiem rolnika — przeciw jego poznaniu. Szanuję wszelkie dzieło twórcze, choć pozornie opiera się na niesprawiedliwości, gdyż zaprzeczasz wtedy kamieniowi po to, żeby budować świątynię. Ale czy można powiedzieć o świątyni, kiedy już powstanie, że jest sensem kamieni i zrealizowaną sprawiedliwością? Czy nie powiem, że, drzewo jest wznoszeniem się ziemi ku niebu? A o geometrze — że uszlachetnia rolnika, który jest człowiekiem, choć nic o tym nie wie?

Nie buduję szacunku dla człowieka na marnym dzieleniu marnych zasobów w duchu nienawistnej równości. W królestwie równy jest żołnierz i kapitan. Twierdzą także, że kiepscy rzeźbiarze są równi dobremu rzeźbiarzowi w dziele, które stworzył, ponieważ posłużyli mu jako gleba, na której dzieło wyrosło w górę. Oni byli warunkiem jego powołania. Twierdzą także, że rolnik i pasterz są równi dobremu rzeźbiarzowi, gdyż i oni byli warunkiem powstania arcydzieła.

Ciebie jednak wciąż gnębi, że rabuję rolnika, który nic w zamian za to nie dostaje. I roi ci się królestwo, w którym ci, którzy tłuką kamienie przy drogach, tragarze portowi i ładowacze, będą mogli upajać się poezją, geometrią i rzeźbą i sami, z własnej woli, będą sobie narzucali dodatkową pracę, żeby wyżywić poetów, geometrów i rzeźbiarzy.

Rojąc tak, mylisz drogę z celem; gdyż oczywiście pragnę podniesienia rolnika wzwyż. I wspaniały byłby rolnik upajający się geometrią. Ale patrzysz bez dystansu i jak krótkowidz, kiedy chciałbyś przeprowadzić to działanie w obrębie jednego ludzkiego życia, lub kiedy twierdzisz, że nie planujesz żadnych działań dotyczących już nie jednostek, ale pokoleń. Okłamujesz sam siebie.

Opiewasz przecież żeglarzy, którzy zginęli walcząc z morzem na pokładach kruchych żaglowców, ale synom dali panowanie nad odkrytymi archipelagami. Opiewasz tych, którzy zmarli pracując nad wynalazkami, z których sami nie mieli pożytku, aby inni mogli dalej podjąć i udoskonalić ich osiągnięcia. Opiewasz żołnierzy, którzy padli na murach obronnych i nic nie zyskali w zamian za przelaną krew. A także opiewasz człowieka, który sadi drzewo cedrowe, choć sam jest stary i nie oczekuje dla siebie cienia, który drzewo da w dalekiej przyszłości.

Poezja kiedyś później odpłaci innym już rolnikom i innym pasterzom. Bo władza poezji rozszerza się powoli, a cień cedru osłoni dzieci człowieka, który go posadził. Dobrze jeśli ofiara możliwie szybko znajdzie dla siebie nagrodę, ale nie pragnę, żeby nazbyt szybko stała się zbędna. Bo ona jest warunkiem, znakiem i drogą wstępowania — wzwyż. Posłuchaj: przez trzy lata z rzędu troszczę się o każdy gwóźdź i osprzęt statku. Nie mam za to w nagrodę ani zapachu desek, ani dźwięku wbijanych gwoździ: na później zostało odłożone święto. A przygo-

towanie osprzętu trwa nieraz bardzo długo. Ale jeżeli już nie potrzeba żadnych dalszych ofiar, widocznie jesteś zadowolony z wybudowanych statków, ze zdobytej wiedzy, posadzonych drzew, wykonanych rzeźb i sądzisz, że nadeszła już pora, kiedy możesz wygodnie zasiąść i korzystać z nagromadzonych zapasów jak człowiek osiadły, krab mieszkający w cudzej skorupie.

Ale wtedy ja wejdę na najwyższą wieżę, żeby z niej obserwować horyzont. Gdyż bliska będzie godzina nadejścia barbarzyńców.

Już tyle razy powtarzałem, że nie ma czegoś takiego jak nagromadzone zapasy. Jest tylko kierunek, wstępowanie wzwyż i dążenie ku czemuś. Kiedy geometry przestaną tworzyć, dołączą do nich rolnicy i w zamian za swój trud będą się domagali satysfakcji. Jeżeli idziesz w ślad za przyjacielem, w tym samym tempie co on, ale o parę kroków w tyle, on — chcąc żebyś do niego dołączył — musi przystanąć. Więc posłuchaj: znajdziesz równość, kiedy wędrowanie będzie już niepotrzebne i tam dopiero, gdzie zapasy będą przydatne — w godzinie śmierci, kiedy Bóg sprząta zbiory do spichlerza.

\* \* \*

I dlatego wydało mi się słuszne, żeby skarbu nie dzielić.

\* \* \*

Gdyż sprawiedliwość jest tylko jedna: przede wszystkim ocalę to, do czego należysz. Czy ma to być sprawiedliwość dla bogów? Czy dla ludzi? Albowiem bóg należy do ciebie i jeśli to będzie możliwe, ocalę ciebie pod warunkiem jednak, że twoje ocalenie będzie jego wzrostem. Ale nie ocalę cię wbrew twoim bogom. Bo ty należysz do nich.

Jeśli tak będzie trzeba, ocalę dziecko wbrew matce, gdyż ono początkowo było jej. Ale teraz już ona jest jego. Ocalę także chwałę cesarstwa kosztem rolnika, tak samo jak zboże kosztem ziemi. Ocalę czarną perłę, do której będziesz należał, nawet jeśli ci ona nie przypadnie, gdyż od niej pięknieje dla ciebie całe morze, i to kosztem tego śmiesznego okrucucha perły, który by należał do ciebie, nie powiększając jednak twojego bogactwa. Ocalę sens miłości, abyś mógł należeć do niej, wbrew miłości, która by należała do ciebie, tak jak rzecz nabyta albo prawo, gdyż wtedy wcale byś miłości nie osiągnął.

Ocalę źródło, z którego pijesz, kosztem twojego pragnienia, gdyż w przeciwnym razie umarłbyś: duchem albo ciałem.

Mniejsza z tym, jeśli słowa zdają się przedrzeźniać wzajemnie i jeśli uważam, że daję miłość odmawiając jej i zachęcani do życia, narzucając śmierć. Albowiem

przeciwieństwa są wynalazkiem języka, któremu zdaje się, że pojmuje, a w rzeczywistości — stwarza zamęt. I nadchodzi epoka wielkiej niesprawiedliwości, kiedy od człowieka wymagasz, żeby pod karą śmierci wypowiedział się za albo przeciw.

\* \* \*

Wydało mi się zatem słuszne nie dzielić skarbu rozpraszając go na drobne jak zwir cząsteczki, tak aby każdemu zwrócić to, co mu zostało zrabowane: klejnot — kurtyzanie, kozę — pasterzowi, korzec zboża — rolnikowi i sztukę złota — skąpcowi, lecz tak, aby zwrócić duchowi to, co odjęte ciału. Tak się właśnie dzieje, kiedy zaprzęgasz mięśnie do kucia w kamieniu; ale kiedy odniosłeś już nad nim zwycięstwo, otrzepujesz z pyłu dłonie, odstępujesz krok w tył, mrużysz oczy, żeby lepiej widzieć, przechylasz lekko głowę na bok i wreszcie uśmiech boga spada na ciebie jak ogień.

Mógłbyś oczywiście dodać nieco blasku momentowi, w którym człowiek coś otrzymuje. Gdyż czym innym jest posiadać jakiś klejnot czy kozę, korzec zboża czy złotą monetę, co nie daje żadnej szczególnej przyjemności, a czym innym — otrzymać to w dniu święta i w szczytowym momencie ceremonii. Wtedy te skromne dary nabierają charakteru królewskich podarków, darów miłości. Znałem człowieka, który był właścicielem całych pól różanych, a który by wolał raczej wszystkie je utracić, niż rozstać się z jedną zwiędłą różą, którą nosił na sercu, zaszytą w skromny kawałek płótna. Jednak ktoś spośród moich poddanych mógłby się pomylić i przypuszczać niemądrze, że radość daje mu zboże, koza, złoto czy zwiędła róża. Pragnąłem mu to wyjaśnić.

Mógłbym oczywiście zmienić skarb na różne nagrody. Uczcić zasługi dla królestwa położone przez generała, wynagrodzić tego, kto wyhodował nowy kwiat, wynalazł lekarstwo albo nowy typ statku. Ale byłby to tylko jakiś przetarg, sam sobie dający usprawiedliwienie, logiczny i godziwy, zadowolający rozum, ale pozbawiony jakiegokolwiek władzy nad sercem ludzkim. Jeżelilibym z końcem każdego miesiąca wypłacał pobory, uzyskane w ten sposób pieniądze niczego nie byłyby zdolne opromienić. Dlatego niewiele można oczekiwać po takich aktach jak zadośćuczynienie krzywdy, uznanie za wierność, hołd złożony geniuszowi. Przyglądasz się i powiadasz: „Słusznie”. Wszystko jest jak należy, więc wracasz do domu i zajmujesz się czymś innym. I nikt nie otrzymuje cząsteczki blasku, gdyż krzywda istotnie powinna być naprawiona, wierność naturalnie zasługuje na uznanie, a geniusz — na hołd. A jeżeli wracając do domu usłyszysz, jak żona pyta: „Co tam nowego w mieście?”, zapomnisz nawet o tym i odpowiesz, że nic szczególnego. Tak samo jak nie będziesz opowiadał, że domy stoją w blasku słońca, a rzeka płynie do morza.

Toteż odrzuciłem propozycję ministra sprawiedliwości, który z uporem zamierzał pochwalać i wynagradzać cnotę; przecież byłoby to niszczeniem tego, co chciał popierać; z drugiej zaś strony podejrzewałem, że minister interesuje się cnotą, jakby interesował się opakowaniem delikatnych owoców, nie dlatego, aby był szczególnie niedyskretny, ale że była to niedyskrecja pełna delikatności i poszukująca przede wszystkim wysokiej jakości.

— Cnotę — powiedziałem — należy karać.

A ponieważ wyglądał na zmieszanego, dodałem:

— Mówiłem już kiedyś o moich kapitanach. Za poświęcenie, jakie okazują pośród pustyni, nagradzam ich miłością do niej, która rodzi się w ich sercach. Rzucając ich w przymus trudnego życia, sprawiam, że staje się ono przepychem.

Na czym polega zaś cnota cnotliwych kobiet, jeżeli wieńczą je korony ze złoto-papieru, pochwały wielbicieli i kiedy los się do nich uśmiecha? Taniej kupisz skarb, i nie tak skąpo wymierzany, u dziewcząt z dzielnicy taniej miłości.

Odrzuciłem wreszcie propozycje architektów. Popatrz, mówili, za ten bezużyteczny skarb możesz postawić świątynię, która stanie się chlubą królestwa i do której przez całe stulecia będą dążyć uparcie karawany podróżnych.

Istotnie, nienawidzę tego, co użyteczne, a nic nie daje. Szanuję natomiast ów dar, którym jest dla ludzi przestrzeń i cisza. Od jeszcze jednego dodatkowego spichlerza wydaje mi się potrzebniejsze posiadanie na własność nieba pełnego gwiazd czy morza, choć nikt by nie umiał powiedzieć, co one dają sercu. Ale człowiek, śmiertelnie zdławiony życiem w nędznej dzielnicy, pragnie ich. Są jak wezwanie do cudownej podróży. Mniejsza z tym, jeśli podróż jest niemożliwa. Żal za miłością to już miłość. A kiedy próbujesz wyruszyć w drogę ku miłości, już jesteś ocalony.

Nie wierzyłem jednakże w skuteczność takich darów. Ani radości, ani zdrowia, ani prawdziwej miłości nie można kupić. Nie można też kupić gwiazd. Nie można kupić świątyni. Wierzę w taką świątynię, której człowiek oddaje wszystko. Wierzę w świątynię, które rosnąc w górę domagają się potu ludzkiego. Wysyłają gdzieś daleko apostołów, a ci, w imię ich boga, wymuszają od ludzi okup. Wierzę w świątynię okrutnego króla, który w kamieniu buduje pomnik swojej dumy. Z całej krainy ściąga mężczyzn na plac budowy. A nadzorcy, z batami w rękę, każą im ciągnąć kamienie. Wierzę w świątynię, która człowieka wyzyskuje i pożera. A w zamian za to — nawraca. Bo tylko taka odpłaci mu za wszystko, co dał. Ten, co na rozkaz okrutnego króla dźwigał kamienie, zyskuje z kolei prawo do dumy. Spójrzcie, jak skrzyżowawszy ręce stoi przed dziobem tej granitowej nawy, która już zaczyna zagrażać piaskom w powolnym przepływie stuleci. To dla niego i dla innych na tej budowie jest majestat króla, gdyż Bóg raz postawiony na piedestale, daje się wszystkim bez ograniczeń. Wierzę w świątynię zrodzoną ze zwycięskiego zapału. Statkowi, który popłynie w wieczność, dajesz osprzęt: maszty, liny i żagle. Wszyscy śpiewają budując świątynię: aż z kolei świątynia zacznie śpiewać.

Wierzę w miłość, która się przemienia w świątynię. Wierzę w dumę, która się przemienia w świątynię. I wierzyłbym także, gdyby człowiek umiał je zbudować, w świątyni gniewu. Albowiem drzewo może zapuszczać korzenie w miłości, dumie, zwycięskim upojeniu albo nawet w gniewie. Wciąga soki żywotne, żeby uczynić z nich swój pokarm. Ale jeżeli przed pragnieniem korzeni człowiek otworzy tylko nędzny loch, choćby pełen złota, nie zdoła nakarmić drzewa — najwyżej magazyn towarów. Nie minie nawet sto lat: wiatrów, piasków i deszczu, a wszystko runie.

Skarb nie może więc być wzbogaceniem, nagrodą, nie może się przemieniać w kamienny statek — pogardziłem każdą z tych możliwości; nie może też być poszukiwaniem promiennego oblicza, które by przekazało swoje piękno ludzkim sercom; i zacząłem przemyślać w ciszy.

Skarb to tylko nawóz użyźniający glebę. Myliłem się, próbując nadać mu jakiś inny sens.



## CXCIX

Modliłem się więc, żeby mnie Bóg oświecił, a On w swojej dobroci zesał mi wspomnienie karawan zmierzających do świętego miasta, choć początkowo nie rozumiałem, w jaki sposób wizja wielbłądników w słońcu mogłaby mi pomóc w rozwiązaniu problemu.

Zobaczyłem, jak na mój rozkaz cały lud szykuje się do pielgrzymki. Lubiłem zawsze — jak niepowtarzalny smak miodu — krzątanie ostatniego wieczoru. Bo z szykowaniem ekspedycji jest tak jak ze statkiem już wybudowanym, który trzeba wyposażać jeszcze w żagle, liny i wszelki osprzęt, i który obdarzony dotąd takim sensem, jaki ma rzeźba lub świątynia (do czego były potrzebne młoty, pomysły i wyliczenia, i siła rąk), nabiera teraz sensu podróży, gdy go przystrajasz na spotkanie wiatrów. Albo jak z córką, którą żywiłeś i nauczałeś, i którą karcieś za chęć strojenia się: przychodzi oto dzień, kiedy oczekuje na nią pan młody i w ten ranoek wydaje ci się wciąż nie dość piękna i rujnujesz się dla niej na najcieńsze płótna i złote bransolety, bo to tak, jakbyś miał wysłać statek na morze.

A zatem, zgromadziwszy już zapasy żywności, gdy skrzynie zabite już gwoździami, a worki związane, chodzisz jak król między zwierzętami, jedno pogłaszczesz, drugiemu podsuniesz jakiś przysmak, przytrzymując kolanem dociągasz jeszcze jakiś rzemień, a kiedy ładunek będzie już wciągnięty na ich grzbiety, z dumą patrzysz, że nie zsuwa się ani w lewo, ani w prawo; wiesz bowiem, że wielbłądy, choć kołyszają nim ciężko w biegu i potrząsają wymijając głazy i przyklękając na postoju, utrzymują go jednak w chwiejnej równowadze, tak jak drzewo pomańczone chwieje się na wietrze bez szkody dla obciążających je owoców.

Miły mi jest zapach tych ludzi, którzy jak owad szykują sobie kokon na czterdzieści dni przejścia przez pustynię, a nie słuchając słów, lekkich jak plewy, wiem, kim są w istocie, i nie mylę się nigdy.

Kiedy bowiem tak chodzę, pełen milczącej miłości, w przeddzień wyjazdu słysząc dokoła skrzywienie upręży, chrapanie zwierząt, cierpkie rozmowy na temat jutrzejszej drogi, wybranych przewodników albo rozdziału funkcji każdemu przeznaczonej, nie dziwię się, że ludzie nie wychwalają podróży; przeciwnie: w czarnych kolorach malują niedole zeszlorocznej ekspedycji — wyschłe studnie, palące wiatry, ukąszenia węży, niewidocznych w piasku jak nerw w ciele,

zasadki rozbójników, choroby i zgony; wiem, że jest to dyskrecja, którą nakazuje miłość.

Dobrze, jeżeli udajesz, że to nie twój bóg porywa cię uniesieniem, ale sławisz wpierw złote kopuły świętego miasta; albowiem twój bóg nie jest gotowym podarkiem ani zapasem gdzieś na ciebie czekającym, ale świętem i ukoronowaniem ceremoniału twoich niedoli.

Byłbym nieufny, gdyby ludzie przede wszystkim interesowali się własnym uniesieniem; tak samo, jak lękałbym się, że budowniczywie statku, za wcześniej rozmawiając o żaglach i wiatrach, nie dopilnują desek i gwoździ, albo gdyby ojciec zbyt wcześniej nakłaniał córkę, żeby się stroiła. Miłe mi są zaś piosenki kowali kujących gwoździe i traczy piłujących deski, gdyż one sławią nie pusty urok gotowych zapasów, ale pęd, który zbuduje statek. A kiedy statek, już w pełnym rynsztunku, ruszy w podróż, chcę słyszeć, jak marynarze śpiewają nie o cudownych wyspach, ale o tym, jak czyha na nich morze — bo wtedy widzę przed nimi zwycięstwo.

Wtedy w cierpieniach sami odczytują drogę, przejście i niesiony przekaz. Będziesz krótkowzroczny i łatwowierny, jeżeli zaniepokojony skargami i przekleństwami, które sercom dają ulgę, pošlesz im śpiewaków, co przemilczając niebezpieczeństwa i mękę pragnienia, w słodkockliwym tonie będą sławić błogie przedwieczera wśród pustyni. Szczęście, które nie ma określonego kształtu, nie wydaje mi się bowiem porywające. Ja dążę do olśnienia miłości.

A potem karawana rusza. I w tym kokonie, jakim jest karawana, coś się po kryjomu przepoczwarza, w ciszy, w ślepy mroku, zwątpieniu i bólu, gdyż wszelka przemiana jest bolesna. Wtedy już nie trzeba uniesień, ale wiernego trwania, które już nawet nie rozumie, i niczego od siebie nie czeka — ten, którym byłeś wczoraj, musi bowiem umrzeć.

Wtedy wygaśnie wszystko poza porywem żalu za chłodem domu i srebrnym dzbankiem w porze, kiedy zanim zaczniecie się kochać, razem pijecie herbatę. Nawet wspomnienie gałęzi kołyszącej się przed oknem i pianie koguta na podwórzu stanie się okrutne. Powiesz: „Byłem u siebie”, bo teraz nie masz już miejsca, które mógłbyś nazwać swoim. Pomyślisz znów o tajemniczym ryczeniu osła, które cię budziło o świcie: o koniu i psie wiesz coś niecoś, one odpowiadają na twój głos. Ale o osle nie wiesz nic — jest jak gdyby szczelnie zamknięty w sobie i nie wiadomo, czy lubi na swój sposób swoją zagrodę, szopę i siebie samego. I na tym dalekim wygnaniu czujesz nagle potrzebę, żeby go jeszcze kiedyś objąć za szyję i pogłodzić po pysku, może po to, żeby go jakimś zakłębem, jak ślepca, wydobyć z mroku. A kiedy pewnego dnia znajdziesz na dnie wyschłej studni tylko strumyczek cuchnącego błota, ugodzi cię w samo serce dawno temu słuchany poufny szept fontanny.

I tak zamyka się wokół ciebie pustynia jak powłoka motylej poczwarki, bo od trzeciego dnia kroki zaczynają lgnąć w lepkiem jak smoła bezmiarze. Porywa cię

zazwyczaj to, co ci stawia opór, a na natarciu odpowiadasz ciosami. Ale tu kroki zdają się ginać wśród pustyni jak w ogromnej sali posiedzeń, która pochłania słowa i narzuca człowiekowi milczenie. Idziesz mozolnie od świtu, a kiedy nadejdzie wieczór, widzisz, że płaskie kredowe skały, które rysowały się na horyzoncie po lewej ręce, zaledwie się przesunęły. Nużysz się jak dziecko, które dziecinną łopatką zamierza przetrząsnąć górę piasku. Ale góra jest nieświadoma zamierzonej pracy. Giniesz w jakiejś bezmiernej swobodzie i żar zaczyna w tobie wygasać.

W tych podróżach karmiłem mój lud zawsze krzemieniem i cierniami. Wydawałem go na nocny ziąb. Na wiatr niosący piasek tak rozpalony, że trzeba było kulić się na ziemi, zakrywając głowę płaszczem jak kapturem, usta były pełne zgrzytającego pyłu, ciało zaś, choć beczynne, pociło się, wystawione na słońce. I doświadczenie nauczyło mnie, że wszelkie słowa pociechy są wtedy bezużyteczne.

— Nadejdzie kiedyś wieczór — mówiłem — który będzie jak morskie dno. Naniesiony piasek ułoży się w spokojne, senne ławice. Będziecie iść w chłodzie po twardym, sprężystym gruncie. . . Ale mówiąc tak, miałem w ustach smak kłamstwa, jak gdybym chciał, przez te zmyślenia, odmienić człowieka na innego, niż był w rzeczywistości. A ogarnięty milczącą miłością, nie gorszyłem się przekleństwami.

— Może masz rację — odpowiadali. — Może już jutro tych, co przeżyją, Bóg zamieni w ludzi szczęśliwych. Ale dla nas to obojętne! Tymczasem jesteśmy tylko garstką skorpionów, zamkniętych w rozżarzonej kręgu!

I tacy właśnie mieli być ci ludzie na Twoją chwałę, Panie.

Czasem budził się wiatr północny, a jego nocne okrucieństwo, nagłe jak cios szabli, wymiatało niebo do czysta. Z nagiej ziemi upływało całe ciepło i ludzie, przygwożdżeni do miejsca gwiazdami, dygotali z zimna. Co miałem wtedy mówić?

— Nadejdzie znów świt i światło dzienne. Słoneczne ciepło jak krew zacznie krążyć w ciałach. Nawet przymykając oczy będziecie wiedzieli, że w was zamieszkało. . .

Ale oni mi odpowiadali:

— Może jutro na naszym miejscu Bóg zasadzi grzędy radosnych ziół i będzie je pielęgnował w swojej dobroci. Ale my, tej nocy, jesteśmy tylko polem jęczmienia, które kładzie wiatr.

I tacy właśnie mieli być, na Twoją chwałę, Panie.

Wtedy starając się zapomnieć na chwilę o ich męce, tak się modliłem do Boga:

„To dobrze, Panie, że odrzucają napój taniej pociechy. Zresztą nie chodzi o ich skargi: jestem jak chirurg, który zaszywa rany, aż chory płacze z bólu. Znam te zasoby radości, które są w nich zamknięte na cztery spusty, chociaż nie znam słów, które by potrafiły otworzyć do nich dostęp. Z pewnością nie są przeznaczone na dzień dzisiejszy. Owoc musi dojrzeć, zanim nabierze słodkości miodu. Teraz jest

pora goryczy. Nie ma w nas nic poza cierpkością i kwasem, a płynący czas ma za zadanie uzdrowić nas i przemienić w radość na Twoją chwałę”.

I idąc z tymi ludźmi dalej, nie przestawałem ich karmić krzemieniem i cierniami.

Aż nadszedł moment, zrazu podobny, nie do odróżnienia od tylu innych, niezliczonych i ginących w bezmiarze, który okazywał się przełomowy i przynosił cud. Święto — ukoronowanie ceremoniału drogi. Moment błogosławiony pośród tylu innych chwil, kiedy pęka poczwarka, a skarb, który kryła, uskrzydłony, leci w światło.

\* \* \*

Tak właśnie poprzez wojenne znoje prowadziłem moje oddziały do zwycięstwa. Do światła — przez noc, do ciszy świątyni — poprzez mozolne znoszenie kamieni, do wzruszającego wiersza — przez jałowe reguły gramatyki, do widoku roztaczającego się ze szczytu — przez rozpadliny i usypiska ciężkich głazów. Mniejsza o beznadziejne utrudzenie drogą — nie jestem wrażliwy na liryczne wyznania gąsienicy, której się zdaje, że kocha lot w słońcu. Niech się przepoczwarza, niech się przemienia, niech trawi sama siebie — to wystarczy. A ty idź dalej przez pustynię.

Zapieczone zasoby radości będą ci dozwolone dopiero, gdy nadejdzie pora, która zezwoli otworzyć do nich dostęp. To prawda, kiedy zwycięstwo uwieńczy twoje kombinacje myślowe, cieszysz się szczerze wygrywając partię szachów, ale ja nie mogę ci dać tej przyjemności w prezencie i niezależnie od ceremoniału gry.

Dlatego też chcę, żebyś już na płaszczyźnie wyrobu gwoździ i szykowania desek śpiewał piosenkę kowali i stolarzy, a nie pieśń o statku. Daję ci pokorne zwycięstwo równo zheblowanej deski i wykutego gwoździa, które zaspokoi serce, jeżeli zmierzałeś do tego zwycięstwa. Bo piękna to rzecz kawałek drewna, jeżeli walczysz o dobrze wyglądzoną deskę. I piękna rzecz — wyglądzona deska, jeżeli walczysz o statek.

Znałem człowieka, który niby to podporządkowując się ceremoniałowi gry, ziewał dyskretnie i z roztargnioną pobłażliwością odpowiadał półsłówkami, ale jak człowiek zaskorupiały w niewrażliwości, który z łaski bawi się z dziećmi.

— Popatrz na moją wojenną flotę — powiada siedmioletni kapitan układając trzy kamyki.

— Rzeczywiście, piękna wojenna flota — mówi na to człowiek zaskorupiały w niewrażliwości, patrząc na kamyki tępym spojrzeniem.

Kto przez próżność nie traktuje ceremoniału gry jako czegoś istotnego, nie pozna smaku zwycięstwa. Kto przez próżność nie będzie jak swoich bóstw traktował desek i gwoździ, nigdy nie zbuduje statku.

Plujący atramentem pismak, który nigdy niczego nie zbuduje, ma gusta tak delikatne, że będzie wołał zamiast piosenek kowali i stolarzy pieśń statku; kiedy zaś statek pod pełnymi żaglami ruszy na morze i nabierze wiatru w żagle, zamiast mówić o walce, jaką każdej chwili może mu wydać burza, będzie już intonował melodie czarodziejskiej wyspy; to prawda, że właśnie ona nadaje sens deskom i gwoździom, i walkom z burzami, ale pod warunkiem, żeś nie zlekceważył żadnego wcześniejszego etapu, żadnej przemiany, z której się wyspa narodzi. On jednak, na dobitkę, pławiąc się w mglistych i mdłych rojeniach, na widok pierwszego gwoźdźcia zacznie śpiewać o barwnych ptakach i zmierzchu na koralowych rafach, co mnie nawiasem mówiąc przyprawia o mdłości, bo wolę chrupiący chleb od przesłodzonej konfitury. Będzie to ponadto podejrzane, ponieważ są także wyspy dżdżyste, gdzie ptaki są szare, a przybiwszy do takiej wyspy, ażeby ją pokochać, chciałbym usłyszeć przejmującą piosenkę o siwym niebie pełnym szarych ptaków.

Ja natomiast nie zamierzam budować katedry bez kamieni i nie dochodzę do istoty rzeczy inaczej jak przez różnorodność; mnie nic nie powie kwiat, jeśli nie będzie to kwiat pojedynczy, o określonej liczbie płatków, o określonej, takiej a nie innej barwie; ja — który wykuwałem gwoździe i piłowałem deski, i odpierałem jedno po drugim potężne natarcia morza — ja mogę opiewać wyspę ukształtowaną, konkretną, którą własnymi rękami z morza wydobyłem.

Tak i z miłością. Jeżeli plujący atramentem pismak wysławia jej uniwersalną pełnię, czego się o niej dowiem? Drogę do jej poznania otworzy mi ta jedna określona miłość. Ona mówi właśnie tak, a nie inaczej. Jej uśmiech jest właśnie taki, nie inny. Nikt nie jest do niej podobny. A przecież, kiedy wieczorem siadę przy oknie i oprę głowę na rękę, nie widzę przed sobą muru, tylko wydaje mi się, że odkrywam Boga. Człowiekowi potrzeba prawdziwych ścieżek, wijących się w pewien szczególny sposób, o szczególnej barwie ziemi i właśnie takich dzikich różach wzdłuż ścieżki. Dopiero wtedy idzie w określonym kierunku. Kto umiera z pragnienia, idzie ku źródłom. Ale umiera.

Tak też i ze współczuciem. Możesz opowiadać szeroko o cierpieniach dzieci i nagle stwierdzisz, że ziewam. Ale to dlatego, że nie zaprowadziłeś mnie w żadne konkretne miejsce. Mówisz na przykład: „W tej katastrofie utonęło dziesięcioro dzieci...”, ale mnie arytmetyczna ścisłość niewiele mówi i nie będę płakał dwa razy silniej, jeżeli liczba utopionych wzrośnie dwukrotnie. Zresztą, chociaż od początku istnienia królestwa zmarło ich setki tysięcy, cieszysz się nieraz życiem i jesteś szczęśliwy.

Będę zaś płakał nad konkretnym dzieckiem, jeżeli mnie doprowadzisz do niego pojedynczą ścieżką; i tak samo, jak przez jeden kwiat wchodzę do królestwa kwiatów, czasem przez jedno dziecko odnajdę wszystkie dzieci, a nawet wszystkich ludzi.

Opowiadałeś mi raz o chłopcu piegowatym, kulawym, zaszczutym, którego wszyscy we wsi nienawidzili, ponieważ żył jak pasożyt, opuszczony przez wszystkich, a zjawił się kiedyś nie wiadomo skąd.

Krzyczano za nim:

— Jesteś zakałą naszej pięknej wioski! Jesteś jak zaraza, co zżera nasze korzenie!

A ty, spotkawszy go, pytałeś:

— Powiedz mi, kuternogo, czy ty nie masz ojca?

On jednak nie odpowiadał.

A ponieważ przyjaźnił się tylko ze zwierzętami i drzewami, pytałeś:

— Dlaczego nie bawisz się z chłopcami w twoim wieku?

Ale on wzruszył ramionami i nic nie odpowiadał. Ponieważ chłopcy w jego wieku ciskali za nim kamieniami, jako że kulał i przyszedł skądś, z daleka, gdzie wszystko jest nie tak, jak trzeba.

Jeżeli ośmielił się przyłączyć do bawiących, dorodni chłopcy, najzręczniejsi ze wszystkich, stawali mu na drodze:

— Chodzisz jak ropucha i widocznie wygnali cię z twojej wsi! A teraz naszą chcesz zapaskudzić! Nasza wieś jest ładna i wszyscy u nas chodzą prości!

A on wtedy po prostu odwracał się i odchodził pociągając nogą. Ludzie zaś spotykając go pytali:

— Czy ty, kuternogo, nie masz matki?

Ale on nie odpowiadał. Patrzył pytającemu w twarz przez krótką chwilę i czerwienił się.

Wszyscy wyobrażali sobie, że jest zgorzkniały i smutny, i nie dostrzegali jego spokoju i łagodności. A on był właśnie taki. Taki, a nie inny.

Aż jednego wieczoru ludzie ze wsi chcieli go przegnać kijami.

— Niech się wynosi stąd, zaraza, niech idzie gdzie indziej!

Wtedy tyś go obronił i spytał:

— Czy ty, kuternogo, naprawdę nie masz brata?

Twarz chłopca rozjaśniła się i spojrzał pytającemu prosto w oczy:

— Owszem, mam brata!

I zarumieniony z dumy opowiedział o starszym bracie, który był właśnie taki, a nie inny.

Był kapitanem — gdzieś tam, daleko. Miał konia pewnej określonej maści i w dzień zwycięstwa posadził za sobą na końskim grzbiecie jego, kuternogę. Było to określonego dnia. I kiedyś znów pojawi się ten starszy brat. Na oczach całej wioski weźmie go znów i posadzi za sobą, na końskim grzbiecie. „Ale, prawilo dziecko, ja wtedy poproszę, żeby mnie posadził z przodu, przed kulbaką, a on się zgodzi! Ja będę wtedy wszystko widział. I będę mówił: teraz w lewo, a teraz w prawo, szybciej!... Przecież brat mi nie odmówi: lubi, jak się śmieję i jestem zadowolony. I będziemy tak jechać we dwóch!”

Ten chłopiec nie był przedmiotem — kulawym, piegowatym chłopcem. Było w nim coś więcej poza nim samym i jego brzydota. Należał do brata. I w dniu zwycięstwa jechał razem z nim na grzbiecie wojennego rumaka!

Nadchodzi dzień powrotu wojska. Chłopiec siedzi na niskim murku ze zwieszonymi nogami. Inni chłopcy ciskają w niego kamieniami:

— Ej, ty, kuternego, pokaż, czy umiesz biegać!

A on tylko patrzy i uśmiecha się. Ciebie zaś łączy z nim tajny pakt. Jesteś świadkiem tępoty tych, którzy widzą w nim tylko piegowatego kulawca, a on przecież ma brata, który wróci na wojennym rumaku.

To właśnie dziś ów brat obmyje go z błota, którym go obrzucano, i ze swojej sławy zbuduje mur obronny przeciw ciskanym kamieniom. Chuderlawe dziecko urośnie nagle w wietrze i pędzie puszczonego w galop konia. Nikt już nie będzie widział jego brzydoty, ponieważ ma pięknego brata. Jego upokorzenie będzie zarte radością i chwałą tamtego. On — piegowaty, rozgrzeje się w blasku chwały, jak w słońcu. A inni, nareszcie go poznawszy, będą teraz zapraszać do wszystkich zabaw: „Masz takiego mocnego brata, chodź biegać razem z nami. . . Jesteś piękny, bo masz takiego brata”. A on poprosi brata, żeby i ich, jednego po drugim, wsadzał przed kulbakę na grzbiet wojennego rumaka, żeby i oni także napili się wiatru. Kulawiec nie będzie miał za złe, że ci malcy nie wiedzieli, kim jest naprawdę. Będzie ich lubił i powie im tak: „Ile razy wróci mój starszy brat, zwołam was wszystkich, a on nam będzie opowiadał o wojennych wyprawach. . .” Ale przytula się do ciebie, bo ty wiesz to wszystko. I w twoich oczach on nie jest taki brzydki, gdyż poprzez niego widzisz starszego brata.

Ale tyś może przyszedł po to, żeby mu kazać zapomnieć o raj, o odkupieniu i o słońcu. Przyszedłeś może, żeby mu odebrać tę zbroję przeciw ciskanym kamieniom. I poddać go znów ciskanemu błotu. Przyszedłeś mu powiedzieć: „Próbuj, mój mały, żyć inaczej, bo nie masz co oczekiwać przejażdżki za siodłem na wojennym rumaku”. Może mu jeszcze obwieścisz, że jego brat został wypędzony z wojska, że we wstydzie wędruje teraz ku wiosce i że tak bardzo utyka na nogę, i że ciskają za nim kamieniami?

Albo powiesz mi może:

— Sam go wydostałem martwego z błotnistej sadzawki, w której się utopił, bo nie mógł już dłużej żyć bez słońca. . .

Wtedy zacznę płakać nad ludzką niedolą. A dzięki tej właśnie piegowatej twarzy i temu właśnie rumakowi, tej właśnie przejażdżce na końskim grzbiecie w dzień zwycięstwa, tej hańbie wśród wioskowych domów, tej sadzawce (gdzie jak mi opowiadałeś, pływały kaczki, a na brzegu suszyła się nędzna bielizna), tak wielka nappełniła mnie litość dla ludzi, że nareszcie napotkałem Boga; bo tym razem prowadziłeś mnie prawdziwą ścieżką mówiąc mi o pewnym konkretnym dziecku.

Nie szukaj światła, które byłoby jak jeszcze jeden przedmiot pomiędzy przedmiotami; światło, które wypełnia świątynię, jest koroną kamieni.

Oliwiąc strzelbę z całym szacunkiem i dla strzelby, i dla oliwy; licząc kroki od jednego posterunku straży do drugiego i salutując kapralowi, i ze względu na samego kaprala, i na ten gest, który prowadzi cię do objawienia, czym jest służba strażnika; posuwając figury szachowe z powagą i szacunkiem dla przepisów gry, czerwieniąc się ze złości, kiedy przeciwnik oszukuje wbrew regułom, przygotowujesz sobie olśnienie, które jest udziałem zwycięzcy. Dociskając popręgi, narzekając na pragnienie, przeklinając wiatry niosące piach, potykając się, drżąc z zimna i dysząc w upale, możesz dostąpić olśnienia, które jest udziałem pielgrzyma, pod warunkiem, że pozostaniesz wierny nie patosowi lotu, który na płaszczyźnie gąsienicy jest fałszywą poetycznością, ale zadaniom, jakie niesie każda chwila, pielgrzyma, który po nagłym biciu serca poczuje w pewnym momencie, że postawił krok decydujący i że dostąpił cudu.

Choćbym nie wiem jak poetycznie mówił o zamkniętych w tobie zasobach radości, została mi odmówiona moc ich wydobycia na światło. Mogłem ci jednak dopomóc na płaszczyźnie budulca. Mówiłem o tym, jak dbać o studnie, jak leczyć bąble na dłoniach, a także o geometrycznych figurach, w które się układają gwiazdy i o sznurach wiązanych w węzły, kiedy któraś ze skrzyń załadowanych na juczne zwierzę zaczyna się przekrzywiać. Wezwałem pieśniarza — człowieka, który, nim się stał wielbłądnikiem, piętnaście lat żeglował po morzach i ani w kunszcie układania bukietów, ani w sztuce eleganckiego stroju tancerek nie znalazł źródła tak wzniosłej poezji. Są bowiem węzły, którymi można przycumować statek, a które dziecko potrafi zwolnić jednym lekkim dotknięciem. Inne wydają się prostsze od falowania łabędziej szyi, ale możesz dać je do rozwiązania towarzyszowi i założyć się, że tego nie dokaże. Jeżeli zaś zakład przyjmie, możesz tylko zasiąść wygodnie i śmiać się do woli, bo taki węzeł potrafi doprowadzić człowieka do szału. Pewien mój profesor był tak uczony (mimo że był ślepy na jedno oko, miał krzywy nos i straszliwie utykał), że nie omieszkał nam przekazać umiejętności wiązania delikatnych kokardek na opakowanym prezencie dla ukochanej dziewczyny. Kokarda taka była wtedy udana, kiedy dziewczyna mogła ją rozwiązać jednym lekkim ruchem, jakby zrywała kwiatek. „Wtedy, powiadał profesor, prezent wprawi ją w prawdziwy zachwyt, aż krzyknie z radości!” A taki był szpetny, kiedy naśladował okrzyki zakochanej dziewczyny, że trzeba było zamykać oczy.

Dlaczego przesłaniam moją myśl szczegółami, które mogą się wydać błahe, co prawda niesłusznie? Marynarz sławił sztukę, która — wiedział to z doświadczenia — pozwala zwykły sznur przemienić w linę holowniczą lub ratunkową. A ponieważ los zdarzył, że stała się dla nas warunkiem wstępowania wzwyż, nadawałem tej zabawie wartość modlitwy. To prawda, że z biegiem dni, kiedy karawana już się znużyła, trudno do niej przemówić i brakuje nawet umiejętności prostej mo-



dlitwy, która jest jak dociąganie popręgów, oczyszczanie zasypanej studni albo czytanie w gwiazdach. Na każdym z uczestników karawany zdążyła już narosnąć skorupa milczenia, każdy odzywa się cierpko, ucho ma nieczułe i twarde serce.

Nie bój się. To już moment, kiedy poczwarka pęka i kruszy się.

Obszedłeś już przeszkodę, wspiąłeś się na pagórek. Jeszcze nie widać żadnej różnicy między krzemieniami i cierniami tej pustyni, którą idziesz z trudem, a krzemieniami i cierniami wczorajszej drogi, a jednak czujesz, jak mocno bije ci serce i krzyczysz: „To już tu!” Towarzysze cisną się dokoła ciebie, pobladli. Wszystko w was nagle się zmienia tak jak w chwili, gdy wstaje słońce. Nagle wszystko jest ci stokrotnie odpłacone: pragnienie, odparzone dłonie i stopy, wyczerpanie, kiedy słońce stoi w zenicie, i nocny ziąb, wszystkie wiatry syjące piaskiem, co zgrzyta w zębach i oślepia, wszystkie padłe w drodze zwierzęta, wszystkie choroby, a nawet zmarli bliscy towarzysze, których trzeba było pogrzebać. Odpłacone zaś nie uczta z obfitością napojów, nie chłodnym cieniem drzew, nie migotaniem kolorów, kiedy dziewczęta piorą bieliznę w błękitnej wodzie, ani nawet nie świetnością kopuł wieńczących miasto święte; ale niedostrzegalnym znakiem, zwykłą gwiazdą, którą słońce obdarza najwyższą z kopuł, jeszcze niewidoczną, tak bardzo daleką; niewykluczone, że jeszcze cię od niej dzielą gęste rozpadliny, wśród których obsuwająca się ścieżka zakolami spuszcza się w przepaść; a potem pionowe skały, na które trzeba się wspiąć, podczas gdy całe ciało ciąży ku dołowi: a potem jeszcze piasek i piasek, i pośród pustych już bukłaków na wodę, towarzyszy chorych i umierających — ostatni posiłek — słońce. Zasoby radości, do których żadne słowa nie otworzą dostępu, wciąż jeszcze są ukryte w człowieku. I oto nagle, pomiędzy krzemieniami i cierniem, tam, gdzie w piasku jak włókna nerwów przesuwają się węże, jawi się jakaś niewidzialna gwiazda, bledsza od Syriusza, wypatrywana w nocie palącego wiatru — samumu, tak odległa, że kto nie ma orlego wzroku, nawet jej nie dojrzy w tak niepewnym świetle, że ledwie słońce zacznie się gotować do świtu — już zgaśnie; jedno gwiazdne mrugnięcie, nie, nawet nie mrugnięcie, ale — dla tych, co nie mają orlego wzroku — odbłask w wypatrujących oczach gwiazdowego mrugnięcia, odbłask odbłasku gwiazdy: ale on was przemienia. Wszystkie obietnice okazują się spełnione, wszystkie nagrody — przyznane, wszystkie niedole — stokrotnie odpłacone, ponieważ jeden z was, o orlim wzroku, stanął nagle jak wryty i wskazując palcem na coś dalekiego, w przestrzeni, zawołał: „To tu!”

Wszystko wypełnione. Na pozór nic nie otrzymałeś. A przecież otrzymałeś wszystko. Jesteś napojony i syty, rany masz opatrzone. I powiadasz: „Mogę teraz umrzeć, zobaczyłem to miasto, umieram szczęśliwy!” I nie jest to jakaś odmianna niewielkiej mocy, jak kiedy spragniony możesz nareszcie ugasić pragnienie. Cierpienia tych ludzi były wielkie, a pustynia bynajmniej nie zwolniła żelaznych kleszczy. I nie jest to także uśmiech losu: bo takiej radości nic nie odejmie ani nawet bliska śmierć, jeżeli zabraknie wody: po prostu dawałeś się kształtować ce-

remoniałowi pustyni, a poddawszy mu się do końca, dostępujesz teraz oto święta, które jest dla ciebie jak ukazanie się złotej pszczoły.

Nie sądz, że w czymkolwiek przesadzam. Pamiętam dzień, kiedy zabłąkawszy się na płaskowyżach nie tkniętych ludzką stopą, odnalazłem ślady człowieka i myśl, że umrę wśród ludzi, wydała mi się łaską. A przecież był to ten sam krajobraz, co poprzednio, poza tymi śladami na pół już startymi przez wiatr. I wszystko było jak przemienione.

\* \* \*

A co ja sam zobaczyłem, ja ogarnięty milczącą miłością do ludzi? Patrzyłem, jak popręgowaliście wielbłądy, jak szliście wydrążeni słońcem, puści wewnątrz, plujący piaskiem, klnąc jedni drugich, albo nareszcie, po długim monotonnym marszu, zapadaliście w milczenie. Nie dawałem wam nic poza skąpym pożywieniem, stałym brakiem wody, parzącym słonecznym skwarem, pęcherzami na dłoniach. Tak, żywiłem was krzemieniem i cierniami. A potem, kiedy nadeszła ta chwila, pokazałem odbłask odbłasku złotej pszczoły. A wyście głośno wołali, że mnie kochacie i że jesteście wdzięczni.

O tak — lekkie są moje dary. Ale bez znaczenia są i waga, i liczba. Wystarczy tylko, że otworzę dłoń, a ruszy naprzód cała armia cedrów, wspinająca się aż na szczyt góry. Wystarczy jedno nasionko!

## CC

Gdybym ci ofiarował zgromadzony majątek jak nieoczekiwany spadek, czy mógłbym ci dawać jeszcze więcej? Gdybym ci dał w darze, a z pominięciem ceremoniału nurkowania, czarną perłę z głębi morza, co mógłbym ci dać jeszcze? Otrzymujesz tylko wtedy, kiedy coś przetwarzasz, ponieważ jesteś nasieniem. Nie ma dla ciebie darów. Jeżeli rozpaczasz, że utraciłeś tyle okazji, chcę cię uspokoić: nie ma straconych okazji. Ktoś rzeźbi w kości słoniowej i przemienia ją we wzruszającą twarz bogini czy królowej. Ktoś inny zdobi naczynia z czystego złota, a produkt tej pracy także przemawia do ludzkich serc. Żadnemu z nich złoto czy kość słoniowa nie zostały dane. Obaj byli tylko drogą i przejściem. I dla ciebie jest tylko budulec, z którego trzeba budować bazylikę. Kamieni ci nie brakuje. Tak i cedrowi nie brakuje ziemi. Ale ziemi może zabraknąć cedrów i wtedy pozostanie kamienistym pustkowiem. Na co się skarżysz? Nie ma straconych okazji, skoro ty jesteś nasieniem. Jeżeli nie masz złota, możesz rzeźbić w kości słoniowej. Jeżeli nie masz kości słoniowej, możesz rzeźbić w drewnie. Jeżeli nie masz drewna, podnieś z ziemi kamień.

Ów minister o ciężkich powiekach i opasłym brzuchu, którego skazałem, aby go odsunąć od mojego ludu, w całym swoim majątku, gdzie złoto można było mierzyć na taczki, a piwnice były pełne diamentów, nie znalazł ani razu okazji, którą by chciał wykorzystać. Kto inny dostaje do ręki gładki kamyk i kamyk staje się dla niego cudowną okazją.

Kto się skarży, że świat nie spełnił jego oczekiwań, widocznie sam nie spełnił oczekiwań świata. Kto się skarży, że miłość nie dała mu pełni, źle pojmuje miłość: ona nie jest prezentem, który można otrzymać.

Nie brak ci okazji, żeby kochać. Możesz zostać żołnierzem królowej. Królowa nigdy cię nie pozna, a ty zaznasz pełni miłości. Widziałem geometrę zakochanego w gwiazdach. Promienie ich światła przemieniał w prawa poznawalne umysłem. Był przekazem, drogą i przejściem. Był pszczołą krążącą wokół jednej gwiazdy i jak z kwiatu zbierał z niej miód. Widziałem, jak umierał szczęśliwy, ponieważ udało mu się przemienić siebie w parę znaków i figur geometrycznych. Podobnie ogrodnik, który wyhodował nową odmianę róży. Gwiazdom może zabraknąć geometry. Ogrodowi może zabraknąć ogrodnika. Ale tobie nie brakuje ani gwiazd,

ani ogrodów, ani okrągłych kamyków na wargach morza. Nie mów mi, że jesteś biedny.

Zrozumiałem też niejedno obserwując strażników odpoczywających w porze wieczery. Są to ludzie, którzy jedzą. Zartują przy tym. Poszturchują się wzajemnie. Wyczuwa się w nich wrogość w stosunku do strażnicy i nocnego czuwania. Koniec tej męki, teraz się weselimy. Męka jest czymś wrogim. Wszystko to prawda. Ale nie tylko wrogim, bo zarazem jest warunkiem ich istnienia. Podobnie jak wojna i miłość. To, że jesteś żołnierzem, dodaje ci blasku w miłości. To, żeś kochając poszedł na wojnę, uczyni z ciebie lepszego żołnierza. Człowiek umierający na pustyni nie jest tępym automatem. Prosi towarzysza: „Zaopiekuj się moją ukochaną albo moim domem, albo moimi dziećmi. . .” A towarzysz potem sławi jego poświęcenie.

Przyglądałem się też owym uciekinierom berberyjskim — oni już nie umieli żartować ani się poszturchiwać wzajemnie. Nie myśl, że tu chodzi o zwykłą różnicę, jak na przykład, kiedy usuniesz chory ząb i ból ustanie. Niewielka to różnica i nie ma w niej mocy. Woda nic ci nie da, jeżeli będziesz pił po trochu, ile razy poczujesz pragnienie, a narzucając sobie zasadę picia tylko raz na dzień, możesz rzeczywiście dodać jej ożywczego smaku. Znajdziesz więcej zadowolenia. Ale będzie to nadal zadowolenie twojego brzucha, które donikąd nie prowadzi. Tak i wieczorny odpoczynek, i posiłek strażników, gdyby był tylko ulgą po całodziennym męce. Nie byłoby w nim nic poza zaostrenym apetytem żarłoka. Zbyt łatwo byłoby nadać sens życiu owych Berberów, zezwalając im po prostu jeść tylko w dni świąteczne. . .

Ale ja moich strażników kształtuję wtedy, kiedy stoją na straży. Kiedy przychodzą jeść, są już kimś. Ich posiłek to nie jadło dawane bydłu na opas. Wieczorny chleb moich strażników jest jak komunია. Żaden z nich oczywiście nie wie o tym. A przecież tak samo, jak chleb staje się dzięki nim czujnością i spojrzeniem obejmującym miasto, tak i owa czujność i spojrzenie obejmujące miasto stają się dzięki nim religią chleba. To nie ten sam chleb, który jedzą wszyscy inni. Jeżeli chcesz poznać tajemnicę, nie znaną im samym, posłuchaj z ukrycia, co mówią zalecając się do kobiet w dzielnicy taniej miłości. „Stałem na murach, powiadają, aż tu trzy kule gwizdnęły mi koło ucha. Ale stałem dalej, nic się nie bałem.” I z dumą podnoszą do ust kawałek chleba. A ty, niemądry, słuchasz, co mówią, i nie rozróżniasz przechwałki żołdaka od wstydlivej miłości. Bo kiedy żołnierz tak opowiada o swojej służbie, to nawet nie po to, żeby się wynieść w cudzych oczach, ale żeby przeżyć jeszcze raz uczucie, którego nie potrafi wyrazić. On nie potrafi wyznać przed samym sobą, że kocha miasto. Umrze dla swojego bóstwa, którego imienia nie zna. Już mu się oddał, ale chce, żebyś ty o tym nie wiedział. I tej niewiedzy wymaga też od siebie. Czułby się upokorzony, gdyby wyglądało, że poszedł na lep wielkich słów. A ponieważ nie umie formułować tego, co czuje, lęka się instynktownie narazić swoje kruche bóstwo na ostrze twojej ironii. A tak-

że — swojej własnej. Widzisz zatem, jak żołnierze grają role zuchów i żołdaków (bawią się jednocześnie, żeś ty się dał wziąć na to), aby gdzieś w głębi duszy, niejako potajemnie, kosztować cudownego smaku daru, jakim jest miłość.

Kiedy dziewczyna im powie: „To smutne: niejeden z was zginie na wojnie...”, potwierdzą hałaśliwie. Ale potwierdzą przekleństwami i narzekaniem. Jej słowa obudzą w nich jednak tajemną satysfakcję, że ktoś ich nareszcie przejrzał na wskroś. Gdyż oni istotnie umrą z miłości.

Ale spróbuj im mówić o miłości, a roześmieją ci się w nos! Cóż to, masz ich za durniów, co oddadzą krew za piękne słówka? Odwaga, owszem, do tego się przyznają, przez próżność. Ale zuchów grają przez wstydlivość uczuć. I mają rację, bo zdarza się, że naprawdę ktoś chce z nich durniów zrobić. Odwołując się do miłości miasta, ktoś chce ich posłać, żeby ratowali pełne spichlerze. A oni drwią sobie ze zwykłych spichlerzy. Pogarda dla oszustwa każe im udawać, że przez próżność wystawiają się na śmierć. Oszust nie potrafi pojąć, czym jest naprawdę miłość do miasta. A oni wiedzą, że nie pojmujesz tego ty, w swojej sytości. Nie mówiąc nic, ocalał miasto swoją miłością, a że twoje spichrze znajdują się w obrębie miasta, więc rzuca ci obelżywie, jak psu rzuca się kość, twoje pełne, ocalone spichrze.

## CCI

Robisz mi przysługę oceniając mnie surowo. Istotnie, pomyliłem się opisując widziany krajobraz. Niedokładnie zarysowałem bieg rzeki, zapomniałem o tej wiosce. Więc przychodzisz i z tryumfem, głośno wypominasz moje błędy. Ja zaś pochwalam to, co robisz. Miałem za mało czasu, żeby wszystko wymierzyć, wszystko wyliczyć. Chciałem przede wszystkim, żebyś przekonał się, jak wygląda świat oglądany z góry, którą wybrałem. Jeżeli cię porwie moja praca, pójdziesz w tym samym kierunku, ale dalej. Pomogłeś mi tam, gdzie ja się okazałem za słaby. To dobrze.

Kiedy bowiem wydaje ci się, że mi przeczysz, mylnie oceniasz moje zamiary. Ty jesteś z rasy logików, historyków i krytyków, dyskutujących o tworzywie, nie wiedzących jednak, jakie oblicze powstanie z tego tworzywa. Mnie nie obchodzi teksty praw i szczegółowe przepisy. Ty je wymyślaj. Ja chcę w tobie obudzić tęsknotę do morza i dlatego opisuję statek na falach, rozgwieżdżone noce i tę krainę, którą wśród morza zakreślają zapachy, wypełniające powietrze wokół wyspy. Opowiadam ci o tym, jak rankiem znajdujesz się nagle — choć oczy niczego jeszcze nie widzą — w jakimś zamieszkanym świecie. Wyspa jeszcze niewidoczna, ale już obecna na morzu jak koszyk korzennych przypraw, przyniesiony na plac targowy. Majtkowie obok ciebie nie są już grubiańscy i rozkudłani, ale — sami nie wiedząc dlaczego — płoną jakimś czułym pragnieniem. Nie słysząc jeszcze żadnego dźwięku, już myślą o dzwonach, bo świadomość domaga się głosów, kiedy uszy już się wstuchują. Tak samo, kiedy zbliżam się do ogrodu, ledwo się znajduję na skraju tego kręgu, który wypełnia aromat róż, już jestem szczęśliwy... I dlatego na morzu czujesz smak miłości, odpoczynku albo śmierci, w zależności od tego, skąd właśnie wieje wiatr.

Ale ty masz dalsze uwagi. Statek, który opisywałem, nie wytrzyma burzy i trzeba go koniecznie zmienić w tym lub innym szczególe. Zgadzam się. Zmieniaj! Ja naprawdę nie znam się na deskach i gwoździach. Potem twierdzisz, że korzenne przyprawy, jakie obiecywałem, okazały się inne. Twoja znajomość rzeczy przekonała mnie: rzeczywiście są inne. Zgadzam się. Nie znam się niestety na botanice. Chodzi mi wyłącznie o to, żebyś zbudował statek i na pełnym morzu napotkał dalekie wyspy. Popłyniesz tam, żeby zaprzeczyć temu, co mówiłem.

I zaprzeczysz mi. A ja uszanuję twoje zwycięstwo. Ale potem, już po twoim powrocie, pójdę powoli, pełen milczącej miłości, obejrzeć wąskie uliczki portowe.

Ukształtowany ceremoniałem stawiania żagli, odczytywania drogi z gwiazd i mycia pokładu — wrócisz; a ja ukryty w cieniu usłyszę, jak — po to, żeby i oni zostali żeglarzami — śpiewasz synom piosenkę o wyspie, która rozpościera na morzu wonie, jak kolorowy targ. I wrócę szczęśliwy.

Nie ludź się, że przyłapię cię na istotnym błędzie albo zaprzeczysz ważnym prawdom. Mnie chodzi o źródło, a nie o szczegółowe wyniki. Czy możesz wykazać rzeźbiarzowi, że nie powinien był rzeźbić popiersia wojownika, ale kobietą twarz. Poddajesz się wrażeniu kobiety czy wojownika. Oni po prostu są, widzisz ich przed sobą. Jeżeli zwrócę oczy do gwiazd, nie będę żałował morza. Myślę teraz o gwiazdach. Kiedy tworzę, nieistotny jest dla mnie twój opon wziętem od ciebie tworzywo i ukształtuję z niego twarz. Ty najpierw będziesz protestował. „Ten kamień, powiesz, jest częścią czoła, a nie ramienia. To możliwe, odpowiem. I tak było. A ten, powiesz, jest częścią nosa, a nie ucha. Możliwe, odpowiem. I tak też było. A te oczy...”, powiesz — ale kiedy tak będziesz wszystko kwestionować, zbliżać się i odsuwać, przechodzić z lewa na prawo, żeby skrytykować to, co robię, nadejdzie moment, kiedy ukaże ci się w świetle jedność mojego dzieła, ta właśnie, a nie inna twarz. I wtedy wstąpi w ciebie cisza.

Nieistotne, jakie mi wykażesz błędy. Prawda mieści się gdzie indziej. Słowa zleją przedstawiają i każde z nich można poddać krytyce. Nieudolność języka nieraz sprawia, że przeczę sam sobie. Ale nie pomyliłem się w tym, co najważniejsze: rozróżniam, co jest pułapką, a co aktem pojmania. On jest wspólną miarą poszczególnych elementów pułapki. Nie logika bowiem spaja ze sobą elementy, ale wspólne bóstwo, któremu one razem służą. Moje słowa są niezręczne i na pozór niespójne: ale nie ja sam w ich centrum. Ja po prostu jestem. Jeżeli przygotowałem strój dla prawdziwego ciała, nie mam się co troszczyć, czy prawdziwe są jego fałdy. Kiedy widzisz idącą piękną kobietę, fałdy rozwiewają się i układają na nowo, ale ich harmonia jest wciąż nienaganna.

Nie wiem, jaka logika rządzi fałdami sukni. Ale te właśnie fałdy, a nie żadne inne, budzą we mnie bicie serca i pożądanie.

## CCII

Moim darem będzie na przykład to, że mówiąc o niej ofiaruję ci Mleczną Drogę ponad miastem. Albowiem w moich darach jest przede wszystkim prostota. Powiedziałem ci: „Oto, jak rozmieszczone są ludzkie domostwa pod gwiazdami”. To prawda. Popatrz: jeżeli tam, gdzie mieszkasz, pójdziesz w lewo, napotkasz obórkę, a w niej twojego osła. W prawo — twój dom, a w nim żonę. Przed sobą masz gaj oliwny. Z tyłu — dom sąsiada. Oto kierunki, w jakie prowadzi cię aktywność pokornych i spokojnych dni. Jeżeli masz ochotę własne losy wzbogacić o znajomość losów cudzych (gdyż wtedy twoje nabierają sensu), zapukasz do drzwi przyjaciela. Jego dziecko, które ozdrowiało, wskaże kierunek, gdzie będziesz szukał uzdrowienia dla dziecka własnego. Motyka, którą mu skradziono w nocy, rozszerzy granice nocy na wszystkie noce i wszystkich złodziei, skradających się jak koty. Nie będziesz spał, będziesz czuwał. Zaś śmierć przyjaciela sprawia, że i ty się stajesz śmiertelny. Kiedy natomiast masz ochotę na noc miłości, zwracasz się ku własnemu domowi i z uśmiechem przynosisz wyszywaną złotem materię, nowy dzbanek na wodę albo perfumy, coś takiego, co się przemienia w radosny śmiech; tak jak w zimie podsycą się radość ognia dokładając dobrze suchych szczap. A jeśli o świcie masz iść do pracy, idziesz ciężkim krokiem obudzić osiołka, który śpi stojąc w obórcie, i pogłaskawszy go po szyi wypychasz na drogę.

Jeżeli jednak po prostu trwasz i nie podejmując niczego, oddychasz spokojnie i nie wybierasz się w żadną ze stron, otacza cię przecież krajobraz pełen napięć magnetycznych, wezwań, zaproszeń, odtrąceń. A kroki, które stawiasz idąc w określonym kierunku, obudzą w tobie określony stan ducha. W niewidzialnej strefie masz krainę pełną lasów, pustkowi i choćbyś był w niej nieobecny w danym momencie, należysz do tego właśnie, a nie innego ceremoniału.

\* \* \*

A jeżeli teraz dodam twojemu królestwu jeszcze jeden kierunek — gdyż spoglądałeś dotąd przed siebie i do tyłu, na prawo i na lewo. Jeżeli otworzę ci nad



głową sklepienie katedry, które ci pozwoli, w nędznej dzielnicy, gdzie może dusisz się śmiertelnie, przeżywać to, co przeżywa marynarz na pełnym morzu; jeżeli rozwinę dla ciebie powolną taśmę czasu, jeszcze powolniejszą niż rytm dojrzewania zbóż, i poczujesz się stary, liczący tysiąc lat, albo młody — żyjący zaledwie jedną godzinę pod gwiazdami... Wtedy dodam nowy kierunek do tych, co już istnieją. Jeżeli zapragniesz kochać, oczyścisz najpierw swoje serce siadając przy oknie. Mieszkając w nędznej dzielnicy, gdzie dusisz się nieznośnie, zwrócisz się do żony: „Jesteśmy sami, ty i ja, pod gwiazdami”. I oddychając u okna zostaniesz oczyszczony. Staniesz się znakiem życia, jak młody pęd roślinny, który wyrósł w szczelinie skalnej, pomiędzy granitem a gwiazdami, obudzony ze snu, kruchy i zewsząd zagrożony, ale obdarzony energią, która będzie trwać przez wieki. Staniesz się ogniwem łańcucha, podejmiesz zadaną ci rolę. A jeżeli pójdziesz do sąsiada i przysiadłszy przy ogniu będziesz słuchać głosów świata — ach, jakże pokornego świata, bo sąsiad będzie ci opowiadał, co słycać w najbliższym domu i że wrócił z wojska jakiś żołnierz, a dziewczyna wyszła za mąż — wtedy dam ci duszę pojemniejszą na wysłuchanie tych zwierzeń. Ślub, noc i gwiazdy, powrót żołnierza i cisza — wszystko to stanie się dla ciebie nową muzyką.

## CCIII

Mówisz, że ta kamienna dłoń, ciężka i jakby gruzłowata, jest brzydka. Nie mogę się z tobą zgodzić. Muszę wiedzieć, jakiej to rzeźby jest owa dłoń fragmentem. Może płaczącej dziewczyny? Wtedy miałbyś rację. Może muskularnego kowala? Wtedy ta ręka jest piękna. Tak też jest z człowiekiem, którego nie znam. Chcesz mnie przekonać, jaki jest podły: „Kłamał, zdradzał, rabował, wyrzucił precz żonę...”

Ale to żandarm rozstrzyga na podstawie czynów, ponieważ w jego podręczniku czyny zostały rozróżnione na czarne i białe. A wymaga się od niego utrzymania porządku, nie osądu. Podobnie i podoficer oceniający twoje cnoty wedle umiejętności sprawnego „w tył zwrot”. Oczywiście — muszę szukać oparcia również w żandarmerii, ponieważ kult ceremoniału przewyższa kult sprawiedliwości, jako że ceremoniał kształtuje człowieka, a sprawiedliwość dopiero daje mu gwarancję. Jeżeli w imię sprawiedliwości zniszczę ceremoniał, zniszczę tym samym człowieka i sprawiedliwość stanie się bezprzedmiotowa. Sprawiedliwy jestem przede wszystkim wobec bogów, do których należysz. Zdarza się jednak, że mnie prosisz, nie abym postanowił ukarać bądź okazać łaskę komuś, kogo nie znam (w tym przypadku zleciłbym żandarmowi fatygę poszukania odpowiedniej strony w podręczniku), ale abym okazał komuś wzdargę lub szacunek — co jest już zupełnie czymś innym. Bywa bowiem, że mam szacunek dla kogoś, kogo skazuję, albo skazuję tego, dla kogo żywię szacunek. Niejeden raz prowadziłem żołnierzy do walki z nieprzyjacielem, którego szczerze kochałem.

I tak samo jak znam szczęśliwych ludzi, ale nie wiem nic o szczęściu, tak jak nie wiem także nic o rabunku, morderstwie, odtrąceniu żony czy zdradzie, jeżeli nie są to określone czyny określonych ludzi. Słowa, które są jak plewy na wietrze, nie potrafią przekazać samej substancji człowieka, podobnie jak nie przekaza, czym jest posąg, człowiekowi, który tego posągu nie widział.

Pewien człowiek budzi zatem w tobie wrogość, oburzenie albo wstręt (z przyczyn może niejasnych, tak jak niektórzy ludzie unikają pewnego typu muzyki). Jeżeli podajesz przykładowo jakiś jego czyn, chcesz, aby stał się argumentem twojej dezaprobaty, którą pragniesz przekazać innym. Tak samo i poeta, którego czyjś los, jeszcze dotąd świetny, ale już śmiertelnie zagrożony, napełnia me-

lancholią, będzie mówił o „październikowym słońcu”. Przy czym nie będzie mu oczywiście chodziło ani o słońce, ani o określony miesiąc roku. Jeżeli zaś będą ci chciał opowiedzieć o nocnej rzezi, kiedy bezgłośnie spadając na wroga obozującego wśród miękkich piasków utopiłem go w jego własnym śnie, połączę ze sobą dwa słowa, mówiąc na przykład o „szablach śniegu”; po to mianowicie, żeby uchwycić tę jakąś niewyraźną miękkość, bo przecież nie chodzi mi ani o szablę, ani o śnieg. Tak również istotę człowieka uchwycić w jednym czynie, który będzie mieć taką wartość jak obraz poetycki w wierszu.

Uraza musi się stać pretensją. Musi przybrać jakieś oblicze, gdyż nikt nie zniesie w sobie obecności widm. Czego chce dziś wieczorem twoja żona? Podzielić się z powiernicą swoją urazą. Rozlać ją wokół siebie. Gdyż człowiek nie potrafi żyć sam. Musisz więc podbijać innych dokoła siebie — poezją. Ona będzie więc płynnie i z emfazą wyliczać twoje nieczne postęпки. Jeżeli zaś jej przyjaciółka wzruszy tylko ramionami — ponieważ te wyrzuty, oczywiście, są bez większego znaczenia — wcale jej to nie ułagodzi. Zarzutów może być więcej. Jej się po prostu nie udało przekazać tego, co chciała. Złe dobrała obrazy poetyckie. Jej uczucie natomiast jest czymś niewątpliwym — po prostu istnieje.

Podobnie jest z lekarzem, kiedy cię coś boli. Wysunąłeś taką lub inną przyczynę. Masz swoje zdanie na ten temat. Lekarz wykazuje ci, że się mylisz. Możliwe, że w ogóle nie jesteś chory. Ale ty już protestujesz. Niedobrze opisałeś swoją chorobę, ale absolutnie nie podajesz jej w wątpliwość. To lekarz jest osłem. Przechodzisz od jednego opisu do drugiego, aż całą rzecz wyświetlisz. A choćby lekarz dalej ci przeczytał, nie będzie w stanie zlikwidować w tobie choroby, skoro ona istnieje. Żona będzie oczerniać twoją przeszłość, twoje pragnienia i opinie. Na nic się nie zda walczyć z pretensją. Ofiaruj jej bransoletę ze szmaragdem. Albo ją wychłostaj.

\* \* \*

Żal mi ciebie: żal mi, kiedy się kłócisz i kiedy się godzisz, bo to wszystko jest z innej płaszczyzny niż miłość.

Miłość to przede wszystkim milcząca uwaga. Kochać to kontemplować. Nadchodzi moment, kiedy moi strażnicy stają się poślubieni miastu. Nadchodzi moment największej bliskości z kochaną kobietą, kiedy nie chodzi już o taki czy inny gest, czy szczególnie twarzy, czy i jakieś jej słowo, czy w ogóle o słowo, ale o Nią.

Nadchodzi moment, kiedy samo jej imię wystarcza: jest jak modlitwa, do której nic nie można dodać. Nadchodzi moment, kiedy niczego nie wymagasz dla siebie. Ani ust, ani uśmiechu, ani czułego dotknięcia dłoni, ani oddechu jej obecności. Ponieważ wystarcza ci, że Ona jest.

Nadchodzi moment, kiedy nie ma o co pytać czy chcieć zrozumieć: ani tego kroku, ani słowa, tej decyzji czy tej odmowy, czy tego milczenia. Ponieważ po prostu Ona jest.

Ale niekiedy kobieta wymaga, żebyś się tłumaczył. Rozpoczyna dochodzenie na temat twoich czynów. Myli miłość i żądę posiadania. Po co wtedy odpowiadać? Co znajdujesz w niej, jeśli cię nawet będzie słuchała z uwagą? Chciałeś przede wszystkim, aby cię ktoś milcząco zaaprobował, nie dla takiego czy innego gestu, ani dla takiej czy innej zalety, ani dla takiego czy innego słowa, ale aby zaaprobował cię takiego, jaki jesteś, w całej twojej nędzy.

## CCIV

Czuję skruchę, ponieważ nie użytkowałem z umiarem otrzymanych darów, które zawsze są tylko drogą ku czemuś: a ja pożałowałem ich dla nich samych i znalazłem w nich tylko pustkę. Myliłem bowiem umiar ze skąpstwem dotyczącym czy to ciała, czy ducha, i wcale nie zamierzałem wprawiać się w tej nocie. Wydaje mi się, że wolno podpalić las, żeby przez godzinę grzać się przy ogniu, gdyż taki ogień ma w sobie coś królewskiego. A jeśli w czasie bitwy słyszę, jak dokoła mojego konia świszczą kule, nie mam zamiaru oszczędzać siebie. Jestem tyle wart, jaki jestem w każdym momencie życia: owoc, który gardzi którymkolwiek etapem wzrostu, nigdy nie dojrzeje.

Dlatego uważam za śmieszne, kiedy jakiś plujący atramentem pismak w czasie oblężenia miasta nie pokazuje się nawet na murach, gardząc, jak powiada, fizyczną odwagą. Tak jakby chodziło tu o jakiś stan człowieka, a nie o przejściowy moment. Jakby to miało być celem samym w sobie, a nie zwykłym warunkiem przetrwania miasta.

Gdyż ja z kolei gardzę pospolitym obżarstwem i nie po to żyję, żeby trafić ćwiartki mięsa. Ale niejedna ćwiartka mięsa dodaje siły ciosom mojej szabli, a moja szabla dodaje siły przetrwania królestwu.

I choć w czasie bitwy nie żałuję szabli (czy to, by zaoszczędzić wysiłku ramienia, czy z mazgajstwa i strachu), nie chciałbym, żeby historiografowie królestwa przedstawiali mnie jako rębajłę, bo nie mieszcę się cały w wywijaniu szabelką. I choć budzą we mnie nieufność ludzie przesadnie delikatni, którzy jedzą tak, jakby łykali lekarstwo, nie chciałbym także, żeby historiografowie zrobili ze mnie żarłoka, bo nie mieszcę się cały w rozkoszach brzucha. Jestem jak dobrze zakorzenione drzewo i nie pogardzam żadnym składnikiem miazgi, którą korzenie wchłaniają. Dzięki niej rozkładam szeroko konary.

\* \* \*

Przekonałem się wreszcie, że mylnie były moje sądy o kobietach.

Pewnej nocy ogarnęła mnie skrucha i zobaczyłem, że nie wiem wcale, jak z nimi postępować. Byłem podobny do człowieka, który jak rabuś nie pojmuje

ceremoniału przestawia figury na szachownicy z bezcelowym pośpiechem, a nie znajdując w ich nieładzie radości zrzuca je wreszcie na podłogę jednym ruchem ręki.

Tej nocy, o Panie, podniosłem się z kobiecego łóżka z gniewem, gdyż zrozumiałem, że byłem jak bydło w oborze. Nie jestem, Panie, sługą kobiet.

To nie to samo. Wspinaczka na szczyt górski a poszukiwanie najwyższego piękna krajobrazu, kiedy cię wnoszą na górę w lektyce. Bo ledwieś ogarnął wzrokiem rozciągłość błękitnej równiny, już ogarnięty nudą prosisz przewodników, żeby cię zanieśli gdzie indziej.

Szukałem w kobiecie daru, który może mi ofiarować. Pragnąłem jej czasem jak dźwięku dzwonu, za którym tęskniłem. Ale po co ci, nocą i dniem, wciąż ten sam dźwięk dzwonu? Odłóżysz niebawem dzwon na strych i nie będziesz go potrzebował. Kiedy indziej pragnąłem kobiety dla owej subtelnej intonacji głosu, kiedy mówiła: „Ty, mój Pan...” Ale słowem człowiek szybko się nuży i marzy już o innej piosence.

Więc choćbym ci dał dziesięć tysięcy kobiet, a one jedna po drugiej ofiarują ci to, co jest ich szczególnym powabem, będziesz potrzebował wciąż innych, żeby osiągnąć pełnię szczęścia: bo przecież wciąż jesteś inny, w zależności od pór roku, dni i pogody.

Zawsze jednak uważałem, że nikt nie zdoła poznać do końca nawet jednej duszy ludzkiej, która gdzieś w sekretnej głębi kryje wewnętrzny pejzaż o nie tkniętych ludzką stopą równinach, cichych parowach, potężnych górach, tajemniczych ogrodach, i że o kimkolwiek właściwie mógłbym opowiadać, nie nużąc słuchaczy, przez całe życie; nie rozumiałem więc tej czy innej spośród znanych mi kobiet, przychodzącej z tak mizernymi zasobami w duszy, że ledwie by tego starczyło na jeden wieczór.

Nie traktowałem ich, Panie, jak uprawnej roli, gdzie trzeba chodzić dzień w dzień, przez cały rok, jeszcze przed świtem, w ciężkich zabłoconych butach, z pługiem, koniem, broną i workiem ziarna, a także znajomością pogody: zmiennych wiatrów i nadchodzących deszczów, oraz ze znajomością chwastów, a przede wszystkim — choć wiernie, aby otrzymać to, co jest dla mnie przeznaczone; ja natomiast nie widziałem w nich nic więcej, jak te podobne do manekinów dziewczęta, które w ubogiej wiosce wypychają do przodu miejscowi notable, kiedy zajdziesz tam objeżdżając swoje królestwo, a które na powitanie przybyłego recytują jakieś czołobitne słowa albo składają w darze kosz owoców. Jesteś istotnie obdarowany, gdyż ich uśmiech jest czysty w zarysie, harmonijny gest, którym ci wręczają owoce, a przemówienie wzruszająco naiwne; ale ty w jednej chwili wyczerpujesz te dary do dna, jakbyś jednym haustem wypił miód, głaszcząc świeże policzki i chłonąc oczyma aksamitny puch zakłopotania. A przecież i one są także jak zagony ornej ziemi, ciągnące się po horyzont, gdzie nie znając dostępu, zgubiłbyś się bezpowrotnie.

Ale ja chciałem w każdej kolejnej pasiece podbierać gotowy miód, zamiast przeniknąć tę przestrzeń, która zrazu nic ci nie ma do dania, ale za to będzie wymagała, abyś szedł i szedł, bo powinieneś długo i w milczeniu iść obok pana włości, jeżeli chcesz, aby stały się twoją ojczyzną.

Znałem, jak wiecie, jedyne prawdziwego geometrę a mojego przyjaciela, który potrafił mnie nauczać nocą i dniem, do którego przychodziłem z moimi problemami, nie aby je rozwiązał, ale żeby na nie spojrzeć swoimi oczami; gdyż on będąc sobą, takim właśnie, a nie innym, inaczej niż ja słyszał tę samą nutę, inaczej niż ty widział słońce, i inny smak miały dla niego te same pokarmy: on z przyniesionych elementów tworzył jakby owoc o niepowtarzalnym smaku, coś po prostu niewymiernego, nie do obliczenia, jakąś energię o właśnie takiej, a nie innej wartości, tak właśnie, a nie gdzie indziej ukierunkowaną. Ja w nim poznałem, co to jest przestrzeń, i przychodziłem do niego wiedząc, że znajdę świeży wiatr od morza albo samotność — ale czy otrzymałbym od niego te dary, gdybym szukał nie człowieka, a gotowych zapasów, gdybym szukał owoców, a nie drzewa i gdybym za wystarczające dla umysłu i serca uznał pewne reguły geometrii?

Panie, tę kobietę, którą mi dajesz w dom, dajesz mi po to, żebym ją uprawiał, towarzyszył jej i odkrywał ją.

„Tylko dla tego, kto wzrusza ziemię, myślałem sobie, sadi drzewa oliwne i sieje jęczmień, nadchodzi godzina przemiany, której nie zazna ten, kto kupuje chleb w sklepie. Nadchodzi godzina święta zniwnego. Pora zwózki zbiorów, kiedy powoli uchyla skrzypiące wrota na pełną słońca stodołę. Bo kiedy nadejdzie czas, zamknięta w spichrzu przyzma ziarna, nad którą się unosi, nie osiadła jeszcze, rozpylona jak kurz aureola złotej plewy, potrafi rozpaść żarem wielkie połacie czarnej roli.

Złą drogą szedłem, Panie, myślałem dalej. Szedłem otoczony kobietami, w pośpiechu, jakby to była podróż bez celu.

Byłem udreńczony jak na bezkresnej pustyni, szukając oazy, która nie jest oazą miłości, ale tego, co jest gdzieś dalej.

Szukałem skarbu, który miał być w niej rzekomo ukryty, tak jak się szuka przedmiotu pomiędzy innymi przedmiotami. Jak wioślarz pochylałem się nad urywanym kobiecym oddechem. Ale byłem wciąż w tym samym miejscu. Chłonałem oczami doskonałość ciała, wdzięk cienkich przegubów dłoni, łokieć jak ucho dzbana, z którego chciałbyś pić. Dręczył mnie niepokój, wiadomo ku czemu zmierzający. Czułem pragnienie, na które wiadome było lekarstwo. Ale że obrałem złą drogę, patrzyłem w twarz prawdzie i wciąż nie rozumiałem.

Byłem jak szaleniec, który nocą pojawia się wśród ruin, uzbrojony w łopatę, kilof i dłuto, i zaczyna kruszyć mury. Odwraca kamienie, opukuje ciężkie płyty posadzki. Miota się, ogarnięty jakąś posępną żarliwością, gdyż myli się, Panie, i poszukuje gotowego skarbu — bogactwa złożonego tu przed wiekami w jakiejś sekretnej szkatułce, jak perła w muszli; źródła młodości dla starca, gwarancji bo-

gactwa dla skąpego, obietnicy miłości dla zakochanego, nagrodzonej dumy dla dumnego i chwały dla tego, kto chwały szuka. A przecież ów skarb to proch i marność, bo nie ma owocu, którego by nie wydało drzewo, i nie ma radości, której byś sam nie zbudował. Jałowy to trud: szukać pomiędzy kamieniami jednego kamienia, który by był bardziej od innych porywający. Grzebiący w trzewiach ruin szalenie nie znajdzie ani chwały, ani bogactwa, ani miłości.

Podobny więc do tego człowieka, który nocą kuje jałowy grunt, nie znalazłem w rozkoszy nic ponad przyjemność, jaką się cieszy skąpiec — przyjemność absolutnie bezpłodną. Znalazłem w niej tylko siebie samego. Nie mam co z sobą robić, Panie, i nuży mnie echo własnej rozkoszy.

Chcę stworzyć ceremoniał miłości, aby świętowanie zaprowadziło mnie w inne krainy. Gdyż nic z tego, czego szukam, i czego pragnę, i czego pragną ludzie, nie leży na płaszczyźnie dostępnego im tworzywa. A tymczasem człowiek szuka bez sensu pośród kamieni czegoś, co jest zupełnie innej natury, zamiast z tych właśnie kamieni zbudować bazylikę; radości nie da mu bowiem jeden spośród tych kamieni, ale pewien ceremoniał kamieni, kiedy katedra stanie już gotowa. I kobieta przestaje być jednością, kiedy nie umiem czytać poprzez nią tego, co jest gdzieś głębiej.

Kiedy patrzę, Panie, jak śpi poślubiona mi kobieta, cieszy mnie, że taka jest piękna, tak delikatne ma ciało i tak ciepłe piersi — i dlaczego nie miałbym w niej znaleźć dla siebie nagrody?”

Ale już teraz rozumiem Twoją prawdę. Ta, która śpi i którą za chwilę obudzę — kiedy tylko stanę blisko i padnie na nią mój cień — nie powinna być dla mnie murem, który staje na mojej drodze, ale drzwiami, które prowadzą gdzieś dalej; a mnie nie wolno jej rozproszyć na luźne cząstki, szukając nieosiągalnego skarbu, ale mam ją spoić w jedno mocną więzią w ciszy mojego uczucia.

Czy mogę wtedy doznać rozczarowania? Rozczarowana bywa kobieta, gdy otrzyma w prezencie klejnot. Bo może od jej opalu ładniejszy jest szmaragd. A od szmaragdu piękniejszy jest diament. A z wszystkich diamentów najpiękniejszy jest ten, który jest własnością króla. Nie ma wartości przedmiot ceniony dla niego samego, jeżeli nie posiada sensu doskonałości. Bo nie rzeczami żyję, ale sensem rzeczy.

A przecież jakiś niezręcznie wykonany pierścionek, zwiędła róża zaszyta w kawałek płótna, jakiś dzbanek na wodę, może nawet cynowy, używany do parzenia herbaty, zanim się będziecie kochać, te przedmioty są niezastąpione, gdyż są przedmiotami kultu. Tylko samo bóstwo musi być doskonałe, natomiast grubo ciosany drewniany przedmiot, związany z jego kultem, bierze w siebie cień boskiej doskonałości.

Podobnie i śpiąca żona. Patrząc na nią tylko dla niej samej, znużę się niebawem i będę szukał odmiany. Jest może nie tak piękna jak ta inna, ma przykre usposobienie, a jeżeli nawet wydaje się doskonałością, to przecież nie jest jak ten



dźwięk dzwonu, za którym ogarnia mnie tęsknota, przecież zupełnie inaczej mówi te same słowa: „Ty, Panie mój”, które w ustach innej brzmiały jak muzyka.

Śpij jednak spokojnie w twojej niedoskonałości, moja niedoskonała małżonko. Patrzę na ciebie nie jak na mur, który mi stanął na drodze. Nie jesteś celem i nagrodą, i klejnotem cenionym dla własnej wartości, którym się znudzę niebawem. Jesteś drogą, narzędziem i przekazem. Nie znużę się nigdy stawaniem.

## CCV

Tak oto pojąłem, czym jest święto: chwilą przejścia z jednego stanu w drugi, kiedy przestrzeganie ceremoniału przygotowało do narodzin człowieka. To samo mówiłem o statku. Długo był zrazu domem, który należy zbudować na płaszczyźnie desek i gwoździ, ale kiedy, już gotowy, ruszył pod żaglami w morze, został morzu poślubiony. To człowiek doprowadził do tych zaślubin i ten moment jest właśnie świętem. Ale człowiek nie może zadomowić się na stałe w święcie, jakim jest wychodzenie statku w morze.

I o dziecku mówiłem to samo. Jego narodziny to święto. Nie wolno ci przez całe życie, codziennie, zacierać rąk z radości, że się urodziło. Będziesz czekał następnego święta, jakiejś odmiany sytuacji, na przykład dnia, kiedy owoc z twojego drzewa stanie się szczepem drzewa nowego, przedłużając twój ród. I to samo mówiłem o ziarnie zbieranym z pól. Nadchodzi pora zwożenia zbiorów — i to jest święto. Potem pora siewów. Potem święto wiosny, która przemienia zasiane ziarna w ruń tak delikatną jak miska świeżej wody. Znowu czekasz, aż przychodzi święto żniw, a potem znowu — zwożenia snopów. I tak dalej, i dalej, od święta do święta, aż do śmierci: bo nie możesz zrobić zapasów na całe życie. Nie znam takiego święta, do którego człowiek by się nie zbliżał idąc skądś i przez które nie szedłby znowu gdzieś dalej.

Długo wędrowałeś; nagle otwierają się drzwi — to właśnie święto. Ale dopiero co otwarta izba nie da ci więcej życia niż ta, z której przychodzisz. A zarazem chcę, żebyś przekraczając próg czuł radość. I tę radość zachowaj na moment, kiedy z poczwarki wyleci motyl. Gdyż jesteś ogniem, który tli się słabo, i nie w każdej minucie objawia się strażnikom twierdzy ich powołanie. Ja — jeśli to możliwe — radość zachowuję na te dni, gdy bębny i trąby obwieszczają zwycięstwo. Człowiek musi odbudowywać w sobie ów stan szczególny, pokrewny pożądaniu, który często domaga się okresów odpoczynku i snu.

W głębi mojego pałacu idę powoli — krok jeden po złotej płycie, drugi — po płycie czarnej. Ich chłód pociąga mnie w południe jak pełna wody cysterna. Kołyszą mnie własne powolne kroki — jestem niestrudzonym wioślarzem zdążającym gdzieś przed siebie. Bo już nie tu jest moja ojczyzna.

Z sieni do sieni wędruję dalej. Oto ściany. Oto na ścianach dekoracje. Obchodzę dokoła wielki srebrny stół, a na nim — kandelabry. Muskam dłonią marmurową kolumnę. Chłodna. Ona jest zawsze chłodna. Dochodzę do komnat mieszkalnych. Dźwięki dobiegają mnie jak we śnie, bo już nie tu jest moja ojczyzna.

A przecież mile mi są odgłosy domowego życia. Piosenka, która jest jak pofne zwierzenie serca. Sen nigdy nie jest ciszą absolutną. Nawet śpiącemu psu zdarza się odzywać przez sen: coś sobie przypomina, przeciąga się, wydaje ciche urywane szczeknięcia. Tak i też mój pałac uśpiony w południe.

W ciszy słychać gdzieś otwieranie i zamykanie drzwi. Myślisz o pracy służebnych, o pracy kobiet. To chyba tu — ich królestwo. Składały w koszach świeżo wypraną bieliznę. Przenosiły te kosze, po dwie, sunąc powoli jak przez fale. A teraz układają płótna na półkach, zamykają wysokie szafy. Jest w ich gestach jakaś doskonałość spełnienia. Wypełniona ze czcią powinność. Jakieś dokonanie. Z pewnością teraz nastąpi odpoczynek, ale któż to wie. Już nie tu jest moja ojczyzna.

Z sieni do sieni, po płytach złotych i czarnych, obchodzę pomieszczenia kuchenne. Słyszę cichutki śpiew porcelanowych naczyń. Brzęknął tracony srebrny dzbanek. Potem głuchy głos drzwi zatrzaśniętych w grubym murze. Cisza. Odgłos spieszných kroków. O czymś zapomniano, trzeba było szybko przybiec z powrotem, może to mleko kipiało, krzyknęło dziecko albo nagle urwał się, zaciął, jakiś monotony dźwięk, do którego przywykło ucho. Coś się zacięło w pompie, w obracającym się rożnie, w młynku mielącym mąkę. Więc trzeba bieć, żeby odezwał się znowu ten śpiew, ta pokorna modlitwa...

Kroki już ucichły: widocznie mleko zostało uratowane, dziecko pocieszone, pompa, rożen czy młynek znów odmawiają swoje litanie. Groźba została zażegnana. Rana zaleczona. Naprawione zapomnienie. Jakie? Nie wiem. Już nie tu jest moja ojczyzna.

Wchodzę teraz do królestwa woni. Mój pałac przypomina piwnicę, w której z wolna dojrzewa miodowa słodycz owoców, winne aromaty. Sunę jak statek przez zastygłe w nieruchomości krainy. Tutaj dojrzałe pigwy. Zamykam oczy: jeszcze długo rozchodzą się fale zapachu. Tu skrzynie z sandałowego drzewa. Tu, po prostu, świeżo zmyta kamienna podłoga. Każdy zapach od pokoleń trwa w zakreślonych granicach, w zamkniętym rejonie. Z pewnością już mój ojciec był panem tych prowincji. Ale idę, nie rozmyślając o tym dłużej. Już nie tu jest moja ojczyzna.

Napotkany niewolnik na mój widok przylgnął do muru, jak nakazują przepisy, żeby mi zrobić przejście. Aby mu okazać łaskawość i chcąc, żeby odczuł ważność swojej roli, rozkazałem: „Pokaż mi swój koszyk”. Zdjął go ostrożnie z głowy, gdzie trzymany w lśniących ramionach był jak naczynie o dwu wygiętych uszach. Spuszczając oczy pokazał mi pełnym czci gestem jego zawartość: daktyle, figi i mandarynki. Wdychałem woń, uśmiechnąłem się. Wtedy i on uśmiechnął się

już otwarcie i wbrew przepisom spojrział mi prosto w oczy. Kosz spoczął znów na głowie ujęty w dwa miękko wygięte ramiona, a ja stałem objęty jego spojrzeniem, myśląc: „Co jest w tym wzroku jak płonąca lampa? Bunt czy miłość szerzy się jak pożar. Jaki to tajemny ogień płonie w głębi mojego pałacu, za tymi murami?” I wpatrywałem się w niewolnika, jak gdyby był głębiną morza. „Niezgłębiona tajemnica człowieka”, pomyślałem. I ruszyłem dalej, nie rozwiązawszy zagadki, bo już nie tu była moja ojczyzna.

Minąłem salę przeznaczoną na odpoczynek. Minąłem salę obrad, gdzie moje kroki zwielokrotniło echo. A potem, bardzo powoli, stopień po stopniu, szedłem w dół schodami prowadzącymi do ostatniego przedsionka. Już u samej góry usłyszałem jakieś głuche odgłosy i szcęk broni. Uśmiechnąłem się pobłaźliwie: z pewnością budziły się właśnie śpiące dotąd strażę, bo mój pałac w południe był jak senny ul, gdzie życie ledwie płynie: czasem tylko na krótko zbudzi go jakaś kapryśnica, której odpoczynek niemiły, ta, co zapomniała, i biegnie naprawić zapomnienie, lub ta, co wiecznie niezadowolona, wciąż coś poprawia, doskonali i coś burzy. Tak właśnie w stadzie kóz zawsze znajdzie się jedna, która zabeczy, z uśpionego miasta doleci jakieś niezrozumiałe wołanie, wśród najbardziej martwego cmentarzyska odezwie się ktoś, kto czuwa i wędruje. Szedłem więc dalej, wolno i odwracając głowę, żeby nie widzieć strażników, którzy pośpiesznie poprawiali broń; nie dbałem już o to, bo już nie tu była moja ojczyzna.

Oprzytomniawszy, już wyprostowani, salutują teraz, otwierają dwuskrzydłe wrota, a ja, mrużąc oczy w ostrym blasku słońca, stoję przez chwilę na progu. Przedemną pola. Na krągłych wzgórzach grzeją się w słońcu winnice. Prostokąty uprawnych pól. Kredowy zapach roli. I nagle inna muzyka: pszczoły, świerszcze, cykady. Przekraczam granicę dwu kultur. Oddychałem południem w moim pałacu.

A teraz rodzę się na nowo.

## CCVI

Opowiem jeszcze o odwiedzinach u jedyne go prawdziwego geometry, a mojego przyjaciela.

Wzruszyłem się widząc, jak uważnie przygotowuje herbatę i gorące węgle, i czajnik z wrzącą wodą, jak słucha jego śpiewu, kosztuje herbaty po raz pierwszy, a potem czeka, gdyż herbata nie od razu zaczyna wydawać swój aromat. I spodobało mi się, że w czasie tej krótkiej medytacji bardziej go zaprzętała herbata niż problemy geometrii:

— Tyle wiesz, a nie gardzisz zwykłą pracą. . .

On nie odpowiadał. Dopiero kiedy, zadowolony z siebie, napełnił szklanki, powiedział:

— Tyle wiem. . . Jak to rozumiesz? Dlaczego gitarzysta miałby gardzić ceremonią parzenia herbaty wyłącznie dlatego, że wie coś niecoś o wzajemnym stosunku nut? Ja wiem coś niecoś o stosunku pomiędzy liniami tworzącymi trójkąt. Lubię jednak śpiew wody wrzącej w czajniku i ceremonię na cześć króla, mojego przyjaciela. . .

Zamyślił się i dodał:

— Czy ja wiem. . . Nie sądzę, żeby moje trójkąty pomogły wiele w zrozumieniu przyjemności picia herbaty. Może jednak ta przyjemność pomoże mi odrobinę w zrozumieniu trójkątów. . .

— Co mówisz, przyjacielu!

— Jeżeli czegoś doświadczam, ogarnia mnie potrzeba, aby to opisać. Kochając kobietę, będę ci mówił o jej włosach i rzęsach, o ustach i ruchach, które są dla serca jak muzyka. Czy mówiłbym ci o ruchach, ustach, rzęsach i włosach, gdyby przez to wszystko nie przeglądała pewna kobieca twarz? Tłumaczę, dlaczego jest tyle słodczy w jej uśmiechu. Ale ten uśmiech wpierw musiał istnieć. . .

Nie będę przerzucał całej pryzmy kamieni, żeby znaleźć w nich tajemnicę medytacji. Bo medytacja nic nie znaczy na płaszczyźnie kamieni. Musi stanąć świątynia. Coś się wtedy zmieni w moim sercu. I wejdę do niej zastanawiając się nad jakością stosunków pomiędzy kamieniami. . .

Nie będę także w solach mineralnych szukał wyjaśnienia tego, czym jest drzewko pomarańczowe. Bo ono nic nie znaczy na płaszczyźnie soli mineralnych.

Ale patrząc, jak to drzewko rośnie w górę, wytłumaczę poprzez nie wstępowanie ku górze soli mineralnych.

Muszę najpierw doświadczyć, czym jest miłość. Zacząć od kontemplowania jedności. Potem będę rozmyślać nad tworzywem i sposobem jego kształtowania. Ale nie będę zastanawiać się nad tworzywem, jeżeli nie ma w nim jeszcze żadnej struktury, która by porwała moją wyobraźnię. Długo najpierw wpatrywałem się w trójkąt. Potem zacząłem szukać koniecznych związków rządzących bokami trójkąta. Tyś także pokochał wpierw z najgłębszą żarliwością pewien obraz człowieka. Z niego wywiodłeś ceremoniał, który ów obraz miał objąć, tak jak pułapka chwyta łup, i miał go utrwalić w twoim królestwie. Jakiego rzeźbiarza zainteresują same w sobie: nos, oko czy broda? Jakie wnioski wyciągnę z linii, które nie będą bokami trójkąta?

Najpierw w pokorze kontempluję. Potem, jeśli potrafię, opowiem. Nigdy nie odmawiałem miłości: odmawianie miłości jest tylko udaniem. Wielbiłem niejedną kobietę, która nie miała pojęcia o trójkątach. Ale więcej ode mnie wiedziała o sztuce uśmiechania się. Czyś widział kiedy uśmiech?

— Oczywiście. . .

— Znam kobietę, która z tkanki swojej twarzy, z rzęs i ust — które są jeszcze tworzywem pozbawionym znaczenia — budowała niepowtarzalne arcydzieło, a kto patrzył na ten uśmiech, wchodził jak w dom — w pokój rzeczy i w wieczne trwanie miłości. A potem z jej woli arcydzieło znikało tak nagle, że nie zdążyłbyś nawet wyciągnąć ręki, i oto znajdowałeś się już w krainie takich wzruszeń, gdzie chęć cię brała, byś mógł ją — ty wielbiciel — ocalić z szalejącego pożaru. Czy mógłbym lekceważyć to dzieło sztuki tylko dlatego, że nie zostawał po nim żaden ślad, który by można było umieścić w muzeum? Ja umiałbym sformułować pewne uwagi na temat zbudowanych katedr, ale ona mi te katedry budowała. . .

— Ale czego potrafiła cię nauczyć na temat stosunków pomiędzy liniami?

— Nie tak ważne są powiązane ze sobą przedmioty. Przede wszystkim trzeba umieć odczytywać istotę związków. Jestem stary. Widziałem, jak ci, których kochałem, umierali albo odzyskiwali zdrowie. Nadchodzi kiedyś wieczór, kiedy ukochana istota, z głową pochyloną na bok odsuwa podawany kubek mleka tak jak noworodek, już odchodzący z tego świata, odsuwa pierś, bo mleko stało mu się gorzkie. A ona uniewinnia się uśmiechem, bo wie, że sprawia ci ból tym, że przestałeś być dla niej jak pokarm. Już cię nie potrzebuje. Podchodzisz do okna, żeby ukryć łzy. A za oknem pola. Wtedy czujesz tę więź łączącą cię niby pępowina z rzeczami. Pola jęczmienia i żyta, kwitnące pomarańcze, które szykują pokarmy dla twojego ciała, i słońce, które od niezliczonych stuleci żywi monotonne jak młyn gadanie źródeł. Dolatują cię odgłosy zwożenia kamieni na nowy akwedukt, który zostanie zbudowany dla wygody miasta w miejsce starego, już kruszejącego ze starości, albo po prostu turkot wózka, albo stukanie kopyt osiołka wiozącego worki. Czujesz, jak krążą w świecie życiodajne soki, nadające rzeczom trwanie.

Wracasz powoli w stronę łóżka. Ocierasz twarz lśniąca od potu. Ona jeszcze jest tu, koło ciebie, ale już cała zajęta umieraniem. Już nie śpiewają dla niej pola ani budujący się akwedukt, turkot wózka, ani biegnący truchtem osiołek. Już nie dla niej jest zapach pomarańczy ani twoja miłość.

Przypominasz sobie wtedy towarzyszy, którzy się kochali wzajemnie.

Przychodzili do ciebie w odwiedziny nieraz w środku nocy, po prostu żeby pozartować, poradzić się albo pobyć razem. Kiedy jeden wyruszył w podróż, drugi tęsknił za nim. Skłóciło ich jakieś bezsensowne nieporozumienie. Teraz spotykając się, udają, że się nie widzą. Najdziwniejsze, że niczego nie żałują. Bo przecież żal za miłością już jest miłością. Tego, co otrzymali od siebie wzajemnie, od nikogo na świecie nie otrzymają. Gdyż każdy żartuje, radzi czy po prostu oddycha w pewien niepowtarzalny sposób. Więc jakby im coś odjęto, jakby ich umniejszono — a oni tego nawet nie rozumieją. Wydają się nawet dumni i jakby bogatsi mając teraz tyle wolnego czasu. Chodzą i oglądają wystawy sklepowe, ale każdy oddzielnie. Nie tracą już czasu na obcowanie z przyjacielem! Odrzucają każdego, kto by ich próbował z powrotem wiązać z tym spichlerzem, w którym znajdowali dla siebie pokarm. Jakaś część ich istoty, która się nim żywiła, obumarła; i jakże by ta część dopominała się o pokarm, skoro już jej nie ma?

Ale ty przechodzisz przez świat jak ogrodnik. Widzisz, co brakuje któremu drzewu. Nie z punktu widzenia drzewa, bo z tego punktu widzenia drzewu nic nie brakuje: jest doskonałe. Ale z twojego punktu widzenia — bo jesteś jak bóstwo drzew, szczepiące gałąź tam, gdzie gałąź powinna wyrastać. Więc nawiązujesz zerwaną nić i pępowinę. Godzisz. A ludzie odchodzą i idą dalej, żarliwi.

Ja także próbowałem godzić i pamiętam poranek, kiedy ukochana zażądała znów koziego mleka i miękkiego chleba. Pochylony nad nią jedną ręką podtrzymujesz jej głowę, a drugą podsuwasz kubek do bladych warg i patrzysz, jak pije. Jesteś drogą, narzędziem i przekazem. Wydaje ci się, nie że ją karmisz, ani nawet, że jej przywracasz zdrowie, ale że wiążesz ją ponownie z tym, do czego należała: z polami i zbożem zżętym, ze źródłami i ze słońcem. Odtąd to trochę dla niej śpiewają w słońcu źródła monotonna jak szum młyna piosenkę. Dla niej trochę ludzie budują akwedukt. Dla niej trochę turkocze wózek jak cichy dzwoneczek. A ponieważ tego ranka ona wydaje ci się jak dziecko i nie pragnie głębokiej mądrości, ale raczej nowin: o domu, o zabawkach i przyjaciółach, więc mówisz do niej: „Posłuchaj. . .” A ona rozpoznaje trucht osiołka. Wtedy śmieje się i zwraca się do ciebie jak do swojego słońca, bo znów pragnie miłości.

A ja, stary geometra, uczyłem się wtedy jak w szkole, ponieważ nie ma innych stosunków pomiędzy rzeczami jak te, o których myślałeś. Mówisz: „Tak samo jest. . .” I zagadnienie upada. Tamtemu człowiekowi przywróciłem pragnienie przyjaźni: pogodziłem go z przyjacielem. Tej kobiecie przywróciłem pragnienie ciepłego mleka i miłości. I powiedziałem: „Tak samo jest. . .” Uzdrowiłem ją. A czy coś innego zrobiłem formułując określony związek pomiędzy spadającym

kamieniem i gwiazdami? Powiedziałem również: „Tak samo jest. . .” A także formułując związki pomiędzy bokami trójkąta, powiedziałem: „W danym trójkącie to równa się temu. . .” I tak właśnie, w miarę jak upada jedno pytanie po drugim, posuwam się wolniuteńko ku Bogu, w którym nie ma już żadnych pytań.

\* \* \*

Rozstając się z przyjacielem szedłem powoli, uleczony z mojego gniewu, ponieważ z góry, na którą się wspinałem, spływa prawdziwy spokój — taki, który nie jest ani pogodzeniem, ani wyrzeczeniem, ani zmieszaniem sprzeczności, ani podziałem. Gdyż tam, gdzie inni widzą przeciwieństwa, ja widzę warunek istnienia. Tak właśnie jak przymus, który wydaje mi się warunkiem wolności, przepisy ograniczające miłość, które miłość warunkują, albo drogi mi przyjaciel, który jest warunkiem tego, abym ja był sobą, gdyż statek nie miałby określonego kształtu, gdyby nie obecność morza.

Z coraz to nowym wrogiem dochodzę do zgody — ale i coraz to nowy wróg staje znów przede mną — idę, ja także, w górę stoku, na szczyt góry, ku bożemu pokojowi; i wiem, że nie chodzi wcale o to, żeby statek odpowiadał pobłażliwością na natarcie fal ani żeby morze okazywało statkowi przychylność, bo fale muszą groźnie się burzyć, a statek nie może zamienić się w płaski pomost do prania bielizny; ale wiem, że nie wolno się ugiąć, ani przez fałszywie pojętą miłość paktować w trakcie bezlitosnej wojny, która jest warunkiem pokoju, i że trzeba po drodze pozostawiać martwych, którzy są warunkiem życia, godzić się na wyrzeczenia, które są warunkiem święta, na nieruchomość poczwarki, która jest warunkiem motyli skrzydeł, gdyż czasem Ty, Panie, wedle swej woli więziesz mnie z czymś, co mnie przerasta, i wiem, że nie znajdę poza Tobą pokoju ani miłości, bo tylko w Tobie mogę się pogodzić, gdy obaj znajdziemy pełnię z mym wrogiem, który panował na północ od moich granic i którego kochałem, bo tylko w Tobie mogę się pogodzić, gdy obaj znajdziemy pełnię z tym, którego mimo szacunku, musiałem osiągnąć zbrojną ręką; bo tylko w Tobie, Panie, mogą się wreszcie stopić w jedno, już bez żadnych przeciwieństw, miłość i warunki miłości.



## CCVII

Niesprawiedliwa jest, oczywiście, taka hierarchia, która dławi człowieka i nie pozwala mu stawać się. Jednakże walcząc z jej niesprawiedliwością będziesz szedł od jednej niszczonej struktury do drugiej, aż dojdiesz do płaskiego rozlewiska, w którym się stopią lodowce.

Chciałbyś, żeby ludzie byli podobni jedni do drugich, ponieważ myli ci się równość z identycznością. Ale ja uważam, że równi będą wtedy, kiedy w podobny sposób będą służyć królestwu. A nie wtedy, kiedy będą do siebie upodobnieni.

Podobnie przy grze w szachy: jest zawsze zwycięzca i zwyciężony. Zwycięzcy zdarza się uśmiechać drwiąco, żeby upokorzyć zwyciężonego. Tacy są bowiem ludzie. Powiedzmy, że zgodnie z twoim poczuciem sprawiedliwości zabronisz zwycięstw szachowych. Powiesz: „Na czym polega zasługa zwycięzcy? Był inteligentniejszy albo lepiej znał zasady gry. Zwycięstwo zatem jest tylko wyrazem pewnego stanu jego umysłu. A czy zasługiwałby na uznanie, gdyby był od drugiego bardziej rumiany albo zwinniejszy, albo mniej lub bardziej owłosiony?...”

Ja jednak znałem człowieka, który ciągle przegrywając grał w szachy całe lata w nadziei, że przypadnie mu kiedyś zwycięstwo i że będzie to dla niego święto. Człowiek czuje się bowiem bogatszy, wiedząc, że ono istnieje, nawet jeśli nie jemu przypada. Tak jak perła leżąca w głębi morza.

Zastanów się nad tym, czym jest zazdrość: jest świadectwem obecności pól i linii napięć. Jeżeli ustanowię order, wybrańcy będą z pychą paradować ustrojeni w ten jakiś kamyk na piersi. Człowiek zazdrości temu, kto otrzymał odznaczenie. Jeżeli zgodnie z twoim poczuciem sprawiedliwości (które jest potrzebą wyrównania) postanowisz, że wszyscy będą odtąd nosili na piersiach takie kamyki, kto zechce się w ten sposób ośmieszać? Ludziom zależało przecież nie na kamyku, ale na tym, co oznaczał.

No proszę, powiesz. Zmniejszyłem ludzkie cierpienia, ponieważ uleczyłem pragnienie kamyków, dla większości nie do zaspokojenia. Jest to ocena z perspektywy zazdrości, która jest bolesna. Przedmiot zazdrości uznałeś więc za zło. W ten sposób jednak nie pozostawiasz nic nieosiągalnego. Dziecko wyciąga rączki i płacze, bo chce gwiazdki. Sprawiedliwość nakazywałaby zatem gwiazdę zgasić.

Podobnie z posiadaniem klejnotów. Przekazujesz je muzeom i powiadasz, że „należą do wszystkich”. W dzdżyste dni ludzie będą rzeczywiście przechodzić wzdłuż gablot, ziewając na widok kolekcji szmaragdów. Zabrakło bowiem ceremoniału, który nadawał im blask i znaczenie. Czy przewyższają teraz swoim blaskiem rżnięte szkiełka?

Nawet diament udało ci się pozbawić jego swoistych cech. Bo on mógł być przeznaczony dla ciebie. Odjąłeś mu blask płynący z faktu, że można go było pragnąć. Podobnie z kobietami, jeżeli ich zabronisz całkowicie. Nawet najpiękniejsze staną się wtedy woskowymi manekinami. Nie słyszałem nigdy, żeby ktoś umarł za kobietę, której obraz, choć godny najwyższego uwielbienia, uwieczniła płaskorzeźba sarkofagu. Ona budzi uroki przeszłości albo melancholię, ale nie pożądanie, które bywa okrutne.

Tak więc diament, jeżeli nie będzie go można posiadać, stanie się czymś innym. Z tym właśnie wiązał się jego blask; on stanowił o świetności człowieka, umacniał jego sławę i znaczenie. Teraz, zamieniony w ozdobę muzealnej gabloty, będzie chwałą gabloty. Ale człowiek nie pragnie być gablotą i nie będzie pragnął diamentów.

I jeżeli teraz zechcesz jeden z nich spalić, aby uświetnić tą ofiarą świąteczny dzień i wzmóc oddziaływanie święta na ludzkie umysły i serca, okaże się, że nie ofiarowałeś niczego. Diament będzie nie twoją ofiarą, a gabloty. A na co gablocie ofiara? Diament, którego do niczego nie możesz użyć, wymyka ci się z rąk. Zechcesz go oddać bogom i zamurujesz w mrocznym wnętrzu kolumny? Nie będzie darem. Kolumna go tylko przechowa, może ukryje skuteczniej niż gablota, chociaż i tu, gdy słońce wywabi ludzi z miasta, diament będzie skutecznie ukryty. Taki diament nie będzie miał wartości daru, ponieważ nie jest przedmiotem, który można dawać. Jest teraz przedmiotem, który się gdzieś składa. Utracił boskie linie napięć. I co na tym zyskałeś?

Ja natomiast zabraniam, aby się ubierali w czerwień ci, którzy się nie wywodzą z rodu proroka. Czy krzywdzę przez to innych? Nikt się w czerwień nie ubierał: kolor czerwony nie miał żadnego znaczenia. Teraz wszyscy marzą o tym, żeby się ubierać w czerwień. Zbudowałem potęgę czerwieni i człowiek stał się bogatszy dzięki temu, że czerwień istnieje, choć nie jest mu dostępna. A pragnienie, jakie czerwień budzi teraz w człowieku, jest znakiem narodzin nowych linii napięć.

Czyżby wydawało ci się doskonałe takie królestwo, gdzie człowiek siada w środku miasta skrzyżowawszy nogi i umiera z głodu i pragnienia? Gdyż nic go nie wyrwie z obojętności: nie wie, czy ma pójść w lewo, czy w prawo, w przód, czy w tył. Od nikogo nie otrzyma rozkazów i sam żadnych rozkazów nie wyda. Nie obudzi w nim zapału ani diament, którego nie może posiadać, ani order przypięty do piersi, ani czerwony strój. W kramie z barwnymi tkaninami będzie

całymi godzinami ziewał, czekając, aż ja nadam znaczenie kolorom i ukierunkuję jego chęci.

Ale skoro ja zabroniłem czerwieni, już widzę, jak on zerka ku fioletowi... albo też, jako istota wolna a buntownicza, wroga wszelkim zaszczytom, i drwiąc sobie z sensu, jaki ja arbitralnie nadałem kolorom, przeczuci najpierw wszystkie półki, a potem zacznie szperać w magazynie, żeby znaleźć kolor najbardziej przeciwny czerwieni, na przykład jaskrawą zieleni; i będzie grymasił, póki nie znajdzie czegoś najdoskonalej odpowiadającego jego potrzebie. Po czym, przepelniony dumą z powodu owej jaskrawej zieleni, będzie się pysznie przechadzał po mieście, okazując w ten sposób wzgardę dla mojej hierarchii barw.

W końcu jednak cały dzień był niezmiernie ożywiony. W przeciwnym razie ubrany w czerwień ziewałby w jakimś muzeum, gdyż właśnie pada deszcz.

\* \* \*

— Ja ustanawiam święto — powiedział mój ojciec. — Choć właściwie nie święto ustanawiam, a pewien układ i zależność. Już słyszę, jak buntownicze duchy śmieją się drwiąco i ustanawiają święta przeciwne. Ale potwierdzają i przedłużają tę samą zależność. Trzymam ich trochę w szachu, a także daję trochę satysfakcji, bo traktują swój ceremoniał bardzo poważnie. Ja też.

## CCVIII

Wstał dzień. Stałem jak marynarz, który skrzyżowawszy ręce na piersi wdycha zapach morza. Tego właśnie morza, które przeorze jego statek. Stałem jak rzeźbiarz przed kawałem gliny. Tej właśnie gliny, którą ma wyrabiać. Stałem więc na wzgórzu i tak się modliłem do Boga:

„Panie, nad moim królestwem wstaje dzień. Dajesz mi je dziś w ręce jak harfę, na której mam grać. W świetle rodzi się wieniec miast, gaje palmowe, orne grunty i sady pomarańczowych drzew. A tu, na prawo, zatoka — przystań dla statków. A tu, na lewo, błękitne łańcuchy górskie na pochyłych łąkach hodują wełniste owce i najdalsze skały, jak szpony, wbijają w piaski pustyni. A poza nimi szkarłatny piach, gdzie kwitnie tylko słońce.

Moje królestwo ma takie właśnie oblicze. Mogę oczywiście, nieco odmienić bieg którejś rzeki, żeby nawodnić piaski; mogę, ale nie w jednej chwili. Mogę, ale nie w jednej chwili, założyć nowe miasto. Mogę — rzuciwszy na wiatr jedno nasionko — sprawić, by wyrósł tu zwycięski las cedrowy — ale nie w jednej chwili. Bo w każdej chwili otrzymuję dziedzictwo zamkniętej przeszłości, takiej właśnie a nie innej. Taką właśnie harfę, gotową śpiewać.

Na cóż miałbym się skarżyć, Panie, czując w ręku ciężar tego królestwa, kiedy jako mądry patriarcha widzę, że każda rzecz ma tu swoje miejsce jak różnobarwne owoce w koszu. Dlaczego miałbym żywić w sercu gniew, gorycz, nienawiść czy żądzę zemsty? Taki jest wątek, który mam dalej tkąć. Takie jest pole gotowe do orki. Taka harfa czekająca moich palców.

Kiedy przez ziemię ojcowizny idzie o świcie jej pan, to podniesie dojrzały kamień, to wyrwie ciernisty krzak. Nie złością go ani kamienie, ani ciemność. On tylko chce, żeby jego ziemia stała się jeszcze piękniejsza, i w sercu nie czuje nic poza miłością.

Kobieta o świcie otwiera drzwi domu i wymiata kurz. Nie złości jej ten kurz. Ona tylko chce, żeby dom był piękniejszy, i w sercu nie czuje nic poza miłością.

Czy mam się skarżyć na to, że za górami przebiega taka właśnie, a nie inna granica? Góry, jak spokojna dłoń, powstrzymują plemiona nadchodzące z pustyni. I tak jest dobrze. Dalej, tam, gdzie moje królestwo jest nie osłonięte, wybuduje twierdze.

A dlaczego miałbym się skarżyć na ludzi? Przyjmuję ich w ten ranek takimi, jacy są. To prawda, że niejedni szykują zbrodnie, przemyślują nad zdradą, knują jakieś kłamstwa, ale inni zbroją się i gotują do pracy, miłosierdzia i sprawiedliwości. Ja także, aby moja ziemia orna stała się piękniejsza, odrzuć na bok kamienie i wyrwę ciernie, ale bez nienawiści do cierni i kamieni, i nie czując nic poza miłością.

Albowiem w tej modlitwie znalazłem pokój, Panie. Jestem przez Ciebie posłany. Jestem jak ogrodnik, który powoli idzie w sad”.

\* \* \*

To prawda, że i ja w ciągu mojego życia żywiłem nieraz gniew, gorycz, nienawiść i pragnienie zemsty. W wieczory po przegranych bitwach albo rebeliach, za każdym razem, kiedy widziałem swoją niemoc, kiedy nie mogąc działać zgodnie ze swoją wolą czułem się jakby zamknięty w sobie; albo widząc oddziały zmieszane bezładnie, spiskujących generałów powołujących samowolnie cesarzy, szalonych proroków, którzy skupiali dokoła siebie grupki wiernych, zawziętych jak zaciśnięta pięść — doznawałem pokusy gniewu.

Człowiek chce poprawiać przeszłość. Znajduje, poniewczasie, słuszną decyzję. Widzi teraz, jaki krok by go ocalił; ale ponieważ przeszłość jest już zamknięta, jest to tylko grząskie bagno rojeń. Oczywiście: pewien generał poradził, aby zgodnie z jego wyliczeniami zaatakować wroga od zachodu. Człowiek usiłuje cofnąć bieg zdarzeń. Odrzuca rady. Atakuje od północy. Ale to tyle, co próbować utorować sobie drogę dmuchając na granitową skałę. „Ach, powiada sobie, grzęznąc w marzeniach, gdyby tamten inaczej postąpił, gdyby ten nie mówił, gdyby ten drugi nie zasnął, a ten trzeci gdyby nie uwierzył albo nie zwątpił, gdyby ten właśnie był obok, gdyby tamtego nie było — wtedy bym zwyciężył!”

Ale przeszłość drwi sobie z nas — nie sposób jej nagiąć ani usunąć, jak krwawej plamy, wyrzutu sumienia. Człowiek pragnie pozbyć się jej, zniszczyć bezwzględnie. Ale choćby tamtych ludzi przygniotły najcięższe głazy, dosięgły najokrutniejsze tortury, oni będą nadal tacy sami.

Jesteś słaby, a nawet tchórzliwy, jeżeli przebiegasz przez życie w poszukiwaniu odpowiedzialnych za twoje porażki, z grząskich rojeń budując przeszłość, już przecież zamkniętą. Szukając winnych, gotów byłbyś w ten sposób całą ludzkość posłać do grobu.

Może istotnie ci byli narzędziami kłęski; ale dlaczego tamci, którzy mogli być istotnie narzędziami zwycięstwa, nie wzięli nad nimi góry? Bo lud ich nie popierał? A dlaczego Twój lud wolał złych pasterzy? Dlatego, że kłamali? Ale z kłamstwem ludzie wciąż się spotykają, gdyż i prawda, i kłamstwo wciąż są na ludzkich ustach. Dlatego, że dobrze płacili? Ale pieniędzy nigdy nie brakuje, bo nigdy nie brakuje ludzi sprzedajnych.

Jeżeli jednak moje królestwo zdoła uformować ludzi, to na każdą próbę przekupstwa odpowiedzą uśmiechem. Ta choroba im nie grozi. Ludzie wychowani w innym królestwie i o sercach znudzonych będą podatni na nią: ktoś pierwszy jej ulegnie i choroba się w nim zagnieździ. Będzie się przenosić z jednych na drugich, aż zakazi całe królestwo. Czy ci, którzy zostali nią dotknięci, są odpowiedzialni za zepsucie całego cesarstwa? Nie sądzisz chyba, aby nawet w najzdrowszym królestwie brakowało nosicieli zarazy? Zawsze są, ale niejako w ukryciu, w oczekiwaniu na moment upadku kraju. I wtedy choroba się rozszerzy, gdyż ona ich właściwie nie potrzebowała. Znalazłaby sobie zawsze innych. Kiedy choroba atakuje winorośl, przenosząc się z korzenia na korzeń, nie oskarżam korzenia, który pierwszy zachorował. Gdybym go był spalił ubiegłego roku, inny by pierwszy uległ zgniliźnie.

Jeżeli królestwo ulega zepsuciu, to znaczy, że wszyscy brali udział w tym procesie. Jeśli większość to toleruje, ponosi także odpowiedzialność. Nazwę cię zbrodniarzem, gdy dziecko będzie się topić w twojej sadzawce, a ty przez niebaldstwo mu nie pomożesz.

Jałowe to usiłowanie, kiedy w mglistych rojeniach próbuję poniewczasie kształtować zamkniętą przeszłość; kiedy skazuję na ścięcie zepsutych jako współników zepsucia, tchórzy jako współników tchórzostwa, zdrajców jako współników zdrady, gdyż wtedy, postępując konsekwentnie, unicestwię nawet najlepszych za to, że nie działali skutecznie, i będę im wyrzucał lenistwo, zbytnią pobłażliwość albo głupotę. W końcu będę gotów zniszczyć w człowieku to wszystko, co może podlegać chorobie, aby żyzną ziemię oddać tylko zdrowemu nasieniu. A przecież wszyscy mogą być chorzy i wszyscy są żyzną ziemią gotową przyjąć każde nasienie. Trzeba by zatem wytracić wszystkich, a świat byłby wtedy doskonały, gdyż oczyszczony ze zła. Ja jednak twierdzę, że doskonałość jest cnotą umarłych. Kiepscy rzeźbiarze i zły gust są nawozem pod stopniowe wznoszenie się poziomemu twórczości. Skazując tego, kto się myli, nie służę bynajmniej prawdzie, gdyż prawda buduje się sama, poprzez kolejne błędy. Skazując każdego, kto tworzy bez powodzenia, nie służę bynajmniej twórczości, gdyż twórczość rodzi się sama, poprzez kolejne porażki. Nie narzucę określonej prawdy skazując wierzących w prawdę inną, gdyż moja prawda jest jak drzewo: ona rośnie. Mam przed sobą tylko jedno: orną ziemię, która nie dała jeszcze pokarmów mojemu drzewu. Przychodzę i jestem. Przeszłość mojego królestwa otrzymuję jako dziedzictwo. Jestem ogrodnikiem idącym w swój ogród. Nie będę mu robił wyrzutów, że żywi kaktusy i ciernie. Cóż mi kaktusy i ciernie, skoro jestem nasieniem cedru.

Obca mi jest nienawiść, nie dlatego że jestem pobłażliwy, ale dlatego że królestwo, pochodząc od Ciebie, Panie, w którym wszystko jest obecne, jest i dla mnie obecne w każdym momencie. Więc w każdym momencie rozpoczynam.

Przypominam sobie nauczanie ojca: śmieszne jest ziarno, które skarży się, że za jego pośrednictwem ziemia się przemieniła w sałatę, a nie w cedr, było przecież nasieniem sałaty!

A on mówił jeszcze tak: kiedy zezowaty uśmiechnął się do dziewczyny, odwróciła się ku tym, którzy patrzą prosto. A zezowaty chodzi teraz i opowiada, że ludzie patrzący prosto znieprawiają dziewczęta.

Jaka pycha w tych sprawiedliwych, którzy sobie wyobrażają, że nic nie są dłużni błakającym się po omacku, niesprawiedliwościom, błędom i hańbie, która ich przerasta. Owoc gardzący drzewem doprawdy zasługuje na śmiech!

## CCIX

Człowiek, któremu się zdaje, że znajdzie szczęście w bogactwie nagromadzonych przedmiotów, nie potrafi tej radości od nich oddzielić, gdyż nie ma jej w przedmiotach; mnoży więc bogactwa i składa przedmioty w wielkie stopy i kręci się pomiędzy nimi w piwnicach, gdzie je złożył, podobny do dzikusa, który rozkłada bęben na części, ażeby pochwycić jego głos.

Podobnie niektórzy widząc, że przymus pewnych związków słownych poddaje ich władzy wiersza, przymus pewnych struktur poddaje rzeźbie, przymus stosunków między nutami — wzruszeniu gitarzysty, sądzą, że siła wzruszenia mieści się w słowach wiersza, tworzywie rzeźby, dźwiękach gitary; niespokojni próbują więc w ich bezładnym chaosie odnaleźć siłę oddziaływania, ale na próżno, bo ona nie tam się mieści; i podnoszą coraz większą wrzawę, żeby ich słyszano, budząc w słuchaczu co najwyżej wrażenie, jakie robi stos tłukącej się porcelany — jest to zaś po pierwsze efekt wątpliwej jakości, poza tym — wątpliwej mocy; bodaj że skuteczniejsze byłoby, mocniejsze i bardziej przejmujące wrażenie, gdyby żandarm całym ciężarem swojego ciała nadepnął komuś na palec.

Więc jeżeli chcę opanować twoją wyobraźnię mówiąc „październikowe słońce” albo „szabla śniegu”, muszę zbudować jakby pułapkę i chwycić słuchacza jak zdobycz, a ów akt pojmania będzie już czymś zupełnie innej natury. Jeżeli jednak chcę cię wzruszyć samymi elementami pułapki, nie ośmielając się używać takich słów jak „melancholia”, „zmirzch”, „ukochana” i innych poetycznych zwrotów, gotowych i osiągalnych na każdej wyprzedaży, a które już przyprowadzą o mdłości, odwołam się do zjawiska pewnego mimetyzmu, na skutek którego słysząc słowo „trup” mniej jesteś radosny, niż słysząc o „koszyku róż”. Co prawda żadne z tych słów nie wywrze na tobie głębszego wrażenia, a chcąc opisać wyrefinowanie tortur, będę musiał sięgnąć po jakiś rzadszy repertuar. Nie obudzę zresztą w ten sposób wzruszenia, gdyż ono w słowach nie jest zawarte. Słaba jest bowiem władza słów, które — kiedy posłużę się mechanizmem pamięci — wywołują tylko w ustach jakiś kwaśny smak; trzeba więc istnego szaleństwa, trzeba wywołać lęk, mnożyć opisy tortur i szczegóły ich dotyczące, aurę i odór męczarni, a i tak w końcu wrażenie będzie słabsze niż to, jakie sprawia żandarmski but.



Jeśli chodzi o to, żeby cię zaskoczyć niezwykłością, to z pewnością zaskoczę cię wchodząc tyłem do sali recepcyjnej, gdzie ci wyznaczyłem audiencję, lub — ogólnie biorąc — robiąc coś niespójnego i nieoczekiwanego. Ale postępując tak zachowuję się jak rabuś i osiągam efekt poprzez niszczenie ustalonych struktur, przy czym, w czasie drugiej audiencji, już cię nie zdziwi moje wejście tyłem, a przyzwyczajony się do tej absurdalnej sytuacji, przywykniesz zarazem do tego, co w absurdzie nieoczekiwane, i przestaniesz się czemukolwiek dziwić. Wkrótce zaś siądziesz ponury i bez słowa, a postarzały świat stanie ci się zupełnie obojętny. Wtedy jedyną poezją, która zmusi cię do reakcji i skargi, będzie ogromny, dobrze podkuty żandarmski but.

Nie ma bowiem buntowników. Nie ma pojedynczych jednostek. Żaden człowiek nie odcina się naprawdę od innych. Ci, co są o tym przekonani, przewyższają naiwnością producentów tanich błyskotek, mieszających w rzekomej poezji miłość, światło księżyca, jesień, powiewy wietrzyka i westchnienia.

Jestem cieniem, powiada cień, i gardzę światłem. Ale — jak wiadomo — cień się światłem żywi.

## CCX

Akceptuję cię takim, jaki jesteś. Może masz chorobliwą skłonność pakowania w kieszeń złotych drobiazgów, które ci wpadną w oko, a skądinąd jesteś poetą. Przyjmę cię zatem przez umiłowanie poezji. A ze względu na twoje zamiłowanie do złotych drobiazgów zamknę je pod klucz.

Może, jak kobieta, traktujesz powierzone sobie sekrety niby mające cię zdobić brylanty. Noszony w dni świąteczne rzadki klejnot przyczynia jej blasku i znaczenia. Skądinąd zaś jesteś tancerzem. Będę cię przyjmował przez podziw, jaki żywie dla tańca, natomiast przez szacunek dla cudzych tajemnic, będę przy tobie milczał.

Ale może zupełnie po prostu jesteś moim przyjacielem. Będę cię przyjmował z miłości do ciebie, takiego, jakim jesteś. Jeżeli kulejesz, nie będę cię zachęcał do tańca. Jeśli kogoś nienawidzisz, nie będę ci go narzucał jako towarzysza biesiady. Jeżeli będziesz głodny, zaproszę cię do stołu.

Żeby cię poznać, nie będę cię rozkładał na części. Nie jesteś tożsamy ani z takim czynem, ani z innym, ani z sumą wszystkich czynów. Ani z taką wypowiedzią, ani z inną — ani z sumą wypowiedzi. Nie będę cię oceniał ani według słów, ani według czynów. Ale zarówno czyny jak słowa ocenię wedle tego, kim jesteś.

W zamian będę domagał się od ciebie uwagi. Niepotrzebny mi przyjaciel, który mnie nie zna, a domaga się wyjaśnień. Nie mam możliwości przekazać ci siebie za pomocą słów, które są lekkie jak plewy. Ja jestem jak góra. Góra może być obiektem kontemplacji. Ale na przykład taczka nie może wystąpić w tej roli.

Czy mogę ci wytłumaczyć to, czego uprzednio nie pojmiesz poprzez miłość? Często w ogóle nie potrafię mówić. Są słowa nieprzyzwoite. Opowiadałem ci o moich żołnierzach na pustyni. W przeddzień bitwy obserwuję ich milcząc. Królestwo na nich się opiera. Oni umrą za królestwo. A w zamian śmierć ich zostanie odpłacona. Toteż znam ich prawdziwą żarliwość. Cóż mi więcej powiedzą słowa lekkie jak plewy? Że dokuczają im ciernie na drodze, że nienawidzą kaprała, że jedzenia mają skąpo, że gorzka ich ofiara? . . . Oni tak muszą mówić! Podejrzliwie patrzę na żołnierza skłonnego do lirycznych wynurzeń. Jeżeli mówi, że pragnie umrzeć za swojego kaprała, prawdopodobnie wcale nie umrze — będzie zbyt za-

jęty deklamowaniem poetycznych tekstów. Podejrzliwie patrzę na gąsienicę, która odkrywa w sobie ukochanie skrzydeł. Ona nie umrze dla siebie zamknięta w poczwarce. Jestem głuchy na słowa, które są jak plewy, i widząc na wskroś wiem, kim jest mój żołnierz, a nie, co mówi. To on właśnie w czasie bitwy osłoni kaprała własną pierś. Przyjaciel to punkt, z którego się patrzy na świat. Muszę posłuchać, jak mówi, żeby wiedzieć, z jakiego punktu mówi, gdyż jest w tym wypadku odrębnym królestwem i niewyczerpanym bogactwem. Może milczeć, a i tak obdarowuje mnie swoją pełnią. Patrzę wtedy na świat z jego punktu widzenia i widzę świat inaczej. A również od przyjaciela wymagam, żeby dojrzał najpierw, z jakiego miejsca ja mówię. Bo słowa zawsze są przedrzeźnieniem rzeczywistości.

## CCXI

Znów przyszedł do mnie ów prorok o twardym wzroku, który w dzień i w nocy płonął świętym gniewem, a do tego był zezowaty.

— Należy — powiedział — ocalić sprawiedliwych.

— Istotnie — odparłem — nie ma oczywistych przyczyn, które by ich nakazywały karać.

— Trzeba ich oddzielić od grzeszników.

— Oczywiście — przyznałem. — Najdoskonalszy powinien zostać wyniesiony w górę jako przykład do naśladowania. Na piedestale ustawiasz najlepszy posąg najlepszego rzeźbiarza. Dzieciom czytasz najlepsze wiersze. Na królową chciałbyś wybrać najpiękniejszą. Albowiem doskonałość jest jak kierunek, który należy ludziom ukazywać, choć nie w twojej mocy jest ją osiągnąć.

Prorok jednak rozpalał się coraz bardziej:

— A kiedy już oddzieli się sprawiedliwych od reszty, należy ich wyłącznie ocalić, i wtedy raz na zawsze zniszczyć zepsucie.

— Ejże — powiedziałem — czy to nie przesada? Wydaje mi się, że chciałbyś oddzielić kwiat od drzewa. Uszlachetnić ścięte zboże, odrzucając użycie nawozu. Popierać wielkich rzeźbiarzy, posyłając na śmierć kiepskich. Ja natomiast znam wyłącznie ludzi, którzy są mniej albo więcej niedoskonali, i znam wzrost drzewa: od bagnistej ziemi aż po kwiat. I twierdzę, że doskonałość królestwa opiera się na bezwstydnym.

— Poważasz zatem bezwstyd!

— W równej mierze poważam twoją głupotę, cnota powinna być bowiem możliwością stanu doskonałości, w pełni dostępną pragnieniom i osiągalną. I musi istnieć pojęcie człowieka cnotliwego, choć taki nie może istnieć, przede wszystkim dlatego, że człowiek jest ułomny, a poza tym dlatego, że doskonałość zupełna, gdziekolwiek występuje, pociąga za sobą śmierć. Dobrze jest jednak, kiedy kierunek przybiera formę celu. W przeciwnym razie człowiek szybko by się znużył zmierzając do czegoś, co jest nieosiągalne. Na pustyni nieraz zdarzało mi się przeżywać ciężkie chwile. Początkowo wydaje się ona czymś nie do pokonania. Ale oto jakąś daleką wydmę wyobraziłem sobie jako pożądaną etap. Dochodzę do niej, a ona w tym momencie traci już dla mnie znaczenie. Wtedy zaczynam trakto-

wać jako następny pożądaný etap ostro rysujący się na horyzoncie zębata łańcuch gór. Dochodzę tam, a on w tym momencie traci dla mnie znaczenie. I wybieram sobie następny cel. I tak, od jednego punktu do drugiego, brnę przez piaski.

Bezwstyd jest albo oznaką prostoty ducha i niewinności, jak w przypadku gazi; wtedy, jeżeli uda ci się kogoś takiego uświadomić, przemieni się w cnotliwą czystość; albo też znajduje radość w przekraczaniu zasad czystości. Słowem opiera się na czystości. Nią się żywi i jej podstawę stanowi. Kiedy przechodzą pijani żołnierze, matki biegną nakazując córkom, żeby się nie pokazywały. Natomiast żołnierze twojego utopijnego królestwa, nawykli do cnotliwego spuszczenia oczu byłiby jakby nieobecni, i nie widziałbyś nic zdrożnego w tym, żeby dziewczęta kąpały się nago. W moim królestwie czystość nie jest tym samym co nieobecność bezwstydu (najbardziej wstydlivi byłiby w takim przypadku zmarli). Jest to skrywana żarliwość, pełna rezerwy, szacunku dla samego siebie i odwagi. Ona chroni przygotowany miód na święto miłości. I jeżeli przechodzi drogą pijany żołnierz, może właśnie on w moim królestwie ugruntuje cnotę wstydlivosti.

— Ach, więc życzysz sobie, żeby pijani żołnierze wykrzykiwali na głos bezeceństwa...

— Przeciwnie, myślę, że karałbym ich za to, aby w nich także wzbudzić wstydlivóść. Zarazem tak już jest, że im mocniejsza wstydlivóść, tym bardziej pojętne stają się jej przekroczenia. Więcej znajdziesz satysfakcji wspinając się na stromy wierch, niż na łagodne wzgórze. W zwycięstwie nad wrogiem stawiającym opór — niż nad jakimś mięczakiem, który się nawet nie broni. Tylko tam, gdzie kobiety noszą zasłony na twarzach, pali cię pragnienie czytania w ich obliczu. Wedle ostrości kar, które wprowadzają pewną równowagę w ludzkie apetyty, oceniam siłę linii napięć istniejących w moim królestwie. Jeśli postawię zaporę na górskiej rzece, będę musiał dobrze wzmocnić grubą, murowaną tamę. I ta grubość jest oznaką mojej siły. Jeśli chodzi zaś o mizerną sadzawkę, wystarczy niemal wał z umocnionej tektury. Dlaczego miałbym sobie życzyć, żeby moi żołnierze byli jak kastraci? Chcę, żeby całą siłą napierali na mur, tylko wtedy bowiem będą wielcy zarówno w zbrodni jak w dziele tworzenia, które przerasta zbrodnię.

— Chciałbyś więc, żeby ich rozpieęły nieczne żądze...

— Nie. Ale widzę, że znów nic nie zrozumiałeś.

## CCXII

Otoczyli mnie kiedyś żandarmi, pełni bezgranicznej głupoty.

— Odkryliśmy przyczynę upadku królestwa. Jest to sprawa pewnej sekty, którą należy wytępić.

— Ach tak? — powiedziałem. — A po czym poznajecie, że coś ich łączy ze sobą?

Opowiadali mi wtedy o pewnych zbieżnościach w ich postępowaniu, dających się zauważyć oznakach bliskości, a także o miejscach, gdzie się gromadzą.

— A po czym poznajecie, że stanowią zagrożenie dla królestwa?

Wtedy opisali mi ich zbrodnie, malwersacje niektórych, gwałty popełnione przez innych, występujące często tchórzostwo, a poza tym brzydotę.

— Ach tak? — odparłem. — To ja znam inną sektę jeszcze bardziej niebezpieczną, ponieważ nikomu jeszcze do tej pory nie przyszło do głowy jej zwalczanie.

— Cóż to za sekta? — zapytali skwapliwie.

Ponieważ żandarm, człowiek stworzony do tego, żeby walić innych, schnie w oczach, kiedy nie ma dla siebie odpowiedniej pożywki.

— Jest to sekta ludzi, którzy na lewej skroni mają pieprzyk. Żandarmi nic oczywiście nie zrozumieli, mruknawszy tylko z zadowoleniem. Gdyż żandarm może walić człowieka, nie rozumiejąc, o co chodzi. Wali przecież pięściami, które nie mają nic wspólnego z mózgiem.

Jednakże jeden z nich, który był swego czasu stolarzem, chrząknął znacząco.

— Ale właściwie nie wiadomo, co ich łączy. I nie spotykają się w określonych miejscach.

— To prawda — zgodziłem się. — I w tym leży niebezpieczeństwo. Bo są niezauważalni. Ale kiedy tylko wystosuję dekret, który ich wyda na łup powszechnej nienawiści, zobaczycie, jak się zaczną szukać nawzajem, łączyć ze sobą, żyć wspólnie, a stawiając opór gniewowi ludu, nabiorą świadomości odrębnej kasty.

— Święta prawda — przytaknęli żandarmi.

Były stolarz chrząknął atoli ponownie.

— Znam takiego jednego. Jest łagodny, szlachetny. Uczciwy. Został trzykrotnie ranny, broniąc królestwa. . .

— Pewno — odparłem. — Ale czy z tego, że kobiety są głupie, wyciągniesz wniosek, iż nie ma wśród nich jednej rozsądnej? Jeżeli generałowie są na ogół buńczuczni, to czyż nie może trafić się czasem generał nieśmiały? Nie zajmujmy się wyjątkami. Kiedy już wytropicie ludzi, noszących ten znak, przetrząśnijcie dobrze ich przeszłe sprawki. To oni są źródłem zbrodni, gwałtów, porwań, malwersacji, zdrady, chciwości i bezwstydu. Czyżbyś był zdania, że są wolni od tych występków?

— Jasne, że nie! — krzyknęli żandarmi, bo już ich pięści zaczynały swędzić.

— A kiedy drzewo wydaje zgniłe owoce, winić o zgniliznę trzeba owoc czy drzewo?

— Drzewo! — wrzasnęli żandarmi.

— A jeśli zdarzy się parę owoców zdrowych, czy wystarczy to już jako usprawiedliwienie?

— Nie, skądże! — krzyknęli znów żandarmi, którzy na szczęście kochali swój zawód, a nie należy do niego kogokolwiek uniewinniać.

— A zatem godziwe będzie oczyścić królestwo z tych ludzi, którzy na lewej skroni mają pieprzyk.

Znów jednak były stolarz zaczął pochrząkiwać.

— Powiedz, o co ci chodzi — zwróciłem się do niego, podczas gdy towarzysze, wiedzeni nieomylnym węchem spoglądali już znacząco w stronę jego lewej skroni.

Jeden wreszcie się ośmielił i zagadnął wprost podejrzanego:

— A ten, którego znałeś... Czy to przypadkiem nie twój brat... Albo ojciec... Czy ktoś z rodziny?...

Tu wszyscy wydali pomruk aprobaty. Wtedy zawrzałem gniewem.

— Jest jeszcze bardziej niebezpieczna sekta: tych, którzy mają pieprzyk na prawej skroni! Niebezpieczniejsza, bośmy o nich nawet nie pomyśleli! Czyli, że jeszcze skuteczniej się ukrywa. A jeszcze bardziej niebezpieczna jest sekta tych, którzy w ogóle nie mają pieprzyka — ci się naprawdę maskują, są niewidoczni jak prawdziwi spiskowcy. W rezultacie, rozważając wszystko i uwzględniając wszystkie możliwe sekty, wydam wyrok na sektę obejmującą wszystkich ludzi, gdyż jest ona w najoczywistszy sposób źródłem zbrodni, gwałtów, porwań, malwersacji, zachłanności i bezwstydu. A ponieważ, jak wiadomo, żandarmi, poza tym, że są żandarmami, są zarazem ludźmi, najdogodniej mi będzie zacząć od nich taką niezbędną czystkę. Wydaję wobec tego rozkaz: obecny w was żandarm niech rzuci obecnego w was człowieka w pełen gnoju loch w moich twierdzach.

Wtedy żandarmi wyszli, pociągając nosami, gdyż byli bardzo zmieszani, i zastanawiając się głęboko, ale bez większych skutków, ponieważ jak wiadomo myślał oni pięściami.

\* \* \*

Stolarzowi kazałem zostać; stał ze spuszczonej oczami i pokorną miną.

— Ciebie zwalniam z dotychczasowej funkcji — powiedziałem. — Prawda stolarza, skomplikowana i nieraz sprzeczna ze względu na to, że drewno stawia mu opór, nie jest tym samym, co prawda żandarma. Jeżeli odpowiedni podręcznik zalicza do osób podejrzanych ludzi z pieprzykiem na skroni, bardzo dobrze jeżeli żandarmi, ledwo usłyszawszy o nich, już czują świerzbienie w pięściach. Podobają mi się również to, że podoficer ocenia człowieka wedle jego umiejętności wykonania rozkazu „w tył zwrot!” Jeżeli bowiem pozostawić oficerowi prawo oceny, znajdzie wymówkę dla niezręczności w tym, że ktoś jest wielkim poetą. Usprawiedliwi dalej sąsiada, gdyż ten jest pobożny. Trzeciego z szeregu — gdyż jest wzorem powściągliwości. Będzie to panowanie sprawiedliwości. Ale niech w czasie bitwy żołnierze okażą niedostateczną sprawność wykonywania zwrotu w tył, we wrzawie i zamęcie zaczną walić na oślep i dojdzie do strasznej rzezi. Dużo im wtedy pomogą względy podoficera! Wracaj więc do stolarki, bo lękam się, żeby twoje umiłowanie sprawiedliwości nie doprowadziło kiedyś do zbędnego rozlewu krwi.



## CCXIII

Aliści przyszedł człowiek, który pytał mnie, czym jest sprawiedliwość.

— Ach — powiedziałem — wiem, co to słuszne postępowanie, ale nie wiem zupełnie, czy istnieje coś takiego jak słuszność. Słuszne jest, żebyś otrzymywał pożywienie odpowiednie do wykonywanej pracy. Słuszne — żebyś był pielęgnowany w chorobie. Żebyś był wolny, jeżeli jesteś nie skalany winą. Ale na tym wyczerpuje się oczywistość... Jest jeszcze słuszne to, co zgodne z ceremoniałem.

Od lekarza wymagam, żeby całą pustynię przeszedł — choćby czołgając się lub na kłęczkach — śpiesząc do chorego, którego ranę trzeba opatrzyć. Nawet gdyby był to człowiek niewierzący. W ten sposób utwierdzam szacunek dla człowieka. Ale bywa że moje królestwo wypowiada wojnę królestwu innej wiary; wtedy wymagam od żołnierzy, żeby szli przez tę samą pustynię, aż po bitwie wewnętrzności niewiernego będą wydane na pastwę słońca. Gdyż tak właśnie utwierdzam królestwo.

— Nie pojmuję tego, Panie...

— Dobrze, jeżeli kowale, śpiewający kowalskie piosenki, usiłują odebrać narzędzia stolarzom, po to, żeby kuć swoje gwoździe. I dobrze, kiedy stolarze odwodzą od roboty kowali, żeby ich zachęcić do piłowania desek. Dobrze, jeśli zarządzający całością roboty architekt gnębi stolarzy i kowali mając na względzie deski i gwoździe. Albowiem z tej kontrowersji pomiędzy liniami napięć rodzi się statek; a czego mógłbym się spodziewać po stolarzach, którzy nie mają pasji do swojej roboty i nadto szanują gwoździe, albo po kowalach pracujących beznamiętnie i nadto szanujących deski?

— Czyżbyś zatem cenił w ludziach nienawiść?

— Nienawiść musi być przetrawiona i przezwyciężona, a cenię tylko miłość. Ale bywa, że miłość rodzi się dopiero na wyższej płaszczyźnie, nie na płaszczyźnie desek i gwoździ, ale statku.

Odszedłszy na ubocze, zaniósłem do Boga taką modlitwę: „Przyjmuję, Panie, sprzeczne ze sobą prawdy: żołnierza, który chce zadawać rany, i lekarza, który chce leczyć, jako tymczasowe, choć z mojej płaszczyzny nie dostrzegam łączącego je zwornika sklepienia. Nie chcę godzić ze sobą napojów lodowatych i gorą-

cych w jedną letnią mieszaninę. Nie pragnę, żeby się bito z umiarem i z umiarem leczono rannych. Będę karał lekarza, który odmawia pomocy choremu, a także żołnierza, który nie chce się bić. Cóż z tego, jeśli słowa zdają się drwić z siebie wzajemnie? Albowiem może właśnie ta tylko pułapka, zrobiona z różnych elementów, pojmie w całości zdobycz, którą jest konkretny człowiek, o takich, a nie innych szczegółowych cechach.

Szukam po omacku Twoich boskich linii napięć, a skoro na mojej płaszczyźnie nie rysuje się oczywistość, sądzę, że mam rację dobierając rytuały ceremoniału, jeżeli mnie wyzwalają i dają swobodny oddech. Tak jak rzeźbiarz pracujący w glinie nie wie, dlaczego właśnie tak ją kształtuje, ale wie, że tak trzeba. Tylko pod tym warunkiem ma poczucie, że nadaje glinie moc.

Idę ku Tobie, Panie, jak drzewo, które rośnie zgodnie z liniami napięć zawartymi w jego nasieniu. Ślepiec nie wie nic o ogniu. Ale wokół ognia istnieją linie napięć wyczuwalne dłońmi. Więc idzie przez ciernie — przecież każda przemiana jest bolesna, Ja idę ku Tobie, Panie, prowadzony Twoją łaską, po tym stoku, który pozwala mi się stawać.

Ty nie zstępujesz do Twego stworzenia i nie wolno mi spodziewać się innych nauk poza żarem ognia i energią zawartą w ziarnie. Tak jak gąsienica nic nie wie o skrzydłach. I nie czekam teatralnego widowiska zstępujących ku mnie z nauką archaniołów, bo niczego ważnego nie dowiem się od nich. Gąsienicy nie ma co mówić o skrzydłach ani kowalom — o statku. Wystarczy, że dzięki zapałowi architekta istnieją linie napięć wyznaczające statek. Dzięki nasieniu — linie napięć ptasiego lotu. Dzięki ziarnu — linie napięć drzewa. I że Ty po prostu jesteś, Panie.

Lodowata jest czasem moja samotność. Wołam o jakiś znak na tej pustyni opuszczenia. Aleś Ty nauczał mnie kiedyś we śnie. Zrozumiałem, że marnością jest każdy znak; gdybyś był z tej samej co ja płaszczyzny, nie byłbym zmuszony rosnać. A co, Panie, pocznę ze sobą — takim, jakim jestem?

Dlatego idę naprzód zanosząc modlitwy, na które nie ma odpowiedzi, a jestem tak ślepy, że wiedzie mnie jedynie ciepło ledwo wyczuwane osłabłymi dłońmi; a przecież wystawiam cię, Panie, za to, że mi nie odpowiadasz, bo gdybym znalazł to, czego szukam, Panie, już bym się przestał stawać.

Gdybyś sam z siebie uczynił w stronę człowieka jeden krok archanielski, człowiek uzyskałby pełnię. Już by nie piłował desek, nie kuł, nie walczył i nie leczył. Nie zamiatałby izby ani nie uśmiechał się do ukochanej. Czy gdyby Cię, Panie, oglądał twarzą w twarz, chciałby jeszcze dodatkowo i ubocznie czcić Cię przez swoją miłość do ludzi? Kiedy świątynia już stoi, widzę świątynię, a nie kamienie.

\* \* \*

Już jestem stary, Panie, i słaby jak drzewa w zimowych wiatrach. Znużyli mnie wrogowie, i znużyli przyjaciele. Przymus jednoczesnego zabijania i lecze-

nia budzi w moich myślach niepokój, boś Ty wlał we mnie potrzebę wchłaniania przeciwieństw, wśród których okrutny wydaje mi się mój los. A przecież jest to także przymus, który mi każe iść od pytań coraz rzadszych do wygaśnięcia wszelkich pytań, ku Twojej ciszy. Panie, racz na Twoją chwałę uczynić jedność z nas dwu: tego, co spoczywa snem wiecznym na północ od mojego królestwa, a który był najdroższym mi wrogiem, geometrą — jedynym prawdziwym przyjacielem, i mnie, który — niestety — przeszedłem już grzbiety gór i zostawiam za sobą w tyle własne pokolenie, jak na stoku pochyłym, na który nie ma powrotu. I daj mi sen pośród piasków pustyni, gdzie się trudziłem”.

## CCXIV

Zdumiewająca jest twoja pogarda w stosunku do żywej próchnicznej ziemi. Szanujesz tylko dzieła sztuki.

— Dlaczego bywasz u tych ludzi, którzy są tak niedoskonali? Jak możesz znieść: u tego wadę, u tamtego niemiłą woń? Są przecież inni, godniejsi ciebie. . .

To tak jakbyś powiedział drzewu: dlaczego zapuszczasz korzenie w nawóz? Ja szanuję tylko owoce i kwiaty.

Człowiek żyje tylko tym, co przemienia. Jest narzędziem, drogą i przekazem. A ty masz w sobie nie więcej życia niż człowiek martwy.

## CCXV

Stoicie w bezruchu jak statek, który dobiwszy do brzegu, wyładowuje towary, aż nabrzeże portu mieni się kolorami, bo istotnie są tam i złociste materie, czerwone i zielone korzenne przyprawy, i kość słoniowa, a słońce, jak rzeka miodu wśród piasków, zalewa to wszystko brzaskiem wstającego dnia. Więc trwacie bez drgania, olśnieni blaskiem jutrzeńki, na pochyłości wzgórza, które się wznosi przy studni. Tak właśnie trwają w bezruchu zwierzęta w głębokim cieniu. Żadne z nich nie drgnie: wiedzą, że każde, po kolei, będzie pić. Ale brakuje jednego, żeby ruszyły powolną procesją: woda jest jeszcze nie rozlana, nie przyniesiono koryt, nie ma poidel. A ty stoisz podparłszy się wpół i pytasz: „Cóż oni tam robią?”

Ci, których sam wyciągnąłeś na linach z głębi studni oczyszczonej z piasku, odłożyli narzędzia i skrzyżowali ręce na piersiach. Wiesz, co oznacza ich uśmiech. Woda jest. Gdyż człowiek na pustyni jest jak zwierzę o niezdarnym pysku, po omacku szukające piersi z ożywczym pokarmem. Uspokojony i ty się uśmiechnąłeś. A wielbłądnicy, na widok twojego uśmiechu, uśmiechają się także. Wszystko staje się uśmiechem. Piaski zalane światłem i twoja twarz, i twarze ludzi, a może nawet coś widocznego przez skórę bydłat, które wiedzą, że będą pić i stoją znieruchomiałe w rozkoszy oczekiwania. Jest to chwila podobna do tej chwili na morzu, kiedy słońce tryska nagle zza rozdartych chmur. I nagle, nie rozumiejąc dlaczego, czujesz obecność Boga, może dlatego, że we wszystkim dokoła jest jakiś smak nagrody (bo studnia żywej wody wśród pustyni jest jak dar, nigdy w pełni nie odpłacony, nigdy do końca nie przyobiecany); a może także dlatego, że zawsze w bezruchu trwają ci, którzy czekają, jak komunii, bliskiego już momentu, który nasyci pragnienie. Więc i ci, skrzyżowawszy ręce na piersiach, stoją bez ruchu. I ty, podparłszy się wpół, na szczycie wzgórza, spoglądasz ciągle w ten sam punkt horyzontu. Bo zwierzęta w głębokim cieniu, ustawione już procesjonalnie na piaszczystej pochyłości, jeszcze nie ruszyły ku studni. Bo ci, co niosą wielkie koryta do pojenia zwierząt, jeszcze się nie pojawili, a ty wciąż pytasz: „Cóż oni tam robią?” Wszystko jest jeszcze oczekiwaniem, a jednak wszystko już przyobiecane.

I zamieszkuje w nas uśmiechnięty pokój. Za chwilę będziecie się oczywiście cieszyć, pijąc, ale wtedy będzie to tylko rozkosz zaspokojenia, podczas gdy teraz

jest to miłość. Podczas gdy teraz ludzie i piasek, i zwierzęta, i słońce nabierają wspólnego sensu połączeni ze sobą dokoła zwykłego otworu między kamieniami - więc wszystko, tak różne, co cię tu otacza, staje się przedmiotem kultu, elementem ceremoniału, słowem pochwalnej pieśni.

A ty — wielki kapłan, co poprowadzi święto, generał, co wyda rozkazy, ty — mistrz ceremonii, podparty wpół, odwlekający jeszcze moment decyzji, wpatrujesz się w horyzont, skąd ci przyniosą wielkie koryta — poidła. Więc wciąż jeszcze brak jednego przedmiotu w tym obrzędzie, jednego słowa w wierszu, jednego piechura, aby ogłosić zwycięstwo, jednej przyprawy, aby rozpocząć ucztę, jednego gościa, który uczci swoją obecnością ceremonię, jednego kamienia, aby bazylika olśniła spojrzenie patrzących. A gdzieś już idą ci, którzy — niby zwornik sklepienia — dźwigają wielkie poidła, do których, kiedy się wreszcie pojawią, zawołasz: „Ej wy tam, pośpieszcie się!” Oni nie odpowiedzą. Będą się wspinać na wzgórze. Uklękną, żeby ustawić poidła. A ty tylko skiniesz. Zacznie wtedy skrzypiec sznur, dzięki któremu odradza się ziemia, zwierzęta drgną nagle i zaczną powoli sunąć jak procesja. A ludzie zaczną ich pilnować, aby wszystko przebiegało w ustalonym porządku, szturchając je kijami i ponaglając gardłowymi okrzykami. I tak, pod powolnie wznoszącym się słońcem, rozpocznie się zgodnie ze swym rytuałem, ceremonia daru wody.

## CCXVI

Przyszli znów do mnie logicy, historycy i krytycy, aby poprzez argumenty, kolejne przesłanki i wnioski dowodzić mi i wywodzić swoje systemy myślowe. Wszystko zgadzało się w sposób bezlitosny. Budowali przede mną, na wypródkki, społeczeństwa, kultury i królestwa, które cudownie wyzwalały człowieka, sprzyjały jego rozwojowi, karmiły go i wzbogacały.

Kiedy już tak dość długo mówili, zadałem im proste pytanie:

— Żeby tak perorować o człowieku, a robić to sensownie, wypadałoby najpierw określić, co jest w człowieku i dla człowieka ważne. . .

Więc znów i z rozkoszą zaczęli rozwijać nowe konstrukcje myślowe; albowiem kiedy takim ludziom nadarzy się okazja przemawiania, chwytają ją natychmiast za grzywę i rzucają się nieopatrznie otwartą drogą niby szarżujący oddział konnicy, wśród szczęku broni, złościstego kurzu i wichrowego pędu. Ale jest to bieg bez celu.

— A zatem — powiedziałem, kiedy ta wrzawa ucichła, a oni czekali już tylko komplementów (albowiem tacy ludzie ruszają do biegu, nie po to, żeby czemuś służyć, ale żeby ich widziano, słyszano lub podziwiano ich jeździeckie wyczyny, a kiedy cały zamęt się skończy, czekają ze skromną miną) — a zatem, jeśli dobrze zrozumiałem, zamierzacie popierać to, co w człowieku i dla człowieka jest najważniejsze. Ale świetnie pojąłem, że wasze systemy faworyzują obwód jego brzucha (jest to oczywiście pożyteczne, ale stanowi środek, a nie cel, bo chodzi o pewną strukturę cielesną umacniającą narzędzie) albo jego zdrowie (gdzie znów chodzi o środek, nie o cel, gdyż jest to dbałość o organizm, tak jak zalecana jest dbałość o narzędzie), albo liczbę ludności, ale i tu chodzi o środek, a nie o cel. Albowiem chodzi tu znów tylko o ilość narzędzi. Pragnę oczywiście, żeby królestwo posiadało dużo obywateli zdrowych i prawidłowo odżywionych. Ale wypowiadając tak jawne oczywistości nie powiedziałem przecież dotąd nic istotnego, chyba tylko, że mamy w ten sposób tworzywo do wykorzystania. Ale co z tego tworzywa zrobimy, ku czemu będziemy dążyć, czego dostarczymy, żeby wzrastało? Przecież to wciąż tylko narzędzie, droga i przekaz. . .

Oni jednak dalej prawili mi o człowieku, tak jak można na przykład o sałacie. Ale nie było w tym nic, co by zasługiwało na wspomnienie bodaj, tylko kolejne

pokolenia sałaty wyrastające w warzywniku. I nie umieli mi odpowiedzieć. Byli jak krótkowidze wodzący nosem po papierze, zajmujący się zawsze tylko gatunkiem atramentu albo papieru, ale nie znaczeniem poematu.

Więc mówiłem dalej:

— Jestem człowiekiem konkretnym i gardzę mglistymi majakami marzeń. Wyspę, skąd dolatuje do nas śpiew, pojmuję także jako pewną rzeczywistą konstrukcję. Nie jestem, jak finansiści, upojony majakami marzeń, poważam bowiem doświadczenie, a zatem w sposób zupełnie naturalny wyżej stawiam sztukę tańca niż sztukę malwersacji, zagarniania dóbr, zdradzania cudzych interesów; sztuka tańca daje bowiem więcej przyjemności, a jej sens jest jaśniejszy. Nagromadziwszy bogactwa będziesz musiał znaleźć dla nich jakieś zastosowanie, a że taniec wzrusza człowieka, kupisz sobie jakąś tancerkę, atoli nie znając się zupełnie na tańcu, wybierzesz ją bez rozeznania, i w końcu nic nie będziesz miał. Ja patrzę i słyszę — może dlatego, że milcząca miłość każe mi nie słuchać słów — i doszedłem wreszcie do wniosku, że nic nie ma tyle wartości dla człowieka jak zapach wosku w pewien określony wieczór, złota pszczoła pewnego ranka, nie znaleziona czarna perła spoczywająca na dnie mórz. Co zaś do samych finansistów, to stwierdziłem, że zdarza się im zamienić fortunę (ciężko zdobytą poprzez malwersacje, zagarnięcie cudzego mienia, sprzeniewierzenia, wyzysk z niewolniczej pracy, bezsenne noce strawione na pracach proceduralnych i męczących wyliczeniach rachunkowości) na kamyk wielkości laskowego orzecha czy też paznokcia, przypominający rżnięte szkielek. Dlatego, że ów kamyk jest nazwany diamentem, a narodził się poprzez ceremoniał wydobywania go z wnętrzości ziemi, nabierał wartości takiej, jaką dla innych ma zapach wosku albo blask złotej pszczoły, i zasługiwał na to, żeby go bronić przed złodziejami, choćby z narażeniem życia.

Z czego jednak wynikało, że najistotniejszym darem dla człowieka jest droga, którą idzie, aby dojść do świata. A jeżeli mam ocenić twoją kulturę, powiedz mi najpierw, jakie są twoje święta i jaki smak dają sercu, a że są one momentem przejścia, przekroczoną bramą, wyjściem z poczwarki przemienionego motyla, powiedz mi jeszcze, skąd i dokąd idziesz. Dopiero wtedy będę wiedział, jakim jesteś człowiekiem i czy warto, żebyś żył w pomyślności i zdrowiu, abyś się mnożył i aby rósł obwód twego brzucha.

Skoro masz jednak obrać określoną drogę, musisz odczuwać określone pragnienia, które zdołają skłonić cię do wzwyż-wstępowania i które będą kierować twoimi krokami i zapładniać twój umysł; tak jak jest z umiłowaniem morza, które zdoła i przenieść cię wzwyż, i skłonić do budowania statków; musisz zatem wyjaśnić mi, jakie pragnienia budzi w ludziach twoja kultura. Bo tak już jest, że miłość ze swojej natury jest pragnieniem miłości, cywilizacja — pragnieniem cywilizacji, a satysfakcja, jaką daje ceremoniał szukania czarnej perły — pragnieniem czarnej perły leżącej na dnie mórz.



## CCXVII

Nie wolno ci sądzić wedle sumy szczegółów. Mówisz, że po tych ludziach niczego dobrego nie można się spodziewać. Tyle w nich grubiaństwa, pogoni za zyskiem, egoizmu, tchórzostwa, szpetoty. Ale tak samo możesz, mówiąc o kamieniach, wyliczać, jakie są twarde, szorstkie, ciężkie i ponure, nie wspominając o tym, co z kamieni możesz uczynić: posąg albo świątynię. Nazbyt często widziałem, jak zachowania pewnej całości nie sposób było przewidzieć patrząc na jej cząstkowe elementy; jeżeli na przykład spojrzeć na okoliczne plemiona, to każde z nich oddzielnie nienawidzi wojny, nie pragnie opuszczać rodzinnych domów, bo wszyscy kochają swoje dzieci i żony, i uroczystości rodzinne; nikt nie chce przelewać krwi, gdyż każdy jest dobry z natury, karmi swego psa i głaszcze osła; nikt nie chce rabować, bo lubi tylko własne domostwo, odmalowuje ściany, poleruje meble, sadi w ogródku pachnące kwiaty; można by zatem powiedzieć: oto obraz ludzi miłujących pokój... A przecież tworzą razem królestwo, w którym, niby w ogromnym tyglu, warzy się okropności wojny. Dobroć, łagodność, współczucie dla chorego zwierzęcia i wzruszające zachwyty nad kwiatkiem, wszystko to są składniki jakiejś magii, która przygotowuje szczęk broni, zupełnie tak jak pewne szczególne zestawienie śniegu, lakierowanego drewna i zapachu wosku przygotowuje w niektórych krainach bicie serc ludzkich: a zarówno tu, jak i tam inna jest ze swej natury pułapka niż pojmana w nią zdobycz.

Czy drzewo oceniasz wedle jego składników? Czy mówiąc o drzewku pomarańczowym, będziesz krytykował jego korzenie, smak włókien drewna, chropowatość kory albo architekturę gałęzi? Składniki cię nie obchodzą. Drzewko pomarańczowe oceniasz wedle owoców.

Podobnie jest z ludźmi, których prześladujesz. Każdy wzięty oddzielnie jest taki, owaki lub jeszcze inny. Naprawdę niewiele mnie to obchodzi. W rodzie ludzkim trafiają się od czasu do czasu dusze hartowne jak stal, gotowe wydać ciało na męki, gdy potrzebna ofiara, odporne na podłe tchórzostwo większości, o wzroku przenikliwym, który odziera jądro prawdy jak owoc ze zbędnej łupiny, ludzie, którzy wbrew pospolitym upodobaniom z okna na poddaszu wpatrują się w gwiazdy i żywią się promieniami światła. I to mnie zadawała. Tam, gdzie ty widzisz przeciwnieństwa, ja widzę warunek. Drzewo jest warunkiem narodzin owocu, kamień

— narodzin świątyni, a tacy ludzie — warunkiem narodzin ducha, promieniującego na innych. Pogardliwie odtrącają na bok dobroć, łagodne macierzyństwo i upodobanie domowych cnót, gdyż wbrew pozorom, są to składniki owego tygla, w którym się warzy zaraza, zbrodnia i głód. Natomiast tym innym wybaczę brak dobroci, niechęć do marzeń i domatorstwa (może przez długi czas ludzie ci koczowali, nie posiadając domów), jeżeli okaże się, że te składniki są warunkiem narodzin pewnej ilości szlachetnych dusz. Ale tego nie da się przewidzieć poprzez słowne rozważania, ponieważ logika nigdy nie umożliwi przejścia z jednej płaszczyzny na drugą.

## CCXVIII

Są ludzie, którzy robią wzniosłe miny i udają, że dniem i nocą płonie w nich święty ogień. Ale kłamią.

Kłamią strażnicy murów obronnych, dniem i nocą rozpowiadający o swojej miłości do miasta. Bo od miasta wolą miskę zupy.

Kłamię poeta, który dniem i nocą mówi o poetyckim upojeniu. Cierpi czasem na bóle brzucha i nic go wtedy nie obchodzą żadne poematy.

Kłamię zakochany, twierdząc, że dniem i nocą ma przed oczami obraz ukochanej. Wystarczy, że go ugryzie pchła, a już przestanie o niej myśleć. Albo ogarnie go nuda, i wtedy zaczyna ziewać.

Kłamię podróżnik, utrzymujący, że nocą i dniem upaja się odkryciami podróży, gdyż jeśli bałwany morskie zbyt mocno go huśtają, zacznie wymiotować.

Kłamię święty, utrzymując, że dniem i nocą oddaje się kontemplacji Boga. Bóg zostawia go czasem i cofa się jak morze. A na niego przychodzi oschłość i jest wtedy jak kamienista plaża.

Kłamią ci, którzy dniem i nocą oplakują zmarłego. Dlaczego mieliby go oplakiwać nocą i dniem, skoro go dniem i nocą nie kochali? Były przecież godziny, kiedy się kłócili albo znużeni czy zajęci czymś innym nie pamiętali o miłości. To prawda, że obecność zmarłego jest intensywniejsza niż żywego, ponieważ widzimy go już poza wszelkimi przeciwieństwami, w niepodzielnej jedności. Ale człowiek jest niewierny, nawet wobec zmarłych.

Kłamią ci wszyscy, którzy, nic nie rozumiejąc, wypierają się chwil oschłości. Z ich winy zaczynasz wątpić w siebie, bo słysząc jak sławią własny zapał, wierzysz w ich stałość; wstydząc się z kolei własnej oschłości w żałobie zmieniasz głos i wyraz twarzy, kiedy na ciebie ktoś patrzy.

Ale ja wiem, że tylko nuda może być czymś trwałym. Nuda, którą rodzi nie-  
dołężność umysłu, nie umiającego poprzez tworzywo odczytać oblicza. Podobnie jak w przypadku człowieka, który w figurach na szachownicy widzi tylko tworzywo, nie domyślając się zapisanego w nich problemu. Ale ty nie skarż się, że nie kontemplujesz nieustannie oblicza, które cię wprawia w zachwycenie, jeżeli dana ci jest od czasu do czasu, jako nagroda wierności na etapie motylej poczwarki, jedna chwila tego olśnienia, jakie przeżywają strażnik, poeta, człowiek wierzący,

kochanek albo podróżnik. Gdyż oblicze bywa tak płomienne, że patrzącego trawi żywy ogień. Nie co dzień może być święto.

Nie masz więc racji, kiedy potępiasz ludzi za ich odruchy płynące z przyzwyczajenia, tak jak ów prorok zezowaty, który dniem i nocą płonął świętym ogniem. Wiem aż nadto dobrze, że ceremoniał zazwyczaj wyradza się i staje się nudą i rutyną. I aż nadto dobrze wiem, że praktykowanie cnoty wyradza się zazwyczaj w ustępstwa wobec postawy żandarma. I że wzniosłe zasady sprawiedliwości wyradzają się zazwyczaj w parawan brudnych rozgrywek. Ale cóż z tego? Wiem także, że człowiekowi zdarza się spać. Czy mam wówczas ubolewać nad jego biernością? Wiem także, iż drzewo nie jest kwiatem, ale warunkiem kwiatu.

## CCXIX

Chciałem wpoić w ciebie miłość braterską. A tym samym dałem ci smutek, jaki rodzi rozstanie z bratem. Chciałem wpoić w ciebie miłość do żony. A tym samym dałem ci smutek, jaki rodzi rozstanie z żoną. Chciałem wpoić w ciebie miłość do przyjaciela. A tym samym dałem ci smutek, który rodzi się z rozstania z przyjacielem, tak samo jak ten, kto buduje studnie, daje zarazem odczucie, czym jest brak studni.

Ale widząc, jak rozstanie gnębi cię dotkliwiej niż wszelkie inne zło, postanowiłem dać ci lekarstwo i nauczyć, czym jest obecność. Gdyż dla tego, kto umiera z pragnienia, źródło nieobecne jest czymś piękniejszym niż świat, w którym by nie było źródeł. I jeżeli nawet zostałeś na zawsze wygnany z twego domu, płaczesz, kiedy on płonie.

Obecność czasem bywa tak hojna jak drzewo, które szeroko rozpościera konary, ażeby osłaniać cieniem. Ja jestem ten, który mieszka, i pokażę ci twoje mieszkanie.

Czy przypominasz sobie, jaki smak ma miłość, kiedy całujesz żonę dlatego, że świt ubarwił trochę chwiejną piramidę warzyw, którą umocowujesz na grzbiecie osiołka, wybierając się z nimi na targ? Żona uśmiecha się do ciebie. Stoi na progu, podobnie jak ty za chwilę zabierzesz się do pracy, zamiecie dom, wypucuje naczynia i będzie przygotowywać posiłek, myśląc o tobie, bo właśnie zamierza przyrządzić jako niespodziankę pewien przysmak, i powiada do siebie: „Żeby on tylko nie wrócił za wcześniej, bo mogę nie zdążyć i wszystko będzie na nic...” Nic was wtedy nie dzieli, choć na pozór ty wybierasz się daleko od domu, a ona chciałaby, żebyś wrócił trochę później. To samo z twojej strony: dzięki tej wyprawie na targ zdołasz uzupełnić to, co się w domu zniszczyło, i podsycić radość, która w nim panuje. Zaplanowałeś bowiem, że z zarobionych pieniędzy kupisz dywan z puszystej wełny, a dla żony srebrny naszyjnik. Dlatego też śpiewasz idąc drogą i mieszka w tobie pokój pełen miłości, choć na pozór oddalasz się od domu. Kierując patykiem osiołka, poprawiając koszyki na jego grzbiecie i przecierając oczy — bo jest jeszcze wcześniej — budujesz swój dom. Łączy cię z żoną silniejsza solidarność niż w porze odpoczynku, kiedy siedząc na progu patrzysz daleko, aż na linię horyzontu, nie myśląc nawet obrócić się i cieszyć własnym królestwem,

które cię otacza; bo może roi ci się jakieś małżeństwo w dalekich krajach, gdzie chciałbyś pojechać, albo myślisz o ciężkiej pracy, która cię czeka, albo o przyjacielu.

Ale już rozbudziliście się na dobre obaj, bo i osiołek stara się okazać swoją gorliwość i przez chwilę niemal kłusuje, przy czym kamyki pod jego kopytami dzwonią śpiewnie, ty zaś dumasz o dzisiejszym przedpołudniu. I uśmiechasz się. Już obmyśliłeś, w którym kramie kupisz srebrną bransoletę. Znasz tego starego kupca. Ucieszy się, kiedy do niego zajdziesz, bo jesteś jego najbliższym przyjacielem. Zapyta cię o żonę, o jej zdrowie, gdyż twoja żona jest czymś kruchym i bezcennym. Będzie ci o niej opowiadał tyle, tyle dobrego, że najlepszy nawet przechodzień, słysząc te pochwały uzna, że jest to kobieta zasługująca na złotą bransoletę. Westchniesz tylko. Takie jest życie. Nie jesteś królem, tylko hodowcą jarzyn. Kupiec też westchnie. A kiedy obaj już westchniecie z myślą o nieosiągalnych złotych bransoletach, on wyzna ci, że właściwie woli bransolety srebrne. Bransoleta, będzie ci tłumaczył, przede wszystkim powinna być ciężka, a te ze złota są zawsze lekkie. Bransoleta ma sens mistyczny. Jest to pierwsze ogniwo tego łańcucha, który was wciąż łączy wzajemnie. W miłości słodko jest odczuwać ciężar łańcucha, który wiąże dwoje ludzi. Kiedy ramię unosi się do góry w pięknym geście, a dłoń poprawia zasłonę na twarzy, klejnot taki powinien ciążyć, bo przemawia wówczas do serca kobiety. I kupiec przyniesie ze składziku za sklepem najcięższe ze srebrnych kół, proponując, żebyś wziął je do ręki przymknąwszy oczy i wypróbował efekt przyjemności, jaką daje taki ciężar. Zrobisz to doświadczenie. Przyznasz, że efekt jest wspaniały. I westchniesz znowu. Takie jest życie. Nie jesteś przewodnikiem bogatej karawany, a tylko właścicielem osiołka. Pokażesz na osiołka, który czeka przed drzwiami, i nie jest świetnym rumakiem, i powiesz: „Tak skromne są moje towary, że niosąc je, tego ranka, biedne zwierzę nawet kłusowało”. Kupiec westchnie wtedy znowu. A kiedy już obaj westchniecie z myślą o ciężkich srebrnych bransoletach, wyzna ci, że w gruncie rzeczy lekkie bransolety górują nad ciężkimi ze względu na jakość dekoracji, która jest w ich przypadku wytworniejsza. I pokaże ci wtedy taką, jakiej pragniesz. Gdyż ty, niczym maż stanu, powziąłeś decyzję już przed wieloma dniami i zgodnie z twoją roztropnością. Pewną część miesięcznego zysku trzeba odkładać na dywan z puszystej wełny, inną — na nową motykę, inną wreszcie na codzienną strawę...

I teraz oto zaczyna się prawdziwy taniec, ponieważ kupiec zna ludzi. Skoro tylko odgadnie, że przynęta chwyciła, nie zwolni tak łatwo linki. Ale ty mówisz, że bransoleta jest za droga i żegnasz się z nim. On cię przyzywa z powrotem. Jest twoim przyjacielem. Ze względu na urodę twojej żony gotów jest ponieść ofiarę. Tak bardzo by mu było przykro, gdyby podobny skarb trafił do rąk jakiejś brzyduli. Wracasz więc, ale krok za krokiem. Jak gdyby od niechcienia. Krzywisz się trochę. Podnosisz bransoletę na rękę. Nie jest ciężka, więc niewiele jest warta. Srebro przy tym nie ma połysku. Wahasz się, czy od tak skromnego klejnotu nie

byłaby lepsza piękna i barwna materia, którą zauważyłeś na sąsiednim kramie. Ale nie trzeba także robić zbyt wzgardliwych min, gdyż jeśli kupiec zrezygnuje, myśląc, że ci nic nie sprzeda, odejdiesz, a on cię już nie zawoła. I będziesz się później rumienił ze wstydu szukając rozpaczliwie najgłupszych pretekstów, które by ci pozwoliły wrócić.

Kto nie wie nic o ludziach, patrząc na ten taniec, uznałby go oczywiście za taniec skąpstwa, podczas gdy jest to taniec miłości; a słysząc, jak opowiadasz o osłe i warzywach, jak filozofujesz na temat złota i srebra, jak odwlekasz powrót do sklepu w najbardziej nieprawdopodobny sposób, sądziłby, że znajdujesz się o sto mil od twego domu, podczas gdy w rzeczywistości mieszkasz w nim właśnie. Bo nie jest to nieobecność ani oddalenie od domu czy od miłości, jeżeli wypełniasz ceremoniał dotyczący domu lub miłości. Taka nieobecność nie oddziela ciebie, ale wiąże, nie odcina, ale stapia w jedno. A jak określić, gdzie jest ów kamień graniczny, poza którym nieobecność jest już zerwaniem? Jeżeli ceremoniał jest spójny, jeśli ze wszystkich sił wpatrujesz się w bóstwo, w którym jesteście zjednoczeni, jeśli jest to bóstwo, które potrafi zapalić w was ogień, kto zdoła cię oddalić od domu czy od przyjaciela? Znałem synów, którzy mówili: „Ojciec zmarł, nie zdążywszy wybudować lewego skrzydła naszego domu. Więc ja je buduję. Nie zdążył zasadzić drzew w sadzie. Więc ja je sadzę. Ojciec umierając przekazał mi swoją nie dokończoną pracę. Więc ją kończę. Przekazał mi, abym dochował wierności królowi. Więc jestem wierny”. W takich domach nie miałem poczucia, że ojciec zmarł istotnie.

Jeżeli nie w tobie samym czy w twoim przyjacielu, ale gdzieś poza wami szukasz wspólnego źródła, jeżeli istnieje dla was obu odczytywana w różnorodności tworzywa jakaś boska więź łącząca rzeczy, wtedy ani przestrzeń, ani czas nie mogą was rozdzielić, albowiem bóstwa, które gwarantują waszą jedność, są silniejsze od murów i od mórz.

\* \* \*

Znałem pewnego ogrodnika, który mi opowiadał o swoim przyjacielu. Żyli obaj przez długi czas jak bracia, zanim życie ich rozdzieliło; wieczorem pili razem herbatę, wspólnie świętowali święta, odwiedzali się, żeby zasięgnąć rady albo poczynić sobie zwierzenia. To prawda, że niewiele mieli sobie do powiedzenia, raczej widziano ich, jak po skończonej pracy spacerowali sobie i w milczeniu przyglądali się kwiatom, grzędom, niebu i drzewom. Ale kiedy jeden z nich na przykład pokiwał głową dotykając palcem jakiejś rośliny, drugi pochylał się także, a widząc szkody zrobione przez gąsienice, także kiwał głową. I każdy kwiat, który się właśnie otworzył, obu sprawiał tę samą przyjemność.

Ale zdarzyło się, że pewien kupiec zatrudnił jednego z nich i na okres paru tygodni dołączył do swojej karawany. Zmienne koleje losu: rozbójnicy napadają-

cy na karawany, a potem wojny między wrogimi cesarstwami, burze, katastrofy okrętowe, ruina majątkowa, żałoba i prace, które trzeba było podejmować, żeby zarobić na chleb, rzucały ogrodnika po szerokim świecie przez całe lata, jak beczkę, którą ciskają fale, aż wędrując tak od ogrodu do ogrodu znalazł się gdzieś bardzo daleko.

I oto, postarzały już i zamknięty w milczeniu ogrodnik dostał pewnego dnia list od przyjaciela. Bóg jeden wie, ile lat ów list szukał go po lądach i morzach. Bóg jeden wie, jakie pocztowe wozy czy jeźdźcy, jakie statki i karawany niosły go z niezmiennym uporem, jak niezliczone morskie fale, nim trafił do właściwego ogrodu. Tego właśnie ranka, promieniejąc szczęściem i chcąc, aby i inni mieli w nim swój udział, poprosił mnie, tak jak się prosi o odczytanie wiersza, żebym mu przeczytał otrzymany list. Wpatrywał się przy tym w moją twarz, żeby zobaczyć, jakie wrażenie wywierają na mnie czytane słowa. W liście zaś było tylko parę słów, ponieważ obaj ogrodnicy więcej zręczności okazywali w kopaniu ziemi niż w korespondencji. Przeczytałem więc po prostu: „Dziś rano przycinałem róże...” a potem, zadumawszy się nad tym, co w tych słowach najważniejszego, a co wydawało mi się niewyraźnego, pokiwałem głową, tak jak oni mieli we zwyczaju.

Od tej pory mój ogrodnik nie spoczął ani chwili. Zbierał niezmordowanie informacje z zakresu geografii, żeglugi, dotyczące posłańców pocztowych, karawan i wojen pomiędzy różnymi krajami. Po trzech latach traf zdarzył, że wysłałem jakieś poselstwo, gdzieś daleko, na krańce ziemi. Wezwałem ogrodnika i oświadczyłem mu: „Możesz teraz napisać do przyjaciela”. Ucierpiały trochę na tym drzewa w moich sadach oraz jarzyny w warzywniku, a gąsienice miały prawdziwe święto, ponieważ ogrodnik spędzał teraz całe dni u siebie: coś smarował, coś skrobał, znów zaczynał pisać, wysuwając przy tym koniuszek języka jak dziecko nad szkolnym zadaniem; wiedział, że ma coś niezmiernie pilnego do napisania, że musi przekazać przyjacielowi całą prawdę o sobie. Chciał jak gdyby przerzucić własnymi rękami wąską kładkę nad przepaścią, odnaleźć poprzez bariery czasu i przestrzeni drugą połowę siebie. Musiał wyrazić swoją miłość. Na koniec przyszedł do mnie i, zaczerwieniony, pokazał mi odpowiedź, znów wypatrując na mojej twarzy odbłasku tej radości, która opromieni adresata, aby — słowem — wypróbować na mnie efekt swoich zwierzeń. Cóż doprawdy mogło być ważniejszego do przekazania niż to, w co on przemieniał dni swojego życia, tak jak niektóre staruszki, do utraty wzroku haftujące kwieciste obrusy dla chwały Bożej? I oto przeczytałem te skromne słowa, wypisane pismem starannym, choć niewprawnym, które powierzał przyjacielowi jak najszczerszą modlitwę: „Dziś rano ja także skończyłem przycinać róże...” A ja przeczytawszy, milczałem, rozmyślając nad tym, co było tu istotne i co zaczynałem lepiej pojmować, gdyż oni, Panie, łącząc się w Tobie gdzieś ponad krzakami róż, nie wiedząc o tym oddawali Ci chwałę.



\* \* \*

Nauczałem, Panie, jak potrafiłem najlepiej, mój lud, a teraz będę się modlił za siebie. Bo nazbyt dużo mi dałeś pracy, żebym mógł dojść oddzielnie do każdego z tych, których mogłem być pokochać, a trzeba mi nieraz było postępować tak, aby sercom dawać zadośćuczynienie, bo miłe są powroty w miejsca konkretne i dziecinne zwierzenia tej, która płacze, że zgubiła pierścionek, a naprawdę opłakuje śmierć, która ją odłączy od wszystkich klejnotów. Ale Tyś mnie skazał na milczenie, ażeby pod warstwą słów lekkich jak plewy na wietrze usłyszał ich znaczenie, ponieważ, skoro postanowiłem ludzi leczyć, moim zadaniem jest pochylać się ze współczuciem nad ludzką trwogą.

Chciałeś z pewnością oszczędzić mój czas, który bym stracił na gawędy i na piekło słów dotyczących zgubionego pierścionka (ale nikt się nie wyrwie z tych sprzeczności, bo nie chodzi tu o zgubiony pierścionek, ale o śmierć), a także przyjaźni albo miłości. Bo miłość i przyjaźń to więzi, które w Tobie jedynie biorą początek, a Tyś postanowił, że będzie mi wolno do nich dojść tylko przez Twoją ciszę.

Cóż zatem otrzymam, skoro wiem, że nie odpowiada Twojej godności ani nawet pragnieniom, zstępować ku mnie, na moją płaszczyznę. Niczego nie oczekuję od teatralnych efektów archanielskiego przyjścia. Albowiem ja nie zwracam się do pojedynczych ludzi, ale do rolnika i do pasterza, wiele mam więc do dania, ale nic do otrzymania. A choć wiem, że mój uśmiech może olśnić strażników twierdzy, ponieważ jestem królem, i we mnie wiąże się więź królestwa powstałego z ich krwi, i że poprzez mój uśmiech królestwo odplaca ich przelaną krew, czy mogę oczekiwać czegokolwiek, Panie, od uśmiechu kobiety? I od niej, i od nich nie domagam się dla siebie miłości, i obojętne mi, czy lekceważą mnie, czy nienawidzą, jeżeli zobaczą we mnie drogę ku Tobie, bo domagam się miłości tylko dla Ciebie jednego, do którego i oni, i ja sam należymy; chcę zatem ich uwielbienie związać w jedno jak pęk kwiatów i przekazać Ci je, tak jak królestwu przekazuję, nie odnosząc go do siebie, hołd przyklękających na mój widok strażników; albowiem nie jestem murem, ale energią ziarna, które z ziemi podnosi pień i gałęzie ku słońcu.

Więc czasem ogarnia mnie znużenie samotności, ponieważ nie ma króla, który by mnie wynagrodził uśmiechem, i mam iść tak aż do dnia, kiedy raczysz mnie przyjąć i połączyć w jedno z tymi, których obejmuję miłością; więc od czasu do czasu odczuwam potrzebę bliskości z moim ludem, gdyż na pewno nie jestem jeszcze dość czysty.

\* \* \*

Zobaczyłem, jaki szczęśliwy był ten ogrodnik, który z przyjacielem zdołał nawiązać łączność i czasem chciałbym związać się także we czci wspólnego boga z ogrodnikami w moim królestwie. Zdarza mi się przed samym świtem schodzić powoli pałacowymi schodami w stronę ogrodu. Idę w kierunku kwater, gdzie rosną róże. Przyglądam się, czasem uważnie pochylam się nad jakimś krzakiem, choć kiedy wybije południe będę decydował o karze śmierci lub ułaskawieniu, o pokoju lub o wojnie. O wyniszczeniu całych krajów czy o ich przetrwaniu. A podnosząc się z trudem od ciężkiej pracy, ponieważ starzeję się już, zwracam się w moim sercu do wszystkich — żywych i zmarłych — ogrodników, gdyż tylko w ten sposób mogę się z nimi związać: „Ja także, dziś rano, przycinałem róże”. To nieważne, czy to posłanie będzie wędrowało krócej czy całymi latami, czy dotrze do tego czy innego. Nie w tym jest treść przesłania. Ażeby nawiązać łączność z ogrodnikami całego świata, pozdrowiłem po prostu ich boga, którym jest krzak róży o wschodzie słońca.

Tak samo, Panie, z moim ukochanym nieprzyjacielem połączę się dopiero gdzieś poza granicami własnej istoty. A i on tak samo, bo on jest podobny do mnie. Więc tak odmierzam sprawiedliwość, jak mnie uczy moja mądrość. A on tak, jak go uczy jego mądrość. Jedna zdaje się przeczyć drugiej, a kiedy dochodzi do starcia, wybuchają wojny. Ale i on, i ja, przeciwnymi drogami, kierujemy się tam, gdzie nas prowadzą linie napięć, ciepło tego samego ognia, który wyczuwamy dłońmi jak ślepcy. A te linie spotykają się w Tobie jednym, Panie.

Zakończywszy pracę widzę więc, że upiększyłem duszę mojego ludu. I on, dopełniwszy pracy, upiększył duszę własnego ludu. Ja myślę o nim, a on myśli o mnie, a choć nie ma języka, który pozwoliłby nam się porozumieć, zakończywszy posiedzenia sądów i dyktowanie przepisów ceremoniału, wydawanie wyroków i aktów łaski, możemy obaj powiedzieć sobie wzajemnie: „Dziś rano przycinałem róże...”

Gdyż Ty, Panie, jesteś wspólną miarą nas obu. Ty jesteś prawdziwą więzią różnorodności czynów.